

Richard Lloyd Parry

LUDZIE, KTÓRZY JEDZĄ CIEMNOŚĆ

Hipnotyczny reportaż

JOANNA BATOR

TOKIO - miasto mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet

RICHARD LLOYD PARRY

LUDZIE, KTÓRZY JEDZĄ CIEMNOŚĆ

Prawdziwa historia dziewczyny,
która zaginęła w Tokio, i zła,
które ją pochłonęło

tłumaczenie Adriana Sokołowska-Ostapko

znak *litera
nova*

Kraków 2014

Dla Mamy i Taty

Starzy odwiedzający po kryjomu dom „śpiących piękności” nie tylko smucili się i ubolewali nad młodością, która minęła, lecz także niektórzy z nich przychodzili po to, by zapomnieć zło, jakie popełnili w ciągu całego życia [...] wśród nich musieli być tacy, którzy zdobyli powodzenie, czyniąc zło, i ze swoich złych uczynków ustawicznie ciągnęli zyski. Targani niepokojem jednak stali się raczej rozbitkami żyjącymi w ustawicznym lęku. Kiedy leżeli tu dotykając nagiego ciała młodej dziewczyny, serca ich ogarniał nie tylko lęk przed zbliżającą się śmiercią, lecz także bolesny żal za utraconą młodością. Być może ukrywali głęboko niepowodzenia rodzinne, tak częste dla tych, którzy odnieśli sukces, ukrywali żal z powodu popełnionych przez siebie nikczemności. Ci starzy mężczyźni nie mają swego Buddy, przed którym mogliby ugiąć kolana i pomodlić się. Nagie piękności o niczym nie będą wiedzieć, oczu w żadnym wypadku nie otworzą, nawet jeśli mężczyźni będą trzymać je mocno w objęciach, oblewać zimnymi łzami albo łkać i szlochać. Starzy nie odczuwają wstydu i nie ranią swej godności osobistej. Mogą do woli żałować, do woli się smucić. Czyż więc „śpiące piękności” nie są dla nich czymś w rodzaju Buddy? Są przy tym żywe. Młode ciało dziewczyny, jego zapach, jest pewnie wybawieniem i pocieszeniem dla tych nieszczęśliwych starych ludzi.

Yasunari Kawabata, *Śpiące piękności**

* Y. Kawabata, *Śpiące piękności*, w: tenże, *Tysiąc żurawi. Śpiące piękności*, tłum. M. Melanowicz, Warszawa 1987, s. 233–234.

MISSING

行方不明の英国人女性をさがしています。



ルーシー・ブラックマン
Lucie BLACKMAN

年齢 : 21歳
身長 : 175cm
体格 : 中位
髪の色 : 金髪
瞳の色 : 青

7月1日(土)に、
東京で見かけられて以来、
行方が分かっていません。

Age : 21 years
Height : 175cm Medium Build
Hair Color : Blonde
Eye Color : Blue

She was last seen in Tokyo
on Saturday July 1st. Since
then she has been missing.

もし本人を見かけた方、または
何か情報をお持ちの方は
警視庁麻布警察署
tel. 03-3479-0110
または最寄りの警察宛ご連絡を
お願いいたします。

If anyone has seen her, or has any
information relating to her, contact
Azabu Police Station
tel. 03-3479-0110
or your nearest police station.

ルーシー・ブラックマン(英国人女性)

Lucie BLACKMAN (British Female)

PROLOG

ŻYCIE PRZED ŚMIERCIĄ

LUCIE BUDZI SIĘ PÓŹNO, JAK ZWYKLE. Jasna kreska słonecznego światła wpadającego przez szczelinę z boku zasłoniętego okna przeszywa mroczne wnętrze. Nędzny, ciasny, bezbarwny pokój. Ściany obklejone plakatami i pocztówkami, na przeładowanych wieszakach zwisają bluzki i sukienki. Na podłodze leżą dwa materace, na nich spoczywają dwie ludzkie sylwetki: jedna o jasnych włosach, druga o brązowych. Śpią w bawełnianych koszulkach albo zupełnie nagie pod samymi poszewkami, ponieważ noc jest zbyt upalna i duszna, aby przykrywać się czymś więcej niż jedną warstwą materiału. Na zewnątrz wrony kraczą i przepychają się na płataninie drutów telegraficznych przerzuconych między budynkami. Kiedy lokatorki pokoju kładły się spać, była czwarta nad ranem, teraz zaś plastikowy budzik wskazuje, że dochodzi południe. Brązowowłosa głowa nie podnosi się z poduszki, gdy Lucie wkłada szlafrok i idzie do łazienki.

O swoim domu w Tokio mawia „syfialnia” – między innymi z powodu stanu, w jakim jest łazienka. Korzysta z niej sześć osób oraz ich goście, którzy czasami zostają na noc, przez co zawsze tu pełno śmieci i różnych odpadków. Na brzegu umywalki leżą wyciśnięte tubki po paście do zębów, podłogę kabiny prysznicowej oblepiają wilgotne grudki mydła, a otwór

odpływu zatyka obślizgły czop sklejonych włosów, złuszczonego naskórka i obrzynków paznokci. Swoje liczne i drogie produkty pielęgnacyjne Lucie zawsze przynosi ze sobą i za każdym razem zabiera z powrotem, podobnie zresztą jak grzebienie, szczotki i kosmetyki upiększające. Poranna toaleta to długa i drobiazgowa procedura, na którą składają się: mycie włosów, płukanie, nakładanie odżywki, namydlenie, wycieranie, wklepywanie, smarowanie, przemywanie, nawilżanie, wchłanianie, wyskubywanie, szczotkowanie, czyszczenie nicią dentystyczną i suszenie. Na przykładzie Lucie wyraźnie widać, jaka jest różnica między zwykłym porannym prysznicem a prawdziwym szykowaniem się do wyjścia. Gdyby komuś bardzo się spieszyło do łazienki, lepiej żeby nie znalazł się w kolejce za Lucie.

Co Lucie widzi, gdy spogląda w lustro? Pełną, jasną twarz, którą okalają naturalne blond włosy długie aż za ramiona. Wyraźnie zarysowaną szczękę; mocne, równe, białe zęby; policzki, które się podnoszą i w których pojawiają się dołeczki, kiedy się uśmiecha. Zaokrąglony nos; ostro zakończone, starannie wyskubane brwi oraz małe, ciemnoniebieskie oczy, których kąciki opadają w dół. Lucie mocno ubolewa nad tym, że ma „skośne” oczy, i patrząc na swoje odbicie, niejednokrotnie wyobraża sobie, jak by to było, gdyby ten zaskakujący, lekko egzotyczny rys twarzy uległ metamorfozie tak, aby bardziej pasował do kobiety o jasnej karnacji, niebieskich oczach i długich nogach.

Lucie jest wysoka – mierzy 175 centymetrów – ma krągłe biust i biodra. Z niepokojem odnotowuje każdy skok wagi, która często jej się zmienia. W maju, na skutek wysiłku związanego z podróżą do Japonii, przeprowadzką do syfialni i znalezieniem pracy, zeszczupłała, ale po kilku tygodniach, podczas których przesiadywała w klubie do późnej nocy, znów „wypiła swoje i przybrała”. Kiedy ma gorszy dzień, przepełnia ją pogarda dla

własnego wyglądu. Czuje się opuchnięta i rozepchana; dręczy ją wstyd z powodu znamienia na udzie i pieprzyka między brwiami. Bezstronny obserwator mógłby ją opisać staroświeckimi i nieco dwuznacznie brzmiącymi przymiotnikami: „dorodna” oraz „urodziwa”. Szatynka śpiąca na drugim materacu, najlepsza przyjaciółka Lucie Louise Phillips, ma zdecydowanie bardziej typową urodę: jest szczupłą, drobna, z zadartym nosem. Zwykle jednak inni postrzegają Lucie jako osobę pewną siebie i swobodną. Sposób, w jaki się śmieje, gestykuje podczas rozmowy, potrząsa głową, bez skrępowania dotyka swojego rozmówcy – wszystko to przydaje jej uroku, który przyciąga zarówno kobiety, jak i mężczyzn.

Lucie wychodzi z łazienki. Co robi potem? Wiem, że nie zapisze niczego w dzienniku, którego prowadzenie zaniedbuje od prawie dwóch tygodni. Nie zadzwoni do Scotta, swojego chłopaka, który służy na amerykańskim lotniskowcu stacjonującym w portowym mieście Yokosuka. Później wśród rzeczy osobistych Lucie rodzina znajdzie niewysłaną widokówkę zaadresowaną do Samantha Burman, bliskiej przyjaciółki z rodzinnego miasta. Być może Lucie wypisuje tę kartkę właśnie teraz.

Kochana Sammy, przesyłam Ci tę krótką wiadomość z Tokio, żebyś powiedziała, jak wspaniale, że mogłyśmy porozmawiać wtedy wieczorem. Bardzo się cieszę, że poznałaś fajnego kumpla/przyjaciela/chłopaka (kimkolwiek on jest dla Ciebie). Wiem, że mnie tutaj jest łatwiej, ponieważ moje codzienne życie się zmieniło i niedziele wyglądają teraz zupełnie inaczej, ale chcę, żebyś pamiętała, że życie bez Ciebie jest niepełne i chociaż nie jestem pewna, kiedy to się stanie, wkrótce znów się spotkamy, gdzieś tam, gdzie będę, albo w domu. Bardzo Cię Kocham, strasznie za Tobą tęsknię i zawsze będzie mi Ciebie brakowało. Ściskam Cię mocno, Lulu.

O godzinie wpół do drugiej na dole dzwoni telefon. Odbiera jedna ze współlokatorek i woła: „To do Lucie”. W przeciwieństwie do Louise, która dostała własną komórkę od jednego z klientów, Lucie musi korzystać

z płatnego telefonu stacjonarnego używanego wspólnie przez wszystkich mieszkańców syfialni. Niezgrabny różowy plastikowy aparat znajduje się w kuchni, przyjmuje monety o nominale 10 jenów, a prowadzone przez niego rozmowy może usłyszeć każdy, kto akurat przebywa na parterze. Lucie nie będzie jednak musiała znosić tej niewygodnej sytuacji w nieskończoność. Za kilka godzin będzie miała własny telefon komórkowy.

Louise zdążyła już wstać i siedzi we wspólnym salonie, gdy przyjaciółka przeprowadza krótką rozmowę. To on, oznajmia Lucie po odwieszeniu różowej słuchawki: przełożył spotkanie o godzinę, zobaczą się o trzeciej; ma zadzwonić jeszcze raz, a potem spotkają się na dworcu. Zamierzają zjeść późny lunch, ale Lucie zdoła wrócić na ósmą – umówiła się z Louise i z jeszcze jedną dziewczyną z klubu, że pójdą wieczorem potańczyć. Zdejmuje szlafrok i kompletuje strój: czarna sukienka, srebrny naszyjnik z kryształowym wisiosem w kształcie serca oraz zegarek od Armaniego. Bierze czarną torebkę, w środku leżą okulary przeciwsłoneczne. Mija godzina trzecia. Dwadzieścia po trzeciej ponownie dzwoni różowy telefon i głos w słuchawce prosi o rozmowę z Lucie; jest w drodze, będzie na dworcu za dziesięć minut.

Wrony łopoczą skrzydłami i skrzeczą, gdy Lucie wychodzi na dwór i przeżywa niewielki wstrząs, którego codziennie doznają wszyscy cudzoziemcy ponownie wkraczający w tokijską rzeczywistość. Nagle uzmysławia sobie rzecz oczywistą, przyprawiającą o szybsze bicie serca: a jednak jestem tu, w Japonii. Każdego ranka zaskakuje ją na nowo świadomość, jak ogromna to różnica. Może chodzi o zupełnie inny kąt padania światła albo brzmienie dźwięków wypełniających letnie powietrze? A może o sposób bycia ludzi na ulicach, w samochodach i w pociągach – ludzi starających się nie rzucać w oczy, ale wydających się wytrwale dążyć do celu; uporządkowanych, uprzejmych, pełnych rezerwy, a zarazem

skupionych, jak gdyby koncentrowali się na wypełnianiu tajnych rozkazów?

Nawet tych, którzy mieszkają tu lata, dziesiątki lat, nigdy nie opuszcza do końca to radosne podniecenie, ten specyficzny dreszcz emocji towarzyszący obcokrajowcowi w Japonii.

Syfialnia – oficjalnie znana pod nazwą Sasaki House – to brudny, pokryty tynkiem budynek na samym końcu ślepej uliczki. Po wyjściu z domu Lucie skręca w lewo, mijają kolejne okurzone bloki mieszkalne, plac zabaw z drewnianymi drabinkami, staroświecką restaurację serwującą omlety ryżowe i curry. Nieco dalej znajduje się perła okolicznej ponurej architektury – utrzymany w modernistycznym duchu gładki, betonowy budynek klasycznego teatru nō otoczony wypielęgnowanym żywopłotem i skalnym ogródkiem.

Lucie skręca w prawo i otoczenie ulega nagłej przemianie. Okolica przypominająca nędzną, podmiejską dzielnicę po niecałych pięciu minutach spaceru przeistacza się w główną ulicę wielkiego miasta, nad którą przebiega poprowadzona estakadą autostrada i linia kolejowa. Lucie zmierza w stronę oddalonego o niecałe pół kilometra dworca Sendagaya, węzła komunikacyjnego, w którym przecinają się trasy autobusów, metra i pociągów podmiejskich. W sobotnie popołudnie panuje tu ogromny ruch i zgiełk, ludzie poubierani w bluzki z krótkimi rękawami i letnie sukienki wpadają i wypadają z budynku dworca oraz z hali olimpijskiej położonej na drugim końcu ulicy. Właśnie tam, przed komisariatem policji, na Lucie czeka on. Jego samochód stoi zaparkowany w pobliżu.

Trochę wcześniej niż Lucie z domu wychodzi Louise, która ma do załatwienia swoje sprawy: wymienić parę butów kupionych w Shibui, wielkiej dzielnicy handlowej w południowozachodnim Tokio. Jedzie pociągiem na dworzec Shibuya, gdzie każdego dnia dziewięć linii

komunikacji miejskiej obsługuje dwa i pół miliona pasażerów, i szybko się gubi. Błądzi po zatłoczonych ulicach, mijając rzędy sklepów i restauracji, których różnorodna oferta przyprawia o zawrót głowy i które pomimo to wydają się tak do siebie podobne, że nie sposób ich odróżnić. Marnuje dużo czasu, zanim udaje jej się znaleźć odpowiedni sklep, następnie zaś znużona wraca na dworzec.

Tuż po piątej dzwoni jej komórka. Na wyświetlaczu pojawia się komunikat: numer nieznany. W aparacie odzywa się jednak głos Lucie, która choć powinna wracać już do domu, żeby przyszykować się do wieczoru, dzwoni z jadącego samochodu. Jest w drodze „nad morze”, mówi, gdzie zje z nim lunch (mimo że zrobiło się o wiele za późno na tego typu posiłek). Nie trzeba jednak zmieniać planów na wieczór, zapewnia przyjaciółkę: wróci do domu na czas, a za godzinę lub dwie jeszcze raz zadzwoni, żeby powiedzieć, o jakiej dokładnie porze się zjawi. Wydaje się wesoła i radosna, choć trochę skrępowana – jak ktoś, kto rozmawia, wiedząc, że jego słowa może usłyszeć osoba trzecia. Dzwoni z jego komórki, wyjaśnia przyjaciółce, dlatego musi kończyć.

Później Louise powie, że zdziwił ją ten rozwój wydarzeń, ponieważ nie było to podobne do Lucie, aby wsiąść z mężczyzną do samochodu i wyjechać z nim gdzieś za Tokio. Jednak bardzo charakterystyczne było to, że zadzwoniła. Lucie i Louise znają się od dzieciństwa i wiąże je serdeczna przyjaźń, przejawiająca się między innymi tym, że dzwonią do siebie bez okazji, nawet wtedy gdy nie mają zbyt wiele do powiedzenia, aby potwierdzić i umocnić łączące je bliskość i zaufanie.

Tego popołudnia panuje nieznośny upał i duchota. Louise idzie do ulubionego sklepu obu przyjaciółek, domu towarowego Laforet, gdzie kupuje błyszczące naklejki i brokat, którymi mogłyby ozdobić twarze przed wieczornym wyjściem na tańce. Słońce się zniża, nadchodzi wieczór

spowijający mrokiem zaniedbane domy i rozświetlający całą dzielnicę neonami restauracji, barów i klubów, miejsc pełnych obietnic i przyjemności.

Mijają dwie godziny.

Sześć po siódmej, kiedy Loïuse jest już w domu, ponownie dzwoni jej komórka. To Lucie, tryskająca humorem i rozemocjonowana. On jest naprawdę bardzo miły, opowiada. Dotrzymał słowa i dał jej nowy telefon komórkowy, a do tego butelkę szampana Dom Perignon, którą ona i Louise wypiją razem później. Lucie nie mówi, gdzie dokładnie się znajduje, a Louise nie przychodzi do głowy, żeby o to zapytać. Lucie wspomina tylko, że wróci za godzinę.

Siedemnaście po siódmej Lucie dzwoni na komórkę swojego chłopaka Scotta Frasera, który nie odbiera. Gdy włącza się automatyczna sekretarka, Lucie nagrywa krótką, ale radosną wiadomość, obiecując spotkać się ze Scottem następnego dnia.

Potem Lucie znika.

W Tokio zaczyna się sobotni wieczór, ale nie będzie wyjścia na miasto z przyjaciółką ani randki ze Scottem. Tak naprawdę nie będzie już w ogóle nic. Wiadomość przechowywana w cyfrowym banku danych operatora sieci komórkowej, z którego zostanie automatycznie usunięta po kilku dniach, jest ostatnim śladem życia Lucie.



Gdy Lucie wbrew zapewnieniom nie pojawiła się w domu, Louise natychmiast podniosła alarm. Później jej reakcję niektórzy będą uznawali za podejrzaną: dlaczego Louise tak szybko wpadła w panikę? Współlokatorki, które siedząc w salonie, paliły marihuanę, nie rozumiały jej wzburzenia. Lucie spóźniała się z powrotem zaledwie nieco ponad godzinę, a Louise już

dzwoniła do swojej matki Maureen Phillips, do Wielkiej Brytanii.

– Coś się stało Lucie¹ – oznajmiła.

Potem poszła do Casablanki, klubu położonego w dzielnicy rozrywkowej Roppongi, w którym obydwie pracowały jako hostessy – kobiety zabawiające klientów rozmową.

– Pamiętam ten pierwszy dzień bardzo wyraźnie, 1 lipca – powiedział mężczyzna, który pracował w tamtym czasie w klubie. – Był sobotni wieczór, Lucie i Louise miały wtedy wolne. Żadna nie miała przyjść do pracy. Jednak już wczesnym wieczorem pojawiła się Louise i powiedziała: „Lucie zaginęła. Poszła na spotkanie z klientem. Nie wróciła”. Cóż, nie widziałem w tym nic nadzwyczajnego. Była dopiero ósma, może dziewiąta godzina. Uspokajałem ją: „To normalne, nie dzieje się nic dziwnego, Louise. Dlaczego tak bardzo się martwisz?”. Ona odpowiedziała: „Lucie należy do osób, które wracają o ustalonej porze, a gdyby zmieniła plany, zadzwoniłaby do mnie”. Mówiła prawdę. Zawsze jedna wiedziała, co robi druga. Były ze sobą naprawdę bardzo związane. Louise od razu wiedziała, że coś jest nie tak.

Louise wydzwaniała do klubu cały wieczór, dowiadywała się, czy ktoś słyszał coś o Lucie. Nikt jednak nic nie słyszał. Obeszła dzielnicę Roppongi, zaglądała do barów i klubów, do których zwykle chodziła z Lucie: Propaganda, Deep Blue, Tokyo Sports Café, Geronimo's. Rozmawiała z mężczyznami rozdającymi ulotki na skrzyżowaniu Roppongi, pytała, czy nie widzieli Lucie. Potem pojechała taksówką do Shibui i udała się do klubu Fura, w którym planowały bawić się tego wieczoru. Wiedziała, że nie znajdzie tam przyjaciółki – dlaczego Lucie miałyby pójść sama, nie pokazując się najpierw w domu ani nie dzwoniąc do Louise? Nie miała jednak żadnego innego pomysłu.

Przez większość nocy padał ciepły, powodujący duchotę, tokijski letni

deszcz. Świtało, gdy niedzielnym rankiem Louise wróciła do Sasaki House po obejściu wszystkich barów, jakie przysły jej do głowy. Lucie nie było w domu, nie przysła też od niej żadna wiadomość.

Louise zadzwoniła do Caza, Japończyka pracującego w Casablance jako kelner, i wspólnie zastanowili się, co dalej. Caz zatelefonował do kilku większych szpitali, ale nigdzie nie słyszano o Lucie. Czy Louise nie dopuszcza takiej możliwości, zasugerował, że Lucie postanowiła spędzić noc ze swoim „miłym” klientem, i najzwyczajniej w świecie nie poinformowała jej o tym? Louise stwierdziła, że byłoby to nie do pomyślenia, a nikt nie znał Lucie lepiej niż Louise.

Kolejnym oczywistym krokiem było powiadomienie policji. Jednak ruch ten wiązał się z pewnym kłopotem. Lucie i Louise przyjechały do Japonii jako turystki na podstawie wizy obowiązującej dziewięćdziesiąt dni, która wyraźnie zabraniała podejmowania pracy zarobkowej. Wszystkie dziewczęta w klubach, a w rzeczywistości większość cudzoziemców pracujących w Roppongi znajdowała się w tej samej sytuacji. Oni i kluby, które ich zatrudniały, łamali prawo.

W poniedziałek rano Caz poszedł z Louise na komisariat Azabu w dzielnicy Roppongi, gdzie zgłosili zaginięcie Lucie. Wyjaśnili, że przebywała ona na wakacjach w Tokio i wybrała się na spotkanie z Japończykiem, którego poznała. Nie wspomnieli nic o Casablance, hostessach ani ich klientach.

Policja okazała niewielkie zainteresowanie.

O godzinie trzeciej po południu Louise udała się do ambasady brytyjskiej w Tokio. Rozmawiała z wicekonsulem, Szkotem o nazwisku Iain Ferguson, i wyjawiała mu całą prawdę. Ferguson był pierwszą z wielu osób, które głośno wyraziły zdziwienie okolicznościami popołudniowego wyjścia Lucie.

– Spytałem, co wiadomo o kliencie², z którym się umówiła, i zdumiałem się, gdy usłyszałem, że nic – napisał następnego dnia w notatce służbowej. – Według Louise dziewczęta z klubu nagminnie, i to za zgodą kierownictwa klubu, rozdają swoje wizytówki, w efekcie czego klienci często umawiają się z dziewczynami na gruncie prywatnym. Zauważyłem, że trudno uwierzyć, aby kierownictwo pozwalało dziewczętom spotykać się z klientami poza klubem, ale Louise trwała przy swoim zdaniu. Pewne jest, że Lucie nie powiedziała nic o swoim kliencie, nie podała jego imienia, nie wspomniała nic o jego samochodzie, nie powiedziała nawet, dokąd się wybrali, poza krótką wzmianką, że jadą na plażę.

Ferguson pytał Louise o charakter Lucie. Czy była kapryśna, nieprzewidywalna, czy nie można było na niej polegać? Czy bywała naiwna i łatwo ulegała wpływom?

– Ze wszystkich odpowiedzi Louise wyłaniał się spójny obraz – zanotował urzędnik – pewnej siebie, wyrobionej życiowo, inteligentnej osoby, posiadającej na tyle doświadczenia i zdrowego rozsądku, aby nie narażać się bezmyślnie na niebezpieczeństwo. – Dlaczego więc wsiadła do samochodu z kimś zupełnie nieznanym? – Louise nie potrafiła [...] tego wytłumaczyć, powtarzała tylko, że Lucie postąpiła w nietypowy dla siebie sposób.

Nikt nie zna się na szaleństwach, których dopuszczają się Brytyjczycy przebywający za granicą, bardziej niż urzędnik konsulatu. I nikt nie wie lepiej, że w większości wypadków za „zniknięciem” młodej osoby stoją łatwe do przewidzenia, prozaiczne powody: sprzeczka między przyjaciółmi lub zakochanymi, narkotyki, alkohol albo seks. Jednak tamtego popołudnia Lucie dzwoniła dwukrotnie, żeby powiedzieć Louise, co u niej. Skoro zapewniła, że wróci za godzinę, trudno było wytłumaczyć, dlaczego nie zadzwoniła w chwili, gdy zmieniła plany. Iain Ferguson skontaktował się

z komisariatem Azabu, aby przekazać, że ambasada jest mocno zaniepokojona losami Lucie, ponieważ uważa jej przypadek nie za zwykłe zaginięcie, ale prawdopodobne uprowadzenie.

Louise wyszła z ambasady. Przez ostatnie dwie noce, które minęły od zniknięcia Lucie, prawie nie zmrużyła oka. Dręczyły ją niepewność i nieustające napięcie. Nie potrafiła znieść samotności, nie umiała również zmusić się, aby przebywać w pokoju, w którym do tej pory mieszkała z Lucie. Udała się do mieszkania koleżanki, gdzie schodzili się także inni znajomi Lucie.

Zbliżało się wpół do piątej, gdy ponownie zadzwoniła komórka, i Louise szybko odebrała.

– Halo? – powiedziała.

– Czy rozmawiam z Louise Phillips? – odezwał się głos.

– Tak, mówi Louise. Z kim mam przyjemność?

– Nazywam się Akira Takagi. Dzwonię w imieniu Lucie Blackman.

– Lucie! Mój Boże, gdzie ona jest? Tak bardzo się martwiłam. Jest w pobliżu?

– Jestem z nią. Jest tutaj. Ma się dobrze.

– Och, Boże, dzięki Bogu. Proszę mi pozwolić z nią porozmawiać. Muszę z nią porozmawiać.

Głos należał do mężczyzny, który mówił po angielsku pewnie, ale z wyraźnym japońskim akcentem. Przez cały czas był spokojny, opanowany, rzeczowy, niemal przyjazny, nawet gdy Louise straciła równowagę i zaczęła się denerwować.

– Nie wolno jej teraz przeszkadzać – powiedział głos. – Jest w naszym akademiku. Studiuje i praktykuje nowy sposób życia. Ma bardzo dużo nauki

w tym tygodniu. Nie można jej przeszkadzać.

Louise bezgłośnie poruszała ustami, gorączkowo przekazując zebranym przyjaciółom wiadomość: „To on”, po czym gestem poleciła podać sobie kartkę papieru i coś do pisania.

– Z kim rozmawiam? – spytała. – Czy to z tobą umówiła się w sobotę?

– Poznałem Lucie w niedzielę. W sobotę spotkała się z moim guru, przywódcą mojej grupy.

– Z twoim guru?

– Tak, z moim guru. Poznali się w pociągu.

– Ale ona... kiedy z nią rozmawiałam, jechała samochodem.

– Na ulicach był tłok, straszny tłok, a nie chciała się spóźnić na spotkanie z tobą. Postanowiła pojechać pociągiem. Zanim wsiadła, poznała mojego guru i podjęła decyzję, która odmieniła jej życie. Tamtego wieczoru postanowiła wstąpić do naszej sekty.

– Do sekty?

– Tak.

– Do jakiej sekty? Co... Gdzie jest Lucie? Gdzie mieści się ta sekta?

– W Chibie.

– Co? Proszę powtórzyć. Możesz to przeliterować?

– W Chibie. Przeliteruję: C-H-I-B-A.

– Chiba. Chiba. A... jak się nazywa ta sekta?

– To Nowo Powstała Religia.

– „Nowo” co? Jak się...

– Nowo Powstała Religia.

Mężczyzna po drugiej stronie linii spokojnie, litera po literze podyktował całą nazwę.

W głowie Louise kłębiły się myśli.

– Muszę porozmawiać z Lucie – powiedziała. – Proszę mi pozwolić z nią porozmawiać.

– Nie czuje się zbyt dobrze – oznajmił głos. – Poza tym nie chce teraz z nikim rozmawiać. Może porozmawia z tobą pod koniec tygodnia.

– Proszę – błagała Louise. – Proszę, proszę, pozwól mi z nią porozmawiać.

Połączenie zostało przerwane.

– Halo! Halo! – powtarzała Louise, ale nikt się nie odzywał. Spojrzała na trzymany w ręku mały srebrny aparat.

Kilka sekund później telefon znów zadzwonił.

Palce jej drżały, gdy naciskała guzik „odbierz”.

– Bardzo przepraszam – rozległ się ten sam głos. – Jakieś problemy z zasięgiem. Wracając do sprawy, Lucie nie może teraz z tobą rozmawiać. Nie czuje się dobrze. Może porozmawiacie pod koniec tygodnia. Ale ona zaczęła nowe życie i nie zamierza wrócić do starego. Wiem, że ma sporo długów, 6000 czy 7000 funtów. Ale spłaci je w lepszy sposób. Chciała tylko, żebym dał znać tobie i S’kotto, że u niej wszystko w porządku. Planuje sobie lepsze życie.

Powiedział „S’kotto” dość wyraźnie i w sposób charakterystyczny dla Japończyków, którym zupełnie obce jest brzmienie angielskiego imienia „Scott”.

– Napisała list do Casablanki, żeby poinformować, że nie wróci do pracy. Zapadło milczenie. Louise zaczęła szlochać.

– Podaj mi swój adres.

– Mój adres... – zawahała się Louise.

– Adres twojego mieszkania w Sendagai.

– Po co... po co ci mój adres?

– Chcę ci wysłać niektóre rzeczy Lucie.

Louise, która do tej pory bała się o los przyjaciółki, nagle zaczęła się lękać o własne życie. Chce wiedzieć, gdzie mieszkam – myślała gorączkowo. – Przyjdzie po mnie.

– Ale Lucie go zna. Zna swój adres – odpowiedziała.

– Nie czuje się zbyt dobrze i nie może sobie przypomnieć.

– Och, ja również nie mogę sobie przypomnieć.

– A pamiętasz, obok czego znajduje się twój dom?

– Nie, nie, nie pamiętam.

– Może ulicę? Pamiętasz nazwę ulicy?

– Nie, ja...

– Muszę odesłać jej rzeczy.

– Nie pamiętam...

– Jeśli to problem, nie przejmuj się.

– Nie mam go przy sobie.

– W porządku, nie przejmuj się.

Louise ogarnęła paniką i rozplakała się. Łkając, podała komórkę znajomemu Australijczykowi, który mieszkał w Tokio od kilku lat.

– Halo – powiedział po japońsku. – Gdzie jest Lucie?

Po chwili oddał telefon jego właścicielce.

– On chce rozmawiać tylko po angielsku – oznajmił. – I tylko z tobą.

Louise zdołała jednak pozbierać myśli. Uświadomiła sobie, jak ważne jest, aby przedłużyć tę rozmowę i spróbować się dowiedzieć, gdzie jest Lucie.

– Halo – rzuciła. – Tu Louise. Czy ja też mogę wstąpić do waszej sekty?

Mężczyzna zdawał się wahać, po czym odpowiedział:

– Jakiego jesteś wyznania?

- Jestem katoliczką, ale Lucie też jest katoliczką. Mogę zmienić wyznanie. Ja również pragnę odmienić swoje życie – przekonywała Louise.
 - To zależy od Lucie. Od tego, co powie na ten temat. Pomyślę o tym.
 - Proszę, pozwól mi porozmawiać z Lucie – załamała się Louise.
 - Pójdę do mojego guru i zapytam go.
 - Proszę, daj mi z nią porozmawiać – zawołała. – Błagam cię, proszę, daj mi z nią porozmawiać.
 - Muszę już kończyć – oznajmił głos. – Przykro mi. Chciałem ci tylko przekazać, że więcej jej nie zobaczysz. Do widzenia.
- Połączenie zostało przerwane po raz drugi.



Lucie zniknęła w sobotę, 1 lipca 2000 roku, w samym środku ostatniego roku XX wieku. Po tygodniu wiadomość o jej zniknięciu obiegła cały świat. Pierwsze doniesienie pojawiło się następnego niedzieli, 9 lipca, w brytyjskiej gazecie, która zamieściła krótki artykuł o zaginięciu turystki Lucy Blackman. Następnego dnia brytyjska i japońska prasa opublikowały bardziej szczegółowe informacje. W artykułach padały wzmianki o Louise Phillips, o siostrze Lucie Sophie Blackman, która miała już przebywać w Tokio z misją odnalezienia zaginionej, oraz o ojcu Lucie Timie, który był w drodze do Japonii. Wspominano o telefonie z pogrózkami, wstępnie sugerowano możliwość, że Lucie została uprowadzona przez członków jakiejś sekty. W dwóch gazetach dziennikarze pisali o zaistnieniu „obawy”, że Lucie została „zmuszona do prostytucji”. Przedstawiano ją jako byłą stewardesę British Airways, jednak już następnego dnia w komunikatach pojawiała się jako „dziewczyna do towarzystwa” albo „hostessa” pracująca w „nocnym klubie” w „tokijskiej dzielnicy czerwonych latarni”. Japońska telewizja

również podchwyciła temat i ekipy telewizyjne zaczęły krążyć po Roppongi w poszukiwaniu cudzoziemek o blond włosach. Młody wiek zaginionej w połączeniu z jej narodowością, kolorem włosów oraz skojarzeniami, które się nasuwały w związku z wykonywaną przez nią pracą, sprawiły, że jej historia ze zwykłej informacji stała się atrakcyjnym newsem. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin do Tokio przyleciało dwudziestu brytyjskich reporterów i fotografów oraz ekipy pięciu różnych stacji telewizyjnych, aby swoimi relacjami uzupełnić doniesienia pochodzące od dziesiątek korespondentów i wolnych strzelców pracujących w Japonii na stałe.

Tamtego dnia wydrukowano i rozprowadzono po całym kraju trzydzieści tysięcy plakatów, głównie w Tokio i Chibie, prefekturze bezpośrednio przylegającej do stolicy po jej wschodniej stronie.

„ZAGINIONA”, głosił dwujęzyczny napis na samej górze plakatu, na dole zaś widniał następujący opis: „Lucie BLACKMAN (Brytyjka)”.

Wiek: 21 lat

Wzrost: 175 cm, średnia budowa ciała

Kolor włosów: Blond

Kolor oczu: Niebieski

Ostatnio widziana w Tokio w sobotę, 1 lipca. Od tamtej pory uznana za zaginioną. Osoby, które ją widziały lub posiadają jakiegokolwiek informacje dotyczące jej losu, proszone są o kontakt z komisariatem Azabu lub z najbliższym posterunkiem policji.

Najwięcej miejsca na plakacie zajmowało zdjęcie siedzącej na sofie dziewczyny ubranej w krótką, czarną sukienkę. Uwagę przyciągały jej jasne włosy i lśniące zęby odsłonięte w nerwowym uśmiechu. Zdjęcie zostało zrobione z góry, przez co twarz kobiety wydawała się szeroka i dziecinna. Jej

duża głowa, długie włosy i mocno zarysowana szczęka sprawiały, że dziewczyna spoglądająca z plakatu przypominała Alicję z Krainy Czarów.



Lucie Blackman już nie żyła. Umarła, zanim się dowiedziałem, że taka osoba w ogóle istniała. Prawdę mówiąc, zainteresowałem się nią wyłącznie dlatego, że zmarła – czy raczej zaginęła, ponieważ tyle na tamten czas było o niej wiadomo. Mieszkalem i pracowałem w Tokio jako korespondent brytyjskiej gazety. Lucie Blackman była młodą Brytyjką, która zniknęła właśnie w tym mieście, stanowiła zatem dla mnie kolejny „temat”, a przynajmniej tak w pierwszym momencie traktowałem ów przypadek.

Początkowo jej historia stanowiła zwykłą zagadkę, z czasem jednak przekształciła się w głęboką tajemnicę. Lucie okazała się ofiarą tragedii, a jej sprawa stała się przedmiotem ostrego, zacieklego sporu sądowego przed japońskim wymiarem sprawiedliwości. Losy Lucie przykuły uwagę opinii publicznej zarówno w Japonii, jak i w Wielkiej Brytanii, choć relacje ich dotyczące były zmienne i brakowało im ciągłości. Czasami przez kilka miesięcy z rzędu zupełnie nie interesowano się tym tematem, po czym odkrycie jakichś nowych aspektów powodowało nagły wzrost zapotrzebowania na kolejne informacje i wyjaśnienia. Historia w swoim zarysie nie wyróżniała się niczym szczególnym – zaginięcie dziewczyny, odnalezienie ciała, postawienie zarzutów domniemanemu sprawcy – jednak po bliższym zbadaniu stawała się tak skomplikowana i zagmatwana, obfitująca w dziwne zwroty i sprzeczne z logiką sekwencje wydarzeń, że relacjonowanie jej w sposób konwencjonalny traciło sens i przynosiło więcej pytań niż odpowiedzi.

Właśnie ta jej pokrętność, to, że wychodziła poza dobrze znane ramy

zwykłej wiadomości, sprawiało, iż stała się fascynująca. Była niczym kamyk w bucie, który przez cały czas uwiera, mimo że próbowaliśmy go wytrzepać na różne sposoby – pisząc artykuły na dwie strony czy prezentując w wiadomościach trzyminutowe doniesienie. Sprawa zaginionej Brytyjki zaczęła mnie prześladować; pomimo upływu kolejnych miesięcy nie potrafiłem zapomnieć o Lucie Blackman. Od samego początku relacjonowałem wypadki z nią związane, informowałem o kolejnych etapach dochodzenia, usiłowałem spleść w spójną, zrozumiałą całość luźne, często pourywane wątki. Zajęło mi to dziesięć lat.

Większą część dorosłego życia mieszkałem w Tokio, prócz tego przemierzyłem Azję wzdłuż i wszerz. Jako reporter miałem do czynienia z kataklizmami takimi jak klęski żywiołowe czy wojna, niejednokrotnie widziałem ból i ciemność. Jednak historia Lucie sprawiła, że odsłoniły się przede mną nowe, nieznane mi dotychczas aspekty ludzkiej natury. Była niczym klucz do skrytki znalezionej przypadkiem w dobrze znanym pokoju i zawierającej tajemnice – przerażające, brutalne, potworne tajemnice, których istnienia nie byłem świadomy. Ta nowa wiedza w pewien sposób zażenowała mnie, sprawiła, że poczułem się naiwny. Nagle się okazało, iż ja, doświadczony reporter, przeoczyłem coś niezwykle ważnego w mieście, którego doskonała znajomość stanowiła powód do zawodowej dumy.

Dopiero gdy opinia publiczna powoli zaczynała zapominać o sprawie młodej Brytyjki, zacząłem traktować Lucie nie jako temat, ale jako osobę. Poznałem jej rodzinę, która parokrotnie w trakcie rozwoju wydarzeń przyjeżdżała do Japonii. Ponieważ zajmowałem się relacjonowaniem tej historii, najbliżsi Lucie najpierw podchodzili do mnie z pełną rezerwy nieufnością, później zaś z ostrożną życzliwością. Po pewnym czasie wróciłem do Wielkiej Brytanii i odwiedziłem rodzinę Blackmanów u nich w domu. Dotarłem do przyjaciół i znajomych Lucie, którzy pamiętali ją

z różnych okresów jej życia. Powoli, stopniowo ci, którzy najpierw niechętnie rozmawiali, w końcu dali się przekonać. Rodziców, siostrę i brata Lucie odwiedzałem wielokrotnie na przestrzeni kilku lat. Odtworzenie wszystkich nagrań poczynionych podczas rozmów z nimi zajęłoby kilkanaście dni.

Myślałem, że zebranie i ułożenie w logiczną całość podstawowych faktów z życia osoby, która zmarła w wieku dwudziestu jeden lat, będzie prostym zadaniem. Na pierwszy rzut oka Lucie Blackman nie wyróżniała się niczym szczególnym spośród milionów dziewcząt jej podobnych: młodych mieszkankę południowo-wschodniej Anglii, wywodzących się z klasy średniej, przeciętnie zamożnych i wykształconych. Lucie wiodła „zwykłe”, „normalne” życie; wydawało się, że najbardziej niewiarygodne były okoliczności związane z jego końcem. Im bliżej jednak przyglądałem się jej postaci, tym bardziej mnie ona intrygowała.

Wszyscy znamy ten stan z własnego życia, nie powinno więc zaskakiwać to, że osobowość i charakter dwudziestojednoletniej Lucie okazały się zbyt zróżnicowane, zbyt skomplikowane, aby jeden człowiek, choćby najbliżej z nią związany, potrafił w pełni ją zrozumieć. Każdy, kto znał Lucie, znał kogoś odrobinę innego. Wystarczyło dzieciństwo i parę lat dorosłości, aby wykształciły się w niej różne, często sprzeczne cechy, dążenia i emocje. Była lojalna, uczciwa i zdolna do oszustwa. Pewna siebie, godna zaufania i podatna na wpływy. Bezpośrednia i tajemnicza, otwarta i skryta. Czułem się bezradny niczym biograf usiłujący przesiać i pogodzić ze sobą rozmaite fakty, oddać sprawiedliwość całemu życiu. Zafascynował mnie proces poznawania osoby, której nigdy nie spotkałem i nigdy nie mógłbym spotkać, osoby, o której istnieniu nic bym nie wiedział, gdyby nie umarła.

W ciągu kilku tygodni od zniknięcia Lucie Blackman bardzo wiele osób usłyszało o niej i zobaczyło jej twarz – a przynajmniej to jej oblicze, które

pokazywały prasa i telewizja, twarz Alicji z Krainy Czarów znaną ze zdjęcia zamieszczonego na plakacie. Była dla nich ofiarą, niemalże symbolem pewnego rodzaju ofiary: młoda kobieta, którą spotyka straszny koniec w jakiejś egzotycznej krainie. Dlatego przystępowałem do pracy z nadzieją, że oddam sprawiedliwość Lucie, a przynajmniej złożę hołd jej pamięci, czyniąc z niej ponownie zwykłą osobę, ukazując obraz kobiety skomplikowanej i uroczej w swojej zwyczajności – kogoś, kto miał życie przed śmiercią.

1 „The Mail on Sunday”, 16 lipca 2000.

2 „Lucie Jane Blackman – raport na zakończenie dnia 4 lipca 2000” – notatka służbowa brytyjskiej ambasady sporządzona przez Iaina Fergusona, wicekonsula.

CZEŚĆ PIERWSZA

LUCIE



ROZDZIAŁ 1

POUKŁADANY ŚWIAT

NAWET PÓŹNIEJ, GDY TRUDNO JEJ BYŁO DOSTRZEC jakiegokolwiek dobre strony w mężu, matka Lucie Jane zawsze przyznawała, że Tim Blackman uratował ich córce życie.

Lucie miała wówczas dwadzieścia jeden miesięcy, mieszkała razem z mamą i tatą w domku wynajętym w niewielkiej wiosce w hrabstwie Sussex. Od niemowlęctwa często chorowała na zapalenie migdałków o tak ostrym przebiegu, że dostawała wysokiej gorączki i obrzęku gardła. Rodzice robili jej zimne okłady, żeby obniżyć temperaturę, gorączka jednak utrzymywała się, a gdy w końcu zapalenie mijało, po kilku tygodniach znów nawracało. Któregoś dnia Tim wrócił wcześniej z pracy, żeby pomóc Jane zaopiekować się chorym dzieckiem. Nastąpiła noc i w pewnym momencie obudził go krzyk żony, która poszła sprawdzić, jak się ma Lucie.

Tim zerwał się na nogi, ale zanim zdążył dobiec do dzieciennego pokoju, Jane pędziła już schodami na dół.

– Lucie leżała nieruchomo w łóżeczku, była cała spocona – opowiadał Tim. – Wyjąłem ją, położyłem na podłodze, a ona na moich oczach zaczęła się robić sina, tak straszliwie, chorobliwie czarnosina. Najwyraźniej ustało krążenie krwi. Nie wiedziałem, co począć. Przytulałem ją, leżąc obok niej na

podłodze, Jane była na dole i dzwoniła po karetkę. Lucie nie ruszała się, nie oddychała. Spróbowałem otworzyć jej usta. Miała mocno zaciśnięte szczęki, ale rozwarłem je dłońmi, przytrzymałem kciukiem tak, żeby się nie zamknęły, i włożyłem do środka palec, żeby wyciągnąć język. Nie miałem pojęcia, czy to, co robię, ma sens, ale to robiłem. Potem obróciłem jej głowę na bok i zacząłem wdychać w nią powietrze i wypuszczać, wdychać i wypuszczać, aż po chwili zaczęła oddychać sama. Byłem chory z niepokoju i strachu, ale po pewnym czasie zobaczyłem, że jej skóra znów robi się różowa. Mniej więcej wtedy przyjechała karetka i ratownicy medyczni wbiegli po tych naszych wąziutkich schodach, tacy wielcy faceci z całym swoim klekoczącym sprzętem, duże napakowane chłopiska, ledwo się mieścili w naszym domku. Wyjęli nosze, przypięli ją, znieśli na dół i zabrali do karetki. Potem było już wszystko dobrze.

Lucie dostała drgawek gorączkowych, skurczów mięśni wywołanych gorączką i odwodnieniem, które spowodowały, że połknęła własny język, przez co nie mogła oddychać. Gdyby stan ten potrwał jeszcze chwilę dłużej, udusiłaby się.

– W tamtym momencie zrozumiałem, że nie mogę mieć tylko jednego dziecka – przyznał Tim. – Zrozumiałem to. Myślałem o tym już wcześniej, kiedy Lucie się urodziła. Ale dopiero w tamtej chwili dotarło do mnie, że gdyby cokolwiek jej się stało i nie mielibyśmy innych dzieci, byłaby to prawdziwa tragedia.



Lucie urodziła się 1 września 1978 roku. Jej imię pochodzi od łacińskiego słowa „światło” i nawet będąc dorosłą osobą, opowiadała jej matka, nie mogła się obejść bez jasności, światła. Nie czuła się dobrze w ciemnościach,

zawsze zapalała w domu wszystkie lampy i zasypiała przy włączonej lampce nocnej.

Aby doszło do porodu, trzeba było wywoływać skurcze, akcja porodowa trwała szesnaście godzin. Lucie przyjęła w brzuchu mamy pozycję główką do góry, ułożenie zwane pośladkowym, co spowodowało olbrzymi ból podczas porodu. Jednak ważąca trzy i pół kilograma córeczka była okazem zdrowia i narodziny pierwszego dziecka przyniosły rodzicom przemożne, choć skomplikowane, uczucie szczęścia.

– Byłam zachwycona, wprost wniebowzięta – opowiadała Jane. – Myślę jednak, że kiedy zostaje się matką... Chciałam po prostu, aby moja mama była przy mnie, byłam tak bardzo dumna, że urodziłam dziecko. Ale mamy nie było, dlatego zrobiło mi się także smutno.

Jane pamiętała z dzieciństwa niewiele więcej poza smutkiem. W dorosłości również doświadczyła druzgocących, przytłaczających strat, co sprawiło, że stała się osobą o czarnym, ciętym humorze, na przemian niedoceniającą siebie i z oburzeniem występującą we własnej obronie. Kiedy ją poznałem, zbliżała się do pięćdziesiątki, była szczupłą, atrakcyjną kobietą o krótkich, jasnych włosach, ostrych rysach i baczym spojrzeniu. Ubierała się schludnie i skromnie. Miała długie, delikatne rzęsy, jednak wrażenie dziewczęcości, które stwarzały, szybko rozwiewał jej stanowczy sposób bycia oparty na przekonaniu o własnej racji oraz nietolerancji wobec głupoty i snobizmu. Sprawiała wrażenie osoby rozdartej między dumą a rozczulaniem się nad sobą. Była interesującą kobietą: upartą, elegancką, interesującą kobietą ubraną w granatową spódnicę i żakiet.

Jej ojciec pracował jako menedżer w studiu filmowym Elstree, razem z młodszymi bratem i siostrą wychowała się na peryferiach Londynu, gdzie wiodła zdyscyplinowane i dość bezbarwne życie typowe dla klasy średniej, w którym najbardziej liczyły się odrabianie lekcji, dobre maniery przy stole

i coroczny wyjazd na wakacje do wietrznego angielskiego nadmorskiego kurortu. Kiedy miała dwanaście lat, jej rodzina przeprowadziła się na południe Londynu. Rankiem pierwszego dnia przed pójściem do nowej szkoły Jane zajrzała do pokoju mamy, żeby pocałować ją na do widzenia, i zastała ją w łóżku, śpiącą, wykończoną nocnym bólem głowy i bezsennością.

– Czułam, że stanie się coś strasznego – opowiadała Jane. – Spytałam ojca: „Mama nie umrze, prawda?”, a on odpowiedział: „Och, nie bądź niemądra, oczywiście, że nie”. A potem, kiedy tego samego dnia wróciłam ze szkoły, mama już nie żyła. Zmarła na guza mózgu. Ojciec wpadł w rozpacz. Był załamany, kompletnie załamany, a ja musiałam być dzielna. W tym momencie skończyło się moje dzieciństwo.

Matka Jane umarła w wieku czterdziestu lat.

– W ciągu tygodnia zajmowała się nami babcia, a podczas weekendów tata – relacjonowała Jane. – Pamiętam, że przez cały czas płakał. – Piętnaście miesięcy po śmierci żony ożenił się z dwudziestoparoletnią kobietą. Jane była zbulwersowana. – Ale miał trójkę dzieci i po prostu sobie nie radził. To było straszne. Prawdę mówiąc, nie pamiętam zbyt wiele z dzieciństwa. Kiedy przeżyje się wstrząs, doświadczy się czegoś tak bardzo bolesnego, mózg wymazuje wspomnienia.

Jane zakończyła edukację, gdy miała piętnaście lat. Zrobiła kurs dla sekretarek i znalazła pracę w dużej agencji reklamowej. Gdy miała dziewiętnaście lat, pojechała razem z przyjaciółką na Majorkę i mieszkała tam pół roku, utrzymując się z mycia samochodów. W tamtym okresie Brytyjczycy nie podróżowali jeszcze na tak masową skalę do Hiszpanii i Baleary były dość egzotycznym i ekskluzywnym celem turystycznym. W tym samym czasie co Jane na Majorce gościł George Best, słynny piłkarz klubu Manchester United.

– Nie poznałam go, ale widywałam w różnych barach w otoczeniu ślicznotek – wspominała Jane. – Byłam jednak bardzo rozsądna, bardzo ostrożna. Słowo „rozsądek” zawsze tkwiło we mnie niczym sztywny kręgosłup. Nawet jeśli wszyscy naokoło robili zwariowane rzeczy i dobrze się bawili, ja nie. Byłam po prostu bardzo nudna.

Na Majorce cnotliwość Jane została wystawiona na próbę za sprawą młodego mężczyzny, którego znała z widzenia i który pewnego dnia stanął w jej drzwiach i próbował ją pocałować.

– Byłam strasznie zażenowana, ponieważ prawie go nie znałam, a do tego przyszedł w samym środku dnia. Pochodził, zdaje się, ze Szwecji. Nie zrobiłam nic, co mogłoby go zachęcić w moją stronę, dlatego po tym zdarzeniu zaczęłam się mieć jeszcze bardziej na baczności. Podobało mi się to, że na Majorce było dużo słońca, morze, lubiłam przebywać na świeżym powietrzu, ale nie nazwałabym tego tak, że się tam wyszalałam, ponieważ zawsze przeważał u mnie rozsądek. Pierwszym mężczyzną, z którym poszłam do łóżka, był mój mąż.

Kiedy poznała Tima, miała dwadzieścia dwa lata i mieszkała z ojcem i macochą w dzielnicy Chislehurst położonej w londyńskiej gminie Bromley. Tim był starszym bratem koleżanki Jane i zanim się spotkali, dużo o nim słyszała.

– Ludzie mówili: „Ten Tim to odpowiedni człowiek – wspominała Jane. – Odpowiedni kandydat na męża”.

Nieco wcześniej Tim wrócił z południowej Francji, gdzie mieszkał u swojej francuskiej narzeczonej.

– Mimo to zaczął ze mną flirtować, a ja posłałam mu jedno z moich lodowatych spojrzeń – opowiadała Jane. – Byłam chyba pierwszą dziewczyną, która nie zauroczyła się nim tak od razu, stanowiłam więc dla

niego wyzwanie. Jednak szczerze mówiąc, wcale nie byłam osobą pewną siebie. Miałam wiele ładnych koleżanek, do których chłopcy ustawiali się w kolejce, i na dyskotekach to ja zawsze pilnowałam torebek. Tim nie rozumiał, dlaczego nie zakochałam się w nim po uszy, a ja nie wiedziałam, dlaczego miałabym się komukolwiek podobać, i chyba dlatego postanowiłam wyjść za niego za mąż.

Ślub odbył się osiemnaście miesięcy później, w dzień dwudziestych trzech urodzin Tima, 17 lipca 1976 roku.

Tim prowadził sklep z obuwiem w pobliskiej dzielnicy Orpington. Była to pozostałość po kwitnym niegdyś biznesie ojca, który za dobrych czasów posiadał kilka punktów sprzedaży w południowo-wschodnim Londynie. Jednak i ten sklep zbankrutował, a Tim był zmuszony pójść na zasiłek dla bezrobotnych, który otrzymywał przez pół roku. Zaczął zarabiać na utrzymanie swojej nowo założonej rodziny, chwytając się różnych dorywczych zajęć oraz wykonując prace zlecone jako malarz i tapeciarz.

– Żyliśmy z dnia na dzień – opowiadał. – Początek lat osiemdziesiątych to były bardzo, bardzo trudne czasy i często nie wiedzieliśmy, za co przeżyjemy kolejny tydzień. Ale mieszkaliśmy z naszym dzieckiem w uroczym domku urządzonej jak w bajce i było cudownie. To był wspaniały okres, kiedy Lucie była mała.

W maju 1980 roku, niecałe dwa lata po urodzeniu pierwszego dziecka, Jane wydała na świat Sophie, a trzy lata później – Ruperta. Tim znalazł wspólnika i otworzył interes w branży budowlanej. W 1982 roku przeprowadził się z rodziną kilkanaście kilometrów na północ, do szanowanego miasteczka-sypialni Sevenoaks w hrabstwie Kent. Tutaj, gdy mieli już największe trudności za sobą, Jane udało się stworzyć własnemu potomstwu sielankowe dzieciństwo, o którym zawsze marzyła: w otoczeniu kwiatów, ładnych ubrań i śmiechu małych dzieci.

Dom, w którym mieszkali, a który Jane nazwała Daisy Cottage, stał naprzeciwko prywatnej szkoły podstawowej – Granville School, lub też szacownej Granville School, jak często podkreślali jej dyrekcja i nauczyciele. Placówka ta stanowiła spełnienie jej marzeń, była miejscem tak urokliwym, że każdy, kto do niej chodził, wspomina ją z uśmiechem. Dziewczynki z oddziału przedszkolnego, czasami nawet trzylatki, nosiły mundurki złożone ze spódniczek w niebieską kratkę i szarych wełnianych czapek z pomponem; podczas festynu z okazji powitania wiosny nakładały na głowy wianki z kwiatów. Program nauczania obejmował między innymi naukę składania głębokich ukłonów oraz tradycyjnych ludowych tańców.

– Okno sypialni wychodziło prosto na dziedziniec szkolny – opowiadała Jane. – To była idealna sytuacja: podczas długiej przerwy Lucie podbiegała i machała mi, a ja machałam jej. – Placówka ta przywodziła na myśl starodawne szkoły, wyjęte prosto z bajek. – Jakbyśmy żyły w krainie ze snu – podsumowała Jane – a nie w prawdziwym świecie.

Od początku Lucie była dojrzałą jak na swój wiek, sumienną dziewczynką, która swoją powagą rozbijała dorosłych. Kiedy Jane dała jej groszek do łuskania, uważnie oglądała każde ziarnko i odkładała te, które choćby w najmniejszym stopniu wydawały jej się wybrakowane. Kochała lalki i gdy mama karmiła piersią Sophie, siadała obok z plastikowym bobasem, aby w ten sam sposób nakarmić swoją lalkę.

– Była bardzo skrupulatna, schludna i porządna – opowiadała Jane. – Zupełnie tak jak ja, od najmłodszych lat.

Dla odmiany Sophie była kłótniwa i skłonna do wybuchów gniewu, które starsza siostra delikatnie i umiejętnie łagodziła. Obie dziewczynki spały na jednym dużym, staroświeckim łóżku i pewnej wielkanocnej niedzieli przesiedziały pod nim cały dzień, jadły pod nim, czytały książeczki

z obrazkami i bawiły się zabawkami.

Z zeszytów Lucie można wyczytać, jak bardzo udało się Jane stworzyć swoim dzieciom świat pełen radości i niewinności.

Imię i nazwisko: Lucy Blackman

Temat: Wiadomości

20 maja, poniedziałek

Dzisiaj tata

odbierze mnie

ze szkoły

i pójdziemy do domu,

ubiorę ulubioną sukienkę,

jest szara i niebieska

i w kwiatki, a potem

pójdę do Tesco

i kupię Gemmie

prezēt na urodziny,

ale nie wiem co,

a ona zaprosiła

cztery koleżanki,

mnie i Celię

i Charlotte i jeszcze

inną z swoje szkoły

i tylko ja będę z Granville

prezent, prezent, prezent, prezent

Kolejne ćwiczenie z zeszytu:

Imię i nazwisko: Lucy Blackman

Temat: Eksperymenty

Światło

Wzięłam duże lusterko.

Popatrzyłam na siebie.

Zobaczyłam swoje odbicie.

Zamknęłam jedno oko.

Zobaczyłam siebie z jednym okiem zamkniętym.

Dotknęłam nosa.
Zobaczyłam siebie i swoją prawą dłoń na nosie.
Klasnęłam w dłonie.
Zobaczyłam, jak klaszczą moje dłonie.
TUSZKO
LUSTRO
Wzięłam duże lustro.
Położyłam je na boku.
Zobaczyłam świat leżący na prawym boku.

– Ponieważ moje dzieciństwo było smutne, zawsze pragnęłam, żeby moja własna rodzina miała radosne, szczęśliwe życie – wspominała Jane. – Ustawiałam kaptcie przed piecykiem i ogrzewałam je, zanim dzieci wróciły ze szkoły. Kiedy wychodziłam po Ruperta, który miał trening rugby, brałam ze sobą termoфор i termos z ciepłą herbatą. Najbardziej bałam się tego, że je stracę. Nawet kiedy były jeszcze bardzo małe. Miałam takie skórzane lejce z narysowanymi króliczkami i zakładałam je Rupertowi. Ściszałam lejce w rękę, a dziewczynkom kazałam trzymać się z bratem za ręce i jeśli w supermarkecie nagle zniknęły mi z oczu, wiedziałam, gdzie są... Z powodu tego, co przeżyłam, czymś najgorszym dla mnie była właśnie strata. Tego najbardziej się obawiałam – utraty bliskich. Ponieważ straciłam mamę, myśl, że mogłabym kiedykolwiek stracić dzieci, była dla mnie nieznośna. Dlatego byłam bardzo opiekuńczą, a nawet nadopiekuńczą matką.

Lucie uzyskała stypendium w Walthamstow Hall, solidnej placówce założonej pod koniec XIX wieku z myślą o córkach chrześcijańskich misjonarzy. Była pilną uczennicą i spodziewano się, że sukcesy będzie odnosiła również w szkole średniej, szczycącej się dużą liczbą absolwentek, które dostawały się na studia. Lucie jednak nie odnalazła się do końca w tym miejscu.

– Walthamstow Hall to dość ekskluzywna szkoła – przyznawała Jane. – Wiele uczennic na urodziny dostawało kluczyki do własnych samochodów. Rodzice dawali im tego typu prezenty, a nas nigdy nie było stać na takie rzeczy.

Jednak największym cieniem na młodszych latach Lucie kładła się nie sytuacja materialna rodziny, ale problemy zdrowotne.

W wieku dwunastu lat Lucie zachorowała na zapalenie płuc wywołane bakterią *Mycoplasma pneumoniae*. Ta rzadka odmiana choroby przykuła ją do łóżka na wiele tygodni.

– Była bardzo, bardzo chora i nikt nie wiedział, co jej dolega – opowiadała Jane. – Leżała na łóżku oparta na całej stercie poduszek, a ja musiałam bić ją pięściami po plecach, żeby wykrztuszała zalegający śluz. Kiedy oddychała, w jej płucach słychać było charkot. – Po przebyciu choroby Lucie długo nie mogła dojść do siebie, nogi zaczęły boleć ją tak bardzo, że z trudem chodziła, i uciekły jej dwa lata nauki szkolnej. Bywały tygodnie, w których na nic nie miała siły; zejście ze schodów stało się dla niej zadaniem skrajnie wyczerpującym. Żaden z lekarzy, którzy ją badali, nie potrafił określić, kiedy i czy w ogóle stan Lucie wróci do normy.

Jane Blackman mocno wierzyła w ukrytą moc umysłu oraz we własną zdolność do przewidywania i przeczuwania. Specjalizowała się w refleksologii – pracowała jako terapeutka manualna i masażystka stóp – i często, jak twierdziła, zdarzało jej się trafnie przewidzieć zdarzenia z niedalekiej przyszłości: śmierć krewnego w podeszłym wieku, ciążę u pacjentki, która sama jeszcze nie wiedziała, że jest w odmiennym stanie.

– Po prostu czuję pewne rzeczy, kiedy pracuję – tłumaczyła. – Słyszę w głowie głos, który o czymś mi mówi, a potem się okazuje, że mówił prawdę. To ma związek z moim poczuciem sprawiedliwości: czuję, kiedy ludziom dzieje się krzywda. Ludzie mówią, że jestem bardzo empatyczna, ale

ja myślę, że tę umiejętność zdobywa każdy, kto przeszedł swoje w życiu.

Jane stwierdziła, że dar Lucie do postrzegania zjawisk nadprzyrodzonych objawił się po raz pierwszy właśnie w tym okresie, gdy córka ciężko chorowała.

Obydwoje rodzice w pewnym momencie zwrócili uwagę na słaby, ale wyraźnie wyczuwalny zapach dochodzący z głównej sypialni, która tymczasowo służyła za pokój dla chorej Lucie – był to zapach dymu cygarowego. W tamtym czasie nikt w rodzinie nie palił cygar; Tim rozmawiał nawet w tej sprawie z sąsiadami, aby się upewnić, czy zapach nie przenika przypadkiem przez ścianę, która oddzielała ich domy. Kilka dni później Jane wspomniała o zapachu w rozmowie z córką. W tamtych dniach Lucie była bardzo słaba, co chwilę zapadała w drzemkę, balansowała na pograniczu snu i jawy, ale mimo to jej odpowiedź zaskoczyła matkę:

– To pali mężczyzna, który siedzi na skraju łóżka.

– Jaki mężczyzna? – spytała Jane.

– W nocy przychodzi do mnie starszy mężczyzna, czasami siada na skraju łóżka i pali cygara.

– Nieźle, co? – relacjonował później Tim. – Wszyscy myśleliśmy, że Lucie zupełnie odbiło.

Gdy po dłuższym czasie Lucie wróciła do sił, pojechała w odwiedziny do dziadków – ojca i macochy Jane. Tam zobaczyła stojącą na kredensie fotografię przedstawiającą starszego mężczyznę i spytała, kim on jest. Była przy tym babcia Jane, czyli prababcia Lucie, a na zdjęciu widniał jej mąż Hollis Etheridge, który zmarł wiele lat wcześniej.

– To on – oznajmiła Lucie – on przychodził i siadał na skraju łóżka.

Pradziadek Lucie za życia palił cygara.

Zniknięcie Lucie Blackman, ciągnąca się miesiącami niepewność, a na koniec wiadomość o tym, jak straszny spotkał ją los, spotęgował wzajemną niechęć między rodzicami Lucie, jednak urazę do siebie nosili już na długo przed jej śmiercią. Przez ostatnie pięć lat życia Lucie jazgotliwe, sprzeczne wersje wydarzeń wybrzmiewały z ust jej matki i ojca.

Według Jane do rozpadu jej małżeństwa doszło w jasno określonym momencie – w listopadzie 1995 roku, gdy mieszkali w miejscu stanowiącym spełnienie jej marzeń o zaciszu domowym: w Sevenoaks, w dużym, zbudowanym w stylu edwardiańskim domu z sześcioma sypialniami.

– Myślałam, że tam ziści się mój sen o rodzinnej sielance rodem z seriali – stwierdziła z lekką autoironią. – Tam miało się to wszystko wydarzyć. Miałam krzątać się po przytulnej kuchni, miały być przy mnie dzieci, potem wnuki. Wyszło inaczej.

W niedzielne popołudnie cała pięcioosobowa rodzina siedziała razem w salonie. W kominku palił się ogień. Jane przyszykowała dzieciom smakołyk o nazwie „kolorowe tosty”: grzanki posmarowane brązową pastą Marmite oraz dżemami morelowym i truskawkowym.

– Oglądaliśmy *Cudowne lata*, uwielbiałam ten serial – wspominała Jane. – Wszyscy go uwielbiliśmy. Tim trzymał Ruperta na kolanach i nigdy nie zapomnę, co wtedy powiedział. Powiedział: „Kocham naszą rodzinę”. Tak właśnie powiedział. A następnego dnia wszystko się skończyło.

W poniedziałek rano do Jane zadzwonił nieznany jej mężczyzna i oznajmił, że Tim sypia z jego żoną. Gdy wieczorem Jane zaczęła rozmowę na ten temat, jej mąż z początku zaprzeczał, ale w końcu przyznał się do tego, że ma romans. Wtedy Jane kazała mu się natychmiast wyprowadzić. Było dużo krzyków i wrzasków. W ciągu nocy czarne plastikowe worki wypełnione ubraniami i rzeczami Tima wyrzucane przez okno jeden po drugim lądowały przed domem.

– Miałam Tima za kochającego, oddanego ojca i męża – opowiadała Jane. – Ale po dziewiętnastu latach małżeństwa dotarło do mnie, że mieszkalam z kimś, kto tak naprawdę nie istniał.

Tim przyznał, że nie dochował wierności żonie. Jednak w jego oczach rozpad pozornie szczęśliwego małżeństwa nastąpił nie w wyniku jednego nagłego zdarzenia, ale ciągnącego się i pogłębiającego stanu wzajemnej niechęci i braku porozumienia.

– Kiedy Jane była niezadowolona z powodu czegoś, co zrobiłem, po prostu przestawała mnie zauważać – wyjaśniał. – Potrafiła przez cały weekend chodzić z kamienną twarzą i nie odzywać się do mnie. Potem zaczęło się to przedłużać, trwało tygodniami, wreszcie miesiącami, całymi miesiącami. W świetle prawa i wszystkich procedur to ja byłem winny i nikogo zbytnio nie interesowało, jakie były przyczyny rozpadu małżeństwa. Bez wątplenia według dzieci to ja odpowiadałem za rozbitcie rodziny. Jednak sytuacja wcale nie była tak oczywista, o czym pewnie wiedzą wszyscy ci, którzy przeżyli coś podobnego.

Jane razem z trójką dzieci spędziła nieszczęśliwe Boże Narodzenie w swoim wymarzonym dużym domu pośród duchów nienarodzonych jeszcze przyszłych wnucząt. Nie dostawała praktycznie żadnych pieniędzy od Tima, którego firma przeszła w stan likwidacji. Sprzedała zatem stary dom i wynajęła nowy – niewielki, przygnębiający, zbudowany z cegły i o wyglądzie sześcianu – położony w mniej eleganckiej dzielnicy Sevenoaks. Miejsce to miało ponurą historię: poprzednią właścicielką była Diana Goldsmith, czterdziestoczteroletnia alkoholiczka, która w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęła pewnego dnia po tym, jak zawiozła dzieci do szkoły. Gdy Jane i dzieci wprowadzili się do nowego domu, jego okna wciąż pokrywał kurz, z którego policjanci zbierali odciski palców.

– I dzieci, i ja, powtarzaliśmy: „Mam nadzieję, że nie leży gdzieś pod

wanną” – wspominała Jane. – I mówiliśmy to pół żartem, pół serio.

Następnego roku ciało Diany Goldsmith znaleziono zakopane w ogrodzie w Bromley na przedmieściach Londynu; o morderstwo oskarżono jej byłego kochanka, ale sąd go uniewinnił.

– Wszyscy nienawidziliśmy tamtego domu – relacjonowała Jane. – Był bardzo brudny i miał straszną przeszłość. Nie jestem materialistką, ale lubię otaczać się rzeczami miłymi dla oka, a tamten dom miał się nijak do mojego poczucia piękna. Lucie go nie cierpiała.

To był ostatni dom Lucie.

ROZDZIAŁ 2

ZASADY

– ROZWÓD SPRAWIA, że zaczynamy wszystko kwestionować – stwierdziła Sophie Blackman – ponieważ kiedy dorastamy, wiemy tylko tyle: to jest mama, to jest tata, to są brat i siostra i tu jest twoje miejsce. Kiedy to się zmienia, zaczynamy się pytać, kim w takim razie jesteśmy i po co istniejemy. Rupert miał trzynaście lat, więc dużo płakał, ale jakoś się z tym pogodził. Ja miałam piętnaście, byłam w wieku, który sam w sobie jest trudny, i właściwie nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Lucie miała siedemnaście lat, była już trochę starsza. Nie nazwałabym tego tak, że Lucie wzięła stronę mamy, nie byliśmy niczymi stronnikami. Ale Lucie współczuła mamie, ponieważ to Lucie zawsze była dla mnie i dla Ruperta jak mama.

Dzięki Sophie Blackman mogłem nabrać choć mglistego pojęcia o tym, jakby to było znać Lucie Blackman osobiście. Siostry urodziły się w odstępie niecałych dwóch lat i mieszkały ze sobą całe życie. Wielu znajomych zwracało uwagę na ich uderzające podobieństwo, również fizyczne, ale przede wszystkim w sposobie bycia i mówienia, co jest cechą charakterystyczną wszystkich żytych ze sobą rodzeństw.

Sophie była ironiczna, zjadliwa i niezwykle lojalna. Chociaż

w najbliższym otoczeniu Lucie znalazłoby się parę osób bardziej z nią związanych i bardziej na niej polegających niż jej własna siostra, to wydaje mi się, że nikt nie rozumiał Lucie lepiej niż Sophie.

Temperamenty miały jednak zupełnie różne. Już w dzieciństwie Lucie była bardzo dziewczęca, pojednawcza i po matczynemu opiekuńcza, natomiast Sophie rosła na upartą, zaczepną chłopczycę. Jako nastolatka stała się kłótniwa i często wpadała w gniew, a swój cięty, sarkastyczny dowcip wykorzystywała bez skrupołów. Podobnie jak Jane nie tolerowała głupoty, ale pogardliwy stosunek miała również do własnej matki z powodu jej zainteresowania „bredniami” takimi jak przesady i siły nadprzyrodzone. Zawsze było jej bliżej do Tima, a z Jane wiecznie się awanturowała. Jedną z konsekwencji rozvodu było to, że konflikt między matką a młodszą córką stał się jeszcze bardziej zaciekle i ostry.

Marzenia Jane o sielankowym życiu legły w gruzach razem z jej małżeństwem, a wtedy w relacjach rodzinnych zaczęły zachodzić zmiany. Jane, niegdyś surowa i nadopiekuńcza jako matka, stała się tolerancyjna i pobłażliwa. Pozwalała, a nawet zachęcała kolegów i koleżanki swoich dzieci, aby zostawały u nich na noc; nastoletni Rupert o mało nie spalił się ze wstydu, gdy matka wręczyła mu paczkę prezerwatyw. Bliscy znajomi zwracali uwagę na szczególną zażyłość łączącą Lucie z Jane i mówili, że ich więź bardziej przypominała siostrzaną niż taką, która panuje między matką a córką.

– Słysząc to było w ich rozmowach, kiedy dzwoniła do mamy i opowiadała jej coś, śmiejąc się i chichocząc – opowiadała Caroline Lawrence, która chodziła z Lucie do szkoły. – Wymieniały się ubraniami. Nawet wychodziły razem wieczorami. Rozumiem wszystko, ponieważ ja sama jestem bardzo blisko związana z mamą, ale nie poszłabym z nią na imprezę.

W domu pełnym nastolatków konflikty były nieuniknione, bardzo często do spięć dochodziło między Jane a Sophie. W trudnych momentach Lucie grała rolę rozjemcy; niektórzy uważali, że stała się nawet kimś więcej niż siostrą dla Jane.

– W tamtej rodzinie zaczęła grać rolę matki – stwierdziła Val Burman, znajoma Jane. – Kiedy Sophie krzyczała i wrzeszczała na Jane, to Lucie zawsze rozwiązywała problemy. Po odejściu Tima szybko wydorosła. Stała się matką, a Jane była dzieckiem.

Lucie nie miała szczupłej sylwetki ani regularnych rysów, które sprawiałyby, że można byłoby ją uznać za konwencjonalną piękność, a mimo to wszyscy, spotykając ją po raz pierwszy, zwracali uwagę na jej urodę. Nienaganny wygląd był dla Lucie jedną z najistotniejszych rzeczy. Koleżanki uśmiechały się, widząc, jak układa włosy czy robi makijaż przed wyjściem do sklepu albo na poranny jogging. Kiedy się śmiała, odrzucała do tyłu długie włosy i trzęsły się jej ramiona. Jej wzrost i włosy sprawiały, że wyróżniała się z tłumu. Według Jane Lucie „rozświetlała wszystko dookoła”.

– Kiedy ujrzałam ją pierwszy raz, patrzyłam na nią jak zahipnotyzowana – wspominała Val Burman. – Uwielbiałam jej opowieści. Potrafiła wspaniale dobierać słowa. O czymkolwiek mówiła, chciało się tego słuchać. Nawet historia o kostce cukru brzmiałaby w jej ustach fascynująco. – Wartko toczące się zdania przeplatały się z szybkimi ruchami rąk i palców zakończonych połyskującymi, wypolerowanymi paznokciami. – Najbardziej rzucały się w oczy burza włosów i lśniące, pomalowane paznokcie: miało się wrażenie, jak gdyby mówiła dłońmi – opowiadała Caroline Lawrence. – Ludzie zauważali ją. Te jej włosy... Pamiętam, jak pewnego razu czekałam na nią na mieście w pubie Dorset Arms. Przez duże okno widać było ulicę i w chwili, gdy Lucie przechodziła przez jezdnię,

dosłownie w całym pubie – mówię serio – zapadła cisza i wszyscy na nią patrzyli. Wszyscy się wpatrywali w tę wysoką blond seksbombę, która przechodziła przez ulicę.

Lucie uwielbiała nowe ubrania i uwielbiała chodzić na zakupy. Podobnie jak Jane ceniła sobie przytulność zacisza domowego i lubiła spędzać czas w ładnych, starannie uporządkowanych wnętrzach. Właśnie to zamiłowanie do luksusu i wygody – na równi z paroma innymi rzeczami – sprawiło, że życie studenckie nie pociągało Lucie. Zgodnie z planem podeszła do egzaminu dojrzałości i go zdała, ale w przeciwieństwie do większości innych zdolnych absolwentek Walthamstow Hall nie starała się dostać na uniwersytet. Po ukończeniu szkoły pracowała przez pewien czas w pizzerii, następnie zaś dostała posadę jako asystentka nauczyciela w miejscowej szkole prywatnej. Potem dzięki wstawiennictwu przyjaciela rodziny zatrudniono ją we francuskim banku inwestycyjnym Banque de Société Générale, zwanym w skrócie SocGen, którego siedziba mieściła się w londyńskiej dzielnicy City, finansowo-handlowym centrum stolicy.

Lucie pracowała jako asystentka maklerów wywoływanych z sali operacji giełdowych. Maklerami byli młodzi, ambitni, wysoko opłacani mężczyźni, wokoło panowała atmosfera pośpiechu i rywalizacji. Młoda, nowo przybyła blondynka natychmiast stała się obiektem ich uwagi. Koledzy z pracy nazywali ją „Bułeczka”, nawiązując do jej pełnych piersi. Miała zaledwie osiemnaście lat, ale doskonale odnalazła się w tej sytuacji, odpowiadało jej codzienne rozgorączkowanie i flirty. Uwielbiała ubierać się elegancko, nakładać biżuterię i po pracy wychodzić na szampana do któregoś z lokalów w City.

– Wszyscy pozostali studiowali, a my pracowałyśmy – relacjonowała Caroline Lawrence, która również po ukończeniu Walthamstow Hall znalazła pracę w Londynie. – Nie zarabiałymy dużo pieniędzy, ale dla nas,

dziewczyn siedemnasto-, osiemnastoletnich, był to majątek, uważaliśmy się za bogaczki. Lucie podobało się w SocGen, po raz pierwszy zobaczyła, jak wyglądało życie poza Sevenoaks, w otoczeniu chłopaków z City. Czułyśmy się bardzo dorosłe, gdy codziennie jechałyśmy do Londynu pociągiem. Pamiętam, jak w godzinie szczytu potrafiła stać i robić sobie francuski manicure. To coś innego niż zwykle pomalowanie paznokci. Najpierw trzeba nałożyć lakier w kolorze naturalnym, a potem obrysować na biało same końcówki paznokci. Niełatwo to zrobić tak w ogóle, a co dopiero stojąc. W pociągu.

Pozyskiwanie i wydawanie pieniędzy stanowiło istotę działalności City i to również odpowiadało Lucie. Kupiła sobie samochód, czarne renault clio, żeby każdego ranka wyjeżdżać przed świtem z Sevenoaks i docierać do Londynu, zanim nastąpi otwarcie rynków finansowych. Podczas weekendów wybierała się na zakupy do galerii handlowej Lakeside w Thurrock. Pewnego razu razem z koleżanką wpadła na pomysł, żeby odwiedzić Rigby & Peller, wytwórnię bielizny, która zaopatruje samą królową, i kupić dziesięć słynnych szytych na miarę staników. Jednak zarobki Lucie, wynoszące około 24 000 dolarów rocznie, stanowiły zaledwie ułamek tego, co zarabiali mężczyźni z banku, i to właśnie pracując w SocGen, po raz pierwszy się zadłużyła. Karty kredytowe wydawane przez banki i sklepy, debety i zakupy na raty były chlebem powszednim dla wielu pracowników w City, ale Lucie trudno się było przyzwyczaić do tego stanu rzeczy.

– Miałam o wiele więcej długów niż ona – przyznała Caroline Ryan, która pracowała razem z Lucie w City. – Ale Lucie zamartwiała się z byle powodu. Gdy miała kilka funtów debetu, wpadała w panikę.

Po roku pracy w SocGen Lucie ogarnęło zniecierpliwienie. Nie miała żadnych szans na awans, a nieszczęśliwie zakończony romans z młodym spekulantem giełdowym sprawił, że wpadła w przygnębienie. Pociągała ją

myśl o podróżach, ale pod warunkiem, iż odbywałyby się one w komforcie i luksusie.

– Taki miała charakter – opowiadała Sophie. – Nigdy nie interesowało jej wędrowanie z plecakiem. Nie wytrzymałaby bez suszarki i makijażu. Lucie musiała mieć pomalowane paznokcie, starannie ułożone włosy i nosić pantofle na obcasie. Dbała o swój wygląd i trudno byłoby jej to pogodzić z pieszymi wycieczkami i brudnymi schroniskami. Nie odpowiadało jej włóczęgostwo, ale chciała poznawać inne kultury, innych ludzi i jeść egzotyczne potrawy, mając przy tym zapewnione wygody.

Rozwiązanie nadeszło po roku pracy w City, gdy została przyjęta jako stewardesa w British Airways.

Na pierwszy rzut oka była to idealna posada dla Lucie – atrakcyjnej, ujmującej dziewczyny władającej językiem francuskim w stopniu umożliwiającym swobodną rozmowę. Pracę w liniach lotniczych zaczęła w maju 1998 roku od kursu, który trwał dwadzieścia jeden dni³ i podczas którego dowiedziała się między innymi, jak odebrać poród, jak zakładać kajdanki i co zrobić ze znalezioną na pokładzie samolotu bombą (należy położyć ją na samym tyle kabiny, tuż obok wyjścia, i owinać wilgotnymi poduszkami, aby złagodzić efekty wybuchu). Następnie przez półtora roku latała na krótkich trasach między brytyjskimi a europejskimi miastami. Pierwszym połączeniem, które obsłużyła, był czterdziestominutowy przelot na wyspę Jersey.

– Powtarzałam sobie, że samoloty są bezpieczniejsze niż przechodzenie przez ulicę, że jazda na lotnisko jest bardziej ryzykowna niż podróż samolotem – wspominała Jane Blackman. – Ale gdy miała polecieć pierwszy raz, czułam mdłości.

Lucie zobowiązała się po każdym locie dzwonić do mamy; przez cały ten czas, gdy córka pracowała w British Airways, Jane sprawdzała godziny

przylotów i odlotów w telegazecie i oddychała z ulgą, dopiero gdy dowiadywała się, że samolot Lucie bezpiecznie wylądował.



Być może w wyniku choroby, którą przeżyła jako nastolatka i po której nastąpiły długie miesiące bezczynności, Lucie miała obsesję na punkcie metod i technik oraz dyscyplinowania i porządkowania swojego życia. Spisywała na listach prace do wykonania i zadania do osiągnięcia, jak gdyby były to zaklęcia chroniące ją przed wpadnięciem w apatię. Kolekcjonowała poradniki dotyczące różnych obszarów życia oraz samodoskonalenia się i chętnie pożyczała je koleżankom: jak poradzić sobie z długami, co robić, żeby mieć płaski brzuch, jak zwiększyć poczucie własnej wartości. Jedna ze stron dziennika Lucie, datowana na początek 1999 roku, wskazuje, że najwięcej uwagi poświęcała kondycji fizycznej, urodzie, zdrowiu i pieniądзом.

POSTANOWIENIA NOWOROCZNE!

1. CHODZIĆ NA SIŁOWNIĘ 3–4 RAZY W TYGODNIU.
2. ZNALEŹĆ SOBIE I UPRAWIAĆ DWA INNE SPORTY.
3. PRZESTAĆ UŻYWAĆ DWÓCH TELEFONÓW.
4. OD MARCA ZACZAĆ OSZCZĘDZAĆ PIENIĄDZE.
5. PRZESTRZEGAĆ ZASAD.
6. SPĘDZAĆ WIĘCEJ CZASU Z W+G//H+J.
7. WIĘCEJ SPAĆ.
8. NAUCZYĆ SIĘ WŁOSKIEGO.
9. ODKŁADAĆ WSZYSTKIE PIENIĄDZE Z PROWIZJI.
10. STOSOWAĆ PEELING I OPALAĆ SIĘ CO DRUGI DZIEŃ.
11. STOSOWAĆ BALSAM DO CIAŁA W POZOSTAŁE DNI.
12. PIĆ WIĘCEJ WODY.

Postanowienie piąte odnosiło się do zasad zawartych w *The Rules*,

popularnym amerykańskim poradniku dotyczącym randek i miłości, którego zalecenia Lucie pragnęła wcielać w życie. Poradnik ten sugerował wprowadzenie czegoś na kształt uczuciowej intensywnej diety odchudzającej, opowiadał się za powrotem do tradycyjnych zasad zalotów wywodzących się z epoki przedfeministycznej, w której mężczyzna musiał przed dłuższy czas energicznie zabiegać o względy kobiety, zanim mógł się spodziewać jakiegokolwiek nagrody. W innym dzienniku Lucie podsumowała zasady ujęte w poradniku.

1. Zachowaj spokój.
2. Niech on odwała całą robotę, telefony – wszystko.
3. Nie graj w otwarte karty – jeśli będzie chciał się dowiedzieć, co czujesz, zapyta.
4. Rozmawiaj jakby nigdy nic.

NIE ZAKOCHUJESZ SIĘ W NIM!!!

Lucie pociągała mężczyzn i odkąd skończyła piętnaście lat, rzadko się zdarzało, aby nie miała chłopaka. Jednak podobnie jak w wypadku postanowień dotyczących oszczędzania pieniędzy i spędzania mniej czasu na rozmowach przez telefon powściągliwość i opanowanie zalecane przez poradnik były sprzeczne z naturą Lucie.

– Kiedy Lucie kogoś poznała, angażowała się całą sobą i kilka razy miała złamane serce – opowiadała Sophie. – Nie kryła swoich uczuć: „Taka właśnie jestem, tak czuję, albo się decydujesz, albo nie”. A oni na pewien czas się decydowali, potem jednak zmieniali zdanie. – Koleżanki Lucie dobrze znały ten schemat: spotykała nowego „faceta”, błyskawicznie się w nim zadurzała, po czym jedno z nich szybko traciło zainteresowanie drugim. – Zakochiwała się do szaleństwa – ciągnęła Sophie – a jakieś dwa miesiące później wzdygała się z odrazą, gdy ktoś wspomniał imię jej byłego ukochanego. Bardzo pragnęła poznać kogoś, ustatkować się, urodzić dzieci i zamieszkać

na wsi. A to oznaczało, że musi spotkać wiele żab, zanim znajdzie swojego księcia.

Był Jim, którego koleżanki Lucie znienawidziły za to, że dopuścił się niewybaczalnego czynu i rzucił Lucie w dzień jej osiemnastych urodzin. Był Robert, który mieszkał nad miejscową pizzerią i który opuścił Lucie dla jednej z jej najlepszych koleżanek. Był Greg⁴ z SocGen; rozstanie z nim pomogło Lucie podjąć decyzję o pracy w British Airways. Potem zaś był najbardziej efektywny i niebezpieczny z nich wszystkich: Marco, z pochodzenia Włoch, piękny, rozhukany, sprowadzający nieszczęście na siebie i innych.

Pierwsza zwróciła na niego uwagę Sophie, która pracowała wtedy jako barmanka w hotelu Royal Oak w Sevenoaks. Gdy zobaczyła Marca, od razu uznała, że jest w typie Lucie: wysoki, potężny „przystojniak”.

– Był naprawdę przystojny – opowiadała Sophie. – W przeszłości pracował jako model. Miał trzydzieści lat.

Lucie zawsze miała starszych chłopaków. Wydawał się świetną partią i Lucie zupełnie straciła dla niego głowę. Potem się okazało, że wszystko, co o sobie opowiadał, było kompletną bzdurą.

Kiedy Lucie pracowała w liniach lotniczych, każdego miesiąca miała dziesięć dni urlopu i większość z nich spędzała z Markiem. Chodzili się bawić do znanych londyńskich klubów Ministry of Sound i Club 9, a w Sevenoaks najchętniej odwiedzali puby Vine, Chimneys i Black Boy. Marco łatwo się przeziębiał i po powrocie do domu niejednokrotnie godzinami leżał w łóżku, żeby się wygrzać. Podczas wieczornych wyjść z Lucie często zniknął na chwilę z którymś ze swoich znajomych.

– Nie zorientowałyśmy się, co tak naprawdę się dzieje – tłumaczyła Sophie. – Byłyśmy strasznie głupie i naiwne.

Koleżanki Lucie uważały, że Marco jest zadufany w sobie

i nieprzystępny, ale ona coraz bardziej się angażowała. Pewnego weekendu podwiózł ją na lotnisko Heathrow i odjechał jej samochodem, obiecując, że odbierze ją następnego dnia, gdy Lucie wróci z podróży.

– Nie przyjechał po nią, w ogóle się nie pojawił i Lucie wpadła w panikę – relacjonowała Sophie. – Nie mogła się z nim skontaktować. Nie wiedziała, co się stało z jej samochodem, nie wiedziała, gdzie się podział Marco, nic nie wiedziała. W końcu zadzwoniła do kogoś z jego rodziny, chyba do jakiegoś kuzyna. Ten ktoś powiedział: „Miałem nadzieję, że tym razem będzie inaczej. Widzisz, Marco tak właśnie robi. Co dokładnie ci powiedział?”. Marco okazał się skończonym kłamcą i draniem.

Wyszło na jaw, że nigdy nie pracował jako model. Na dodatek był uzależniony od heroiny. To, że w pubach zniknął gdzieś na chwilę, że często „chorował” i godzinami dochodził do siebie – nagle wszystko złożyło się w całość. Rozwścieczona Sophie pojechała do mieszkania Marca. Zastała go leżącego w łóżku, oszołomionego narkotykami i alkoholem. Kluczyki do renault clio Lucie leżały na stoliku obok. Sophie chwyciła je, wymierzyła ukochanemu siostry pożegnalny cios pięścią i wybiegła szukać samochodu. Drzwi i bok auta były otarte i wgniecione jak po stłuczce.

Lucie dbała o swój samochód tak samo troskliwie jak o włosy i paznokcie: to był koniec między nią a Markiem. Rozpaczała po nim mocno, ale niezbyt długo, a kilka miesięcy później dotarła do niej wstrząsająca informacja. Marco popełnił samobójstwo – lub, według innej wersji wydarzeń, zmarł w wyniku przypadkowego przedawkowania narkotyków. Tak czy inaczej przystojny były chłopak Lucie nie żył.

3 Informacje dotyczące kursów szkoleniowych prowadzonych wewnątrz British Airways pochodzą z moich rozmów ze współpracownikami Lucie Benem i Sarą Guestami.

4 Imiona Jim, Robert i Greg są pseudonimami.

ROZDZIAŁ 3

DALEKA TRASA

ZACZĘŁO STAWAĆ SIĘ JASNE, że życie stewardesy nie było dla Lucie. Już na początku 2000 roku czuła się jak w potrzasku. Koleżanki nie potrafiły tego zrozumieć, ponieważ niedawno osiągnęła to, do czego dążyli wszyscy członkowie załóg British Airways: awansowała i zamiast pracować na krótkich trasach z Heathrow, obsługiwała międzykontynentalne połączenia z Gatwick. Dalekie przeloty były o wiele bardziej egzotyczne, prestiżowe, a przede wszystkim lepiej płatne. Pracującej jako młodsza stewardesa Lucie przysługiwała śmiesznie niska pensja podstawowa, która wynosiła rocznie 8336 funtów⁵ brutto. Drugie tyle osoby na jej stanowisku otrzymywały w formie „dodatków” wypłacanych w zależności od tego, jaką trasę i jakiego rodzaju lot obsługiwały. Praca podczas lotów, które odchodziły bardzo wcześnie rano, trwały bardzo długo, wymagały pracy nocą albo bardzo szybkiego powrotu, wiązała się z premiami. Członkowie załogi dostawali dodatki na śniadanie, lunch i kolację, a ich wysokość równała się kosztowi posiłków wydawanych w pięciogwiazdkowym hotelu w miejscu, które było celem podróży. W rzeczywistości większość pracowników zadowalała się o wiele tańszym jedzeniem, a pozostałe z delegacji pieniądze traktowała jako dodatkowy dochód – i nikogo to nie dziwiło. Dlatego najmniej pożądanymi

trasami były lokalne przeloty między miastami Wielkiej Brytanii, do najbardziej zaś opłacalnych należały połączenia z drogimi azjatyckimi metropoliami, z Amerykami – Miami i São Paulo – a przede wszystkim z Tokio.

Pracując na długich trasach, Lucie mogła zarobić miesięcznie nawet 1300 funtów netto. Jednak mimo że bardzo przejmowała się kwestiami finansowymi, nie przestawała się zadłużać. Na liście dochodów i wydatków, którą napisała pod koniec 1998 roku, znalazła się między innymi comiesięczna rata spłaty karty kredytowej Diners Club wynosząca 764 funty 87 pensów, co stanowiło ponad połowę miesięcznego dochodu Lucie. Do tego dochodziła rata za renault clio w wysokości 200 funtów miesięcznie, spłata pożyczki bankowej (47 funtów), spłata karty Visa (89 funtów 96 pensów), spłata karty kredytowej wydanej przez sklep Marks & Spencer (10 funtów), czynsz płacony Jane (70 funtów), karnet na siłownię (32 funty) oraz opłata rachunku za telefon komórkowy (140 funtów). Oprócz tego Lucie musiała kupić jeszcze kosmetyki, szampony i ubrania potrzebne do pracy, na koniec okazywało się zatem, że miesięcznie wydawała kilkaset funtów więcej, niż zarabiała, a odsetki od kredytów sprawiały, iż z dnia na dzień kwota zadłużenia rosła i coraz trudniej było ją spłacić.

Lucie była zmęczona i chora. Długie całonocne loty musiały być wycieńczające, ale co gorsza nie przynosiły żadnej satysfakcji. Linie lotnicze zatrudniały czternaście tysięcy członków załogi; w większości wypadków Lucie, wchodząc na pokład samolotu, zaczynała pracę z ludźmi, których widziała po raz pierwszy na oczy i których nigdy więcej miała nie spotkać. Czasami zdarzało jej się trafić na kogoś znajomego, jednak te krótkie chwile przyjemności nie rekompensowały monotonii, jaką okazało się dolewanie do plastikowych kubków soku pomidorowego i serwowanie pasażerom na zmianę kurczaka i wołowiny.

– Pokoje hotelowe wyglądają mniej więcej tak samo w każdym kraju – opowiadała Sophie. – Mogła być rano w Paryżu, w Edynburgu popołudniu, a następnego dnia w Zimbabwie. Tak czy inaczej lądowała w hotelu, zmęczona po długiej podróży, i nie miała sił, żeby cieszyć się nowym miejscem, wyjść, pozwiedzać, poznać nową kulturę, potrawy. Pod koniec była nieszczęśliwa, zmęczona, przygnębiona, bez przyjaciół w pracy.

Narastające wyczerpanie Lucie robiło się coraz bardziej niepokojące.

– Potrafiła spać piętnaście godzin z rzędu – wspominała Sophie. – Czuła się okropnie, naprawdę zaczynało być z nią bardzo niedobrze.

Zachowanie Lucie przypominało to, co działo się z nią osiem lat wcześniej, gdy przez wiele miesięcy leżała pogrążona w apatii po przejściu choroby płuc. Właśnie wtedy, w atmosferze pełnej obaw i zmęczenia, Lucie po raz pierwszy wspomniała o wyjeździe do Japonii.

Pomysł ten narodził się pod koniec 1999 lub na początku 2000 roku. Nikt nie pamiętał, kiedy i jak dokładnie powstał. Bez wątpienia jednak wyszedł od Louise Phillips.

Louise była najbliższą przyjaciółką Lucie. Znały się od trzynastego roku życia. Pod względem fizycznym stanowiły swoje przeciwieństwo: Louise była szczupłą, niską, miała ciemne włosy i konwencjonalną urodę, której brakowało Lucie. Ona również dorastała bez ojca, który zmarł na raka, gdy miała dwanaście lat. Połączyły je podobne nawyki, sposób mówienia, zamiłowanie do makijażu i lakierów do paznokci; nawet ich imiona brzmiały podobnie. Jane uważała, że dziewczęta znalazły w sobie „bratnie dusze”. Tim określił to w bardziej przyziemny sposób:

– Louise mogła paplać bez końca, tak samo jak Lucie – skwitował – paplały więc na okrągło i rozśmieszały się do łez.

Jak blisko były ze sobą związane, staje się jasne, jeśli przyjrzeć się przebiegowi ich kariery – na każdym etapie życia Lucie ruszała szlakiem

przetartym przez przyjaciółkę. Louise zakończyła edukację w wieku szesnastu lat i przyjęła się do pracy w banku inwestycyjnym w City; Lucie zrobiła to samo dwa lata później. Louise przeniosła się do British Airways i zaczęła pracować jako stewardesa; Lucie poszła w jej ślady. I to za namową Louise obydwie przyjaciółki wybrały się do Tokio, aby zapracować na długi, które coraz bardziej doskwierały Lucie.

Późniejsze wydarzenia położyły się cieniem na stosunku przyjaciół i krewnych Lucie wobec jej przyjaciółki i trudno było oddzielić podejrzliwość i nieufność, którą zaczęli darzyć Louise, od tego, w jaki sposób postrzegali ją przed wyjazdem do Japonii. Jednak Samantha Burman, córka Val, przyjaciółki Jane, nie dowierzała Louise.

– Przyjaźniła się z Lucie o wiele dłużej niż ja, dlatego nic nie mówiłam, ale Lucie uważała, że Louise jest od niej ładniejsza, bardziej pewna siebie, a ona sama jest tą brzydką, pozostającą w cieniu. Nie zauważyłam, żeby Louise robiła cokolwiek, aby wyprowadzić Lucie z tego przekonania.

Obydwie pracowały, odkąd skończyły szkołę. Często rozmawiały o tym, że przydałaby im się dłuższa przerwa, że mogłyby wybrać się w dłuższą podróż na przykład w popularną dla obywateli trasę wiodącą przez Tajlandię i Bali do Australii. Jednak Lucie nie gustowała w podróżach klasą turystyczną, a poza tym tak naprawdę nie stać ją było na jakikolwiek wyjazd. O Tokio opowiedziała im Emma, starsza siostra Louise, która była w Japonii dwa lata wcześniej. Przekonywała je, że mogłyby mieszkać w ekscytującym, niezwykłym mieście, a do tego zarobić dużo pieniędzy. Otoczenie Lucie nie potrafiło dokładnie powiedzieć, czym w rzeczywistości zajmowała się w Tokio Emma; zdawało się, że każdy otrzymał inną informację na ten temat.

Samantha Burman zrozumiała, że Emma pracowała w „barach”. Sophie przypomniała sobie, że padały wzmianki o „pracy kelnerki”. Ostatni chłopak Lucie, młody bankier inwestycyjny Jamie Gascoigne, odniósł wrażenie, iż

Emma występowała razem z jakimś „zespołem tanecznym”. W liście pożegnalnym rozesłanym do współpracowników w British Airways Lucie przedstawiła wyjazd do Tokio jako plan, od którego ona osobiście trochę się dystansowała.

„Moja najlepsza przyjaciółka Louise postanowiła odwiedzić tam krewnych i okazało się, że mogę pojechać razem z nią. Nie mam żadnych planów co do tego, czym się zajmę na miejscu, może trochę pozwiedzam, pouczę się języka albo zostanę luksusową, dobrze opłacaną gejszą!!!!!! (Żart). Po prostu chcę zrobić sobie przerwę na parę miesięcy, spróbować czegoś innego – podobno odmiana jest równie dobra jak odpoczynek”.

Przyjaciółki opowiadały wszystkim, że Louise ma w Tokio ciotkę, u której mogą się zatrzymać, nie płacąc nic za nocleg, a ta okoliczność sprawiała, że cały pomysł wydawał się bezpieczniejszy, bardziej racjonalny i zrozumiały. Tylko mamie Lucie wyjaśniła, w jakim charakterze Emma pracowała w Tokio i z czego ona i Louise zamierzają się utrzymywać.

– Powiedziała, że rozważy wyjazd z Louise do Japonii, gdzie będzie pracować jako hostessa, żeby spłacić długi, i twierdziła, że wszystko będzie jak najbardziej w porządku. Wiedziała, na czym ma polegać ta praca, tylko z opowiadań siostry Louise. Mówiła, że po prostu nalewa się ludziom drinki, słucha się ich, kiedy chcą się wygadać, i że lubią, aby śpiewać im karaoke. Lucie uwielbiała śpiewać, więc dla niej miały to być łatwe pieniądze.

Jane jednak nie interesowały szczegóły. Dążyła przede wszystkim do tego, aby za wszelką cenę powstrzymać Lucie przed wyjazdem do Tokio.

– Cały czas zapewniała mnie, że nie zrobi nic głupiego, że będzie bardzo uważać. Ale ja po prostu wiedziałam, że stanie się jej coś strasznego. Przez cały czas o tym myślałam. Nigdy wcześniej nie miałam żadnych skojarzeń z Japonią jako z miejscem. Ale w momencie gdy Lucie powiedziała tę nazwę: Japonia, usłyszałam w głowie głos: Stanie się coś strasznego. Może

nawet nie był to głos, ale myśl, która przeleciała mi przez głowę. Wpadłam w rozpacz. Nie płakałam przy Lucie, ale gdy zostawałam sama, zalewałam się łzami.

Jamie Gascoigne był poruszony prawie tak mocno jak Jane. W ciągu kilku miesięcy, podczas których spotykał się z Lucie, bardzo się w niej zakochał i trudno mu było znieść myśl, że mieliby się rozstać, choćby na jakiś czas. Nieco później, pewnego wieczoru, gdy stali w kolejce do kina, Lucie powiedziała Jamiemu, że nie chce być z nim związana podczas pobytu w Japonii.

– To był dla mnie ogromny cios – wspominał. – Osunąłem się po ścianie, nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie kłóciliśmy się, nie sprzeczaaliśmy. W ciągu ostatniego tygodnia przed naszym rozstaniem zupełnie się zmieniła. Jak gdyby robiła wszystko na polecenie kogoś innego.

Innych ludzi również dziwiło to, w jaki sposób Lucie zachowywała się na kilka tygodni przed wylotem do Japonii, a im bardziej zbliżała się data wyjazdu, tym bardziej uczucie zdziwienia narastało. W domu Lucie zaczęła robić gruntowne wiosenne porządki, zaskakująco dokładne nawet jak na wielbicielek czystości i ładu.

– Przejrzała wszystko, zapełniła kilka worków na śmieci – opowiadała Jane. – Wyrzucała stare listy, rzeczy osobiste. Pozbyła się mnóstwa ubrań. Było to coś więcej niż wielkie sprzątanie, ponieważ w pokoju już wcześniej panował porządek. Nie robiła tego tak, jak gdyby wyjeżdżała na zaledwie kilka miesięcy. Sprzątała w pokoju tak, jak gdyby nigdy nie zamierzała wrócić.

Rzadziej widywała się ze starymi dobrymi znajomymi, natomiast dokładała starań, żeby spotkać się z osobami, z którymi wcześniej spędzała mniej czasu: z kuzynostwem, rodzicami chrzestnymi, dalszymi ciotkami

i wujkami.

– Robiła dużo podsumowań, co było trochę dziwne, ponieważ zwykle się tak nie zachowywała – relacjonowała Sophie. – Włożyła sporo wysiłku w to, żeby zobaczyć się z jak największą liczbą ludzi przed wyjazdem. Pewnie nie przywiązywaliśmy do tego uwagi, gdyby wróciła. Ale ponieważ tak się nie stało, to, co robiła przed wylotem, teraz wydaje się dość niezwykle.

W gronie osób, z którymi Lucie w sposób szczególny pragnęła odświeżyć kontakt, znalazł się jej ojciec. Po separacji z Jane, która nastąpiła w 1995 roku, Tim Blackman poznał Josephinę Burr, rozwiedzioną matkę czwórki nastolatków pochodzącą z jego rodzinnego miasta Ryde położonego na wyspie Wight, i zamieszkał z nią. Nigdy nie wrócił do rodziny, ale utrzymywał bliskie relacje z dwójką swoich dzieci. W okresie najbardziej zaciętych sporów z matką Sophie wprowadziła się nawet do niego na jakiś czas, natomiast z Rupertem Tim spotykał się regularnie w Sevenoaks: zabierał syna na treningi rugby albo do pubu na lunch. Z Lucie jednak widywał się znacznie rzadziej, a przyczyna tego stanu rzeczy była jednym ze źródeł nieustannego konfliktu między Jane a Timem, z których każde interpretowało rzeczywistość na swój sposób.

Jane upierała się, że decyzję o ograniczeniu kontaktu z ojcem, podjęła sama Lucie.

– Lucie bardzo zawiodła się na ojcu – tłumaczyła Jane. – Ja nigdy, przenigdy nie zabraniałabym mu spotykać się z dziećmi, nigdy, ponieważ to jego dzieci. Lucie postanowiła się z nim nie widywać, ale ja nigdy, przenigdy jej do tego nie namawiałam. Nie można do tego namówić dorosłego dziecka, może udałoby się to w wypadku małych dzieci. Lucie nie spotykała się z nim przez kilka lat, ponieważ nie chciała go widzieć, ponieważ była na niego zła. I przypuszczam, że również dlatego, że byliśmy bardzo blisko ze sobą

związane i bardzo się o mnie troszczyła.

Bez wątpienia Lucie winiła ojca za cierpienia matki – wspominała o tym kilku swoim koleżankom. Tim jednak wyczuł, że kryło się za tym coś jeszcze innego.

– Tłumaczenie i usprawiedliwianie mojego postępowania nie przyniosłoby dzieciom niczego dobrego – opowiadał. – Nigdy nie spotkałoby się ze zrozumieniem, mówiłem więc tylko, że nie byłem szczęśliwy, zanim do tego wszystkiego doszło. Uznałem, że trzeba dać wszystkiemu czas, że w końcu coś się zmieni i że będą chciały się ze mną spotykać. I właśnie tak się stało z Lucie. Parę razy przyjechała na Boże Narodzenie, latem była pojeździć na nartach wodnych. Czasami widywałem ją w Sevenoaks; nie urwał nam się kontakt tak zupełnie. Ale nie było łatwo. Przez dwa, trzy lata było bardzo ciężko. To jest naprawdę skomplikowane. Znam Jane bardzo dobrze i wiem, jak bardzo potrafi manipulować. A na mnie była zawzięta jak na nikogo. Po prostu niemożliwe było, żeby nie manipulowała tą całą sytuacją. Lucie umawiała się ze mną, że na weekend przyjedzie na wyspę odwiedzić mnie. Ale gdy przychodził czwartek, nagle się okazywało, że przyjazd robi się niemożliwy. Według mnie w większości wypadków nie potrafiła poradzić sobie z trudną sytuacją w domu. Lucie jako najstarsze dziecko stała się wsparciem dla załamanej matki i ja od początku byłem na straconej pozycji. A ona była pod ścianą. Chociaż potrafiłem ją zrozumieć, bolało mnie to wszystko.

Nawet jeśli Lucie czuła presję ze strony rodziców, zbliżający się wyjazd sprawił, że napięcia zelzały. Jane wyraźnie powiedziała córce, iż powinna zobaczyć się z ojcem, i w połowie kwietnia, po ostatniej wizycie w biurze British Airways i oddaniu uniformu stewardesy, Lucie spotkała się z Timem na obiedzie w pubie poza Sevenoaks. Kilka dni wcześniej wysłała mu wiadomość tekstową, którą Tim przechowywał w telefonie przez długi czas

po zniknięciu córki. Znacznie później, gdy pamiątki po Lucie stały się bezcenne, skrupulatnie ją skopiował.

14.04.00 00.38 dzień dobry! mój wspaniały tato. Kocham cię bardzo i nie mogę się doczekać wtorku, kiedy zobaczę twój uśmiech. całusy i ściski... lula

Jane zawsze zamartwiała się z byle powodu, ale jej niepokój związany z wyjazdem Lucie do Japonii oraz wysiłki, które podejmowała, aby tę podróż udaremnić, ocierały się o absurd; przypominały irracjonalny lęk dziecka o zdrowie i życie rodzica. Lucie postanowiła wybrać się do Japonii, aby zapracować na spłatę długów, Jane zaczęła więc zbierać wycinki z gazet informujące o trudnej sytuacji japońskiej gospodarki i podrzucała je córce na łóżko. Gdy okazało się, że Lucie nie zwraca na to uwagi, Jane umówiła ją na seans ze spirytystą w nadziei, iż mądrość z zaświatów pomoże jej przekonać córkę do tego, do czego nie zdołały nakłonić ją błagania matki. (Lucie odwołała to spotkanie). W końcu na kilka godzin przed startem samolotu do Tokio Jane przyszło do głowy zastosowanie najbardziej drastycznego środka – schowanie paszportu Lucie. Rupert Blackman pamiętał tę scenę, gdy jego matka stała na schodach, wymachując paszportem i krzycząc do Lucie.

– Pomyślałam jednak: Jeśli to zrobię, wyrobi sobie nowy, a do tego będzie na mnie obrażona – opowiadała Jane. – A nie chciałam rozstawać się z nią w złości.

Panika, w jaką wpadła Jane, zaczęła irytować Val Burman.

– Nie rozumiem, dlaczego się tak zachowujesz – oświadczyła w rozmowie z przyjaciółką. – Można by pomyśleć, że rozstajecie się na zawsze. – Na co Jane odpowiedziała: – Właśnie takie mam przecucie.



Lucie mimo wszystko po części nadal była sobą. W marcu jej dług wzrósł o 1500 dolarów, ponieważ postanowiła kupić ogromne metalowe łóżko w sklepie Marks & Spencer. To dość charakterystyczne dla niej posunięcie upewniło przyjaciół, że przynajmniej planuje ona wrócić z Tokio.

– Nazwała je Łóżem Księżniczki – opowiadała Sam Burman. – Było to duże podwójne łóżko z metalową ramą w staroświeckim stylu. Miało wspaniałą grubą materac i piękną pościel w komplecie. Lucie po powrocie do domu zawsze o tym marzyła: ułożyć się w łóżku. Często to powtarzała.

Bardziej powściągliwie wypowiadała się natomiast w sprawie nowego elementu, który pojawił się w jej życiu i mógł wyjaśnić pewne zmiany w jej zachowaniu: mowa o Alexie, młodym Australijczyku, który pracował jako barman w pubie Black Boy. Alex miał osiemnaście lat, był trzy lata młodszy od Lucie; poznała go niecały miesiąc przed wylotem do Japonii.

– Miał kręcone, brązowe włosy, było w nim coś, przez co kojarzył się z surferem – wspominała Sophie. – Tryskał energią. Spodobał się Lucie, bardzo jej się spodobał.

Kilka lat po śmierci Lucie okaże się, że Jamie Gascoigne nie wiedział, iż Lucie zostawiła go dla innego chłopaka, nie wiedziała o tym również ich wspólna znajoma Sam Burman.

Kolejną zagadką okazał się wtorek 2 maja, ostatni wieczór Lucie w Wielkiej Brytanii. Najbliżsi członkowie rodziny i przyjaciele Lucie zupełnie inaczej zapamiętali to, w jaki sposób i z kim spędziła ona tamten dzień. Tim Blackman był niemal pewien, że tamtego wieczoru jadł kolację razem z Lucie, Sophie i Rupertem w restauracji w Sevenoaks. Sophie pamiętała dobrze, że Lucie prawie cały wieczór spędziła z Alexem. Ze względu na dręczące ją obawy Jane nie potrafiła dokładnie odtworzyć ostatnich kilku godzin z córką, ale w jej wspomnieniach z tamtych chwil nie pojawiał się ani Tim, ani Alex. Najwięcej z ostatniego wieczoru Lucie

zapamiętały Sam Burman i jej mama Val.

Kobiety nie miały wątpliwości, że Lucie była z nimi.

– Przyszła do mojej mamy – opowiadała Sam. – Najbardziej zdziwiło nas, że nie zrobiła listy spraw do załatwienia. Spakowała parę rzeczy, ale nie była wyszykowana i gotowa jak zwykle. Wydawała się też trochę smutna z powodu wyjazdu, niechętna. Wymieniała wszystkie minusy, jednak zaraz potem znów sama siebie namawiała do podróży. Wyglądało to tak, jak gdyby nie była całkiem przekonana do tego pomysłu, ale mimo to uznała, że skoro podjęła decyzję, nie ma już odwrotu. Myślę, że czuła się zobowiązana wobec Louise i nie chciała jej zawieść.

Val pamięta, iż Lucie mówiła o Jane i atmosferze panującej w domu.

– U nich w domu było dużo krzyku – opowiadała Val. – Bardzo dużo krzyku, często kłóciły się Jane z Sophie i Sophie z Lucie. Gdyby Lucie została, za kilka lat wszystko jakoś poukładałoby się i życie stałoby się znośniejsze. Ale na tamtą chwilę to Lucie była dorosła, a Jane jak dziecko. Lucie mówiła mi, że bardzo ją ta sytuacja stresowała. Kłóciły się też o jej wyjazd i myślę, że to utwierdziło Lucie w jej postanowieniu. Być może Lucie wcześniej czuła, że jest w położeniu bez wyjścia, i podróż do Japonii wydawała jej się upragnionym wyjściem... Potrzebowała odpoczynku, nawet jeśli oznaczało to opuszczenie Jane.

Sophie zapamiętała, że wieczorem przyszedł do ich domu Alex, a wtedy Sophie zostawiła jego i Lucie samych.

– Gdy położyłam się do łóżka – wspominała – zaczęłam myśleć o tym, co chciałam powiedzieć Lucie przed wyjazdem, i postanowiłam wszystko zapisać. Chciałam ułożyć krótki pożegnalny liścik, ale zmienił się on w coś o wiele poważniejszego. Najpierw napisałam, jak bardzo się cieszę, że dorastając, miałam przy sobie starszą siostrę, która mnie chroniła

i opiekowała się mną, i jak bardzo mi pomogła przetrwać ciężkie chwile w życiu. Wyszedł z tego list na osiemnaście stron. Pamiętam, że szlochałam, kiedy go pisałam, i nie było to delikatne wzruszenie, ale prawdziwy płacz. Zawsze czuję się potwornie, gdy mam powiedzieć: „Wyglądało to tak, jak gdybym pisała do niej po raz ostatni”. Jednak było to bardzo bolesne przeżycie. Wylatywała zaledwie na trzy miesiące; zdarzało się już wcześniej, że wyjeżdżała na dłużej. Jednak pisząc ten list, czułam, że serce mi się kraje. Było w tym coś ostatecznego. Gdy Lucie pracowała w British Airways, też się żegnałyśmy przed jej wylotami, ale robiłyśmy plany na przyszłość. Kiedy jednak mówiła o Japonii, nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy wróci. Trudno było mi stworzyć sobie w wyobraźni obraz jej powrotu.

Samolot do Tokio startował w południe. Przed świtem po Lucie przyjechała matka Louise Maureen Phillips, która zawiozła obie przyjaciółki na Heathrow. Zanim wyruszyły, Lucie weszła po ciemku do pokoju Sophie i pocałowała siostrę na do widzenia.

– Dała mi kartkę, a ja wręczyłam jej list i poprosiłam: „Otwórz dopiero w samolocie”. Położyła się na moim łóżku i przytuliła do mnie. Obie bardzo się wzruszyłyśmy. Potem musiała już iść. Powiedziałam: „Kocham cię”, po czym Lucie wyszła.

Lucie miała dwadzieścia jeden lat, gdy na zawsze opuściła dom. Kochało ją wielu ludzi, znajomi, przyjaciele i targana konfliktami rodzina. Lucie była nie tylko siostrą, ale matką dla własnego rodzeństwa, a nawet dla własnej mamy. Nie po raz pierwszy wyprawiała się w podróż samolotem, ale po raz pierwszy leciała tak daleko i na tak długo, po raz pierwszy zostawiała za sobą wszystkich, którzy rościli sobie do niej prawo, i udawała się do kraju wydającego się istnieć po drugiej stronie lustra: odległego i niepojętego. Najbliżsi martwili się o nią. W ostatnich tygodniach Lucie, która wcześniej zawsze sprawiała wrażenie osoby otwartej i szczerzej, zaczęła robić się

tajemnicza. Nikt, być może poza Louise, nie wiedział, co obydwie dziewczyny spodziewają się zastać w Japonii i co zamierzają tam robić. Padało wiele pytań, ale udzielane odpowiedzi były wymijające i ogólnikowe. Prawda na temat Lucie Blackman powoli stawała się niejasna.

⁵ W latach, w których rozgrywały się wydarzenia opisane w książce, wartość jednego funta brytyjskiego wynosiła w przybliżeniu półtora dolara.

CZEŚĆ DRUGA

TOKIO



ROZDZIAŁ 4

HIGH TOUCH TOWN

PODRÓŻ Z LOTNISKA HEATHROW na lotnisko Narita trwa niecałe dwanaście godzin, ale rzadko która inna wyprawa przynosi tak oszałamiające poczucie zmiany. Lucie i Louise, startując, zostawiły za sobą dachy londyńskich domów, pola Anglii Wschodniej i Morze Północne. Jeszcze przed lunchem i wyświetleniem pierwszego filmu dotarły nad Syberię, nad którą leciały przez siedem godzin. Niewyobrażalny bezkres ział pustką ze wszystkich stron; 12 000 metrów poniżej samolotu przesuwwały się połacie tundry, zmierzwiłone łańcuchy górskie obsypane śniegiem, czarne, szeroko rozlane rzeki połyskujące odbitymi promieniami słonecznymi. Była to wyprawa, która przenosiła podróżników nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Przyjaciółki oderwały się od ziemi w południe, leciały całe popołudnie i wieczór, a gdy wylądowały o godzinie, która według ich zegarów biologicznych powinna być porą snu, w Japonii przywitało je jasne, poranne słońce.

„Tutaj, w Tokio, jest godzina 9.13, co oznacza, że w Anglii jest dziesięć minut po północy – Lucie zanotowała w dzienniku w chwilę po przylocie. – Siedzę na walizce w podziemnej stacji kolejki podmiejskiej i czuję się totalnie przytłoczona. Jestem bardzo zmęczona... pełna obaw, niepokoju,

zagubiona i jest mi strasznie gorąco! Mam nadzieję, że kiedyś przypomnę sobie ten moment i będę się śmiała z własnej naiwności, z tego, jak bardzo byłam nieprzygotowana na to, co mnie czeka”.

Mimo że Lucie i Louise pracowały kilkanaście miesięcy jako stewardesy, żadna z nich nie była wcześniej w kraju już od pierwszego zetknięcia tak intrygująco obcym. Z otoczonych drutem kolczastym wież lotniska Narita rozstaczał się widok na poletka zielonego ryżu oraz na czerwone, żółte i czarne transparenty z wymalowaną rybą, trzepoczące ponad pokrytymi dachówką domami. Jednak te symbole Orientu szybko zniknęły, ustępując pierwszeństwa aglomeracji Wielkiego Tokio, która rozlewała się poza administracyjne granice miasta i pochłaniała satelickie miasteczka niczym wygłodniała ameba. Linia kolejowa biegła wysoko ponad monotonnym krajobrazem srebrnoszarych biurowców, niskich, kilkupiętrowych domów mieszkalnych z doczepionymi żelaznymi schodami pożarowymi oraz pozbawionych okien hoteli z pokojami na godziny, których nazwy typu Marie Celeste i Wonderland można było wyczytać z neonów. Dalej zaczynała się seria mostów spinających brzegi nieruchomych rzek, aż w końcu otwierał się widok od południowej strony na Zatokę Tokijską z wydartymi morzu wysepkami zabudowanymi szkłem i aluminium. W pochmurny dzień woda stawała się ciemna i oleista, a budynki matowe i martwe. Gdy wychodziło słońce, połyskiwały srebrzyście: diamentowe wieże, ogromne, wyłupiaste kule, zjeżone linie wysokiego napięcia, pękate zwaliste zbiorniki elektrowni i rafinerii oraz delikatnie wygięty łuk Tęczowego Mostu.

Na terenie megalopolis mieszkało trzydzieści milionów ludzi. Jeśli nie liczyć skrawków zieleni takich jak parki, przyświątynne ogrody i kompleks Pałacu Cesarskiego, zabudowania miejskie ciągnęły się nieprzerwanie 64 kilometry na zachód, aż do wzgórz Okutama. Gdyby spojrzeć ze szczytu

najwyższego w mieście drapacza chmur, tylko przy najbardziej bezchmurnej pogodzie i najlepszej widoczności można by dojrzeć coś więcej niż Tokio – szare, brązowe i srebrne Tokio rozlewające się bez umiaru we wszystkich kierunkach.

Mimo to wrażenie, jakie tworzyła ta ogromna i zwarta masa, było dalekie od chaosu. Tokio było czyste i wyraźnie zarysowane, nie miało w sobie nic z wrzaskliwości i nędzy charakterystycznych dla innych azjatyckich miast. Pod warstwą obojętności i spokoju tętniła mechaniczna energia i automatyczna wydajność. Większości osób, które przyjeżdżały tu po raz pierwszy, atmosfera ta wydawała się czymś zupełnie nowym, niespotykanym. Wprawiała je nie w jawną euforię, ale w stan niejasnego podniecenia tajemniczymi możliwościami.

„Już teraz wszystko wydaje się tak bardzo inne – napisała Lucie, siedząc na peronie stacji Narita Airport, po wejściu zaledwie kilkaset metrów w głąb japońskiej ziemi. – Przed chwilą odjechał pociąg, który był w stanie idealnym, nigdy wcześniej nie widziałam takiego pociągu. W środku stał niewielki mężczyzna ubrany cały na granatowo, w nieskazitelnie białych rękawiczkach. Kupiłam pierwszą rzecz – butelkę wody całą pokrytą japońskim pismem... Siedzę, ciepłe powietrze dolatuje skądś i owiewa mi twarz. Spoglądam w górę i modlę się, żeby był to wiatr przynoszący zapowiedź zmian, dzięki którym spełnią się wszystkie moje marzenia”.

Przybywając do Tokio, przeżywało się przemianę tak zasadniczą, że wydawała się niemal fizyczną metamorfozą. Na początek odczuwało się osłabiające działanie zmęczenia spowodowanego zmianą stref czasowych: pora, którą nasze ciało uznawało za środek nocy, w rzeczywistości była dniem – i na odwrót. Jeszcze bardziej paraliżująca była nagła utrata języka: w jednej chwili obcokrajowiec nie tylko nie potrafił nic powiedzieć ani zrozumieć, ale na dodatek stawał się analfabetą. Stosunkowo niski wzrost

ludzi, obniżone drzwi i sufity, wąskie krzesła, nawet mniejsze porcje jedzenia stwarzały wrażenie, że cudzoziemiec jest przerośnięty niczym Alicja w króliczej norze. W XXI wieku mieszkańcy Tokio rzadko otwarcie patrzyli się na przybyszy, ale ci drudzy zawsze pozostawiali świadomi tego, że w sposób szczególny zwracają uwagę otoczenia – nikt się w nich nie wpatrywał, nie okazywał wprost sympatii ani dezaprobaty; po prostu dyskretnie zauważano różnicę. Przybywając do Japonii, zasilano się szeregi odrębnego narodu – narodu „gajdzin”, cudzoziemców. Poruszanie się w tym obszarze było stymulujące, ale i często bardzo męczące.

– Życie tu oznacza tyle, że nigdy nic nie można uznać za pewnik, nigdy nie przestaje się obserwować – stwierdził mieszkający w Japonii amerykański pisarz Donald Richie⁶. – Właśnie takie poczucie towarzyszy tu na każdym kroku uważnemu obcokrajowcowi. W ciągu dnia jego umysł nieustannie pracuje na wysokich obrotach: zajęty jest obserwowaniem, szacowaniem, odkrywaniem i wyciąganiem wniosków [...] Lubię to życie, w którym nigdy nic nie można uznać za pewnik.

Jednak Lucie i Louise miały tego nie doświadczyć. Nieświadome, że w ogóle dokonują jakiegoś wyboru, odwróciły się od japońskości Japonii. Lucie pozostało pięćdziesiąt dziewięć dni życia i wszystkie spędzi na obszarze kilkuset metrów kwadratowych urządzonej tak, aby przynosić cudzoziemcom przyjemność i zysk: w Roppongi.

Za dnia można by przejechać przez Roppongi i właściwie nie zauważyć tego miejsca. Zza szyby samochodu patrzyło się na kolejne, nie bardziej zatłoczone niż inne skrzyżowanie ośmiopasmowej drogi łączącej dzielnicę Shibuya z fosą okalającą Pałac Cesarski. Przebiegająca estakadą autostrada Shuto tworzyła nad aleją Roppongi betonowy baldachim, co sprawiało, że główna ulica robiła wrażenie obskurnej. Olbrzymi ekran umieszczony na

rogu skrzyżowania wyświetlał reklamy; spojrzenie przeskakiwało z restauracji McDonald's na różowy bar kawowy, z banku na bar sushi. Gdyby ktoś szedł piechotą i miał czas na przyglądanie się okolicy, dostrzegłby rzędy ośmio- i dziesięciopiętrowych budynków wzniesionych wzdłuż alei Outer Moat East przecinającej prostopadle aleję Roppongi. Na każdej budowli od dachu aż do samego chodnika biegł baner z nazwami kilkudziesięciu barów, klubów i kawiarni mieszczących się wewnątrz. Z zakurzonych i zakopconych spalinami fasad tych nieelegancko betonowych, krytych beżową dachówką gmachów wystawały rurki zgaszonych neonów. Wszędzie dookoła pełno było przejść dla pieszych i wejść do metra, a na murze estakady widniał widoczny z południowej i północnej części skrzyżowania, wyryty w języku angielskim napis, zagadkowe motto Roppongi: „High Touch Town”.

W godzinach pracy Roppongi oddawało się w ręce ludzi wiodących życie za dnia – pracownikom sklepów i restauracji, miniaturowym uczniom w ich maleńkich mundurkach szkolnych oraz urzędnikom Japońskiej Agencji Obrony pracującym w otoczonym murem kompleksie budynków na północ od skrzyżowania. Zmiany następowały, gdy popołudnie przechodziło w wieczór i odziani w garnitury funkcjonariusze państwowi wychodzili z biur, aby wsiąść do podmiejskich pociągów. Z nadejściem zmroku powoli zapalały się przyłączone do budynków neony, a młode cudzoziemki zaczynały się schodzić do fitness klubu położonego za komisariatem Azabu. Gdy dwie godziny później wychodziły na zewnątrz, Roppongi niczym wampir przebudzało się ze snu. W połowie wieczoru dzielnica brzmiała, pachniała i wyglądała zupełnie inaczej, panowała w niej zupełnie inna atmosfera.

Początek maja, kiedy Lucie i Louise przyleciały do Tokio, był okresem przejściowym, w którym pogoda zmieniała się z zimowej na letnią; w ciągu

kilku tygodni wiosenne powietrze nabrzmiało gorącem i wilgocią. Noce zrobiły się niewiele chłodniejsze od dni. W czerwcu rozpoczęła się pora deszczowa, a wilgoć była tak skondensowana, że powietrze samo z siebie skraplało się w zetknięciu ze skórą. Lato przyniosło zaduch dolatujący z płytko położonych kanałów ściekowych, niespodziewany odór znany z krajów Trzeciego Świata, który mieszał się z zapachem pizzy, grillowanego kurczaka, ryb i perfum. (Jedyną wonią, której w Japonii nigdy nie można wyczuć, jest woń ludzkiego potu). Nad skrzyżowaniem migotał olbrzymi telebim, zalewając je zmieniającymi się obrazami samochodów, ubrań, alkoholu, jedzenia i dziewczyn. Neony ożywały i pulsując światłem, maskowały zaniedbane fasady betonowych budynków. Przyprawiający o ból głowy szum autostrady tonął w panującym na ulicy gwarze, w dźwiękach ludzkich rozmów i spraw, które nadawały Roppongi niepowtarzalny charakter.

Na przestrzeni zamykającej się w promieniu kilkuset metrów od skrzyżowania tłoczyła się bezładna mieszanka etniczna, której na próżno szukać w innych miejscach w Japonii. Roppongi nie było dystryktem szczególnie modnym. Ludzie, którzy szukali w Tokio jakości, różnorodności i dobrej usługi za dobrą cenę, udawali się w inne, bardziej interesujące dzielnice rozrywki – do eleganckiej Ginzy ze staroświeckimi domami towarowymi i aurą szacownej wytworności; do rozgorączkowanej Shinjuku, królestwa gangsterów i erotycznych show; i do Shibui, opanowanej przez odurzoną, supermodną młodzież. Oczywiście cudzoziemców można było spotkać na terenie całego Tokio, ale tylko w Roppongi ich obecność stanowiła kwintesencję miejsca. Większość ludzi przechadzających się uliczkami w okolicy alei była narodowości japońskiej. Jednak ci, którzy przykuwali uwagę tej większości, byli obcokrajowcami i to właśnie oni nadawali Roppongi niepowtarzalny klimat, tworzyli tożsamość tego miejsca.

Przychodzili tu cudzoziemcy, którzy szukali towarzystwa innych cudzoziemców; przychodzili Japończycy, którzy pragnęli towarzystwa cudzoziemców; przychodzili również cudzoziemcy, głównie mężczyźni, spragnieni towarzystwa Japonek (czasami Japończyków) chcących spotykać się z obcokrajowcami. W Roppongi spotykało się ludzi, na których nie natknęłoby się nigdzie indziej. Było to jedyne miejsce w Japonii, w którym ekscytujące, ale uciążliwe poczucie odrębności, obcości cudzoziemców na chwilę zniknęło.

Wystarczyło wyjść ze stacji metra i przejść przez ulicę, aby wpaść w tłum przybyszów z całego świata: brazylijskich barmanów, irańskich murarzy, rosyjskich modelek, niemieckich bankowców, irlandzkich studentów. Niektóre narodowości zmonopolizowały poszczególne zawody: na przykład z jakiegoś powodu obcokrajowiec, który usiłował sprzedać oprawiony w ramkę obrazek lub zdjęcie (przedstawiające zachód słońca, uśmiechnięte dziecko, piękną kobietę na spacerze z pudlem), prawie zawsze był Izraelczykiem. Ubrane w długie sukienki Chinki i Koreanki wystawały przed salonami „masażu”, chwytając za rękawy przechodzących obok mężczyzn i szeptały: „Massazi, massazi, massazi...”. Gdy amerykański lotniskowiec USS Kitty Hawk cumował w porcie Yokosuka, w barach robiło się tłoczno od torsów amerykańskich marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej. Wzrastała wtedy liczba incydentów, które rzadko można spotkać poza Roppongi: bójkę w barze.

Spośród wszystkich obcokrajowców wyróżniały się trzy grupy.

Pierwszą stanowili Afrykanie. Tworzyli oni w Japonii własną kategorię „gajdzin”. Nawet w centrum Tokio w dalszym ciągu przyciągali spojrzenia i w żadnym innym miejscu na terenie całego kraju nie było takiego ich nagromadzenia jak tu, na 350 metrach alei Outer Moat East na południe od

skrzyżowania. Podobnie jak inne grupy etniczne wyspecjalizowali się w pełnieniu konkretnych funkcji w organizmie, jakim było Roppongi: wabili przechodzących mężczyzn do lokali ze striptizem, barów z hostessami i klubów z tańcem erotycznym. Mniej liczna grupa wystrojonych Japończyków o nastroszonych włosach również naganiała miejscową klientelę, ale prym wiedli Afrykanie: mężczyźni z Ghany, Nigerii i Gambii. Wielu z nich mieszkało w Japonii od lat, wielu całkiem dobrze mówiło po japońsku. Nie wyglądali groźnie; zaczepiając przechodniów uśmiechali się ciepło, jedną rękę kładli uprzejmie na ramieniu potencjalnego klienta, drugą zaś wręczali jaskrawą ulotkę. Ich słowa wymruczane cichym barytonem towarzyszyły przechodniom przez kilkaset metrów.

– Dobry wieczór panu! – zaczynało się zawsze tak samo. – Klub dla panów, najlepszy w Roppongi. Bar toples, proszę pana, piękne kobiety. Sexy dziewczyny, proszę pana, w stroju toples, bottomles. Widać piersi i tyłki, proszę pana. Piersi i tyłki, piersiityłki, piersiityłki-piersiityłki. Proszę wejść. Proszę zobaczyć. 7000 jenów, proszę zobaczyć. Dla pana zniżka, 3000 jenów za pół godziny. Proszę tylko wejść i zobaczyć.

Policja z ogromną rozkoszą aresztowałaby i deportowała tych naganiaczy, jednak prawie wszyscy oni mieli żony Japonki. Czasami ich małżeństwa były fikcją prawną, odnawianą co roku w zamian za odpowiednią opłatę. Stwarzało to jednak owym mężom możliwość przebywania oraz podejmowania zatrudnienia na terenie całej Japonii w dowolnym zawodzie i policja nie mogła nic na to poradzić.

Drugą dominującą grupą była ta, która dla wielu mężczyzn odwiedzających nocą Roppongi stanowiła główną atrakcję: dziewczyny z Roppongi, Japonki, które lubiły towarzystwo cudzoziemców. Od czasu do czasu ich skąpe odzienie i brak zahamowań wzbudzały zainteresowanie oraz moralne obiekcje japońskich mediów. Wygląd dziewcząt dostosowywał się

do nowych trendów w tokijskiej ulicznej modzie. Na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku dawno już nieistniejący klub taneczny Juliana's Tokyo wypromował stroje w stylu znanym jako body-con: obcisłe, ściśle przylegające do ciała sukienki, które prezentowały na sobie dziewczyny tańczące na słynnych podiach dyskoteki. W czasie gdy Lucie i Louise przybyły do Japonii, ubrania body-con wyszły już z mody, a ich miejsce zajął trend zwany ganguro: wystylizowany wizerunek, na który składała się mocna, wręcz pomarańczowa opalenizna, włosy farbowane na popielaty blond oraz makijaż oczu i ust w białym kolorze. W każdy czwartek, piątek i sobotę chwiejnym krokiem w butach na koturnach wysokich jak szczydła spacerowały parami po Roppongi dziewczęta przypominające lalki pomalowane farbą fluorescencyjną. Przyjeżdżały pociągami podmiejskimi z przedmieść i miasteczek leżących w dalszych prefekturach, aby spędzić wieczory, a potem noce w klubach i barach noszących nazwy typu Motown, Gaspanic czy Lexington Queen. O świcie w każdy piątek, sobotę i niedzielę nieco mniej liczna gromada pechowych dziewcząt pierwszym porannym pociągiem wyruszała w pełną melancholii podróż do domu.

Trzecia grupa wyróżniająca wśród bywalców Roppongi to młode białe kobiety, które pracowały jako tancerki, striptizerki i hostessy. Ubrane w dzinsy i T-shirty zaczynały się pojawiać na ulicach w połowie wieczoru, a ich włosy lśniły po treningu w fitness klubie. Zanim weszły do klubów i barów, żeby się przebrać i umalować, posilały się w McDonalddie, KFC albo barze sushi na skrzyżowaniu. Poruszały się pewnie, bez charakterystycznego dla turystów skrępowania, i chociaż różniły się pochodzeniem – były między nimi Australijki, Nowozelandki, Francuzki, Brytyjki i Ukrainki – łączyło je coś więcej niż młody wiek i uroda. Było to coś trudnego do określenia: wyraz twarzy, ułożenie ramion przywodzące na myśl opór, irytację, a nawet niezadowolenie. W przeciwieństwie do

sympatycznych Japoniek z Roppongi, one wydawały się nieprzystępne. Lucie i Louise przyjechały do Tokio, aby zasilić ich szeregi.

Louise rzeczywiście miała ciotkę, która pochodziła z Japonii i była żoną młodszego brata matki Louise. Ale Masako mieszkała na południu Londynu, a nie w Tokio. Rzekoma propozycja gościny z jej strony była zwykłym wymysłem mającym na celu rozwiać obawy Jane Blackman. Emma, siostra Louise, w dalszym ciągu utrzymywała kontakt ze znajomymi w Tokio i to właśnie za pośrednictwem jednej z nich, Szkotki o imieniu Christabel, Lucie i Louise zarezerwowały pokój w Sasaki House. Podróż pociągiem z lotniska była skomplikowana i męcząca, należało kilka razy się przesiąść i pokonywać strome schody. Walizki zdawały się ciężarem nie do udźwignięcia, buty na wysokich obcasach okazały się boleśnie niepraktyczne i obie dziewczyny były obolałe i spocone, gdy wyciągały bagaże z dotkliwie drogiej taksówki, która stanowiła ostatni środek lokomocji, z którego skorzystały, aby dotrzeć do nowego domu.

Spodziewały się, że wejdą do zwykłego schroniska, gdzie przywitają je uczynna kierowniczka i łóżka zaścielone świeżo wymaglowaną pościelą. Znalazły się jednak w typowym dla Japonii miejscu zapewniającym zakwaterowanie przybyszom sklasyfikowanym jako „gajdzin” – w pensjonacie, w którym pokoje wynajmowali zagraniczni obywateli, nauczyciele języka angielskiego, handlarze uliczni i ludzie pracujący nocą. Przed gościńcem stały oparte o mur rowery i usychające rośliny doniczkowe. Nad głowami w plątaniu kabli elektroenergetycznych gnieździły się ogromne czarne wrony.

– Wyglądało to wstrętnie – wspominała Louise. – Byłyśmy zszokowane. Zajrzałyśmy do salonu i na sofie ujrzałyśmy dwie nawalone osoby. Poszłyśmy na górę do pokoju i zastałyśmy Christę, która układała sobie

włosy. Smarowała je jakimś tłustym, maziowatym olejem, czymś jakby tłuszczem. I wszyscy palili skręty. W pokoju śmierdziało. Prawie nic nie było widać przez dym.

Okno w maleńkim pokoju nie miało firan, Lucie i Louise musiały zasłonić je sarongiem, żeby rano nie raziło ich słońce. Chociaż nadmiarem światła słonecznego akurat nie musiały się przejmować – widok z okna roztaczał się wprost na pochłapaną cementem ścianę sąsiedniego budynku. Materace były niezaścielone, lustro pęknięte, a na opisanie stanu niziutkiego sedesu, który znajdował się w łazience, brakowało słów. W pierwszym tygodniu Lucie i Louise zajęły się głównie przekształcaniem syfialni w przestrzeń możliwą do zamieszkania, a dokonały tego za pomocą plakatów, pocztówek, świeczek i zasłon. Z całą pewnością było to najciaśniejsze pomieszczenie, w jakim kiedykolwiek bytowały.

Oszołomione upałem i zmianą stref czasowych przespały prawie cały następny dzień. W piątek wieczorem pojechały pożyczonymi rowerami do Roppongi z nieśmiałą nadzieją na znalezienie pracy. Christa, która sama pracowała jako hostessa, podała im nazwy kilku klubów, ale zanim zdążyły się zorientować w okolicy, podszedł do nich młody przystojny Japończyk i uprzejmie zapytał, czy może im w czymś pomóc. Czy Lucie i Louise szukają pracy, spytał. Czy były zainteresowane posadą hostessy? Jeśli pójdą z nim, zapewniał, przedstawi je ludziom, którzy będą mogli w tej sprawie pomóc.

Z pewną rezerwą ruszyły za mężczyzną, on zaś poprowadził je aleją Outer Moat East do jednego z budynków ozdobionych podświetlanymi szyldami. W pierwszym klubie nie było wolnych posad, ale w drugim powitano dziewczyny serdecznie. Młody Japończyk najwyraźniej dobrze znał się z kierownikiem, posępnym mężczyzną, do którego zwracał się: „panie Nishi”. Kierownik przyjrzał się im, zadał parę podstawowych pytań – ile

mają lat, skąd przyjechały, gdzie się zatrzymały – po czym z miejsca zaproponował im pracę. Zaledwie parę dni po przybyciu do Japonii Lucie i Louise znalazły w rejonie Roppongi zatrudnienie jako hostessy w niewielkim nocnym klubie zwanym Casablanca.

⁶ D. Richie, *The Japanese Journals, 1947–2004*, Berkeley 2004, s. 280.

ROZDZIAŁ 5

GEJSZA! (ŻART)

OSOBA, KTÓRA NIE WIEDZIAŁABY, czego szuka, mogłaby minąć tysiąc razy klub Casablanca i w ogóle go nie zauważyć. Budynek, w którym się mieścił, był brązowy i nijaki; gdy spoglądało się z ulicy, jedyny dowód na istnienie klubu stanowiła długa, pionowa podświetlana reklama, na której tłoczyły się nazwy brzmiące o wiele bardziej egzotycznie i intrygująco: Raki Raki, Gay Arts Stage oraz Seventh Heaven – jeden z największych w Tokio lokali ze striptizem, a jego krzykliwy neon dominował nad pozostałymi. Casablanca mieściła się na szóstym piętrze. Winda otwierała się, ukazując ciężkie drzwi obite grubą skórzaną tapicerką oraz widniejącą na nich miedzianą tabliczkę z nazwą klubu.

Za drzwiami kryła się słabo oświetlona sala o powierzchni około 6 na 20 metrów. Po lewej stronie za niskim barem lśniły rzędy butelek. Po prawej znajdowało się niewielkie podium, na nim zaś syntezator oraz ekran i głośniki sprzętu do karaoke. Naokoło pod ścianami stały jasnoniebieskie kanapy i fotele, przy nich zaś dwanaście niskich stolików. Zdobiące ściany grafiki i obrazy były ledwo widoczne.

Azjata bliżej nieokreślonego wieku i narodowości prowadził klienta do jednego ze stolików, na którym stał skomplikowany szklany syfon z pompką

wypychając wodę na zewnątrz. Do tego przyniesiono kubełek z lodem, metalowe szczypce oraz masywną karafkę z whisky – składniki i naczynia potrzebne do przyrządzenia mizuwari, mieszanki whisky z wodą stanowiącej najpopularniejszy drink wśród starszych pracowników biurowych. Pomimo detali kojarzących się z przepychem – skórzanych drzwi, czarnych much noszonych przez kelnerów i barmanów – lokalowi brakowało splendoru. Whisky serwowana w karafce była tania i mdląca, syntezytor prymitywny i piskliwy, syfon z wodą, który miał imponować, wzbudzał jedynie zaskoczenie. Klub pretendował do miana miejsca, gdzie można zażywać wypoczynku i luksusu, jednak panująca w nim atmosfera więcej miała z kameralności niż wyrefinowania i przywodziła na myśl salon na pokładzie drugiej klasy taniego statku wycieczkowego, podupadające kasyno w Las Vegas albo drobnomieszczańskie angielskie przedmieścia w latach siedemdziesiątych XX wieku. Odnosiło się wrażenie, że za chwilę wejdzie kelner niosący talerz z koreczkami z kawałków ananasa i sera cheddar.

Klub znajdował się jednak w Japonii i niektórym Japończykom jego klimat wydawał się po zmroku pociągający. Działo się tak z powodu osób siedzących przy dwóch stolikach najbliżej baru: zagranicznych hostess, z których większość, choć nie wszystkie, była biała.

– Było to dość ponure miejsce i było w nim coś dziwnego – wspominał Hajime Imura⁷, wydawca, który kilka razy gościł w Casablance w czasie, gdy pracowała tam Lucie. – Panowała tam tajemnicza atmosfera, podejrzana. W klubie pracowały dziewczyny o innym kolorze skóry, być może pochodziły z Izraela. Sala była ciemna, utrzymana w różnych odcieniach koloru czarnego i niebieskiego. Ciemne fotele i stoliki. Piosenkarz z Filipin, bardzo hałaśliwy. Mężczyzna w średnim wieku, zdaje się, że kierownik, kilka kelnerek wyglądających na Filipinki, Azjatki. Mniej więcej dziesięć dziewczyn.

Gdy klient rozsiadł się wygodnie ze szklanką mizuwari, kierownik dawał znak cudzoziemkom. Dwie z nich wstawały, podchodziły do klienta i zaczynały pracę hostessy.

Kim tak naprawdę była hostessa? Ludziom wychowanym w zachodniej kulturze słowo to wydawało się dwuznaczne i eufemistyczne, prawie tak samo podejrzane jak określenie „pani do towarzystwa” – kojarzyło się z tanimi perfumami i obskurnymi suterunami w londyńskiej dzielnicy Soho czy przy nowojorskim Times Square.

– Wystraszyłyśmy się, kiedy się o tym dowiedziałyśmy – wspominała Sam Burman, do której Lucie zadzwoniła kilka dni po przylocie. – Co miała na myśli, mówiąc, że pracuje jako „hostessa”? Wydawała się trochę zdenerwowana, gdy opowiadała mi o tym przez telefon. Myślę, że się wstydziła, ponieważ wcześniej mówiła nam coś innego, ale ułożyło się inaczej i wiedziała, że będziemy się martwić. A ostatnią rzeczą, jakiej chciała, było to, żebyśmy się o nią martwili.

Sophie odniosła wrażenie, że praca polegała na prowadzeniu „pustych i nudnych rozmów, podczas których trzeba było się uśmiechać i udawać rozbawioną. Nie chodziło o to, że ktoś przyszedł, usiadł i powiedział: »A teraz pokaż mi piersi« albo »Ile to będzie kosztować?«. Wyglądało to zupełnie inaczej”. Później, gdy brytyjskie tabloidy zaczęły dociekać, co tak naprawdę robiły hostessy, Sophie wytłumaczyła to sceptycznie nastawionym reporterom w następujący sposób:

– Jedyną różnicą między pracą stewardesy w British Airways i hostessy w klubie Casablanca – stwierdziła – była wysokość, na której praca jest wykonywana.

Kilka miesięcy później Tim Blackman otrzyma długi i wzruszający list od życzliwego starszego pana o nazwisku Ichiro Watanabe⁸, stałego bywalca

Casablanki, który wyraził swój niepokój zniknięciem Lucie.

„Klub wygląda zupełnie inaczej, niż przedstawiają go nieodpowiedzialne i oparte na bezpodstawnych domysłach doniesienia medialne mające na celu rozsiewanie ordynarnych plotek – napisał, starannie wyróżniając te słowa kursywą. – Do obowiązków szanownych pań [sic!] należy zapalanie klientowi papierosów, przyrządzanie mu whisky z wodą, wspólne z nim śpiewanie karaoke i dotrzymywanie towarzystwa podczas rozmowy. To wszystko, nic więcej, dokładnie tak samo jak powiedziała swojej matce: »coś jak praca kelnerki«. – Na koniec dodał: – Nie piszę tego po to, żeby przedstawić się w lepszym świetle. Ośmielam się o tym mówić, żeby uratować jej honor!”.

Jego słowa w pewnym sensie były prawdziwe.

Klub otwierał się o dziewiątej wieczorem. Nieco wcześniej w wąskiej garderobie na zapleczu dwanaście, czasami nawet piętnaście dziewczyn nakładało makijaż i przebierało się z dzinsów i T-shirtów w sukienki. Pochodziły z całego świata, chociaż latem 2000 roku przybyła stosunkowo liczna reprezentacja Brytyjek. Oprócz Lucie i Louise w Casablance pracowała Mandy z hrabstwa Lancashire, Helen z Londynu, a także Samantha z Australii, Hanna ze Szwecji, Amerykanka Shannon i Rumunka Olivia. Mężczyzn było trzech: Tetsuo Nishi, pięćdziesięcioletni kierownik o ospowatej twarzy; barman Caz, Japończyk; oraz piosenkarz z Filipin, którego imienia nikt nie pamiętał. To Caz i Nishi decydowali, które dziewczęta przysiądą się do poszczególnych klientów i kiedy mają się zamienić miejscami z koleżankami, a także przekazywali hostessom zdawkowe instrukcje dotyczące ich obowiązków. Większość poleceń sprowadzała się do zakazów: nie pozwól, żeby klient sam dolewał sobie whisky ani żeby sam odpalał sobie papierosa. Jednak w rzeczywistości kiedy już hostessa usiadła przy stoliku z klientem, głównym jej zadaniem było

prowadzenie rozmowy.

Było to trudniejsze, niż mogłoby się zdawać. Mało która dziewczyna potrafiła powiedzieć po japońsku więcej niż „tak, dziękuję” i „przepraszam” i chociaż z natury rzeczy bywalcami Casablanki stawali się mężczyźni, którzy mówili po angielsku, jedni władali językiem bardziej, inni zaś mniej biegle. Dla części z nich kilka godzin spędzonych z zagraniczną hostessą było czymś na kształt korepetycji językowych. Niektórzy robili nawet notatki i swobodna rozmowa, taka, którą zwykle w sposób naturalny podejmuje się z nieznanym, zwykle nie wchodziła w rachubę. Na dodatek klient, ponieważ był klientem, zawsze miał rację, nie można było się z nim nie zgadzać ani go opuścić. Pisarka Mo Hayder, która pracowała przez pewien czas jako hostessa⁹, porównała tę relację do relacji ze „współpracownikiem, dla którego trzeba być miłym, chociaż wcale nie wydaje nam się interesujący”.

– Pytałam, gdzie pracują, dlaczego przyjechali do Tokio. Prawiłam komplementy, mówiłam: „Podoba mi się twój krawat”. Nawet nie pamiętam, iloma krawatami się zachwyciłam!

– Rozmawiało się o bzdurach – opowiadała Helen Dove¹⁰, która pracowała w Casablance w tym samym czasie co Lucie i Louise. – „Jak minął ci dzień?”. Albo pochlebiali im się. „Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną, zaśpiewaj coś dla mnie”. Oni mówili mi, że jestem piękna. Rozmawialiśmy o Anglii, o jego wyjazdach służbowych do Londynu. Po kilku tygodniach zaczęłam mieć dosyć. To było strasznie nudne, wycieńczające. Te same dyskusje noc w noc, nudne dyskusje z ludźmi, którzy nic mnie nie obchodzili. Niektóre dziewczyny były dobre, naprawdę miłe. Mnie rozmowy przychodziły z trudem. Widać było, że są sztuczne, udawane. To, że nie potrafiłam śpiewać, nie ułatwiało mi zadania, ponieważ spora część wieczoru polegała na śpiewaniu karaoke w duetach i trzeba było

się tym zachwycać¹¹.

Nierzadko pojawiały się też zachowania tradycyjnie i bezpośrednio lubieżne.

– Wydaje mi się, że wiele z nich rozmawiało o seksie – przyznała Helen. – Ja usiłowałam unikać tego tematu na tyle, na ile było to możliwe. – Jednak w ciągu czterech tygodni, podczas których pracowała w Casablance, jedynym autentycznie niepokojącym zdarzeniem było spotkanie z mężczyzną, który miał obsesję na punkcie Audrey Hepburn. – Podobały mu się podobne do niej brunetki: blade, z dużymi oczami – wyjaśniała. – Jedna dziewczyna odeszła z pracy po dwóch tygodniach, ponieważ wystraszyła się go. Siadał obok niej i mówił coś w stylu: „Teraz jesteś moja!”, po czym łapał ją bardzo mocno za ramię. Kiedy ona odeszła, zaczął pytać o mnie. Postawiłam mu się, nie pozwoliłam, żeby mnie dotykał.

Bardziej irytujący od dziwaków byli nudziarze. Każda hostessa rutynowo musiała podejmować tematy tak osobliwe i ogłupiające, że gdyby rozmowie przysłuchiwała się osoba trzecia, trudno byłoby jej się powstrzymać od śmiechu. Hajime Imura, wydawca, wspominał, że zabawiał Lucie opowieściami o swoich wyczynach podczas połowów kałamarnic.

– Pewnego razu złowiłem mnóstwo kałamarnic i opowiedziałem jej o tym – wyjawiał mi. – Od tamtej pory nie miałem z nią żadnego kontaktu.

Jeden z klientów przedstawił Lucie wywód na temat działania wulkanów. Zaangażował się w objaśnienia do tego stopnia, że skonstruował model aktywnego krateru za pomocą przedmiotów znajdujących się na stoliku: kubek z lodem udawał górę, woda z syfonu imitowała lawę, natomiast papieros stanowił źródło dymu.

Stary pan Watanabe nie miał trudności z prowadzeniem konwersacji, o czym wspominał w liście do Tima Blackmana. Wszystkie dziewczęta z Casablanki lubiły go z powodu jego wieku, wysokiej kultury osobistej

i regularności, z jaką się pojawiał. Nazywały go „Fotografem”, ponieważ robił mnóstwo zdjęć, które potem starannie wkładał w albumy i przynosił do klubu, aby pokazywać dziewczętom. Podczas spotkań z Lucie miał przeświadczenie, że nie wydaje pieniędzy na darmo.

– Miło spędziliśmy czas, prowadząc interesującą i pouczającą rozmowę przez mniej więcej trzy godziny – wspominał jeden z wieczorów. – Rozmawialiśmy o historii Anglii, o literaturze, sztuce, pisarzach, artystach, historii stosunków brytyjsko-japońskich, podobieństwach i różnicach w charakterze i mentalności naszych narodów, o typowym dla Anglików poczuciu humoru, który bardzo lubię i podziwiam, i tak dalej. – Można sobie jedynie wyobrazić, jakie wrażenie mogła zrobić taka poważna i uczona dyskusja na dwudziestoletniej hostessie.

Praca w Casablance była może i nudna, czasami dziwna, ale również na swój sposób dawała poczucie bezpieczeństwa. Wewnątrz klubu, otoczone niebieskawym półmrokiem niczym kokonem, pod okiem Caza i poważnego Nishiego, dziewczyny czuły, że nic im nie grozi.



W Japonii, gdzie wszystko miało swoje miejsce, hostessy i kluby z hostessami nie istniały zawieszane w próżni. Konglomerat nocnych lokali w Roppongi – lichych i ekskluzywnych, przyzwoitych i skandalicznych – określano mianem pięknym i dwuznacznym zarazem: mizu shōbai, co dosłownie znaczy: „biznes wodny”. Określenie to było zagadkowe. Czy odnosiło się do picia stanowiącego podstawowy element życia nocnego? Do ulotności przyjemnych doznań, które szybko mijały i nie można ich było zatrzymać, podobnie jak nurtu strumienia? Woda kojarzyła się z seksem, porodem i śmiercią przez utonięcie. Na jednym końcu mizu shōbai

znajdowały się gejsze, wytworne i wszechstronnie utalentowane artystki estradowe, które można było spotkać jedynie w najbardziej staroświeckich dzielnicach Kioto i Tokio; na drugim końcu znajdowały się kluby dla sadomasochistów, w których sprzedawano ekstremalne formy upokorzenia i upodlenia. Między tymi dwoma krańcami rozciągało się szerokie spektrum erotycznej rozrywki, na którym było miejsce zarówno dla brudu moralnego, jak i dla elegancji, taniości i zbytkowności, otwartości i hermetyczności.

Niektórzy Japończycy, mówiąc o mizu shōbai, mieli na myśli również zwykłe bary, puby i lokale z karaoke, jednak w większości definicji pojawiał się warunek, że w przybytkach tego typu muszą być obecne kobiety atrakcyjne – przynajmniej hipotetycznie – dla mężczyzn. Do kategorii tej mógł zatem zaliczać się nawet zwykły snack bar (po japońsku sunakku) prowadzony przez kobietę w średnim wieku, której uwodzicielska moc była na wyczerpaniu. W niektórych sunakku pracowała młoda kelnerka hostessa, która pod kierownictwem właścicielki rozmawiała z klientami i podawała napoje. Większe lokale, i najczęściej te położone w dużych miastach, stopniowo przekształcały się w bary i kluby z hostessami, gdzie oprócz drinków i przekąsek można było zamówić damskie towarzystwo do rozmowy i śpiewania karaoke. W „klubach dla panów” damskie towarzystwo zabawiało nie tylko rozmową, ale również robiąc striptiz podczas tańca na rurze wykonywanego dla wszystkich na scenie lub tańcząc w zamkniętej kabinie tylko dla jednego klienta. Tancerka wyginała się i wirowała, stojąc okrakiem nad kolanami klienta, który mógł dotykać i ssać jej sutki i piersi, a w niektórych lokalach po uiszczeniu dodatkowej opłaty mógł posunąć się dalej. Tym sposobem barmanka stawała się hostessą, obowiązki hostessy pokrywały się z obowiązkami striptizerki, a striptiz przechodził w prostytutkę.

Żadna inna narodowość nie podeszła z tak ogromną wyobraźnią

i kreatywnością do kwestii prezentacji i promocji płatnych usług seksualnych jak Japończycy. Było to spowodowane wprowadzeniem przez rząd w rzeczywistości martwych przepisów zakazujących prostytucji, co do których nikt nie miał zbyt dużego przekonania. Jediną bezwzględnie zakazaną rzeczą jest żądanie zapłaty za konwencjonalny stosunek płciowy. Fellatio i masturbacja we wszystkich formach są dozwolone. Dowiedzenie, że do danego orgazmu doszło w wyniku dozwolonej stymulacji manualnej, a nie na skutek zabronionej prawem penetracji, jest oczywiście niemożliwe. Aby zakamufłować rzeczywistość, seksbiznes promuje swoje usługi pod oszałamiająco różnorodnymi nazwami, które zmieniają się tak szybko, że laikowi trudno za nimi nadążyć.

W Roppongi znajdują się salony „masażu”, w których pobieżne oklepywanie stanowi pretekst do ręcznie wykonywanego szczęśliwego zakończenia. Istnieją również lokale fasshon herusu („moda na zdrowie”) oferujące szeroki wachlarz usług erotycznych obejmujących praktycznie wszystko oprócz konwencjonalnego stosunku płciowego. Do współżycia może za to dojść w sōpurando („krajnie mydła” – tutaj wszystko odbywa się pod pretekstem kąpieli wykonywanej przez kobietę, która używa swojego ciała jako gąbki). Pod nazwą deri-heru („zdrowie na telefon”) kryje się rozkosz seksualna dostarczana przez panią składającą wizytę w domu lub pokoju hotelowym klienta. Usługa esute (wymawia się „es-tej”; nazwa wywodzi się od angielskiej nazwy salonu piękności: aesthetic salon) oznacza masaż erotyczny, który posiada wiele odmian. Istnieje zatem „koreański salon piękności” (masaż i stymulacja ręczna) oraz „salon piękności w stylu koreańskim” (odbywa się w nim to samo co w koreańskim salonie piękności – z tą różnicą, że masażystka jest naga). Pozostałe odmiany – różniące się między sobą nieznacznie – noszą nazwy takie jak: „chiński salon piękności”, „tajski salon piękności”, „singapurski salon piękności”, „sexy

pub”, „pub z bielizną”, „pub podglądacza”, „kabaret z dotykaniem” czy „masaż w stylu koreańskim wykonywany przez japońską gospodynię”. W „barze kawowym bez fig” roznegliżowane kelnerki w zamian za odpowiedni napiwek dodatkowo serwują orgazm. W „barze kawowym z karaoke bez fig” kobiety rozebrane od pasa w dół wykonują piosenki w duetach z klientami przed, po lub w trakcie stymulacji. W „shabu-shabu bez fig” robi się to samo co w barze kawowym, tyle że zamiast kawy podaje się shabu-shabu, gorący wywar z wołowiny.

Im droższy, bardziej ekskluzywny i szanowany lokal, tym bardziej prawdopodobne, że będą w nim pracowały Japonki. Z kolei w najbardziej obskurnych miejscach spotyka się więcej Tajek, Filipinek, Chinek i Koreanek. „Zachodnie” kobiety, czyli Europejki, Rosjanki, mieszkanki obu Ameryk oraz Australazji, zwykle pracują w przybytkach plasujących się gdzieś pośrodku w hierarchii świata mizu shōbai. Spektrum oferowanych przez nie usług rozciąga się od grania roli hostessy do wykonywania striptizu, co oznacza, że w swojej pracy muszą przede wszystkim rozmawiać i pozwalać na siebie patrzeć, ale już niekoniecznie pozwalać się dotykać. Mówię o spektrum, choć trafniejszą analogią byłoby przyrównanie tego świata nie do mieszaniny tęczyowych kolorów, ale do melanżu różnych odcieni szarości.

Praktyka płacenia za damskie towarzystwo cieszy się w Japonii długą historią i szacownymi tradycjami. Pierwsze wzmianki o gejszach – doskonale wyszkolonych artystkach estradowych utalentowanych tanecznie i muzycznie, posiadających wysoko rozwinięte umiejętności w zakresie doboru strojów, nakładania makijażu i prowadzenia konwersacji – pojawiły się już w XVIII wieku; od oiran, kurtyzan oraz zwykłych prostytutek bywających w gospodach i herbaciarniach oddzielała je przepaść, na którą

składały się zdolności gejsz oraz otaczające je powszechne poważanie. Dopiero w latach dwudziestych XX wieku, w okresie gwałtownie, choć wybiórczo postępującej westernizacji, pojawiły się pierwsze prawdziwe hostessy – fordanserki w zyskujących na popularności salach tanecznych oraz „kawiarki”, którym można było zapłacić za to, aby dotrzymały towarzystwa, a czasami żeby zrobiły również coś więcej. W tym samym okresie próbowano wprowadzić usługi nowoczesnej gejszy, która zamiast kimona nosiła sukienkę i zamiast na samisenie grała na pianinie lub gitarze, eksperyment jednak szybko okazał się nietrafionym pomysłem.

„Zdania w dalszym ciągu są podzielone na temat tego, czy współczesne tancerki w nocnym klubie albo hostessy posiadają równie wszechstronnie rozwinięte zdolności i umiejętności jak tradycyjna gejsza, niemniej gejsze stopniowo ustępowały im pola – napisał wybitny amerykański historyk specjalizujący się w badaniu dziejów Tokio, Edward Seidensticker. – Historię życia towarzyskiego w mieście w ciągu ostatniego wieku można przedstawić jako proces wycofywania się tych pierwszych i posuwania się naprzód tych drugich”.

Pierwszymi obcokrajowcami przewijającymi się przez branżę wodną były koreańskie i chińskie prostytutki, mieszkanki terenów skolonizowanych przez cesarstwo japońskie. W 1945 roku podczas trwającej siedem lat okupacji amerykańskiej w Japonii pojawiło się dużo ludzi z Zachodu, występowali oni jednak głównie w roli nabywców, a nie sprzedawców usług. Właśnie w tym czasie Roppongi zaczęło przekształcać się w ośrodek rozrywki¹². Nazwa „Roppongi” oznacza „sześć drzew” – przed wojną była to pozbawiona charakteru dzielnica mieszkaniowa, której większą część zajmowały koszary Cesarskiej Armii Japońskiej. Po kapitulacji Japonii koszary przejęło wojsko amerykańskie i wokół wejścia zaczęły wyrastać niewielkie bary obsługujące żołnierzy, którzy akurat nie pełnili służby. Bary

te nosiły dwuznaczne nazwy typu Silk Hat, Green Spot albo Cherry. Z tamtego okresu wywodzi się osobliwe motto Roppongi. Miejscowa ludność zauważyła, że amerykańscy żołnierze witają się poprzez uniesienie jednej ręki i uderzenie dłonią w dłoń kolegi. Można sobie wyobrazić, jak to pewnego późnego wieczoru ciekawski barman, Japończyk, spytał klientów o ten powitalny gest, a oni w zawili, pijacki sposób próbowali mu wyjaśnić, na czym polega „high five” – przybijanie piątki. Angielskie wyrażenie zostało błędnie transliterowane na język japoński jako hai tacchi, czyli high touch, i stąd wzięło się hasło widniejące na murze autostrady przebiegającej estakadą nad Roppongi: „High Touch Town”¹³.

W 1956 roku w Roppongi została otwarta pierwsza w Tokio włoska restauracja, rozpoczynając szal na egzotyki takie jak pizza czy wino Chianti. Dwa lata później na południowych obrzeżach Roppongi wzniesiono Tokio Tower, ogromną czerwoną wzorowaną na wieży Eiffla wieżę telekomunikacyjną. W pobliżu swoją siedzibę zbudowała prywatna stacja telewizyjna TV Asahi, a w 1964 roku Roppongi doczekało się własnej stacji metra. W tym samym roku odbyły się igrzyska olimpijskie w Tokio, wydarzenie symbolizujące odrodzenie Japonii, która dźwignęła się ze skrajnego powojennego ubóstwa, aby stać się krajem zamożnym o międzynarodowych wpływach. W tamtym czasie w stolicy istniało już wiele barów z hostessami, ale kobiety, które w nich pracowały, w przeważającej mierze były Japonkami. W 1969 roku pojawił się kolejny symbol dostatku – pierwszy w Tokio klub z zagranicznymi hostessami, który otworzył swoje podwoje w Roppongi i nosił nazwę Casanova.

Mnóstwo Japończyków gotowych było zapłacić za towarzystwo hostessy – zwykle koszty pokrywali ich pracodawcy, ponieważ wizyty w klubach uważano za szacowną rozrywkę i jak najbardziej dopuszczalną formę podejmowania partnerów biznesowych, przypieczętowania

podpisanych kontraktów oraz nagradzania pracowników za lojalność i ciężką pracę. Otwarcie Casanovy zapowiadało utworzenie się nowej grupy potencjalnych uczestników mizu shōbai: pracowników biurowych z zagranicznymi klientami, pieniędzmi oraz z odpowiednim wykształceniem i pewnością siebie, które pozwalały swobodnie rozmawiać z zagranicznymi hostessami po angielsku.

Casanova była oszałamiająco droga, ale w ciągu następnych trzydziestu lat jej działalność stała się przykładem, na którym wzorowało się wiele tańszych klubów kimpatsu – „z blondynkami”. Godzina w Casanovie kosztowała 60 000 jenów, ale już w otwartym w 1992 roku klubie Kai oraz utworzonym później w jego miejsce klubie Cadeau opłata wynosiła 10 000 jenów za godzinę¹⁴. Pierwsze kluby zatrudniały podróżniczki, które akurat bawiły przejazdem w Japonii, wkrótce jednak właściciele lokali umieszczali ogłoszenia w zagranicznej prasie, a także wysyłali za granicę agentów, których zadaniem było pozyskiwanie i dostarczanie odpowiednich do tej pracy młodych kobiet. Nigdy jednak liczba barów z zagranicznymi hostessami – lokale ze striptizem to odrębna kategoria – w Roppongi nie była zbyt duża. Podczas pobytu Lucie w Tokio istniały: Casanova, klub Cadeau, klub Vincent, J Collection, One Eyed Jack’s (największy ze wszystkich, blisko związany z „klubem dla panów” Seventh Heaven) oraz Casablanca.

W 2000 roku Anne Allison¹⁵ nosiła tytuł profesora antropologii kulturowej Uniwersytetu Duke’a w Karolinie Północnej. W 1981 roku, będąc jeszcze doktorantką, przepracowała cztery miesiące jako jedyna cudzoziemka w japońskim klubie z hostessami w Roppongi. Doświadczenia, które zebrała, stanowiły podstawę do pracy doktorskiej opublikowanej później w formie książki zatytułowanej: *Nightwork. Sexuality, Pleasure and Corporate Masculinity in a Tokyo Hostess Club* (Praca nocą. Seksualność, przyjemność

i korporacyjna męskość w tokijskim klubie z hostessami).

W dużej mierze jest to pełna przemyślanych argumentów poważna teoretyczna rozprawa naszpikowana wyrażeniami typu: „obraz własnej osoby postrzegany przez pryzmat falliczności”, oraz omówieniami występujących w japońskiej kulturze pojęć, takich jak jikokenjiyoku („pragnienie obnażenia się i tego, aby owo obnażenie zostało dobrze przyjęte”). Jednak w tekście pojawiają się momenty na swój sposób komiczne, choćby te opisujące spotkanie niewzruszonej i chłodno analizującej rzeczywistość antropolog kulturowej z neurotycznymi i tłumiącymi swoje popędy stałymi bywalcami przybytków mizu shōbai:

Siedziałam przy czteroosobowym stoliku z mężczyznami po czterdziestce. Prowadzili spokojną i interesującą rozmowę na temat stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Japonią, uniwersytetów, podróży i tak dalej. W pewnym momencie podeszła kierowniczka, spytała, jak się mają, i jednemu z nich powiedziała, że za każdym razem gdy przychodzi do klubu, wygląda coraz przystojniej. Uśmiechnęła się zalotnie, życzyła udanego wieczoru, po czym ruszyła w kierunku następnego stolika.

Jeden z mężczyzn mówił o śpiewaniu [karaoke] w klubach tego typu i stwierdził, że robi się to nie dlatego, że się to lubi, ale dlatego, że tak trzeba. „To nieuniknione” (shō ga nai), powiedział. Ktoś zapytał mnie, ile mam wzrostu, a gdy odpowiedziałam, zaczęli mówić o rozmiarach swoich penisów. Jeden stwierdził, że jego penis ma pięćdziesiąt centymetrów długości. Drugi rozłożył ręce na szerokość około sześćdziesięciu centymetrów, pokazując że jego penis ma właśnie taki rozmiar. Kolejny oświadczył, że jego penis jest tak duży, że może używać go jako skakanki i że jego długość utrudnia mu chodzenie.

Wezwano kolejną hostessę, a mnie przeniesiono do innego stolika.

Profesor Allison w taki sam sposób, w jaki inny antropolog mógłby zrelacjonować rytuał inicjacyjny na Mikronezji, opisała procesy zachodzące podczas spotkania integracyjnego w klubie nowej grupy pracowników biurowych. Najpierw pełna napięcia cisza, gdy współpracownicy – szefowie

i podwładni, młodzi i w średnim wieku – siedzą razem w lokalu z nakazem oddawania się „zabawie”. Następnie poczucie rozluźnienia, gdy pojawia się piwo i mizuwari, oraz skłonność klientów do tego, aby zachowywać się po pijanemu jeszcze przed opróżnieniem pierwszej szklanki drinka. W końcu znak, że wieczór rozpoczął się na dobre – nieunikniony żartobliwy komentarz na temat piersi jednej z hostess, któremu czasami towarzyszy coś, co amerykańska antropolog określa mianem „klapsa”, delikatne, krótkie klepięcie w jedną z piersi dziewczyny, oraz ogólna wesołość.

– Rozmowa na temat biustu to sygnał, że nadszedł czas na zabawę – napisała profesor Allison. – Wzmianka o piersiach zawsze wywoływała tę samą reakcję: zaskoczenie, rozbawienie i rozluźnienie.

Mimo to antropolog uparcie twierdziła, że pobyty w klubach nie miały zapewniać przyjemnych doznań cielesnych.

– Gdy zaczynałyśmy, pouczono nas o trzech rzeczach¹⁶. Jak zapalać papierosy klientom, jak nalewać im drinka i żeby nie kłaść łokci na stół. Zalecano nam również nie jeść w towarzystwie klienta: świadczyłoby to o braku uległości wobec niego. Poza tym do naszych obowiązków należało spełnianie wszystkie jego zachcianek. Jeśli chciał, żebyśmy były hałaśliwe, miałyśmy zachowywać się hałaśliwie. Jeśli chciał, żebyśmy były podniecone, miałyśmy zachowywać się właśnie w ten sposób. Wstrętne? Tak. Poniżające? Owszem. Nie był to jednak handel żywym towarem. W barach z hostessami nie sprzedawało się seksu.

Budki telefoniczne w Tokio zarzucone były ulotkami reklamującymi prostytutki; kluby z hostessami oferowały usługi zarówno bardziej specjalistyczne, jak i kosztowne. Wbrew temu, czego można by się spodziewać, im droższy i bardziej ekskluzywny klub, tym mniej tolerowano w nim dotykanie i obmacywanie.

– Inne kluby mizu shōbai zapewniają mężczyznom usługi, które poprzez

masturbację mają doprowadzić ich do wytrysku – zauważa profesor Allison. – Natomiast w klubach z hostessami obiektem stymulacji jest męskie ego.

Japońskie życie seksualne, podobnie jak japońskie społeczeństwo, jest uporządkowane i zdyscyplinowane. Japończycy, zanim znajdą się w jakiegokolwiek sytuacji, lubią wiedzieć, czego dokładnie oczekuje się od nich i jak mają się zachować. I doskonale rozumieją, że jedyną rzeczą, którą oferują kluby z hostessami, jest przyjemne podniecenie [...] Właścicielka i kierowniczka [mojego klubu] stawiała sprawę jasno: nie ma nic złego w dotykaniu się z klientem od czasu do czasu; współżycie z nim to wykroczenie, za które traci się pracę. Jednak większość klientów – przynajmniej Japończyków – nie oczekiwała seksu. Nastawiali się na flirt i pochlebstwa i to dostawali.

W tych ramach mieściło się wiele różnych rzeczy, które należało znosić. Niektóre rozmowy stawały się ordynarne, niektóre nie, ale najważniejsze było to, żeby nie milczeć. Jednego wieczoru mogło się rozmawiać z czarującym i uprzejmym dżentelmenem o Czajkowskim, a następnego dnia ten sam mężczyzna mógł zapytać, ile razy w nocy szczytujesz, kiedy straciłaś dziewictwo, a następnie porównać twoje piersi z piersiami hostess siedzących przy innych stolikach. A ty miałaś się uśmiechać i udawać, że rozmowa z nim jest bardzo zajmująca. Miałaś zapewnić mu poczucie, że jest najwspanialszym, najważniejszym mężczyzną na świecie i że marzysz tylko o tym, aby wskoczyć mu do łóżka. On wmawiał sobie, że ta wysoka, piękna kobieta z Zachodu zakochała się w nim do szaleństwa, uważa go za fascynującego mężczyznę i zostanie jego kochanką jeszcze tej samej nocy. Klienci uwielbiali rozmawiać o seksie i czasami dyskusje te stawały się bardzo otwarte i dość jednoznaczne, jednak na koniec wieczoru klient i hostessa rozstawiali się i każde z nich wracało do swojego życia. Żadna ze stron nie była zaskoczona ani rozczarowana, ponieważ żadna nie oczekiwała niczego innego.

Mówiłaś mu, że chciałabyś, aby został twoim kochankiem. On mówił, że pragnąłby zaprosić cię do domu. Mówiłaś, że byłoby wspaniale, ale przyjechała twoja siostra i obiecałaś oprowadzić ją po mieście. Dokładnie takiej odpowiedzi klient się spodziewał – gdyby otrzymał inną, mógłby się wystraszyć.

Jedynymi osobami, które nie rozumiały tych zasad i nie potrafiły według nich postępować, byli obcokrajowcy, przybysze z Zachodu, niezdolni pojąć japońskiej obsesji na punkcie rytuałów i odgrywania ról. Pamiętam pewnego Francuza, który wpadł we wściekłość, gdy jego hostessa nie zgodziła się pójść z nim do hotelu.

– Po co, do cholery, uwodziła mnie przez cały wieczór, skoro nie chce pójść ze mną do łóżka? – wybuchnął.

W swojej pracy profesor Allison dowodziła, że działalność klubów z hostessami w rzeczywistości obracała się nie wokół seksu, ale wokół pracy. Zachęcając pracowników do korzystania z usług tego typu lokali i dopłacając im, aby mogli spędzać wieczory razem z kolegami z firmy, klientami i hostessami (a nie w domu z żoną i dziećmi), japońskie korporacje umożliwiały swojej kadrze rozładowanie napięcia i stresu w sposób, który służył celom korporacji – pomagał zacieśnić więzy koleżeńskie i budować dobre relacje z klientami. Kluby z hostessami były nie tylko miejscem rozrywki, ale i miejscem pracy. Zawłaszczając wolny czas pracowników, firma sprawiała, że identyfikowali się oni bardziej z korporacją niż z własną rodziną.

– Po wyjściu z biura są zmęczeni i ostatnią rzeczą, na którą mają ochotę, jest wysiłanie się, aby zabawić klienta czy kobietę – napisała profesor Allison. – Spotkanie z hostessą rozwiązuje ten problem. To ona zabawia klienta, pochlebia mężczyźnie, który płaci, i sprawia, że w oczach innych wydaje się on ważny i wpływowy [...] Gdyby ten sam mężczyzna poszedł na dyskotekę, prawdopodobnie nie udałoby mu się poderwać dziewczyny i wracając do domu, czułby się przygnębiony i odepchnięty. Kluby z hostessami eliminują ryzyko niepowodzenia.

Jakie miejsce miały w tym wszystkim kobiety z Zachodu? Według amerykańskiej antropolog w rzeczywistości były one niczym więcej jak atrakcyjną nowością:

– Japończycy z pewnością fantazjują na temat seksu z kobietami z Zachodu, jednak myśl, że któraś miałaby faktycznie zostać ich żoną lub kochanką, przeraża ich. Intrygujemy ich i mężczyzna, któremu towarzyszy

przybyszka z zachodniego świata, podnosi swój prestiż, ale jesteśmy postrzegane jako kobiety mające własne zdanie, kobiety niekoniecznie posłuszne i uległe. – W klubie z hostessami wszystko rozgrywało się w świecie fantazji, który za zgodą każdego z uczestników owej gry był tworzony tylko na jeden wieczór i tylko w zamkniętej przestrzeni lokalu. Przestrzeni ściśle nadzorowanej przez kierownika lub kierowniczkę i kelnerów. – Nie powiedziałabym, że podobała mi się praca hostessy – stwierdziła Anne Allison. – Ciężko pracowałam, często w sposób upokarzający. Kiedy trzeba siedzieć i uśmiechać się uprzejmie, gdy mężczyzna pyta, czy puszczasz bąki w trakcie sikania, i uśmiech nie może ci zejść z twarzy, nawet jeśli pytanie to pada po raz dziesiąty, może się odechcieć wszystkiego. Nigdy jednak nie czułam, że coś mi zagraża, że robi się niebezpiecznie ani że sytuacja wymknie się spod kontroli. A gdy pojawiały się jakieś trudności, kierowniczka przychodziła mi z pomocą. W Tokio, nawet w dzielnicy czerwonych świateł, czułam się o wiele bezpieczniejsza niż w Nowym Jorku.



Gdyby praca hostessy faktycznie nie wychodziła poza zamkniętą przestrzeń lokalu, Lucie Blackman nadal by żyła. Rzeczywistość była jednak bardziej skomplikowana. Stając się częścią świata mizu shōbai, kobieta podlegała naciskom i pokusom, które kładły się cieniem na jej życiu, nawet jeśli nie do końca zdawała sobie z tego sprawę.

Te naciski i pokusy wynikały z natury zjawiska zwanego shisutemu: „systemu” – tabeli opłat i premii obowiązujących w danym klubie, a dotyczących klientów i hostess. W Casablance klient płacił 11 700 jenów za godzinę, podczas której mógł wypić nieograniczoną ilość piwa lub mizuwari

oraz cieszyć się towarzystwem jednej lub większej liczby dziewcząt. Z całej tej kwoty nowa dziewczyna taka jak Lucie otrzymywała 2000 jenów za godzinę. W jeden pięciogodzinny wieczór pracy hostessa zarabiała zatem 10 000 jenów; jeśli pracowała sześć dni w tygodniu, sumowało się to do 250 000 jenów miesięcznie. Była to jednak zaledwie podstawa całej piramidy premii i dodatkowych obowiązków, które tworzyły „system”.

Dziewczyna, która jednego wieczoru wywarła dobre wrażenie na kliencie, mogła zostać „zamówiona” przez niego następnego dnia; uiszczając on za to dodatkową opłatę, hostessa zaś inkasowała bonus w wysokości 4000 jenów, ponieważ nakręcała interes. Jeśli klient zamówił szampana lub „własną butelkę” – butelkę drogiej whisky i brandy przeznaczoną tylko do jego użytku i przechowywaną dla niego za barem – hostessy, które mu towarzyszyły, otrzymywały odpowiednią prowizję. Dziewczyny zachęcane, aby umawiały się z klientami na tak zwane dōhan – obiady z mężczyznami, którym wpadły w oko i z którymi wracały po obiedzie do klubu. Klienci mogli spędzić popołudnie z młodą atrakcyjną dziewczyną, hostessy miały wolne w pracy i jadły obiad za darmo, a w klubie interes kwitnął.

Dōhan nie były traktowane jako nieobowiązkowa, dodatkowa forma pracy. W niektórych klubach dwanaście dōhan miesięcznie oznaczało premię wynoszącą 100 000 jenów. W większości klubów, między innymi w Casablance, każda dziewczyna, która umówiła się na mniej niż pięć takich spotkań miesięcznie i którą „zamówiono” mniej niż piętnaście razy, mogła pożegnać się z pracą. Umawianie się na obiady z klientami w wypadku wielu hostess wiązało się z dużym obciążeniem psychicznym. Nie chodziło tylko o to, że czasami musiały się zgadzać na spotkanie z mężczyznami, którzy nie przypadli im do gustu. Gdy zbliżał się koniec miesiąca, hostessy, które osiągały gorsze wyniki od spodziewanych, umawiały się na dōhan z pierwszym lepszym chętnym. Prosiły kolegów, żeby poszli z nimi i w ten

sposób pomogli wykonać normę; czasami hostessa, której groziło zwolnienie, sama płaciła za dōhan.

– W garderobie, obok toalety, wisiała tabela z imionami dziewczyn, przy których zaznaczano, ile razy w tym miesiącu je zamówiono i na ilu dōhan były – opowiadała Helen Dove. – Naprawdę robiło ci się wstyd, gdy koło twojego imienia nie zanotowano nic. Byłam w tych sprawach tak beznadziejna, że prawie zawsze znajdowałam się na szarym końcu. Wreszcie przestałam się przejmować. Zupełnie straciłam entuzjazm. Wolałam rozmawiać z innymi dziewczynami niż udawać, że podobają mi się ci wszyscy Japończycy. Na dōhan byłam zaledwie raz czy dwa, zamówiono mnie tylko kilka razy. Doszło do tego, że spytałam mężczyznę, u którego wynajmowałam pokój, czy mógłby oddać mi przysługę i udawać, że zaprosił mnie na dōhan.

Ostatecznie Helen i tak została zwolniona, tydzień przed zaginięciem Lucie.

W panującej w Casablance atmosferze współzawodnictwa między hostessami mogła kwitnąć zarówno rywalizacja, jak i przyjaźń. Jednak Lucie i Louise żyły ze wszystkimi na dobrej stopie.

– Bardzo się ze sobą przyjaźniły. Wszystko robiły razem – wspominała Helen Dove. – Mieszkały razem, razem dojeżdżały do pracy rowerami, razem wychodziły na spotkania towarzyskie. Naprawdę dobrze się rozumiały. Wydawały mi się... sama nie wiem... naiwne, dość młode, trochę niemądre, trochę dziecinne. Kiedy się spotykały, całowały się na powitanie, nawet jeżeli nie widziały się zaledwie parę godzin. To było urocze. – Helen, podobnie jak wiele innych osób, była pod wrażeniem dbałości, z jaką Lucie podchodziła do swojego wyglądu: fryzury, ubrania, makijażu. – Nie powiedziałabym, że była olśniewająca, ale tryskała energią, przez co robiła się atrakcyjna –

stwierdziła Helen. – Nie wydała mi się osobą, której brakowałoby pewności siebie. Miała wspaniałe włosy, wspaniałą osobowość, była urocza i wysoka.

Klienci również ją lubili.

– Była inna niż roześmiane Kanadyjki czy Amerykanki, kobiety zbyt radosne i ożywione – skwitował pan Imura, wydawca lubiący łowić kalmary. – Podczas rozmowy nigdy nie zachowywała się przesadnie. – Pan Watanabe, Fotograf, od początku był nią zachwycony: – Już na pierwszy rzut oka wyglądała na osobę pochodzącą z dobrej rodziny. Łagodną, pełną wdzięku, czarującą i wytworną [...] Od razu zwróciłem uwagę na jej dobre wychowanie, staranne wykształcenie, dużą kulturę osobistą i wrażliwość.

„Oczywiście nie jest to praca moich marzeń, ale bardzo łatwo mi przychodzi – napisała Lucie w e-mailu do Sam Burman. – Dobrze zarabiam i życie wygląda tu zupełnie inaczej niż w Anglii. Mężczyźni odnoszą się do kobiet z pełnym szacunkiem. Oczywiście czasami trafi się jakiś dziwak, ale jak do tej pory poznałam mnóstwo sympatycznych ludzi”.

Wzmianka o „dziwaku” może się odnosić do pewnego bliżej nieznanego klienta, który zaproponował Lucie milion jenów (9400 dolarów) za wspólne spędzenie nocy. Gdy Lucie opowiadała o tym matce i siostrze, stwierdziła, że zbyła tę ofertę śmiechem. Louise z kolei wspominała to zdarzenie następująco:

– Lucie była wściekła i poprosiła kierownika, żeby wyprosił tego klienta.

Hostessy otrzymywały polecenie, żeby zbierać wizytówki od mężczyzn, których zabawiały swoim towarzystwem, i dzwonić do nich oraz pisać e-maile, aby ich zachęcić do powrotu do klubu. Zachowało się kilka e-maili od Lucie utrzymanych w tonie niewinnego flirtu i niezobowiązującej kokieterii.

Od: lucieblackman@hotmail.com

Do: Imura, Hajime

Data: środa, 21 czerwca, 2000, 03.01

Drogi Hajime,

chciałam tylko się przywitać. To ja, Lucie z Casablanki. Długowłosa blondynka z Londynu, z którą tak dobrze Ci się rozmawiało [...]

Bardzo się cieszę, że poznałam Cię tamtego wieczoru w klubie, naprawdę dobrze się czułam w Twoim towarzystwie i z ogromną przyjemnością spotkałabym się z Tobą wkrótce na obiedzie, tak jak planowaliśmy.

[...] Zadzwoń do Ciebie w środę między 12.00 a 16.00, żebyśmy mogli porozmawiać i umówić się na spotkanie. Może będzie pasował Ci któryś dzień w przyszłym tygodniu?

Teraz muszę już kończyć, ale zostawiam Ci tę wiadomość, którą mam nadzieję przeczytasz w środę rano pomimo wielu obowiązków, a później, w środę po południu, zadzwonię, żeby porozmawiać z moim nowym wyjątkowym przyjacielem.

Życzę Ci udanego dnia, sobie nie muszę – wiem, że będzie udany, ponieważ niedługo Cię usłyszę.

Pozdrawiam serdecznie,

Lucie

Od: Imura, Hajime

Do: lucieblackman@hotmail.com

Data: środa, 21 czerwca, 2000, 17.30

Witaj!

Dziękuję za e-mail.

Jak się masz, Lucie, urocza, długowłosa blondynko? Zawsze lubiłem dziewczyny z jasnymi włosami i do tego w krótkich spódniczkach. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku.

Jaką kuchnię lubisz najbardziej: francuską, japońską, chińską czy jakąś inną? Zdecyduj się, proszę, na którąś i wybierz się ze mną do restauracji na obiad. Może w przyszły wtorek? Będiesz miała czas? [...]

Przy okazji, znasz amerykański angielski? Nie mówię brytyjskim angielskim zbyt dobrze, ponieważ codziennie jem ryż i zupę miso. Przypuszczam, że mogłaś nie zrozumieć wszystkiego, co mówiłem tamtego wieczoru. Ale ja rozumiałem Cię doskonale. Dlatego możesz mi szeptać na ucho wszystko, co pragniesz mi powiedzieć.

Życzę Ci miłego pobytu w Tokio [...]

Hajime Imura

Kluczem do odniesienia sukcesu jako hostessa było stworzenie grupy lojalnych klientów, którzy przychodzili do klubu bardziej dla niej samej niż dlatego, że podobał im się dany lokal; którzy regularnie ją zamawiali, kupowali „własne butelki” oraz zapraszali ją na dōhan.

Trudno było przetrwać w tym zawodzie, jeśli nie miało się choćby kilku stałych klientów. Lucie jednak szło bardzo dobrze.

„Mam przyjaciela [...] który przychodził co wieczór przez ostatnie osiem dni – napisała do Sam Burman. – To wspaniale, ponieważ świetnie mówi po angielsku, jest nie najbrzydszy i pochodzi z arystokratycznego rodu, czyli jest nadziany!!! [...] Powiedział, że jeśli będzie mi brakowało paru [zamówień], zjawi się, kiedy tylko zechcę”.

Chodziło o mężczyznę o nazwisku Kenji Suzuki¹⁷, najbardziej stałego ze stałych klientów Lucie, który pod względem zawodowym był dla niej zbawieniem, ale pod względem emocjonalnym stanowił obciążenie.

Ken był czterdziestokilkuletnim kawalerem. Nosił duże okulary w metalowych oprawkach, miał wysokie kości policzkowe i krótkie falujące włosy z grzywką. Trudno stwierdzić, czy jego rodzina faktycznie wywodziła się ze starego japońskiego rodu ziemiańskiego, który dawno utracił swój tytuł, bez wątpienia jednak on sam był bardzo zamożny. Wspólnie ze starym ojcem prowadził przedsiębiorstwo elektroniczne, które w 2000 roku przeżywało spore trudności. W licznych e-mailach do Lucie z za pozornie radosnych i żartobliwych słów wyzierały niepokój i samotność. W wiadomościach wspominał o ciężkich spotkaniach z klientami, wyczerpujących wyjazdach służbowych do Osaki. Czasami zostawał w biurze do jedenastej wieczorem, a o szóstej rano następnego ranka miał już być w pociągu. Pocieszenia upatrywał w alkoholu i towarzystwie Lucie.

„Nie tłumaczyłem Ci mojej kłopotliwej sytuacji i okoliczności, w jakich prowadzę firmę – pisał po angielsku, nie przejmując się zbytnio

poprawnością swoich listów. – Możesz sobie wyobrazić, że jest beznadziejnie. Dużo piłem, ale nie wiedziałem, czym jest UŚMIECH, dopóki nie spotkałem Ciebie, och, ale ze mnie frajer, ha-hahaha-hahaha”.

Poznał się z Lucie w drugim tygodniu jej pracy w Casablance. Jeżeli nie przebywał akurat w delegacji poza miastem, pisał do niej i przychodził do klubu prawie codziennie. To, że zadurzył się w Lucie – i to nawet nie jak nastolatek, ale jak dziecko, gdyż jego oddanie wydawało się wręcz infantylne – widoczne było choćby po częstotliwości jego wizyt w barze. Przesłodzone e-maile, które jej wysyłał, tym bardziej nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

„Dziękuję Ci za cierpliwość zeszłego wieczoru – czytamy w pierwszej wiadomości od niego. – Jediną rzeczą, którą teraz mogę powiedzieć na pewno, jest to, że na pewno będę zazdrościł Twojemu przyszłemu chłopakowi w szalonym mieście Tokio”.

Następnego dnia przeproszał:

„Byłem bardzo pijany, wczoraj i zawsze, dlatego chcę porozmawiać z Tobą, kiedy będę trzeźwy i normalny. Może będzie to dla Ciebie bardzo nudne, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha”.

Trzy dni później:

„Interesujesz mnie, ponieważ jesteś sobą. Wiem, że jesteś najbardziej URRRRRRRROCZĄ dziewczyną, jaką spotkałem na tej planecie [...] Do zobaczenia! Kennnnnnnnneeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeee”.

Lucie powiedziała mu, że jedną z rzeczy, których brakuje jej w Japonii, są czarne oliwki. Gdy przyszedli do restauracji na pierwszy dōhan, na stole pojawiła się miska czarnych oliwek przygotowana z polecenia Kena. Zauważył, że szkiełko od zegarka Lucie jest pęknięte, zaniósł go więc do zegarmistrza, a na czas naprawy dał jej zegarek z pieskiem Snoopy.

„Jest taki kochany – napisała Lucie w liście do Sam. – W piątek

w zeszłym tygodniu znów zaprosił mnie na obiad, przyjechał swoim czarnym sportowym alfa romeo i zabrał mnie do pięknej hotelowej restauracji położonej na dwunastym piętrze, a z okien rozciągał się widok na całe Tokio. Coś fantastycznego. Potem wrócił ze mną do klubu, dzięki czemu dostałam 4000 jenów premii”.

„Jutro muszę wstać wcześniej rano, żeby zdążyć na ważne spotkanie – 24 maja napisał Ken do Lucie. – Mimo to zajrzę na chwilę do Casablanki, żeby Cię zobaczyć, chociaż nie mogę dzisiaj rozmawiać”.

Niecałe dwie godziny później dodał:

„Chyba trochę za wcześniej, żebyś obiecywała, że na jutrzejszym obiedzie się nie skończy. Jedzenie ze mną obiadu może się okazać zbyt nudne albo zbyt wstrętne. Tak tylko ostrzegam. Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha”.

Tydzień później:

Prawdę mówiąc, nie przestaję o Tobie myśleć ani na sekundę. [...] Oczywiście bardzo chciałbym poznać Cię lepiej. Mimo to czuję, że już znam Cię bardzo dobrze. Prawdopodobnie Ty też chciałabyś mnie poznać – jak w piosence: „more, more, more, how’d you like it? How’d like it?”. Prawda? Uwaga, z tym miłym mężczyzną trzeba obchodzić się ostrożnie. Jest uroczy, inteligentny i seksowny, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha...

5 czerwca:

Droga Lucie, moja urocza Przyjaciółko,

Uratowałaś mi życie. Właśnie wróciłem z ciężkiego i gównianego (oooooj) spotkania. Mimo że jest poniedziałek, czuję się prawie tak, jakby był czwartek. Mój zapas żartów (niektórzy nazywają to „dowcipem”) wyczerpał się. Dzisiejszy dzień jest w pewien sposób ekscytujący, ale też wykańczający. Wczesnym popołudniem wspiałem się na Mount Everest, a późnym wieczorem spadłem na samo dno Rowu Mariańskiego w Oceanie Spokojnym. Nie jest to zwykła huśtawka humorów w ciągu dnia. Teraz jednak unoszę się na powierzchni, ponieważ twój uroczy e-mail jest niczym kamizelka ratunkowa [...] proszę wybaczyć mój angielski. Na pewno czasami

czujesz się, jakbyś czytała listy od mieszkańca Papui-Nowej Gwinei albo siedmioletniego chłopca.

„[Ken] był urżnięty dziś wieczorem, więc było ciężko – zapisała Lucie w pamiętniku. Kilka dni później zanotowała: – [Ken] urżnięty w sztok, według mnie najgorszy wieczór jak do tej pory!!!”

Nie wydawała się jednak zażenowana tą znajomością. Zadurzył się w niej dwukrotnie starszy od niej mężczyzna, samotny, najwyraźniej bez zobowiązań i bez przyjaciół, uzależniony od alkoholu. W chwili gdy jego firma przechodziła kryzys, wydawał tysiące jenów, żeby spędzić każdy wieczór w towarzystwie Lucie. Ona zaś nie zniechęcała go do tego i zachowywała się jak zachwycona jego staraniami, uszczęśliwiona, pełna wdzięczności ukochana. Jednak dla osoby znajdującej się w jej położeniu postępowanie to było czymś normalnym, a nawet więcej – należało do obowiązków zawodowych. Ken – niepewny, przyzwoity, zadurzony i nadziany – był idealnym klientem. Gdyby Lucie nie zachęcała go, straciłaby pracę.

Hostessy w Roppongi, kierowniczkę i kelnerki, które prowadziły bary, nawet antropolog Anne Allison – wszystkie one mówiły to samo: praca hostessy była grą, w której obowiązywały jasne i wiążące zasady, i zarówno każdy klient, jak i każda dziewczyna instynktownie wiedzieli, gdzie znajdują się granice i kiedy owe granice są przekraczane. Mogło się jednak zdarzyć, że mężczyzna błędnie oceni sytuację, ponieważ trzeźwość jego osądu zmąci samotność, alkohol, miłość albo pożądanie. Mogło się zdarzyć, że jedna ze stron zapomni o zasadach. Co wtedy?

„Nie uważam, żebym był szalony, ale wiele osób tak mówi – pisał Kenji Suzuki. – W porządku. Nawet jeśli jestem szalony, wczoraj wieczorem nie byłem na Ciebie zły ani nie będę na Ciebie zły w najbliższej przyszłości. Nie

przejmuj się! Prawdopodobnie wkrótce ty będziesz zła i będziesz się gniewać na mnie... Hahahahahahahaha”.

7 Hajime Imura to pseudonim.

8 Ichiro Watanabe to pseudonim.

9 J. Turner, *My Life as a Tokyo Bar Hostess*, „The Times”, 7 maja 2004.

10 Helen Dove to pseudonim.

11 Historię praktyki płacenia za damskie towarzystwo opisano między innymi w: L. Dalby, *Geisha*, Berkeley 1983; oraz E. Seidensticker, *Tokyo Rising. The City Since the Great Earthquake*, Cambridge, MA 1990. Uwagi Seidenstickera na temat utraty na znaczeniu zawodu gejszy znajdują się na s. 54–55.

12 Historię Roppongi opisano między innymi w: E. Seidensticker, *Tokyo Rising*, dz. cyt.; oraz R. Whiting, *Tokyo Underworld. The Fat Times and Hard Life of an American Gangster in Japan*, New York 1999.

13 W 2008 roku usunięto napis „High Touch Town”, co wielu bywalców Roppongi przyjęło z żalem.

14 W lipcu 2000 roku, czyli w czasie gdy zaginęła Lucie, wartość 1 dolara amerykańskiego wynosiła w przybliżeniu 106 jenów.

15 A. Allison, *Nightwork. Sexuality, Pleasure and Corporate Masculinity in a Tokyo Hostess Club*, Chicago 1994. Cytaty przytoczone w tym rozdziale pochodzą ze s. 160 oraz 48.

16 A. Allison, *Personal Services*, „The Times”, 14 lipca 2000.

17 Kenji Suzuki to pseudonim.

ROZDZIAŁ 6

TOKIO TO ŚWIAT SKRAJNOŚCI

„W CZASIE, KTÓRY UPŁYNAŁ między przylotem do Tokio a kupnem tego dziennika, wydarzyło się bardzo wiele” – napisała Lucie.

Minęło zaledwie dwadzieścia dni. Przyjechałyśmy do syfialni i powoli zmieniłyśmy ją w dom. Głodowałyśmy, a potem wypiliśmy swoje i znów przybrałyśmy na wadze wszystko, co przedtem zrzuciłyśmy. Znalazłyśmy pracę jako hostessy w klubie Casablanca. W ciągu ostatnich dwudziestu dni wypiliśmy więcej alkoholu niż przez całe swoje życie [...].

Były to niezwykle ciężkie i wymagające ogromnego wysiłku emocjonalnego trzy tygodnie. Tokio to świat skrajności. Albo fruwa się wysoko niczym latawiec, albo jest się niżej, niż można sobie wyobrazić [...] nie ma nic pośrodku.

Całą następną stronę zajmują dwa słowa napisane olbrzymimi, zachodzącymi na siebie, cieniowanymi literami utrzymanymi w stylu graffiti: TOKYO ROCKS.

Casablanca zamykała się o godzinie drugiej w nocy lub po wyjściu ostatnich klientów. Dziewczyny pomagały im założyć marynarki, prowadziły ich chwiejnym krokiem do obitych skórą drzwi i czekając na windę, trajkotały jedna przez drugą:

– Do widzenia, Yamada-san. Do widzenia, Imoto-san. Proszę nas znów odwiedzić! Do widzenia, do zobaczenia wkrótce!

Potem wracały do klubu, przebierały się z sukienek w codzienne stroje i rozchodziły się, znikając w wilgotnym mroku.

W momencie gdy zagraniczne hostessy opuszczały kluby, noc w Roppongi oferowała dwa wyjścia. Wybór był prosty i nieunikniony. Jeśli w tej chwili hostessa poszłaby do domu, obudziłaby się rano z pewnym zapasem czasu wolnego – zdążyłaby posprzątać, zrobić na zakupy, spotkać się z kimś na lunchu. Jeżeli jednak zostawała w mieście, piła do samego rana.

– W Roppongi nie istniało coś takiego jak wyjście na jednego drinka – powtarzali zagraniczni bankierzy i Lucie przekonała się, że to prawda.

„Zeszły tydzień był szalony – napisała do Sam. – Jakoś tak wyszło, że zaczynając od środy, co wieczór byłam nawalona. Po pracy dużo ludzi stawia nam drinki, a że kończymy najwcześniej o drugiej, zanim się zorientujemy, jest siódma rano, jasny dzień, a my zataczamy się na ulicach Tokio. Mają tu świetne bary i po prostu trudno się powstrzymać”.

Na skrzyżowaniu Roppongi znajdował się bar Geronimo – ciasny, głośny, ozdobiony odciętymi końcówkami drogich jedwabnych krawatów, które odkrajali i zostawiali na pamiątkę pijani bankierzy. Był bar Castillo z wywieszką informującą o zakazie wstępu Irańczykom oraz didżejem Akim, właścicielem niezrównanej kolekcji płyt z lat osiemdziesiątych minionego wieku. W lokalu Wall Street nad barem wisiała tablica wyświetlająca notowania giełdowe; lokal Gaspanic był miejscem najbardziej urokliwym i zmysłowym, w którym liczyły się jedynie alkohol, taniec i obmacywanie. Ulubionym miejscem spotkań hostess był bar Tokyo Sports Cafe prowadzony przez tych samych ludzi, którzy kierowali położonymi po sąsiedzku klubami ze striptizem Seventh Heaven i Private Eyes oraz barem z hostessami One Eyed Jack's. O tej porze nocy grupa hostess rzadko musiała długo czekać, żeby ktoś postawił im drinka. W Sports Cafe, tak samo jak w klubach, dostawały one procent od wina i szampana kupionego przez towarzyszących

im mężczyzn. W ten sposób przez pewien czas po zwolnieniu z Casablanki utrzymywała się Helen Dove – przesiadywała w Sports Cafe i jednej nocy potrafiła zarobić 8000 jenów dzięki prowizji od drinków, które stawiali jej mężczyźni.

Lucie dobrze się bawiła podczas tych wieczorów – a raczej wczesnych ranków – po pracy. Jednak nikt nie zachwycał się tymi wyjściami bardziej niż Louise.

Pewnej soboty Ken Suzuki zaprosił Lucie na obiad. Później Lucie wysłała z kafejki internetowej kilka e-maili i spotkała się z Louise o północy. W Geronimo przywitał ich tłum znajomych twarzy. Dziewczyny opróżniały kolejne kieliszki pierwszorzędnej tequili. Louise szybko się „nawaliła” i zaczęła prowadzić rozmowę z mężczyzną o imieniu Carl.

„Potem poszliśmy do Wall Street – napisała Lucie – gdzie wszystko zaczęło się psuć”.

Louise poznała jakiegoś mężczyznę. „Fajny facet”, uznała Lucie, choć wyczuwała w nim coś niebezpiecznego. Przypominał, zanotowała, jej byłego chłopaka, oszusta i degenerata Marca.

„Ale Lou była już tak pijana, że nie myślała racjonalnie. – We trójkę wyszli z Wall Street i przenieśli się do klubu Deep Blue: – Tam Louise stwierdziła, że potrzebuje czegoś innego, co by ją ożywiło. – Lucie relacjonowała dalej: – Poznałyśmy nowych ludzi i ja zaczynałam się naprawdę dobrze bawić, ale Lou odbiło”.

Pojawiła się dziewczyna nowego kolegi Louise, ale Louise nie zwracała uwagi na to, że przyjaciółka kolegi wrze z zazdrości.

„Lou odbijało coraz bardziej, całowała tego faceta na oczach jego dziewczyny – napisała Lucie. Nagle muzyka ucichła, rozblęły światła i wszyscy w klubie patrzyli na parkiet, na którym kotłowało się pięć osób. – Dziewczyna rzuciła się na Lou – relacjonowała Lucie – ja rzuciłam się na

dziewczyne, facet rzucił się na Lou, ja rzuciłam się na faceta, facet rzucił się na mnie, bramkarz rzucił się na faceta, w końcu poszłam po torebki, wróciłam po Lou, poszliśmy do windy, zaczął śledzić nas jakiś psychol, aż wreszcie dotarliśmy do domu”.

– Nigdy nie usłyszałam od Lucie, żeby świetnie się bawiła – stwierdziła Sophie. – Nie wątpię, że wychodziła, upijała się i imprezowała, ale nie sądzę, żeby była szczęśliwa. Nie mówię tak z powodu tego, co ją spotkało. Naprawdę uważam, że nie była szczęśliwa. Pamiętam, jak się martwiłam, że nie jest szczęśliwa. Była do mnie podobna pod tym względem. Obydwie [...] zachowywałyśmy się prawie tak, jakbyśmy odgrywały jakąś komedię. Jeśli ludzie naokoło mnie upijają się, ja też się upiję, a jeśli ludzie naokoło mnie chodzą do biblioteki czytać książki, ja też będę chodzić do biblioteki. To nie tak, że zawsze robię coś, czego nie chcę robić. Ale czuję bardzo silną potrzebę akceptacji. Lucie lubiła być lubianą, podziwianą, służyło jej to i zabiegała o to. Jednak im była starsza, tym więcej robiła rzeczy, które tak naprawdę nie były w zgodzie z nią. Myślę, że Lucie czuła się w Japonii odepchnięta. Na pewno dość wcześnie odniosłam wrażenie, że wcale nie bawi się dobrze i że znów odgrywa komedię, że spotyka się z ludźmi, robi to samo co oni, ale tak naprawdę nigdy nie czuje się dobrze we własnej skórze.

Lucie bardzo często wracała myślami do domu i do ludzi, którzy tam zostali. Pewnej nocy didżej w Geronimo puścił piosenkę Stinga *Fields of Gold*, a wtedy przypomniał jej się Alex, młody Australijczyk, barman z Sevenoaks.

„Nie wyobrażam sobie, jak to będzie w końcu go zobaczyć – napisała w dzienniku. – Ściska mnie w żołądku na samą myśl o tym, czasami wydaje mi się, że to już niedługo, prawie że jutro, a innym razem mam wrażenie, że muszą minąć całe wieki. Cały czas myślę tylko o nim [...] jak trzyma mnie za rękę, przewierca mnie spojrzeniem tych swoich pięknych oczu, przygryza

dolną wargę zębami [...] Nawet kiedy jestem w barze, urżnięta, w towarzystwie innych mężczyzn, on nadal jest w moich myślach”.

Problem jak zwykle stanowiły pieniądze. Pod koniec maja, trzy tygodnie po przyjeździe do Tokio, Lucie przeprowadziła analizę swojej sytuacji finansowej. Jej zadłużenie – na które składały się między innymi dwie pożyczki bankowe, debet na koncie, długi wobec matki i ojca oraz spłata kart kredytowych i „Łoża Księżniczki” – wynosiło około 8000 dolarów. Minimalne raty za te wszystkie obciążenia oraz czynsz za pokój w Sasaki House, opłata za wypożyczenie roweru i wydatki na skromne życie – 20 000 jenów (około 188 dolarów) tygodniowo – pochłaniały cały jej dochód z pracy w charakterze hostessy. Stało się oczywiste, że wiele miesięcy zajmie jej choćby nieznaczne zmniejszenie zadłużenia. Musiała porzucić pierwotny plan, który zakładał powrót do domu z początkiem sierpnia.

„Nie pozostaje mi nic [innego], jak pogodzić się z tym – napisała – ale czuję, że przez to nic nie wyjdzie mi z Alexem, i robi mi się beznadziejnie smutno, a do tego dom wydaje mi się teraz tak bardzo odległy. Ciągłe czuję się bardzo zdezorientowana i zagubiona i za każdym razem gdy zdaje mi się, że mam się czegoś złapać – nadchodzi zmiana”.

Lucie dokuczało jednak coś więcej niż rozłąka z chłopakiem i pieniądze. Wyraz swoim emocjom dała w płomiennym, przepełnionym samotnością i prawdopodobnie zanotowanym pod wpływem alkoholu wpisie, który pojawił się w dzienniku trzy tygodnie po jej przylocie do Japonii.

Data: 26.05 – 5.50

Nie wiem, o co chodzi, ale to miejsce wydaje się wydobywać ze mnie najgorsze cechy. Bez przerwy płaczę. Bardzo boli mnie brzuch – namacalny, fizyczny dowód tego, że czuję się totalnie zdruzgotana. Tyle już się napłakałam, łzy nie leczą mi jedna za drugą, ale napływają falami.

Nie radzę tutaj sobie zbyt dobrze. Nie potrafię wyciągnąć się z tego dołka, w który wpadłam.

Musiałam zostawić Lou w Sports Cafe z Keenanem – nie mogłam dłużej tego

znieść. Czuję się tam tak kurewsko strasznie – nienawidzę tego.

Czuję się brzydka, gruba i niewidzialna, bez przerwy się nienawidzę. Jestem taka przeciętna. Każda część mnie, od stóp do głów, jest zupełnie przeciętna. Tylko mi się wydawało, że uda mi się tutaj. Nienawidzę swojego wyglądu, nienawidzę swoich włosów, nienawidzę swojej twarzy, nienawidzę swojego nosa, nienawidzę swoich skośnych oczu, nienawidzę pieprzyka na twarzy, nienawidzę zębów, nienawidzę brody, nienawidzę swojego profilu, nienawidzę swojej szyi, nienawidzę swoich cycków, nienawidzę tłustych ud, nienawidzę tłustego brzucha, nienawidzę obwisłego tyłka, NIENAWIDZĘ swojego znamienia, nienawidzę posiniaczonych nóg, czuję się tak bardzo odrażająca, brzydka i przeciętna.

Tkwię po uszy w zasranych długach i tak bardzo potrzebuję, żeby mi się udało. Jest nieźle, bo jest Lou, i cieszę się, że jej wychodzi – ale ja jestem do dupy hostessą. Miałam 1 dōhan tylko dzięki Shannon, na drugim facet mnie wystawił – trzeba być naprawdę beznadziejną, żeby wystawił cię klient. Mam teraz tylko [Kena] – ale jak długo to potrwa? Faceci zabijają się, żeby zamówić Louise – ja muszę podrabiać zamówienia i do tego mnie wystawiają.

Nishi dał jej napiwek i jest z tego powodu zachwycona, ale ona po prostu się do tego nadaje – ze wszystkimi się zaprzyjaźnia, a ja jak zwykle, niezależnie od tego, gdzie jestem, czuję się samotna.

To nie Sevenoaks, to ja.

Nie potrafię nikomu wytłumaczyć tego uczucia, tej totalnej pogardy dla siebie i tego przekonania, że jestem zupełnie przeciętna. Bardzo starałam się zrozumieć, skąd ono się wzięło, próbowałam też wyjaśnić to mamie i Lou – one uważają, że opowiadam głupoty, ale ja naprawdę właśnie tak się czuję. Czuję się niewidzialna, czuję się nikim, jak gdybym nie miała swojego miejsca, nie potrafiła nigdzie się wpasować.

[...] Wiem, że Lou też różnie się miewała w ostatnim roku, ale nigdy nie czuła się taka bezwartościowa.

Najprzystojniejsi mężczyźni są nią zauroczeni. Zawsze uważa, że zasługuje na wszystko, co najlepsze, i staje się coraz bardziej olśniewająca i pewna siebie. Ja naprawdę nie żartuję i chociaż to brzmi głupio, ale wykańcza mnie to zasrane uczucie i to, że czuję się samotna, chociaż codziennie jestem z Lou, i to, że jestem przybita i tkwię po uszy w długach – czasami naprawdę nie chce mi się już czekać, żeby się przekonać, jak to się skończy. Chce mi się zniknąć. Czuję, że ugrzęzłam, i nie wiem, co robić.

Czuję się obco.

Nie mam nic.



W arkana sztuki prowadzenia klubu z hostessami wprowadził mnie Kai Miyazawa¹⁸. Kai w każdych innych okolicznościach byłby nietuzinkową postacią, a już w grupie Japończyków w średnim wieku wydawał się absolutnym oryginałem. Miał około pięćdziesięciu pięciu lat, przystojną, pokrytą zmarszczkami twarz oraz siwe włosy ściągnięte wysoko nad czołem i związane w koński ogon. Ubierał się w wyszywaną w kwaciaste wzory koszulę rozpiętą do połowy klatki piersiowej, jaskrawopomarańczowe spodnie z prążkowanym biało-pomarańczowym paskiem oraz kowbojskie buty. Na szyi nosił srebrny łańcuch, zaś na lewym nadgarstku oprócz kolejnego łańcucha połyskiwał masywny srebrny zegarek.

Kai był żywą legendą barów z zagranicznymi hostessami w Roppongi. W 1969 roku, kiedy miał osiemnaście lat, poszedł do pierwszego klubu kimpatsu – Casanovy, i zachwycił się pracującymi tam pięknościami. Przez kolejne dwadzieścia lat większość wieczorów spędzał w Roppongi, dając upust swojej fascynacji. Pewnego dnia jeden ze znajomych zauważył, że skoro Kai tak bardzo kocha cudzoziemki, powinien założyć własny bar. W 1992 roku podwoje otworzył klub Kai, który rok później przekształcił się w klub Cadeau. Nie było łatwo i Kai musiał ciężko pracować, żeby wyjść na swoje. Bez przerwy musiał się przenosić do tańszych pomieszczeń i pertraktować z miejscową jakuzą, japońską mafią.

– Nie znam się za bardzo na prowadzeniu interesów – wyznał. – Znam się za to na dziewczynach.

Kai był dumny z klubu Cadeau. Jako kierownik oraz właściciel obserwował swoje hostessy ze skupieniem gracza wpatrującego się

w trzymane w ręku karty. Doskonale znał ich mocne i słabe strony; rozmieszczał je na sali w sposób uważny i przemyślany, tak aby ich ustawienie przyniosło mu jak najwięcej zysku. W oczach mało spostrzegawczego, coraz bardziej zamrozonego wypitym alkoholem klienta kolejne zmiany hostess to naturalny proces, równie spodziewany jak fala przyptywu i odpływu. Tymczasem nad wszystkim czuwał Kai, Zeus z włosami związanymi w kucyk, spoglądający na świat zza baru niczym z wysokości Olimpu.

Rzadko wychodził zza kontuaru – przysiadł się jedynie do najlepszych klientów, żeby wymienić z nimi krótkie uprzejmości. Jego zadaniem było obserwowanie sali, dostrajanie się do niewidzialnych fal i wibracji emitowanych przez każdego obsługiwanego klienta, wyczuwanie jego nastroju i odnotowywanie wszystkich zmian zachodzących w nim w miarę rozwoju sytuacji. Kai musiał cały czas się orientować, na jakim „etapie” znajduje się każdy klient, i mieć pomysł na to, co zrobić, aby zatrzymać go na dłużej.

– Jeśli klient zostaje tylko na godzinę, nie mam z tego żadnych pieniędzy – opowiadał Kai. – Płaci 10 000 jenów. Dziewczyny dostają z tego 3000 jenów, więc po odjęciu czynszu i drinków zostaje mi mniej więcej 2000 jenów. Jeśli klient zostaje na godzinę, nie obchodzi mnie. Po godzinie zaczyna mnie obchodzić.

Po wejściu do klubu klient był zatem sadzany z jedną z najatrakcyjniejszych dziewcząt. Przechodził etap miesiąca miodowego: witano go z szacunkiem, otaczały go piękne dziewczyny, whisky rozgrzewała od środka, a panujący w pomieszczeniu półmrok spuszczał zasłonę erotycznych obietnic na kiczowate wnętrza. Dziewczyna i klient zaczęli rozmowę. Kai obserwował.

– Najpierw daję mu piękną i miłą dziewczynę – wyjaśniał. – A potem

sprawdzam, jak się dogadują, czy się rozumieją. – Jeśli nie, Kai szeptał słówko kelnerowi, który z kolei szeptał słówko owej dziewczynie, ona zaś uprzejmie prosiła o wybaczenie i zwalniała miejsce drugiej hostessie, która natychmiast się pojawiała. Być może ona zaprzyjaźni się z klientem. Musi zatrzymać go do końca pierwszej godziny i sprawić, aby zaczęła upływać druga. Jeżeli jej się to udawało, Kai miał na swoim koncie pierwszy sukces.

– Po pierwszej godzinie, choćby minutę po, przesadam tę dziewczynę do innego stolika i wysyłam mu jakąś brzydką. Jeśli będzie chciał znów porozmawiać z tą ładną, może ją zamówić – 3000 jenów. Może też powiedzieć: „Chcę, żeby tamta wróciła”, a wtedy my odpowiadamy: „Przykro nam, ale w tym momencie jest zajęta – proszę poczekać pół godziny”. – Tym sposobem rozpocznie się trzecia godzina, a rachunek klienta wzrośnie do 30 000 jenów i wciąż będzie otwarty.

– Trzeba ich obserwować – pouczał Kai z uśmiechem doświadczonego myśliwego opowiadającego o tropieniu łosia. – Trzeba wiedzieć, o czym myślą. Jeżeli idzie do toalety i tuż przed wejściem patrzy na zegarek, wiadomo, że planuje wracać do domu. Wtedy trzeba mu dać najlepszą dziewczynę w klubie. Niech czeka na niego, kiedy wyjdzie, jego wymarzona dziewczyna. – Klientowi, który ledwo zdążył zamknąć za sobą drzwi do toalety, wybrana hostessa wręczała ciepły ręcznik i prowadziła go za rękę do stolika. On postanawiał zostać jeszcze na chwilę, wypić z nową przyjaciółką jednego drinka, whisky z wodą, ale ona miała ochotę na szampana (30 000 jenów za butelkę). Tik-tak, tik-tak: wkrótce zaczynała się czwarta godzina. W trzy godziny i minutę klient wydał około 80 000 jenów. A teraz jego wymarzoną dziewczynę, tę od picia szampana, przenoszono gdzieś indziej.

– Trzeba umieć zajrzeć tym mężczyznom do środka – tłumaczył Kai. – Trzeba umieć czytać im w myślach. Ja mam do tego wyjątkowy talent.

Jego geniusz polegał po części na umiejętności znalezienia odpowiednich

dziewcząt. Kai wyłuskiwał je ze znanstwem profesjonalnego handlarza końmi.

– Dziewczyny muszą mieć mniej niż dwadzieścia dwa lata – zdradził. – Bardzo ważne jest to, żeby ładnie wyglądały, jak kwiatuszki. Wystarczy, że jedna dziewczyna w klubie jest piękna, a wtedy wszystkie pozostałe też wydają się piękne. Roppongi jest małe. Jeśli jedna dziewczyna jest piękna, wiadomość o tym szybko się rozchodzi, wszyscy o niej rozmawiają, ludzie zaczynają przychodzić. Mój klub miał w tamtym czasie najpiękniejsze, najwspanialsze hostessy. Kiedy dziewczyny przyjeżdżały do Tokio, miały listę klubów, w których najlepiej pytać o pracę: numerem jeden był One Eyed Jack's, ponieważ był największy. Drugi był mój klub, Cadeau. Czasami nawet byłem pierwszy.

Na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy interes szedł najlepiej, dziewczyny zwerbowane na ulicach Roppongi nie wystarczały, żeby zaspokoić popyt na zagraniczne hostessy. Kai i jego żona, była hostessa, z pochodzenia Brytyjka, umieszczali ogłoszenia w prasie zagranicznej i jeździli do Anglii, Szwecji, Czechosłowacji, Francji i Niemiec, żeby wyłowić nowe talenty.

Kai, jak sam stwierdził, znał cudzoziemki. Kochał cudzoziemki, zarabiał na nich. A jednocześnie gardził nimi. Swoją pogardę wyrażał mimochodem, w beznamiętny, bezceremonialny sposób. W zestawieniu z entuzjazmem, z jakim opowiadał o prowadzeniu klubu, było w jego nastawieniu do hostess coś szokującego. Narodziło się to jednak w odpowiedzi na wzgardę, którą hostessy darzyły swoich klientów, a przynajmniej tak odbierał Kai ich zachowanie – jako protekcyjne, pełne lekceważenia i rasistowskie z natury.

– Tylko dziesięć procent z nich to normalne dziewczyny, dziewczyny, które znają swoją tożsamość i wiedzą, dlaczego są w Japonii – twierdził. –

Tylko dziesięć procent z nich lubi Japonię, interesuje się naszym krajem, kulturą. – Utrzymał, że większość dziewcząt zwerbowanych przez niego w Tokio to podróżniczki przybyłe z wysp na południu Tajlandii, dokąd trafiły, wędrując szlakiem amatorów narkotykowych imprez w blasku księżycy, na których nie brakuje marihuany, ecstasy i kokainy. – Zostają bez pieniędzy. Wtedy się dowiadują, że w Japonii można łatwo zarobić. Przyjeżdżają więc, pracują przez trzy miesiące, a kiedy coś oszczędzą, wracają do Tajlandii. Nie podoba im się tutaj. Nie szanują żółtych ludzi. Obchodzą ich tylko pieniądze. Dziewięćdziesiąt procent z nich nie może znaleźć pracy we własnym kraju. Tylko dziesięć procent jest w Japonii z wyboru. Pozostałe nie mają pojęcia, dlaczego tu są, to zwykłe imprezowiczki. Biorą narkotyki, uganiają się za chłopakami. Wszystkie biorą narkotyki, w weekendy zawsze biorą ecstasy, imprezują jak szalone. Z narkotykami jest tutaj szaleństwo, szaleństwo. Po prostu szaleństwo. Tylko dziewczyny z Europy Wschodniej nie biorą tak dużo, ponieważ wysyłają wszystkie zarobione pieniądze do domu, rodzinie. Jakieś dwadzieścia, trzydzieści procent z nich ma problemy seksualne. Co to znaczy? To znaczy, że ojciec brał je do łóżka, bardzo często. Opowiadały mi o tym, ponieważ ludzie lubią ze mną rozmawiać. Mówiły mi: „Kai, mój ojciec wciąż jest moim facetem”. Dlatego cały czas są wściekłe. Jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt procent z nich jest po rozwodzie w swoim kraju. Taką mają przeszłość, popieprzoną przeszłość. Nie mają przyjaciół. Nie potrafią porozumieć się z ludźmi. A potem jadą do Tajlandii i w końcu mogą się z kimś zaprzyjaźnić, bo spotykają innych ludzi, takich samych jak one. Rozumieją się dzięki narkotynom. W weekendy to ich łączy. Jakieś dziewięćdziesiąt procent sypia z klientami. Dlaczego miałyby tego nie robić? Nikogo nie krzywdzą, jest przyjemnie, dostają pieniądze, stają się bogate, nie ma sprawy!

Mówiąc w ten sposób, Kai dawał upust swojemu poczuciu moralnej wyższości i trudno było brać jego słowa na poważnie. Nie wierzyłem, że dziewięć na dziesięć hostess prostytuuje się. Nie wierzyłem w statystyki, którymi sypał jak z rękawa. Za napuszonym językiem krył się mizoginistyczny przekaz: „wszystkie hostessy to dziwki”. Z drugiej strony kobiety, które opisał – naćpane, popieprzone i zagubione – bardzo często można było spotkać w Roppongi w klubach ze striptizem, a także z hostessami. Jednak pogarda, którą wyrażał Kai, świadczyła o czymś innym. Żaden inny mężczyzna nie miał mniejszego prawa osądzać hostess niż on. To, że mimo wszystko je oceniał, nie tylko dowodziło jego hipokryzji, ale dawało również pewne pojęcie o ogólnym podejściu Japończyków do tej sprawy.

Gdy spędzi się w Roppongi pewien czas, oczy przyzwyczajają się do panującego tam kolorytu i można dostrzec różnice między kelnerką a hostessą, striptizerką a „masażystką”. Jednak większość ludzi nie zauważa tych różnic i niespecjalnie jest nimi zainteresowana.

– Niektóre hostessy nie uważają się za część mizu shōbai¹⁹, ponieważ nie odbywają stosunków seksualnych – stwierdziła Mizuho Fukushima, posłanka japońskiego parlamentu walcząca o prawa cudzoziemek w Japonii. – Niemniej ludzie z zewnątrz uważają, że to, czym zajmują się hostessy, podpada pod kategorię przemysłu erotycznego.

Anne Allison pisze:

– [Hostessa] kojarzy się z czymś nieprzyzwoitym²⁰, przywodzi na myśl erotyzm i świat mizu shōbai, który reprezentuje. Z kolei aura erotyki i nieprzyzwoitości sprawia, że kobieta pracująca w tym świecie staje się nieodpowiednią kandydatką na porządną żonę, przez co traci szansę na uzyskanie godnego statusu matki prawowitych dzieci [...] w kulturze, w której macierzyństwo uznawane jest za „naturalną” rolę kobiety, kobieta

z mizu shōbai przekracza prawa natury. Z tego powodu jest poniżana, z tego powodu jest uwielbiana.



Obniżony nastrój Lucie utrzymywał się od maja do drugiego tygodnia czerwca. Dopiero wtedy humor poprawił się jej trochę i ponownie zaczęła myśleć o przyszłości.

„Naprawdę dobijały mnie te straszne uczucia – napisała. – Ale dzisiaj mam się dobrze. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że nie chcę być tu do listopada/grudnia – potrzebuję świeżego powietrza, więcej przestrzeni. Czułam to, odkąd tu przyjechałam”.

W piątek obydwie przyjaciółki wyszły z klubu i udały się do Wall Street, gdzie miały się spotkać z nowym chłopakiem Louise Francuzem o imieniu CÔme („tak jak w nazwie firmy LancÔme”, Lucie wyjaśniła Sam), który obiecał przyprowadzić kolegę do towarzystwa. W barze było pełno ludzi; mężczyźni się spóźniali.

„Ponieważ ich nie ma, zamawiamy sobie drinki i siadamy – Lucie relacjonowała całe zdarzenie w liście do Sam – a wtedy NA SCENĘ WKRACZA BÓG SEKSU, MISTER UNIVERSE! – Louise szybko „zwabiła” chłopaków w swoją stronę. – Zaczynamy rozmawiać i okazuje się, że to prawdziwe ciacho – pisała Lucie. – Na imię ma Scott, ma dwadzieścia lat, jest Amerykaninem z Teksasu, mówi z akcentem, od którego mięknię podę mną kolana, ma niebieskie oczy, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szerokie bary, brzuch kulturysty, proste, jasnobrązowe włosy, cudny tyłeczek, dostałby kontrakt jako model od ręki, ale on ma inny zawód, czekaj, teraz będzie najlepsze: jest żołnierzem amerykańskiej piechoty morskiej!!! Wyobrażasz go sobie w mundurze??? Ja też! – Od początku obrała taktykę. –

Postanowiłam po prostu dobrze się bawić tego wieczoru – napisała – i dopóki nie rzucałam się na niego, co pewnie wiele innych robiło, i nie spałam z nim ani nic w tym stylu, byłam na wygranej pozycji. Byłam spokojna i pewna siebie, a on zachowywał się jak miś, który chce się dobrać do garnka z miodem”.

Przenieśli się do najstarszej dyskoteki w Roppongi, Lexington Queen. Zamówili szampana; Lucie i Scott tańczyli.

„Zaiskrzyło między nami od razu. Jest fantastycznym tancerzem. Parkiet był nasz i bawiłam się cudownie”.

Potem poszli do trzeciego baru o nazwie Hideout. W tym czasie słońce zaczynało już wschodzić. Côme był zupełnie pijany i Louise postanowiła odprowadzić go do domu. Scott o wiele wcześniej przegapił pociąg, którym miał wrócić na lotniskowiec, Lucie podjęła więc decyzję. Pamiętając o zasadach z poradnika, wyrecytowała formułkę, którą na swój użytek nazwała „gadką pod tytułem: »spieprzaj«”, po czym zaprosiła go do siebie.

Na specjalnej stronie dziennika, na której widniał nagłówek: „Cytaty!!! Wspomnienia z Tokio”, zanotowała wspomnianą „gadkę”. Brzmiała ona następująco: „Słuchaj, jesteś naprawdę fajny. Na pewno mnóstwo dziewczyn poszłoby z tobą do łóżka, ale jeżeli tego właśnie chcesz ode mnie – kiepsko trafiłeś, więc po prostu spieprzaj, jeśli o to ci chodzi”.

Po powrocie do Sasaki House całowała się ze Scottem, ale nie zgodziła się, żeby poszedł z nią na górę.

„Z początku chyba był trochę rozczarowany, ale w końcu okazji na zwykłe przygody nie brakuje, a przecież tak naprawdę każdy z nas chce kogoś kochać i być kochanym. Zrobiłam więc to, co wiedziałam, że go totalnie zauroczy, i przez co będzie wolał mnie od każdej innej dziewczyny. Całowałam się z nim słodko, delikatnie, ale wystarczająco namiętnie, żeby go wzięło; trochę się przytulałam, czuliłam do niego [...] i podziałało”.

Lucie poznała Scotta w piątek, 9 czerwca 2000 roku. Kolejne dwadzieścia jeden dni upłynęło pod znakiem szczęścia i radosnego podniecenia. Podczas gdy Lucie szykowała się do wyjścia na następne spotkanie ze Scottem, z którym umówiła się na sobotni wieczór, zadzwonił do niej Alex, barman z Sevenoaks. Zaledwie kilka dni wcześniej zdarzenie to urosłoby do rangi najbardziej emocjonującego przeżycia w tygodniu, teraz jednak było jedynie dodatkiem.

„Jak zwykle ucieszyłam się, że go usłyszałam – przyznała w dzienniku – ale czuję, że robi mi się coraz bardziej daleki... A więc, wracając do Scotta”.

Z półgodzinnym spóźnieniem, do którego przyczynił się Alex, pojawiła się w umówionym na randkę miejscu, w Almond, różowym barze kawowym na skrzyżowaniu Roppongi.

„Był w dzinsach i w niebieskim podkoszulku. Nie widział mnie, ponieważ stał plecami do mnie. Klepnęłam go w ramię i się odwrócił – wyglądał prześlicznie. Oczy miał jeszcze bardziej niebieskie, niż zapamiętałam, uśmiechał się cieplej i całował jeszcze bardziej oszałamiająco”.

Pojechali pociągiem do dzielnicy Harajuku, popularnego miejsca weekendowych spotkań młodych tokijczyków, i spacerowali Omotesando, najbardziej romantyczną ulicą w Japonii, która jak żadna inna ulica w Azji przypominała paryski bulwar – szeroka, wysadzana drzewami, łagodnie opadająca w stronę chramu Meiji.

„Było nam ze sobą tak dobrze – pisała Lucie. – Czuję się przy nim bardzo swobodnie i jest mi dobrze samej ze sobą w jego towarzystwie [...] Bardzo dużo rozmawialiśmy, ale byliśmy tacy uszczęśliwieni i rozchichotani, że co chwila gubiliśmy wątek, naprawdę fajne uczucie. Czułam się, jak gdybym była pijana: śmiałam się z byle czego. Ale przez cały czas zachowywałam spokój”.

Zjedli kolację we włoskiej restauracji, potem przeszli po kładce przerzuconej ponad aleją na wysokości kępy platanów. W tamten wilgotny i upalny czerwiec listowie drzew było wyjątkowo bujne i soczyście zielone.

„Kiedy przechodziliśmy, zaczęliśmy się całować – napisała Lucie. – Było ciemno, ze wszystkich stron jak okiem sięgnąć otaczały nas światła Tokio, Omote-sando tętniła życiem i kiedy się całowaliśmy, zupełnie się zatraciłam i czułam, jak gdyby serce podeszło mi do gardła [...] kiedy się cofnęłam, ogarnęło mnie poczucie szczęścia”.

Na końcu dziennika Lucie narysowała tę scenę – ona i Scott całujący się na mostku zawieszonym nad piękną, zadrzewioną aleją.



Lucie napisała: „Dziś, chyba po raz pierwszy, odkąd pamiętam, mogę powiedzieć, że jestem na 100% szczęśliwa. Nigdy wcześniej nie miałam tak

mało, a jednocześnie nie czułam, że mam bardzo dużo”.

Po spotkaniu ze Scottem dni szybko mijały.

„Przeciętny dzień i przeciętna noc – napisała Lucie w poniedziałek po pierwszej randce ze Scottem – stały się cudowne, ponieważ byłam wniebowzięta. – Następnego ranka obudziła się wcześnie, skacowana i wyczerpana, ale musiała razem z Louise i jednym z jej klientów pojechać do tokijskiego Disneylandu położonego daleko na wschodnich obrzeżach miasta. – Lało jak z cebra, obie czułyśmy się fatalnie [...] Kiedy przyjechałyśmy, poczułam się lepiej, byłam radosna i przejęta”.

W środę rano doszło do kryzysu, gdy Lucie spojrzała w lustro i zobaczyła na dolnej wardze bolesne wypryski opryszczki. Odwołała wieczorne spotkanie ze Scottem.

„Czułabym się cholernie źle – nie dość, że totalnie skrępowana, to na dodatek zupełnie nieatrakcyjna”. W zamian umówiła się na dōhan z Kenem w restauracji Georgian Club, „najpiękniejszej restauracji, jaką w życiu widziałam – czułam się jak księżniczka”.

Zgodnie z zasadami obowiązującymi w zawodzie hostessy (niektóre kluby wymagały nawet, aby dziewczyny podpisywały specjalne oświadczenia w tej sprawie) w żadnym wypadku nie wolno było opowiadać klientowi o chłopaku albo narzeczonemu „z zewnątrz”. Najwyraźniej jednak Ken wyczuł, że coś się zmieniło i że Lucie mniej się nim interesuje. Utrzymywanie iluzji, na którą nie żałował pieniędzy, stawało się coraz trudniejsze. Z e-maili Kena wycierał niepokój i zazdrość.

„Nie musisz mnie za nic przepraszać – pisał pogodnie w połowie czerwca. – Rozumiem, że praca hostessy pochłania więcej energii, niż

przypuszczałaś [...] Pomyślałem tylko, że Twój chłopak też przyjechał do Japonii, ha, ha, ha, ha, ha, , , , , , , , ,” – Jednak już kilka dni później znów okazywał swoje uczucia i potrzeby: „Bardzo za Tobą tęsknię. Do zobaczenia w niedzielę, mam nadzieję!”. Minęła niedziela, odpowiedź od Lucie nie przyszła. Następną wiadomość od Kena utrzymana była w tonie nieśmiałej wymówki.

Chyba się nie zrozumieliśmy. Myślałem, że będziesz chciała umówić się na obiad ze mną. Byłbym wdzięczny, gdybyś dawała mi znać, kiedy zmieniasz zdanie.

Dwie godziny później nadeszła kolejna wiadomość, zatytułowana: „Sayōnara!!!”:

Jestem pewny, że moje serduszko znów zostanie złamane, jak zwykle. Ale to nic takiego, młoda damo! Chciałem Ci tylko życzyć, żebyś świetnie się bawiła w Tokio. Au revoir!

Lucie oczywiście cały weekend poświęciła na coraz większe angażowanie się w związek ze Scottem.

W nocy przed następną randką nie mogła zasnąć do szóstej nad ranem: „przewraca mi się w żołądku [...] powieki mi się zamykają, ale ciało nie chce zasnąć”. Spotkali się po południu, usiedli pod drzewem w parku Yoyogi: „i po prostu gadaliśmy, gadaliśmy i gadaliśmy”. Świeciło słońce, było ciepło; ludzie kładli się i odpoczywali na trawnikach albo tańczyli przy muzyce zespołu grającego pod gołym niebem.

„Powoli się ściemniało, uznaliśmy więc, że czas się zbierać – napisała Lucie. – Scott nigdy się nie dowie, że przeprowadziliśmy wtedy jedną z najcudowniejszych rozmów w historii naszego związku i że jego słowa zbliżyły mnie do niego bardziej, niż mógłby przypuszczać”.

Podczas weekendów na placu między stacją Harajuku a parkiem Yoyogi

zbierali się muzycy i uliczni artyści. Lucie i Scott przechodzili obok znakomitego zonglera i zatrzymali się, żeby obejrzeć jego wspaniały występ. Był to wstęp do rozmowy na temat talentów i wyjątkowych umiejętności, na temat ludzi, którzy je mają, i ludzi, którzy ich nie mają. Lucie napisała:

„Powiedział wtedy, że czasami brakuje mu pewności siebie (i że obawia się, że zawsze tak już będzie), ponieważ czuje się BARDZO PRZECIĘTNY. Poczułam, jak uginają się pode mną nogi, i niemal się rozpłakałam (ale bez przesady, żeby nie wyglądało to głupio)”.

Scott wypowiedział na głos myśli, które nękały Lucie.

„Nie mogłam w to uwierzyć i nawet teraz (piszę to tydzień później) nie potrafię nazwać tego, co poczułam. Mogę jedynie porównać to do uczucia ogromnej ulgi/zrozumienia, że osoba, z którą zaczynasz tworzyć związek, czuje to samo co ty i dzięki temu nie jesteś już tak bardzo wystraszona ani zagubiona. Gdyby kiedyś przeczytał, co napisałam, pewnie pomyślałby, że mi odbiło, ale może kiedyś mu wyznam, że mam podobne odczucia, żeby jego lęki również zniknęły”.

Zjedli razem kolację w restauracji. Scott, jak można było się spodziewać, „spóźnił się” na ostatni pociąg powrotny i został na noc u Lucie.

„To był piękny dzień – napisała. – Tak się cieszę, że wytrzymałam tamtej pierwszej nocy. To niesamowite, jak drobne decyzje, które podejmujemy na co dzień, w jednej chwili potrafią zmienić nasze życie”.



Latem 2000 roku w Azji panowało polityczne zamieszanie. 14 maja premier Keizō Obuchi zmarł w szpitalu sześć dni po tym, jak dostał udaru mózgu. 13 czerwca, w czasie gdy Lucie i Louise bawiły się w Dinseylandzie, przywódcy Korei Północnej i Południowej po raz pierwszy od wojny

koreańskiej usiedli do rozmów pokojowych. W całej Japonii politycy przemawiali na wiecach wyborczych, a zamieszczone na samochodach megafony wywrzaskiwały slogany namawiające do głosowania na tego lub innego kandydata.

Wszystkie te dramatyczne wydarzenia w życiu publicznym nie wpłynęły w żaden sposób na Lucie ani na jej świat.

We wtorek, 20 czerwca, ponownie spotkała się ze Scottem na śniadaniu, innego dnia wygrzewali się na słońcu w parku Yoyogi.

„Czuję, że jesteśmy do siebie dopasowani jak klucz do zamka – napisała Lucie. – Moje uczucie rośnie za każdym razem, kiedy dowiaduję się o nowej obawie, słyszę o wątpliwości i czuję kolejny przypływ namiętności”.

W środę poszła na dōhan z mężczyzną o imieniu Seiji, pracownikiem banku inwestycyjnego. Następnego wieczoru miała kolejne tego typu spotkanie, tym razem z Shojim, pracownikiem firmy JVC.

W piątek wieczorem siedziała w Casablance z panem Kową, który doskonale mówił po angielsku, chociaż lekko seplenił. Louise również dotrzymywała im przez chwilę towarzystwa. Pan Kowa pił szampana i koniak, a zanim wyszedł, obiecał zadzwonić i umówić się na dōhan w następnym tygodniu.

W niedzielę odbywały się w Japonii wybory. Lucie spędziła weekend ze Scottem, ignorując żałosne e-maile od Kena.

We wtorek poszła poćwiczyć na siłowni. W środę, 28 czerwca, miała dōhan ze starym panem Watanabe, Fotografem. Umówili się na obiad ponownie w przyszły wtorek.

W czwartek spotkała się ze Scottem. W tamtym czasie miała już duże zaległości w prowadzeniu dziennika, wiadomo jednak, w jaki sposób zapamiętał ich czwartkową randkę Scott, który później wspominał:

– Lucie była szalenie szczęśliwa²¹. Wyznałem jej, że ją kocham, a ona

odpowiedziała, że się cieszy, że pierwszy to powiedziałem. Stwierdziła: „Czuję to samo do ciebie. Nie widzę świata poza tobą”. Powiedziała też, że uczucie do mnie jest tak silne, że ściska ją w żołądku i przyprawia o mdłości. Powiedziała, że kiedy wyznałem jej miłość, nogi się pod nią ugięły.

W piątek, 30 czerwca, wysłała e-mail do swojej matki Jane, która od kilku dni nie miała od niej wiadomości i dopytywała się z niepokojem, co słyhać. W tytule e-maila Lucie napisała: „Jeszcze żyję!”.

18 Kai Miyazawa to pseudonim; klub Kai nie jest prawdziwą nazwą.

19 Cyt. za: E.A. Wright, *Death of a Hostess*, „Time”, 14 maja 2001.

20 A. Allison, *Nightwork*, dz. cyt, s. 173–174.

21 Cyt. za: P. Henderson, *I Told Lucie I Loved Her – They Were the Last Words We Ever Spoke Together*, „The Mail on Sunday”, 30 lipca 2000.

CZĘŚĆ TRZECIA

POSZUKIWANIA

FACIAL RECONSTRUCTION TEAM
5000 Central Intelligence Branch
Room 1100, Tower West
New York, New York
London SW1H 9BT

METROPOLITAN POLICE

FIT Ref: NW058/00

E-FIT

COMPOSITE IMAGE



WARNING:
This E-FIT Composite Image MUST NOT BE USED TO IDENTIFY OR DISMISSED A SUSPECT without the prior consent and supervision of both the OFFICER and the OFFICER. To do so constitutes a criminal offence under the provisions of the Criminal Justice Act 1992.

ROZDZIAŁ 7

STAŁO SIĘ COŚ STRASZNEGO

LUCIE BLACKMAN I LOUISE PHILLIPS urodziły się w tym samym roku, chodziły do tej samej szkoły, lubiły taką samą muzykę i ubrania i mieszkały dwadzieścia kilometrów od siebie. Jediną rzeczą, która je dzieliła – i choć dla nich samych nie miała znaczenia, znajdowała odzwierciedlenie w sposobie, w jaki inni postrzegali i oceniali obie przyjaciółki – była niewidzialna przepaść pochodzenia społecznego.

Blackmanowie – uczęszczające do prywatnych szkół i mieszkające w szacownym miasteczku Sevenoaks dzieci biznesmena – mówili z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców hrabstw położonych wokół Londynu. Wymowa Louise wskazywała, że wywodziła się ona z klasy robotniczej z południowowschodniego Londynu. Jej ojciec odniósł sukces w branży budowlanej i zafundował rodzinie dom w dzielnicy Keston leżącej w obrębie londyńskiej gminy Bromley. Gdy w wieku pięćdziesięciu jeden lat zmarł, bezpieczne, dostatnie i gwarantujące awans społeczny życie jego żony oraz dwóch młodych córek zaczęło się walić. Louise mogła kształcić się w Walthamstow Hall tylko dzięki stypendium. Ten fakt oraz jej akcent sprawiły, że od początku odróżniała się od innych uczennic renomowanej placówki. Te najbardziej wyniosłe mówiły o niej „ulicznica”.

Osoba o innym charakterze byłaby zdruzgotana tym snobistycznym zachowaniem, jednak Louise zbywała przytyki lekceważeniem i pogardą. Bez lęku stawiała czoła prześladowczyniom; w szkole rówieśniczkom, które dokuczały zarówno jej, jak i Lucie, pokazywała, gdzie ich miejsce. Jako nastolatka była szalona i śmiała. Inne koleżanki Lucie pierwsze nielegalne eksperymenty z alkoholem przeprowadzały w pubach Sevenoaks, Louise natomiast zabierała Lucie do fascynujących, wytwornych barów i klubów w Camden i południowym Londynie. Blackmanowie darzyli Louise sympatią, chociaż czasami odczuwała z ich strony dezaprobatę wynikającą z przekonania, że wywiera zły wpływ na Lucie. Gdy jako nastolatki obydwie dziewczyny wracały do domu zbyt późno, Lucie odnosiła wrażenie, iż winą za to obarczano Louise, mimo że Lucie chętnie i aktywnie we wszystkim uczestniczyła.

Louise doskonale znała wszystkie lęki Lucie i widziała z bliska, w jakim stopniu wpłynęły na jej przyjaciółkę separacja i rozwód rodziców. Bardzo szybko poczuła niechęć do Tima, po części dlatego, że nie pochwalał on jej zachowań, ale również z tego powodu, iż jej zdaniem miał w zwyczaju osłabiać pewność siebie Lucie rzucanymi mimochodem krytycznymi uwagami na temat wagi lub wyglądu. Wiedziała, że Lucie rzadko była zadowolona ze swojej aparycji i ze smutkiem patrzyła, jak mężczyźni urzeka uroda Louise. Jednak Louise również borykała się z różnymi problemami.

Śmierć ojca głęboko nią wstrząsnęła. Rozpacz sprawiła, że przez wiele lat miała skłonność do zachowań autodestrukcyjnych objawiających się w formie anoreksji. W tym trudnym okresie wsparciem służyła jej właśnie Lucie. Wiele osób nie dostrzegało tego rysu w ich relacji – stopnia, w jakim Louise była zależna od Lucie i ubóstwiała ją: jej zdolności językowe, plastyczne, talent do gotowania, lojalność i poczucie humoru.

Początkowo Louise chciała się wybrać do Japonii sama. Była

zachwycona, gdy Lucie zgodziła się pojechać razem z nią, i nawet pokryła koszty połowy jej biletu, uparcie jednak twierdziła, że w żaden sposób nie wywierała presji na przyjaciółkę. Przeprowadzka do Tokio wpasowywała się w schemat, który powtarzał się od ukończenia szkoły i w którym Lucie szła w ślady Louise. Chciała wyjechać i miała do tego mnóstwo powodów.

– Długi naprawdę dawały jej się we znaki – opowiadała mi później Louise. – Budziła się w środku nocy i nie mogła spać ze zmartwienia. Musiała szybko znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie widziała na ich spłacenie żadnego innego sposobu, który nie zabrałby wielu lat. Myślę, że miała poczucie winy z powodu tego, że zostawiała mamę. To nie tak, że chciała uciec od Jane. Ale chciała żyć beztrosko, zachowywać się jak dwudziestojednolatka. Jane tak naprawdę była przeciwna wyjazdowi nie dlatego, że uważała, iż Lucie przytrafi się coś złego. To była tylko jedna z przyczyn, przede wszystkim jednak Jane nie chciała zostać sama bez Lucie.

Kilka pierwszych tygodni w Tokio było szokiem dla obydwu dziewcząt, ale ciężiej przeżyła je Lucie. Jej trudne początki w zawodzie hostessy oraz natychmiastowy sukces Louise wprowadziły między przyjaciółki element napięcia, który wcześniej nie istniał w ich relacji, mimo że żadna z nich nie mówiła o tym głośno. Jednak w czerwcu wydawało się, że sprawy zaczęły wychodzić na prostą.

„Pierwszy miesiąc był emocjonalnie trudny w inny sposób dla każdej z nas – pewnego dnia Lucie napisała do Louise. – Jednak od wczoraj czuję, że jesteś mi bliska bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Jesteś moją prawdziwą bratnią duszą i wiesz o mnie rzeczy, których inni nie wiedzą, widzisz rzeczy, których inni nie dostrzegają. Wystarczy, że wejdiesz do pokoju, i w jednej chwili wyczuwasz, w jakim jestem nastroju”.

Kiedy obudziły się późnym rankiem w sobotę, 1 lipca, przepelniał je optymizm. Lucie w końcu zaczęła gromadzić wokół siebie grono stałych

klientów. Louise pogodziła się po kłótni ze swoim francuskim chłopakiem Côme. Poprzedniego wieczoru w Casablance razem dotrzymywały towarzystwa sympatycznym młodym pracownikom biurowym o imionach Yoshida i Tanaka, którzy zgodzili się zaprosić je na dōhan w następnym tygodniu.

Wyszły z klubu o wpół do trzeciej, pojechały taksówką do domu i do czwartej piły w kuchni herbatę i jadły tosty z masłem.

– Obie byłyśmy pełne entuzjazmu – opowiadała Louise. – Myślałyśmy: „Udało się”. Mieszkałyśmy tu od dwóch miesięcy, w poniedziałek miałyśmy dostać wypłatę i wszystko świetnie się układało. Obie czułyśmy, że najgorsze już za nami i że teraz wszystko będzie dobrze.

W sobotnie popołudnie Lucie wyszła po raz ostatni. W poniedziałek rano Louise poszła na policję, a po południu odebrała dziwny telefon. Jednak dopiero późnym wieczorem, ponad dwa dni od zaginięcia Lucie, Louise zdobyła się na to, żeby poinformować Blackmanów, co się stało. W Wielkiej Brytanii był sam środek popołudnia. Kiedy zadzwonił telefon, Jane szykowała się właśnie do wyjścia na pocztę, gdzie chciała nadać paczkę ze słodyczami dla Lucie. Nawet gdy się okazało, że Lucie bezpiecznie wylądowała i dobrze sobie radzi w Japonii, Jane nie opuszczało napięcie. Wiadomość o zaginięciu córki była potwierdzeniem wszystkich jej najgorszych obaw i sprawiła, że Jane wpadła w panikę i rozpacz. Do małego domu w Sevenoaks wezwano Sophie i Ruperta, natychmiast pojawiły się również Val i Samantha Burman, a z Londynu, gdy tylko się dowiedział, co się stało, przyjechał Jamie Gascoigne.

Nie sposób było pojąć tego wszystkiego. Chodziło nie tylko o zaginięcie Lucie, ale i o niezrozumiałe informacje otrzymane podczas dziwnej rozmowy telefonicznej, którą Louise relacjonowała, połykając łzy: „Nowo Powstała

Religia”, „studiowanie i praktykowanie”, „Akira Takagi” i „Chiba” – co to w ogóle było i gdzie to było?

– W domu zapanował totalny chaos – opowiadał Rupert Blackman, który miał szesnaście lat, gdy doszło do opisywanych wydarzeń. – Mama biegła jak obłąkana. Co należy zrobić, kiedy ktoś zaginie w Japonii? Nikt nie miał pojęcia co dalej. Włączyłem internet, sprawdziłem hasło „Nowo Powstała Religia”. Pamiętam, że skontaktowałem się ze swoim byłym trenerem judo i prosiłem go o radę, ponieważ on kojarzył mi się z Japonią. A potem coś się dzieje, nagle ma się wrażenie, jak gdyby oderwało się od ziemi, znalazło gdzieś wysoko nad nią, patrzyło na wszystko z góry i trzeba było znaleźć tę osobę jak przysłowiową igłę w stogu siana. Bardzo dziwne uczucie. Nigdy nie potrafiłem go opisać. To nefajne uczucie, kiedy się coś zgubi. Ale kiedy zgubi się kogoś, to jest naprawdę straszne. Poza tym co innego zgubić kogoś w centrum handlowym, a co innego zgubić kogoś na drugim kontynencie, nie wiadomo, od czego zacząć. Nikogo się tam nie zna, zupełnie inna kultura. Chyba najgorsze miejsce, w jakim mogło się to zdarzyć.

Gdy Jane trochę doszła do siebie, zadzwoniła do Tima, który był u siebie, na wyspie Wight. Siedział w ogródku, korzystając z pięknej, słonecznej pogody. Rozmawiali ze sobą pierwszy raz od rozvodu. Istnieją dwie wersje tej rozmowy²²: wersja Jane i wersja Tima.

JANE: Tim, Tim, mówi Jane. Stało się coś strasznego – Lucie zniknęła.

TIM: Cóż, nie wiem, czego ode mnie oczekujesz w tej sprawie.

JANE: Nasza córka zaginęła w Japonii. Może byś tak... Czy mógłbyś pojechać i przywieźć ją do domu?

TIM: Na pewno zajmują się tym Ministerstwo Spraw Zagranicznych i policja. Nie możemy zrobić nic więcej.

JANE: Ale Tim...

TIM: Posłuchaj, urządzam właśnie grilla. Na razie.

JANE: Och, Tim, proszę...

TIM: Odczep się.

Rozłącza się.

JANE: Lucie zaginęła! Musisz coś zrobić!

TIM: Powoli, chwila, moment. To ty, Jane? Zaczekaj, Jane – co się stało?

JANE: Nasza córeczka zaginęła w Japonii! Musisz tam pojechać i ją przywieźć!

TIM: Co to znaczy, że zaginęła? Co dokładnie się stało? Spróbuj się uspokoić...

JANE: Ty sukinsynu! Powiedziałam ci: zaginęła, ty dupku. Nie zamierzasz nic zrobić, prawda?

TIM: Jane... ja... nie mogę podjąć decyzji w osiem sekund. Muszę to przemyśleć. Powiedz mi jeszcze raz, co się stało. Właśnie urządzam grilla...

JANE: Ty skurwysynu! Coś strasznego stało się twojej córce! A ciebie jak zwykle to wszystko gównu obchodzi, prawda?

Rozłącza się.

Tym sposobem to Sophie postanowiła polecieć następnego dnia do Tokio. Miał jej towarzyszyć Jamie Gascoigne.

– Wiemy, że jest w Chibie, więc tam pojedę i ją znajdę – oświadczyła matce. – Jeśli porwała ją sekta, ofiaruję siebie na jej miejsce. Przywiozę ją do domu.



Sophie miała dwadzieścia lat, Jamie dwadzieścia trzy i żadne z nich nigdy wcześniej nie wyruszyło w tak daleką podróż. Przez siedem dni byli sami w Japonii. Jeszcze w czasie gdy Jamie spotykał się z Lucie, Sophie za nim nie przepadała; to jej matka wpadła na pomysł, żeby towarzyszył jej teraz w podróży. Spędzili tydzień na bezowocnych wizytach w ambasadzie brytyjskiej, gdzie okazano im zainteresowanie pełne troski, ale i bezradności, oraz na komisariacie Azabu w Roppongi, gdzie spotkali się z wyniosłą obojętnością.

Louise złożyła już wcześniej oficjalne zawiadomienie o zaginięciu

Lucie – jedna kartka papieru w pokoju zawalonym segregatorami. Dowiedzieli się jednak czegoś o Chibie, która okazała się nie tylko wielkim, dziewięciusettyśmianym miastem, ale i nazwą niemal sześciomilionowej prefektury o powierzchni równej powierzchni hrabstwa Kent i Wielkiego Londynu razem wziętych. Dowiedzieli się również, że Nowo Powstała Religia to dosłowne tłumaczenie japońskiego określenia opisującego sekty New Age, których funkcjonowało kilka tysięcy.

Jane, która została w Sevenoaks, z rozpaczy niemal utraciła zdolność jasnego myślenia, za to Sophie co kilka godzin rozmawiała ze swoim ojcem Timem. Stanęli przed dylematem, który bardzo często pojawia się w tego typu sytuacjach: czy nadać sprawie rozgłos czy nie. Ktoś musi wiedzieć, co się stało z Lucie. Ktoś musiał widzieć ją tego dnia, gdy zniknęła. Jediną drogą, aby dotrzeć do ewentualnych świadków, był apel w mediach o pomoc. Z drugiej strony – gdyby została uprowadzona dla okupu, dość szybko powinna pojawić się wiadomość od porywaczy i możliwość negocjacji z nimi. Jeśli uprowadzono Lucie z innych niż pieniądze powodów – takich jak napaść seksualna – porywacz sam mógł stać przed dylematem, co zrobić z żyjącą ofiarą. Tak czy inaczej medialna wrzawa mogła przestraszyć porywacza i nakłonić go do podjęcia kroków ostatecznych.

– Istniało ryzyko, że jeśli nadamy sprawie rozgłos, Lucie może zapłacić za to życiem – opowiadała Sophie. – Ale baliśmy się również, że jeśli nie podamy informacji do wiadomości publicznej, stracimy jakąkolwiek szansę na to, żeby znaleźć Lucie.

Policja nie chciała mieć nic wspólnego z dziennikarzami. Ambasada oświadczyła, że decyzja należy do rodziny, ale dała do zrozumienia, iż w tej kwestii podziela zdanie policji. Sophie przyleciała do Japonii, wyobrażając sobie, że po przybyciu pomaszeruje prosto pod drzwi porywacza Lucie i siłą woli zmusi go, aby oddał jej siostrę. Szybko jednak się okazało, że to

wszystko jest bardziej skomplikowane. Istniało bardzo dużo elementów, które należało dopasować i ułożyć w odpowiedniej kolejności niczym w kostce Rubika: policja, ambasada, media, nawet zwaśnieni rodzice Sophie. Z każdym trzeba było postępować inaczej, uważnie i precyzyjnie, zwłaszcza gdy ich interesy się nie pokrywały.

Sophie miała trudności ze snem z powodu zmiany stref czasowych i dręczącego ją niepokoju. Pewnej nocy śniło jej się, że jest uwięziona w grze komputerowej, która jednocześnie jest hollywoodzkim filmem. Ona, główna bohaterka, niczym James Bond albo Bruce Willis, miała uratować świat, zanim skończy się czas. Zamiast jednak rozbijać bomby, ratować zakładników i zabijać terrorystów, musiała motywować do działania policję, utrzymywać dobre stosunki z dyplomatami, rozmawiać z dziennikarzami i prowadzić mediacje między rodzicami, zanim jakiś nieznany, anonimowy zbrodniarz zamorduje jej siostrę.

– Mieliśmy do wyboru – wspominała Sophie – dostawać wszystkie informacje od policji i trzymać się z daleka od dziennikarzy albo nagłośnić sprawę, wywierać nacisk na śledczych, ale nie otrzymywać od nich żadnych informacji. Wybraliśmy media.

Prawdę powiedziawszy, decyzję w tej kwestii podjęto za plecami Blackmanów. Siostra Louise Phillips Emma bez porozumienia z rodziną Lucie poinformowała o sprawie gazetę codzienną „The Daily Telegraph”. W ciągu kilku dni o zaginięciu Lucie pisały wszystkie brytyjskie gazety; dezorientacja dziennikarzy była wyraźnie widoczna²³.

Narastają obawy, że była stewardesa British Airways Lucie Blackman jest przetrzymywana jako seksualna niewolnica przez podejrzaną japońską sektę („The Sun”).

Policja obawia się, że Lucie Blackman, 21 lat, może być zmuszana do prostytucji i wykorzystywana jako „przynęta” przez nieznaną grupę osób („Daily Mirror”).

Policja sprawdza, czy Lucie Blackman nie została uprowadzona przez jednego z klientów otwartego do późnych godzin nocnych klubu Casablanca, w którym dwudziestojednolatka zarabiała, zabawiając gości rozmową („The Independent”). Los Lucie Blackman może być w rękach japońskiej „mafii” („Sevenoaks Courier”).

Dla dziennikarzy w Tokio była to kłopotliwa historia. Japońska policja kategorycznie odmówiła komentarzy. Ambasada brytyjska również miała niewiele do powiedzenia, chociaż przekazała to w bardziej dyplomatycznych słowach. Menedżerowie klubów i zagraniczne hostessy w Roppongi byli podejrzliwi i ostrożni; ci, których udało się namówić, aby cokolwiek powiedzieli, wyrażali jedynie zdziwienie i niepokój. Sophie Blackman na pytania mediów odpowiadała zadzierzyscie i wyniośle. Tajemnica zaginionej stewardesy była intrygująca, ale nie fascynująca: każdego dnia na całym świecie ludzie znikali często z mało interesujących przyczyn. O Lucie szybko by zapomniano, gdyby nie jej ojciec, Tim, który wylądował w Tokio w następnny wtorek, dziesięć dni po zaginięciu Lucie, i natychmiast zrobił to, co udało mu się najlepiej: zwołał konferencję prasową.

W Wielkiej Brytanii, tak samo jak w Japonii, mocno zakorzenione stereotypy kształtują nasze wyobrażenie tego, w jaki sposób powinni się zachowywać podczas występów publicznych ludzie będący w ogromnym napięciu emocjonalnym. Zakładamy, że osoby przeżywające ogromne cierpienie będą bierne, dezorientowane i przybite. Jeżeli tych cech brakuje, zaczynają się podejrzenia.

Blackmanowie pokazali się w Tokio z zupełnie innej strony, niż się spodziewano.

Gdyby w złowieszczych okolicznościach zaginęła młoda Japonka, jej najbliżsi ze spuszczonej oczami przesunęliby się przed kamerami. Potem

padłyby niepewne i oszczędne słowa. Wyraziliby miłość do zaginionej córki i siostry, niepokój o jej bezpieczeństwo i zaapelowałiby do porywaczy, aby zwrócili uprowadzonej wolność. Pojawiłyby się łzy, nawet coś na kształt przeprosin za „sprawienie kłopotu” swoją trudną sytuacją. Pytania dziennikarzy również byłyby konwencjonalne. Jaki charakter miała państwa córka? Co chcieliby państwo przekazać porywaczowi? Na koniec zasmuceni krewni znów przesunęliby się przed kamerami, zmierzając w stronę wyjścia, i więcej by o nich nie słyszano. Odpowiedzialność za kontakty z prasą, za kształt dochodzenia – tak naprawdę za wszystko – spadłaby bez wątpienia na policję.

W Wielkiej Brytanii istnieje nieco większe przyzwolenie na wyrażanie gniewu i żalu, ale jedynie w pewnych granicach. Niepisane zasady kierują zachowaniem ludzi znajdujących się w sytuacji takiej jak Blackmanowie i są one równie ściśle określone jak tradycyjne reguły rządzące okresem żałoby. Zanim spotkałem Tima i Sophie w Tokio, nie zdawałem sobie sprawy z owych zasad. Uświadomiłem sobie ich istnienie dopiero, gdy Blackmanowie już na samym początku je zlekceważyli.

Pierwsza konferencja prasowa Tima odbyła się w ambasadzie brytyjskiej następnego ranka po jego przyjeździe do Tokio. Sala była nabita ludźmi, kamerami i lampami, wszystkie miejsca były zajęte, a w przejściach stali reporterzy. Przy umieszczonym na podium stole obok Tima i Sophie Blackman siedziała sekretarz prasowa ambasady. Zrobiła krótki wstęp, uderzając w przesadnie łagodny i przejmujący ton typowy dla publicznych wypowiedzi na temat tragedii młodych osób. Potem przemówił Tim. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną pod pięćdziesiątkę o szczerym spojrzeniu i bujnej, jasnorudawej czuprynie. Był pewny siebie, wysławiał się jasno, sprawiał wrażenie niemal pełnego werwy. „B. opanowany – zanotowałem – imponująco, nie ścisza go w gardle, nie okazuje emocji.

Szerokie bokobrody”.

Tak, odpowiedział Tim na pierwsze pytanie, rozmawiał z policjantami wczoraj tuż po przyjeździe. Odniósł wrażenie, że badają wszystkie dostępne tropy. Tak, Lucie kontaktowała się z nim telefonicznie z Japonii i wydawała się szczęśliwa. Zapytany o telefon od „Akiry Takagiego” oraz sugestię, jakoby Lucie wstąpiła do sekty, kategorycznie wykluczył tę możliwość.

– Lucie jest katoliczką – odpowiedział. – Nigdy nie była osobą szczególnie religijną i mało prawdopodobne, żeby w ciągu sobotniego popołudnia nagle zainteresowała się jakąś sektą wyznaniową.

Miała długi, przyznał, ale nie było to nic nadzwyczajnego – debet „na rozsądnym poziomie” i obciążenia kart kredytowych w wysokości kilku tysięcy funtów. Razem z Sophie przybyli do Tokio, wyjaśnił, żeby pomagać policji i mediom.

– Lucie to młoda dama, której nie sposób przeoczyć na japońskiej ulicy czy w japońskim samochodzie – mówił. – Może znajdą się przypadkowi przechodnie, którzy widzieli ją, jak gdzieś szła albo dokądś jechała, i zgłoszą się, żeby naprowadzić nas na odpowiedni trop.

Odpowiadał szybko, sprawnie i racjonalnie, jako osobie przekazującej informacje nie można mu było nic zarzucić. Jednak z punktu widzenia fotoreporterów, dziennikarzy i operatorów, nie na tym polegała jego rola. Od czasu do czasu podczas konferencji prasowych i podczas rozmów telefonicznych Tim zastanawiał się, zanim udzielił odpowiedzi. Milczenie przeciągało się, w sali narastało napięcie. W takich momentach odnosiło się wrażenie, że za tą ciszą kryje się próba utrzymania w ryzach przemożnych, bezbrzeżnych emocji. Jednak milczenia nie można zacytować, nie można go sfotografować. Dopiero po chwili Tim odpowiadał spokojnym, dobitnym, rzeczowym, niemalże ironicznym tonem. Wysławiał się jasno, ale nigdy nie wydawał się przesadnie przygotowany. Nie spoglądał w notatki. Czasami

zerkał w bok na Sophie, czasami wymieniali uśmiechy. Wyglądał, jak gdyby czuł się swobodnie na podium, prawie jak ryba w wodzie. Następnego dnia w artykułach mniej rzetelnych gazet pojawiały się wyrażenia w stylu: „oszalały ze zmartwienia tata Tim”, „zrozpaczona siostra Sophie” i „połykając łyżę”. To wszystko kłamstwa. Trudno sobie wyobrazić spokojniejszą i bardziej skoncentrowaną parę.

Pewien brytyjski reporter podniósł rękę, żeby zapytać o obecnego chłopaka Lucie. Tim powiedział, że go nie zna, ale z tego, co wie, jest nim obcokrajowiec i że został on przesłuchany przez policję. To samo pytanie zadano Sophie, która jak do tej pory nie odzywała się zbyt wiele. Sekretarz prasowa ambasady odradzała wcześniej Sophie udział w konferencji²⁴, obawiając się, że dziennikarze będą próbowali sprowokować emocjonalną reakcję z jej strony. Jeżeli rzeczywiście niektórzy reporterzy na to liczyli, zawiedli się.

– Oczywiście, że mówiła mi o nim, jesteśmy siostrami – odpowiedziała Sophie, pogardliwie krzywiąc usta. – Opowiadała, że poznała tu chłopaka, z którym zaczęła się spotykać, i tyle informacji powinno państwu starczyć. Szczegóły nie powinny państwa obchodzić.

Fotografowie kucali, czaili się przy podium, kierując obiektywy aparatów ku górze. Czekali na ujęcie, które następnego dnia trafi na pierwsze strony gazet: ukradkiem otarta łyza, twarz skrzywiona w grymasie bólu, choćby zaciśnięte dłonie ojca i córki. Nic takiego jednak się nie zdarzyło. Mimo to gdy konferencja prasowa dobiegła końca, zorientowałem się, że był pewien szczegół, który mnie niepokoił, coś w wyglądzie Tima. Na pierwszy rzut oka ubrał się stosownie: marynarka, ciemne spodnie, skórzane buty z frędzlami... I wtedy zrozumiałem.

Gdy demontowano lampy i kamery, podszedł do mnie znajomy japoński dziennikarz.

– Jakie wrażenie zrobił na tobie pan Blackman? – spytał, marszcząc brwi. – I dlaczego nie miał na nogach skarpetek?

– Jestem żeglarzem – kilka lat później wyjaśnił mi Tim. – Dlatego rzadko zakładam skarpetki, chyba że jestem do tego naprawdę zmuszony. A w Tokio o tej porze roku jest bardzo gorąco. – W kwestii emocji na konferencji prasowej powiedział tyle: – Na samym początku postanowiliśmy, że nie będzie mizdrzenia się i płaczu. Nic z tych rzeczy.

Tim urodził się w hrabstwie Kent w 1953 roku i chodził do szkoły na wyspie Wight. Jego ojciec, który również uwielbiał żaglówki, był surowym człowiekiem. Tim, najmłodszy z trójki rodzeństwa, sam o sobie mówił, że jako dziecko był „nie do wytrzymania”.

– Byłem najmłodszy, najmniejszy, bardzo nieposłuszny, a ojciec wydawał mi się srogi i cały czas krzyczał – wspominał Tim. – Nigdy nie wiedziałem, kiedy przestać. Podejrzewam, że dzisiaj nazwano by mnie dzieckiem nadpobudliwym. – W szkole grał na bandzo²⁵ w cieszącym się popularnością zespole grającym muzykę country. Występowali na festiwalach i nawet nagrali jeden album, który „błyskawicznie został zapomniany”. Nie miał ochoty iść na studia i po ukończeniu szkoły kilka lat po prostu dobrze się bawił, zyskując miano pewnego siebie flirciarza, i taką opinię słyszała o nim Jane, zanim go jeszcze poznała.

Według Tima kłopoty pojawiły się w małżeństwie niemal od razu i z biegiem czasu sytuacja coraz bardziej się pogarszała. Ostatnie lata ich związku oraz kilka pierwszych lat po rozwodzie były dla niego bardzo trudne zarówno w sferze osobistej, jak i zawodowej, ponieważ rodzinna sieć sklepów obuwniczych stopniowo podupadała, a do tego jego własna firma zajmująca się obrotem nieruchomościami znalazła się na skraju bankructwa. Jednak w latach poprzedzających rok 2000 Timowi udało się wskrzesić

interes, stworzyć udany związek z Josephine Burr, zostać ojczymem czwórki nastoletnich dzieci i odbudować relacje z własnym potomstwem, w końcu nawet z Lucie.

Pomysł z wyjazdem Lucie do Japonii wyłaniał się stopniowo podczas kilku rozmów. Tim wiedział, że nie była zadowolona z pracy w British Airways i że przez długie międzynarodowe loty znów zaczynała źle się czuć. Wiedział również, że miała długi: Lucie spytała go wprost, czy jest gotowy je spłacić.

– Pomogłem jej poradzić sobie z nimi – opowiadał. – Wspomagałem ją trochę, ale nie stać mnie było wypisać od ręki czek na 5000 funtów i jestem przekonany, że nikt nie chciałby, aby takie zachowanie stało się regułą. Oczywiście żyję ze świadomością, że gdybym spłacił jej długi, nie pojechałaby do Tokio. Nie wiadomo jednak tego na pewno i nie zamierzam się z tego powodu biczować, ponieważ jeśli raz zacznę, nigdy już nie przestanę. A przecież to nic nie zmienia.

Przed wyjazdem Lucie nie wspominała o pracy w charakterze hostessy.

– Przypuszczam, że Lucie uważała, że nie spodoba mi się ten pomysł, i tak by rzeczywiście było. Ponieważ to niestosowne zajęcie. Mogła o wiele lepiej wykorzystać swój rozum i zdolności. Jestem mężczyzną, wiem, że mężczyźni patrzą pożądliwie na kobiety, i nie przekonuje mnie tłumaczenie, że w tamtym klubie było to robione w bezpieczny sposób. Jednak dopiero po pewnym czasie powiedziała mi całą prawdę. Z perspektywy czasu widzę, że byłem typowym naiwnym tatą.

Po wyjeździe Lucie dzwoniła regularnie i co pewien czas wysyłała kartkę. Z początku bardzo tęskniła za domem i była zniechęcona. Życie okazało się drogie, trudno było związać koniec z końcem. Tim przekonywał ją, żeby wróciła do domu, ale Lucie nie chciała zostawić Louise samej. Po kilku tygodniach opisała ojcu pracę, którą wykonywała.

– Powiedziała, że jest to trochę dziwne, ale też fajne: dziewczyny z Zachodu nalewają klientom drinki, były tam jeszcze trzy czy cztery Brytyjki, do tego ci zabawni Japończycy. Mówiła, że ich język brzmi mniej więcej tak: „ła-łi-ła-łi-ło”. Po pracy dziewczyny idą gdzieś na piwo, a na koniec wracają rowerami do domu. Powiedziała mi też, że poznała uroczego żołnierza amerykańskiej piechoty morskiej, tego całego Scotta. Papiała radośnie o tym i o tamtym. Wtedy było już słyhać, że podoba jej się tam o wiele bardziej.

Potem zadzwoniła do niego Jane. Niezależnie od tego, czyją wersję przyjmie się za prawdziwą, wyraźnie widać, że Tim zareagował na wiadomość o zniknięciu Lucie z większym spokojem i dystansem niż jego była żona.

– Wiele razy pytano mnie, co czułem w tamtej chwili – opowiadał. – A ja nie wiem, co czułem. Wszystko wydawało mi się takie nierzeczywiste. Jane krzyczała na mnie przez telefon, wymyślała mi od najgorszych. A ja siedziałem w ogródku i słuchałem szczebiotania sikorek.

W ciągu następnych kilku godzin, zanim cokolwiek się wyjaśniło, Sophie leciała już do Tokio, żeby ofiarować się porywaczowi zamiast Lucie. Tim nie wiedział nic o Japonii. Podobnie jak jego syn Rupert zadzwonił do wszystkich dostępnych mu osób, które mogły mieć jakieś pojęcie o tym kraju – do partnerów w interesach, do ludzi poleconych przez bliższych i dalszych krewnych. Znajomy jego brata, Japończyk z pochodzenia, powiedział mu, że los młodej Brytyjki, która zaginęła w Tokio, nie wzbudzi jakiegoś szczególnego zainteresowania japońskiej policji.

– Usłyszałem tę opinię z ust paru osób – relacjonował Tim. – I wtedy zacząłem panikować. Dotarło do mnie, że jesteśmy zupełnie zdani na działania bardzo odległych zagranicznych instytucji i że tylko od nich zależy rozwiązanie sprawy życia i śmierci. I usłyszałem, że jest mało

prawdopodobne, aby się do tego przyłożyli.

Mniej więcej w tamtym czasie do Tima zaczęli dzwonić dziennikarze.

– Kiedy ktoś dzwonił do Jane o drugiej nad ranem, otrzymywał standardową odpowiedź z mnóstwem niecenzuralnych słów – opowiadał Tim. – Ja robiłem inaczej. Dziennikarze dzwoniли do mnie, a ja mówiłem im wszystko, co wiedziałem. Nagle okazało się, że historia zaczyna być medialnym tematem. Pomyślałem wtedy: Jeśli mamy mieć wpływ na to, co tam się dzieje, ludzie muszą wiedzieć, że Lucie zaginęła. Potem zadzwoniła z Tokio Sophie i powiedziała: „Nie mam pojęcia co dalej. Policja prawie w ogóle ze mną nie rozmawia”. Przyszło mi do głowy, że jeśli uda nam się wzbudzić wielkie zainteresowanie sprawą Lucie w Anglii, może coś się zmieni. Oświadczyłem, że osobiście lecę do Japonii, i to przyciągnęło uwagę.

Tim zaczął się przekonywać, iż działanie jednej osoby podjęte we właściwym momencie może mieć ogromny wpływ na media, może trafić na nagłówki gazet i do serwisów informacyjnych.

Pod koniec lipca japoński rząd pełnił funkcję gospodarza spotkania na szczycie przywódców ośmiu najbardziej wpływowych państw świata. Po drodze na południe wyspy Okinawa, gdzie miał się odbyć szczyt, Władimir Putin, Jacques Chirac i Bill Clinton mieli przejeżdżać przez Tokio; pojawić się miał również Tony Blair, a tydzień przed nim – minister spraw zagranicznych rządu Wielkiej Brytanii Robin Cook.

– Wiedziałem o spotkaniu G8 – wspominał Tim. – I pomyślałem: Jeśli organizują tam szczyt, oczy całego świata będą zwrócone na Japonię, a to może nam pomóc. Jeśli sprawą Lucie zainteresujemy ludzi w Anglii, jeśli wyborcom zacznie zależeć na tym, żeby się dowiedzieć, co się stało z Lucie, wtedy każdy polityk, z premierem na czele, będzie zobowiązany do zadawania pytań na ten temat, bo inaczej wyjdzie na beznadziejnego gościa.

Takie zadanie postawił przed sobą Tim, zanim wyruszył do Japonii:

sprawić, aby zaginięcie Lucie stało się głośne, nabrało wymiaru problemu, który będą musieli poruszyć najbardziej wpływowi ludzie obydwu państw.

– Był to wyścig z czasem – opowiadał Tim. – Z jednej strony wymagało to ogromnego PR-u: Lucie pojawiłaby się na ekranach telewizorów w całej Japonii. Z drugiej zaś zmobilizowałoby to tokijskich policjantów, ponieważ premier Anglii rozmawiałby na temat dochodzenia z premierem Japonii. Wiedziałem, że tak będzie.

Tim wspominał:

– Czułem się, jak gdybym był olbrzymią koparko-spycharką, która musi dotrzeć do pewnego celu, a tym celem było odnalezienie Lucie. Znajdowałem się w mieście i mogłem jechać wyznaczoną drogą, ulicami i alejami, omijając domy. Jednak miejsce, do którego miałem dotrzeć, było daleko, postanowiłem więc: Jadę prosto przed siebie, nigdzie nie skręcam. Jadę prosto z punktu A do punktu B. A jeśli coś mi stanie na drodze, będę musiał to po prostu zrównać z ziemią.

Ta determinacja, czasami przypominająca coś na kształt ekscytacji, będzie w przyszłości przemawiać na niekorzyść Tima, ale to właśnie ona dodawała mu sił. Gdy samolot obniżał lot, aby lądować na lotnisku Narita, Tim, spoglądając na rozciągającą się pod nim metropolię, poczuł, jak ogarniają go niepokój i konsternacja.

– Miałem zupełny mętlik w głowie, kiedy pomyślałem, że trzeba będzie tam na dole znaleźć Lucie. Widok tego miasta wzbudza strach i podziw, to coś zupełnie nie z tej ziemi. Jest tak ogromne, rojne i obce. Patrzyłem na nie i zastanawiałem się: Jezu Chryste, co to będzie? Co to będzie?

Miał jednak do wykonania pilne zadanie: postawić na nogi brytyjskie media.

Tim zameldował się w hotelu Diamond, w którym mieszkała Sophie

i w którym zatrzymała się również grupa dziennikarzy, reporterów, fotografów i ekip telewizyjnych przybyłych do Tokio tym samym samolotem. Wielu przedstawicieli brytyjskiej prasy nie miało pewności, dokąd zaprowadzi ich historia zaginięcia Lucie. Zależało to od jednej podstawowej kwestii: czym dokładnie zajmuje się hostessa? Jeśli hostessy w gruncie rzeczy można było porównać do dziewczyn na telefon, byłyby to barwna, ale krótkotrwała opowieść o młodej dziewczynie, która uległa pokusie i weszła w świat występku, co doprowadziło ją do zgubnego, choć przewidywalnego końca. Opinia publiczna okaże współczucie rodzinie, ale będzie ono niewielkie. Żaden premier nie będzie chciał się spotkać z ojcem zaginionej prostytutki. Zadaniem Tima było przedstawienie Lucie jako niewinnej młodej kobiety – być może naiwnej, zagubionej, ale znajdującej się w sytuacji, w której mogła się znaleźć każda inna dziewczyna pochodząca ze zwykłej brytyjskiej rodziny.

Dokonać tego mogli jedynie Tim i Sophie i biorąc pod uwagę cynizm brytyjskich mediów, odnieśli niebywały sukces.

Wiele artykułów prasowych dość sensacyjnie opisywało „dzielnicę czerwonych latarni” Roppongi²⁶. („Niebezpieczna japońska jaskinia występku” – ostrzegał jeden z nagłówek tygodnika „People”: „Młode Angielki z klasy średniej wkraczają w mroczny świat grzechu”). Pojawiało się mnóstwo niefrasobliwie rasistowskich uogólnień na temat Japończyków i ich rzekomego zamiłowania do blondynek z Zachodu. („Mężczyźni mogą być skrzywieni seksualnie z powodu surowego wychowania” – wyjaśniała gazecie „Daily Recorder” bliżej nieznana „osoba dobrze obeznana z realiami Tokio”). Jednak Lucie i jej najbliżsi byli traktowani z ostrożnym szacunkiem. O wiele częściej przedstawiano ją jako „byłą stewardesę British Airways” niż jako „dziewczynę z baru”. Nikt nie kwestionował podawanych przez rodzinę wyjaśnień dotyczących przyczyn zadłużenia Lucie ani nie zwracał

nadmiernej uwagi na to, że skoro wjechała do Japonii dzięki wizie turystycznej, pracowała nielegalnie. I pomimo tego, iż publikowano rozpalające wyobraźnię artykuły o „ekskluzywnych Brytyjkach oferujących swoje ciała na sprzedaż”, jasno dawano do zrozumienia, że Lucie znajdowała się w zupełnie innej sytuacji. „Do obowiązków Lucie jako hostessy należało dotrzymywanie towarzystwa klientom baru – skrupulatnie i bardzo taktownie tłumaczył najbardziej sensacyjny i lubujący się w pikantnych artykułach tabloid »The Sun«. – Nic nie wskazuje, aby zajmowała się czymkolwiek poza tym”.

Zamiast nagłówków sugerujących, że młoda kobieta zeszła na złą drogę z powodu podejrzanych moralnie praktyk, gazety na swoich łamach zamieszczały przejmujące, przemawiające do każdego czytelnika czołówki, które zapowiadały zwykłą ludzką historię kochającej i pogrążonej w cierpieniu rodziny oraz ukochanego dziecka zaginionego za granicą²⁷.

Nigdy nie wyjadę bez mojej Lucie, modłę się tylko, żeby była bezpieczna („Express”).

Nie wyjadę bez siostry („The Sun”).

Rodzina prosi sektę o litość dla uprowadzonej („The Daily Telegraph”).

„Dlaczego my?” Cierpieniu nie ma końca, trwają poszukiwania zniewolonej przez sektę Lucie („The Sun”).

– Powiedziałem Sophie: „Jeśli nie podsunie im historii, sami ją zmyślą” – wyznał mi Tim. – Chcieliśmy nadać odpowiedni, przyzwoity ton doniesieniom medialnym i udało nam się to dzięki temu, że ja i Sophie opowiadaliśmy o sobie. Zyskaliśmy tyle współczucia, że nie warto było schodzić z tej ścieżki. Postanowiliśmy dać się wciągnąć w tę grę: udostępnialiśmy szczegółowe informacje, zachowywaliśmy się powściągliwie, nie agresywnie, wieczorami chodziliśmy z pismakami na kolacje.

Dziennikarzom tabloidów przyzwyczajonym do niezadowolenia i wrogości ze strony opisywanych osób swobodny, ujmujący sposób bycia Tima wydał się rozbrajający, czasami wręcz zbijający z tropu. Zawsze odbierał telefony, odpowiadał na e-maile, pozował do zdjęć. Był bardziej niż przychylnie usposobiony, chwilami wydawał się niemal entuzjastyczny. Jego uczynność wzbudzała podejrzenia co niektórych bardziej cynicznych reporterów – czy rodzina Blackmanów nie skrywa przypadkiem jakiejś tajemnicy? Jednak łatwość, a nawet przyjemność płynąca ze współpracy z Timem przeważała nad tymi wątpliwościami.

Przez cały czas naszej znajomości tylko raz okazał publicznie ból i rozpacz. Stało się to w ambasadzie brytyjskiej podczas konferencji prasowej urządzonej pod koniec lipca, szóstej na przestrzeni trzech tygodni. Lucie zniknęła bez śladu, a policja nie wpadła na żaden trop, nie zebrano żadnych informacji, które w znaczący sposób posunęłyby śledztwo do przodu. Brytyjscy dziennikarze, którzy wcześniej specjalnie przylecieli do Tokio, zdążyli wrócić do Londynu, a miejscowych reporterów był zaledwie ułamek w porównaniu z liczbą tych uczestniczących w konferencji sprzed dwóch tygodni.

Tim i Sophie wyglądali na zmęczonych i poważnych. Nie uśmiechali się, nie wymieniali spojrzeń. Tim miał na nogach skarpetki.

– Zaczyna ogarniać nas bezradność i rozpacz na myśl, że Lucie jest gdzieś przetrzymywana w takich warunkach, które sprawiają, że ona również jest zrozpaczona – oświadczył Tim. – Dlatego ja, jako ojciec, pokornie błagam o jej uwolnienie. – Głos mu się załamał, spuścił wzrok, jak gdyby usiłował powstrzymać łzy. Oczy Sophie zwilgotniały.

Pstryk-pstryk-pstryk-pstryk, błysnęły lampy fotoreporterów. Kilku obecnych na sali operatorów zrobiło najazd na pochyloną głowę Tima. Nigdy wcześniej nie mieli okazji zdobyć takiego ujęcia.

Kilka lat później zapytałem Tima o ten moment. Co się stało, że po tych wszystkich tygodniach nagle opuściły was te pozorne spokój i optymizm?

– Prawdopodobnie nie powinienem tego mówić – przyznał po chwili milczenia. – Ale łzy... cóż, zaplanowaliśmy je wcześniej.



W ciągu kilku dni Tim i Sophie ułożyli sobie wyczerpujący plan dnia dostosowany do sposobu funkcjonowania japońskich i brytyjskich serwisów informacyjnych. W Londynie było osiem godzin wcześniej niż w Tokio, dlatego czuwali do późnych godzin nocnych, dzwonili do przyjaciół i rodziny, udzielali telefonicznie wywiadów podczas popołudniowych audycji radiowych i telewizyjnych. Następnie spali przez kilka godzin, po czym od samego rana telefony znów się rozdzwaniały, ponieważ japońskie stacje zaczynały gromadzić informacje do wieczornych i nocnych wydań wiadomości. Podczas śniadania Sophie i Tim rozmawiali z brytyjskimi dziennikarzami mieszkającymi w tym samym hotelu – proszono o nowe zdjęcia Lucie i umawiano się na wywiady. Późnym rankiem wyruszali do ambasady położonej na tyle blisko, że można było w dziesięć minut dotrzeć do niej spacerem, idąc wzdłuż zielonej fosy i szarego muru Pałacu Cesarskiego. Czasami w porze lunchu przemieszczali się po Tokio, aby wystąpić w telewizji Asahi lub Tokyo Broadcasting System podczas tak zwanych wide show – programów emitowanych na żywo w trakcie dnia i oglądanych głównie przez japońskie gospodynie domowe. Popołudnia były zarezerwowane dla tokijskiej policji miejskiej.

Działania policji wydawały się Sophie opieszale i pełne obojętności, jednak podczas pierwszego spotkania z Timem stróże prawa zadali sobie nieco trudu, aby wywrzeć dobre wrażenie. Po przebywających w ambasadzie

Blackmanów podjechał konwój czarnych mikrobusów o zaciemnianych szybach i w eskorcie motocyklistów. Za nimi podążała furgonetka japońskiej ekipy telewizyjnej.

– Dużo wymachiwania rękami, gwałtownych skrętów, dodawania gazu i zupełnie niepotrzebnego pospiesznego przebijania się przez tokijski ruch uliczny – wspominał Tim. – Naprawdę nie widziałem w tym większego sensu. – Zmierzali do komisariatu Azabu oddalonego o niecałe 150 metrów od skrzyżowania Roppongi. Atmosfera panująca w miejscu, z którego kierowano dochodzeniem, podobnie jak cała japońska policja miała w sobie coś z kumoterstwa, nieudolności i posępności.

Komisariat mieścił się w pozbawionym wyrazu szarym, betonowym dziewięciopiętrowym budynku. Przed wejściem stał na straży młody posterunkowy z rewolwerem u pasa i niepewnie trzymał w dłoniach broń, która przypominała trzonek od miotły. Na fasadzie budynku widniała podobizna Peepo, uśmiechniętego stworka, maskotki tokijskiej policji. Powyżej wisiał baner z napisami po japońsku i po angielsku: **SPRAWDŹ PONOWNIE, CZY WSZYSTKIE DRZWI I OKNA SĄ ZAMKNIĘTE.** Niżej zamieszczono plakaty poszukiwanych przestępców, między innymi gangsterów, podejrzanych o morderstwa oraz uśmiechnięte wycięte z papieru postacie naturalnej wielkości przedstawiające trzech zbiegłych członków sekty Aum Shinrikyo, którzy pięć lat wcześniej rozpylili w japońskim metrze wykonany domowym sposobem gaz paraliżujący.

– Zdziwiło nas kilka rzeczy – opowiadał Tim. – Spodziewałem się, że komisariat będzie o wiele bardziej okazały. Wnętrze budynku przypominało wystrojem lata pięćdziesiąte. Zupełnie nijakie, przybrudzone: był to podniszczony, funkcjonalny posterunek. – Najbardziej uderzał absolutny brak jakiegokolwiek widocznego sprzętu zaawansowanego technicznie. Policja miała radia, ale zamiast brzęczących laptopów, których można by się

spodziewać, wszędzie naokoło stały rzędy szaf na dokumenty zavalone stosami papierów. – Myśleliśmy, że zobaczymy zwykłe monitory i tego typu rzeczy – wyjaśniał Tim. – Zaprowadzono nas do centrum dowodzenia zastawionego małymi, szarymi biurkami, między którymi krążyli identyczni ludzie w identycznych białych koszulkach z identycznie podwiniętymi rękawami, i jak okiem sięgnąć, nigdzie nie widać było komputerów.

Popołudnia na komisariacie za każdym razem wyglądały podobnie. Tima i Sophie zapraszano do niewielkiego pokoju konferencyjnego, w którym stała sofa, naprzeciwko niej ława i dwa fotele. Młoda kobieta wносиła filiżanki zielonej herbaty, która przez swój żółtawy kolor i letnią temperaturę przypominała Timowi „płyny organiczne”:

– Nigdy nie przyzwyczałem się do tego smaku, ale zawsze ją piłem. – Po chwili robiło się zamieszanie, gdy po wejściu starszych oficerów następowała wymiana ukłonów i uścisków dłoni.

Niełatwo zapamiętać japońskie nazwiska osobom, które niedługo przebywają w tym kraju – Sophie rozróżniała mężczyzn po fryzurze. Jednym z nich był komisarz Mitsuzane, uśmiechnięty, skryty, w okularach i z przedziałką na głowie, drugi zaś nazywał się Naoki Maruyama, był młodszy, miał nastroszone włosy, pracował w Narodowym Biurze Policji i mówił płynnie po angielsku. Podczas pierwszego spotkania z Timem i Sophie obydwaj funkcjonariusze wręczyli im trzymane w dwóch dłoniach wizytówki zadrukowane z jednej strony japońskimi znakami, a z drugiej napisami w języku angielskim. Na wizytówce komisarza Mitsuzanego widniał następujący gąszcz informacji:

Akira Mitsuzane
Komisarz Policji
Naczelnik Zespołu Dochodzeń Specjalnych
Pierwszy Wydział Śledczy
Biuro Śledcze

Departament Tokijskiej Policji Miejskiej
2-1-1 Kasumigaseki
Chiyoda-ku, Tokio 100-8929

Komisarz Mitsuzane prawie nie mówił po angielsku i konieczność tłumaczenia jego wypowiedzi przedłużała spotkania z Blackmanami. Jednak tak czy inaczej trwałyby one długo, ponieważ śledczy pytali w kółko o te same sprawy z uporczywością osób cierpiących na amnezję.

Dowiadawali się o wykształcenie Lucie, o jej karierę zawodową przed przybyciem do Japonii oraz o powody, dla których tu przyjechała. Tematem, na punkcie którego zdawali się mieć obsesję i do którego cały czas wracali, były długi Lucie. Zrobili kserokopie paszportów Tima i Sophie, podsuwali im formularze do wypełnienia i oświadczenia do podpisania. Jaki charakter miała Lucie, pytali. Dlaczego według Tima doszło do popełnienia tego przestępstwa? Tim odpowiadał:

– Lucie nie należy do osób, które wędrują gdzieś własnymi ścieżkami. Nigdy taka nie była i nie ma powodów, aby przypuszczać, że zrobiła to teraz. Poszła na umówione spotkanie. Zadzwoiła do przyjaciółki, aby powiedzieć, że niedługo wraca, i nie wróciła. Dlatego można przypuszczać, że jest gdzieś przetrzymywana wbrew własnej woli.

Komisarz Mitsuzane kiwał głową i uśmiechał się z rezerwą. Niemniej wyjaśnienia Tima najwyraźniej były akceptowane. Obecność wysokich rangą oficerów wskazywała, że przypadek Lucie ze zwykłego dochodzenia w sprawie osoby zaginionej przekształcił się w dochodzenie kryminalne.

– Nastąpił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni w porównaniu do tego, w jaki sposób potraktowano Sophie tydzień wcześniej, gdy ją wyrzucono z komisariatu – wspominał Tim. Nie wątpił, że doniesienia prasowe na temat tej sprawy, wywiady prezentowane wczesnym rankiem i późnym wieczorem

znacznie się przyczyniły do zmiany nastawienia policji.

Wychodząc z komisariatu, Tim i Sophie zwykle natykali się na Louise Phillips, która również szła na przesłuchanie. Wydawało się, że przesiadywała tam bez przerwy, a ich przypadkowe spotkania zamiast odbywać się w atmosferze życzliwości i wsparcia, były pełne napięcia. Sophie wspominała, że niesmakiem napełniał ją wygląd Louise – jej najlepsza przyjaciółka zaginęła, ona zaś miała staranny manicure i makijaż nawet podczas wizyt na komisariacie. Tim i Sophie odnieśli również wrażenie, że Louise czuła się skrępowana, a nawet zażenowana ich obecnością. Twierdziła, iż śledczy prosili ją, aby nie rozmawiała z najbliższymi Lucie.

Gdy wychodzili na ulicę Roppongi, powoli zaczynało się ściemniać. Hostessy jedna po drugiej wychodziły z klubu fitness położonego zaraz za budynkiem komisariatu. Tim i Sophie jechali taksówką z powrotem do hotelu Diamond, siadali w restauracji i zamawiali piwo. Mniej więcej o tej porze w hotelowym holu zbierali się podekscytowani przedstawiciele brytyjskiej prasy i parami lub trójkami wyruszali, aby po raz kolejny „zbierać materiały” – spotykać się z dziewczynami z barów na koszt firmy. Na umieszczonym w rogu restauracji telewizorze Tim i Sophie oglądali siebie w udzielonych rano wywiadach, teraz odtwarzanych z japońskim dubbingiem.

W hotelowym barze znajdowało się automatyczne pianino, które wczesnym wieczorem przez cały czas wygrywało brzękliwe melodyjki. Na stołku fortepianowym siedziała maskotka, olbrzymi biały królik²⁸ w kamizelce i muszce, rozmiarami przypominający człowieka. Na pyszczku królika malował się smutek i rezygnacja, a jego wąsiki drgały w takt wygrywanych melodii. Najwyraźniej jednak nikomu w barze nie wydawał się

niezwykły czy komiczny i właściwie nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi. Jedynie Tim i Sophie, sącząc piwo, wpatrywali się w białego królika. Nic lepiej nie obrazowało absurdu sytuacji, w jakiej się znaleźli, i związanej z nią rozpacz, która ich ogarniała, gdy analizowali wydarzenia dnia, czując się przy tym tak, jak gdyby cały czas byli po niewłaściwej stronie lustra.

[22](#) Informacje na ten temat pochodzą z moich rozmów z Rupertem Blackmanem, Sophie Blackman, Timem Blackmanem, Valerie Burman, Josephine Burr i Jane Steare.

[23](#) J. Coles, *BA Girl Lucie 'Held as Cult Sex Slave'*, „The Sun”, 11 lipca 2000; M. Dowdney, L. Rock, *Snatched by a Cult*, „Mirror”, 11 lipca 2000; R.L. Parry, *Missing Hostess Vanished after Meeting at Club*, „The Independent”, 11 lipca 2000; *Japanese Journalists Fear the Mob May Be Involved*, „Sevenoaks Chronicle”, 20 lipca 2000.

[24](#) List do Tima Blackmana od Sue Kinoshity, sekretarz prasowej brytyjskiej ambasady odpowiedzialnej za public relations i kontakty z mediami, 12 lipca 2000.

[25](#) S. Pritchard, *Why I Took '100 Million Pieces of Silver' for My Daughter's Death*, „The Observer”, 29 kwietnia 2007.

[26](#) F. Thorne, *Peril of Jap Vice Trap*, „The People”, 16 lipca 2000; G. Ralston, *21st Century Geisha Girls*, „The Daily Record”, 14 lipca 2000; J. Coles, *From High Life to Hostess*, „The Sun”, 13 lipca 2000.

[27](#) *I Will Never Leave Japan Without My Lucie, I Just Pray That She's Safe*, „Daily Express”, 13 lipca 2000; J. Coles, *I'm Not Leaving Without My Sis*, „The Sun”, 13 lipca 2000; *Family Pleas for 'Cult' Woman*, „The Daily Telegraph”, 13 lipca 2000; J. Coles, *Why Us?*, „The Sun”, 14 lipca 2000.

[28](#) Niestety hotel Diamond został od tamtego czasu rozebrany i przebudowany i mechanicznego królika nigdzie już nie można zobaczyć.

ROZDZIAŁ 8

NIEZROZUMIAŁE SŁOWA

TONY BLAIR SPOTKAŁ SIĘ z Timem i Sophie²⁹ w tokijskim hotelu New Otani pewnego lipcowego popołudnia 2000 roku. W tamtym czasie cieszył się największymi wpływami i popularnością zarówno w kraju, jak i za granicą. Podczas spotkania z japońskim premierem Yoshiro Mori Blair podziękował tokijskiej policji za zaangażowanie i poprosił, aby „zrobili wszystko, co w ich mocy”, żeby odnaleźć Lucie. Pan Mori został wcześniej poinformowany o całej sprawie.

– Tokijska Policja Miejska dokłada wszelkich starań, żeby odnaleźć Lucie-san – zapewnił. – Chcę, żeby było tak dalej.

Przecucia Tima Blackmana okazały się bardzo trafne. Blair starannie budujący swój wizerunek szczerego, empatycznego i rodzinnego człowieka nie mógł zlekceważyć tej sprawy, przed kamerami wypowiedział zatem słowa, które brzmiały, jak gdyby napisał je sam Tim.

– Jest to oczywiście sprawa strasznie niepokojąca i koszmar każdego rodzica: dziecko wyjeżdża do pracy za granicę i znika – oświadczył, stojąc obok ojca i siostry Lucie. – To tragiczna historia i najbliżsi, co rozumiało, odchodzą od zmysłów ze zmartwienia, zostają tu jednak i nie zamierzają się poddać, dopóki nie doprowadzą do wyjaśnienia miejsca pobytu zaginionej

i okoliczności całego zdarzenia.

– Naciski muszą iść z góry – wyjaśniał Tim. – Jeśli będę tupał nogą, uznają mnie za utrapienie, ale jeśli tupnie nogą japoński premier, szef szefów, efekt będzie o wiele większy.

Jak gdyby w odpowiedzi na rozmowy na najwyższym szczeblu tokijska policja podjęła energiczne działania. Oznajmiono, że do rozwiązania sprawy oddelegowano czterdziestu śledczych; wydrukowano trzydzieści tysięcy plakatów z podobizną zaginionej i rozprowadzono je po całym kraju. Gdy zapytano o liczbę telefonów od ewentualnych świadków w tej sprawie, policja podała rozbijająco precyzyjne dane: dwadzieścia trzy jednego dnia, dziewiętnaście dwa dni później. Nie wspomiano jednak nic na temat przydatności uzyskanych w ten sposób informacji ani o ogólnych postępach w dochodzeniu.

– Zapewniam – podczas spotkań z Timem powtarzał komisarz Mitsuzane, uśmiechając się życzliwie i z rezerwą – że robimy wszystko, co w naszej mocy.

Blackmanowie dokonali wyboru i postawili na media. Robiąc to, raz na zawsze uniemożliwili nawiązanie z policją stosunków opartych na zaufaniu.

Pewnego dnia Tim i Sophie poszli na policję odebrać rzeczy Lucie, które zabrano z Sasaki House. Zostały one skrupulatnie posortowane i zinwentaryzowane, odbiór każdego przedmiotu trzeba było pokwitować. Znajdowały się tam między innymi zestawy do makijażu i manicure oraz poradniki, wszystko szczelnie zamknięte w plastikowych torebkach i zapisane w aktach policyjnych. Był naszyjnik od Tiffany’ego, który Jamie podarował Lucie, wzruszający list pożegnalny od Sophie oraz pocztówka do Sam Burman. Dziennik Lucie pozostał w rękach śledczych, ponieważ uznano, że może zawierać ważne wskazówki i dowody. Sophie, która przywiozła ze sobą bardzo mało ubrań, zaczęła nosić rzeczy Lucie. Siostry

były do siebie bardzo podobne, zarówno pod względem budowy, jak i rysów twarzy, teraz zaś, gdy Sophie była nawet ubrana tak samo jak Lucie, cała sytuacja stała się jeszcze bardziej upiorna i poruszająca.

Przeglądając w obecności urzędnika policji rzeczy Lucie, Tim i Sophie płakali.

Najwięcej bólu sprawił im widok maskotki, którą Lucie miała od wczesnego dzieciństwa i której nadała imię Pover, ponieważ nie potrafiła jeszcze wymówić litery „r” i nie mogła nazwać jej typowym dla psów imieniem „Rover”. Wysłużony pluszowy piesek z długimi miękkimi uszami, do których mała Lucie przytulała się i które ssała, towarzyszył jej wszędzie, nawet gdy już była dorosłą kobietą. Zabierała go na każdy lot z British Airways, przez co maskotka stawała się coraz bardziej wyliniała i brudna. Pover poleciał z Lucie również do Tokio – a teraz znalazł się na komisariacie.

– To był bardzo zły znak – opowiadał Tim. – I bardzo, bardzo trudny moment. Uświadomił nam to, z czym mamy do czynienia. Bo gdyby wyjechała gdziekolwiek z własnej woli, pluszak powędrowałby razem z nią w torbce. On jednak został. To tak jakby przekazywała nam wiadomość: „Planowałam wrócić. Nie wróciłam”.

– Kontakty z prasą – wyznał mi później Tim – to była gra. I podobała mi się ona, jeśli mam być szczerzy: naprawdę mi się podobała. Co nie znaczy, że sprawiała mi przyjemność sytuacja, w której się znalazłem. Czuliśmy jednak, że jeśli okazemy się silni, doczekamy się reakcji, ponieważ inni będą wiedzieli, że się nie poddamy. Kiedy spotkałem się z Tonym Blairem, nie chciałem, żeby pogłaskał mnie po głowie i powiedział: „Och, biedaku, to okropne, trzymaj się”. Uważałem, że jeśli będę silny, bardziej zmobilizuję go do konkretnego działania. Takich rzeczy można dokonać tylko z pozycji siły. Ludzie nie wiedzą, że byłem w strasznym stanie psychicznym. Naprawdę nie

orientowałem się w różnych szczegółach całej sprawy. Wyglądało to tak, jak gdybym tracił pamięć. Nie rozumiałem, co inni do mnie mówią. Nie miałem pojęcia, co ja tam robię. Z perspektywy czasu widzę, że te wszystkie wydarzenia bardzo mną wstrząsnęły. Kiedy musiałem skupić się na zadaniu do wykonania, a było nim utrzymanie uwagi mediów na sprawie Lucie, zaczynałem myśleć bardzo przytomnie. Za kulisami zupełnie głupiałem.

Sophie Blackman podobnie jak ojciec z pełną świadomością postanowiła być „silna”, jednak okazywała swoją siłę inaczej niż on, gdyż w jej wypadku często twardość przekształcała się w gniew lub niechęć. Sophie wydawała się nie smutna czy zrozpaczona, ale nieustannie zła na policję, a przede wszystkim na dziennikarzy, którym okazywała jawną pogardę. Uprzejmość, poczucie humoru, urok osobisty – żadna z tych cech nie potrafiła złagodzić zaczepności charakteryzującej Sophie. Zachowywała się do tego stopnia niegrzecznie, że trudno było wykrzesać dla niej współczucie, i Sophie, dumnej i ostrożnej w stosunku do innych młodej kobiety, prawdopodobnie o to chodziło. Przechodziła bowiem jedno z najbardziej druzgocących doświadczeń swojego życia – doświadczenie, które odcisnęło na niej trwałe piętno i niemalże doprowadziło ją do śmierci.

W Japonii Sophie bez przerwy odczuwała lekkie mdłości. Nie opuszczało jej otumaniające zmęczenie spowodowane zmianą stref czasowych i poczucie przebywania w nieco odrealnionym świecie, a do tego odkąd wylądowała, nie przespalała spokojnie ani jednej nocy.

– Spałam godzinę, po czym dzwonił telefon – opowiadała. – Mijała chwila, zanim zorientowałam się, gdzie jestem, co robię i o co idzie gra. Zaraz potem zaczynały się mdłości. Pamiętam to, kilka miesięcy nieustannych mdłości. Budziłam się w świeżej hotelowej pościeli, w chłodnym, klimatyzowanym pokoju zaciemnionym grubymi zasłonami. I przez ułamek sekundy myślałam: Ale tu przyjemnie – gdzie jestem? Przez

króciutką chwilę byłam szczęśliwa. A potem dochodziłam do siebie, dzwonił telefon, a ja się zastanawiałam: Czy będzie zła wiadomość? Czy siostra nie żyje? Tak wyglądał prawie cały rok – fale mdłości, niepokój i strach. Kiedy się dowiedziałam, co się stało z Lucie, kiedy poznałam jej los, była to najbardziej druzgocąca, najsmutniejsza chwila w moim życiu, ale w porównaniu z poprzednimi miesiącami była to także ulga.

W tamtym czasie, w połowie lipca, zaczęło się okazywać, że rozgłos medialny przyniósł kolejny skutek: pojawiali się wolontariusze, obcy ludzie, którzy chcieli pomóc w poszukiwaniach Lucie.

Tydzień po przyjeździe Tima dołączyła do niego jego partnerka Josephine Burr. Tamtego wieczoru zjedli razem z Sophie kolację w restauracji Bellini's położonej przy ulicy, na której mężczyźni z Ghany zaczepiali przechodniów, aby zwabić ich do klubów ze striptizem. Przy sąsiednim stoliku siedziała para cudzoziemców: piękna, młoda kobieta i wysoki, zwałisty, niespełna czterdziestoletni mężczyzna o opadających włosach, którzy poznali Tima i Sophie z telewizji. Mężczyzna przedstawił się jako Huw Shakeshaft, doradca finansowy prowadzący niewielką firmę w Tokio. Był Brytyjczykiem, mieszkał w stolicy Japonii od czterech lat i przez cały ten czas rzadko kiedy oddalał się więcej niż półtora kilometra od skrzyżowania Roppongi. Jego biuro mieściło się naprzeciwko Agencji Obrony, a mieszkanie po drugiej stronie autostrady. Stołował się w restauracjach i barach Roppongi, zagraniczni bankierzy i maklerzy giełdowi, których tam spotykał, stawali się jego klientami, a hostessy z klubów były jego dziewczynami. Nazywano go „sir Huw z Roppongi”, a on sam szczyił się tym, że zna tu wszystkich. Dzielnica ta była jego naturalnym środowiskiem i czuł się w niej równie dobrze jak mała w lesie tropikalnym.

Huw nigdy nie spotkał Lucie, ale dobrze znał jej sprawę i bardzo pragnął

pomóc.

– Jeśli chcesz znaleźć córkę, daj sobie spokój z ludźmi z ambasady, oni są do niczego – powiedział Timowi. – Potrzebne ci biuro i specjalna linia telefoniczna. Wszystko to mogę ci załatwić.

Huw prosto z restauracji zaprowadził Tima do najbliższego bankomatu, z którego pobrał 200 000 jenów, równowartość 1900 dolarów, i wręczył je Timowi. Następnie poszli do baru po drugiej stronie ulicy, gdzie inny Brytyjczyk, znajomy Huw, dał Timowi kolejne 100 000 jenów.

Tim był do głębi poruszony. Jego firma od dwóch tygodni przeżywała zastój, za pokoje w hotelu Diamond płacił ponad 300 dolarów na dobę, do tego należało jeszcze doliczyć koszty wyżywienia, przejazdów taksówkami, telefonów.

– Pożyczałem pieniądze z banku. Pożyczałem od szwagra, więc to, co się stało, było niesamowite – opowiadał. – Huw był niezwykle hojny.

Zanim się pożegnali, Huw zostawił Timowi wizytówkę i zaprosił go do swojego biura na spotkanie następnego dnia rano.

Biuro miało doskonałą lokalizację, znajdowało się na trzecim piętrze w budynku oddalonym o pięćdziesiąt metrów od Casablanki. Był w nim nieużywany telefon z automatyczną sekretarką, który natychmiast uruchomiono jako „specjalną linię”, numer, pod który mogli dzwonić wszyscy ludzie – na przykład hostessy posiadające wizy turystyczne i pracujące nielegalnie – niekoniecznie pragnący kontaktować się z policją. W czasie, który minął od wieczornego spotkania z Timem, Huw zdążył rozesłać do przyjaciół i znajomych e-mail z prośbą o pomoc w sprawie Blackmanów. Pewien bankier inwestycyjny zaoferował swoje usługi jako kierowca wieczorami i w weekendy. Inny Brytyjczyk mieszkający na stałe w Japonii i pracujący w wytwórni detergentów zaproponował umieszczenie zdjęcia Lucie na butelkach z płynem do prania. Nieliczny personel Huw mógł

pomóc w tłumaczeniach, a Tania³⁰, wielojęzyczna rosyjska modelka i hostessa, z którą poprzedniego dnia Huw jadł kolację, miała służyć za przewodnika.

Wieczorem wszyscy znów udali się do restauracji Bellini's, aby uczcić nowe ustalenia. Huw powiedział kierownikowi restauracji, że za każdym razem gdy Tim i jego rodzina będą tu przychodzić, on będzie płacił za posiłki.

Biuro i specjalna linia dodały Timowi energii do działania. Z Wielkiej Brytanii również zaczęły napływać oferty pomocy i wkrótce do Roppongi ściągnęła cała ekipa pomocników.

– Cały czas ktoś do nas dzwonił – relacjonował Tim. – Większość miała dobre intencje, ale niektórzy byli zwykłymi cwaniakami. Brakowało nam wtedy przytomności umysłu, żeby od razu ich rozpoznać.

Jeden samozwańczy „prywatny detektyw” przyjechał z Anglii na tydzień, przesłuchał wiele hostess i przedstawił rachunek opiewający na 18 000 dolarów. (Pokrył go, podobnie jak wiele innych wydatków, Brian Malcolm, zamożny biznesmen, mąż siostry Tima). Bardziej przydatny okazał się Adam Whittington, młody barman z Australii, były żołnierz szkolony na członka ochrony osobistej, a prywatnie przyjaciel Samantha Burman. Adam był niewielkim, rudawym, nierzucającym się w oczy mężczyzną; spędził w Tokio kilka tygodni, przeprowadzając na własną rękę ciche dochodzenie. Często współpracował z dwoma japońskimi reporterami mówiącymi płynnie po angielsku, którzy poświęcili dużo czasu na poszukiwania Lucie: z Toshim Maedą z dziennika „The Japan Times” oraz z Kentarō Katayamą pracującym w prywatnej stacji telewizyjnej TBS.

Tim zwołał w ambasadzie kolejną konferencję prasową i ogłosił uruchomienie specjalnej linii w sprawie Lucie Blackman. Brytyjskie linie

lotnicze Virgin Atlantic pokryły koszty wydrukowania ulotek i plakatów z numerem telefonu specjalnej linii. Po założeniu siedziby i zebraniu zespołu przyszedł czas na chwilę oddechu i zastanowienia się nad kwestią najistotniejszą: co, do licha, stało się z Lucie?



– Ani na sekundę nie dopuszczałem wtedy do siebie myśli, że Lucie może już nie żyć – opowiadał Tim. – Nie mogłem tak myśleć. Wszystko byłoby wtedy na marne. – Po odrzuceniu tej opcji nic innego nie można było stwierdzić na pewno. Lucie wyszła spotkać się z mężczyzną. Gdy tamtego dnia rozmawiała z Louise, wydawała się zadowolona i szczęśliwa. Telefon od Akiry Takagiego z pewnością był wybiegiem, fałszywym tropem podrzuconym przez kogoś, kto chciał zmylić śledczych. Świadczył jednak o tym, że ktoś wiedział, gdzie jest Lucie, oraz potwierdzał założenie, że jest gdzieś przetrzymywana wbrew własnej woli. Tylko gdzie? I przez kogo?

Osobą, która bez wątpienia jako pierwsza przychodziła do głowy, był chłopak Lucie, żołnierz amerykańskiej piechoty morskiej Scott Fraser. Wszyscy, którzy mieli z nim styczność, nie mogli określić go inaczej niż jako człowieka bezpośredniego i uczciwego, a jego alibi było niepodważalne: w dzień zaginięcia Lucie pełnił służbę na pokładzie okrętu marynarki Stanów Zjednoczonych Kitty Hawk. Następnymi w kolejce do przesłuchania byli najlepsza przyjaciółka Lucie Louise Phillips oraz Kenji Suzuki, najwierniejszy klient Lucie, który zabrał ją na największą liczbę dōhan.

Sophie знаła hasło do konta poczty elektronicznej Lucie. Szybko wydrukowała wszystkie listy i przekazała je policji. Korespondencja z Kenem zdecydowanie wyróżniała się na tle innych wiadomości. Było jasne, że zadurzył się on w Lucie, a z ostatnich listów wyczierała niezbyt głęboko

skrywana zazdrość i rozdrażnienie. Jednak policja zapewniała Tima, że przesłuchano Kena i wykluczono go z grona podejrzanych. Natomiast Louise w dalszym ciągu przesłuchiowano codziennie. Jej nieustanna obecność na komisariacie oraz oziębłość wobec Blackmanów wzbudziły niechęć i podejrzliwość rodziny.

Louise była jedynym świadkiem wielu kluczowych momentów całej sprawy. Nie było podstaw, aby sądzić, że fantazjowała, jednak niektóre fragmenty jej opowieści zdawały się dziwnie niejasne. Szczegóły rozmowy telefonicznej z Akirą Takagim były zbyt osobliwe, aby ktokolwiek mógł je na poczekaniu zmyślić, a opóźnienie, z jakim Louise poinformowała rodzinę o zaginięciu Lucie, można było złożyć na karb paniki i dezorientacji. Dlaczego jednak Louise nie wiedziała nic o mężczyźnie, z którym Lucie planowała się spotkać?

Louise i Lucie przyjaźniły się od dziesięciu lat. Razem pracowały, jadły i piły, mieszkały w jednym pokoju rozmiarów przestronnej szafy wnękowej. Na dodatek – o czym wiedzieli wszyscy, którzy ją znali – Lucie była niepospolicie gadatliwa.

– Nie potrafiła opowiedzieć żadnej historii krócej niż w dwadzieścia minut – twierdziła Sophie. – Detale, w które się wdawały, były czasami nie do zniesienia. – Skoro zatem była umówiona na dōhan z nowym i zamożnym klientem, który obiecał dać jej telefon komórkowy, z pewnością trajkotałaby o tym bez ustanku. Tymczasem Louise uparcie powtarzała, że nie ma pojęcia, kim jest ów mężczyzna.

Tim i Sophie błagali Louise, żeby poszukała w pamięci jakichkolwiek szczegółów dotyczących mężczyzny, któremu Lucie dotrzymywała towarzystwa przed zniknięciem. Ken Suzuki? Nie, odpowiedziała Louise, Ken był „kochany” i nie mógłby zrobić nic złego. A może stary pan Fotograf Watanabe? To jednak wydawało się jeszcze mniej prawdopodobne. Był

jeszcze pan Kowa, który zaproponował Lucie dōhan na tydzień przed jej zaginięciem.

– Nie Kowa – twierdziła Louise. – To nie mógł być Kowa.

Odkąd specjalna linia w sprawie Lucie zaczęła działać, rozdzwoniły się telefony³¹. Wiele pochodziło od dziennikarzy proszących o wywiad, reszta była bardzo zróżnicowana. Z pomocą pracowników Hwu Shakeshafta wszystkie skrupulatnie przetłumaczono i odnotowano.

- Na lotnisku Kagoshima widziano dziewczynę, która wyglądała jak Lucie. Miała ze sobą małą torbę i wsiadła do srebrnego mercedesa.
- Mamrotanie, niezrozumiałe słowa, śmiech.
- Japończyk widział w samochodzie kilka dziewczyn z Zachodu. Dziewczyna, która wyglądała jak Lucie, pokazała mu zapisane na dłoniach cyfry, najwyraźniej prosząc, aby zadzwonił pod wskazany numer. Kiedy to zrobił, okazało się, że ten numer nie istnieje.
- 1 lipca o godzinie wpół do pierwszej widziano Lucie na górze Fudzi. Miała na sobie białą sukienkę.
- Żadnych informacji, ale osoba dzwoniąca była wzruszona oddaniem i troską rodziny o Lucie.
- Mamrotanie, niezrozumiałe słowa, śmiech.
- Mężczyzna, po głosie wydawał się młody i zażenowany. Chce się umówić na randkę z Sophie. Powiedział, że Sophie jest super.

Telefony pochodziły z najróżniejszych zakątków kraju. Oddzwaniano na każdy, badano każdy ślad, czasami zadając sobie wiele trudu. W jednej z informacji podano adres położonego w północnej części wyspy Hokkaido mieszkania, w którym rzekomo widziano Lucie. Adam i Tania lecieli 800 kilometrów, żeby sprawdzić ten trop, mieszkanie okazało się jednak opuszczone. Nawet jeżeli pojawiały się szczegółowe informacje, praktycznie

nigdy nie bywały pomocne. Wiele razy na całym archipelagu japońskim szlachetni ludzie wykazujący się obywatelską postawą zauważali wysokie, jasnowłose cudzoziemki i zastanawiali się, czy przypadkiem nie będą one tą zaginioną dziewczyną z plakatu. Skoro jednak nie było żadnych innych precyzyjnych informacji, co innego mieli robić?

Po pewnym czasie Tim i jego pomocnicy zaczęli podejrzewać, że Japończykom wszystkie blondynki, przybyszki z Zachodu, wydają się takie same. Któregoś dnia Sophie i Adam stali na głównej ulicy w Roppongi, pokazując przechodniom zdjęcia Lucie. Wszyscy odnosili się wobec nich uprzejmie i ze zrozumieniem, niektórzy sklepikarze wywiesili plakaty na oknach wystawowych. Jednak dwie Japonki zareagowały ze szczególnym ożywieniem. Tak, powiedziały, widziały dziewczynę ze zdjęcia – chwilę temu, w sklepie po drugiej stronie ulicy. Z bijącymi sercami Sophie i Adam przebiegli przez jezdnię z jedną z Japonek, która wskazała witrynę sklepu. Wewnątrz przed lodówką z napojami stała wysoka, jasnowłosa Europejka.

– To ona, to ona! – zawołała dziewczyna.

Kobieta odwróciła się – i była to dwadzieścia lat starsza od Lucie Josephine Burr, partnerka Tima, która nieświadoma zamieszania wokół własnej osoby spokojnie robiła zakupy na lunch.



Jane Blackman nigdy nie pragnęła wyjechać do Japonii. Po pierwsze, musiała się zajmować szesnastoletnim Rupertem, a do tego nie zносиła kamer, konferencji prasowych i pytań. Kiedy dzwoniли dziennikarze, odkładała telefon lub zamykała im drzwi przed nosem.

– Jeśli ktoś jest rodzicem, jeśli ktoś jest bardzo blisko związany ze swoimi dziećmi, to być może potrafi sobie wyobrazić, przez co przechodzę –

stwierdziła w swoim jedynym oficjalnym oświadczeniu. – Nie mam potrzeby dzielić się z prasą swoimi odczuciami.

Jane cierpiała na bezsenność, prawie nie jadła, choć w dalszym ciągu przyjmowała pacjentów na refleksoterapię. Podczas śniadania wypijała kieliszek brandy, który pomagał jej przetrwać poranek. Utrzymywała kontakt telefoniczny i za pośrednictwem poczty elektronicznej z Sophie, natomiast od ostatniej gwałtownej wymiany zdań z Timem nie porozumiewała się z nim bezpośrednio. Będąc w Sevenoaks, Jane nie mogła przyczynić się zbytnio do całej sprawy. Nie potrafiła jednak siedzieć bezczynnie.

Być może ze względu na własne zainteresowanie sferą duchową Jane bardziej niż ktokolwiek inny dopuszczała możliwość, że Lucie wstąpiła do Nowo Powstałej Religii, dlatego spędziła wiele godzin na bezowocnym zgłębianiu wiedzy o japońskich sektach. Dość szybko dwoje pacjentów Jane zaproponowało, że skontaktują ją ze spirytystami, a wkrótce z własnej inicjatywy zaczęli się do niej zgłaszać media, uzdrowiciele i osoby o zdolnościach parapsychologicznych.

– Mówili: „Jeśli pani zapłaci, pojedę do Japonii i znajdę Lucie” – opowiadała mi Jane. – A ja, pamiętam, myślałam: Skoro jesteś medium, to po co masz tam w ogóle jechać? – Jednak nie mając do dyspozycji żadnych innych możliwości, Jane mimo wszystko decydowała się na kolejne spotkania z ludźmi, którzy twierdzili, że posiadają nadnaturalne moce³².

Był między nimi Keith, który „ściśle współpracował” z policją londyńską podczas rozwiązywania „kilkunastu” spraw dotyczących osób zaginionych, oraz Betty, medium, uzdrowicielka, poetka i „specjalistka w zakresie terapii witaminami i minerałami”. Jane pojechała aż do Krainy Jezior, aby spotkać się z pewną spirytystką, później otrzymała nagranie z seansów, na których słychać było dużo jęków, okrzyków oraz dźwięków trąb, w które miały dmuchać niewidzialne duchy. Jedno medium połączyło się ze światem

duchów dzięki trzymanemu w dłoni pierścionkowi, który należał do Lucie, inne oblało wodą mapę Japonii. Jane w długich e-mailach pisanych do Sophie przedstawiała informacje przekazane przez spirytystów. Były one obfite, optymistyczne, dziwnie szczegółowe i na tyle niejasne, że bezużyteczne.

Lucie jest uwięziona w nędznym budynku przy oczyszczalni ścieków.

Jest na małej wyspie należącej do jakuzi.

Jest w budynku zaprojektowanym w stylu georgiańskim, w otoczeniu służby i stołów do gier hazardowych.

Zawiozła ją tam zardzewiała zielona furgonetka.

Zawiózł ją tam luksusowy jacht.

Jej porywaczem jest człowiek o brzydkiej cerze z blizną na prawym policzku.

Jej porywaczem jest Japonka z włosami splecionymi w warkocz.

Louise wie więcej, niż przyznaje. Nie ufajcie jej!

Jeden z japońskich policjantów jest skorumpowany. Nie ufajcie mu!

To japońska mafia.

To arabska organizacja.

Lucie obcięto włosy.

Lucie jest odurzana różnymi środkami.

Lucie nie doznała krzywdy fizycznej.

Przypłynęła z Jokohamy.

Wychwytyję imię Kirashi.

Gdzie jest Okenhowa?

Co to jest Tishumo, Toshimo albo Tushima?

Poszukajcie skrzyżowana z fontanną i świątynią w pobliżu.

Sprawdźcie rachunek telefoniczny.

Wybierzcie innego prywatnego detektywa.

Mężczyzna, hoduje węże.

Na gołym ramieniu widzę wytatuowaną różę.

Tim nie był zupełnie odporny na twierdzenia takich ludzi. Pewien stary australijski radiesteta znany jako Mahoniowy Bob przyleciał z Queensland na koszt jednego z brytyjskich tabloidów. Różdżki, które ze sobą przywiózł,

miały obracać się i krzyżować, gdy natrafiają na świeży ślad. Przez kilka dni Tim, Sophie, Adam i Tania jeździli z nim po całym Tokio, sprawdzając wszystkie miejsca, w których różdżki się skrzyżowały. Pukali do prywatnych domów, biur, weszli nawet na pokład statku towarowego zacumowanego w Zatoce Tokijskiej, jednak bez rezultatu. Mahoniowy Bob był coraz bardziej zmęczony, po kilku dniach oznajmił, że Lucie prawdopodobnie nie żyje i że on nic więcej nie może zrobić, po czym poleciał do domu.

Jane wpadła na pomysł, żeby wysłać do Tokio hipnotyzera, który wprowadziłby Louise w trans i spróbował się dowiedzieć, co naprawdę wiedziała. Jednak pomysł spełził na niczym.

– Czuję się, jak gdyby to wszystko stawało się coraz bardziej nierzeczywiste – napisała Jane w jednym z e-maili do Sophie. – Proszę, daj mi znać, co się dzieje, żebym nie czuła się taka osamotniona.

Jednak pod koniec lipca nadal nie było wiadomo nic nowego.

W Wielkiej Brytanii uwagę mediów przykuła jeszcze bardziej koszmarna historia: Sarah Payne, ośmioletnia dziewczynka z hrabstwa Sussex, zaginęła w tym samym dniu co Lucie i dwa tygodnie później odnaleziono jej ciało – została zgwałcona i zamordowana. Dziennikarze zaczęli regulować rachunki w hotelu Diamond i wymeldowywać się, na początku kosztowne ekipy telewizyjne, potem reporterzy gazet i fotografowie. Zainteresowanie japońskich mediów również słabło. Cotygodniowe konferencje prasowe Tima i Sophie przyciągały coraz mniejszą liczbę dziennikarzy. Nawet zaplanowany przejaw uczuć nie wzbudził zbyt dużych emocji.

Tim poprosił Tokijską Policję Miejską³³, aby jej przedstawiciele wzięli udział w konferencji – zaproszenia nie przyjęto. Napisał do Tony’ego Blaira³⁴ z prośbą, aby oddelegowano „agentów MI6 oraz śledczych Scotland Yardu” do pracy nad sprawą Lucie.

– Znasz to uczucie, kiedy masz koszmary i śnisz, że przytrafia ci się coś

potwornego? – opowiadał Tim. – I wiesz, jaka to ulga, kiedy się budzisz, ocierasz twarz z potu i myślisz: Dobrze, że to tylko sen? Ja jestem w odwrotnej sytuacji.

Za kilka dni mijał miesiąc od zniknięcia Lucie i wciąż można było odnieść wrażenie, że zapadła się pod ziemię. Wkrótce zaczynał się sierpień, najbardziej upalny i senny miesiąc w japońskim kalendarzu – i dopiero wtedy wypadki potoczyły się w zawrotnym tempie.

[29](#) Doniesienia prasowe z tamtego okresu; brytyjska ambasada w Tokio, „Sprawa konsularna: zaginięcie brytyjskiej obywatelki Lucie Blackman – notatki na temat głównych punktów sprawy oraz działań podjętych przez ambasadę”, 2 sierpnia 2000.

[30](#) Tania to pseudonim.

[31](#) Zapisy tych i innych wiadomości zostawianych pod numerem linii specjalnej w sprawie Lucie pochodzą z notatek będących w posiadaniu Tima Blackmana datowanych na 31 lipca 2000 roku oraz z dokumentu przesłanego Timowi Blackmanowi przez brytyjskiego wicekonsula Iaina Fergusona 13 października 2000 roku.

[32](#) Informacje na temat stanu psychicznego Jane w tamtym okresie oraz wiadomości przekazywanych przez spirytystów pochodzą z rozmów z Jane Steare; z e-maili wysłanych przez Jane Steare do Sophie Blackman 26, 27 i 29 lipca oraz 2 sierpnia 2000 roku; oraz z faksu wysłanego przez N.T. Crowthera do Josephine Burr 26 lipca 2000 roku.

[33](#) Z ambasady brytyjskiej w Tokio, „Sprawa konsularna: zaginięcie brytyjskiej obywatelki”.

[34](#) List od Tima Blackmana do Tony’ego Blaira, 28 lipca 2000.

ROZDZIAŁ 9

MIGOCAĆCE ŚWIATEŁKO

PEWNEGO POPOŁUDNIA TIM I SOPHIE siedzieli na komisariacie Azabu, gdy do pokoju wpadł młodszy rangą funkcjonariusz i zaczął gorączkowo tłumaczyć coś komisarzowi Mitsuzanemu. Przekazał mu teczkę z dokumentami, które komisarz przejrzał z uwagą. Po krótkiej przeprowadzonej szeptem naradzie komisarz położył teczkę na ławie przed Blackmanami. Zasłonił górną część dokumentu – widzieli jedynie sam dół strony.

Widniał na nim odręczny podpis Lucie. Nie był on jednak napisany ręką zaginionej. Był podrobiony, na tyle udolnie, że z pewnością wzorowany na oryginalnym podpisie, jednak nie wystarczająco dobrze, aby zmylić ojca i siostrę Lucie.

Była końcówka lipca, list został dostarczony przez pocztę przed chwilą, nadano go zaś dzień wcześniej w prefekturze Chiba. Napisano go na komputerze, po angielsku, i wydrukowano. Rzekomo miał pochodzić od Lucie i był skierowany do jej rodziny. „Zniknęłam z własnej woli i nie życzę sobie, żeby mnie szukano – można było w nim przeczytać. – Nie martwcie się o mnie. Mam się dobrze. Chcę, żebyście wrócili do Anglii, i wtedy do Was zadzwonię”. Tim i Sophie przeczytali zaledwie kilka zdań, ale to

wystarczyło, aby stwierdzić, że język jest napuszony i nienaturalny, a cały list sfałszowany tak samo jak podpis Lucie. Kolejną rzeczą, która wskazywała na to, że list nie pochodził od Lucie, była data zamieszczona na pierwszej stronie. 17 lipca 2000 roku, czterdzieste siódme urodziny Tima. Lucie zawsze pamiętała o urodzinach najbliższych, jednak w treści wiadomości nic na ten temat nie wspomniała.

Kolejna mistyfikacja. Co jednak miała ona znaczyć? Policja stwierdziła, że list zawierał „informacje znane jedynie Lucie” – najwyraźniej chodziło o szczegółowe wzmianki na temat jej rozlicznych długów. Czy zatem oznaczało to, że Lucie żyje? A może znaczyło to tylko tyle, że żyła i znajdowała się w rękach autora wiadomości w okresie między zniknięciem a napisaniem dziwnego listu?

Tim i Sophie przysięgali, że nie wyjadą z Japonii bez Lucie. Jednak dłuższy pobyt stał się niemożliwy. Była to kwestia nie tylko pracy, rozłąki z rodziną i przyjaciółmi czy wysiłku finansowego związanego z utrzymaniem się w najdroższym mieście świata. Obciążenie psychiczne stało się nie do wytrzymania; Tim miał wrażenie, że powoli wariuje i że nikt prócz niego nie zwraca na to uwagi. Uzgodnił zatem z córką, iż będą się wymieniać co dwa tygodnie – przez cały czas ktoś z rodziny będzie obecny w Tokio, ale kiedy Tim będzie na miejscu, Sophie wróci do Anglii i odwrotnie.

4 sierpnia Tim i Josephine Burr przylecieli do Wielkiej Brytanii. Od chwili zaginięcia Lucie minęły trzydzieści cztery dni, od chwili przybycia Tima do Japonii – trzy i pół tygodnia. Z lotniska Heathrow pojechali pociągiem do Portsmouth, tam zaś przesiedli się na prom, który zawiózł ich do miasta Ryde na wyspie Wight. Tim i Jo mieszkali nad morzem na wzgórzu, w starym dużym budynku plebanii przepełnionym energią hałaśliwych nastolatków. Trudno jednak było cieszyć się z powrotu do domu,

gdy los Lucie nadal był nieznany.

Następnego dnia, w sobotę, Tim odebrał telefon od mężczyzny³⁵, który przedstawił się jako Mike Hills.

Tim mgliście pamiętał, że rozmawiał z panem Hillsem kilka tygodni wcześniej. Wtedy był on jedynie kolejnym zupełnie obcym człowiekiem oferującym pomoc i słowa otuchy, chociaż nieco bardziej intrygującym od większości dzwoniących. Pan Hills, z pochodzenia Londyńczyk, co od razu można było poznać po jego akcencie, mieszkał w Holandii. Wyjaśnił, że ma pewne „kontakty” w Japonii, niektóre w „świecie przestępczym”, i że osoby te mogłyby pomóc Timowi odnaleźć Lucie. Zdumiony i oszołomiony korowodem spirytystów, radiestetów, prywatnych detektywów i rzekomych świadków twierdzących, że widzieli Lucie, Tim za pierwszym razem uprzejmie wysłuchał pana Hillsa, jednak nie przywiązywał zbytnej wagi do jego słów.

Niemniej teraz Mike Hills dzwonił ponownie, aby przekazać bardziej szczegółowe i zadziwiające informacje. Pracował, jak twierdził, w „handlu zagranicznym” i często prowadził interesy w Japonii. Ściśle mówiąc, sprzedawał w Tokio broń pośrednikom, którzy z kolei odsprzedawali ją członkom jakuzi. Handel ten, wyjaśnił rzeczowo, odbywał się za cichym przyzwoleniem niektórych urzędników państwowych w Tokio, ostatnio jednak pojawiły się pewne komplikacje. Interes szedł gorzej z powodu zakrojonego na szeroką skalę dochodzenia w sprawie zaginięcia Lucie. Zadawano wiele pytań i śledczy zaczęli wtrącać się w sprawy zwykle ignorowane przez policję. Trudności te sprawiały, że ludzie powiązani z tokijskim półświatkiem stali się nadzwyczaj ostrożni.

Na przykład „dostawa broni ręcznej” zorganizowana przez Mike’a Hillsa utknęła w „składzie celnym” i nie mogła trafić do odbiorców, ponieważ celnicy obawiali się przyjąć tradycyjną łapówkę. Zagadkowe zniknięcie

Lucie wprowadziło niepotrzebny element nerwowości. Dlatego ludzie, z którymi Mike Hills prowadził interesy, pragnęli, aby ją odszukano i jak najszybciej odesłano do domu, żeby mogli dalej spokojnie robić swoje. Na dodatek, utrzymywał Hills, mieli oni odpowiednie środki niezbędne do odnalezienia Lucie. To będzie kosztowało, uprzedził Tima w rozmowie telefonicznej, ale jest przekonany, że może pomóc odzyskać Lucie.

– Bardzo trudno było mi to ogarnąć – wspominał Tim. – Dopiero co wróciłem z Tokio po tych wszystkich strasznych przeżyciach. Byłem wykończony zmianą stref czasowych, niewyspany i bardzo, bardzo przygnębiony. A tu nagle dzwoni do mnie z Holandii facet mówiący londyńską gwarą i opowiada tę zdumiewającą historię. Powiedział mi: „Słuchaj, nie musisz podejmować decyzji już teraz. Ale spotkajmy się osobiście i porozmawiajmy”.

Umówili się na spotkanie we wtorek, za trzy dni, w belgijskim porcie Ostenda położonym po drugiej stronie kanału La Manche.

Następnego dnia Mike Hills znów zadzwonił, aby przekazać poruszającą wiadomość. Rozmawiał ze „swoją wtyczką” – panem Nakanim, który upewnił go, że Lucie rzeczywiście żyje i ma się dobrze. Została uprowadzona i sprzedana (nie wyjaśnił przez kogo) w ramach handlu żywym towarem uprawianego przez ludzi powiązanych z jakuzą, ale nienależących do niej. Wyglądało na to, że pan Nakani znał ludzi, którzy wiedzieli, kim są porywacze Lucie, i był przekonany, że z ich pomocą można ją wykupić. Cała operacja miałaby kosztować 50 000 dolarów, przy czym część tej sumy należało zapłacić z góry. Mike Hills wpłaciłby pierwszą ratę w wysokości 12 500 dolarów w poniedziałek z własnych funduszy, natomiast Tim zwróciłby mu tę kwotę podczas wtorkowego spotkania.

– Ona w dalszym ciągu jest w Tokio – twierdził Mike. – Odzyskają ją, Tim. Twoja córka niedługo wróci do domu.

Mike Hill przysłał również faksem swoje zdjęcie. Było niewyraźne, jak gdyby przybrudzone, przedstawiało mężczyznę o zniszczonej, naznaczonej zmarszczkami twarzy odsłaniającego krzywe zęby w smutnym uśmiechu – mężczyznę równie sympatycznego jak niewiarygodnego.

Tim musiał przyswoić dużo informacji, ale absolutnie nie zamierzał ich zignorować.

– Nie mieliśmy pojęcia, gdzie jest Lucie³⁶ – opowiadał. – I nagle pojawia się ten facet, który mówi, że wie, gdzie ona może być. Trzeba byłoby mieć nerwy ze stali, żeby mu powiedzieć: „Dziękujemy, ale nie interesuje nas to”.

Oprócz rozgorączkowania i nieśmiałego uczucia ulgi Tim odczuwał strach. Zadzwoił do Adama Whittingtona, młodego australijskiego ochroniarza, który również niedawno wrócił do Londynu, i poprosił go, żeby pojechał z nim do Ostendy. Wyruszyli katamaranem z Dover. Zgodnie z poleceniem Tim wiózł ze sobą 12 500 dolarów w gotówce, które pobrał z banku poprzedniego dnia.

– Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie przeżyłem – wspominał Tim. – Nie miałem pojęcia, czego się spodziewać. To mogła być jakaś wymyślna zasadzka. To mógł być ktoś, kto chciał mnie sprzątnąć z powodu tego, co robiłem w Japonii. Mogło mnie spotkać dosłownie wszystko. Czułem się jak w serialu telewizyjnym, z tą różnicą, że kiedy oglądasz film w telewizji, wiesz, że akcja się skończy do godziny dziesiątej, ponieważ wtedy zaczynają się wiadomości. W rzeczywistości nie masz zielonego pojęcia, co, do cholery, będzie się dalej działo.

Mike Hills czekał na nich na terminalu promowym.

– Miał ciemny garnitur, rzednące włosy zaczesane gładko do tyłu – wspominał Adam. – Mógł mieć około pięćdziesięciu pięciu lat i wyglądał na kogoś, kto wiele w życiu przeszedł. Jego zęby były obrzydliwe, całe czarne, jak u nałogowego palacza albo jak gdyby na coś chorował. Tim przedstawił

mnie jako przyjaciela albo kuzyna i zaproponował, żebyśmy poszli do najbliższej kawiarni.

Po drodze minęli przystań i Mike zaczął rozmowę na temat wielkiej pasji Tima: jachtingu.

– Był ubrany w stary, wytarty garnitur, ale znał się na rzeczy, jeśli chodziło o żagle – relacjonował Tim. – Opowiadał o tym, jak kiedyś był kapitanem jachtu Swan 42 i jak musieli załatać pokład. Spytałem, czego użyli, i zaczął mówić o sklejce tekowej, klepkach tekowych. Wszystko bardzo szczegółowo, fachowo i dokładnie, nie gadał bzdur. Odniosłem wrażenie, że jest byłym marynarzem floty handlowej, bardzo spostrzegawczym i bystrym pomimo swojego niechlujnego wyglądu.

W pewnym momencie Tim zauważył, że spodziewał się kogoś innego i że Mike nie pasuje do jego wyobrażeń na temat bogatego handlarza bronią z międzynarodowymi koneksjami.

Mike uśmiechnął się.

– Ponieważ w żadnym wypadku nie chciałbym na niego wyglądać – odrzekł.

Kawiarnia była wąska, słabo oświetlona, stały w niej ciężkie, obite skórą krzesła. Właściciel przywitał się z Mikiem serdecznie. Jeszcze zanim zdążyli zamówić kawę, Mike przeszedł do interesów. Sprawy w Japonii najwyraźniej posunęły się do przodu od ostatniej rozmowy – szybciej i dalej, niż Tim się spodziewał.

Ludzie Mike'a w Tokio wiedzieli, kto i gdzie przetrzymywał Lucie. Mieli zapłacić za nią 50 000 dolarów okupu, a kiedy już zostanie uwolniona, dać nauczki jej porywaczom, żeby „zapobiec podobnym zdarzeniom w przyszłości”. Wszystko to miało się wydarzyć w ciągu kilku następnych dni.

Mike powiedział, że Tim i Adam muszą szybko wrócić do Japonii

i przygotować drugą ratę w wysokości 25 000 dolarów, którą trzeba będzie zapłacić po uwolnieniu Lucie. Dyskrecja była warunkiem podstawowym. Przez swoją częstą obecność w mediach Tim stał się zbyt rozpoznawalny, dlatego osobą, z którą Mike i jego mediatorzy będą nawiązywać kontakt przez specjalny, używany tylko do tego celu telefon komórkowy, będzie Adam. Gdy Lucie będzie już wolna i bezpieczna w domu, pozostanie do uiszczenia ostatnia wpłata w wysokości 12 500 dolarów.

Mike nakreślał sytuację w taki sposób, jak gdyby wszystko zostało już ustalone, a Lucie była jedną nogą w domu, jak gdyby w ciągu najbliższych dni dzięki kilku operacjom finansowym cierpienie i ból ostatnich miesięcy miały dobiec końca. Jednak Tima nadal dręczyły wątpliwości i konsternacja. Kim był Mike Hills? Skąd gwarancja, że wszystkie te opowieści są prawdziwe? Z kieszeni wyświechtanego garnituru Mike wyjął kserokopię paszportu, rachunek za wodę wysłany na jego adres w holenderskiej miejscowości Breskens oraz numer telefonu do przyjaciela o imieniu Billy, który ponoć pracował z Mikiem w handlu zagranicznym i mógł za niego poręczyć.

Nazwisko: Hills
Imiona: Michael, Joseph
Data urodzenia: 26 czerwca 1943 roku
Miejsce urodzenia: Londyn

Tim zauważył, że przedstawione dokumenty to trochę za mało, aby Mike uzyskał w jego oczach wiarygodność.

– Rozumiem twój niepokój, ale jak inaczej mogę cię przekonać? – spytał Mike. – Mieszkam w Holandii, więc jedyne osoby, które mogą potwierdzić moją tożsamość, mieszkają właśnie tutaj albo w Afryce Południowej,

Hiszpanii... Czuję się tak, jak gdybym starał się o jakąś cholerną pracę.

Mike powiedział Timowi:

– Przykro mi, jeżeli ci to nie odpowiada³⁷, ale nie zamierzam wyłożyć wszystkich pieniędzy z własnej kieszeni. Uważam, że powinieneś zapłacić jeśli nie wszystko, to przynajmniej część. Myślę, że zrobiłbyś to samo na moim miejscu, a ja jestem gotowy wykorzystać wszystkie dostępne mi środki, żeby ci pomóc... Mogę tylko zagwarantować, że jeśli zgodzisz się na te warunki i jeśli wszyscy zrobią, co do nich należy, nie ma powodu, dla którego to wszystko nie miałoby się skończyć.

Przed przekazaniem pieniędzy Tim spisał umowę, na której wyszczególnił wszystkie uzgodnione warunki, i obydwaj się pod nią podpisali.

– Co się stanie, jeżeli coś pójdzie nie tak? – spytał Tim.

– Jeśli ktoś nie wypełni moich poleceń – odpowiedział Mike – osobiście urwę mu głowę.

Tim relacjonował:

– To był jeden wielki absurd. Wyobrażałem sobie jakąś ciemną uliczkę, samochód, który się zatrzymuje, Lucie, którą ktoś trzyma za łokieć i prowadzi w naszym kierunku, oraz rękę, która sięga po walizkę z pieniędzmi. Widziałem tę scenę bardzo wyraźnie, jak gdybym oglądał jakiś film. Nieprzytomną twarz Lucie, otumanioną od narkotyków, którymi ją odurzano...

Sięgnął do teczki i wręczył Mike'owi Hillsowi zwitek stu dwudziestu pięciu studolarowych banknotów.

Młody Adam Whittington był odpowiednią osobą do tego zadania: opanowany, spokojny, bystry, spostrzegawczy. Pracował jako żołnierz, ochroniarz, barman, a w przyszłości został funkcjonariuszem policji w Londynie; miał głowę na karku. Gdy wracali katamaranem do Dover, Tim

spytał Adama, czy podjął mądrą decyzję.

– Mike mówił wszystko, co trzeba – opowiadał mi później Adam. – Dokładnie wiedział, o co zapyta go Tim, i nigdy nie wahał się przed udzieleniem odpowiedzi. Przez cały czas gdy rozmawiali, uważnie go słuchałem, usiłując wychwycić niespójności w jego opowieści: czy on nie bajeruje? Czy jest kanciarzem? Nie było jednak powodu, żeby mu nie wierzyć. Gdybym był na miejscu Tima i gdyby chodziło o moją córkę, zrobiłbym dokładnie to samo.

Następnego dnia Tim i Adam wsiedli do samolotu lecącego do Tokio. Nie minął tydzień, odkąd opuścili Japonię; biały królik nadal grał na pianinie w hotelu Diamond. Tim poszedł do brytyjskiej ambasady i przedstawił w zarysie historię Mike’a Hillsa: mówił o pośredniku, który jest w kontakcie z porywaczami Lucie, i że należy się spodziewać, iż wkrótce zostanie uwolniona. Dyplomaci przyjęli te wiadomości nie ze sceptycyzmem, ale z zainteresowaniem. Na terenie ambasady przygotowano specjalny pokój, w którym można by zająć się Lucie, postawiono też w stan pogotowia lekarza. Adam pożyczył telefon komórkowy, a Tim przesłał faksem jego numer Mike’owi Hillsowi.

„Nikt inny nie zna tego numeru – napisał. – Dlatego kiedy zadzwoni, prawdopodobnie dostanę zawału serca. Jesteśmy gotowi na całą operację, Mike, więc mam nadzieję, że wszystko ci się powiedzie. Będę twoim dozgonnym dłużnikiem”.

Teraz pozostało im jedynie czekać.

Usiłowali zabić czas na wszystkie sposoby. Zajęcia, które wypełniały im dni podczas poprzedniego pobytu – wywiady z dziennikarzami, konferencje prasowe – były surowo zabronione przez Mike’a Hillsa. Tim poszedł do biura Huw Shakeshafta, gdzie wolontariusze w dalszym ciągu pracowali,

monitorując telefony rejestrowane przez linię specjalną w sprawie Lucie. Nagrania stanowiły tradycyjną mieszankę informacji bezużytecznych, nieistotnych i osobliwych.

- 28 lipca o godzinie osiemnastej widziano dziewczynę przypominającą Lucie w sklepie Just Co w Nagoi. Miała trwałą ondulację i trzymała za rękę mężczyznę, który miał około 177 centymetrów wzrostu. Wsiedli do starego srebrnego samochodu na czwartym piętrze parkingu.
- Dziecko ze słowami otuchy.
- Anonimowy rozmówca twierdzący, że wyspa Matakado w prefekturze Ehime to podejrzanе miejsce.
- W namiocie na plaży Fujisawa widziano dziewczynę przypominającą Lucie. W okolicy bawiło się na imprezie wielu Meksykanów.

Japońska policja prawie zupełnie nie chciała się wypowiadać na temat postępów w śledztwie. W imieniu Tony'ego Blaira na wcześniejszą prośbę Tima o oddelegowanie agentów MI6 do pracy nad sprawą Lucie odpowiedział sekretarz premiera, informując, że pomoc w tej formie nie zostanie udzielona. Jedynie Mike Hills dodawał otuchy Timowi, który rozmawiał z nim codziennie.

– Dlatego Mike wydawał się tak bardzo przekonujący – opowiadał Tim. – Był zawsze dostępny. Miał jeden z tych telefonów, których można było używać w każdym zakątku świata, czterozakresowe, międzygalaktyczne ustrojstwo z super zasięgiem, w tamtych czasach dość rzadko spotykane. Dzwonił i informował mnie na bieżąco. Nigdy nie miałem trudności, żeby się z nim skontaktować. – Przygotowania są w toku, twierdził Mike, trzeba jedynie uzbroić się w cierpliwość. Tim jednak nie potrafił myśleć o niczym innym niż o zwykłym, małym telefonie komórkowym, który Adam nosił w kieszeni.

Tim i Adam spędzali czas w Roppongi, pili w Sports Cafe, jedli

w restauracji Bellini's. Właśnie tam pewnego wieczoru telefon kontaktowy nagle zaczął dzwonić. Mężczyźni spojrzeli po sobie. Adam nerwowym ruchem wyjął komórkę z kieszeni i odebrał połączenie.

– Powiedziałem: „Halo” – wspominał Adam – i usłyszałem głos jakiegoś Japończyka, który zaczął coś mówić, ale sekundę później połączenie zostało zakończone. Powtarzałem: „Halo? Halo?”, ale jego już nie było. Popatrzyliśmy na siebie z Timem, oczy nam rozbłysły: to na pewno oni, w końcu nawiązują kontakt. Jednak telefon nigdy więcej nie zadzwonił.

Gdy przez kilka następnych dni porywacze nadal się nie odzywali, Tim zaczął się niecierpliwić. Mike przeproszał. Spotkanie, podczas którego miała zostać przekazana druga rata, nie odbyło się, tłumaczył, przedstawiciele ludzi, którzy przetrzymywali Lucie, po prostu się nie zjawili. Jednak kontakt nie został zerwany i Mike obiecywał zdobyć najnowsze zdjęcie Lucie oraz pukiel jej włosów, aby dowieść ponad wszelką wątpliwość, że cała historia jest prawdziwa.

Następnie, gdy Tim przebywał w Tokio od ponad tygodnia, Mike znów zadzwonił, żeby przekazać złą wiadomość: Lucie nie było już w Japonii. Podał precyzyjne informacje. Porywacze zaniepokojeni wzmożonym zainteresowaniem sprawą Lucie uznali, że najbezpieczniej będzie pozbyć się jej. Znaleźli trzech chętnych nabywców. Transakcji dokonano w miejscowości Tenkai. Wkrótce potem Lucie przemycono na kontenerowiec o nazwie Leo J. Razem z nią wywieziono cztery inne młode kobiety z Zachodu, które miały zostać sprzedane jako niewolnice seksualne. Jednak Mike nie zamierzał się poddać. Jego ludzie podążali tropem Lucie – jednemu z nich udało się nawet wsiąść na statek, dzięki czemu będzie mógł informować o kursie jednostki i o samopoczuciu przewożonych kobiet.

Po zakończeniu rozmowy Tim nie mógł zebrać myśli, był rozdrażniony

i zdezorientowany. Postanowił zadzwonić do znajomego, który skontaktował się z Rejestrem Lloyda i zapytał o statek handlowy o nazwie Leo J. Ku zaskoczeniu Tima okazało się, że taka jednostka rzeczywiście istniała.

MV Leo J

Tona rejestrowa brutto: 12 004 tony

Bandera: Antigua i Barbuda

Właściciel: Mare Schiffahrtsgesellschaft mbH & Co., Haren, Niemcy

Statek Leo J faktycznie wypłynął z Osaki 10 sierpnia, następnie zawinął do japońskich portów Kobe, Moji i Tokuyama oraz do Hongkongu. Obecnie płynął w stronę Manili.

Następnego ranka przyszedł od Mike'a faks, na którym znajdowały się czarno-białe zdjęcia. Były prawie zupełnie nieostre, ale jedno wydawało się przedstawiać wnętrze domu, drugie zaś trzech uśmiechniętych Azjatów siedzących w pociągu z walizką. „To jest Tenkai”, napisał Mike pod pierwszą fotografią. Pod drugą umieścił napis: „Torba z pieniędzmi. Jadą do Tenkai”.

„Moi ludzie chyba w końcu ruszyli dupy [sic!] – można było przeczytać na kolejnej stronie faksu. – Zapłacili, żeby dostać odpowiedzi na pewne pytania, i teraz ruszają ich śladem”.

24 sierpnia brytyjski biznesmen, który pragnął pozostać anonimowy, skontaktował się z gazetą „The Japan Times” i zaproponował nagrodę w wysokości 100 000 funtów za informację prowadzącą do odnalezienia Lucie.

Kilka dni później człowiek Mike'a płynący kontenerowcem Leo J przekazał o wiele bardziej niepokojącą wiadomość: pięć niewolnic seksualnych, między innymi Lucie, przeniesiono na pokład statku o nazwie Aramac, który obrał kurs na Australię. Pospieszenie zmodyfikowano plan

ratunkowy: nowy okręt zostanie przechwycony w australijskim mieście portowym Darwin, a Mike poleci tam, żeby spotkać się z Adamem. W związku z tym będzie potrzebował kolejnych 10 000 dolarów na pokrycie kosztów podróży i wydatków, które ponieśli „jego ludzie”.

Tim przelał pieniądze na konto Mike’a w holenderskim banku.

Adam poleciał do Darwina i zameldował się w hotelu, w którym mieli się spotkać.

Mike się nie pojawił.

W porcie w Darwinie nikt nie potrafił udzielić Adamowi żadnych informacji na temat statku Aramac. Tim próbował się dodzwonić na czterozakresowy telefon Mike’a, ale nie mógł się z nim połączyć. W końcu Mike przysłał e-mail, w którym wyjaśniał, że jest nie w Australii, ale w Hongkongu.

W jego głosie słychać było napięcie i rozdrażnienie. Problemem okazała się nagroda w wysokości 100 000 funtów, która po raz kolejny wzbudziła niepokój w świątku ludzi Mike’a.

„Akcja w Darwinie została odwołana dzięki tym całym 100 000 funtów, ludzie powinni wiedzieć, że mogą wszystko zepsuć, składając takie oferty – pisał z przyganą. – Różni ludzie pozmieniali przez to swoje plany i sytuacja wygląda inaczej niż wcześniej [...] Zanim powiecie cokolwiek, kontaktujcie się, proszę, ze mną, ponieważ nie chcemy wpakować się w kłopoty”.

Minęło kilka dni. Mike zadzwonił z Hongkongu i oznajmił, że zamierza spotkać się ze swoją „wtyczką”, aby odebrać Lucie.

Później zadzwonił z informacją, że ów mężczyzna został znaleziony martwy w samochodzie.

Adam oświadczył Timowi:

– On kręci. Nabiera nas. Każe nam jeździć po całym świecie, nic nie daje w zamian. Cały czas chce pieniędzy.

Mike, choć wyraźnie zniecierpliwiony, zgodził się wysłać Timowi dowód na to, że zgodnie ze swoim twierdzeniem przebywa w Hongkongu. Tim spytał również, co się stało z obiecany zdjęciem Lucie i puklem jej włosów. Czeka ją w Holandii, odpowiedział Mike, w prywatnej skrytce pocztowej dostępnej tylko jemu.

Rozmowy bez przerwy krążyły wokół tych samych tematów. Ciągnęły się tygodniami. Tymczasem w Tokio japońska policja powoli badała tropy. Tim i Sophie na zmianę przylatywali i odlatywali. Adam i kilkoro bliskich przyjaciół, którzy wiedzieli o Mike'u Hillsie, powiedzieli Timowi, że padł ofiarą oszusta. Pod koniec sierpnia Tim wrócił na wyspę Wight po kolejnej nieudanej próbie sprowadzenia Lucie do domu. Co najmniej raz na kilka dni rozmawiał z Mikiem Hillsem, który opowiadał o wysiłkach, jakie podejmował, aby ponownie nawiązać kontakt z handlarzami żywym towarem. Tim jednak nie wysyłał mu już żadnych pieniędzy.

Pewnego wieczoru w połowie września, półtora miesiąca po pierwszym i jedynym spotkaniu z Mikiem, Tim jechał samochodem do domu. Pod wpływem impulsu wybrał numer do Mike'a, ale zadzwonił nie na jego czterozakresową komórkę, ale na domowy telefon w Holandii. Odebrała kobieta. Tim zaczął udawać Japończyka mówiącego po angielsku:

- Haroo – rzucił. – Mogę rozmawiać z Mister Hirruz?
- Bardzo mi przykro – odpowiedziała pani Hills. – Akurat wyszedł.
- On nie w Hongkong?
- Nie, nie, jest tutaj, w Holandii. Poszedł do sklepu. Za moment wróci.

Tim się rozłączył. Kilka chwil później zadzwonił Mike.

– Właśnie dzwoniła do mnie żona z Holandii – powiedział. – Odebrała dziwny telefon od jakiegoś mężczyzny, który mówił z japońskim akcentem. Nie wiesz... Wiesz, kto to mógł być?

- Nie mam pojęcia, Mike, nie mam zielonego pojęcia – zapewniał Tim. –

A tak w ogóle, to gdzie jesteś? Dalej w Hongkongu?

– Tim – w głosie Mike’a pobrzmiwała złość – tłumaczyłem ci wcześniej i powtarzam jeszcze raz: jestem w Hongkongu.

Wcześniej na lotnisku Narita Tim kupił cyfrowy aparat do nagrywania dźwięku i po tej wymianie zdań zaczął rejestrować wszystkie kolejne rozmowy. Coraz trudniej było mu jednak połączyć się z Mikiem Hillsem. W końcu przestał w ogóle dzwonić.

Mike oczywiście był oszustem, a jego opowieści zwykłym wymysłem.

W październiku 2000 roku do Tima zadzwonił nieznajomy mężczyzna. Nazywał się Brian Winder i był ojcem dwudziestoczteroletniego pracownika banku Paula. W marcu Paul Winder razem ze swoim przyjacielem, botanikiem, wędrował przez dżunglę w Kolumbii. Szukali rzadkich odmian storczyków, ale pewnego dnia zniknęli w pobliżu granicy z Panamą w okolicy zwanej przesmykiem Darién. Od tamtej pory słuch po nich zaginął. Przypuszczano, że zostali porwani przez jedną z grup bandytów, rewolucjonistów albo przemytników narkotyków działających w tamtym niebezpiecznym rejonie. Rodzice Paula powoli godzili się ze świadomością, że ich syn nie żyje, gdy nagle będąc u siebie w domu, w Essex, odebrali dziwny telefon. Mężczyzna, który do nich zadzwonił, mówił w bardzo przekonujący sposób o „kontaktach w świecie przestępczym” w Panamie, dzięki którym może ustalić miejsce pobytu Paula. Brian zapłacił 5000 funtów mężczyźnie o zepsutych zębach i mówiącemu gwarą londyńską, ale nic to nie dało i w dalszym ciągu nikt nie miał pojęcia, co się stało z Paulem Winderem.

Mike Hills nie zadał sobie nawet tyle trudu, żeby wystąpić pod innym nazwiskiem.

Winderowie zgłosili sprawę policji w Essex i Tim postanowił pójść w ich

ślady. Złożył obszernie zeznania, opisał całą historię i przekazał nagrania rozmów oraz faksy i e-maile nadane przez Hillsa. Wniesiono oskarżenia, wydano nakaz aresztu, ale nie znano miejsca pobytu Mike'a. Wszystko wskazywało na to, że wyjechał z Holandii do Alicante w Hiszpanii. Zaczęto rozważać możliwość przeprowadzenia ekstradycji, ale po kilku miesiącach sprawa ucichła i Tim przestał się nią zajmować.

Ku ogromnej radości najbliższych Paul Winder i jego przyjaciel zostali uwolnieni przez przetrzymujących ich partyzantów po dziewięciu miesiącach niewoli i wrócili do Wielkiej Brytanii tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 2000 roku.

Tim prawie zapomniał o całej sprawie, gdy pewnego dnia dwa lata później skontaktowała się z nim policja z Essex. Patrol drogowy w Londynie zatrzymał motocyklistę, który zaparkował w nieodpowiednim miejscu, i zażądał od niego okazania prawa jazdy. Podczas sprawdzania dokumentu okazało się, że jego właściciel, Michael Joseph Hills, jest objęty nakazem aresztowania.

W kwietniu 2003 roku Mike stanął w Chelmsford przed Sądem Koronnym, który postawił mu zarzuty dwukrotnego wyłudzenia. Jego adresem zamieszkania okazał się pensjonat w Waterloo. Oskarżony przyznał się do winy i oświadczył, że pieniądze były mu potrzebne na leczenie chorej na raka żony. Sędzia uznał jednak, iż brakuje dowodów na to, w jaki sposób wyłudzone pieniądze zostały wydane. Mike Hills był uprzednio karany za oszustwa i kradzieże, pierwszy wyrok skazujący pochodził z lat siedemdziesiątych. Tym razem skazano go na trzy i pół roku pozbawienia wolności.

Przed ogłoszeniem wyroku Mike stwierdził:

– Tak naprawdę pieniądze trafiły do mnie, do nikogo innego. Chciałbym być w stanie oddać je tym ludziom. Byłoby miło.

Dziennikarze dzwoniли do Tima, żeby powiadomić go o wyroku, następnie zaś przytaczali jego wypowiedzi, w których używał słów, jakich spodziewamy się usłyszeć od ludzi w jego położeniu: straszne, złe, podłe, nikczemne, żerowanie na ludzkim nieszczęściu. To wszystko prawda.

– Jednak już wtedy – wyznał później Tim w rozmowie ze mną – wiedziałem, że bez tego migocącego światełka, bez tej iskierki nadziei, byłbym w straszliwym stanie. Była to jedyna rzecz, jedyna lina bezpieczeństwa, której się uczepiłem, żeby się utrzymać na powierzchni. Przez cały czas istniała choćby nikła możliwość, że ten człowiek pomoże nam odzyskać Lucie. Dzięki temu nie poszedłem na dno.

Tim wiedział, że było to coś więcej niż zwykła historia podstępnego oszusta i niewinnej ofiary. Potrzebował Mike'a Hillsa i w pewnym sensie sam go stworzył, broniąc się przed obezwładniającą rozpaczą i bezradnością. Mike był dla Tima tym samym, kim dla Jane byli ludzie z parapsychologicznymi zdolnościami. Spirytyści obiecywali wybawienie dzięki nadprzyrodzonym mocom; Mike oferował bardziej prymitywne i osadzone w rzeczywistości rozwiązania – torby z pieniędzmi, broń i przemoc.

– Kiedy zorientowałem się, że to wszystko były kłamstwa, najgorzej poczułem się z tym – opowiadał Tim – że wyrwano mi z rąk linę ratowniczą. Nie przejmowałem się straconymi pieniędzmi ani tym, że zostałem oszukany. Nie miałem nikomu za złe, że stałem się celem, ofiarą przestępstwa. Te sprawy nie miały dla mnie żadnego znaczenia. Najbardziej bolało mnie to, że wyrwano mi z ręki linę ratowniczą.

Właśnie ta cecha Tima wzbudzała mój podziw, a jednocześnie zbijała z tropu: nawet w stanie głębokiego smutku i dezorientacji potrafił się zdystansować, przyjrzeć całej sytuacji z boku i zobaczyć jej psychologiczną złożoność. Ilu ludzi na jego miejscu – upokorzonych, jak zapewne niejednen

z nas by to osądził, przez oszusta – miałyby na tyle odwagi i przenikliwości, aby przyznać: Były to dobrze wydane pieniądze?

– Nie złościłem się – opowiadał Tim. – Czułem się po prostu tak, jak gdybym zapadał się w otchłań, bez liny ratowniczej i bez nadziei. Gdzie mieliśmy ją znaleźć, kolejną iskierkę nadziei?

[35](#) Fragment na temat Mike’a Hillsa powstał na podstawie listów i dokumentów dostarczonych przez Tima Blackmana, między innymi e-maili i faksów od Hillsa, oraz zeznań Tima złożonych 31 października 2000 roku na policji hrabstwa Essex; rozmów z Timem Blackmanem, Adamem Whittingtonem i Sophie Blackman; doniesień brytyjskich gazet w sprawie porwania Paula Winderera w 2000 roku oraz w sprawie aresztowania i procesu Mike’a Hillsa w 2003 roku.

[36](#) D. Sapsted, *Lucie Blackman’s Family Gave Cruel Conman £15,000*, „The Daily Telegraph”, 24 kwietnia 2003.

[37](#) Faks od Mike’a Hillsa do Tima Blackmana, 6 sierpnia 2000.

ROZDZIAŁ 10

SADOMASO

ODPOWIEDŹ, JAKAKOLWIEK BYŁA, musiała znajdować się w Roppongi.

Gdyby w podobnej sytuacji znalazła się jakaś inna rodzina, prawdopodobnie omijałaby z daleka to odrażające miejsce, przez które ich siostrze i córce stała się krzywda. Jednak Blackmanowie spędzili tam wiele wieczorów – ponieważ wydawało się, że był to labirynt, w którym zgubiła się Lucie, ale również dlatego, iż Roppongi w pewien sposób zafascynowało ich.

Sierpień był najgorętszym miesiącem japońskiego lata. Nawet w centrum Tokio niewidzialne cykady narzekały i sarkały pośród drzew. Klimatyzatory wypompowywały gorące powietrze, sprawiając, że upał na ulicach stawał się jeszcze bardziej nieznośny; światło neonów rozpraszało się w wilgotnym powietrzu, zmieniając się w drgającą poświatę. Po kolacji w restauracji Bellini's na koszt Huw Shakeshafta Tim, Sophie oraz ich pomocnicy rozchodzili się do barów i klubów w poszukiwaniu śladów Lucie.

Tim odwiedzał klub Cadeau, One Eyed Jack's i jeden z klubów, w których dziewczyny tańczyły na rurze i rozbierały się do majtek od bikini. Pewnego wieczoru zajrzał do Casablanki, w której wcześniej pracowała Lucie.

– Bardzo dziwne miejsce – relacjonował. – Ciasne, małe pomieszczenie z dość przeciętnymi dziewczynami z Zachodu i niezwykle ożywionymi Japończykami udającymi, że potrafią mówić po angielsku. Obskurne i ponure. Jednak nie identyfikowałem z nim Lucie, ponieważ wiedziałem, że ona sama również nigdy nie identyfikowała się z tym lokalem. Gdyby mówiła: „Tu jest naprawdę fantastycznie, uwielbiam tę pracę!”, pomyślałbym: Co jej odbiło? Ale jej się tam nigdy nie podobało i choć może się to wydać dziwne, ta myśl mnie pocieszała.

Blackmanowie spotykali się z niejednoznacznym przyjęciem ze strony ludzi związanych z wodnym biznesem. Wszyscy znali Tima i Sophie z telewizji, okazywano im więc swojego rodzaju troskę i współczucie. Jednak zniknięcie Lucie łączyło się z niemile widzianym zjawiskiem wydobywania światła dzienne na wprost legalnych interesów, które zwyczajowo prowadzono pod osłoną ciemności. Niekwestionowane od dziesięcioleci praktyki, takie jak zatrudnianie cudzoziemek przebywających w Japonii dzięki wizom turystycznym, zaczęły wzbudzać niepożądane zainteresowanie. Wiele hostess, barmanów oraz kierowniczek lokali nie chciało rozmawiać z Blackmanami, nic również nie wskazywało na to, aby komisarz Mitsuzane i jego śledczy mocno naciskali na ludzi ze środowiska Roppongi. Sytuacja ta doprowadzała Tima do szaleństwa. Doszedł do przekonania, że między policją i właścicielami barów panuje „zmowa milczenia”.

– Skoro Lucie wyszła na spotkanie z klientem, ktoś w klubie wie, kim jest ten człowiek – upierał się. – Policja musi przekroczyć niewidzialną granicę oddzielającą ich od ludzi prowadzących kluby z hostessami. – Podpowiadał nawet, jak to zrobić, chociaż jego pomysł z pewnością nie zjednałby mu przyjaciół w Roppongi. – Zgarnijcie ludzi z klubu: kierownika, właściciela i dziewczyny, wsadźcie ich do więzienia na cztery albo sześć tygodni i niech przemyślą, czy nie warto zacząć mówić – radził. – A potem zróbcie to

jeszcze raz, dopóki do czegoś nie dojdziecie.

Niektórych gorszyły wieczorne wypady Tima do Roppongi. Nikt nie powiedział mu tego prosto w twarz, ale niektórzy japońscy dziennikarze oraz parę osób z ambasady brytyjskiej przebąkiwali, że Tim „bawił się” odrobinę zbyt dobrze. Zdumienie wyrażali nawet ci najbardziej mu przychylni.

– Lubię Tima, naprawdę, ale czasami zachowywał się po prostu... dziwnie – opowiadał jeden z Japończyków, który spędził wiele godzin, pomagając Blackmanom. – Na przykład siedzieliśmy w klubie z hostessami, mieliśmy rozmawiać z kierownictwem o Lucie i o dziewczynach, które tam pracowały, wypytać ich, co wiedzieli i na ile mogą nam pomóc. Zamiast jednak zadawać poważne pytania na temat córki, Tim oglądał się za dziewczynami. Piliśmy drinka, a on szeptał do mnie: „Patrz na nią!”, albo: „Jest boska”. A ja nie wiedziałem, co powiedzieć.

Podczas wieczornych wizyt w Roppongi zaczęły wychodzić na jaw ponure fakty. Jednym z nich była wszechobecność narkotyków.

W Japonii posiadanie choćby niewielkiej ilości miękkich narkotyków jest surowo karane i w kulturze młodzieżowej są one obecne w o wiele mniejszym stopniu niż w Europie i w Ameryce. Jednak na terenie Roppongi działali izraelscy i irańscy handlarze, którzy sprzedawali marihuanę i haszysz, kokainę, a nawet heroinę.

– Wszyscy ćpali – twierdził Huw Shakeshaft, a mówiąc „wszyscy”, miał na myśli wszystkie znane mu osoby: spekulantów giełdowych, barmanów i hostessy.

Slangowe określenie „Barry” odnosiło się do sproszkowanej kokainy – pochodziło ono od imienia amerykańskiego piosenkarza śpiewającego charakterystycznie ochrypniętym głosem Barry’ego White’a. Nieco trudniej było dostrzec powiązanie między kokainą a jej kolejną potoczną nazwą:

„Jeremy”.

– Chodzi o Jeremy’ego Clarksona – tłumaczył Huw. – Prezentera programu *Top Gear*. „Gear” po angielsku znaczy między innymi „prochy”. Czasami też ludzie pytają: „Jesteś na plusie?”, jak gdyby chodziło o wynik finansowy firmy. „Jesteś na plusie?” znaczy: „Masz kokainę?”.

Największą popularnością wśród hostess cieszyła się substancja zwana shabu, czyli metamfetamina, bardzo silna amfetamina, którą można wciągać nosem, palić, wstrzykiwać, a nawet aplikować do odbytu. Wywołane przez nią odurzenie potrafiło przekształcić sztywną rozmowę z nudnym klientem w pasjonujący i niezwykle zabawny flirt. Niektórym hostessom udawało się przetrwać kolejne wieczory w pracy tylko dzięki shabu. W obecności Tima i Sophie ludzie z Roppongi wydawali się ostrożni, jednak pewnej nocy Adam Whittington, jak zwykle dyskretny i stonowany, siedział w barze z Louise i jej znajomymi. Jedna z dziewczyn – nie Louise – poprosiła, żeby poszedł z nią do toalety, gdzie zaproponowała mu zażycie shabu przez nos. Adam odmówił.

Czy Lucie zażywała narkotyki? Czy człowiek, z którym się spotykała, chciał jej dać coś więcej niż tylko telefon komórkowy? Louise zaprzeczała, ale jej wspomnienia były bardzo mgliste. Najbliżsi Lucie zgodnie twierdzili, że Lucie z pewnością nie była uzależniona, ale jeden z jej chłopaków zaćpał się na śmierć, a ona sama pracowała w środowisku – mowa o londyńskiej dzielnicy City w połowie lat dziewięćdziesiątych – w którym zażywanie kokainy w celach rozrywkowych osiągnęło rozmiary epidemii. Jeden z pierwszych wpisów w jej dzienniku żartobliwie nawiązywał do wspólnych z Louise wypadów na zakupy w tokijskich centrach handlowych oraz ich „niekończących się poszukiwań [...] muzyki (wszystko prócz Craiga Davida), pocztówek i prochów!”. Przyjaciołom i znajomym zawsze się wydawało, że Lucie woli wypić niż wciągać prochy czy faszerować się tabletkami.

Niemniej gdyby zechciała, wszystko miała pod ręką.

Drugą niepokojącą sprawą była liczba krążących opowieści o zagranicznych hostessach, które zniknęły lub padły ofiarą nadużyć ze strony klientów. Wiele z tych historii było zaledwie mętными pogłoskami, zwykłymi sensacjami z trzeciej ręki traktującymi o znajomej siostry przyjaciela. Istniało jednak kilka udokumentowanych przypadków dotyczących cudzoziemek, które wpadły w Roppongi w poważne kłopoty.

Trzy lata wcześniej dwudziestosiedmioletnia hostessa z Kanady Tiffany Fordham³⁸ późną nocą wyszła po pracy z baru i ślad po niej zaginął. Sprawa oficjalnie nie została zamknięta, w rzeczywistości jednak policja przestała się nią zajmować. Z kolei wiosną tego samego roku, kiedy zniknęła Lucie, według policyjnych raportów trzy niewymienione z nazwiska dziewczęta z Nowej Zelandii uciekły, skacząc przez okno z pomieszczenia na drugim piętrze, w którym były przetrzymywane i wielokrotnie gwałcone przez grupę mężczyzn z jakuzi.

Pewnego wieczoru Huw Shakeshaft przedstawił Timowi dwie swoje znajome: Isobel Parker, młodą Australijkę, oraz Clarę Mendez, Kanadyjkę³⁹. Działo się to podczas pierwszego pobytu Tima w Japonii – był on wtedy tak bardzo wstrząśnięty i przerażony tym, co zaszło, że informacje udzielone przez obydwie kobiety przeleciały przez niego w podobny sposób, w jaki ciała stałe przelatują przez ducha.

Isobel i Clara stanowiły przykład dość znanego w Roppongi zjawiska: pracując jako hostessy, poznały bogatych pracowników banków, mężczyzn z Zachodu, których zabawiały jako klientów, następnie zaś zostały ich żonami. Obydwie opowiedziały podobne historie na temat dōhan z zamożnym Japończykiem, który zabrał je do mieszkania nad morzem. Obydwie wypily wino zaprawione narkotykami, po czym kilka godzin później, gdy odzyskały przytomność, zorientowały się, że leżą nagie w łóżku

klienta. Isobel Parker zobaczyła, że mężczyzna nagrywa ją na kamerę wideo. W przypiływie strachu i gniewu zabrała mu taśmę, nie zaniósła jej jednak na policję, ale szantażowała nią swojego oprawcę, który w końcu zapłacił jej za zwrot nagrania kilkaset tysięcy jenów.

Od tamtych wydarzeń minęło kilka lat i żadna kobieta nie potrafiła sobie przypomnieć dokładnej lokalizacji mieszkania, do którego zabrał je wspomniany mężczyzna. Wydawało się jednak, że obydwie mówią o tym samym miejscu: nadmorski kurort, wiele betonowych budynków z apartamentami do wynajęcia na wakacje. Pamiętały palmy i szum ich liści poruszanych wiatrem znad morza.



Pewnego sierpniowego dnia na linię specjalną w sprawie Lucie zadzwonił bardzo przejęty i wzburzony mężczyzna⁴⁰. Nazywał się Makoto Ono i twierdził, że posiada niezwykle istotne informacje, które może przekazać jedynie osobiście. Tim i Adam udali się pod wskazany adres do Yoyogi, nieopodal domu dla cudzoziemców, w którym wcześniej mieszkała Lucie. Taksówka zatrzymała się przed jakimś budynkiem mieszkalnym, mężczyźni wsiedli do windy i wjechali na jedno z najwyższych pięter. Mieszkanie, w którym się znaleźli, nie było jednak przeciętne. W jednym pokoju stały lampy, kamery i łóżka. W drugim – rząd maszyn do udźwiękowiania nagrań. Na stołach leżały nieprzyzwoite japońskie i angielskie czasopisma, na ścianach wisiały plakaty z nagimi kobietami.

Tim i Adam zorientowali się, że trafili do małej wytwórni filmów pornograficznych.

Makoto Ono był niskim, krępyim mężczyzną po czterdziestce, miał na sobie bawełnianą koszulkę i buty sportowe. Nie wyglądał na osobę moralnie

podejrzaną. W przeszłości prowadził niewielką firmę komputerową, wyjaśnił. Teraz zajmował się produkcją filmów dla dorosłych. Adam i Tim starali się podejść do tego faktu z nonszalancją równą tej, z jaką pan Ono opowiadał o swoim nowym fachu, nie mogli się jednak powstrzymać, aby co pewien czas nie rzucić okiem na otwarte drzwi prowadzące do pomieszczenia z łózkami i kamerami. W studiu panowała jednak cisza, a to oznaczało – skonstatowali z rozczarowaniem i ulgą – że w danej chwili nie trwały prace nagraniowe.

Pan Ono wyjaśnił, że jest nie tylko twórcą pornografii, ale i miłośnikiem sadomasochizmu, którą to praktykę określał mianem shumi – swojego hobby, ulubionej rozrywki. Wzorem wielu innych japońskich hobbystów dawał upust swoim sadomasochistycznym ciągotom w pewnym środowisku – w „somasochistycznych kręgach”, których członkowie wymieniali się filmami wideo, czasopismami i fantazjami, a czasami urządzali orgie z udziałem dziewcząt specjalnie wynajętych na te okazje.

Od dziesięciu lat nie należał już do grupy prowadzonej przez mężczyznę o nazwisku Ryuji Matsuda, zamożnego biznesmena z sąsiedniego miasta Jokohama, wcześniej jednak aktywnie uczestniczył w jej działaniach. Matsudę poznał podczas spotkania, na które hobbyści o podobnych upodobaniach wynajęli kilka dziewcząt (często rekrutowały się one spośród pracujących za grosze studentek), obwiązali je skórami i linami, a następnie fotografowali w pokoju wystylizowanym na „loch”. Pana Ono od razu zaniepokoiła postawa Matsudy, którego określił zapożyczonym z języka angielskiego mianem „maniaka”. Jego apetyt seksualny był nieokiełznany i odstręczał bardziej umiarkowanych sadystów pokroju Ono. Wszyscy członkowie grupy chełpili się swoimi dokonaniem – lub fantazjami – ale w tym, o czym opowiadał Matsuda, było coś, co mroziło krew w żyłach.

– Ja również mam córkę – wyznał Ono, zwracając się do Tima. –

Uprawiam swoje hobby, ale istnieje granica, której nie powinno się przekroczyć.

Ulubiona fantazja Matsudy dotyczyła posunięcia sadystycznego seksu do ostatecznych granic. Porwie kobietę, opowiadał, cudzoziemkę, dużą blondynkę z obfitym biustem, i nagra to, jak zadręcza ją na śmierć w swoim prywatnym lochu.

– Ty, będąc mężczyzną – Matsuda pytał Ono – nie chciałbyś zrobić takiej jednej nadzwyczajnej rzeczy choć raz w życiu?

– To było dziesięć lat temu – relacjonował Ono. – Dziecinne gadanie. Kto tak naprawdę odważyłby się tak postąpić?

Ono przyłączył się do grupy bardziej umiarkowanych sadystów i odciął się od środowiska Matsudy. Pozostał w kontakcie tylko z jednym mężczyzną stamtąd, o nazwisku Akio Takamoto. Podobnie jak większość ludzi z towarzystwa Matsudy Takamoto był osobą ogólnie poważaną w społeczeństwie, pięćdziesięciodwuletnim członkiem ścisłego kierownictwa firmy Fuji Film, której siedziba główna znajdowała się kilkaset metrów od Roppongi. W połowie lipca, tydzień po informacjach o zniknięciu Lucie, poruszony i zmartwiony Takamoto spotkał się z Ono.

– Przyszedł do mojego biura, był bardzo zdenerwowany – wspominał Ono. – Cały czas bełkotał coś w stylu: „Muszę porozmawiać z Matsudą”. Powtarzał: „Zrobił to. Matsuda w końcu to zrobił”. Potem stwierdził: „Może jest nagranie wideo, dlatego powinniśmy pójść do niego i je ukraść”.

Ono nagle zrozumiał i przeszedł go dreszcz. Takamoto uważał, że fanfaron Matsuda w końcu zrealizował swoją fantazję i porwał Lucie Blackman.

Matsuda niedawno urządził sobie nowy loch, opowiadał Takamoto, tajemne pomieszczenie, w którym mógł oddawać się swoim namiętnościom. Zamiast jednak pochwalić się swoją kryjówką kolegom sadomasochistom,

nikomu nie chciał jej pokazać, co wydało się Takamocie podejrzane. I pewnego razu, przypomniał sobie Takamoto, Matsuda, snując marzenia o uprowadzeniu cudzoziemki, wpadł na pomysł, w jaki sposób zmyli trop, aby utrudnić policji pracę – podsunie im myśl, że zaginiona wstąpiła do sekty.

Ono wydawało się to wszystko bardzo prawdopodobne.

– Jest coś dziwnego w Matsudzie – utrzymywał. – To taki człowiek, który nie wahałby się zabić. Traktuje kobiety jak lalki.

Gdy Takamoto wyszedł, Ono udał się prosto na komisariat Azabu i opowiedział całą historię. Śledczy słuchali z zainteresowaniem, zanotowali nazwiska i adresy wszystkich wymienionych osób, po czym oznajmili Ono, że za jakiś czas będą chcieli z nim jeszcze raz porozmawiać.

W następnym tygodniu wzburzony Takamoto znów pojawił się u Ono i ponownie wyraził przekonanie, że Matsuda zabił Lucie. Minęły dwa tygodnie, podczas których ani Takamoto, ani policja nie kontaktowali się z Ono. Pewnego ranka Ono odebrał telefon od znajomego. Mężczyzna ten dowiedział się od żony Takamoty, że jej mąż nie wrócił z pracy poprzedniego dnia wieczorem. Czy Ono nie wie przypadkiem, gdzie Takamoto może się podziewać?

Ono rzeczywiście wiedział coś, o czym nie mieli pojęcia inni ludzie z otoczenia Takamoty, nawet jego najbliżsi: szanowany pracownik szczebla kierowniczego firmy Fuji Film miał własny loch, niewielkie wynajęte lokum położone w odległości kilku przystanków kolejowych od domu.

Tamtego popołudnia Ono wyszedł wcześniej ze swojej wytwórni pornograficznej i udał się do lochu Takamoty.

Była to kawalerka mieszcząca się na drugim piętrze starego rozpadającego się drewnianego budynku, najtańszy lokal z możliwych. Ono zapukał, ale nikt mu nie odpowiedział. Nacisnął na klamkę, drzwi się

otworzyły i Ono znalazł się w malutkim przedpokoju, w którym jeden obok drugiego stały buty Takamoty, a to oznaczało, że ich właściciel musi być wewnątrz. Ono rozsunął parawan oddzielający przedpokój od dalszej części pomieszczenia. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, był silny odór samochodów i latryny. Pokój zagracały sterty książek, czasopism, kaset wideo, wśród nich stał komputer. W następnej chwili obok szafy Ono dostrzegł dwie blade nogi.

To był Takamoto, martwy. Wisiał na linie przymocowanej do wbitego w ścianę haka. Jego stopy nie unosiły się w powietrzu, ale dotykały ziemi, a całe ciało opierało się luźno o ścianę; od pasa w dół było nagie. Smród unoszący się w powietrzu pochodził z kałuży benzyny, która wylana z przewróconego kanistra wsiąkła w maty tatami, oraz odchodów rozsmarowanych na twarzy Takamoty.

Ono chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz i zadzwonił po policję.

Był jeszcze jeden szczegół, który rzucił mu się w oczy, gdy tylko rozejrzał się po pokoju. Na ścianach widniały – wyraźnie odcinające się od muru dzięki niebieskim obramowaniom i białym napisom w językach angielskim i japońskim – plakaty informujące o zaginięciu ze zdjęciem uśmiechniętej Lucie Blackman.

W ciągu niespełna dwóch godzin na miejsce przyjechało dwudziestu policjantów, zarówno umundurowanych, jak i ubranych po cywilnemu. Przez następne dni Ono składał im obszerne wyjaśnienia.

Od śledczych dowiedział się, że na podstawie przekazanych przez niego informacji, trzy dni wcześniej, 5 sierpnia, wezwano Takamotę na przesłuchanie. Była to sobota, policjanci nie chcieli stawiać go w krępującym położeniu i wzywać na komisariat w dzień roboczy. Takamoto opowiedział im o swoich obawach względem Matsudy. Następnego dnia zapłacił śmiesznie mały czynsz – 20 000 jenów miesięcznie – za swoje gniazdo

rozpusty. W poniedziałek pożegnał się z rodziną i jak zwykle wyszedł do pracy. Następnie zaś, gdzieś między południem a rankiem dnia następnego, zmarł.

Czasopisma i nagrania wideo znalezione w jego kawalerce miały charakter pornograficzny, nowy komputer zawierał pliki z twardą pornografią ściągniętą z internetu. Większość z nich przedstawiała białe kobiety w upokarzających scenach i pozach. Sąsiedzi potwierdzali, że spokojny mężczyzna w garniturze i okularach przychodził do mieszkania prawie codziennie wczesnym wieczorem, ale nie mieli pojęcia, kim on był ani czym się zajmował. Policja doszła do niepewnego wniosku, że zgon nastąpił przypadkowo w wyniku asfiksji autoerotycznej – praktyki, podczas której onanizujący się mężczyzna chwilowo odcina dopływ tlenu do mózgu, aby spotęgować odczucie orgazmu. Ta niebezpieczna zabawa spowodowała na przestrzeni lat śmierć wielu osób, chociaż zrozpaczone rodziny często woła za oficjalną przyczynę zgonu podawać samobójstwo.

Ono nie wierzył w to.

Czy Takamoto mógł się zabić ze strachu, że dochodzenie policyjne zdemaskuje go jako sadomasochistę? Jeżeli jednak jego celem rzeczywiście było uniknięcie krytyki i upokorzenia, dlaczego miałby zakończyć życie w tak groteskowy sposób? A plakaty Lucie na ścianach – dlaczego Takamoto nie wspomniał o nich w rozmowach z Ono, skoro tak bardzo przejmowała go ta sprawa? Czy może ktoś specjalnie rozwiesił plakaty – być może już po śmierci Takamoty – aby zmylić policję? Czy rozlana na podłodze benzyna oznaczała, że ktoś zamierzał spalić mieszkanie, ale coś mu w tym przeszkodziło?

Według Ono najważniejszą wskazówkę stanowił najohydniejszy szczegół – ekskrementy wypełniające usta Takamoty i rozsmarowane na jego twarzy. Policja twierdziła, że były to odchody zmarłego.

– Ono powiedział, że jeśli ktoś wysmaruje cię swoimi ekskrementami, to jest to podniecające – wspominał później Adam Whittington. – Ale ubrudzenie własnymi odchodami to oznaka braku szacunku. Zniewaga.

Dlatego właśnie Ono chciał się spotkać z Timem i Adamem: aby poinformować ich o swoim przekonaniu, że Matsuda porwał Lucie i zamordował Takamotę, ponieważ ten domyślił się prawdy.

– Podczas tych wszystkich wydarzeń poznałem oczywiście trochę dziwnych ludzi – przyznał Tim. – Ta znajomość była chyba jednak najdziwniejsza. To, co on sugerował... trudno wyobrazić sobie coś gorszego, prawda? A może wcale nie tak trudno... Tak czy inaczej w tamtym czasie nie wszystko do mnie docierało i chyba to mnie uratowało. Bo gdybym rzeczywiście zdawał sobie sprawę z tego, co to mogło oznaczać dla mojej córki, jaki mógł spotkać ją los... Cóż, nie docierało to do mnie i chyba dobrze się stało.

Adam jednak pojął wszystko, zapamiętał nawet informację, którą podał im pan Ono, zanim od niego wyszli: adresy tajnych mieszkań zmarłego pana Takamoto i jego domniemanego zabójcy – pana Matsudy.

Kilka dni później Adam i Yoshi Kuroda⁴¹, japoński dziennikarz pomagający Blackmanom, wyruszyli do lochu Matsudy w Jokohamie. Zaparkowali w dzielnicy mieszkalnej zabudowanej niskimi blokami. Znaleźli się na zakurzonym, staroświeckim osiedlu, gdzie starsze panie wieczorami wychodziły na spacer z pieskami i gdzie nie widać było żadnych dzieci. Z zewnątrz budynek, który ich interesował, bardziej przypominał barak albo szopę niż izbę tortur. Otaczał go drewniany płot. Po przejściu przez parkan Adam dostrzegł kilka innych zabudowań, których wcześniej nie było widać, i stojący na warcie Yoshi stał się jeszcze bardziej zdenerwowany. Okna budynku zasłonięte były od wewnątrz kotarami, jednak w pewnym miejscu widniała między nimi szczelina, przez którą można było dojrzeć fragment

wnętrza. Adam zauważył wykładzinę na podłodze i porozrzucone na niej kasety wideo.

Jedno mocne uderzenie kamieniem wystarczyło, żeby wybić szybę. Adam, drobny i zręczny, włożył do środka dłoń, podniósł zasuwkę i wszedł do budynku przez okno, a następnie wpuścił Yoshiego głównymi drzwiami.

Znaleźli się w prostokątnym pomieszczeniu; na jednym jego końcu wisiało niechlujnie rozwieszane prześcieradło, za którym ukryty był obskurny zlew. Zawieszane na oknach zasłony prawie w ogóle nie przepuszczały światła z zewnątrz, jednak w panującym w pokoju półmroku mężczyźni zdołali dostrzec krzesła, telewizor i magnetowid oraz leżące wprost na podłodze materace. Naokoło walały się czasopisma i mnóstwo kaset wideo. Na ich okładkach widniały zdjęcia Japonek i kobiet z Zachodu. Większość nagrań pochodziła z oficjalnych wytwórni, ale kilka wyglądało na filmy własnej produkcji.

– Poza tym wszędzie leżały akcesoria erotyczne – opowiadał Adam. – Sztuczne członki, zaciski na sutki, paskudne, chore rzeczy. Uprzęże, rzemienie i przedmioty, których nigdy wcześniej nie widziałem. Jeden z nich miał rurę, którą wsuwało się kobiecie. Do tego przymocowane były klamry, które miały trzymać nogi w rozkroku, a rura zapewne miała wchodzić między nie. – Narzędzia upokorzenia i bólu stworzone, aby dostarczać rozkoszy.

Przejrzeli nalepki na kasetach wideo, szukając czegoś, co mogłoby mieć związek z Lucie, niczego jednak nie znaleźli. Ściany były gołe: nie wisiały na nich plakaty ze zdjęciem zaginionej dziewczyny. Serca waliły im jak młotem, ponieważ znaleźli się w prawdziwym lochu, w gnieździe seksualnego upodlenia, o którym wszyscy słyszeli, ale które mało kto spodziewa się kiedykolwiek zobaczyć na własne oczy. Ogarnęło ich trudne do opisanie, osobliwe uczucie. Sytuacja zrobiła się tak ekstremalna i nieprawdopodobna, że nieuchronną, wręcz logiczną konsekwencją dotarcia do tego miejsca

wydawało się rozwiązanie zagadki Lucie. Dlatego ogromnym rozczarowaniem było to, że loch okazał się opustoszały. Przyjaciele szukali Lucie wszędzie, podążyli jej tropem aż tutaj, docierając do najmroczniejszych zakamarków ludzkiej duszy, do świata kajdan, wydaliny i śmierci – a mimo to nie znaleźli jej. Byłoby im łatwiej, gdyby trafili w sam środek sadomasochistycznej orgii albo sabatu czarownic składających ofiarę z ludzi: gdyby mieli do czynienia z widzialnym, namacalnym złem, z którym można by się zetrzeć w bezpośredniej walce. Tymczasem jedyną rzeczą, z którą pozostawało im się skonfrontować, była ziejąca z każdego kąta pustka, dojmująca nieobecność Lucie.

Pokój był opuszczony i brudny. Błyszczące wibratory o zróżnicowanej fakturze i lśniące strony pootwieranych czasopism pokrywała warstewka kurzu. Adam dokładnie obejrzał podłogę, materac i zlew, szukając jasnych włosów. Potem właściwie nie zostało im nic więcej do zrobienia. Yoshi zapukał do kilku najbliższych mieszkań, ale żaden z sąsiadów nie wiedział nic o lokalu ani o człowieku, który go wynajmował. Nikt nie widział ani nie słyszał nic podejrzanego.

Jakiś czas później Yoshi wybrał się do mieszkania, w którym umarł Takamoto. Uprzątnięto je i wyniesiono wszystkie sprzęty. Następnie złożył wizytę w domu rodzinnym zmarłego, mieszczącym się trzy przystanki dalej. Gdy wdowa po Takamocie otworzyła drzwi, jej młodość i uroda wstrząsnęła Yoshim. Powiedział, że jest dziennikarzem, ale potem zabrakło mu słów i nie wiedział, o co właściwie zapytać.

– Próbowałem z nią porozmawiać, ale ona po prostu się rozplakała – opowiadał. – To było takie tragiczne, takie smutne. Miał żonę, piękne dzieci, piękny dom i umarł w taki sposób. Przedemną przychodzili już inni dziennikarze i kobieta była zrozpaczona. Błagała mnie: „Proszę mnie zostawić, proszę stąd iść”. Poczuję się okropnie i poszedłem.

W końcu Yoshi pojechał do położonego na zamożnych przedmieściach Jokohamy domu samego Matsudy. Tym razem zamiast zadzwonić do drzwi, postanowił przycząć się po drugiej stronie ulicy. Po pewnym czasie zjawił się Matsuda, krępy mężczyzna w średnim wieku o energicznych ruchach, pełnej okrągłej twarzy i krótkich, szczeciniastych włosach. Yoshi zastanawiał się, czy nie podejść do niego i nie przedstawić się, ale po namyśle powstrzymał się. Za pomocą aparatu z teleobiektywem zrobił jedynie kilka zdjęć, na których uwiecznił Matsudę wychodzącego z domu i odjeżdżającego samochodem.

Co jednak począć z tymi zdjęciami i ze wszystkimi pozostałymi informacjami? Przez kilka tygodni Ono nachodził Tima i Adama oraz wydzwaniał do nich, przekonując, że Matsuda z pewnością jest uwikłany w sprawę zniknięcia Lucie. Adam zaczął się jednak zastanawiać nad pobudkami takiego zachowania. Pan Ono był przekonujący, ale kto wie, jakie urazy chowali do siebie ci dwaj niegdyś zaprzyjaźnieni sadyści i jakie zatargi mogły ich podzielić?

– Był jak dziecko rozgrywające własną grę komputerową – wspominał Adam. – Chciał we wszystkim brać udział. Prawdę mówiąc, podniecało go to. Pod koniec zaczął być naprawdę irytujący, chciał wszystkim dowodzić, mówił nam, co powinniśmy robić. Byłem gotowy do działania, gdybym tylko miał jakieś porządne informacje. A ja miałem jedynie tego Japończyka w kółko powtarzającego to samo. Poszedłem na komisariat z Timem i powiedzieliśmy, co usłyszeliśmy od Ono. Okazało się, że mają to wszystko spisane: nazwiska, adresy Matsudy. Co z tym zrobili, równie dobrze możesz zapytać ty mnie, jak i ja ciebie. Kiedy opowiadaliśmy im tę historię, właściwie nie zareagowali. Posłuchali, zanotowali coś, po czym odprowadzili nas do drzwi.

[38](#) Historia zaginięcia Tiffany Fordham została zrelacjonowana w M. Cernetig, *Red-Light Alert in Tokyo – Police Hunt for Missing Briton and Canadian Turns up Chilling Evidence of Risks Women Run in Hostess-Bar Scene*, „The Globe and Mail”, 28 października 2000; oraz T. Cook, *Family of Woman Missing in Japan Fears for Her Life – Police Seek Possible Link to Rape Suspect*, „Toronto Star”, 30 października 2000.

W roku 2000, gdy zaginęła Lucie, policja z Roppongi nie pamiętała już o zaginięciu Tiffany, które miało miejsce w 1997 roku. Kiedy wspomniałem o tym zdarzeniu komisarzowi Udo stojącemu na czele dochodzenia w sprawie Lucie, imię Tiffany Fordham nic mu nie mówiło; wydawało się, że nigdy wcześniej nie słyszał o tej sprawie.

[39](#) Isobel Parker i Clara Mendez to pseudonimy.

[40](#) Relacja dotycząca wątku sadomasochistycznego oraz śmierci „Akio Takamoto” powstała na podstawie notatek z rozmów z „Makoto Ono” przeprowadzonych przez Kena Katayamę; informacji pochodzących z rozmów z Timem Blackmanem, Daiem Daviesem, Kenem Katayamą, „Yoshim Kurodą” i Adamem Whittingtonem; oraz artykułów w czasopismach „Shukan Hoseki”, 23 sierpnia 2000; i „Shukan Gendai”, 11 października 2000. Wszystkie imiona i nazwiska osób z kręgów sadomasochistycznych oraz niektóre fragmenty ich życiorysów zostały zmienione.

[41](#) Yoshi Kuroda to pseudonim.

ROZDZIAŁ 11

DZIURA W KSZTAŁCIE CZŁOWIEKA

1 WRZEŚNIA PRZYPADAŁY DWUDZIESTE DRUGIE urodziny Lucie. Rocznicą ta mogła zamienić się w dzień żałoby i rozpacz, jednak Blackmanowie wykorzystali ją do tego, aby urządzić szereg wydarzeń mających na celu ponowne rozbudzenie słabnącego ze strony mediów zainteresowania sprawą. W Sevenoaks Jane i Rupert wypuścili w powietrze tysiąc różowych i żółtych balonów na słynnym boisku do krykieta zwanym the Vine. Sophie chciała zrobić to samo w Tokio, ale policja nie wydała pozwolenia, argumentując, że unoszące się nad miastem balony rozproszyłyby kierowców. Dlatego Sophie poprzestała na rozdawaniu ulotek na skrzyżowaniu Roppongi, podczas gdy na umieszczonym nad nim gigantycznym ekranie reklamowym wyświetlana była twarz Lucie oraz numer specjalnej linii telefonicznej. Dzień wcześniej Sophie ubrała się w czarną sukienkę i tak samo jak starsza siostra w feralną lipcową sobotę poszła spacerem z Sasaki House na dworzec Sendagaya, a cała scena została sfilmowana. Liczono na to, że stacje telewizyjne wyświetlą ten krótki film i dzięki temu ujawnią się nowi świadkowie tamtych wydarzeń. Sama inscenizacja jednak nie wystarczyła. Brak widocznych postępów w śledztwie sprawiał, że media nie miały o czym donosić i powoli zapomniano o całej historii.

Co jeszcze mogła zrobić rodzina Lucie, żeby jej pomóc? Pozostały pieniądze. Późnym latem i wczesną jesienią zaoferowano szereg nagród, przy czym każda kolejna była kilka razy wyższa niż poprzednia. Oferty zawsze wywoływały krótką, wzmożoną falę zgłoszeń, która równie szybko jak powstawała, przetaczała się i opadała. Efekt tych zabiegów przypominał zażywanie narkotyku przez osobę uzależnioną: rosnąca zachęta finansowa z biegiem czasu przynosiła coraz mniejszy skutek.

Rodzina Tima zaproponowała nagrodę w wysokości 9500 funtów za informacje prowadzące do odnalezienia Lucie. Turysta z Australii skontaktował się z BBC i powiedział, że widział poszukiwaną dziewczynę w Hongkongu, jak pobierając pieniądze z bankomatu, „krzyczała coś niezrozumiale i bełkotała”. Tim rozmawiał z mężczyzną, ale kobieta, którą opisał Australijczyk, była za niska, żeby uznać ją za Lucie.

Anonimowy brytyjski biznesmen zwiększył nagrodę do 100 000 funtów. Policja w Tokio odebrała telefon z Kataru, gdzie rzekomo widziano spacerującą po ulicy Lucie. Ambasada brytyjska w Ad-Dausze zbadała to doniesienie, ślad jednak prowadził donikąd.

Tim i Sophie w dalszym ciągu kursowali tam i z powrotem między Japonią i Anglią. Jednak nawet gdy byli w domu, nie potrafili się skupić na pracy ani przystosować do rutyny życia codziennego. W interesie Tima panował coraz większy zastój; wydatki, które poniósł w związku z poszukiwaniami Lucie, sięgały dziesiątek tysięcy funtów. O tym, jak bardzo był zdesperowany, świadczy wystosowany przez niego w połowie października apel do członków Nowo Powstałej Religii rzekomo przetrzymujących Lucie – wcześniej przez kilka miesięcy nikt nie brał na poważnie opowieści o sekcie, którą „Akira Takagi” podsunął w rozmowie telefonicznej z Louise.

– Być może należałoby się głębiej zastanowić nad tym, czy Lucie nie

została uprowadzona przez jakąś sektę – oznajmił Tim garstce dziennikarzy przybyłych na jego dziewiątą konferencję prasową. – Rozumiem, że z powodu zainteresowania mediów oddanie Lucie może się okazać trudne do przeprowadzenia, jednak mimo wszystko jest to możliwe i bardzo bym się cieszył, gdybym otrzymał informacje na temat tego, gdzie i w jaki sposób możemy się spotkać zupełnie anonimowo i w tajemnicy. Jeśli Lucie rzeczywiście wstąpiła do sekty, przypuszczam, że ktoś musiał ponieść wydatki związane z jej przeszkoleniem. Jeżeli więc chodzi o pieniądze, wiem, że najbliżsi są w stanie je zwrócić.

W tamtym okresie odpowiedź na pytanie, które wszyscy sobie zadawali – co się stało z Lucie? – właściwie nie interesowała już Tima. Kogo obchodzi, co się stało, jeśli tylko udałoby się ją sprowadzić do domu?

– Słyszałem koszmarnie historie o dziewczętach, które zaginęły – opowiadał. – Dosypywano im środki odurzające, uprowadzano, fotografowano, nadużywano, a potem pozwalano im wrócić. W tamtym czasie szalałbym z radości, gdyby właśnie taki los spotkał Lucie. Wszystko by się ułożyło, gdyby tylko wróciła do domu. Najpierw jednak musieliśmy ją znaleźć.

Anonimowy biznesmen zwiększył nagrodę do kwoty 500 000 funtów.

Pewnego dnia Tim krążył po Roppongi⁴² z naręczem plakatów przedstawiających zaginioną Lucie. Przyklejał je do słupów telegraficznych biegnących wzdłuż głównej ulicy. W którymś momencie podszedł do niego policjant i surowym tonem pouczył go, że jest to zabronione. Jeżeli Tim natychmiast nie zerwie powieszonych plakatów, zagroził funkcjonariusz, on sam to zrobi.

– Nie zerwę ich – odpowiedział Tim.

– Bardzo proszę o współpracę – nalegał policjant.

Tim pokręcił głową, po czym wyciągnął ręce przed siebie i złączył je

w nadgarstkach gestem sugerującym, że daje się skuć kajdankami.

Funkcjonariusz zmuszony do podjęcia decyzji ustąpił, Tim zaś podszedł do następnego słupa telegraficznego. Był on już cały oblepiony kartkami ze zdjęciami półnagich kobiet reklamującymi miejscowe lokale „mody na zdrowie”, „krainy mydła” oraz „salony piękności”. Tim odkleił kilka ulotek i przyjrzał im się uważnie; w drugiej ręce trzymał plakaty z Lucie. Przez chwilę spoglądał to na fotografię, na której widniała jego zaginiona córka, to na reklamy klubów erotycznych, po czym podniósł ulotki i spojrzał na policjanta nic nierozumiejącym wzrokiem:

– Ale te mogą wisieć? – spytał.

W oficjalnych wypowiedziach Tim stosował taktykę oziębłych pochwał wobec policji i „drobiazgowo” prowadzonego śledztwa. Jednak w prywatnych rozmowach wyczuwało się coraz większą niechęć w stosunku do stróżów prawa. Sedno problemu stanowił telefon od „Akiry Takagiego”, który skontaktował się z Louise dwa dni po zniknięciu Lucie. Oczywiście rozmówca musiał wiedzieć, gdzie znajduje się Lucie, a może nawet był nim sam porywacz. Wystarczyło namierzyć numer telefonu, z którego dzwonił, oraz jego właściciela, i dotarłoby się do głównego świadka. Policja jednak uparcie twierdziła, że jest to niemożliwe, czym doprowadzała Tima do pasji. Najpierw zasłaniano się trudnościami technicznymi. Później śledczy tłumaczyli, że muszą otrzymać nakaz sądowy, aby przeanalizować billingi rozmów prowadzonych z prywatnych numerów telefonicznych. Tak, zapewniali Tima, złożono stosowny wniosek, ale upłynie trochę czasu, zanim sąd go rozpatrzy.

– Prosimy o cierpliwość – apelował komisarz Mitsuzane.

We wrześniu wyczerpała się cierpliwość nie tylko Blackmanów, ale i dyplomatów brytyjskiej ambasady. W tamtym czasie z wizytą w Tokio

przebywał lord kanclerz Derry Irvine. Ponownie poruszył sprawę Lucie w rozmowie z japońskim premierem i poprosił ministra sprawiedliwości o pomoc w dotarciu do billingów. Pewnego popołudnia Tim udał się na komisariat razem z Alanem Suttonem⁴³, konsulem generalnym o białej brodzie i srogim wyglądzie. Jak to często miało miejsce podczas kontaktów z policją, mimo że rozmowa kręciła się wokół głównego tematu, nie sposób było dotrzeć do sedna.

– Komisarzu Mitsuzane – zaczął Sutton – powiedział pan, że billingi rozmów nie zachowały się. Jednak z naszych informacji wynika, iż jest inaczej. Dlaczego firma telekomunikacyjna nie postępuje zgodnie z nakazem sądu?

– Problemem jest japońskie prawo – odpowiedział Mitsuzane. – Oprócz tego nie wiadomo, czy billingi rzeczywiście są przechowywane. Cały czas prowadzimy ustalenia w tej sprawie. Robimy wszystko, co należy. Uzyskamy nakaz sądowy.

Do rozmowy włączył się Tim.

– Ale dwa razy słyszałem już od pana, że wniosek został złożony do sądu.

– Niestety nie mogliśmy uzyskać potrzebnych informacji, ponieważ się nie zachowały – odrzekł Mitsuzane.

Sutton przytoczył fragment listu od japońskiej firmy telekomunikacyjnej NTT, w którym stwierdzano coś zupełnie innego: mimo że był to skomplikowany proces, można było prześledzić rejestr rozmów telefonicznych poprzez system informatyczny wewnątrz firmy.

Mitsuzane uśmiechnął się.

– Nie otrzymaliśmy żadnych informacji od NTT. – W tym momencie Alan Sutton stracił panowanie nad sobą. – Być może nie zdaje pan sobie sprawy ze szczebla, na którym została poruszona ta kwestia. Lord Irvine, lord kanclerz Wielkiej Brytanii, uzyskał zapewnienia od japońskiego ministra

sprawiedliwości. Policja Miejska Tokio powinna wywiązywać się ze swoich zadań. Rząd mojego kraju będzie mnie pytał, jakie podejmujecie działania. Co mam odpowiedzieć? Policja musi uzyskać te informacje. W grę wchodzi życie młodej kobiety.

Tim dodał:

– Minęło dziesięć tygodni, oczekuję rzetelnych informacji, a nie zniewag. Jeśli mi nie ufacie, to komu wierzycie?

Komisarz Mitsuzane uśmiechnął się.

– Przedsiębiorstwo telekomunikacyjne mówi nam, że to niemożliwe – odpowiedział. – Musimy działać zgodnie z prawem.



Przyjaciele i bliscy Lucie, którzy zostali w Anglii, ze względu na dzielącą ich od Tokio odległość nie mogli w żaden sposób pomóc w poszukiwaniach zaginionej i świadomość ta dodatkowo potęgowała napięcie, które nie opuszczało ich na krok. Podczas gdy ojciec i siostra zwoływali konferencje prasowe i zmagali się ze śledczymi, szesnastoletni Rupert Blackman musiał wrócić po wakacjach do szkoły. Wszyscy wiedzieli o tym, co przydarzyło się jego najstarszej siostrze; w ciągu lata Rupert zyskał w swoim otoczeniu status celebryty. Byli rywale i wrogowie traktowali go łagodnie i z szacunkiem, niemniej Rupertowi nie sprawiało to przyjemności.

– To był okropny czas – wspominał. – Wieczorem, zanim położyłem się spać, siadałem na parapecie w otwartym oknie, paliłem papierosa, patrzyłem w gwiazdy i myślałem o Lucie. Nie wiedziałem, gdzie była, ale może też patrzyła w gwiazdy. Czy w ogóle była jeszcze w Japonii? Czy na jakimś statku? Czy w jakiejś sekcji? To było najgorsze, że nic nie było wiadomo. Nie było wiadomo, co czuć. Mamy w sobie tyle uczuć, można sięgnąć po

każde z nich. Ale wtedy nie było wiadomo, które jest odpowiednie, czy trzeba się smucić, czy trzeba być silnym, czy trzeba być... jakimś tam. – Jakiegokolwiek doniesienia w sprawie siostry sprawiały, że się wzdrygał. – Nie znosiłem tego, gdy byłem u kolegi w domu, ktoś włączał telewizor i nagle pokazywali program o Lucie. Czułem się tak, jak gdybym siedział z rodzicami i oglądał sceny łóżkowe. To było bardzo podobne wrażenie; wrażenie, że to nie jest w porządku.

Koleżanka Lucie ze szkoły Gayle Blackman (pomimo zbieżności nazwisk nie istniało między nimi żadne pokrewieństwo) z jakiegoś powodu była przekonana, że Lucie wciąż żyje, i prowadziła dziennik zaadresowany do przyjaciółki, który chciała jej pokazać, kiedy ta w końcu wróci.

– Wyobrażałam sobie, że usiądziemy razem na tym jej cholernie drogim łóżku, które kupiła tuż przed wyjazdem, będziemy czytać i śmiać się – opowiadała Gayle. – Potem się opamiętałam. Pomyślałam: Jesteś idiotką. Nigdy więcej jej nie zobaczysz. Ona nie wróci.

W sierpniu Jane Blackman poleciała na krótko do Tokio. W następnym miesiącu przewyciężyła swoją niechęć do dziennikarzy i zwołała swoją pierwszą konferencję prasową. W porównaniu z tym, w jaki sposób podczas wystąpień publicznych zachowywał się Tim, Jane była rozdzierająco bezpośrednia i szczerą.

– Jutro miną trzy miesiące, odkąd zaginęła Lucie – oznajmiła. – Chciałam z tego miejsca zaapelować do japońskich kobiet: matek, córek, sióstr, ciotek i babek, do każdej osoby, która może dostarczyć nam lub policji istotnych wskazówek potrzebnych do rozwiązania tej strasznej tajemnicy. Jesteśmy przekonani, że ktoś wie, co się stało z Lucie, i rozpaczliwie pragniemy, aby ten świadek się zgłosił. Wysoka, jasnowłosa, szczupła, atrakcyjna dziewczyna nie może tak po prostu zniknąć, ktoś musiał ją widzieć. Proszę, bardzo proszę wszystkich świadków, żeby się zgłaszali. Rodzina tej

dziewczyny chce, żeby wróciła. Jej brat, siostra, ojciec i ja chcemy, żeby wróciła. Wy, którzy ją przetrzymujecie, mieliście ją wystarczająco długo. Ktokolwiek ją więzi, proszę, błagam z głębi serca, wypuśćcie ją nareszcie. Jeśli więzi ją jakiś mężczyzna, proszę, miałeś ją już wystarczająco długo. Nie wierzę, że społeczeństwo japońskie nie może pomóc. Wiemy, że nie jesteście obojętni. Wiemy, jak bardzo ważna jest dla was rodzina. Jestem matką, moja córka jest dla mnie jak siostra, dlatego przeżywam teraz najgorszy ze wszystkich koszmarów, który nie chce się skończyć. Nie sypiam. Moje życie zamarło. Nie funkcjonuję normalnie. Czuję się, jak gdyby wyrwano mi serce. Jak gdyby złamano je na pół. Moja ukochana córeczka, tak pełna życia, że rozświetla wszystko dookoła... – głos jej się załamał. – My, jej najbliżsi, nigdy nie przestaniemy szukać Lucie i nigdy nie pogodzimy się z brakiem odpowiedzi.

Jednak coraz wyraźniej pojawiała się ponura perspektywa, niemalże gorsza od myśli, że Lucie może nie żyć: być może nikt nigdy się nie dowie, co się z nią stało, być może na zawsze zostanie osobą zaginioną.

– Myślę, że najtrudniejszy jest strach, że za dziesięć, dwadzieścia, nawet za pięć lat wciąż będę tutaj, wciąż będę szukać – powiedziała Sophie w Tokio japońskiemu dziennikarzowi⁴⁴. – Nie chcę tego. Nie jestem przygotowana na to, żeby poświęcić swoje życie, ponieważ ktoś uprowadził Lucie. Nie chcę tego zrobić. Dlatego to musi się skończyć. Mam nadzieję, że skończy się już wkrótce. Ona nie mogła rozpuścić się w powietrzu.

Jane przyjechała w towarzystwie nowego członka ekipy poszukiwawczej Lucie Blackman⁴⁵ – emerytowanego naczelnego komisarza Davida Seaborna Daviesa, uśmiechniętego Walijszyka, na którego mówiono Dai. Za młodu jako funkcjonariusz policji londyńskiej Dai Davies przez kilka lat służył w wydziale obyczajowym, swoją karierę zakończył jednak na stanowisku

szefa Oddziału Ochrony Królewskiej – naczelnego ochroniarza królowej Elżbiety II. Trzy lata wcześniej przebywał z wizytą w Japonii, gdzie wymieniał doświadczenia z członkami Japońskiej Straży Cesarskiej, którzy przyjęli go bardzo życzliwie. W następnym roku przeszedł na policyjną emeryturę i został „doradcą do spraw bezpieczeństwa międzynarodowego” w spółce o nazwie AgenC. Dai był znajomym brata Jane Blackman. Był przekonany, że dzięki wieloletniemu doświadczeniu zawodowemu oraz kontaktom w japońskiej policji uda mu się zdyscyplinować nieskoordynowane działania rodziny i przełamać opór komisarza Mitsuzanego. Brian Malcolm, zamożny szwagier Tima, zgodził się płacić Daiowi 800 funtów dziennie, plus wydatki – było to o 400 funtów mniej, niż wynosiła zwykła dzienna stawka Daia w spółce AgenC.

Dai nosił starannie przycięty, niewielki wąsik, szare garnitury i wzorzyste krawaty. Był serdeczny, towarzyski, elokwentny i pełen dyskretnego uroku osobistego. Jednak wyzwania, którym przyszło mu stawić czoła w Tokio, okazały się o wiele większe, niż się spodziewał. Późnym latem 2000 roku, kiedy to przyleciał do Japonii, większość jego znajomych ze Straży Cesarskiej odeszła na emeryturę lub została przesunięta na inne stanowiska. Ci, którzy pozostali, nie potrafili lub nie chcieli pomóc mu w nawiązaniu nowych kontaktów i znajomości. Stało się jasne, że ochroniarze cesarza Akihito funkcjonowali w innym świecie niż śledczy z Roppongi. Na dodatek Dai otrzymał niepokojącą informację, że działając w Japonii jako prywatny detektyw bez licencji, w każdej chwili może zostać aresztowany. Mimo wszystko zdecydował się pojechać, podając się za „przyjaciela rodziny” przejętego całą sprawą, nie odniósł jednak większych sukcesów i powiodło mu się mniej więcej tak samo jak Timowi i Adamowi. Tokijska Policja Miejska potraktowała go z uprzejmym lekceważeniem. Właściciele klubów i kierownicy barów byli podejrzliwi i niechętni do współpracy.

W rzeczywistości jedynymi osobami, które udało mu się nakłonić do rozmowy, były hostessy. Dai często mówił o „murze milczenia”, co tak naprawdę oznaczało, że kompletnie utknął. Nie znając języka japońskiego i nie posiadając środków na wynajęcie tłumaczy, musiał polegać na dobrej woli miejscowych dziennikarzy i ochotników, zupełnie tak samo jak inni członkowie nieformalnej ekipy poszukiwawczej.

– Nikt nie chciał się ze mną spotykać – opowiadał mi sześć lat później. – Zastanawiałem się: Czy moje usługi są warte tych pieniędzy, które dostaję? Czy tylko udaję detektywa? Ile mogę zdołać, mając do dyspozycji takie, a nie inne zasoby? [...] Kiedy pracuje się w policji i ma się do dyspozycji wszelkie potrzebne środki, jest zupełnie inaczej: zdobywa się informacje, sprawy posuwają się naprzód. Ale kiedy pracuje się samemu, często trzeba płacić [...] Z perspektywy czasu myślę, że wiara w to, iż ja sam mogę coś zmienić, była z mojej strony naiwnością. Z perspektywy czasu.

Dai Davies dobrze rozumiał się z dziennikarzami⁴⁶. W przyszłości odegrał rolę eksperta w innych głośnych sprawach dotyczących zaginięcia brytyjskich obywateli: „byłego agenta Scotland Yardu” – a czasami nawet „superdetektywa”⁴⁷ – regularnie cytowano w prasie i zapraszano do programów telewizyjnych, w których „nie zostawiał suchej nitki” na portugalskiej policji prowadzącej dochodzenie w sprawie zniknięcia czteroletniej Brytyjki Madeleine McCann lub oceniał działania niemieckich służb śledczych badających sprawę zaginięcia kolejnej młodej dziewczyny z Kent Louise Kerton⁴⁸. Dziennikarze często powoływali się na „decydującą rolę”, jaką Dai miał odegrać w dochodzeniu w sprawie Lucie, czym prowokowali Tima do sarkastycznych uwag.

– Dai Davies, wielki Dai Davies – ironizował. – Dostałem szału, kiedy pewnego razu usłyszałem w telewizji, jak mówi: „Och tak, pojechałem tam [do Tokio], żeby »pomóc« w śledztwie”. Zapłaciliśmy mu czterdzieści osiem

patyków, żeby tam pojechał! Żeby przesiadywał wieczorami w klubach ze striptizem i rozmawiał z kierownikami.

Daiowi udało się jednak dorzucić jeden element do bezładnej sterty zebranych przez Blackmanów fragmentów układanki.

We wrześniu odnalazł kobietę o nazwisku Mandy Wallace⁴⁹, była hostesą, która wróciła do domu w Blackpool po kilku tygodniach pracy w Casablance. Była zatrudniona w klubie w tym samym czasie co Lucie i opisała mężczyznę, który pewnego wieczoru pod koniec czerwca przyszedł do Casablanki i siedział w towarzystwie Lucie. Ów rozrzutny wielbiciel brandy wywarł na Mandy dziwne, nieprzyjemne wrażenie. Szósty zmysł detektywa sprawił, że Dai uczeplił się tej informacji. Nakłonił znajomego ze Scotland Yardu zajmującego się tworzeniem wizerunków osób poszukiwanych, aby pojechał z nim do Blackpool. Portret pamięciowy⁵⁰ wykonany na podstawie opisu Mandy szybko przesłano do Tokio i pokazano wszystkim, którzy mogli rozpoznać przedstawioną na nim podobiznę.

Była to groteskowa i przerażająca twarz: szeroka, rozlana, o grubo ciosanych rysach, mięsistych lubieżnych wargach i gęstych, szczeciniastych włosach. Kark mężczyzny na portrecie pamięciowym był twardy od mięśni, szerokie okulary częściowo zasłaniały pozbawione wyrazu oblicze. Była to twarz osoby bezlitosnej, nieprzejednanej i obcej, z którą żaden człowiek nie potrafi się utożsamić i której żaden człowiek nie potrafi zrozumieć. Najwybitniejszy artysta nie stworzyłby bardziej sugestywnego symbolu bólu związanego z dwumiesięcznymi poszukiwaniami i rozpaczami osób biorących w nich udział.



W październiku było już wiadomo, że Mike Hills jest oszustem, trop

sadomasochistyczny prowadzi donikąd, a system poszukiwań oparty na prywatnych działaniach Tima i Sophie Blackmanów koordynowanych z biura Huw Shakeshafta w Roppongi chyli się ku upadkowi.

Częściowo wynikało to z przemęczenia, rozpaczy, a także z wysiłku finansowego związanego z kosztem utrzymania się w Japonii. Istniał jednak również inny powód – rosnąca niechęć członków ekipy poszukiwawczej wobec Tima⁵¹, chwilami przeradzająca się w nieskrywaną nienawiść.

Osobą, która najbardziej gwałtownie zwróciła się przeciwko niemu, był sam Huw Shakeshaft. Huw szybko zaczęła drażnić obecność Tima w biurze i zarzucał mu lekceważenie tego, że jest to miejsce, w którym Huw prowadzi interesy. Denerwowały go porozwieszane na ścianach plakaty z Lucie oraz „niegrzeczny i bezceremonialny” sposób, w jaki Tim zwracał się do personelu firmy Huw. Wściekał się, że Tim pod jego nieobecność zapraszał do biura dziennikarzy i udzielał im wywiadów, a potem gościł ich w restauracji Bellini’s na jego koszt. Jednak przyczyna jego gniewu tkwiła jeszcze głębiej. U podstaw konfliktu leżał sposób bycia Tima nieadekwatny do stereotypowych przekonań na temat zachowania osób znajdujących się w jego sytuacji.

Elokwencja i spokój Tima sprawiły, że historia zaginięcia Lucie żyła w świadomości opinii publicznej o wiele dłużej niż zwykle w wypadku spraw tego typu. Jednak to, iż konsekwentnie odmawiał przybrania pozy stereotypowej ofiary, wzbudzało podejrzliwość wobec jego osoby. Ponieważ nie wyglądał na zrozpaczonego, zakładano, że nie cierpi po stracie córki – a to z kolei uważano za dowód na jego niemoralność.

„W tamtym czasie zacząłem zdawać sobie sprawę z braku autentycznej troski charakteryzującego zachowanie Tima w tej całej trudnej sytuacji i zauważyłem, że reaguje on w sposób zupełnie inny niż ludzie, których dotyczą równie ciężkie przeżycia dotyczące członków rodziny – napisał

Huw Shakeshaft w długim na dziesięć stron liście wyszczególniającym powody, dla których poczuł niechęć do Tima. – Wydawało się, że bardziej interesuje go to, ile pieniędzy zdołamy dla niego zebrać i kiedy udzieli następnego wywiadu dla telewizji”.

Inni ludzie również wspominali o pieniądzach i rzekomym nadmiernym zainteresowaniu nimi ze strony Tima. Współpraca Adama Whittingtona z Blackmanami skończy się bolesną kłótnią na temat tego, kto komu ile jest winien. Jeden z członków ekipy poszukiwawczej Lucie, który wolał pozostać anonimowy, usłyszał pewnego razu, jak podczas rozmowy telefonicznej z Jo Burr Tim mówił o tym, w jaki sposób „mogą zarobić na tej sytuacji”.

„Myślałem, że [Tim] jest osobą pilnie potrzebującą pomocy – napisał Huw, który na początku znajomości z Blackmanem miał niezwykle szeroki gest. – Niestety, sądząc po dalszym postępowaniu Tima Blackmana, obecnie uważam, że sprawy miały się zupełnie inaczej, a on zaczynał dobrze się bawić w roli celebryty”.

Kilka lat później spędziłem z Huw dwa wieczory, omawiając sprawę Lucie. Przez większość czasu Huw pomstował na Tima. W pewnym momencie spytałem, czy naprawdę uważa, że Tim „dobrze się bawił” w tej całej sytuacji.

– Na to wyglądało, zwłaszcza gdy pił do czwartej lub piątej nad ranem – odpowiedział Huw. – Można „zebrać materiały” potrzebne do poszukiwań i wrócić do domu trzeźwym o pierwszej [...] Wiem tylko, że w ciągu pięciu lat, czy trzech lat, czy ile tam minęło od rozwodu, spotkał się z Lucie dwa lub trzy razy. To człowiek, który nie miał czasu widywać się z własną córką. Ja go odbieram jako osobę bardzo skoncentrowaną na sobie. Wystarczy spojrzeć, w jaki sposób zachowywał się w trakcie rozwodu i po rozwodzie, co zrobił swojej rodzinie. Myślę, że potrafił działać w sposób zupełnie pozbawiony emocji [...] Moim zdaniem można spokojnie powiedzieć, że

kierował nim egocentryzm.

Oskarżenia o egotyzm i pijaństwo brzmiały dziwnie w ustach człowieka, który podczas rozmów co chwila rzucał nazwiskami swoich hollywoodzkich znajomych, który otwarcie mówił o przebytych zawałach serca spowodowanych nieumiarkowanym trybem życia w Roppongi i który miał za sobą nieudane małżeństwo oraz syna, z którym nie mieszkał. Jednak Huw nie był odosobniony w swojej ocenie Tima. W drugim półroczu 2000 roku w Tokio dość często można było usłyszeć podobne zarzuty – zwykle wypowiedane półgłosem, wywołujące zmarszczenie brwi i kręcenie głowami – podczas uroczystych kolacji wydawanych przez mieszkających w Japonii ludzi z Zachodu, niedzielnych śniadań w pięciogwiazdkowych hotelach oraz koktajli w ambasadzie. Tim Blackman, ojciec zaginionej dziewczyny, „dobrze się bawił”.

Rodziny osób, które zaginęły, żyją z podwójnym obciążeniem: po pierwsze z cierpieniem, które odczuwają na skutek tego zdarzenia, a po drugie z oczekiwaniami, którym muszą sprostać, dotyczącymi ich zachowania i wiążącymi się z wygórowanymi wymaganiami – takimi, których sami sobie nie stawiamy.

Ludzie w sposób naturalny pragną pomagać bliźnim, którzy przechodzą trudne chwile. Jednak większość z nas, bardziej lub mniej świadomie, oczekuje czegoś w zamian – satysfakcji z tego, że bez naszej pomocy osoba w potrzebie byłaby bezbronna, bezradna. Tim ukrył swoje cierpienie i strach za tarczą koncentracji i działania, przez co pozbawił otoczenie wspomnianego poczucia satysfakcji. Tymczasem zaczęła je dostarczać Jane Blackman. Jej rozpacz była niepoohamowana i autentyczna. Potrzebowała pomocy, okazywała za nią ogromną wdzięczność, a ci, którzy jej pomagali, automatycznie czuli się szlachetni i docenieni.

Narastająca niechęć wobec Tima wydaje się pokrywać z chwilą, gdy Jane zaczęła przyjeżdżać do Japonii, i zbieżność ta nie jest przypadkowa. Tim niewiele mówił w Tokio na temat swojej byłej żony, natomiast Jane ludziom, którym ufała, otwarcie opowiadała o swoim nieudanym małżeństwie, a przynajmniej przedstawiała swoją wersję wydarzeń. Huw, Adam i Dai wyłonili z tego prosty obraz skrzywdzonej żony i uganiającego się za spódniczkami męża, który porzucił i zaniedbał swoją rodzinę. Otoczenie zaczęło z coraz mniejszą sympatią spoglądać na Tima i coraz większą życzliwością darzyć Jane. Wyglądało to tak, jak gdyby istniała ograniczona ilość serdeczności w stosunku do Blackmanów i należało ją jakoś między ich dwoje rozdzielić.

Być może wyczuwając tę zmianę, Tim udzielił wywiadu brytyjskiemu tabloidowi⁵², zabieg ten nie wzmocnił jednak jego pozycji wśród ludzi poszukujących Lucie. W rozmowie z gazetą mówił o cierpieniu związanym ze zniknięciem córki i porównał je do przeżyć, które towarzyszyły mu, gdy po rozpadzie małżeństwa nastąpiło zerwanie kontaktu z Lucie.

– Jane jest załamana i rozumiem to – przyznał dziennikarzom „Sunday People”. – Ale nie potrafię się zdobyć na współczucie dla niej. Przeżywa to samo, przez co ja przechodziłem, gdy nie mogłem spotykać się z Lucie. Oczywiście ta sytuacja jest o wiele gorsza, ale Jane doświadcza teraz tego, co sama zafundowała mi wcześniej. Dlatego nie wzrusza mnie jej cierpienie.

Jane i Tim nie rozmawiali ze sobą od czasu krótkiej i przykrej wymiany zdań przez telefon; starannie planowali wyjazdy do Tokio, żeby uniknąć spotkania. Gdy Jane i Dai wylecieli z Japonii na początku października, Tim został w domu na wyspie Wight. Sophie również wróciła do domu, Adam Whittington opuścił Tokio pod koniec sierpnia. Wiadomości pozostawiane na automatycznej sekretarce podłączonej do linii specjalnej w sprawie Lucie sprawdzali i notowali pracownicy brytyjskiego konsulatu.

- Dzwoniący widział dziewczynę podobną do Lucie 2 października około godziny pierwszej po południu w pobliżu zakładu optycznego nieopodal dworca Kinshichō. Szła ulicą w towarzystwie mężczyzny. Dzwoniący dodał, że istnieje wiele nieprzyzwoitych klubów/barów, w których pracują dziewczyny z Azji i Europy.
- Dzwoniący powiedział, że ma informacje na temat organizacji religijnej. Prosił, żeby oddzwoniła do niego mówiąca po japońsku osoba z Wielkiej Brytanii.
- Muzyka w tle.

Jednak po raz pierwszy od trzech miesięcy, odkąd Lucie zaginęła, nie szukał jej w Tokio nikt z rodziny.



Mieszkałem w Tokio w czasie, gdy rozgrywały się wydarzenia związane z historią Lucie Blackman. Uważnie śledziłem rozwój sprawy i opisywałem ją w gazecie, dla której pracowałem. Usiłowałem odpowiedzieć na oczywiste pytania, które zadawali mi redaktorzy – pytania, które mógłby zadać brytyjski czytelnik, osoba niemająca zbyt rozległej wiedzy na temat Japonii. Na część z nich udało się odpowiedzieć dość szybko – wystarczyło ustalić, jak wyglądało życie Lucie w Tokio, i wyjaśnić, na czym polegała szczególna rola hostessy. Jednak na najważniejsze pytanie – „Co się z nią stało?” – odpowiedzi wciąż nie było. Dlatego ludzie pytali dalej: „Czy Lucie znajdowała się pod wpływem narkotyków?”, „Co wiedziała jej najlepsza przyjaciółka?” oraz: „Co na to wszystko jej ojciec?”.

Będąc reporterem, poruszałem się w japońskiej przestrzeni publicznej. Za dnia spotykałem się z urzędnikami, politykami, uczonymi i ekspertami, w wolnym czasie odpoczywałem, przebywając z ludźmi takimi jak ja, którzy kochali Japonię i uważali, że rozumieją ją bardzo dobrze, mimo iż nigdy nie nazwą jej domem. Roppongi było dobrym miejscem do tego, żeby od czasu do czasu się wyszaleć; mężczyźni mniej spokojni z usposobienia urządzali

męskie wypadły do tamtejszych nocnych klubów. Ponieważ jako reporter włączyłem się w poszukiwania Lucie Blackman, ja również zacząłem zaglądać do tych lokali i płacić przewidziane w cenniku stawki za rozmowy z atrakcyjnymi i – co nie było bez znaczenia – młodymi kobietami. Z początku kluby miały się na baczności przed dziennikarzami i były wrogo do nich nastawione – niejednokrotnie dochodziło do przepychanek między bramkarzami a podejrzanie wścibskimi „klientami” z notatnikami i aparatami fotograficznymi. Jednak wodny biznes szybko wrócił do równowagi. Nawet Casablanca, która kilka dni po zniknięciu Lucie zamknęła podwoje, pod koniec sierpnia została ponownie otwarta, pod inną nazwą: Greengrass.

Spędziłem wiele wieczorów zarówno tam, jak i w lokalach One Eyed Jack's oraz Tokyo Sports Cafe; bywałem w nich sam albo z jednym ze znajomych, stawiałem drinki hostessom, które o Lucie Blackman wiedziały mniej niż ja, ale słyszały plotki: o sekcje, gangach gwałcicieli, środowiskach sadomasochistycznych. Roppongi, wcześniej uznawane za prostacką dzielnicę skąpaną w blasku tandetnych neonów, urosło do rangi miejsca mrocznego, wilgotnego i tajemniczego, w którym czaiły się demony. Wracałem do domu o czwartej nad ranem, byłem pijany, moje ubrania cuchnęły dymem papierosowym, a kieszenie wypychały serwetki zabazgrane notatkami. Gdy zasypiałem, we śnie wracało do mnie jedno z najstarszych męskich marzeń: że jestem rycerzem, który przybywa na rumaku pod ciemną wieżę, zarzyna smoka, uwalnia zaginioną damę i jego imię na wieki wieków opromienia sława.

Na komisariacie Azabu wielokrotnie mnie zbywano. W brytyjskiej ambasadzie cierpliwie powtarzano oczywiste fakty. Sprzymierzałem się z japońskimi dziennikarzami, którzy przekazywali mi strzępy informacji wydobyte od policjantów w zamian za garść wiadomości, jakie zdołałem ustalić w rozmowach z rodziną Blackmanów. Przymocowałem nawet zdjęcie

Lucie do kawałka tektury i nosiłem je ze sobą w torbie, aby pokazywać osobom napotykanym w Tokio podczas załatwiania codziennych spraw. Wszyscy rozpoznawali przedstawioną na fotografii dziewczynę, ale nikt jej nie widział.

Nawet gdy nie było o czym donosić, trudno było zapomnieć o tej sprawie. Ludzie nie rozpadają się na cząstki elementarne. Coś musiało się stać. Zebrano tak wiele informacji – o Lucie, o Roppongi, o hostessach i o wydarzeniach z sobotniego popołudnia. Brakowało jednak sedna, istoty sprawy – w miejscu, gdzie powinno się ono znaleźć, ziała ogromna dziura. Ludzie nie znoszą próżni i zawsze chcą ją czymś zapełnić. Chcieli, żeby Tim zapełnił ją cierpieniem i gniewem, wszystkimi najbardziej oczywistymi i zrozumiałymi uczuciami, a kiedy on się na to nie godził, zaczęli żywić do niego urazę.

Nikt nie wiedział, co pasowało do tej dziury. A jednocześnie wszyscy wiedzieli, co powinno ją wypełnić. Była to dziura w kształcie człowieka, człowieka, który uprowadził Lucie i ją skrzywdził. W głębi duszy wszyscy byli tego pewni, tak samo jak byli pewni, że tym człowiekiem jest mężczyzna.

Nienawidziłem wpisanego w mój zawód obowiązku – z którym od czasu do czasu musi się mierzyć każdy reporter – rozmowy z pogrążonymi w smutku i strachu najbliższymi, z tymi, których strata dotknęła najboleśniej. Zawsze obawiałem się, że uderzę w nieodpowiedni ton, że nie uchwycę odpowiedniego rejestru, że wydam się zbyt chłodny i energiczny lub sztucznie zatroskany i pełen udawanego współczucia. Musiałem się przygotować do spotkania z Blackmanami – z Jane i jej żałobą, z Sophie i jej niechęcią i agresją, a także z Timem i jego przesadną uczynnością i urokiem. Jednak w październiku wszyscy oni ze smutkiem wrócili do domu, a ja zacząłem funkcjonować w nowej rzeczywistości, w której potrafiłem przeżyć

dzień, nie poświęcając Lucie ani jednej myśli. I wtedy pewnego wieczoru zadzwonił do mnie znajomy japoński dziennikarz z informacją, że tokijska policja zamierza dokonać aresztowania i że wydaje się, iż w końcu będzie to mężczyzna, który wypełni dziurę w kształcie człowieka.

[42](#) Incydent został opisany w: W. Penn, *Fuji TV Mounts the Podium for Fair Play*, „The Daily Yomiuri”, 5 października 2000.

[43](#) Relacja na podstawie notatek ze spotkania sporządzonych przez Josephine Burr.

[44](#) Wywiad z Sophie Blackman przeprowadzony przez Kentaro Katayamę z Tokyo Broadcasting System, 1 września 2000.

[45](#) Relacja na temat Daia Daviesa oraz jego pracy powstała na podstawie rozmów z Sophie Blackman, Timem Blackmanem, Daiem Daviesem, Jane Steare i Adamem Whittingtonem; oraz: D. Davies, *Preliminary Report and Executive Summary*, 12 września 2000.

[46](#) Na przykład *Family's Fears for Missing Brit in 'Murder Riddle'*, „Express on Sunday”, 7 lipca 2002.

[47](#) D. Powell, *Private Eye Goes on Trail of Missing Girl Louise*, „Daily Post” (Liverpool), 11 stycznia 2002.

[48](#) Niewiarygodny zbieg okoliczności sprawił, że Louise Kerton chodziła z Lucie do tej samej klasy w Walthamstow Hall. 31 lipca 2001 roku, gdy miała dwadzieścia cztery lata, zniknęła podczas podróży powrotnej z Niemiec, gdzie przebywała z wizytą u rodziny narzeczonego. Tajemnica jej zaginięcia nigdy nie została wyjaśniona.

[49](#) Mandy Wallace to pseudonim.

[50](#) Metropolitan Police Facial Imaging Team, FIT Ref: NW058/00.

[51](#) Fragment ten powstał na podstawie rozmów z Sophie Blackman, Timem Blackmanem, Daiem Daviesem, Huw Shakeshaftem, Jane Steare i Adamem Whittingtonem; H. Shakeshaft, „Lucie Blackman”, dokument prywatny, 2006; oraz: *A Father's Betrayal*, „Daily Mail”, 7 października 2006.

[52](#) K. Weitz, *Why I Must Find Lucie*, „Sunday People”, 17 września 2000.

ZASZCZYTNY STATUS POLICJI⁵³

CHRISTABEL MACKENZIE⁵⁴ przyjechała do Tokio, żeby uciec, chociaż nie przed takimi trudnościami życiowymi, przed jakimi zwykle uciekają ludzie. Jej ojciec był znanym szkockim prawnikiem, a matka nauczycielem akademickim na Uniwersytecie Edynburskim. Christa była zdolna, ładna i wychowała się w dostatnim, kulturalnym środowisku; gdyby chciała, mogłaby bez trudu wieść wygodne i otoczone powszechnym szacunkiem życie w wyższej warstwie klasy średniej. Christa jednak dusiła się w zamożnym, zadowolonym z siebie Edynburgu, tęskniła za niezależnością i przygodami. Rzuciła szkołę i pracowała jako recepcjonistka, następnie wróciła do nauki, zdała egzamin dojrzałości, po czym przeprowadziła się do Londynu i znalazła zatrudnienie w domu towarowym.

Londyn zawsze wydawał jej się zbyt blisko domu. Pewnego razu znajoma kobieta opowiedziała jej o tym, jak w przeszłości mieszkała w Japonii, jak używała tam życia, i zapewniała, że jest to miejsce pełne możliwości. W styczniu 1995 roku dziewiętnastoletnia Christa zupełnie sama przyjechała do Tokio. Mieszkała tam przez następne siedem lat.

Szybko odkryła jedną z cech charakterystycznych dla życia cudzoziemca w Japonii, będącą jednocześnie powodem, dla którego ten kraj przyciąga tak

wielu różnego rodzaju outsiderów: wyobcowanie, to nieuniknione przeświadczenie, że jest się innym od pozostałych, zostaje zniesione przez większe, bardziej uniwersalne poczucie izolacji wynikające z faktu bycia „gajdzin”.

– Naprawdę pokochałam Japonię – powiedziała mi Christa. – Wciąż ją kocham, chociaż jest to miłość połączona z nienawiścią. Niektóre rzeczy mnie bulwersują, a niektóre po prostu w niej uwielbiam. Daje ogromne poczucie wolności, ponieważ niezależnie od tego, co zrobimy, tak czy inaczej jesteśmy odmieńcami, prawda? Ludzie tak czy inaczej będą się na nas gapić, więc możemy przestać się tym przejmować i naprawdę wyluzować. A ponieważ można tam zarobić dużo pieniędzy, można też naprawdę zaszaleć. Jest się tak daleko od domu, że ma się wrażenie, iż cokolwiek się zrobi, i tak nie będzie to miało wpływu na prawdziwe życie.

Christa była wysoką szaloną blondynką. Przez krótki czas pracowała jako nauczycielka języka angielskiego, ale nauczanie ją nudziło; po kilku tygodniach zatrudniła się jako hostessa w niewielkim klubie o nazwie Fraîche. Mieścił się on w Akasace, dzielnicy sąsiadującej, ale bardziej ekskluzywnej od Roppongi, odwiedzanej częściej przez Japończyków pracujących w dużych korporacjach niż przez młodych obcokrajowców. W tradycyjnych herbaciarniach na terenie Akasaki wciąż pracowało kilka autentycznych gejsz, których stałymi klientami byli japońscy politycy oraz dyrektorzy największych firm w kraju. Jednak tacy ludzie rzadko zaglądali do Fraîche. Większość klientów Christy stanowili samotni, pozbawieni uroku osobistego mężczyźni, dla których kilka godzin rozmowy po angielsku z ładną, młodą cudzoziemką było egzotyczną i w żaden inny sposób nieosiągalną przyjemnością.

– Mieliśmy niewielki bar, sprzęt do karaoke, sześć do ośmiu dziewcząt – opowiadała Christa. – Bardzo przeciętne miejsce. Czasami zdarzali się

klienci zaczepni, złośliwi albo z nieświeżym oddechem, ale tylko paru z nich okazało się naprawdę nieprzyjemnymi. Większość była w porządku, najbardziej dokuczała mi tam nuda. Dōhan były bezstresowe – najpierw kolacja gdzieś w Akasace, potem powrót do klubu.

Największy sukces odnosiły te hostessy, które wcielały się w naiwne dziewczątka: klienci nabierali pewności siebie i dobrze się czuli, widząc, że rozmówczynie są mniej inteligentne od nich. Christa jednak nigdy nie potrafiła się zmusić do tego, aby udawać osobę mało rozbudowaną, wymyśliła za to inne sposoby na miłe spędzanie czasu z klientami: niemądre zabawy i konkursy w picciu alkoholu (sama bardzo lubiła wypić), kokietyjne gry słowne i narkotyki.

W połowie lat dziewięćdziesiątych japońska bańka spekulacyjna wydawała ostatnie tchnienie, ale w Tokio wciąż jeszcze było sporo pieniędzy i hostessy, które przyjęły odpowiednią strategię, potrafiły osiągać zaskakujące wyniki: krążyły legendy o dziewczynach obdarowywanych przez zauroczonych klientów roleksami, sztabkami złota, a nawet mieszkaniami. Większe poważanie, jakim cieszyła się Akasaka w porównaniu do Roppongi, znajdowało odzwierciedlenie w stawkach oferowanych hostessom. Christa, która w Londynie zarabiała 180 dolarów tygodniowo, tutaj dostawała 3000 jenów (blisko 30 dolarów) za godzinę, i to przed doliczeniem premii za „zamówienia” i dōhan.

Pewnego wieczoru w klubie pojawił się mężczyzna, którego wcześniej nie spotkała. Widząc głębokie ukłony, którymi kierownik witał gościa, i służalczą postawę szefa, domyśliła się, że jest to rozrzutny klient o ugruntowanej pozycji. Przedstawił się on jako Yūji Honda i natychmiast stało się jasne, że jest o oczko lepszy od przeciętnych bywalców klubu Fraîche.

Ów niski mężczyzna po czterdziestce wyglądem i sposobem bycia

zdecydowanie się różnił od typowych pracowników biurowych. Miał pospolitą twarz, ale nosił drogie marynarki i rozpięte pod szyją jedwabne koszule. Mówił dobrze po angielsku i w przeciwieństwie do wielu innych klientów nie zachowywał się w sposób wyraźnie lubieżny, błazeński czy żłosny.

– Cechowało go coś na kształt wymuszonej arogancji i pewności siebie, co zawsze mnie śmieszyło – opowiadała Christa. – Ponieważ nie był ani wyjątkowo przystojny, ani ujmujący. Wydawał mi się jednak intrygujący, inaczej niż pozostali klienci. Trudny do rozgryzienia. Było w nim coś osobliwego. Chodził dumnym krokiem, jak gdyby arogancko. I mówił w dziwny sposób. Trudno to opisać: brzmiało to prawie jak seplenienie. Dziwnie układał usta, przypominały buźkę dziecka. Na dodatek miał nawyk wysuwania i chowania języka, jak jaszczurka. – Oprócz tego pocił się, nawet w klimatyzowanym pomieszczeniu klubu często wyciągał niewielki ręcznik, którym ocierał twarz, kark i brwi.

Christa i Yūji spędzili cały pierwszy wieczór razem. Obiecał, że przyjdzie spotkać się z nią ponownie. Wszystko wskazywało na to, iż będzie idealnym długoterminowym klientem na dōhan.

Przez miesiąc zapraszał ją na kolacje co tydzień. Za każdym razem przyjeżdżał po nią innym samochodem: białym rolls-royce'em, kabrioletem, trzema różnymi porsche. Christa podkreślała, że pieniądze jej nie zaimponowały, ale przyznała, iż z definicji Yūji był wymarzoną klientką hostessy. Pewnego razu zabrał ją na wystawny chiński bankiet, na którym pojawiły się między innymi dania z meduzy i zupa z płetwy rekina, innego dnia raczyli się fugu, słynną rybą z rodziny rozdymkowatych, która może okazać się trująca, jeśli nie przyrządzi się jej w odpowiedni i bardzo kosztowny sposób. Yūji nie mówił zbyt wiele o sobie, ale najwyraźniej ważne dla niego było obnoszenie się z bogactwem; ktoś w klubie powiedział

Chryście, że jego rodzina była piątą pod względem zamożności rodziną w Japonii.

– Przepadał za fugą, mówił, że jada ją codziennie – wspominała Christa. – To jeden z przykładów na to, w jaki sposób się popisywał. Zawsze mnie bawiło, gdy ludzie myśleli, że są wspaniali, ponieważ mają pieniądze. – W taki sposób Christa postrzegała Yūjiego: miała go za oryginalną, trochę śmieszłą i nieszkodliwą postać.

Pewnego wieczoru w maju 1995 roku przyjechał po nią, gdy skończyła pracę, i zaproponował jej przejażdżkę nad morze. Była trzecia w nocy, ale Christa nigdy nie pozwalała, aby konwencjonalne przekonania na temat odpoczynku nocnego przeszkodziły jej w przeżyciu kolejnej przygody, a poza tym chciała zobaczyć opisywany przez Yūjiego letni dom. Pojechali białym rolls-royce'em. Christa drżała z zimna, ponieważ klimatyzacja mocno schładzała powietrze w samochodzie, ale Yūji nadal się pocił w swojej cienkiej, jedwabnej koszuli.

– Bardzo rzucało się to w oczy – opowiadała. – Pomyślałam, że pewnie zażył kokainę albo amfetaminę, albo coś w tym rodzaju, ale był czysty. Do tego kiepsko prowadził. Zawsze albo ostro hamował, albo ostro dodawał gazu, nigdy nie jechał płynnie.

Christa nie bardzo się orientowała, w jakim kierunku jadą, niemniej po jakiejś godzinie dotarli do przystani, w której stały przycumowane jachty. Nieopodal znajdowały się bloki z mieszkaniami wynajmowanymi letnikom, wokół rosły palmy, a ich postrzępione liście szeleściły poruszane wiatrem znad morza. Kiedy Yūji opowiadał o tym miejscu, Christa wyobrażała sobie domek na plaży podobny do tych rozsianych na kalifornijskim i australijskim wybrzeżu – willę z prywatnym ogrodem i basenem. W rzeczywistości czekał ją zawód: duży budynek z kilkunastoma identycznymi, ciasnymi mieszkaniami.

– Gdy tylko to zobaczyłam, pomyślałam: Co ja tu robię? – opowiadała. – Pomyślałam: Ten facet wcale nie ma aż tyle pieniędzy, ile mówi.

Mieszkanie było położone na trzecim piętrze – mała, niezbyt elegancka kawalerka z salonem wychodzącym na wąski balkon, z ciasną kuchnią i malutką wydzieloną częścią sypialnianą. Nie było w niej nic efektownego ani uwodzicielskiego. Za sofą obitą grubym jaskrawym materiałem z wzorem w liście i róże stulistne znajdował się kredens zastawiony butelkami o różnych kształtach i kolorach.

– Mieszkanie było naprawdę beznadziejne – opowiadała Christa. – Kiczowate, jak gdyby urzędzała je na przykład jego matka. Wszystkie meble wyglądały jak z lat siedemdziesiątych, takie kwieciste, babcine.

Usiedli, żeby wypić piwo i zjeść fugu, które Yūji przywiózł ze sobą. Potem wyjął gitarę elektryczną i podłączył ją do wzmacniacza. Puścił ścieżkę z nagrany podkładem i zaczął grać i śpiewać do wtóru. Włączył piosenkę *Samba Pa Ti* Carlosa Santany, którego uwielbiał. Miał nawet zdjęcie z muzykiem, które zrobił podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych.

– Lubiłam Santanę, ale granie razem z nim na ścieżce jak z karaoke... cóż, dla mnie to też była beznadzieja – opowiadała Christa. – Na dworze zaczęło się robić jasno i pomyślałam, że to wszystko trwa już wystarczająco długo.

Oznajmiła Yūjiemu, że chce wracać do Tokio, ale on nalegał, aby pokazać jej jeszcze jedną rzecz. Rzadkie wino z Filipin, twierdził. Stało w kryształowej karafce między baterią butelek na kredensie. Nalał alkohol do małej szklanki i podał ją stojącej przy oknie Chrście, która wypła zawartość jednym haustem.

Inne kobiety, które znalazły się w tej samej sytuacji, jako ostatnią rzecz zapamiętały to właśnie uczucie: ostry, chemiczny smak „wina” w ustach i przełyku. Jednak miesiące tęgiego picia sprawiły, że tolerancja organizmu Christy na silne środki odurzające znacznie wzrosła.

– Nie spodziewałam się, że stanie się coś złego – opowiadała. – A on chyba się zorientował, że lubię dużo wypić i że należę do osób, które zawsze podejmą wyzwanie. Wypiłam, co mi podał, ponieważ tak wtedy robiłam: zgrywałam twardą. Pamiętam, że stałam przy oknie, gdy zaczęło działać, i dotarło do mnie, co się stało, że mogę się znaleźć w poważnych tarapatach. Zdążyłam szybko ocenić sytuację i pamiętam, że pomyślałam: O, kurwa. Czułam się, jak gdybym podano mi znieczulenie ogólne. Byłam zbyt odurzona, żeby się bać.

Obudziła się w ciemnościach, leżała na łóżku, sama. Natychmiast zrozumiała, co musiało zajść, gdy była nieprzytomna.

– Pamiętam, że myślałam: Jak się czuję?, i usiłowałam dojść do tego, co dokładnie mi się przydarzyło. Ale nic mnie nie bolało. I miałam na sobie ubranie. Przyszło mi do głowy, że musiałam długo spać, ponieważ zadał sobie trud, żeby mnie ubrać.

Przyjechali do mieszkania w sobotę wczesnym rankiem. Teraz był sobotni wieczór – Christa leżała nieprzytomna ponad dwanaście godzin. Yūji był w pokoju, zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie stało. Wyglądał, jakby czekał, aż Christa coś powie, oskarży go o coś – ale ona milczała.

– Chciałam po prostu wrócić do domu. Pamiętam, że myślałam: Jeśli mnie nie odwiezie, to jak dostanę się do Tokio?, ponieważ nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Ale odwiózł mnie.

Jadąc samochodem, Christa czuła się skacowana, jednak w tamtym okresie to uczucie często jej towarzyszyło. Poza tym była spokojna.

Później stwierdziła:

– Teraz moje zachowanie wydaje mi się dość dziwne. Ale chodzi o to, że praca hostessy jest czymś na kształt gry, w którą grają dziewczyny i faceci. Dziewczyny usiłują zarobić jak najwięcej i w zamian dać jak najmniej.

A faceci próbują dostać jak najwięcej, nie wydając więcej, niż zapłaciliby normalnie w klubie. Kiedy się obudziłam tamtego dnia, byłam zła, ale czułam, że po części sama się wpakowałam w to wszystko. Z tego, co słyszałam, to dość typowe: kobiety, które zostały zgwałcone, czują się częściowo odpowiedzialne za gwałt. Myślałam, że rozumiem obowiązujące zasady, ale się myliłam. Byłam pod tym względem naiwna. Dlatego po prostu uznałam, że on wygrał tę partię. Wściekałam się, ale nie zastanawiałam głębiej nad całą sytuacją. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo była niebezpieczna. Dotarło to do mnie dopiero wiele lat później. Prawdę mówiąc, wcześniej nie chciałam o tym myśleć, ponieważ gdybym sama przed sobą się przyznała, na jak ogromne ryzyko się narażam, musiałabym zmienić tryb życia.

Yūji odwiózł Christę do domu późnym wieczorem. W następnym tygodniu wróciła ona do pracy w klubie. Yūji nigdy więcej się nie pokazał.

Christa została w Japonii, utrzymywała się z pracy hostessy. Przenosiła się do różnych miast i znajdowała zatrudnienie w tamtejszych klubach. Pracowała przez kilka miesięcy, odkładała pieniądze, po czym wybierała się w kilkutygodniowe podróże do Indii, Islandii, Kanady.

W 1999 roku mieszkała w Sapporo, na dalekiej północy Japonii. Poznała tam cudzoziemkę, która opowiadała historie o zamożnym mężczyźnie wykorzystującym hostessy w Tokio – zabierał je do mieszkania nad morzem i podawał im środki odurzające. To musiał być Yūji Honda. Wtedy po raz pierwszy od lat wróciła pamięcią do tamtego zdarzenia.

Kilka miesięcy później, gdy mieszkała w drugim co do wielkości japońskim mieście – Osace – odebrała telefon od dawnej koleżanki, byłej tokijskiej hostessy, która wróciła do Londynu. Młodsza siostra koleżanki zamierzała przyjechać do Japonii razem ze swoją przyjaciółką – czy Christa

mogłaby spotkać się z nimi w Tokio?

Koleżanką, która zadzwoniła do Christy, była Emma Phillips. Dziewczynami, które wybierały się do Tokio, były Louise Phillips i Lucie Blackman.

Christa zarezerwowała im pokój w Sasaki House. To ona czekała na nie, gdy przyjechały – paliła skręta i miała nałożony na włosy olej, który wzbudził obrzydzenie Lucie. Wszystkie trzy kobiety spędziły tamten wieczór razem. Christa wydała się Lucie i Louise strasznie pewna siebie, ona jednak była urzeczona, a nawet wzruszona nowo przybyłymi Brytyjkami.

– Były tak pełne życia i entuzjazmu – dwie młode dziewczyny na swojej pierwszej wielkiej wyprawie, podczas pierwszej próby wybicia się na niezależność. Pamiętam, że patrząc na Lucie, widziałam siebie samą, gdy miałam dziewiętnaście lat, przypominała mnie urodą: wysoka blondynka i tak dalej. A Louise wyglądała jak siostra bliźniaczka Emmy. Dlatego dziwnie się poczułam, kiedy weszły do pokoju, jak gdybym cofnęła się w czasie o pięć lat i zobaczyła siebie i Emmę. I pamiętam, jak od razu przyszło mi do głowy, że Lucie jest w jego [Yūjiego] typie, skoro ja byłam, ona też będzie, i ogarnął mnie niepokój o nie, ponieważ były jeszcze bardzo naiwne. Ale promieniowało z nich szczęście i entuzjazm i chciałam, żeby się dobrze bawiły. Nie chciałam wylewać na nie kubła zimnej wody, więc nic o nim nie wspomniałam. Ale myślałam o nim, co było dziwne, ponieważ zwykle tego nie robiłam.

Wróciła do Osaki i dwa miesiące później zadzwoniła do niej Emma z wiadomością, że Lucie zaginęła.

– Powiedziała, że wybrała się z klientem z pracy na przejażdżkę nad morze i nie wróciła. Od razu byłam pewna, absolutnie pewna, że to był Yūji.

Zatelefonowała do Louise, która była w takim stresie, że mało co do niej docierało. Christa opowiadała:

– Myślałam, że puści ją, gdy środek przestanie działać i Lucie dojdzie do siebie, tak samo jak ja. Myślałam, że wróci.

Jednak po dwóch dniach, gdy po zaginionej nadal nie było śladu, Christa wsiadła w pociąg do Tokio i udała się prosto na komisariat Azabu.



Japonia ma najmiłszą policję na świecie. W wielu Japończykach sam widok omawari-san (w dosłownym tłumaczeniu „szanowny pan chodziarz”, określenie policjantów patrolu pieszego) wywołuje uczucia czułości i dumy podobne do tych, których doświadczamy, patrząc na dzieci albo małe, urocze zwierzęta. Obcokrajowcy również dostrzegają coś wzruszającego i nostalgicznego w schludnych granatowych mundurach i niezgrabnych, staromodnych rowerach japońskich policjantów. Trudno uwierzyć, że pistolety, które noszą zawieszane na wysokości bioder (roztropnie przymocowane do munduru sznurkiem niczym dziecięce rękawiczki z jednym palcem) naładowane są prawdziwymi pociskami, a jeszcze trudniej wyobrazić sobie, że kiedykolwiek z nich strzelają. Oprócz tego jest jeszcze symbol Tokijskiej Policji Miejskiej: nie groźny pies ani czujny jastrząb, ale wesoły pomarańczowy stworek o imieniu Peepo. Policja jest jednym z tych fenomenów, które nadają Tokio staroświecki, beztroski klimat lat pięćdziesiątych XX wieku: to grupa oddanych sprawie harcerzy chroniących miasto przed złoczyńcami.

Na pierwszy rzut oka są zdumiewająco i wyjątkowo skuteczni⁵⁵. Japonia, podobnie jak większość innych państw, przechodzi okres niepokoju wywołany wzrostem przestępczości wśród nieletnich oraz rozluźnieniem tradycyjnych zasad moralnych. Jednak podstawowy fakt pozostaje niezmienny: pod każdym względem jest to najbezpieczniejszy kraj

o najniższym wskaźniku przestępczości na świecie. Wykroczenia takie jak rozboje, włamania i handel narkotykami, do których mieszkańcy innych wielkich miast naszego globu zdążyli przywyknąć, gdyż występują tam na porządku dziennym, zdarzają się cztery do ośmiu razy rzadziej niż na Zachodzie.

Ciężkie przestępstwa zdarzają się jeszcze rzadziej i japońska policja z dumą poczytuje to za swoją zasługę. Stróże prawa uważają, że ponieważ Japonia ma najniższy wskaźnik przestępczości na świecie, oni są najlepszymi na świecie policjantami zajmującymi się zwalczaniem przestępczości. Przez wiele lat społeczeństwo japońskie tak właśnie myślało. Nie spotykało się tu nutki cynizmu, z jakim obywatele innych państwa instynktownie odnoszą się wobec sił porządkowych. Jednak w roku 2000, w chwili gdy Christa Mackenzie udała się na komisariat Azabu, ta lojalność i jednomyślny szacunek Japończyków wobec policji zaczynały kruszeć.

Po serii skandali japońska policja stała się przedmiotem najgłośniejszej od dziesięcioleci fali krytyki⁵⁶. Funkcjonariusze służb porządkowych wzdłuż i wszerz kraju byli oskarżani o molestowanie seksualne, łapówkarstwo, szantaże, zażywanie narkotyków, napaści i zwykły brak kompetencji⁵⁷. „The Yomiuri Shimbun”, jeden z najbardziej konserwatywnych i prorządowych dzienników, nazwał tę sytuację „hańbą, jakiej nie widziano od dawna”. W artykule wstępnym w tej samej gazecie stwierdzono, że aby „zaprowadzić porządek w tej instytucji, w której zapanowało kompletne rozluźnienie dyscypliny, należy przeprowadzić całościową, radykalną reformę”. Badanie opinii publicznej wykazało, że sześćdziesiąt procent Japończyków nie ufa policji, podczas gdy w podobnym badaniu przeprowadzonym dwa lata wcześniej odsetek ten wynosił dwadzieścia sześć procent. Właśnie w takiej atmosferze, pełnej niechęci i obaw, rozpoczęło się śledztwo w sprawie zaginięcia Lucie.

Według własnych słów policja zareagowała nadzwyczaj szybko.

– Chciałbym podkreślić, że bezzwłocznie podjęliśmy wspólne działania – stwierdził nadinspektor Fusanori Matsumoto, komendant komisariatu Azabu i osoba w pierwszych dniach nadzorująca dochodzenie w sprawie Lucie Blackman. – Mobilizował nas instynkt, który jako wytrawni śledczy posiadamy. Do tego dochodził fakt, że dziewczyna miała obywatelstwo brytyjskie oraz że w przeszłości była zatrudniona jako stewardesa w tak znanych liniach lotniczych jak British Airways, wykonując pracę, o której marzy wiele dziewcząt⁵⁸.

Komisarz nigdy nie powiedziałby tego głośno, ale z jego wypowiedzi można było wnioskować, że gdyby zaginiona kobieta była na przykład obywatelką Chin lub Bangladeszu i w przeszłości pracowała w przetwórni ryb albo w salonie masażu, jego zainteresowanie tą sprawą osłabłoby radykalnie.

– Na początku wcale nie przejmowali się aż tak mocno – powiedziała mi osoba blisko związana z dochodzeniem. – Dla nich była to kolejna dziewczyna, która zaginęła w Roppongi. W Tokio dziewczyny znikają dość często: Filipinki, Tajki, Chinki. Niemożliwe jest prowadzenie dochodzenia w każdej sprawie. – Sprawę Lucie Blackman wyróżniało spośród innych nie tylko to, jakiej narodowości była zaginiona, ani w jakiej firmie wcześniej pracowała, ale silne zewnętrzne naciski, które pojawiły się bardzo szybko.

Najpierw na policję przychodziła tylko Sophie Blackman, żądając odpowiedzi. Jednak wkrótce dołączył do niej Alan Sutton, onieśmielający brytyjski konsul generalny, którego ludzie dzwoniли na komisariat codziennie. Potem przyjechał Tim Blackman i niebawem – rzecz niewiarygodna – rozmawiał z Tonym Blairem. Śledczy i wielu spośród japońskich dziennikarzy zaskoczyło to ostatnie zdarzenie. Podobna sytuacja w Japonii – interwencja premiera w kwestii poszukiwań zaginionej dziewczyny parającej

się mizu shōbai – była nie do pomyślenia. („Ten pan Blackman, czy on się zna z premierem Blairem?”, zapytał mnie w pewnej chwili nadinspektor Matsumoto w trakcie udzielania wywiadu, jak gdyby żadne inne wytłumaczenie nie mieściło mu się w głowie).

W efekcie Tony Blair przedstawił problem japońskiemu premierowi, który nie mógł już zrobić nic innego, jak wyrazić troskę i determinację do działania – a wszystko na oczach dziesiątek reporterów.

– Rozumieliśmy się z japońskimi mediami, wiedzieliśmy, jak z nimi postępować – opowiadał nadinspektor Matsumoto. – Ale nie mieliśmy pojęcia, jak postępować z mediami zagranicznymi. To było bardzo denerwujące.

Matsumoto zadzwonił do Jane Blackman w Sevenoaks i usłyszał od niej to samo, co powtarzali wszyscy, którzy znali Lucie: było wykluczone, żeby tak po prostu, bez słowa uciekła. 11 lipca w komisariacie Azabu utworzono specjalną komórkę mającą zajmować się tylko tym dochodzeniem, a na jej czele stanął jeden z najbardziej doświadczonych śledczych w Tokio Toshiaki Udo. Komisarz Udo był zastępcą naczelnika Pierwszego Wydziału Śledczego, a jego ludzie stanowili elitę Tokijskiej Policji Miejskiej. Zajmowali się najpoważniejszymi i najbardziej sensacyjnymi zbrodniami w kraju: zabójstwami, gwałtami, uprowadzeniami, napadami z bronią w rękę. Ich sława i prestiż są porównywalne do tych, jakimi cieszy się Lotna Brygada Scotland Yardu, bohaterowie filmów, seriali telewizyjnych i powieści. Komisarz Udo pracował przy największym powojennym dochodzeniu w Japonii – przy sprawie sekty Aum Shinrikyo, której członkowie w 1995 roku rozpylili gaz paraliżujący sarin w tokijskim metrze podczas porannej godziny szczytu. Był dość wysokim mężczyzną, miał owalną twarz i szeroko rozstawione oczy o skupionym spojrzeniu, które nadawały mu wygląd osoby nieustannie lekko zdumionej. W obejściu bardziej przypominał dobrotliwego

wicedyrektora niż twardego śledczego i trudno było sobie wyobrazić, aby potrafił okazywać skrajne emocje. Jednak poszukiwania Lucie dosłownie nim wstrząsnęły.

– Pracowałem przy wielu dużych sprawach, przy wielu słynnych sprawach – opowiadał mi. – Ale kiedy powierzono mi zadanie rozwiązania sprawy Lucie, ogarnęło mnie takie napięcie, że zacząłem drżeć na całym ciele. Instynktownie wyczuwałem, że będzie to poważne przestępstwo. Podpowiadał mi to mój węch. Wiedziałem, że nie możemy tej sprawy zlekceważyć.

Jego bezpośrednim podwładnym był Akira Mitsuzane, który spotykał się osobiście z rodziną Blackmanów. Minął tydzień, zanim policja obudziła się, odchrząknęła i zdecydowała, że należy wziąć się do roboty – i według ich standardów było to niezłe tempo.



Co robili śledczy w ciągu następnych tygodni? Trudno dokładnie odtworzyć kolejność zdarzeń, ale nic nie odbyło się szybko. Zanim utworzono specjalną komórkę dochodzeniową pod dowództwem Udo, ludzie Matsumoty zdążyli potwierdzić podstawowe fakty, o których opowiadała Louise: status obu dziewczyn w Japonii, miejsce zamieszkania w Sasaki House oraz zatrudnienie w Casablance. To wszystko zajęło im trzy dni. Jednak od chwili gdy Louise 3 lipca zgłosiła zniknięcie Lucie, upłynęło ponad sześć tygodni, zanim dochodzenie wyraźnie posunęło się do przodu.

Przeprowadzono wstępne kontrole sekt działających na terenie prefektury Chiba. („Jest ich jednak tak wiele – powiedział jeden ze śledczych⁵⁹. – Potrzebujemy więcej informacji”). Nie zajęto się natomiast innymi nadzwyczaj oczywistymi tropami. Niemal dwa tygodnie po zaginięciu

Lucie⁶⁰ policjanci nie zdążyli jeszcze porozmawiać z jej chłopakiem Scottem Fraserem ani nie poczynili żadnych kroków w kierunku odnalezienia i przesłuchania mężczyzny o nazwisku Akira Takagi, za którego podawał się człowiek dzwoniący do Louise.

– To może być fikcyjna tożsamość – powiedział rzecznik. – Nie chcemy niepotrzebnie niepokoić osób o tym samym nazwisku.

Śledczy udali się do Casablanki, przesłuchali pracujące tam hostessy i przejrzyli dokumenty znajdujące się w klubie. Niektórzy, choć nie wszyscy, klienci zostawiali wizytówki; tym, którzy bawili się służbowo, klub wystawiał fakturę na firmę – kopia faktury zostawała w klubie. Jednak po zebraniu tych wszystkich informacji z niewyjaśnionych powodów przetwarzano je bardzo długo. Na przykład dopiero w sierpniu skontaktowano się z Hajimem Imurą, wydawcą, który zabawiał Lucie opowieściami o połowach kalmarów.

Policja bez przerwy za to przesłuchiwała Louise Phillips. Po raz pierwszy pojawiła się ona na komisariacie Azabu 4 lipca, we wtorek po zniknięciu Lucie. W ciągu następnych pięciu tygodni była tam codziennie, od poniedziałku do soboty.

Przesłuchania odbywały się w pokoiku o powierzchni jednego metra kwadratowego, w którym stał stół, przy nim zaś siedziała Louise, dwóch śledczych i zatrudniona przez policję tłumaczka. Zaczynali rozmowę z samego rana i często kończyli dopiero wieczorem. Od początku na Louise ogromne wrażenie wywarły serdeczność i wrażliwość funkcjonariuszy, a także ich gotowość do morderczej, wielogodzinnej pracy.

Louise codziennie dostawała lunch – kilka razy żona któregoś ze śledczych przekazywała przygotowane specjalnie dla niej bento, pojemnik na lunch wypełniony różnego rodzaju przysmakami. Oprócz tego policja zapewniła jej mieszkanie oraz wypłacała dietę w wysokości 5000 jenów

dziennie. (Nieskrępowana tą hojnością Louise skrupulatnie odkładała pieniądze i kupiła sobie kamerę). Poczucie dezorientacji i strach sprawiały, że Louise często wybuchała płaczem; niejednokrotnie zauważała, że jej tłumaczka, a nawet prowadzący przesłuchanie śledczy również mieli łzy w oczach.

Jednak przebieg tych rozmów nie wzbudzał zaufania. Oczywiście było, że Louise miała status kluczowego świadka: najdłużej znała się z Lucie, była jej najbliższą przyjaciółką i ostatnią osobą, która ją widziała. Długość i częstotliwość przesłuchań można by zrozumieć, gdyby dotyczyły nowych aspektów sprawy. Tymczasem śledczy niemal bez przerwy zadawali w kółko te same pytania. Ich drobiazgowość była imponująca, czasami wręcz przerażająca. Jednak to, że interesowało ich absolutnie wszystko, zdaniem Louise oznaczało, iż nie mają pojęcia, co się stało, nie zaczęli zawęźać śledztwa i najwyraźniej nie wiedzą, czego się uchwycić.

– Dopytywali o wszystko, gdzie byliśmy, co robiliśmy, o wszystkie szczegóły na temat Lucie i jej życia, nawet przed przyjazdem do Japonii – opowiadała Louise. – Byli zdumiewający. Pracowali bardzo ciężko. Dopytywali o znamię Lucie, to, które miała wysoko na nodze. I o jej zdrowie, kiedy była młodsza. Pytali o mojego chłopaka, o innych moich przyjaciół, o wszystkich ludzi, z którymi mieszkaliśmy, i wszystkich klientów z klubu. Chcieli wiedzieć, czy któryś z klientów miał tatuaż. Jednak cały czas zadawali te same pytania, powtarzali je setki razy, dzień w dzień.

Dość niepewnie spytali, czy Louise i Lucie były lesbijkami (zakrztusiła się śmiechem, słysząc tę sugestię). Chcieli poznać w szczególności życie seksualne Lucie: interesował ich jej związek ze Scottem, jak często spędzali wspólnie noce, jakie metody antykoncepcyjne stosowali.

– Mniej więcej przez tydzień pytali mnie, czy Lucie chorowała na chlamydiozę – opowiadała Louise. – Nie mogłam zrozumieć dlaczego.

Niektóre pytania wydawały się zupełnie przypadkowe, a oni zadawali je godzinami, bez końca.

– Louise wywarła na mnie dobre wrażenie – powiedział mi komisarz Matsumoto. – Mimo to musieliśmy brać pod uwagę różne scenariusze. Czy może spiskowała z kimś przeciwko przyjaciółce? Może Lucie i Louise zakochały się w tym samym mężczyźnie, Louise chciała go mieć dla siebie i postanowiła pozbyć się rywalki? A może zabiła Lucie, żeby ukraść jej pieniądze? – Niektóre hipotezy rozważane przez śledczych były dziwaczne. – Otrzymaliśmy informacje od ludzi z klubów, że Lucie może przebywać w Korei Północnej oraz że może być szpiegiem – przyznał Matsumoto. – Dość szybko odrzuciliśmy ten scenariusz, ponieważ miała za mało pieniędzy.

Szybko również uporano się z kwestią ewentualnego zażywania narkotyków.

– Louise, sądząc po kolorze twarzy, nie zażywała narkotyków – oświadczył Matsumoto. – Świadczył o tym również jej stan fizyczny podczas wielogodzinnych przesłuchań. W kącikach ust nie tworzyły się jej pęcherzyki śliny, które czasami widać u osób zażywających narkotyki. Nie była chuda, nie męczyła się łatwo. Nie występował u niej żaden z tych objawów. – Innymi słowy osoba, która nie była blada i nie toczyła piany z ust, z pewnością nie sięgała po narkotyki. Podobne przekonanie nie dziwiłoby, gdyby wypowiedziała je stara panna w podeszłym wieku, ale kiedy wyraził je dumny śledczy, brzmiało naiwnie i wręcz komicznie. Był to kolejny przejaw prostoduszności i pewnego rodzaju oderwania od rzeczywistości japońskiej policji, która tak rzadko miała do czynienia z poważną przestępczością, że czasami wiedziała tylko z grubsza, jak to zjawisko wygląda.

Oficerowie z wydziału śledczego, którzy przejęli dochodzenie po Matsumocie, nie byli już tak prostoduszni. Gdy pewnego dnia Louise weszła do pokoju przesłuchań, zobaczyła na stole dziennik Lucie oraz leżące obok

niego japońskie tłumaczenie pamiętnika przyjaciółki.

– Dzień dobry, Louise-san – zaczął śledczy i podniósł dokumenty. – Louise, czy ty albo Lucie kiedykolwiek zażywałyście narkotyki w Japonii?

– Nie, nigdy – odpowiedziała Louise kręcąc głową.

– Jesteś pewna? – naciskał śledczy, kartkując dziennik.

– Oczywiście, jestem pewna. Nigdy.

Prawie cały czas podczas przesłuchań policjanci nie sprawiali wrażenia, że nie wierzą Louise – długość procedury wydawała się wynikać z ich skrupulatności i pracowitości, a nie z podejrzliwości wobec przesłuchiwanej. Jednak tym razem atmosfera zdawała się oziębiać.

Śledczy zapytał Louise:

– Dlaczego Lucie napisała w dzienniku: „Byłyśmy na niekończących się poszukiwaniach muzyki, pocztówek i prochów”?

Umysł Louise pracował na najwyższych obrotach.

– Pomyślałam: Jeśli uznają, że jest narkomanką, będzie to bardzo źle wyglądało. Dlatego powiedziałam: „Och, szukała paracetamolu albo nurofenu, czegoś w tym stylu”.

– Nie zażywałyście nielegalnych środków odurzających w Japonii? – chciał wiedzieć śledczy.

– Nie, nie.

– Jesteś o tym przekonana?

– Tak.

– Louise, masz wypisane na czole: „Jestem kłamczuchą”.

– Miał rację – wyznała w rozmowie ze mną Louise. – Potem opowiedziałam im wszystko.

Sporo dwudziestojednoletnich Brytyjek zapewne stwierdziłoby, że nie było za wiele do opowiadania.

– Narkotyki były wszędzie, ale my po prostu za nimi nie przepadałyśmy – relacjonowała Louise. – Pewnego razu ludzie, którzy z nami mieszkali, jedli grzyby halucynogenne, ale żadna z nas nie miała na to ochoty. Lucie powiedziała: „Nie chciałabym mieć halucynacji, nagle stracić nad wszystkim kontroli”.

Nigdy nie kupowały marihuany, ale zdarzało im się zaciągnąć skrętem, który krążył w salonie między mieszkańcami Sasaki House. Louise przyznała też, że zażywały ecstasy, gdy wychodziły pobawić się do klubów w Roppongi – Louise dwa razy (między innymi podczas tego wieczoru, kiedy doszło do bójk w Deep Blue), a Lucie raz. Zamierzały znów sięgnąć po tabletki ecstasy wieczorem 1 lipca, podczas wspólnego wyjścia, do którego nie doszło.

W normalnych okolicznościach tego typu wyznanie oznaczałoby dla przebywającej w Japonii cudzoziemki poważne kłopoty: posiadanie narkotyków typu ecstasy, choćby w najmniejszych ilościach i na własny użytek, uznawano za poważne przestępstwo.

– Ale ja wiedziałam, że muszę powiedzieć prawdę, i niczego nie ukrywałam – relacjonowała Louise. – Powiedziałam kiedy, gdzie, ile. A oni nie robili problemów z tego powodu. Ważniejsze było, żeby odnaleźć Lucie. Pracowali bardzo ciężko, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Byłam na komisariacie do późnego wieczora, a gdy wychodziłam, oni zostawali i pracowali jeszcze przez kilka godzin. Kilku z nich musiało wziąć wolne z powodu przemęczenia.

⁵³ Informacje na temat japońskiej policji i prokuratury zaczerpnąłem z: W.L. Ames, *Police and Community in Japan*, Berkeley 1981; D.H. Bayley, *Forces of Order. Policing Modern Japan*, Berkeley 1991; D.T. Johnson, *The Japanese Way of Justice. Prosecuting*

Crime in Japan, New York 2002; S. Miyazawa, *Policing in Japan. A Study on Making Crime*, Albany 1992; oraz L.C. Parker Jr, *The Japanese Police System Today. An American Perspective*, New York 1984.

54 Imię „Christabel Mackenzie” oraz szczegóły dotyczące życiorysu osoby, która się pod nim kryje, zostały zmienione, aby zachować jej anonimowość.

55 Informacje na temat wskaźników przestępczości zostały zaczerpnięte z: D.T. Johnson, *The Japanese Way of Justice*, dz. cyt, s. 22–23.

56 Cyt. za: N. Inose, *Japanese Police Must Lift Shroud of Secrecy*, „The Daily Yomiuri”, 20 września 1999; oraz D. Struck, *Japan’s Police Wear Tarnished Badge of Honor. Reputation of Once-Admired Constables Plummets with the Rise of Scandals and Corruption*, „The Washington Post”, 3 marca 2000.

57 Kilka najgłośniejszych skandali dotyczyło osób zaginionych. Najbardziej bulwersująca sprawa związana była z dokonaniem w grudniu poprzedniego roku zabójstwem dziesięcioletniego chłopaka o imieniu Masakazu Sudo, którego ciało znaleziono w lesie w prefekturze Tochigi na północ od Tokio. Sudo od ponad miesiąca nie wracał do domu i jego rodzice dobrze wiedzieli, z jakiego powodu. Więziło go trzech innych młodych mężczyzn, których rodzice Masakazu wskazali z imienia i nazwiska. Mężczyźni ci kazali mu chodzić do bankomatów i lombardów i pobierać oraz przekazywać duże sumy pieniędzy.

Państwo Sudo wielokrotnie zgłaszali sprawę na policji, ta jednak odmawiała wszczęcia śledztwa, insynuując, że Masakazu sam jest młodocianym przestępcą, a nawet narkomanem. Pewnego dnia z rozkazu przetrzymujących go mężczyzn Masakazu zadzwonił na telefon komórkowy rodziców. Przebywali oni na komisariacie i poprosili pełniącego służbę sierżanta, który w dalszym ciągu nie chciał zająć się tą sprawą, aby udał przyjaciela ich syna i porozmawiał z porywaczami. Sierżant odebrał telefon i od razu przedstawił się jako funkcjonariusz policji. Wkrótce potem Masakazu Sudo został wywieziony do lasu i uduszony. Jeden z trzech zabójców, których ostatecznie złapano i skazano za morderstwo, okazał się synem miejscowego policjanta.

Równie niepokojąca z punktu widzenia Blackmanów była sprawa dziesięcioletniej dziewczynki z Niigaty, która zaginęła w 1990 roku. Przez dziesięć lat nie udało się ustalić, co się z nią stało, aż w końcu w lutym 2000 roku pojawiła się w miejscowym szpitalu. Przez cały czas od momentu zaginięcia była więziona w pokoju, który znajdował się w domu położonym kilkaset metrów od komisariatu. Uprowadził ją mężczyzna odbywający w przeszłości wyrok za molestowanie nieletnich. Cztery lata wcześniej policja otrzymała informację, że dziewczynkę przetrzymuje ów mężczyzna, ale nie zadano sobie

choćby tyle trudu, żeby zapukać do jego drzwi.

[58](#) Jedną z różnic kulturowych, którą unaoczniała sprawa Lucie, było odmienne w różnych częściach świata postrzeganie osób pracujących jako stewardesy. W Wielkiej Brytanii „latające ślicznotki” są obiektem zarówno podziwu, jak i żartów. Tymczasem w Japonii zawód stewardesy uważany jest za profesję elitarną, szczyt wytworności i wyrafinowanej kobiecości. Pod koniec lat osiemdziesiątych stewardesy cieszyły się tak powszechnym poważaniem i popularnością, że zdarzało się, iż żenili się z nimi gwiazdorzycy muzyki pop i zapaśnicy sumo. Dlatego wielu Japończykom wydawało się niezrozumiałe, a nawet mocno podejrzanym to, że kobieta zdecydowała się porzucić pracę w British Airways i zostać hostessą w Roppongi.

[59](#) J. Watts, „The Guardian”, 11 lipca 2000.

[60](#) Rozmowa z komisarzem Toshihikiem Miim, komisariat Azabu; oraz R.L. Parry, *Free Her Now, Father Urges Tokyo Captor*, „The Independent on Sunday”, 16 lipca 2000.

ROZDZIAŁ 13

PALMY NAD MORZEM

ROPPONGI – PRZYNAJMNIEJ ROPPONGI zagranicznych hostess i ich klientów – było niczym wioska: w ciągu dwóch dni cała parafia wiedziała o zniknięciu Lucie. Tydzień później o tym zdarzeniu informowały nagłówki wszystkich brytyjskich i japońskich gazet. Po kolejnych dwóch dniach twarz Lucie spoglądała na świat z trzydziestu tysięcy plakatów informujących o zaginięciu. W całym Tokio – a także w Londynie, Melbourne, Tel Awiwie i Kijowie – hostessy z Roppongi, zarówno te cały czas pracujące w zawodzie, jak i te, które się z niego wycofały, doznawały wstrząsającego doświadczenia, gdy na powierzchnię nagle wypływało spychane w niepamięć zdarzenie: Clara z Kanady, Isobel i Charmaine z Australii, Ronia z Izraela, Katie z Ameryki, Lana z Wielkiej Brytanii i Tania z Ukrainy⁶¹. Każda przypomniała sobie inne imię: Yūji, Kōji, Saito, Akira. Jednak pozostałe fragmenty śladu pamięciowego były takie same: dobrze ubrany i mówiący po angielsku mężczyzna w średnim wieku jeżdżący drogim samochodem, wyprawa do mieszkania nad morzem w otoczeniu palm, wypicie drinka, potem ciemność, a na końcu, po wielu godzinach, odzyskanie świadomości oraz związane z tym zawroty głowy i nudności.

Niektóre dziewczyny znały się między sobą. Kilka już wcześniej po cichu

podzieliło się z innymi swoim przeżyciem. Wszystkim, gdy tylko usłyszały historię Lucie, przysłała do głowy identyczna myśl: to na pewno był on.

Prawie wszystkie zdecydowały się nie zgłaszać na policji tego, co im się przytrafiło, i decyzję tę podjęły z podobnych powodów – ponieważ obawiały się utraty prawa do wizy, ponieważ nie wiedziały dokładnie, co im się stało, gdy były nieprzytomne, lub ponieważ doskonale wiedziały, co się zdarzyło, ale nie potrafiły zmusić się do tego, aby spojrzeć prawdzie w oczy. Jedyny wyjątek stanowiła młoda Amerykanka Katie Vickers⁶². Jej doświadczenie potwierdziło słuszność decyzji pozostałych dziewczyn. Historia Katie Vickers jest zarzutem nie do obronienia wobec Tokijskiej Policji Miejskiej.

W 1997 roku Katie pracowała w klubie Cadeau. Elegancko ubrany mężczyzna w średnim wieku przedstawił się jej jako Kōji. Do wypicia podał jej dzin z tonikiem. Pierwszy łyk drinka był ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała.

Minęło piętnaście godzin, zanim się obudziła – leżała na sofie w samej bieliźnie. Kōji wyjaśnił jej, że nastąpił wyciek gazu i że jego również bardzo boli głowa. Odwiózł ją połowę drogi do Tokio, następnie wsadził w taksówkę razem z torebką, którą wypchał gotówką i bonami na przejazdy taksówkami.

Christa Mackenzie po odzyskaniu przytomności czuła się lekko skacowana. Katie jednak przez kilka dni męczyły nudności, którym towarzyszyła ogromna słabość. Gdy chwiejnym krokiem weszła do klubu Cadeau, miała sine usta i bełkotliwą mowę. Właścicielem i kierownikiem klubu był Kai Miyazawa, biznesmen z włosami związanymi w kucyk, który wprowadził mnie w arkana prowadzenia baru z hostessami. Widząc, w jakim stanie jest Katie, kazał jej iść do lekarza, a następnego dnia wybrał się z nią na komisariat Azabu.

Reakcja stróżów prawa zbulwersowała go.

– Nie zaproszono nas nawet do osobnego pokoju, nie poproszono, żebyśmy usiedli, kazano nam po prostu stać w recepcji – napisała później

Katie. – Policjanci wydawali się w ogóle niezainteresowani tym, żeby nam pomóc czy podjąć jakieś działania. Nie spisali oficjalnego protokołu, zrobili tylko parę notatek na zwykłej kartce papieru. [...] Powiedzieli, że nie mogą zająć się dochodzeniem w mojej sprawie z powodu braku dowodów [...] Mogłam podać dokładny rysopis tego mężczyzny i szczegółowo opisać miejsce zdarzenia. Dałam im również numer telefonu komórkowego, który zapisał mi sam „Kōji”. Moim zdaniem były to wystarczające dowody, żeby przynajmniej ustalić tożsamość tego mężczyzny i sprawdzić, czy był w przeszłości karany. Potraktowano mnie tak, że poczułam, że się naprzykrzam i marnuję czas policji.

Kai zadzwonił nawet do znajomego policjanta.

– Ale na koniec słyszę: „Kai, te cudzoziemki, hostessy – one wszystkie biorą narkotyki. To ich własny problem – daj sobie z tym spokój”. Gdy mówię o tym Katie, bardzo się złości. Nie przestaje o tym opowiadać przez tydzień, więc idę i znów z nimi rozmawiam. Ale oni powtarzają: „Daj spokój, daj spokój”.

Katie wciąż mieszkała w Tokio, gdy trzy lata później zniknęła Lucie. Kiedy usłyszała o zaginięciu dziewczyny z Roppongi, natychmiast poszła na komisariat Azabu. Policjantka tym razem zanotowała kilka szczegółów, ale nie wydawała się zbyt zainteresowana czy przejęta. Kai ponownie zadzwonił do znajomego policjanta.

– Ale on awansował – pracuje teraz w innym wydziale – opowiadał mi Kai. – Mówi: „To nie moja sprawa”. Ja jednak w tym momencie jestem już na sto procent pewny, że mam rację: to był ten sam facet.

W lipcu policja brała pod uwagę trzy możliwe powody stojące za zniknięciem Lucie: sekta, przestępstwo związane z handlem narkotykami oraz działania jakuzi (stąd skierowane do Louise pytanie o mężczyzn

z tatuażami, znakiem rozpoznawczym japońskich gangsterów). Były to oczywiste i rozsądne kierunki śledztwa, biorąc pod uwagę charakter Roppongi i przestępczości w Japonii w ogóle. Tymczasem do funkcjonariuszy zaczęły docierać głosy o istnieniu innej możliwości – związanej z przestępcą, który od lat działał tuż pod ich nosami. Czy właśnie dlatego, przynajmniej na początku, nie chcieli tych głosów słuchać, ponieważ sugerowały one wcześniejsze rażące zaniedbania z ich strony?

Christa Mackenzie przyjechała z Osaki do Tokio, żeby opowiedzieć policji o „Yūjim”. Katie Vickers zrelacjonowała historię o „Kōjim”. Isobel Parker i Clara Mendez, znajome Huw Shakeshafta, które podzieliły się swoimi przeżyciami z będącym w stanie szoku Timem Blackmanem, przytaczały inne imiona, ale opisywały identyczne zdarzenia. Wszystkie cztery kobiety spotkały się z obojętnością.

– Minął miesiąc, zanim wzięli moje słowa na poważnie – wspominała Christa. – Bardzo powoli łączyli poszczególne fakty w całość. Byli dość bierni, przez pewien czas wydawali się w ogóle niezainteresowani tą historią. Odpowiadali: „Tak, cóż, ale ona prawdopodobnie wstąpiła do sekty”. Po prostu nie słuchali ludzi, którzy mówili im, że to nie leżało w naturze Lucie. Naprawdę uważali, iż mogła tak zrobić. A może woleli w to wierzyć, ponieważ chcieli sobie oszczędzić trudu sprawdzania innej opcji.

Zaledwie policja powołała specjalną komórkę dochodzeniową, gdy pojawił się pierwszy sfabrykowany list z podpisem Lucie. Był on datowany na 17 lipca – dzień urodzin Tima – nadany w Chibie i Louise od razu poznała, że został sfałszowany. Podpis podrobiono imponująco dobrze, ale w samej treści roiło się od błędów ortograficznych. Zanim pokazano fragmenty listu Timowi i Sophie, skrupulatnie usunięto najbardziej drażliwe ustępy – cały list był drastyczny, wyzierała z niego agresja i nienawiść.

Śledczy zabronili Louise robić notatki, jednak po wyjściu z pokoju

przesłuchań dziewczyna zapisała na kartce kilka zapamiętanych zwrotów:

- Louise, kocham Cię jak siostrę, ale prawdę mówiąc spierdoliłaś moje plany przez to, że zrobiłaś ze mnie gwiazdę.
- zawiózł mnie do hotelu i zerznął – pieprzyć hostessy
- chcę być tym, kim chcę
- Przyjechałam do Japonii po pieniądze, tak, to prawda
- chciałam uciec
- błagałam go, żeby zadzwonił do Ciebie
- Powiedz Scottowi, że go kocham, ale nie chcę dłużej z nim być
- nie były niewinne i przydarzyło im się parę rzeczy
- Louise, myślisz, że mnie znasz, ale to nieprawda

– To był naprawdę ostry język – opowiadała Louise. – Straszny. – Całymi dniami przesiadywała na komisariacie, po czym wracała sama do mieszkania zapewnionego przez policję.

Przez kilka dni mieszkała razem z nią Christa, która jednak nie mogła się uporać z własnymi wyrzutami sumienia – obwiniała się za to, że nie poszła na policję wcześniej i że zlekceważyła wewnętrzny głos podpowiadający jej, aby ostrzec Lucie podczas pierwszego spotkania. Dlatego zamiast nawzajem się wspierać, Louise i Christa wpędzały się w jeszcze większą rozpacz.

– Nie mogłam przestać myśleć, gdzie może być Lucie – wspominała Louise. – Wyobrażałam sobie, że jest więziona w jakimś pokoju, ale jak wyglądał ten pokój? Każdego wieczoru zastanawiałam się: „Czy jest głodna? Czy marznie? Czy ma co jeść i pić? Co będzie, jeśli dostała okres?”. Potem przychodziło mi do głowy, że jest gwałcona, torturowana. Wyobrażałam sobie sześciu mężczyzn, którzy robią jej straszne rzeczy. Rząd cel więziennych, pokój obok pokoju. Ani przez chwilę nie dopuszczałam do siebie myśli, że umarła. Sądziłam, że gdyby nie żyła, w głębi serca bym to poczuła.

Dla Kaia, właściciela klubu Cadeau, lato 2000 roku okazało się również bardzo ciężką próbą.

– Codziennie w telewizji mówili o Lucie Blackman – opowiadał. – Wszyscy zwariowali. Pełno dziennikarzy przyjechało do Roppongi, zwariowali, zwariowali, rozmawiają z ludźmi i nikt nie przychodzi do mojego klubu. – Potem pewnego sierpniowego dnia zadzwonili policjanci z komisariatu Azabu, skontaktowali się po raz pierwszy, odkąd zbyli Katie, gdy ta przyszła złożyć zeznania kilka dni po zaginięciu Lucie. Teraz telefonował jeden ze śledczych komisarza Udo. – Mówi: „Słyszałem, że w lipcu rozmawiał pan z moim kolegą. Proszę przyjść na komisariat Azabu”. Odpowiadam: „Pieprzcie się. Pełno tam dziennikarzy. Mam klub, próbuję robić interesy i niepotrzebne mi to całe gówno. Interesy wtedy nie idą. Chcę tylko, żeby to wszystko szybko się skończyło. Przyjedźcie do mnie do biura samochodem. Porozmawiamy, potem gdzieś się przejedziemy”. Później dzwonię po Katie.

Scenariusze dotyczące narkotyków, mafii oraz sekt nie znalazły potwierdzenia, śledczy musieli zatem zacząć brać pod uwagę inne możliwości. Dwóch funkcjonariuszy, Usami i Asano, wywozło Kaia i Katie poza granice Tokio, aby poszukać miejsca, do którego zabrał ją „Kōji”. Katie pamiętała kierunek bardzo ogólnikowo – na południe od Tokio, potem na zachód, wzdłuż półwyspu Miura. Kai zapamiętał wyprawę bardzo dokładnie; przypisywał sobie zasługę za to, co się wtedy zdarzyło.

– Z jakiegoś powodu powiedziałem policjantom: „Tu skręćcie w prawo” – opowiadał. – Może prowadził mnie jakiś bóg.

Wkrótce dotarli do przystani Zushi położonej około trzech kilometrów w dół wybrzeża. W latach siedemdziesiątych XX wieku, kiedy wybudowano ten nadmorski kurort, był on miejscem słynnym i prestiżowym, do którego

przenosiły się na emeryturę bogate małżeństwa i w którym tokijskie znane osobistości kupowały apartamenty wypoczynkowe z widokiem na górę Fudzi. Właśnie tu w 1972 roku laureat Nagrody Nobla, powieściopisarz Yasunari Kawabata, popełnił samobójstwo poprzez zatrucie gazem. Żaglówki, woda, wysokie domy mieszkalne z balkonami oraz – rzadki widok tak daleko na północy – setki drzew palmowych. Katie od razu poznała to miejsce.

– Dostałem gęziej skórki przez to wszystko – opowiadał Kai. – Teraz mam gęsią skórę, kiedy o tym mówię. Bo w końcu się okazało, że miałem rację. Wiedziałem to od początku, po prostu to wiedziałem. I miałem rację. Wiedziałem, że na sto procent mam rację, i nie pomyliłem się. W tamtej chwili pomyślałem, że jestem naprawdę wielki!

Isobel Parker i Clara Mendez opowiedziały swoje historie Timowi podczas jego pierwszego pobytu w Tokio. Był wtedy w stanie skrajnego oszołomienia, pełen tłumionego lęku i podobnie jak policja zupełnie przeoczył znaczenie relacji obydwu kobiet. Później postępy w śledztwie, a także ich brak, skrzętnie przed nim ukrywano.

– Ojciec zaginionej przychodził do nas i pytał, na jakim etapie jest dochodzenie – powiedział mi emerytowany śledczy. – Mogliśmy jednak odpowiedzieć mu tylko tyle: „Dochodzenie jest prowadzone jak należy”. Szczerze mówiąc, nie byliśmy zadowoleni z tego, że zwoływał te wszystkie duże konferencje prasowe. Pytał: „Dlaczego nie mówicie mi więcej?”, a my odpowiadaliśmy: „Ponieważ koło ciebie cały czas są dziennikarze. Jeśli powiemy ci, co robimy, ty możesz powiedzieć to prasie, a to mogłoby zagrazać dobru śledztwa”.

Policja okłamywała Tima na temat postępów w dochodzeniu. Z początku robiła to prawdopodobnie dlatego, żeby ukryć, jak mało wie. Jednak później

funkcjonariusze nie chcieli, aby podejrzany dowiedział się, że depczą mu po piętach. Między innymi z tego powodu postronnemu obserwatorowi śledztwo wydawało się prowadzone w dość zagadkowy sposób.

Pod koniec lata śledczy rozpoczęli już pracę nad sprawdzeniem połączeń telefonicznych. Chcieli ustalić, skąd na różowy telefon w Sasaki House dzwonił do Lucie mężczyzna, z którym miała się spotkać tamtego dnia, oraz zidentyfikować właściciela numerów, które „Kōji” i „Yūji” dał Katie i Chrście. Policja wiedziała o tych numerach już na początku lipca (w wypadku Katie – od 1997 roku), ale wydaje się, że dopiero w sierpniu zaczęła dokładać wszelkich starań, żeby je sprawdzić.

Była to niezmiernie czasochłonna i skomplikowana procedura. Firmy telekomunikacyjne rejestrowały jedynie połączenia wychodzące z danego numeru, a nie przychodzące. Nie można było zatem zacząć od różowego telefonu i sprawdzić przychodzące połączenie, które zaprowadziłoby prosto do tajemniczego mężczyzny. Numer telefonu, który dostała Christa, okazał się przypisany do niejakiego Hajimego Tanaki, człowieka o nazwisku równie popularnym w Japonii jak Michael Smith czy Paul Jones w Wielkiej Brytanii. Konto otwarto na podstawie okazanej karty ubezpieczenia zdrowotnego, która okazała się podrobiona. Podany adres był prawdziwy, ale nie mieszkał pod nim nikt o wymienionym w dokumentach nazwisku. Drugi telefon komórkowy, którego numer miała Katie, działał na zasadzie doładowań, dlatego nie trzeba było podpisywać z jego właścicielem umowy ani wysyłać mu billingu. Telefony tego typu cieszyły się popularnością wśród ludzi, którzy mieli coś do ukrycia. Za każdym razem gdy śledczy prosili o przeprowadzenie monitoringu połączeń, musieli najpierw uzyskać nakaz sądowy. Przygotowanie odpowiednich dokumentów, przedłożenie ich sędziemu i w efekcie uzyskanie nakazu czasami zajmowało aż tydzień.

Śledczy zaczęli od różowego telefonu. Wiedzieli, o której mniej więcej

godzinie zadzwonił do Lucie klient w ten dzień, gdy zniknęła, i wskazali okres obejmujący sześć minut przed tym połączeniem i sześć minut po nim. Następnie poprosili firmy telekomunikacyjne, żeby przejrzały historię połączeń wszystkich swoich użytkowników i ustaliły, który z nich zadzwonił w wyszczególnionym czasie na różowy telefon. Zadanie to wymagało prześwietlenia milionów kont telefonicznych, a niełatwo było przekonać firmy telekomunikacyjne, żeby w ogóle zgodziły się podjąć tego zadania.

– Nigdy wcześniej tego nie robiono – powiedział mi były wysoki rangą oficer śledczy. – Praca ta zajęła kilka dni i firmy musiały zaangażować do niej sporą część personelu. Nastąpiło to po wizycie premiera Blaira, podczas której poprosił on japoński rząd o szczególną współpracę. Po takiej prośbie nie mieliśmy większego wyboru, musieliśmy to zrobić, żeby uratować godność japońskiej policji.

W wyniku poszukiwań wyizolowano jedenastocyfrowy numer. Dalszy monitoring ujawnił, że numer ten był przypisany do kolejnego niezidentyfikowanego telefonu na kartę. Intrygujące okazały się jednak okoliczności, w jakich aparat został sprzedany. W czerwcu 2000 roku nabył go w sklepie ze sprzętem elektronicznym pewien klient, który jednorazowo kupił siedemdziesiąt telefonów. Imię i nazwisko podane przez klienta okazało się zmyślane, a transakcji dokonano zaledwie kilka dni przed wprowadzeniem prawa wymagającego, aby osoby nabywające tego typu telefony okazywały dowód tożsamości i miejsce zamieszkania. Teraz jednak śledczy znali przynajmniej numery pozostałych telefonów kupionych w tej samej partii i należących, jak można było zakładać, do mężczyzny, który dzwonił do Lucie i spotkał się z nią tamtego dnia.

Jedynie około dziesięciu z nich zostało aktywowanych. Posiadając nowe nakazy sądowe, śledczy mogli w tym momencie zidentyfikować numery, z którymi łączono się z owych telefonów, a następnie numery, na które

dzwoniono z owych zidentyfikowanych numerów. Funkcjonariusze między sobą nazywali te numery mianem „rodziców”, „dzieci” i „wnuków”; informacje na temat całej sieci połączeń odwzorowywano za pomocą skomplikowanych diagramów przypominających drzewa genealogiczne. W końcu w gąszczu cyfr odnaleźli numer telefonu komórkowego Louise: była to rozmowa, którą Lucie odbyła z Louise w sobotę wieczorem, aby powiedzieć, że niedługo wróci do domu – ostatnia telefoniczna rozmowa Lucie.

Firma telekomunikacyjna była w stanie zidentyfikować stację przekaźnikową, która transmitowała sygnał tej rozmowy. Znajdowała się ona w mieście Zushi.

Katie Vickers rozpoznała przystań Zushi jako miejsce, do którego zabrał ją „Kōji”. Teraz śledczy przywieźli tu pozostałe dziewczyny. Christa, Clara i Isobel – wszystkie potwierdziły, że właśnie na tym osiedlu znajdowało się mieszkanie, w którym zostały odurzone narkotykami i rozebrane. Żadna jednak nie potrafiła dokładnie wskazać ani konkretnej lokalizacji mieszkania, ani nawet budynku, w którym leżało. Śledczy zdobyli listę wszystkich właścicieli mieszkań i sprawdzili każdego z nich pod kątem przeszłości kryminalnej. Analiza wykazała mnóstwo dawnych wykroczeń, ale między setkami nazwisk znalazło się tylko jedno powiązane z przestępstwem seksualnym⁶³.

Należało do właściciela mieszkania numer 4314. Kartoteka mężczyzny zawierała informacje na temat dwóch wykroczeń. W 1983 roku zapłacił on niewysoki mandat za uderzenie w tył innego samochodu. Natomiast w 1998 roku – zaledwie dwa lata wcześniej – został aresztowany za podglądanie⁶⁴ i nagrywanie na kamerę kobiety w damskiej toalecie w nadmorskiej miejscowości Shirama położonej w zachodniej Japonii – został przyłapany na tym procederze po raz drugi. Jak później doniosły japońskie media, podał

policji fałszywe nazwisko i przedstawił się jako „twórca literatury faktu”. Przyznał się do winy i został osądzony w trybie przyspieszonym, przez co nie musiał nawet pojawić się na rozprawie sądowej. Skazano go na grzywnę w wysokości 9000 jenów, kwotę niższą niż cena jednej godziny spędzonej z hostessą w Casablance czy klubie Cadeau.

Kartoteka zawierała zdjęcie policyjne mężczyzny zrobione w czasie, gdy go aresztowano, funkcjonariusze zdołali również dotrzeć do fotografii widniejącej na jego prawie jazdy. Zidentyfikowali samochody zarejestrowane na jego nazwisko, kilka firm, których był prezesem, oraz należące do nich liczne nieruchomości rozsiane po całej Japonii.

Zdjęcia mężczyzny umieszczono w albumie między dziesiątkami innych twarzy. Christa, Katie, Clara i Isobel rozpoznały w nim swojego klienta i człowieka, który je nadużył.

– To było naprawdę dziwne zdjęcie – wspominała Clara. – Oczy miał niemal zamknięte, wyglądał jak gdyby wyciągnęli go prosto z rynsztoka. Można by pomyśleć, że był pijany albo coś w tym stylu. Ale mnie się wydaje, że po prostu chciał, aby trudno go było poznać na tej fotografii.

Za pomocą kamer monitorujących japońskie autostrady policja namierzyła jeden z samochodów mężczyzny, biały sportowy mercedes-benz. Potwierdzono, że w dniu, kiedy zniknęła Lucie, mężczyzna jechał z Tokio do Zushi, po czym w następnych dniach kilka razy wyprawiał się do stolicy i wracał na półwysep Miura.

Komisarz Udo polecił go obserwować. Uznał, że przydzielenie mu „policyjnego ogona” będzie zbyt ryzykowne, rozkazał więc, aby jego ruchy śledzili funkcjonariusze rozstawieni w różnych miejscach i podający sobie przez radio informacje na temat lokalizacji podejrzanego. Każdego dnia mogło go zatem śledzić dziesięciu innych policjantów poruszających się pieszo, jadących motocyklem lub samochodem. Udo nazywał ten rodzaj

obserwacji „metodą pinpoint”. Była ona dość zawodna i funkcjonariusze często gubili podejrzanego. Pewnego razu pojechał on w kierunku Chiby i tam zniknął. Następnego dnia na komisariat Azabu przyszedł pełen agresji i nienawiści list podpisany imieniem Lucie i nadany w Chibie.



Pod koniec września komisarz Udo był już przekonany, że znalazł człowieka, którego szukał. Ruchy mężczyzny w dzień zaginięcia Lucie oraz historie innych hostess rozwiewały wszelkie wątpliwości. Brakowało jednak dowodu. Samą Katie Vickers policja interesowała się nie bardziej niż trzy lata wcześniej, kiedy ją zbyto na komisariacie – ona i pozostałe kobiety były zaledwie środkami prowadzącymi do celu.

– Liczyło się to, żeby ustalić, co się stało z Lucie, w jaki sposób ją zabił i gdzie się znajdowało jej ciało – opowiadał Udo. – Taki mieliśmy cel: dowiedzieć się, co się stało z Lucie.

Śledczy zaczęli sprawdzać przeszłość podejrzanego i jego działania na przestrzeni ostatnich kilku tygodni. Jego firmy posiadały nieruchomości od wyspy Hokkaido na północy począwszy, po wyspę Kiusiu na południu. Niektóre z nich były wynajmowane, ale kilka okazało się prywatnymi rezydencjami – między innymi trzy mieszkania w centrum Tokio oraz duży dwupiętrowy dom z basenem w zamożnej podmiejskiej dzielnicy Den-en Chōfu. Kolejna nieruchomość leżała w wiosce Moroiso na zachodnim wybrzeżu półwyspu Miura, 25 kilometrów na południe od Zushi. Linie brzegową w tamtej okolicy urozmaicały skaliste zatoczki i kamieniste plaże, na których stały domy rybaków oraz budynki z apartamentami wypoczynkowymi. Podejrzany posiadał mieszkanie w budynku o nazwie Blue Sea Aburatsubo.

Śledczy skontaktowali się z policją w mieście Misaki, gdzie znajdował się komisariat położony najbliżej Moroiso. Miejscowi policjanci mieli do opowiedzenia ciekawą historię.

6 lipca trzech funkcjonariuszy pojechało do Blue Sea Aburatsubo w reakcji na skargę dozorczyńni, pani Abe. Tamtego popołudnia w budynku pojawił się mężczyzna, który wszedł do nieużywanego od kilku lat mieszkania numer 401. Nie miał klucza do lokalu i bez porozumienia z dozorczynią wezwał ślusarza, aby otworzył mu drzwi. Na parkingu przed budynkiem stał jego sportowy samochód, dwumiejscowy mercedes-benz. Partner pani Abe pan Hirokawa twierdził, że leżało w nim pełno bryłowatych przedmiotów nakrytych białymi prześcieradłami, jedynie miejsce kierowcy było wolne. Podejrzany mężczyzna był teraz w swoim apartamencie, z którego dochodziły dziwne hałasy. Inspektor Naoki Harada i jeden z policjantów weszli po schodach i już na korytarzu słyszeli głośne uderzenia dobiegające z mieszkania. Zapukali do drzwi.

Z początku nikt się nie odezwał. Zadzwonili ponownie, przedstawili się przez interkom jako funkcjonariusze policji i poprosili, aby ich wpuszczono. W końcu drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna. Niski, w średnim wieku, z rzednącymi włosami.

– Był do połowy rozebrany⁶⁵ i miał na sobie coś jakby spodnie od pidżamy – opowiadał później inspektor Harada. – Rzuciły mi się w oczy krople potu na jego twarzy i klatce piersiowej oraz to, że cały drżał. Do tego ciężko oddychał. Wydawało się, że poci się wszystkimi porami, i był bardzo brudny. Pomyślałem, że musi wykonywać naprawdę ciężką fizyczną pracę.

Mężczyzna powiedział coś o tym, że musi się przebrać, po czym zamknął drzwi; ze środka dobiegły kolejne odgłosy uderzeń. Gdy mężczyzna znów się pojawił, inspektor Harada wszedł do przedpokoju.

– Zobaczyłem w przedpokoju jakieś narzędzie i kawałki betonu

rozsypane dookoła – relacjonował. – Dalej, w pokoju, leżała płócienna torba, wewnątrz znajdował się jakiś przedmiot. Był okrągły, szary, o średnicy około dwudziestu centymetrów.

Jednak mężczyzna stanowczo nie zgadzał się, aby policja przeszukała dom, i upierał się, że po prostu kładzie nowe kafelki w łazience.

– Gdybym wpuścił was do pokoju, to tak jakbym pokazał się wam nago – powiedział ze złością. Inspektor Harada odrzekł:

– Nie interesuje mnie pana nagość, proszę mi tylko pozwolić obejrzeć mieszkanie i zaraz sobie pójdę.

Nie miał jednak nakazu sądowego ani dowodu na popełnienie przestępstwa, nie mógł zatem bez pozwolenia wejść do mieszkania i go przeszukać. Po skontaktowaniu się z komisariatem i ustaleniu, że mężczyzna rzeczywiście jest prawnym właścicielem lokalu, policjanci opuścili budynek.

Najdziwniejsza część całej tej historii zdarzyła się nieco później, gdy mężczyzna poprosił funkcjonariuszy, żeby weszli z powrotem do środka.

– Stał w drzwiach, trzymając jakiś przedmiot owinięty papierem – opowiadał inspektor Harada. – Tulił go do siebie, jak gdyby to było małe dziecko. Uchylił papier i zobaczyłem głowę psa. Powiedział: „Zdechł mój ukochany pies. Pomyślałem, że zdziwi was widok jego ciała, dlatego nie chciałem was wpuścić”.

Jeden policjant pamiętał, że ciało zwierzęcia było nieruchome i sztywne.

Powiedział:

– Nie wyglądało, jakby zdechło tamtego dnia czy dzień wcześniej.

– Pomyślałem, że może robi coś poważnego, na przykład pozbywa się ciała – kilka lat później zezna w sądzie inspektor Harada. Jednak miejscowa policja nigdy nie zainteresowała się bliżej mężczyzną ze zdechłym psem ani nie powiązała tego incydentu z doniesieniami sprzed zaledwie paru dni o cudzoziemce, która zaginęła po tym, jak wybrała się z mężczyzną na

przejażdżkę nad morze.



Między lipcem a październikiem do komendanta komisariatu Azabu i szefa Pierwszego Wydziału Śledczego przyszło sześć listów. Dwa zostały napisane nieco nieudolnie po angielsku i widniał na nich ten sam podrobiony podpis Lucie Blackman. Jeden był napisany po japońsku, miał osiem stron i rzekomo pochodził od „znajomego” Lucie, który spotkał ją „w pewnym miejscu”. Stwierdzał, że Lucie cierpiała na schizofrenię i rozszczepienie osobowości oraz że miała ogromne długi, które spłacała, pracując jako prostytutka. „To nie było porwanie – wykorzystywała mężczyzn”, cedził nadawca. Komisarz Udo dysponował odciskami palców podejrzanego, które zostały pobrane podczas aresztowania z powodu incydentu w publicznej toalecie, jednak na listach ani na kopertach nie znaleziono żadnych odcisków.

Na początku października poczta dostarczyła na komisariat Azabu wyjątkowo grubą kopertę. Zawierała ona plik banknotów o nominale 10 000 jenów – w sumie była to kwota rzędu 1 187 000 jenów. W treści dołączonego listu, ponownie podpisanego przez „Lucie”, można było przeczytać, że są to pieniądze przeznaczone na spłatę jej zadłużenia w wysokości 7418 funtów (około 11 000 dolarów). Padło również oświadczenie, iż z powodu długów Lucie postanowiła zniknąć na jakiś czas i że w końcu wyjedzie z Japonii. Pieniądze wierzycielom miała przekazać Sophie, Lucie zaś – niezależnie od tego, ile plakatów z jej zdjęciem rozprowadzono – zamierzała uciec do miejsca, gdzie nikt nie będzie jej znał.

Pomimo że dokładano wszelkich starań, aby nie spuszczać z oka podejrzanego, policji nie udało się zaobserwować chwili, gdy podejmował on pieniądze z banku ani gdy nadawał któryś z listów. Odnotowano jednak

niepokojące zdarzenie: 1 października mężczyzna zakupił łódź.

Była to łódź rybacka Yamaha o długości sześciu metrów z kadłubem z włókna szklanego. Podejrzany nabył ją za 3 500 000 jenów – około 33 000 dolarów – w salonie sprzedaży w Jokohamie. Łódź dostarczono do przystani Seabornia położonej w odległości kilkuset metrów od Blue Sea Aburatsubo po drugiej stronie zatoki. Kilka dni później podejrzany udał się do sklepu z akcesoriami żeglarskimi w Seabornii, gdzie kupił kompas i linę kotwiczną. Kierownikowi sklepu Hideowi Kawaguchiemu powiedział, że musi zakotwiczyć w miejscu, gdzie jest bardzo głęboko, i że będzie potrzebował 900 metrów liny.

– W zatoce Sagami jest jedno miejsce głębokie na 900 metrów – wspominał pan Kawaguchi – ale bardzo trudno spuścić kotwicę na taką głębokość. Tłumaczyłem mu, że będzie potrzebował bardzo ciężkiej kotwicy i że trzeba będzie połączyć dwie długie liny. Odpowiedział, że jest bardzo doświadczony, ale nie uwierzyłem mu, ponieważ doświadczony żeglarz nie poprosiłby o taką długą linę.

Większość klientów sklepu żeglarskiego nosiła krótkie spodnie i sandały, ale ten mężczyzna ubrany był w prążkowany garnitur, krawat i czarne skórzane buty.

– Wydawał mi się trochę dziwny – opowiadał pan Kawaguchi. – Dziwnie się zachowywał i bardzo się pocił.

Dziesięć minut po tym, jak wyszedł ze sklepu, pojawili się w nim śledczy, którzy wypytywali o szczegóły rozmowy oraz ostrzegli obsługę, żeby nie rozmawiali z nikim o dziwnym kliencie.

Komisarz Udo musiał nagle przemyśleć wiele spraw. Z jakiego powodu podejrzany chciał kupić łódź? Sezon żeglarski dobiegał końca, a do tego mężczyzna nigdy wcześniej nie wydawał się zainteresowany morzem. Rozmowa o linie kotwicznej i zatoce Sagami nasuwała tylko jedną

odpowiedź: podejrzany chciał się czegoś pozbyć i zamierzał to ukryć na dnie oceanu.

Terminy wypłynięcia poszczególnych jednostek musiały być zgłaszane wcześniej komandorowi przystani, któremu policjanci również złożyli dyskretną wizytę. W następnym tygodniu komandor poinformował ich, że obserwowany przez nich mężczyzna zamierza wypłynąć w czwartek, 12 października.

– Przypuszczaliśmy, że musi gdzieś przechowywać ciało Lucie i że planuje się go pozbyć – opowiadał Udo. – Przygotowaliśmy więc wszystko, aby aresztować go tamtego ranka. – Tokijskie Biuro Prokuratora Krajowego szybko uzyskało nakaz aresztowania: nie na podstawie oskarżenia o uprowadzenie Lucie, ale o gwałt na jednej z innych hostess.

Podejrzany spędził noc z 11 na 12 października w jednym ze swoich mieszkań w Tokio, w kawalerce oddalonej o dziesięć minut spaceru od skrzyżowania Roppongi. Przeprowadzenie aresztowania zaplanowano na wczesne godziny ranne. Wszystko było gotowe, gdy komisarz Udo wieczorem kładł się spać.

O godzinie trzeciej w nocy obudził go telefon od japońskiego dziennikarza. „The Yomiuri Shimbun”, gazeta sprzedająca się w największym w Japonii – oraz na całym świecie – nakładzie, zamierzała na pierwszej stronie porannego wydania zamieścić artykuł, w którym donosiła o rychłym aresztowaniu mężczyzny podejrzanego o udział w uprowadzeniu Lucie Blackman.

– Wiedziałem, że telewizja podchwyci temat i również poda tę informację – opowiadał Udo. – Musieliśmy podjąć działania, zanim podejrzany zdąży obejrzeć poranne wiadomości. – Nie obawiano się, że mężczyzna może uciec, ponieważ w tamtym czasie prowadzono już obserwację na wielką skalę. Lękano się, że gdy podejrzany zorientuje się, iż

czeka go aresztowanie, popełni samobójstwo.

O godzinie szóstej rano funkcjonariusze obserwujący dom mieszkalny zobaczyli, że mężczyzna opuszcza budynek, udaje się do sklepu spożywczego, który znajdował się na rogu, po czym wychodzi z niego z plikiem gazet. W tym momencie został otoczony i aresztowany pod zarzutem uprowadzenia i dokonania czynu lubieżnego na Clarze Mendez 31 maja 1996 roku. Gazety jeszcze tego samego dnia ujawniły jego tożsamość: Joji Obara, czterdziestoosmioletni biznesmen i prezes.

– Gdy funkcjonariusze dokonujący zatrzymania zwrócili się do niego, zaczął drżeć – opowiadał Udo – i oblał się potem.

⁶¹ Pod imionami Clara, Isobel, Charmaine, Ronia, Katie, Lana i Tania kryją się kobiety, których wypowiedzi przytaczam na podstawie przeprowadzonych z nimi rozmów oraz dokumentów sądowych. Ich imiona, a w niektórych wypadkach również narodowości, zostały zmienione.

⁶² Relacja „Katie Vickers” została przytoczona na podstawie rozmowy z „Kaiem Miyazawą”; mowy wstępnej tokijskiego oskarżyciela publicznego, grudzień 2000; oraz korespondencji z „Katie Vickers”.

⁶³ Rozmowa z Toshiakim Udo; *Alleged Rapist of Foreigners Fined for Obscenity in 1998*, „Kyodo News”, 30 października 2000; Rushii jiken shinritsu kyumeihan, *Rushii jiken shinritsu* (Zespół szukający prawdy na temat sprawy Lucie, *The Truth About the Lucie Case*), Tokyo 2007, s. 757.

⁶⁴ Mowa wstępna dotycząca dodatkowego aktu oskarżenia wniesionego przed Tokijski Sąd Okręgowy, 27 kwietnia 2001. We fragmencie, na który się powołuję, można przeczytać: „Oskarżony był uprzednio notowany za naruszenie Ustawy o drobnych wykroczeniach poprzez zaglądnienie do toalet damskich oraz poprzez podglądanie kobiety korzystającej z toalety publicznej i nagrywanie jej na kamerę ręczną 12 października 1998 roku, za który to incydent został skazany na grzywnę w wysokości 9000 jenów”.

⁶⁵ Zeznanie złożone przez Naokiego Haradę w Tokijskim Sądzie Okręgowym, 25 grudnia 2003; R.L. Parry, *Blackman Suspect Had Her Severed Head, Say Police*, „The

Times”, 26 grudnia 2003.

CZĘŚĆ CZWARTA

OBARA



ROZDZIAŁ 14

SŁABI I SILNI

ZALEDWIE KILKA ZDJĘĆ JOJIEGO OBARY dotarło do opinii publicznej i żadne z nich nie miało mniej niż trzydzieści lat.

Wszystkie, prócz jednego, pochodziły z lat szkolnych. Przedstawiały młodego mężczyznę o delikatnych, niemal kobiecych rysach twarzy i nieśmiałym, skromnym uśmiechu, ubranego w typowy dla japońskich uczniów czarny mundur z wysokim stojącym kołnierzykiem. Włosy miał krótko ścięte i starannie uczesane, z przedziałkiem po prawej stronie. Na jednym ze zdjęć nie patrzył w obiektyw i przygryzał dolną wargę, jak gdyby był napięty i rozkojarzony. Wyglądał na łagodnego, wrażliwego, nieco dziecinnego chłopca. Najbardziej charakterystyczną cechą w jego wyglądzie były usta: pełne, mocno zarysowane, łukowato wygięte.

Na ostatniej fotografii, nieostrej i ziarnistej, widniał dwudziestokilkuletni mężczyzna w rozpiętej koszuli z szerokim kołnierzem, ukazującej częściowo obnażoną klatkę piersiową. Był szczuplejszy niż za czasów szkolnych, miał dłuższe, gęstsze włosy. Uśmiechał się śmiało i z za przeciwsłonecznych okularów patrzył prosto w obiektyw. Wyglądał, jak gdyby świadomie podkreślał swoją męskość; z jego pozy biła pewność siebie, wręcz arogancja. Większość opisanych ujęć została wycięta i powiększona ze zdjęć grupowych

wykonanych podczas oficjalnych uroczystości szkolnych. Zdjęcia zdobyli japońscy dziennikarze, docierając w ciągu kilku gorączkowych tygodni po aresztowaniu Obary do jego dawnych znajomych ze szkoły lub uniwersytetu. Jednak po ostatniej fotografii, która najpewniej pochodziła z połowy lat siedemdziesiątych, nie znaleziono nic.

Mówiono, że jego matka, kobieta w podeszłym wieku, posiada jedno czy dwa zdjęcia syna⁶⁶. Joji Obara unikał fotografów⁶⁷ i poza zdjęciami wymaganymi do dokumentów, takich jak prawo jazdy czy paszport, stronił od obiektywów. Nawet w siedzibie Tokijskiej Policji Miejskiej, gdzie robiono mu zdjęcie policyjne, odwracał głowę i nie chciał pokazać twarzy.

Był typem „chomika”, który mnóstwo rzeczy gromadzi, zbiera, zapisuje. Prowadził pamiętnik, robił pełno notatek i rzadko cokolwiek wyrzucał. Nawyk ten stał się dla niego obciążający – gdyby nie bezładne archiwa znalezione w mieszkaniach Jojiego Obary, policja nigdy nie zdołałaby postawić mu zarzutów. Niemniej po świecie zewnętrznym poruszał się, a przynajmniej starał się poruszać tak, aby nie zostawić po sobie najmniejszego śladu. Wydaje się, że ów sposób bycia stanowił cechę dziedziczną.

Jego przeszłość, nawet całkiem niedawna, była niejasna i niewyraźna. Trzeba było wpatrywać się w nią długo i intensywnie (a ja wpatrywałem się w nią wiele miesięcy), aby rozróżnić kształty i postacie: jakiś rys twarzy wydobyty z ciemności dzięki krótkiemu rozbłyskowi światła, jakiś strzęp rozmowy. Trudno jednak było nazwać to, co poruszało się w tle, zatopione w mroku.

Joji Obara nie zawsze był Jojim Obarą. Urodził się 10 sierpnia 1952 roku w mieście Osaka. W następnym miesiącu ojciec zgłosił w urzędzie narodziny syna i nadał mu imię zapisane trzema znakami, które z osobna oznaczały

Złoty Gwiazdny Dzwonek. Po japońsku odczytywano je „Seishō Kin”, ale rodzicami dziecka byli państwo Kim, którzy swoje dziecko nazywali Sung Jong. Czasami, kiedy im to pasowało, rodzice używali również japońskiego nazwiska Hoshiyama. Kim Sung Jong/Seishō Kin/Seishō Hoshiyama rozpoczął zatem życie z potrójną tożsamością, co w pewien sposób odpowiadało jego dalszym losom.

Państwo Kim-Kin-Hoshiyama należeli do grupy etnicznej zwanej Zainichi Chosenjin, w skrócie Zainichi, tworzonej przez rdzennych Koreańczyków mieszkających w Japonii. W 2000 roku, kiedy Lucie Blackman przyjechała do Tokio, społeczność ta liczyła dziewięćset tysięcy osób, jednak można było przebywać w Japonii wiele lat i nawet nie zdawać sobie sprawy z ich istnienia. Byli mniejszością etniczną w kraju, który przedstawiał się jako państwo całkowicie jednolite i pozbawione podziałów rasowych. Ich pochodzenie stanowiło efekt uboczny politycznych burz przetaczających się przez Azję na początku XX wieku.

Sąsiadująca z potężnymi i agresywnymi mocarstwami Korea od setek lat stawiała czoła najeźdźcom. Już w XVI wieku⁶⁸ armie samurajów plądrowały półwysep, wracając przez Cieśninę Cuszimską ze skarbami, niewolnikami i poodcinanymi uszami zabitych koreańskich wojowników. Pod koniec XIX wieku Japonia ponownie zaczęła podbijać Koreę; w 1910 roku oficjalnie włączono ją w tworzące się Cesarstwo Japońskie. Zaczęto budować drogi, porty, linie kolejowe, kopalnie i fabryki, wprowadzać nowoczesne metody uprawy ziemi i posyłać dzieci koreańskiej elity do szkół w Tokio. Jednak pozytywne aspekty japońskiej dominacji przejawiające się przede wszystkim w rozwoju gospodarczym przysłały takie zjawiska jak rasizm ze strony kolonizatorów oraz stosowane przez nich środki przymusu i przemoc.

Polityka władz japońskich z czasem uległa zmianie. Jednak do końca lat trzydziestych XX wieku jej celem było nie tylko utrzymanie kontroli nad

Koreańczykami oraz eksploatowanie ich zasobów naturalnych, ale również wykorzenienie ich kultury i skolonizowanie umysłów. W szkołach obowiązywał język japoński, uczniów zmuszano do modlitwy w chramach Jinja – miejscach kultu japońskiej religii shintō – a wszystkich Koreańczyków zachęcano, żeby przyjmowali japońskie imiona. Sporadyczne powstania szybko tłumiono masowymi aresztami, torturami i zabójstwami. Doszło również do olbrzymiej i nierównej wymiany zasobów ludzkich: przywożono japońskich urzędników i osadników, którzy mieli zasiedlić nowe tereny i nimi rządzić, natomiast ubogich Koreańczyków transportowano w przeciwnym kierunku, do przemysłowych miast, takich jak Tokio, Osaka i Fukuoka, gdzie mogli znaleźć pracę.

Początkowo przepływ ludności następował dobrowolnie, jednak w chwili gdy szala zwycięstwa w wojnie o Pacyfik zaczęła się przechylać na niekorzyść Japonii, mieszkańców kolonii zaczęto przymusowo wcielać do armii oraz zmuszać do pracy w przemyśle. W 1945 roku setki tysięcy Koreańczyków stacjonowało w różnych zakątkach Azji razem z japońskim wojskiem, w którym służyli jako żołnierze, ordynansi oraz wartownicy, natomiast kobietom przypadła rola niewolnic seksualnych (zwano je „pocieszycielkami”, a ich istnieniu oficjalnie zaprzeczano ponad pięćdziesiąt lat). W samej Japonii mieszkało dwa miliony Zainichi, większość w gettach położonych nieopodal kopalń i fabryk, w których pracowali. Obłudę japońskiej polityki kolonizacyjnej obnażył między innymi właśnie ten nagły wzrost populacji imigrantów na terenie Japonii.

Władze cesarstwa zmierzały do całkowitej asymilacji Koreańczyków, których język i kultura miały zostać wchłonięte. Jednak podczas gdy z jednej strony dążono do wymazania ich tożsamości narodowej, z drugiej wzbraniano się przed nadaniem im przywilejów i statusu, którymi cieszyli się rodowici Japończycy.

Byli poddanymi cesarza, ale nigdy pełnoprawnymi obywatelami. Mieli ograniczone prawo głosu i reprezentacji w parlamencie. Poziom umiejętności czytania i pisania oraz higieny wśród Koreańczyków mieszkających w gettach Osaki i Kawasaki był niższy niż wśród rdzennych Japończyków. Godzili się pracować za o wiele mniejsze pieniądze, przez co znienawidziło ich wielu japońskich robotników, których wynagrodzenia również obniżano. Na co dzień spotykali się z dyskryminacją i pogardą utrudniającymi im dostęp do edukacji, lepszych miejsc pracy oraz polityki.

Wielu Japończyków traktowało ich z niechęcią ocierającą się o obrzydzenie. Uważano ich za naród wybuchowy, uparty i kłótlivy, za brudnych, cuchnących ludzi spożywających ohydne jedzenie. Można dyskutować, czy ktokolwiek potrafiłby odróżnić Japończyków od Koreańczyków, patrząc jedynie na ich twarze, bez wątpienia jednak przedstawiciele obu grup etnicznych inaczej mówili, poruszali się i różniły ich tysiące niuansów w sposobie bycia. Przede wszystkim Koreańczykom brakowało wrodzonej rezerwy i szacunku dla władzy, który do dziś w sposób szczególny charakteryzuje Japończyków. Gazety skwapliwie donosiły o przestępstwach popełnionych przez „buntowniczych” Koreańczyków, którzy nawet przyłapani na gorącym uczynku, nigdy nie chcieli przyznać się do winy. W najlepszym razie uznawano ich za nieprzyjemnych awanturników, w najgorszym – za agresywnych i wywrotowych przestępców. Uprzedzenia i napięcia tego typu nie zawsze wyraźnie rzucały się w oczy, ale zwykle czały się tuż pod powierzchnią i kiedy w końcu dochodziły do głosu, wybuchały z ogromną siłą.

W 1923 roku potężne trzęsienie ziemi zniszczyło Tokio i sąsiednią Jokohamę; w pożarach, które strawiły drewniane miasta, zginęło 140 tysięcy osób. W następstwie tych wydarzeń w zszokowanym społeczeństwie zaczęły krążyć pogłoski – powtarzane przez japońskie gazety – że to Koreańczycy

wzniecali pożary, zatrawali studnie, wywoływali zamieszki, gwałcili kobiety i plądrowali sklepy. Nie było żadnych podstaw, aby dawać wiarę tym plotkom, a mimo to w następnych dniach tysiące Koreańczyków zostało zamordowanych przez tłumy zwykłych Japończyków, którzy pod wpływem hysterii dopuszczali się aktów przemocy.

– Kiedy kogoś schwyтали, wołali: „Koreańczyk!”⁶⁹ – czytamy w jednej z relacji opisującej zdarzenia z tamtego okresu.

Przybiegło wielu Japończyków, otoczyli ofiarę. Przywiązali ją do słupa telegraficznego, wydłubali oczy, odcięli nos, rozpruli brzuch i wyjęli narządy wewnętrzne. Czasami przywiązywali Koreańczyków za szyję do samochodu i ciągnęli ich, dopóki się nie udusili. Łapali też kobiety, chwyтали je za nogi, ciągnęli w przeciwnych kierunkach i rozrywali ich ciała na pół. Koreańczycy opierali się do końca, błagali i zaklinali się, że są niewinni. Ale tłum nigdy nie słuchał.

Dwa lub trzy lata po tych zdarzeniach w pobliżu portowego miasta Pusan⁷⁰ na terenie obecnej Korei Południowej na świat przyszli rodzice Jojiego Obaru.

W Japonii uważa się, że odpowiedzialność za przestępstwo ponosi nie tylko przestępca – w pewnym sensie wina leży również po stronie rodziny. Być może nie z prawnego, ale z moralnego punktu widzenia najbliższe otoczenie także odpowiada za wyrządzone zło – stąd niezwykle często powtarzające się w Japonii widowisko, podczas którego rodzice winowajcy (czasami jego rodzeństwo, nauczyciele ze szkoły, a nawet pracodawcy) biją pokłony przed kamerami i płaczącymi głosami przepraszają za czyny, na które nie mieli wpływu. Dlatego w ciągu kilku godzin po aresztowaniu Obaru japońscy dziennikarze prześcigali się w dotarciu do jego miejsca pochodzenia i do jego krewnych.

Szybko ustalono podstawowe fakty – imię i nazwisko, wiek oraz zawód. Jednak w tym miejscu przepływ informacji się kończył. Parę lat później poświęciłem kilka tygodni na zbadanie przeszłości Obary. Rozmawiałem z dziesiątkami japońskich dziennikarzy, starymi wygami pracującymi dla poważnych dzienników oraz wydawanych co tydzień brukowców, którzy spędzili w sumie wiele miesięcy, pracując nad tym zagadnieniem. Byli doświadczonymi reporterami śledczymi, mieli dużo czasu, odpowiednie środki i kontakty. Jednak zarówno moje, jak i ich wysiłki doprowadziły do zebrania zaledwie szczątkowych informacji.

– W większości spraw karnych – powiedział mi pewien reporter prasowy – nawet jeśli nie uzyska się nic od rodziny, to przynajmniej ludzie z otoczenia są chętni do rozmowy: znajomi, sąsiedzi, koledzy z pracy. Jednak w wypadku Obary nie było prawie nic.

Jego ojciec nazywał się Kim Kyo Hak, a matka Chun Ok Su. Przed wojną wyemigrowali do Japonii⁷¹ nie pod przymusem, ale z własnej woli. Według jednego z synów⁷² Kim Kyo Hak spędził w więzieniu dwa i pół roku za opór stawiany Japończykom, chociaż gdzie, kiedy i jak dokładnie się to stało, nie wiadomo. Niemniej w 1945 roku mieszkał w Japonii i w niecałe dziesięć lat z pozbawionego praw obywatelskich imigranta stał się jednym z najbogatszych ludzi w drugim co do wielkości japońskim mieście.

Tuż po wojnie Japonia pogrążyła się w ubóstwie i chaosie, ale dla Koreańczyków był to okres, w którym otworzyły się przed nimi niespotykane możliwości i w którym nabrali pewności siebie. Nietrudno sobie wyobrazić ogromną, wręcz gwałtowną euforię, jaka ich ogarnęła: po trzydziestu pięciu latach pogardzani przez większość i traktowani jak obywatele drugiej kategorii Zainichi nagle stanęli u boku zwycięzców, byli wolnymi ludźmi w samym sercu pokonanego państwa. Osaka, jak prawie wszystkie inne miasta, została w znacznej mierze zniszczona podczas alianckich

bombardowań. Tytuły własności do nieruchomości zostały utracone na zawsze; w zamieszaniu, które nastąpiło, wystarczyły argumenty siłowe do przejęcia ziemi na własność i uzyskania niepodważalnego prawa własności. Na gruzach miast kwitł czarny rynek zdominowany z jednej strony przez japońską jakuzę, z drugiej zaś przez tak zwanych Sangokujin, czyli „ludzi z krajów trzecich” – nowo wyzwolonych obywateli byłych kolonii. Rozpoczęły się brutalne wojny gangów o wpływy na konkretnych terytoriach. Policja przyglądała się bezradnie armiom gangsterów toczących zaciętą walkę z setkami Koreańczyków, Tajwańczyków i Chińczyków. Wielu Zainichi po wyzwoleniu spiesznie wróciło do Korei, jednak panowały tam warunki równie nędzne i beznadziejne jak w Japonii. Ci, którzy zostali w Japonii, po pierwszej fali uniesienia spowodowanego zwycięstwem dość szybko musieli skonfrontować się z rzeczywistością. W dalszym ciągu byli biedni, znajdowali się na samym dole drabiny społecznej i nieustannie padali ofiarą uprzedzeń. Na dodatek po porażce cesarstwa i wyzwoleniu Korei stracili podstawowe prawa przysługujące im jako pochodzącym z kolonii poddanych i stali się typowymi cudzoziemcami.

Zainichi zrzeszyli się w dwóch organizacjach: Mindan, związanej z prawicową, popieraną przez Amerykanów dyktaturą panującą na południu Korei, oraz w Chōsen Sōren, lojalnej wobec komunistów z północy. W 1950 roku południowa i północna część Korei – przy wsparciu odpowiednio Stanów Zjednoczonych i Chin – wdały się w trzyletnią wojnę, która po raz kolejny spustoszyła półwysep i doprowadziła do skrajnego ubóstwa. Tragedia wojny koreańskiej wyszła jednak na dobre Japonii, ponieważ zapotrzebowanie amerykańskiej armii na stal, mundury i żywność pobudziło japońską gospodarkę do życia.

W 1952 roku, gdy Joji Obara urodził się i został nazwany Kim Sung Jong, jego ojciec, Kim Kyo Hak, był bogaty. Trudno dokładnie określić,

w jaki sposób dorobił się majątku, jednak możliwości człowieka w jego sytuacji były dość ograniczone. Żadna duża czy szanująca się firma nie przyjęłaby do pracy Koreańczyka na stanowisko inne niż pracownik fizyczny; żaden japoński bank nie pożyczyłby mu pieniędzy. Oprócz nieruchomości Kim Kyo Hak posiadał przynajmniej trzy różne źródła dochodu: parkingi, przedsiębiorstwo taksówkowe oraz automat do pachinko – typowo japońskiej gry przypominającej ustawiony pionowo pinball i będącej jedną z nowych form hazardu tolerowanych przez prawo. Wspólną cechą tych wszystkich przedsięwzięć było to, że nie wymagały one dużych inwestycji. Aby otworzyć sklep czy restaurację, należało mieć lokal, personel i towar. Wystarczyło jednak nabyć niezabudowaną działkę, samochód albo automat do pachinko i można było od razu zacząć zarabiać. Interesy te zapewniały stały, codzienny dopływ gotówki, którą przeznaczano się na życie lub reinwestycje (kupno kolejnego samochodu, drugiego automatu). Jednak nawet tak proste działalności nie istniały w próżni.

Ci, którym udało się wygrać w pachinko, otrzymywali nie pieniądze, ale nagrody takie jak papierosy czy talony, które można było zanieść do pobliskiego, nierzucającego się w oczy okienka i wymieniać na gotówkę – tym sposobem salony gier omijały prawny zakaz uprawiania hazardu. Okienka obsługiwali ludzie jakuzi pobierający odpowiednią prowizję. Gangi utrzymywały również porządek na rynku, „rozwiązywały” spory dotyczące nieruchomości, pomagały eksmitować niepożądanych lokatorów, udzielały pożyczek i wyrażały zgodę, aby ten czy inny interes mógł być prowadzony na danym terenie – oczywiście wszystko za odpowiednią opłatą. Jakuzi zawsze stanowiła schronienie dla tych, którzy nie mieli się gdzie podziać, dla ubogich, wyrzutków i ludzi z marginesu społecznego. Koreańczycy cieszyli się wpływami w potężnych japońskich gangach – Yamaguchi-gumi w Osace i Kobe oraz Sumiyoshi-kai w Tokio – a do tego istniały typowo koreańskie

organizacje przestępcze, na przykład znane z brutalności Yamagawa-gumi czy Meiyu-kai, które ochraniały sklepy i getta Zainichi.

Nie istnieją dowody na to, aby Kim Kyo Hak należał do jakuzy lub brał czynny udział w zorganizowanej przestępczości. Nie był karany sądowo⁷³. Jednak wiele osób o tym samym pochodzeniu, mieszkających w tamtych czasach w podobnym środowisku i prowadzących tego typu interesy bardzo często utrzymywało kontakty z grupami przestępczymi.

– To było nieuniknione – stwierdził Manabu Miyazaki, dziennikarz i syn jednego z szefów jakuzy. – Koreańczyk Zainichi musiał nawiązać współpracę z jakuzą, jeśli chciał, aby jego interes prosperował.

– Najbardziej powiodło mu się z taksówkami – powiedział mieszkający w Osace Koreańczyk, który pamiętał Kim Kyo Haka. – I z automatami do pachinko. Był ujmujący, towarzyski, rozmowny. Dość otyły i niezbyt wysoki. Zawsze nosił przydużą marynarkę. Jeździł bardzo drogimi samochodami. Zaczynał od stoiska na bazarze.

To wszystko opowiedział mi pięćdziesięciokilkuletni, szanowany urzędnik, wybitny w swojej dziedzinie, kształcony za granicą i posiadający wspaniały zbiór płyt z muzyką klasyczną. Jego ojciec, podobnie jak ojciec Jojiego Obaru, był imigrantem z Korei i mężczyzna uśmiechał się, gdy wspominał, jak swego czasu rodzic zarabiał na życie i utrzymanie rodziny, kupując końskie mięso w rzeźni działającej przy amerykańskiej armii i sprzedawał je jako wołowinę.

Tych, którym udało się odnieść sukces w getcie Zainichi, cechowała podobna przedsiębiorczość i zdolność do wykorzystywania nadarzających się okazji. Ludzie pamiętający pierwsze powojenne dziesięciolecie wspominają niewiarygodne ubóstwo i brak jedzenia (zdarzało się, że dorośli umierali z głodu), jednak z drugiej strony mówią o braterstwie i poczuciu wspólnoty

rzadko spotykanych w czasach dobrobytu oraz o charakterystycznym czarnym, wisielczym humorze. Rodzina Kimów mieszkała w Osace w dzielnicy Abeno-ku z drewnianymi domami upakowanymi ciasno jeden obok drugiego wzdłuż wąskich alejek odchodzących od ulic ze sklepami i straganami. Było to niebezpieczne, hałaśliwe, tętniące życiem miejsce; jeden z należących do Kima salonów gier pachinko mieścił się tuż za rogiem. Jednak zanim Joji Obara skończył dwa lata, jego rodzina przeprowadziła się do dzielnicy położonej niecałe dwa kilometry na południe, ale pod względem statusu i prestiżu oddalonej o lata świetlne od getta Zainichi.

W tej nieskazitelnie czystej dzielnicy, zwanej Kitabatake, królowały duże, milczące domy otoczone ogrodami i oddzielone murami. Należały do najzamożniejszych i najszacowniejszych obywateli Osaki, ludzi dobrze urodzonych i wychowanych. Mimo że osoby te z pewnością były zaskoczone nowym sąsiedztwem, nie pozwoliłyby sobie na jawne okazywanie uprzedzeń rasowych. Jednak imigranci z Korei mieszkający w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku w podobnym rejonie nie mogli nie zauważyć tego, jak bardzo się różnili od reszty otoczenia.

Przenosząc się na nowe miejsce, państwo Kim odłączyli się od koreańskiej społeczności. Być może jednak oderwanie to nastąpiłoby tak czy inaczej. Kim Kyo Hak stał się jednym z najbogatszych ludzi w Osace – tymczasem po latach prawie nikt o nim nie pamiętał. Podobnie jak w przyszłości jego syn Kim Kyo Hak szedł przez życie w taki sposób, aby nie zostawiać po sobie śladu.

Po wojnie podzielił los wszystkich innych Zainichi i został zmuszony do wybrania narodowości. Zdecydował się na Koreę Południową. Przynależność do założonych na terenie Japonii, rywalizujących ze sobą organizacji Mindan oraz Chōsen Sōren miała kluczowe znaczenie dla wielu Koreańczyków. Działalność obu ruchów nosiła znamiona klubów towarzyskich, szkół oraz

centrów życia kulturalnego, dzięki którym nawiązywano znajomości i kontakty. Stowarzyszone z organizacjami spółdzielcze kasy pożyczkowe udzielały kredytów biznesmenom, którym japońskie banki nie chciały pożyczyć pieniędzy. Jednak, co wydaje się dość niezwykle, pan Kim nie należał do żadnego z tych ruchów.

Na olbrzymiej bramie wjazdowej do posiadłości w Kitabatake widniało nazwisko Kim. Niemniej rodzina posługiwała się również nazwiskiem Hoshiyama. Koreańczycy często przybierali nową tożsamość, chcąc się wpasować, uchodzić za Japończyków, ponieważ wiązało się to z różnymi korzyściami. Starania te wszakże nierzadko przynosiły efekt przeciwny do zamierzonego, gdyż wybierane przez nich nazwiska nadal świadczyły o tym, jakiego są pochodzenia. Bardzo wielu Zainichi nazywało się właśnie Hoshiyama. Zainichi zdawali sobie z tego sprawę, ale mimo wszystko decydowali się na taką formę, manifestując w ten sposób swoją dumę i honor oraz ból wynikający z konieczności zrezygnowania ze swojej tożsamości narodowej.

– W tamtym okresie zaczęła się tworzyć przepaść między bogatymi i biednymi Koreańczykami – powiedział Manabu Miyazaki. – Społeczeństwo było rozdarte między dwiema skrajnościami. Ludziom takim jak Obara i jego rodzina poszczęściło się pod tym względem. Wierzyli w przyszłość, w brak dyskryminacji. Jednak w społeczeństwie japońskim nie tak łatwo przewyciężyć uprzedzenia. Japończycy zawsze chcieli izolować się od innych, utrzymać swoją odrębność. U Koreańczyków, którzy pragnęli równości, to poczucie odrębności wywoływało wściekłość.

– Pierwsze pokolenie ogromnie szanowało swoje koreańskie korzenie – opowiadał mężczyzna, którego ojciec sprzedawał koninę. – Niektórzy spośród nich odnieśli sukces w interesach, były to charyzmatyczne

osobowości, które zbudowały własne imperia. Nie znaleźli zatrudnienia w głównym nurcie japońskiego rynku pracy z powodu uprzedzeń rasowych, a kiedy spotykali się z dyskryminacją, zawsze zadawali sobie pytanie, skąd ona się bierze. Doszli do wniosku, że jej powodem jest brak wykształcenia. Nie otrzymali porządnego wykształcenia – mój ojciec na przykład skończył zaledwie szkołę podstawową. Dlatego chcieli, żeby ich dzieci były lepiej wyedukowane od nich.

Po aresztowaniu Joji Obara odmawiał odpowiedzi na wszelkie pytania związane z dzieciństwem i rodziną. Jednak dziwna książka⁷⁴, którą sześć lat później udostępnił jego prawnik i która najprawdopodobniej została podyktowana przez Obarę, szczegółowo opisuje coś, co Obara nazwał „specjalnym nauczaniem dla uzdolnionych”. Indywidualne nauczanie rozpoczął już we wczesnym dzieciństwie. W świetle tego, że brakuje wielu informacji na temat jego rodziny, wymowny staje się już sam fakt, iż zachowały się dowody na to, jak duży nacisk kładli państwo Kim na edukację swoich dzieci od najmłodszych lat.

– Mój ojciec spędził w więzieniu dwa i pół roku – powiedział mi młodszy brat Obary podczas naszego jedyne, osobliwego spotkania. – Był w ruchu oporu, walczył z Japończykami. Ale jedyną rzeczą, za którą mogę go winić, jest to, że nie miał czasu zajmować się rodziną. Zawsze jednak mówił, jak bardzo ważne jest wykształcenie.

Dwa lata przed rozpoczęciem nauki w szkole podstawowej Kim Sung Jong został wysłany do rzymskokatolickiego przedszkola, a codziennie po powrocie do domu na chłopca czekało trzech korepetytorów. W książce można przeczytać, że lekcje gry na skrzypcach i pianinie zaczął pobierać: „w wieku trzech lat i dziesięciu miesięcy”. W soboty lekcje muzyki trwały od obiadu do wieczora, później zaś chłopiec przez godzinę grał z orkiestrą. W niedzielę rano i po południu odbywały się korepetycje.

„Brak wolnego czasu był czymś strasznym – głosi napisana w trzeciej osobie książka. – [Obara] specjalnie udawał, że nie warto go nauczać, aby uciec przed tą męką. – Pisał w zeszycie lewą ręką zamiast prawą, żeby charakter pisma był brzydszy, a podczas sprawdzianów zaczynał odpowiadać na pytania dopiero, gdy czas na rozwiązanie testu dobiegał końca. W książce sytuacja ta została skwitowana intrygującym zdaniem: – Szukał wyzwolenia poprzez upokorzenie”.

W wieku sześciu lat zaczął uczęszczać do słynnej szkoły związanej z Uniwersytetem Pedagogicznym w Osace, jednej z najlepszych w kraju. Była to placówka świadomie kreowana na elitarną i wzorowana na brytyjskich szkołach prywatnych⁷⁵. W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku trzon kadry pedagogicznej stanowili byli oficerowie rozformowanej Cesarskiej Armii i Marynarki Wojennej i rodzice należący do wyższej klasy średniej – lekarze, prawnicy i biznesmeni – rywalizowali ze sobą, aby zapisać dzieci właśnie do tej placówki.

W szkole Kim Sung Jong występował jako Seishō Kin. Mężczyzna, który uczył się z nim w tej samej klasie, pamiętał, jak się siłowali i grali w baseball.

– Był wtedy silnym chłopakiem, jednym z większych – opowiadał. – Do tej samej szkoły chodził jego starszy brat i pamiętam, że odwiedzałem ich w domu w Kitabatake i że ich matka była dla mnie bardzo miła. Był prawdziwym Koreańczykiem. Szybko wpadał w złość, miał porywczy charakter. I bardzo intensywne spojrzenie. Widać było siłę w jego oczach. Ale nie można powiedzieć, żeby wszyscy go lubili.

Inny kolega ze szkolnej ławy również grywał w baseball z Seishō Kinem.

– Zawsze chciał być miotaczem – wspominał. – Ale wcale nie rzucał ani bardzo silnie, ani precyzyjnie. Zawsze chciał się popisać, ale jego umiejętności nie dorównywały ambicji. Nie pamiętam, żeby jako dziecko śmiał się radośnie. Robił wszystko po swojemu, nie zwracając uwagi na

innych. Myślę, że zbudował mur między sobą a światem. Z kolegami łączył go bardzo powierzchowny kontakt albo w ogóle żaden. Gdyby ktoś mnie teraz zapytał, nie potrafiłbym odpowiedzieć, z kim się przyjaźnił.

Rozmowy te przeprowadzałem pięćdziesiąt lat później, parę lat po arestowaniu Jojiego Obary i oskarżeniu go o kilka poważnych przestępstw. Nie powinno być zatem zaskakujące, niemniej wydaje się dość znamienne to, że żadna z dziesięciu osób, do których udało mi się dotrzeć i które znały Seishō Kina w dzieciństwie, nie uznała go za swojego przyjaciela ani też nie pamiętała nikogo, kto określiłby go tym mianem.

Seishō był drugim z czwórki braci, dziesięć lat starszym od Kōshō, najmłodszego brata, i sześć od trzeciego z kolei, Eishō. Najstarszy z rodzeństwa był Sōshō, który urodził się w 1948 roku. W tradycyjnej rodzinie koreańskiej to pierworodny syn napawał rodziców największą dumą, a jednocześnie musiał się zmierzyć z ciężarem oczekiwań, które wobec niego mieli. Jednak Sōshō Kin borykał się z pewnymi problemami.

Jednym z jego szkolnych kolegów był Shingō Nishimura, który w przyszłości został posłem w Izbie Radców japońskiego parlamentu. Nishimura należał do nacjonalistycznego prawicowego ugrupowania, był ultrakonserwatystą, który uważał, że Japończycy powinni się nie wstydzić wojny o Pacyfik, ale chlubić tą kartą historii, oraz że Japonia powinna przygotować się do przyszłych konfliktów w Azji i uzbroić w broń jądrową. Ludzie o tego typu poglądach stanowią odosobnioną, ale hałaśliwą mniejszość w Japonii; w rzeczywistości niezwykle rzadko się zdarza, aby ktoś z nich został wybrany do parlamentu. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu szowinizm Shingō Nishimury rzutował na jego wspomnienia z dzieciństwa, wydawało się jednak, że mówi o Sōshō Kinie ze smutkiem i z sympatią.

Z pierwszych lat szkolnych zapamiętał miłego i zrównoważonego chłopca, który dobrze się odnajdywał w klasie pełnych temperamentu nastolatków.

– Jeśli ktoś mu dokuczał, podchodził do tego spokojnie i nie przejmował się tym – opowiadał Nishimura. – Widywałem go w różnych okolicznościach i zawsze wydawał mi się dość prostolinijny. – Wiedział, że ojciec Sōshō był niezwykle bogaty, że dorobił się na automatach pachinko i że rodzina kolegi mieszkała w najbogatszym rejonie Osaki. – Uznawano go za trochę innego od reszty, ale nie powiedziałbym, żeby się nad nim znęcano. Był naszym pupilkim. W gimnazjum naprawdę dało się go lubić. Kiedy jednak poszliśmy do liceum, on nagle się zmienił.

W przerwach między lekcjami Sōshō Kin podchodził do tablicy i kredą wypisywał na niej polityczne hasła wymierzone przeciwko Japonii i Japończykom.

– Pisał na przykład: „Precz z japońskim imperializmem!”, i opowiadał o tym, jak bardzo Japonia jest zła i Japończycy są źli, a Korea i Koreańczycy to ich ofiary – wspominał Nishimura. – Mówił, że śledzi go koreańska CIA – ciesząca się złą sławą agencja wywiadowcza, która często porywała i torturowała politycznych wrogów.

Działo się to w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, w czasach politycznego i społecznego niepokoju w Japonii i Korei obfitującego w strajki oraz demonstracje przeciwko japońsko-amerykańskiemu układowi o bezpieczeństwie i wojnie wietnamskiej. Jednak bogaci i rozpieszczeni uczniowie ekskluzywnej szkoły mogli mieć co najwyżej tyle wspólnego z lewicowymi ruchami, że również słuchali nagrań zbuntowanej amerykańskiej piosenkarki Joan Baez. Nikt nie brał haseł głoszonych przez Sōshō Kina poważnie.

– Pozostali po prostu patrzyli na niego i się śmiali – relacjonował

Nishimura. – Chłopaki mówili: „Ach! Znowu zaczyna”. Niektórzy pytali: „Jeśli ci się tu nie podoba, dlaczego nie wrócisz do siebie?”. Kiedy opowiadał te swoje historie, przyglądaliśmy się mu, jak gdyby był postacią z komiksu. Robił się strasznie poważny, a im poważniej wyglądał, tym mniej poważnie go traktowaliśmy.

Pod koniec szkoły średniej Sōshō Kin nagle przestał przychodzić na lekcje. Shingō Nishimura nigdy się nie dowiedział dlaczego. Krążyły plotki, że z powodu słabych wyników w nauce; później ktoś doniósł, że Sōshō wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Nishimura poszedł na Uniwersytet w Kioto i zdobył wykształcenie prawnicze, najtrudniejsze do zdobycia i cieszące się w Japonii największym prestiżem. Minęło dwadzieścia pięć lat i zupełnie zapomniał o dziwnym chłopcu Zainichi. Aż pewnego dnia w 1989 roku późnym wieczorem odebrał telefon.

Dzwonił Sōshō Kin i wydawał się przerażony. Twierdził, że musi natychmiast spotkać się z Nishimurą. Było już po północy, ale Nishimura mimo wszystko spieszenie się udał, po raz pierwszy w życiu, do posiadłości w Kitabatake. Otworzyła mu pokojówka; wydawało się, że poza nimi w domu nie ma nikogo. Sōshō powitał go w milczeniu, po czym wyjął notatnik i szybko zaczął w nim pisać.

– Nie odezwał się ani słowem – wspominał Nishimura. – Wszystko zapisywał. Napisał: „Podśluchują mnie, więc nie mogę mówić. Nawet w domu i w pociągu, cały czas mnie obserwują i śledzą”. Rozejrzałem się dokoła i pomyślałem, że to niemożliwe. Mieszkał sobie spokojnie w dużym domu, miał pokojówkę, która się nim zajmowała. Było oczywiste, że nikt go nie śledzi ani nie podsłuchuje, ale on gorąco w to wierzył. – Oprócz paranoicznych zwierzeń na temat nieustannie prowadzonej inwigilacji jego osoby Sōshō Kin niewiele napisał o pobycie w Stanach Zjednoczonych. – Odniosłem wrażenie, że był tam bardzo nieszczęśliwy, że musiała

doskwierać mu samotność – opowiadał Nishimura. – Niewiele o tym wspominał. Dowiedziałem się, że pewnego razu spał w namiocie na pustyni i zastrzelił grzechotnika.

Z nagryzmołonych w notatniku zdań nie wynikało jasno, czego Sōshō oczekuje od swojego dawnego kolegi ze szkoły. W końcu Nishimura postanowił więc wrócić do domu.

– Co miałem robić? – zastanawiał się. – Powiedziałem mu, że powinien się wyspać i odpocząć. Potem wyszedłem.

Nishimura nie miał więcej żadnej wiadomości od Sōshō, w przeciwieństwie do innych rówieśników, absolwentów elitarnej szkoły przy Uniwersytecie Pedagogicznym w Osace. Mniej więcej w tym samym czasie, o którym opowiadał Nishimura, Sōshō Kin skontaktował się z kilkoma byłymi kolegami z klasy i do wszystkich zwrócił się z osobliwą prośbą. Chciał pożyczyć ich egzemplarze szkolnych ksiąg pamiątkowych, a kiedy je oddał, właściciele zorientowali się, że twarze chłopców z rocznika Sōshō zostały wycięte nożem.

– Wszyscy w szkole wiedzieliśmy, że jest Koreańczykiem – opowiadał Nishimura – ale nie byliśmy do niego uprzedzeni. Kolegowaliśmy się, tak normalnie. Dogadywaliśmy się. Jednak patrząc z perspektywy czasu, wydaje się, że chociaż niczego mu w życiu nie brakowało, był nieszczęśliwy i za swoje nieszczęście winił Japonię i Japończyków.



Trzeci z braci, urodzony tuż po Jojim Obarze, był Eishō Kin. On również, chociaż w inny sposób niż starsi bracia, borykał się z trudnościami związanymi z przystosowaniem społecznym oraz koreańskimi korzeniami.

Eishō studiował w wyższej szkole języków obcych w pobliskim mieście

Kobe. Był człowiekiem uzdolnionym i twórczym. Mówił nie tylko po japońsku i koreańsku, ale również po chińsku i angielsku, a do tego miał ambicje literackie i intelektualne. Grupa podobnie myślących młodych Zainichi spotykała się w bibliotece w Osace, aby rozmawiać o literaturze i sytuacji Koreańczyków w Japonii; Eishō należał do owej grupy. Omawiali dzieła Dostojewskiego, Sartre'a i Camusa, a także uprzedzenia, jakim stawiali czoła w życiu codziennym: większość czasu niewidoczne, ale mocno zakorzenione i gęsto oplatające ich rzeczywistość niczym stalowa siatka. Nikt nigdy nie miał im zaproponować pracy w jednym z najważniejszych banków japońskich albo w którejś z wiodących na rynku firm handlowych. Jakkolwiek wybitne mieliby osiągnięcia na studiach, nigdy nie kusono by ich do służb dyplomatycznych ani do ministerstwa finansów perspektywą szybkiego awansu.

– Większość Koreańczyków Zainichi nie zdaje sobie sprawy z dyskryminacji – powiedział mi dziennikarz z Osaki. – Zadowolają się swoim życiem, nie chcą mieć innego. Tylko ci z ambicjami, ci, którzy pragną awansu społecznego, to oni zderzają się ze szklanym sufitem. Większość Zainichi nawet nie wie, że żyją w niewoli. Tylko ci, którzy próbują uciec, nagle uświadamiają sobie, że mieszkają w klatce. Są to ludzie, którzy wychowali się w Japonii, mówią po japońsku, jedzą japońskie potrawy i nigdy nawet nie przyszło im do głowy, że mogą się stać obiektem dyskryminacji. Właśnie takie osoby, drugie i trzecie pokolenie, doznaje ogromnego wstrząsu w obliczu dyskryminacji.

Poznałem człowieka, który należał do wspomnianej grupy młodych intelektualistów i spotykał się również z Eishō Kinem. Spędzili razem wiele godzin, dyskutując o książkach i różnych ideach. Jednak towarzystwo Eishō zawsze go na swój sposób męczyło. Był on drażliwy, niepewny i skłonny brać różne uwagi do siebie, rozmowa z nim nigdy nie toczyła się gładko.

– Był bardzo sztywny – powiedział mi ów jego znajomy. – Nie potrafił zachowywać się wśród ludzi w sposób naturalny. Kiedy schodziliśmy na temat rodziny, zawsze tracił panowanie nad sobą. Bez przerwy miał się przed czymś na baczności.

Pewnego razu odwiedził Eishō Kina w domu. Ich wcześniejsze rozmowy, w których często przewijały się radykalnie lewicowe wątki filozoficzne i polityczne, sprawiły, że zaskoczył go widok luksusowej, wytwornej posiadłości oraz ogrodu usianego ogromnymi i kosztownymi kamieniami ozdobnymi – olbrzymimi, niemożliwymi do ruszenia przejawami bogactwa i wpływów rodziny.

– Miałem wrażenie, że trudno mu pogodzić się z tym, iż osiągnął lepszy status społeczny – ciągnął mężczyzna. – Nie potrafił sobie poradzić z dystansem, który dzielił go od innych Koreańczyków.

Eishō Kin miał aspiracje do pióra. W wieku dwudziestu jeden lat opublikował opowiadanie⁷⁶ na łamach czasopisma literackiego wydawanego w środowisku Zainichi. Był to zapis smutku młodego człowieka: niepewnego, niezdarnego, dręczonego nieśmiałością, pełnego pogardy dla innych, a zarazem upokarzanego przez otoczenie.

Opowiadanie nosi tytuł *Pewnego dnia zdarzyło się*, a jego bohater, Zainichi, nazywa się Bun'ichi Ri. Jedzie metrem, do którego wsiada trzech Japończyków, jego rówieśników. Od razu orientuje się, że są oni głusi: wydają z siebie niezrozumiałe, urywane dźwięki. Porozumiewają się językiem migowym, nieustannie gestykułując i robiąc przesadnie wyraziste miny. Bun'ichi zastanawia się, czy trudne do uchwycenia uczucia i emocjonalne niuanse można w ogóle wyrazić za pomocą palców i brwi. Mimo to głusi mężczyźni bardzo się starają to zrobić, wkładają dużo wysiłku w próbę komunikacji. Widok ten głęboko go porusza.

Bun'ichi, dowiadujemy się, miał „problemy w domu”. Żeby przed nimi

uciec, zaangażował się w „sprawy społeczne”, również niesprecyzowane. Rozczarował się jednak „sztucznością” organizacji Zainichi, do których należał, a poza tym zaczęła go absorbować bolesna kwestia dyskryminacji. Jej przejawy widzi nie tylko w stosunku Japończyków wobec Koreańczyków, ale również w poczuciu wyższości, które dostrzega także u siebie. Nawet jeśli Bun’ichi jest ofiarą rasizmu, powinien przyznać się też do własnych uprzedzeń.

– Co począć z tym nawykiem, tym odruchem dyskryminowania innych, zadowoleniem, które się pojawia, gdy umieścimy kogoś niżej od siebie? – pyta. – Kiedy myślał o tych sprawach, czuł, jak gdyby głowa ciążyła mu kamieniem. – Bun’ichi wydaje się wewnętrznie skłócony, wydaje się nosić w sobie świadomość odrębną od jego własnej tożsamości: chłodną, analityczną inteligencję, która go ocenia za to, że jego słowa nie są zbieżne z intencjami. W głuchych mężczyznach najbardziej porusza go brak owej świadomości. – Walczyli, nie oszukując przy tym samych siebie – zauważa. – W ich rozpaczliwych wysiłkach zmierzających do porozumienia się z innymi nie było żadnej nieuczciwości.

Do wagonu metra wchodzi pijany Japończyk ubrany w lśniący garnitur i białe buty – wygląda jak członek jakuzy. Jeden z głuchych mężczyzn niechcący ociera się o niego, a wtedy on reaguje bardzo gwałtownie: chwyta głuchego za kołnierz i domaga się przeprosin, jednak niesłyszący mężczyzna nie jest w stanie wydobyć z siebie nic poza urywanymi dźwiękami. Bun’ichi wstaje, krzyczy do napastnika, żeby zostawił swoją ofiarę w spokoju, i pijany Japończyk zwraca się przeciwko niemu. Finał utarczki masywnego bandyty z wrażliwym Bun’ichim jest łatwy do przewidzenia, zanim jednak dochodzi do wymiany ciosów, trzech głuchych pasażerów rozdziela szykujących się do walki – ostatecznie zatem to upośledzeni mężczyźni ratują Koreańczyka przed cięgami, które zapewne zebrałyby od japońskiego gangstera.

Bun'ichi zainterweniował, kierując się we własnym mniemaniu poczuciem sprawiedliwości. Poczł się jednak upokorzony, a głos odzywający się w jego głowie wydał znacznie surowszy werdykt. Bun'ichi zareagował, ponieważ uznał głuchych za osoby słabe i bezbronne. Gniew wobec pijanego bandyty w rzeczywistości wypływał ze swego rodzaju uprzedzenia, które Bun'ichi żywił – z założenia, że on sam ma przewagę nad niepełnosprawnymi, i było to uprzedzenie bardzo podobne do tego, z którym spotykał się jako Zainichi. „Czy jesteśmy silniejsi, jeśli nazwiemy ich słabszymi? – pyta sam siebie. – W takim razie jak określić sytuację mieszkających w Japonii Koreańczyków, których nasze hermetyczne społeczeństwo dyskryminuje choćby na gruncie zawodowym? Kim jesteśmy: silniejszymi czy słabszymi?”

Bun'ichi wysiada z metra i przepelniony wyrzutami oraz z mętlikiem w głowie zmierza w kierunku domu. „Czyżbym nie różnił się niczym od tych, którymi pogardzam? – pyta sam siebie. – Dlaczego człowiek na każdym kroku chce dyskryminować drugiego człowieka?”

W pewnym momencie przechodzi obok posiadłości położonej za imponującą bramą i otoczonej ogrodem pełnym „wielkich, ciężkich kamieni, tak wielkich, że można by z nich wybudować dom”. Mija go cadillac, oślepiając światłem reflektorów. „Bun'ichi zastanawiał się, czy ludzie mieszkający w tego typu posiadłości w ogóle pomyśleliby o takich sprawach, które go trapią”.

W opisywanej rezydencji, choć niewielu czytelników miało szansę o tym wiedzieć, można rozpoznać znajdujący się w Kitabatake dom rodziny Kin; cadillac to najprawdopodobniej dawny samochód Kim Kyo Haka. Tym sposobem w opowieści o samooskarżaniu i poczuciu izolacji Eishō Kin ostatecznie kieruje zarzut przeciwko sobie. Stworzył wzbudzającego współczucie bohatera, który mówi o alienacji i wstręcie do samego siebie.

Zrobił to jednak z za wysokich murów Kitabatake, ciesząc się niezasłużonym, uprzywilejowanym statusem. Nawet młody mężczyzna z jego opowiadania, choć samotny, jest mniej osamotniony niż ludzie mieszkający w posiadłości. „Ci rodzice i synowie tak bardzo przyzwyczajeni do wiedzionego w dostatku życia – Bun’ichi w swoich rozważaniach odnosi się (mimo że nie jest tego świadomy) do człowieka, który go stworzył. – A ja?”

Opowiadanie *Pewnego dnia zdarzyło się* zostało opublikowane w zimowym wydaniu czasopisma „Sanzenri” w 1977 roku i nominowane do nagrody literackiej. Eishō Kin przyjął tę nominację z zachwytem i pochwalił się przed kolegami swoim sukcesem – wydawało się, że dodał mu on pewności siebie, której Eishō brakowało. Później jednak młody twórca dowiedział się, iż w jury konkursu literackiego zasiadał słynny pisarz Zainichi, bliski i długoletni przyjaciel jego matki. Wtedy uznał, że jego opowiadanie uzyskało nominację nie ze względu na wartości artystyczne, ale znajomości, i wiara w siebie znów go opuściła.



W szkole Seishō Kin, przyszedł Joji Obara, „szukał wyzwolenia poprzez upokorzenie”. Jednak kiedy chciał, potrafił również bezwzględnie się wywyższać. Okazało się to, gdy zdał egzamin wstępny do liceum utworzonego przy Uniwersytecie Keio, jednej z najsłynniejszych i najbardziej prestiżowych prywatnych uczelni wyższych w kraju. Typowych dla kultury brytyjskiej szkół z internatem w Japonii właściwie nie znano i było to bardzo niezwykle, choć nie do końca niespotykane, aby nastolatek wyprawdzał się z domu i jechał się uczyć do innego miasta. Niemniej rozwiązanie, jakie w wypadku Seishō zastosowali jego rodzice, byłoby odebrane jako niecodzienne nawet obecnie, a w latach sześćdziesiątych

wydawało się wręcz niesłychane.

Mając piętnaście lat, wyjechał i zamieszkał sam w Tokio, pozostając pod opieką zatrudnionej przez państwa Kin gospodyni. Wprowadził się do dzielnicy Den-en Chōfu, równie zamożnej i szacownej jak Kitabatake w Osace. W dzisiejszych czasach w rejonie tym nadal przeważają tradycyjne japońskie domy wzniesione za drewnianymi ogrodzeniami w porośniętych mchem ogrodach z bambusowymi zagajnikami. Jednak radykalnie nowoczesny budynek, w którym mieszkał Seishō, był kwintesencją architektonicznej mody panującej w późnych lat sześćdziesiątych XX wieku. Od wąskiej uliczki oddzielał go wysoki na 180 centymetrów ceglany mur oraz posadzony od wewnątrz szpaler puszystych sosen. Na terenie posiadłości znajdował się basen oraz szeroki dwupiętrowy dom pokryty białym tynkiem i brązowymi kafelkami. Wewnątrz do pokoi prowadziły nie drzwi, ale przesuwne szklane ściany; z pomieszczeń na górnym piętrze wychodziło się na obszerne, otwarte balkony. W przylegającym do budynku garażu mogło się pomieścić kilka samochodów. Tradycyjne japońskie domy, które dominowały w tej dzielnicy Tokio, przypominały dom Seishō w Osace, były ciemne, chłodne i ponure. Tymczasem nowy dom Seishō przywodził na myśl miejsca takie jak Hawaje czy Kalifornia, był jasny i pełen blasku, idealny do zażywania kąpieli słonecznych, urządzania przyjęć z grillem i tańców wokół basenu. Wprowadzając się do niego, przyszły Joji Obara przeszedł kolejną przemianę. Zostawił za sobą Seishō Kina, a stał się Seishō Hoshiyamą, przez co zrzucił z barków ciężar swojej rodziny, życia w Osace i koreańskich korzeni, niczym człowiek, który wiosną zdejmuje z ramion ciężki zimowy płaszcz.

Na takiej samej zasadzie, na jakiej rodzina ponosi moralną odpowiedzialność za zbrodnie popełnione przez jednego z jej członków, część odpowiedzialności za przestępstwo – chociaż w znacznie mniejszym

stopniu i w mniej wyraźny sposób – spada na szkolnych kolegów przestępcy. Ci, którzy znali Seishō Hoshiyamę ze szkoły przy Uniwersytecie Keio, nie chcieli o nim rozmawiać, a w ich niechęci wyczuwało się między innymi wstyd. W czasie gdy do nich dotarłem, trwał proces, trudno więc było komukolwiek zapomnieć o postawionych zarzutach, sięgnąć do wspomnień nieskażonych obecną wiedzą. Najbardziej się to udało Kōjiemu Akimocie⁷⁷, który chodził do jednej klasy z Seishō w ostatnim roku nauki w liceum.

– Co roku dochodziło do rotacji między uczniami z różnych oddziałów – wspominał – i miałem kolegę, który wcześniej chodził do tej samej klasy z Hoshiyamą. Powiedział mi: „To dziwny chłopak”. Na mnie jednak Hoshiyama wywarł z początku przyjemne wrażenie. Był zawsze bardzo schludny. Cesał się w stylu, który nazywaliśmy „na Kennedy’ego”, ponieważ podobną, staranną fryzurę nosił John F. Kennedy. Miał gładką cerę, dość świecąca twarz. Jak na nastolatka miał dobrą posturę: był mocno zbudowany, ale umięśniony, nie pulchny. I cały czas rozmawiał z innymi, próbował się zaprzyjaźnić. Pomyślałem, że wydaje się całkiem interesującą osobą, wcale nie dziwną. Spytałem kolegę: „Dlaczego powiedziałeś, że jest dziwny?”, na co on odpowiedział: „Przyjrzyj się jego oczom”.

Akimoto przyjrzał się i natychmiast dostrzegł, co kolega miał na myśli. Wokół powiek Hoshiyamy widniały niewielkie blizny i jego rówieśnicy uznali to za niewątpliwy dowód na to, że przeszedł operację usunięcia zmarszczki nakątnej. Zabieg ten polega na wycięciu charakterystycznej dla osób pochodzących z Azji Środkowej i Wschodniej grubej fałdy skórnej zakrywającej wewnętrzny kąt oka. W efekcie „jednofałdowa” powieka typowa dla Azjatów przekształca się w „dwufałdową” powiekę typową dla Europejczyków, co optycznie powiększa oczy, sprawia, że wydają się okrągłejsze, bardziej „zachodnie” i atrakcyjniejsze. Oprócz tego wielu Japończykom takie oczy zdawały się mniej koreańskie, chociaż przekonanie

to nie miało żadnych podstaw naukowych. Dwadzieścia lat później ta kosztowna operacja będzie bardzo modna wśród Azjatek.

– Ale w tamtych czasach to, że uczeń szkoły średniej przeszedł taki zabieg... cóż, było to coś niespotykanego – opowiadał Akimoto. – Wydawało się jednak, że on zrobił sobie taką operację i teraz miał dwufałdową powiekę. Pomyślałem, że musi być dziwny⁷⁸.

Hoshiyama i Akimoto zbliżyli się; Akimoto dwa lub trzy razy odwiedził nawet nowego kolegę w jego domu w Den-en Chōfu. Wielu chłopców z Keio pochodziło z zamożnych rodzin, ale Hoshiyama zdawał się nieprzeciętnie bogaty.

– To był ogromny dom – wspominał Akimoto. – Pomyślałem, że jego rodzina jest bogata z dziada pradziada. Miał dużą kolekcję płyt. I nawet jak na kieszeń uczniów Keio były to wtedy drogie rzeczy. Powiedział mi, że jego roczny dochód wynosi 20 000 000 jenów, niewiarygodnie dużo. Mówił, że jest właścicielem parkingów. Dowiedziałem się skądś, może od niego, a może od kogoś innego, że jego rodzice pochodzą z Osaki. Ale on właściwie nigdy o nich nie wspominał. W domu nie wisały żadne obrazy ani zdjęcia rodzinne. Chyba twierdził, że mieszka z dziadkiem, ale nie widywałem tam nikogo oprócz pokojówki. Zacząłem podejrzewać, że może nie ma żadnego dziadka. I często spóźniał się na lekcje. Pomyślałem: To dlatego, że mieszka sam, tylko z pokojówką. Nie ma go kto obudzić i upewnić się, że dotrze na czas do szkoły. Był bystry, ale nie miał dobrych wyników w nauce. Ponieważ nie mieszkał z rodzicami, nikt się nim nie zajmował. Stworzył swój własny świat, żył sam ze sobą.

Trudno opisać, co dokładnie, ale było w Seishō Hoshiyamie coś, co go wyróżniało – sposób bycia i niezależność często granicząca z wyobcowaniem i samotnością.

– Pewnego razu przyniósł po feriach zegarki na rękę, chyba roleksy, które

chciał sprzedać. Powiedział, że kupił je w Hongkongu, a nam, chłopcom, bardzo to zaimponowało. Zagraniczne zegarki, zagraniczne podróże, dla nas wtedy była to zupełnie inna rzeczywistość. – Hoshiyama płynnie mówił po angielsku, a do tego miał niezwykły talent muzyczny i sceniczny, tak przynajmniej wydawało się nieobytym w świecie nastolatkom z Keio. – Świetnie śpiewał – relacjonował Akimoto. – Jesienią odbywał się szkolny festiwal i postanowiliśmy wystąpić z zespołem, obok ustawić stoisko z coca-colą na sprzedaż i w ten sposób zarobić trochę pieniędzy. Hoshiyama był wokalistą. Naśladował Toma Jonesa i wyszło mu to wspaniale! Poruszał się dokładnie tak samo jak Tom Jones, kołysał biodrami i tak dalej. Nie pamiętam, jaki utwór wykonał, na pewno nie *Delilah*, jakiś inny. Włożył koszulę z długim rękawem, piękną, czarną, z atłasu albo jedwabiu. Niezwykła była ta koszula. Na co dzień nie wyróżniał się zbyt ubiorem, ale miał własny styl i dobrze wyglądał.

Mimo to Akimoto nie zdołał naprawdę się zaprzyjaźnić z Seishō Hoshiyamą, chłopak miał bowiem tendencję do wycofywania się z relacji i była w nim jakaś pustka, jak gdyby nie chciał się podzielić tym, co kryło się pod obiecującą warstwą zewnętrzną i co stanowiło istotę przyjaźni – nie chciał, albo nie mógł, ponieważ tego nie posiadał.

– Po tym jak zgodziłem się z panem spotkać, długo się zastanawiałem, jaki on był – przyznał w rozmowie ze mną Kōji Akimoto. – Bardzo trudno to wyrazić. Zbudował mur między sobą a otoczeniem. Nigdy tak naprawdę nie rozumiał rówieśników. Z przyjaciółmi łączy nas porozumienie. Są rzeczy, w których się zgadzamy ze sobą, i wtedy zaczynamy lepiej się rozumieć, nasze rozmowy stają się głębsze, nawet jeśli na początku łączy nas tylko wspólne zamiłowanie do motocykli Hondy czy coś w tym stylu. Z Hoshiyamą nigdy czegoś podobnego nie przeżyłem. O kimś z klasy, z kim chciał się zakolegować, potrafił powiedzieć: „To fajny chłopak”. Ale nigdy

nie patrzył na czyjś charakter. Był materialistą. Nie umiał nawiązać tej bliskości, która się tworzy, kiedy czuje się porozumienie dusz. Obchodziło go tylko to, co on chciał robić, nigdy nie szedł na kompromis z innymi. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie znałem nikogo podobnego. Trzymałem się trochę na dystans i uważnie go obserwowałem. Ale miałem wrażenie, że nie ma możliwości, żeby się do niego zbliżyć i naprawdę się z nim zaprzyjaźnić. Do tej pory to pamiętam.

Najbardziej imponującą cechą Seishō była jego pewność siebie w stosunku do dziewczyn.

– Wybierał się sam do tokijskiej dzielnicy Jiyūgaoka i do Jokohamy – wspominał Akimoto. – W Jokohamie chodził do słynnej dyskoteki. Ja i chłopaki w moim wieku czasami wychodziliśmy gdzieś się zabawić we dwóch albo trzech, ale nigdy sami. Hoshiyama był na tyle pewny siebie, że szedł sam. Zachowywał się jak dorosły, bawił się jak dorosły i to było takie niezwykle, imponujące. W trzeciej klasie szkoły średniej powiedział: „Umówiłem się z dziewczyną. Pokażę ci jej zdjęcie”. Popatrzyłem na fotografię. Siedzieli razem w drogiej restauracji gdzieś na przedmieściach. Innym uczniom nawet nie przyszłoby do głowy, żeby pójść do takiego lokalu. A on poszedł, w białym garniturze. Obok nich stał duży bukiet kwiatów. Dziewczyna była pół Japonką, pół dziewczyną z Zachodu. Miała na imię Betty. Wydaje mi się, że myślał o niej naprawdę poważnie, ale ona go zostawiła. Kiedy to się stało, zadzwonił do innego naszego wspólnego kolegi i płakał przez telefon. Powiedziała mu: „Wrócę do ciebie, jeśli będziesz się zachowywał jak dojrzały mężczyzna”. Czuł, że nie jest wystarczająco dojrzały, ale był zdecydowany zrobić wszystko, żeby stać się dojrzałym. Oczywiście był człowiekiem. Oprócz wszystkich innych rzeczy potrafił być szczerą, kochającą osobą.

W szkole średniej przy Uniwersytecie Keio uczyło się kilku chłopców

o pochodzeniu chińskim i koreańskim. Jednak żaden z kolegów Seishō Hoshiyamy, przynajmniej żaden z tych, z którymi rozmawiałem, nie wiedział, że jest on Zainichi. Żaden z nich nigdy nie poznał jego rodziców, braci czy jakiegokolwiek osoby związanej z jego wcześniejszymi losami w Osace. I żaden nie słyszał o wydarzeniu, które musiało stanowić jeden z najbardziej znaczących momentów w jego nastoletnim życiu: nagłej śmierci jego ojca Kim Kyo Haka, który zmarł w 1969 roku w niewyjaśnionych do końca okolicznościach.

[66](#) Informacja pochodząca ze źródła zbliżonego do rodziny Kim/Hoshiyama, Osaka, lipiec 2006.

[67](#) *Cops. Obara Hid Identity with Dozens of Aliases*, „The Daily Yomiuri”, 20 listopada 2000.

[68](#) Kolonizację Korei przez Japonię, losy Koreańczyków w Japonii oraz okres powojenny w Japonii przybliżyłem na podstawie informacji zawartych w publikacjach: *Koreans in Japan. Ethnic Conflict and Accommodation*, red. Ch. Lee, G. De Vos, Berkeley 1981; Y. Fukuoka, *Lives of Young Koreans in Japan*, Melbourne 2000; J.W. Dower, *Embracing Defeat. Japan in the Wake of World War II*, New York 1999; P.B.E. Hill, *The Japanese Mafia. Yakuza, Law and the State*, New York 2003; oraz D. Kaplan, A. Dubro, *Yakuza. The Explosive Account of Japan's Criminal Underworld*, Reading, MA 1986.

[69](#) Cyt. za: *Koreans in Japan*, dz. cyt., s. 22.

[70](#) Informacja pochodzi ze źródła zbliżonego do rodziny Kim/Hoshiyama, Osaka, lipiec 2006.

[71](#) Tamże.

[72](#) Rozmowa z Eishō Kinem, Osaka, 4 lipca 2007.

[73](#) Według japońskiego dziennikarza prasowego z Osaki, który uzyskał tę informację dzięki kontaktom z policją w Osace.

[74](#) *The Truth About the Lucie Case*. Więcej informacji na temat tej publikacji oraz jej pochodzenia znajduje się na stronach 387–388, 451–452.

[75](#) Rozmowa z Shingō Nishimurą.

[76](#) E. Kin, *Aru Hi no Koto* (Pewnego dnia zdarzyło się), „Sanzenri”, Tokio – Osaka, zima 1977.

[77](#) Kōji Akimoto to pseudonim.

[78](#) W relacji spisanej trzydzieści dziewięć lat później na polecenie prawnika Jojiego Obarę (*The Truth About the Lucie Case*, s. 753) można przeczytać, że Obara w wieku szesnastu lat rzeczywiście przeszedł operację oczu, ale było to spowodowane urazami odniesionymi w wyniku wypadku samochodowego, podczas którego doszło do skaleczeń szkłem z potłuczonych okularów przeciwsłonecznych.

ROZDZIAŁ 15

GEORGE O'HARA

ZAMIAST NA KOMISARIAT AZABU, gdzie przesłuchiowano by osobę podejrzaną w bardziej rutynowej sprawie, śledczy komisarza Udo zawieźli Jojiego Obarę do przypominającej fortecę komendy głównej Tokijskiej Policji Miejskiej w dystrykcie Kasumigaseki. Dzielnica ta stanowiła rządowe centrum dowodzenia. Właśnie tu, na obszarze niecałych dwóch kilometrów kwadratowych, mieściły się siedziby japońskiego Ministerstwa Finansów, Spraw Zagranicznych i Sprawiedliwości; w żadnym innym miejscu w kraju na tak niewielkiej przestrzeni nie znajdowało się tak wiele urzędów państwowych. W ciągu kilku godzin od chwili aresztowania w nieruchomościach Obary rozsianych na terenie całej Japonii pojawiły się setki policjantów z nakazami rewizji. Funkcjonariusze weszli między innymi do mieszkania położonego w wysadzanej palmami przystani Zushi, do pokoju w Blue Sea Aburatsubo, w którym wcześniej Obara pokazał stróżom prawa zdechłego psa, do budynku w Roppongi, przed którym dokonano zatrzymania, i do dużego domu w Den-en Chōfu. Helikoptery japońskiej telewizji wisiały nad niektórymi z tych miejsc, zaglądając za policyjne kordony. Operatorzy uchwycili wężące psy, funkcjonariuszy w kombinezonach przekopujących hałdy ziemi. Przez wiele dni samochody policyjne krążyły tam i z powrotem, przewożąc kolejne dowody. Znalaziono

narzędzia, ubrania, notatniki, pliki dokumentów, rolki filmu, taśmy wideo, kasety magnetofonowe, zdjęcia, butelki z płynami i saszetki z różnymi proszkami. Wszystkie te rzeczy umieszczano w magazynie w Kasumigaseki, gdzie sam Udo nadzorował ich przesiewanie.

– Przywieziono 15 000 przedmiotów – powiedział mi. – Złożyliśmy je w największym dostępnym pomieszczeniu. Było tam tyle kurzu, że wszyscy kaszleliśmy i drapaliśmy się, a roztocza kąsały nas po nogach. Dla nas był to jednak prawdziwy skarbiec.

Obarę przetrzymywano w jednej z cel w tym samym budynku. Teoretycznie podejrzani o popełnienie przestępstwa w Japonii powinni być ulokowani w izbie zatrzymań, skąd rano zawoziło się ich na przesłuchania i dokąd po południu odwożono ich z powrotem. W rzeczywistości prawie zawsze podejrzani są umieszczani na komisariacie, gdzie jednostka przesłuchująca kontroluje każdą sferę ich życia: odwiedziny, godzinę rozpoczęcia i czas trwania przesłuchań, posiłki, nawet oświetlenie w celi.

Wiele praw uznawanych za podstawowe przez brytyjski i amerykański wymiar sprawiedliwości nie przysługuje osobom podejrzany w Japonii – lub jeśli przysługują im w teorii, w praktyce uchyla się je albo lekceważy. Podejrzany ma prawo kontaktować się z adwokatem, ale to policja decyduje o częstotliwości i długości tych spotkań. Ma prawo zachować milczenie podczas przesłuchania, ale musi siedzieć przez cały czas, dopóki zadawane są pytania, które czasami padają kilkanaście godzin z rzędu z ust zmieniających się funkcjonariuszy, dopóki przesłuchiwany nie popadnie w otępienie ze zmęczenia i nudy. Śledczy nie muszą protokołować przesłuchań. Zamiast relacji oddającej słowo w słowo przebieg przesłuchania, na zakończenie sporządza się notatkę podsumowującą (określaną mianem „notatki prokuratorskiej”), którą wręcza się do podpisu wycieńczonemu podejrzanemu.

Nakaz aresztowania pozwala policji przetrzymywać podejrzanego trzy dni, jednak za zgodą sędziego dwukrotnie można wydłużyć ten okres, za każdym razem o dziesięć dni. Sędzia prawie zawsze się zgadza. Zatem policja przez dwadzieścia trzy dni może więzić i izolować osobę podejrzaną od świata zewnętrznego: może zabronić wizyt prawników, członków rodziny i przyjaciół, a ze swojej strony nie musi przedstawić żadnych zarzutów.

– System prawny w Japonii daje śledczym tak ogromną przewagę, że rzadko są zmuszeni odwoływać się do jednoznacznie nielegalnych procedurów – pisze kryminolog Setsuo Miyazawa. – Cały system jest pomyślany i wdrażany w życie w taki sposób, aby podejrzaný dobrowolnie złożył zeznania.

Jednak prokuratorzy i śledczy również funkcjonują w tym czasie pod olbrzymią presją: muszą zdobyć wyznanie winy. W przeciwieństwie do brytyjskiego czy amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, w których konieczne jest jedynie udowodnienie faktów, japoński system sądowniczy przywiązuje wielką wagę do motywu. W sądzie należy przedstawić tok myślenia i pobudki, które doprowadziły do popełnienia przestępstwa – jest to zasadniczy czynnik brany pod uwagę podczas wydawania ostatecznego werdyktu o winie podejrzanego lub jej braku. Nie wystarczy udowodnić kto, co, gdzie i kiedy – japoński sędzia wymaga odpowiedzi na pytanie: dlaczego. Śledczy zatem powinien przeniknąć myśli osoby podejrzaney. Jeśli mu się to nie uda, uważa się, że nienależycie wykonał swoje zadanie.

W praktyce jedynym sposobem, aby tego dokonać, jest uzyskanie zeznania, w którym podejrzaný przyzna się do winy. „Wyznanie winy to klucz”⁷⁹, powiedział pewien śledczy. Pozostałe sprawy, między innymi dowody rzeczowe, mają drugorzędne znaczenie. W niektórych wypadkach policja decyduje się zbierać dowody rzeczowe dopiero wtedy, gdy osoba podejrzana złoży odpowiednie zeznania. Funkcjonariusze liczą, że

podejrzany ujawni nieznane im obciążające fakty, a przeprowadzone później dochodzenie dodatkowo potwierdzi owe zeznania, co z kolei sprawi, że staną się one bardziej przekonujące; o wiele bardziej, niż gdyby zostały złożone pod przymusem.

– Wymagamy dowodów ponad wszelką wątpliwość⁸⁰ – stwierdził japoński prokurator w rozmowie z socjologiem Davidem Johnsonem, który dalej pisze: – Zeznania są niczym serce, niczym pompa⁸¹, która popycha do przodu sprawę za sprawą, utrzymując wydolność systemu sprawiedliwości [...] Prokuratorzy w Japonii są niemal sparaliżowani strachem przed postawieniem zarzutów w sprawie, w której podejrzany nie złożył zeznań.

Japońscy podejrzani ze swojej strony sumiennie składają zeznania, niezależnie od tego czy są winni, czy też nie; z roku na rok przyznają się do winy coraz częściej. W 1984 roku jedenaście na dwanaście osób stających przed japońskim sądem w procesie karnym przyznało się do przedstawionych im zarzutów. W 1998 roku stosunek ten wynosił piętnaście do szesnastu. Od czasu do czasu policja i prokuratura złamią jakąś szczękę, rozkwasać nos albo posiniacza genitalia. („Dla nas, Japończyków, uderzenie w głowę nie jest niczym poważnym⁸² – oświadczył jeden z prokuratorów. – Kopnięcie to poważna sprawa”). Jednak stosowanie przemocy fizycznej zwykle sprowadza się do dość łagodnych form, które mają na celu bardziej upokorzyć, niż sprawić autentyczny ból: najczęściej dochodzi do wymierzania policzków, lekkich kopnięć, pozbawienia snu, pożywienia i wody, wydmuchiwanie dymu papierosowego prosto w twarz. Jeszcze bardziej powszechne jest zastraszanie i znęcanie się psychiczne. Johnson opisuje:

– Podejrzanym grożono, zastraszano ich, doprowadzano do wycieńczenia fizycznego, prowokowano, łajano, gromiono, oszukiwano, zadawano im pytania sugerujące odpowiedź i manipulowano nimi.

Jednak pamiętając o tym, do jakiego stopnia policja ma władzę nad osobą

przetrzymywaną w areszcie, nie powinno dziwić, że tego typu prymitywne metody rzadko bywają konieczne. Japońscy śledczy to w dużej mierze spokojni, uprzejmi, obiektywni, uparci i wytrwali funkcjonariusze. Najzwyczajniej w świecie zadają te same pytania przed 23 dni: 552 godziny, 33 120 wolno płynących minut, podczas których podejrzany jest w ich mocy. W większości wypadków wystarczy, że uzbroją się w cierpliwość.

Takie właśnie środki zamierzano zastosować w wypadku Jojiego Obary, gdy aresztowano go 12 października 2000 roku.

Nie przyznał się. Nigdy się nie ugiął. Od samego początku, kiedy nie chciał ustawić się odpowiednio do zdjęcia policyjnego, odmawiał współpracy. Stało się jasne, że ten podejrzany znał swoje prawa i korzystał z nich w pełnym wymiarze, a japońska policja zawsze bardzo uważa, aby nie przyłapano jej na przekraczaniu granic znacznej władzy, którą posiada.

– Po aresztowaniu zgodził się na pobranie odcisków palców, ale nie na zrobienie zdjęcia – opowiadał komisarz Udo. – Nie mogliśmy go zmusić, żeby spojrzał prosto w obiektyw. Gdybyśmy na siłę przytrzymywali mu brodę, ktoś mógłby to uznać za formę tortury. Dlatego na zdjęciu ma spuszczoną głowę.

Udo niechętnie zdradzał szczegóły⁸³ policyjnych przesłuchań Jojiego Obary, prawdopodobnie dlatego, że z punktu widzenia śledczych były one bardzo nieudane.

– Z początku wydawał się bardzo przestraszony – relacjonował komisarz. – Bardzo się pocił, pocił się do tego stopnia, że ubrania miał całe mokre. Poza tym czasami drżał. Ale wszystkiego się wypierał.

Zatrzymano go pod zarzutem uprowadzenia i dokonania czynu lubieżnego na Clarze Mendez. Zgodnie z zasadami, podkreślał Udo,

funkcjonariusze powinni ograniczyć pytania wyłącznie do tej jednej sprawy. Jednak wszyscy w pokoju przesłuchań wiedzieli, że prawdziwym celem dochodzenia jest odkrycie, co się stało z Lucie, i komisarz przyznał, iż śledczy „pogadali” z podejrzanym również o sprawie Blackman. Niemniej Obara bardzo długo nie chciał z nimi w ogóle rozmawiać. Podał swoje imię i nazwisko, po czym powołał się na przysługujące mu prawo do zachowania milczenia.

Minęły dwa tygodnie; wkrótce miał się kończyć dwudziestotrzydniowy okres, w którym policja mogła przetrzymywać podejrzanego. Prokuratura uciekła się więc do ulubionego triku. Oskarżono Obarę o gwałt na Clarze Mendez i natychmiast dokonano „ponownego aresztowania” za czyn lubieżny na Katie Vickers. Tym sposobem śledczy przez kolejne dwadzieścia trzy dni mieli podejrzanego całkowicie do swojej dyspozycji i nie musieli odsyłać go do izby zatrzymań, gdzie panowała mniej napięta i poważna atmosfera. Praktyka, po którą sięgnęli, aby uzyskać swój cel, budziła wątpliwości i chociaż nie była nielegalna, ocierała się o nadużycie.



W 1969 roku, w chwili gdy pozornie wydawał się u szczytu sukcesu, ojciec Obary, Kim Kyo Hak, wybrał się w zagraniczną podróż razem z grupą biznesmenów z Osaki. Miał wtedy czterdzieści cztery lata, jego najmłodszy syn siedem, a najstarszy – dwadzieścia jeden. Szczegóły tej wyprawy, podobnie jak wiele innych spraw związanych z Kim Kyo Hakiem, były niejasne. Z pewnością jednak przebywał w Hongkongu, gdzie 27 kwietnia zmarł.

W przyszłości Obara będzie uparcie twierdził⁸⁴, że wyjaśnienie tego zdarzenia jest proste: zgon ojca został spowodowany udarem mózgu. Jednak

inni wyczuwali, iż za tragedią kryje się jakaś tajemnica⁸⁵. Spodziewano się tradycyjnego, dużego, wystawnego przyjęcia towarzyszącego czuwaniu przy zwłokach, tymczasem czuwanie nie odbyło się w domu w Kitabatake. Do tego rodzina Kim zachowywała się inaczej, niż zwykle zachowują się pogrążeni w rozpacz najbliżsi. O śmierci Kim Kyo Haka praktycznie nie rozmawiano. Kilkadziesiąt lat później najmłodszy syn Kōshō, który był małym chłopcem w czasie, gdy jego ojciec umarł, nadal nie wiedział, co dokładnie doprowadziło do zgonu rodzica. Japońskie czasopisma⁸⁶ oraz sąsiedzi rodziny Kim snuli przypuszczenia, że nie była to śmierć naturalna i być może miała związek z kłótnią w sprawach interesów. Poza tym zauważono, że po pogrzebie Kim Kyo Haka w oknach dużego domu w Den-en Chōfu wstawiono kuloodporne szyby.

Niezależnie od tego, jak wyglądała prawda, śmierć głowy rodziny odmieniła życie jego najbliższych. Majątek, który do niego należał, podzielono między synów i wdowę. Firma taksówkowa przypadła w udziale najstarszemu synowi, borykającemu się z trudnościami psychicznymi Sōshō; salony z automatami do gry pachinko przeszły w ręce Eishō, początkującego pisarza. Seishō Hoshiyama, ponieważ w tamtym czasie tak nazywał się Joji Obara, przejął parkingi i różne nieruchomości, między innymi dom w Den-en Chōfu. Nie wiadomo, co odziedziczył Kōshō, ale zdaje się, że była to proporcjonalnie najmniejsza część majątku zmarłego ojca – jako jedyny z braci kształcił się nie w drogich prywatnych szkołach, ale w darmowych państwowych placówkach. Chłopcy pozostali bez ojca, ale byli bogaci.

Seishō Hoshiyama miał wtedy szesnaście lat i mniej więcej w tamtym okresie doszło ponoć do wypadku samochodowego, w wyniku którego musiał przejść operację plastyczną.

„Powyjmowano kawałki szkła, które utkwiły mu naokoło oczu⁸⁷ – można przeczytać w książce o Obarze napisanej na prywatne zamówienie jednego

z jego prawników. – Wiele ran ciętych zostało zszytych, niektóre ciągnęły się aż do ucha⁸⁸. – Według tej samej relacji również mniej więcej w tamtym czasie Hoshiyama stał się alkoholikiem. – Pił od piętnastego roku życia i szybko się uzależnił od alkoholu – czytamy w książce. – Gdy po wypadku leżał w szpitalu, nie mógł przyjmować płynów doustnie, próbował więc wciągać alkohol przez nos, co okazało się skuteczne [...] Wdychał alkohol co wieczór i pogrążał się w sennym otępieniu”.

Nic dziwnego, że nie miał najlepszych wyników w nauce. Dla większości uczniów liceum przy Uniwersytecie Keio istotą edukacji w tej szkole stanowiło to, że jej ukończenie niemalże gwarantowało miejsce na samym Uniwersytecie – co z kolei równało się ze zdobyciem przepustki do kariery w biznesie, polityce, wymiarze sprawiedliwości lub środowisku akademickim. Na wymarzone studia w Keio nie dostawali się jedynie ci uczniowie liceum Keio, którzy wykazywali się ponadprzeciętnym lenistwem, brakiem karności lub głupotą – a Hoshiyama nie był głupi. W książce stworzonej na zlecenie jego prawnika pada stwierdzenie, że to nie uniwersytet odmówił mu przyjęcia, ale on sam zrezygnował ze studiów w Keio. Tak czy inaczej w marcu 1971 roku w wieku dziewiętnastu lat ukończył szkołę średnią i nie kontynuował nauki na słynnej uczelni.

Po tej dacie dalsze losy Seishō Hoshiyamy stają się niejasne. Przez pewien czas studiował na Uniwersytecie Komazawa w Tokio, mniej prestiżowej placówce niż Keio. Trzy lata podróżował: według relacji zamieszczonej w książce „mieszkał w amerykańskim stanie Waszyngton, w Sztokholmie i kilka razy przeprowadzał się do różnych zakątków świata”. Być może studiował architekturę⁸⁹ i – jak sam twierdził – poznał słynnego amerykańskiego muzyka Carlosa Santanę. Wiele lat później zdjęcie, na którym stoi razem ze sławnym znajomym, pokaże Chrście Mackenzie. Około 1974 roku wrócił do Japonii i zapisał się na kurs korespondencyjny

prowadzony przez Uniwersytet Keio. W końcu przyjęto go na studia dzienne. Skończył dwa kierunki: prawo, a następnie politologię. W obydwu wypadkach odmówił umieszczenia swojej fotografii w księdze pamiątkowej wydanej z okazji ukończenia studiów.

W 1971 roku, mniej więcej w czasie gdy skończył liceum, przeszedł kolejny etap metamorfozy. Zmienił narodowość z południowokoreańskiej na japońską i przybrał nową tożsamość: został Jojim Obarą. Jego imię, wymawiane „żozi” z długą głoską „o”, zostało zapisane tradycyjnie: znakiem oznaczającym „zamek” oraz cyfrą „2”. Jednak nazwisko Obara przedstawiało się dość osobliwie. Większość japońskich ideogramów można odczytać na dwa sposoby lub więcej, w zależności od kontekstu oraz ich połączeń z innymi znakami. Popularne nazwiska odczytuje się w jeden ogólnie przyjęty sposób, ale te mniej powszechne można wymawiać na różne sposoby. Nowe nazwisko Hoshiyamy składało się z dwóch znaków (oznaczających „falę” oraz „pole”) i można je było przeczytać: Obara, Ohara i Orihara.

W wieku osiemnastu lat miał za sobą trzykrotną zmianę nazwiska; w ciągu następnych trzydziestu lat, zanim zostanie aresztowany, zdąży przybrać kilkadziesiąt innych. Nie powinno dziwić, że człowiek, który instynktownie zacierał własną tożsamość, nie znośił być jasno określony, uchwycony czy uwieczniany choćby na zdjęciach, nawet swoje oficjalne nazwisko uczynił niełatwym do zinterpretowania. Dlaczego jednak wybrał takie, a nie inne?

Pewien aktor o imieniu Joji Ohara (jego nazwisko pisało się innymi znakami i wymawiało przez długie „o”) występował w miękkich filmach pornograficznych (*Seduction of Flesh, Lustful Companions*), które mogły trafić do rąk nastoletnich chłopców pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku i rozpalać ich zmysły. Takie samo nazwisko nosił japoński operator

filmowy żyjący w tamtym czasie. Jednak rodzina Kim i inni, którzy znali Jojiego Obarę w latach jego młodości, dochodzili do innego wniosku⁹⁰.

Zarówno nowe imię, jak i nowe nazwisko można było odczytać w taki sposób, aby brzmiało po angielsku. Joji – Jorj – George. Obara – Ohara – O’Hara. Czy zatem do tego dążył, zmieniając swoje tożsamości: Kim Sung Jong, koreańskie niemowlę; Seishō Kin, urodzony w Japonii mały Koreańczyk; Seishō Hoshiyama, nastoletni Japończyk z okrągłymi oczami; Joji Obara – Ohara – O’Hara, zagadkowy, niemożliwy do uwiecznienia na zdjęciach obywatel Japonii miał ostatecznie zostać George’em O’Harą, kosmopolitą, przyjacielem sław, obywatelem świata?



Niemal trzydziestoletni Obara miał ukończone dwa kierunki studiów, trochę obycia w świecie, ale brakowało mu doświadczenia w zarabianiu pieniędzy. Dopiero po skończeniu trzydziestego roku życia zainwestował swój majątek i energię w zajęcie doskonale oddające ducha tamtych czasów: prowadzenie firmy deweloperskiej.

Lata osiemdziesiąte i początek lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku to słynny okres japońskiej bańki spekulacyjnej, podczas którego Tokio na krótko stało się najbogatszym miastem w historii świata. Po czterdziestu latach stopniowego przyrostu gospodarczego cena japońskiego jena, notowania giełdowe, a przede wszystkim wartość ziemi zaczęły rosnać z oszalamiającą prędkością. Każdy, kto posiadał nieruchomości, stawał się bogaczem, niezależnie od tego, czy mu się to należało czy nie, a japońskie banki rywalizowały ze sobą o to, który z nich pożyczycielom ziemskim więcej pieniędzy, i nie zadawały kredytobiorcom zbyt wielu pytań.

W Londynie i w Nowym Jorku również był to szalony okres, ale nigdzie

tak ostentacyjnie nie wydawano pieniędzy jak w Tokio. O tym, w jaki sposób zachłystywano się nagłym bogactwem, krążyły legendy: w toaletach nocnych klubów nakładano na sedesy pokrowce z futra norek, koktajle posypywano listkami złota, a podczas bankietów jedzono sushi wprost z nagich ciał młodych modelek. Japończycy, którzy przeżyli wojnę, doświadczyli po jej zakończeniu skrajnego ubóstwa porównywalnego do biedy panującej w krajach Trzeciego Świata; teraz pod względem gospodarczym mieli wkrótce prześcignąć Stany Zjednoczone. Zagraniczni turyści przyzwyczajeni do tego, że są w Japonii najzamożniejszymi ludźmi, stracili swój status bogaczy, a rosnący w siłę jen zaczął przyciągać nową klasę „gajdzin” – szukających pracy bankowców, biznesmenów, nauczycieli języka angielskiego i robotników. Japończycy odbierali to jako powód do dumy. Już nie mieszkańcy biedniejszych państw azjatyckich, ale i Amerykanie, Australijczycy oraz Europejczycy przyjeżdżali do Tokio nie po to, aby zwiedzać czy zatrzymać się na chwilę w interesach, ale by oddać cześć ekonomicznej potędze Japonii. Symbolem tego zjawiska były kluby z zagranicznymi hostessami, gdzie atrakcyjne blondynki flirtowały posłusznie z majątymi, od niedawna wpływowymi pracownikami korporacji.

W blasku pieniądza rozmaite różnice – na przykład między Zainichi a Japończykami, między starym bogactwem a nowym – stawały się mniej widoczne. Joji Obara znajdował się w dobrej pozycji, żeby skorzystać ze zmian w dystrybucji majątku i władzy. Jeden z parkingów w Osace stał się zabezpieczeniem kredytów⁹¹, które zaciągnął na kupno około dwudziestu budynków i mieszkań na terenie całej Japonii, w większości pod wynajem. Były one rozsiane od ciepłej wyspy Kiusiu, najdalej wysuniętej na południe z głównych wysp Japonii, po chłodną Hokkaido na dalekiej północy. Nieruchomości, które nabył, nosiły typowe dla tamtego okresu nazwy mające

dość im splendoru i światowości: Sasebo Lion Tower, Kushiro Passion Building, Ginza Brightness. Obara kupił również przynajmniej jedną nieruchomość za granicą, co stanowiło kolejny przejaw bogactwa i prestiżu – było to mieszkanie na trzydziestym trzecim piętrze wieżowca Waikiki Beach Tower na Hawajach. Niektóre domy i apartamenty zapisane były bezpośrednio na jego nazwisko, ale większość należała do firm, które założył, między innymi do Atlantic Trading, Creation Inc. oraz Plant Group. Każda firma miała swoją siedzibę, zarząd i rewidentów księgowych, na papierze wszystko wydawało się zupełnie legalne. Jednak później okazało się, że niektóre osoby wymienione w dokumentach poszczególnych spółek⁹² w ogóle nie wiedziały, że zostały wskazane jako członkowie kierownictwa.

Obara kupił kawalerkę w Roppongi – tę, po której opuszczeniu został aresztowany – w 1996 roku. Inną nieruchomość, apartament z widokiem na pałac Tōgū, w którym mieszkał japoński następca tronu, nabył w 1988 roku. Wścibscy sąsiedzi stanowią nieodłączną cechę japońskiego kolorytu, dlatego zdumiewające było to, jak niewiele osób w każdym z tych miejsc wyraźnie pamiętało Obarę. Unikał przypadkowych kontaktów z ludźmi, stronił od nich.

W bloku mieszkalnym w Roppongi obsługa nie miała pojęcia, kim jest Joji Obara, dopóki nie został on aresztowany. W Den-en Chōfu z rykiem silnika, na pełnym gazie wyjeżdżał przez wysoką bramę w swoim białym rolls-roysie albo srebrnym porsche, ale poza tym sąsiedzi prawie go nie widywali.

– Nigdy z nim nie rozmawialiśmy, ale zawsze myślałam, że to zwyczajny człowiek – powiedziała pani Kurosaki, która mieszkała trzy domy dalej. – Oczywiście młody chłopak mieszkający sam w takim dużym domu rzucał się w oczy i ludzie o nim mówili. Kiedy się wprowadził do tej swojej posiadłości z basenem, wszyscy mu zazdrościliśmy.

Podjęmowane przez sąsiadów zwykle próby nawiązania kontaktów spotykały się z lekceważeniem. Biuletyny informacyjne rozprowadzane przez wspólnotę mieszkańców Den-en Chōfu nigdy nie zostały przekazane dalej, a Mitsuko Tanaka, mieszkanka dzielnicy odpowiedzialna za uzupełnianie formularzy dotyczących spisu ludności, miała ogromny kłopot z wypełnieniem dokumentu na temat Obary. Raz udało jej się porozmawiać z gospodynią, która u niego pracowała.

– Była miłą, sympatyczną kobietą. Powiedziała, że on mieszka sam, a ona dla niego gotuje – wspominała pani Tanaka. – Spytałam, jak długo tu pracuje, a ona odpowiedziała, że od kilku dni. Zatrudniła ją agencja pracy tymczasowej, która miała z jego polecenia przysyłać w każdym tygodniu inną pomoc domową.

Nawet tożsamość młodego człowieka mieszkającego w posiadłości w Den-en Chōfu nie była jasna. Na umieszczonej na zewnątrz tabliczce widniało zapisane alfabetem łacińskim nazwisko „OHARA”, pod spodem zaś, mniejszą czcionką – „HOSHIYAMA”. Niezależnie od tego, jak się nazywał, ów młody mężczyzna miał towarzystwo.

– Przychodzili do niego młodzi ludzie, również cudzoziemcy – opowiadała pani Kurosaki. – Posiadłość otaczał wysoki mur. Słysząc jednak było kobiece głosy, więc podejrzewałam, że większość z tych gości to kobiety. Zza bramy dobiegały odgłosy rozmów, zabawy. Nikogo się jednak nie widywało. Nie spacerował po okolicy. Brama się otwierała i przemykał przez nią w swoim odkrytym samochodzie z kobietą u boku, a potem wracał i brama się zamykała.

Pani Tanaka ciągnęła:

– Pamiętam pewną kobietę. Miała długie, ciemne włosy, jak Japonka, ale było w niej coś z cudzoziemki. Pojawiała się dość długo, ale potem już jej nie widziałam. Nawet się zastanawialiśmy, co się stało z tą dziewczyną z długimi

włosami.

Jakim człowiekiem był Obara i w jaki sposób spędzał czas, kiedy nie zajmował się prowadzeniem interesów? Brak danych zdawał się bardziej wymowny niż garść dostępnych faktów; po odsianiu spekulacji, plotek i przypuszczeń zostawały zaledwie strzępki informacji. Szczycił się swoją działalnością charytatywną – w przyszłości będzie twierdził, że ofiarował ponad 100 000 000 jenów na szlachetne cele, między innymi na Japońskie Towarzystwo Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym oraz na Stowarzyszenie na rzecz Pomocy Prawnej. Pomimo koreańskich korzeni (a może właśnie z ich powodu) był gorącym zwolennikiem i wielbicielem japońskiej rodziny cesarskiej – z dumą wspominał dzień, w którym podczas przyjęcia został przedstawiony cesarzowi Akihito i cesarzowej Michiko. Oprócz nieruchomości pod wynajem posiadał firmę Ginza Food, która w najelegantszej dzielnicy Tokio prowadziła niewielką restaurację serwującą tradycyjne dania z makaronem. Kochał klasyczne zagraniczne samochody i w czasie gdy został aresztowany, w jego garażach stały między innymi: BMW, mercedes-benz, ferrari, bentley continental rocznik 1962 oraz ulubiony samochód Jamesa Bonda – srebrny aston martin DB5, model z 1964 roku.

Trudno stwierdzić cokolwiek ze stuprocentową pewnością na temat dorosłego życia Obarę. Przez wiele tygodni badałem jego przeszłość i nie znalazłem nikogo, o kim można by powiedzieć, że był jego przyjacielem. Z jednej strony nie byłoby nic dziwnego w tym, gdyby po aresztowaniu Obarę nikt nie chciał uchodzić za bliską mu osobę. Z drugiej jednak być może nie było nikogo, kto byłby blisko z nim związany. Rozmawiałem z sąsiadami Obarę, dozorcami jego nieruchomości, hostessami, które dotrzymywały mu towarzystwa, sklepikarzami i roznosicielami, którzy go

obsługiwali. Nikt nigdy nie widział go z przyjaciółmi ani nie słyszał, żeby opowiadał o przyjaciółach – innych niż Carlos Santana. Po zatrzymaniu, przez cały ten długi czas, który spędził w areszcie, odwiedził go jeden tajemniczy znajomy, właściciel salonów pachinko, ale poza tym nie przychodził do niego nikt prócz starej matki.

Ci, którzy poznali Obarę po aresztowaniu, odnieśli wrażenie, że jest osobą żyjącą w dogłębnym i wszechogarniającym poczuciu izolacji.

– Miałem do czynienia z różnymi ludźmi – powiedział mi człowiek, który zetknął się z nim po jego zatrzymaniu – ale nie wydaje mi się, żeby on kiedykolwiek miał choć jednego prawdziwego przyjaciela, na którym mógłby polegać. Czasami widzę po jego twarzy, że pragnie polegać na mnie. Nawet w chwilach kiedy jest w dobrym nastroju, można wyczuć dręczącą go samotność. Często żał mi go, bardzo często. To człowiek zupełnie osamotniony. Nie ma nikogo, komu mógłby zaufać, z kim mógłby porozmawiać o różnych sprawach. Czasami myślę, że właśnie dlatego, że nie miał na kim polegać, zaczął w ten sposób podchodzić do kobiet. Nie ma prawdziwych przyjaciół. Trudno powiedzieć, skąd o tym wiem, takie odnoszę wrażenie, kiedy widzę jego spojrzenie i wyraz twarzy. Próbowałem popatrzeć mu prosto w oczy, ale on unika bezpośredniego kontaktu wzrokowego. To skomplikowane uczucie, nie zwykły smutek, ale tragizm. Jest samotny, tak bardzo samotny. Jest w nim coś tragicznego.

Jedyną istotą, którą Obara obdarzył prostym uczuciem miłości, był owczarek szetlandzki, suczka o imieniu Irene, która po śmierci odegrała tak dziwną rolę w sprawie Lucie Blackman. W nielicznych oficjalnych oświadczeniach Obara wspominał ją kilkakrotnie, stąd wiadomo, że najbardziej lubiła karmę mięsną firmy Cesar, a z przekąsek uwielbiała suszoną rybę. Przy bocznym skrzydle drzwi wejściowych do domu w Den-en Chōfu stał naturalnych rozmiarów posąg psa z obnażonymi kłami i lśniącem

ceramicznym językiem. Obara mówił o czworonożnej przyjaciółce: „mój ukochany pies” i „ukochana suczka Irene”. Gdy 6 lipca 1994 roku zdechła, postanowił przechować jej ciało, co też robił przez następne sześć lat.

– Biorąc pod uwagę postęp w dziedzinie klonowania – napisał później – miałem nadzieję, że przywrócę do życia psa, którego tak bardzo kochałem, i złożyłem zwłoki do dużej zamrażarki. Obok nich położyłem kilka róż i parę ulubionych przysmaków.



Interesy Obary przez pewien czas kwitły. Wartość nieruchomości oraz czynsz, którego mógł zażądać właściciel, nieustannie rosły. Po czasie obliczono, że w pewnym momencie jego majątek można było wycenić na 4 000 000 000 jenów, czyli około 30 000 000 dolarów. Jednak Obara miał również długi, które nie przestawały rosnać w latach, gdy rozważniej byłoby zredukować zadłużenie. Cena ziemi w Japonii osiągnęła najwyższy poziom w 1989 roku i już na początku lat dziewięćdziesiątych wiadomo było, że bańka spekulacyjna nieodwracalnie prysła. Tymczasem Obara w 1993 roku założył kolejną firmę, która miała zrealizować jego najambitniejsze do tamtej pory przedsięwzięcie – na miejscu jednego z parkingów w Osace wzniesienie wieżowca z pomieszczeniami biurowymi i handlowymi. Wydano prospekt ze stworzonymi przez grafika wyobrażeniami ukończonej budowli: połyskujące na niebiesko szkło, strzeliste, wyłożone marmurem atrium, na zewnątrz zaś szpikulce, cylindryczne kształty, błyszczące kule umieszczone w metalicznych półksiężycach.

„Wyjątkowo »olśniewająca« futurystyczna »sylwetka« na tle dzielnicy Kita-Shinchi, pełna »ekskluzywnych« sklepów – można przeczytać w ulotce promocyjnej. – Tworzymy »krajobraz« XXI wieku.

Wyróżnione słowa zapożyczono z angielskiego i niezdarnie zapisano je po japońsku: na przykład wyraz „sylwetka”, po angielsku „silhouette”, przemienił się w „shiruetto”, a określenie „ekskluzywne”, po angielsku „high-society”, zmieniło się w „haisosaetii”. Wieżowiec Kita-Shinchi Tower był pretensjonalną i kiczowatą ohydą, architektonicznym bublek zaprojektowanym w stylu niemodnym już w 1993 roku. Nigdy go nie zbudowano. Trzy lata później wierzyciele Obary pozwali go do sądu, chcąc odzyskać niespłacone długi, a w 1999 roku posiadłość w Den-en Chōfu została tymczasowo zajęta przez sąd.

Syn koreańskiego handlarza koniną w rozmowie ze mną powiedział:

– Istniały pewne powody, dla których drugie i trzecie pokolenie nie uczyło się pilnie. Ukończenie najlepszych uniwersytetów w Japonii miało gwarantować wspaniałą karierę zawodową, ale panująca cicha dyskryminacja uniemożliwiała moim rówieśnikom zdobycie naprawdę dobrych posad. Dlatego doskonale potrafię sobie wyobrazić, czemu nie chciał kontynuować nauki w tym środowisku społecznym. Do tego dochodził jeszcze fakt, że był bardzo bogaty, odziedziczył ogromną fortunę, więc nie musiał pracować. Zapowiadał się najlepiej ze wszystkich czterech braci. Co go jednak czekało w drogiej, prywatnej szkole średniej? Alkohol i dziewczyny. Ponieważ miał pieniądze. Nic dziwnego, że stracił motywację. Przypuszczam, że w Stanach Zjednoczonych poczuł się akceptowany takim, jakim był, nie patrzono na to, czy jest Koreańczykiem, czy Japończykiem, patrzono na niego. Jednak po powrocie do Japonii nie powiodło mu się w interesach. Nie miał do tego smykałki. Zmarnował sporą część majątku. Zarobił w czasie gwałtownego wzrostu cen nieruchomości, ale kiedy przyszło załamanie na rynku, podobnie jak inni wiele stracił.

Manabu Miyazaki, pisarz i syn członka jakuzy, powiedział:

– To bardzo typowy scenariusz. Mamy ojca, który odniósł sukces,

imigranta z pierwszego pokolenia, który się dorobił. Jest on jednak prostym człowiekiem, może nawet nie mówi zbyt dobrze po japońsku. Dlatego chce zapewnić synom jak najlepsze wykształcenie. Oni z kolei mają ogromne możliwości, a mimo to nie odnoszą sukcesu. Przejmują interesy ojca, ale nie potrafią ich dobrze prowadzić, choć posiadają odpowiednie środki i wiedzę. Brakuje im siły przebicia, nie są tacy rzutcy jak ojciec. Wykształcili się, ale nie interesuje ich biznes i bez przerwy proszą o pomoc ludzi ze starszego pokolenia. Mimo to nie dają sobie rady. Mają pieniądze, ale nie czują się spełnieni w życiu. Potrzebują wsparcia, ale zamiast niego otrzymują nagany od ojca oraz ludzi z jego pokolenia i stają się zgorzkniali.



Miesiąc po aresztowaniu Obary jego prawnik Yoshinori Hamaguchi w imieniu klienta złożył oświadczenie dziennikarzom zgromadzonym w siedzibie Tokijskiej Policji Miejskiej. Później Obara będzie twierdził, że Hamaguchi⁹³ sam napisał to oświadczenie i że on po raz pierwszy zobaczył je na oczy dopiero, gdy zostało opublikowane. Jednak styl i treść tekstu pasowały do tych wypowiedzi, które Obara miał dopiero wygłosić.

„W przeszłości angażowałem się w czynności seksualne z różnymi zagranicznymi hostessami i paniami do towarzystwa, które były niczym więcej jak zwykłymi prostytutkami” – czytamy na samym początku.

Obecnie jestem zatrzymany, ponieważ dawałem prostytutkom pieniądze za SEKSUALNĄ ZABAWĘ, którą nazywam „zabawą w podbój”. Odnośnie do sprawy, za którą zostałem aresztowany: nie pamiętam dokładnie, ponieważ zdarzyło się to kilka lat temu, ale odbywałem stosunki płciowe z niektórymi z tak zwanych ofiar. Wszystkie pracowały jako zagraniczne hostessy albo panie do towarzystwa. Większość z nich zażywała na moich oczach kokainę lub inne narkotyki. Wszystkie chętnie przyjmowały pieniądze w zamian za SEKSUALNĄ ZABAWĘ, a ja zawsze płaciłem wskazane sumy. Dlatego nie uważam, że bym był

winny gwałtu lub czynu lubieżnego [...]

Policja twierdzi, że dotrze do każdej zagranicznej hostessy, która uprawiała ze mną SEKSUALNĄ ZABAWĘ, każdą z nich nakłoni, aby wniosła przeciwko mnie skargę, i będę dopóty pozostawał w areszcie, dopóki śledczy nie znajdą zaginionej Lucie Blackman. Co więcej, przymyka się oczy na nielegalne praktyki, między innymi na zażywanie narkotyków, pracę bez pozwolenia, prostytutkę itd., których dopuszczają się zagraniczne hostessy. Chcą zrobić ze mnie kozła ofiarnego i obarczyć winą za wszystko.

Odnosnie do panny Lucie Blackman: obsługiwała mnie w klubie z zagranicznymi hostessami tylko raz i przedstawiła mnie pewnemu mężczyźnie. Później w mojej skrzynce z pocztą elektroniczną znalazłem dziwny adres, dziwne listy i zaczęły się wydarzać różne dziwne rzeczy. Wielu z nich nie rozumiem.

Pod koniec października doświadczeni śledczy prowadzący tę sprawę (inspektor Y, podinspektor I) oznajmili mi z całą powagą, że w Wielkiej Brytanii zaobserwowano niebezpiecznego mężczyznę i że podejrzany obywatel brytyjski przyjechał do Tokio (zrozumiałem, że chodzi o snajpera). Czuję się, jak gdybym został wciągnięty w jakąś większą rozgrywkę, i myślę, że zostałem wrobiony, ale nie mam nic wspólnego z zaginioną Lucie Blackman [...] Media robią ze mnie przestępcę odpowiedzialnego za zniknięcie panny Lucie. To nieprawda [...]

Tokijska Policja Miejska powtarza, że zaginięcie Lucie Blackman to bardzo ważna sprawa i że muszą ją szybko rozwiązać. Myślę, że naciska ich premier Mori, dlatego uważają, że jeśli wkrótce nie zakończą dochodzenia, ucierpi na tym interes narodowy [...] Odnoszę wrażenie, że Japonia zmierza do tego, aby ponownie stać się państwem policyjnym [...] Władze robią, co mogą, żeby przedstawić mnie w jak najgorszym świetle. Chcą mnie wrobić. Policja mówi, że w końcu zatrzymają kogoś odpowiedzialnego za zaginięcie Lucie, ale dopóki tego nie zrobią, będą cały czas trzymać mnie w areszcie pod zarzutem kolejnych czynów lubieżnych i SEKSUALNYCH ZABAW z zagranicznymi hostessami. Mam nadzieję, że wkrótce złapią prawdziwego przestępcę.

W innych okolicznościach ten zaskakujący dokument mógłby zostać odebrany jako budzące współczucie i przekonujące świadectwo przestraszonego, samotnego ekscentryka, którego jedynym przewinieniem było zadawanie się z prostytutkami i który został wrobiony przez policję

rozpaczliwie pragnącą zamknąć wyjątkowo kłopotliwą sprawę. Jednak ta wersja wydarzeń nie wytrzymała w zderzeniu z faktami, które zaczęły wychodzić na jaw. Ponieważ w czasie gdy milczący Obara siedział w celi, komisarz Udo i jego ludzie na innym piętrze tego samego budynku oddawali się nowemu dla japońskich śledczych zajęciu: przeglądaniu tysięcy przedmiotów zebranych w domach i mieszkaniach i próbie udowodnienia winy na podstawie dowodów rzeczowych podejrzanemu, który odmawia składania zeznań.

⁷⁹ D.T. Johnson, *Japanese Way of Justice*, dz. cyt., s. 158. Rozdział (s. 243–275) na temat roli wyznania winy w japońskim wymiarze sprawiedliwości oraz na temat sposobów, w jaki się to wyznanie uzyskuje, jest fascynujący i mrozący krew w żyłach.

⁸⁰ Tamże, s. 237.

⁸¹ Tamże, s. 243.

⁸² Tamże, s. 255.

⁸³ Komisarz Udo nie uczestniczył osobiście w przesłuchaniach Obary, które nadzorował oficer wydziału dochodzeniowo-śledczego Yamashiro.

⁸⁴ List do autora od Shinyi Sakanego, prawnika reprezentującego Jojiego Obarę, 14 września 2005.

⁸⁵ Informacje na temat śmierci, pogrzebu oraz podziału majątku Kim Kyo Haka zostały zaczerpnięte z publicznych dokumentów firm należących do rodziny Kim/Hoshiyama; rozmów z sąsiadami rodziny Kim/Hoshiyama w Kitabatake, lipiec 2007; rozmów ze źródłem zbliżonym do rodziny Kim/Hoshiyama, Osaka, maj 2006; artykułów w czasopiśmie „Shukan Bunshun”, 22 lutego 2001, i „Shukan Josei”, 21 listopada 2001; oraz ze sporządzonego przez Tokijską Prokuraturę aktu oskarżenia przeciwko Jojiemu Obarze, 14 grudnia 2000.

⁸⁶ Shinya Sakane w liście napisanym w imieniu Obary zaprzeczył wszelkim sugestiom dotyczącym związku świata przestępczego ze śmiercią ojca Obary.

⁸⁷ Cyt. za: *The Truth About the Lucie Case*, dz. cyt., s. 753.

[88](#) Rozmawiałem z czterema kolegami Seishō Hoshiyamy ze szkoły średniej przy Uniwersytecie Keio, ale żaden z nich nie pamiętał, aby słyszał cokolwiek o wypadku Hoshiyamy i o jego pobycie w szpitalu.

[89](#) Rozmowa z osobą zblizoną do rodziny Kim.

[90](#) Rozmowa z osobą zblizoną do rodziny Kim.

[91](#) Informacje na temat działalności gospodarczej Obary pochodzą z udostępnionej mediom przez Tokijską Policję Miejską listy firm Obary; z dokumentów publicznych tych firm; z rozmów z ludźmi zblizonymi do sprawy; oraz z artykułów *Obara Hid Identity with Dozens of Aliases*, dz. cyt.; i *Blackman Suspect Obara Threw Nothing Away, Even Evidence*, „Kyodo News”, 16 lutego 2001.

[92](#) *Obara Hid Identity...*, dz. cyt.

[93](#) *The Truth About the Lucie Case*, dz. cyt., s. 758. W publikacji tej określa się go mianem: „prawnik H.”.

ROZDZIAŁ 16

ZABAWA W PODBÓJ

JOJI OBARA UWIELBIAŁ SUSHI, lubił potrawy wyrefinowane i bardzo drogie. Przystań Zushi, gdzie rosły palmy i gdzie miał mieszkanie, była miejscowością letniskową. Sąsiedzi rzadko znali się nawzajem i nikt z osób zajmujących apartamenty obok numeru 4314 nie pamiętał Obary. Niemniej jednej rodzinie zapadł w pamięć: właścicielom miejscowego baru z sushi.

Nigdy nie pokazał się w barze osobiście, ale zamawiał bardzo wiele dań przez telefon. Zwykle przez wiele tygodni nic się nie działo, potem zaś dzwonił z zamówieniami codziennie przez trzy dni z rzędu. Zawsze prosił o tokujo, czyli specjalność szefa kuchni – dziewięć kawałków najświeższych i najbardziej soczystych brzuszków tuńczyka, ikrę dorsza oraz jeżowca ze skropionymi octem kulkami ryżowymi – a także o awabi, czyli abalone, danie ze ślimaków morskich zwanych uchowcami, których gumowate mięso było najdroższą pozycją w menu. Ulubioną potrawą Obary była kimo, wątróbka uchowca, danie uznawane za egzotyczne nawet w Japonii. Wśród znawców owoców morza awabi cieszyło się opinią afrodyzjaku; wyjątkowo silne działanie ponoć posiadały zwłaszcza wnętrzości uchowca. Ślimaki te były również przysmakiem typowym dla okresu bańki spekulacyjnej, miały świadczyć o znawstwie i ekstrawagancji ich koneserów: w restauracji

w Zushi jedna porcja kosztowała 6000 jenów.

Młodemu mężczyźnie, który dostarczał zamówienia, Obara utkwiał w pamięci, i to jeszcze zanim zaczęło się zamieszanie z policją i ekipami telewizyjnymi, którzy po pewnym czasie dotarli do właścicieli baru i doręczyciel musiał powtarzać swoją opowieść dziesiątki razy.

– Są ludzie, na których nie zwraca się uwagi, ale w nim było coś szczególnego – opowiadał. – W mieszkaniu panowała dziwna atmosfera, przyprawiająca o gęsią skórkę. Pamiętam, że za każdym razem kiedy dzwoniłem, tuż przed otwarciem drzwi odkasliwał dwa razy: „ekh, ekh”. Często miał na sobie biały szlafrok i ciemne okulary, mimo że znajdował się w domu. Światło było przyćmione, trudno było dostrzec jego twarz. Ale czułem pewien zapach, coś jakby kadzidełka. Kadzidełka i cygara. Może woda kolońska. Nigdy nie widziałem w mieszkaniu nikogo oprócz niego. Nigdy nie widziałem damskich butów w przedpokoju. Ale jedzenia, które zamawiał, było za dużo jak dla jednej osoby. Zawsze prosił o paragon, zwykle wychodziło 9000 jenów albo więcej. Mówił cicho, był dość uprzejmy. Tylko raz, kiedy zapomniałem przywieźć kimo, zadzwonił do baru i się poskarżył. Uwielbiał to danie.



Joji Obara skrupulatnie zapisywał historię swoich kontaktów seksualnych⁹⁴, poczynając od kwietnia 1970 roku, kiedy to miał siedemnaście lat. W sądzie stwierdzi, że były to jedynie fantazje, ale nawet jeśli część z tych fantazji stanowiła prawdę, można go uznać za wyjątkowego kobieciarza. Zostanie skazany za dziewięć gwałtów, jednak to zaledwie ułamek jego aktywności seksualnej uwiecznionej na papierze, zdjęciach i kasetach wideo znalezionych przez śledczych w domu w Den-en Chōfu oraz w mieszkaniach

w centrum Tokio i w przystani Zushi. Zarejestrowane akty nie przedstawiały gwałtownych wybuchów przemocy i gniewu. Z wypowiedzi osób, które zajmowały się przeglądaniem dowodów rzeczowych, nie chodziło nawet o zaspokojenie apetytu seksualnego, a przynajmniej nie przede wszystkim o to. W zgromadzonych przez policję dokumentach oraz w zeznaniu sądowym Obara szczegółowo opisał swoje techniki i upodobania seksualne. Nazywał je „zabawą w podbój”.

Mieszkanie w przystani Zushi nazywał *kyōten*⁹⁵, co oznacza „przyczółek” albo „centrum” i kojarzy się ze strategicznym punktem, bazą. Przechowywał tam sprzęt do tworzenia nagrań wideo, między innymi profesjonalne oświetlenie, oprócz tego do sufitu nad łóżkiem przytwierdził haki pozwalające odpowiednio umieścić ofiarę. Nie każda kobieta, która gościła w tym mieszkaniu, została zgwałcona; Obara, mężczyzna drobnej postury, nigdy nie doprowadzał do fizycznego starcia z ofiarą. Wynik „zabawy” zależał tylko od tego, czy udało mu się podstępem doprowadzić kobietę do utraty przytomności. Jeśli nie, wychodziła z całej sytuacji bez szwanku, jedynie z niejasnym poczuciem skrępowania i towarzyskiego dysonansu.

Minęło wiele tygodni, zanim Obara się przyznał, ale śledczy szybko rozwiali jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, czy Lucie była w przystani Zushi. W mieszkaniu zebrano setki kosmyków włosów. Porównanie z fragmentami DNA pobranymi z obciętych paznokci dostarczonych przez Jane i Tima Blackmanów wykazało, że kilka pasemek należało do ich córki. Niewywołana rolka filmu, jedna z wielu, które odkryto, zawierała dwa zdjęcia, ostatecznie fotografie zrobione Lucie za życia. Na jednej dziewczyna stała oparta o barierkę, za nią widniało morze oraz majaczące po drugiej stronie zatoki miasto i wzgórze. Była ubrana w krótką czarną sukienkę, wokół szyi połyskiwał łańcuszek z wisiosem w kształcie serca, okulary przeciwsłoneczne miała wsunięte we włosy nad czołem. W prawej ręce

trzymała puszkę piwa; uśmiech, nawet jeśli wymuszony, wydawał się naturalny. Jedyne ułożenie lewej ręki, odsuniętej od ciała pod dziwnym kątem i ustawionej w niewygodnej pozycji, zdradzało napięcie i sztuczność całej sytuacji: Lucie udawała zadowolenie, aby uszczęśliwić nieznanego, który obiecał jej telefon komórkowy.

Eksperti szczegółowo przeanalizowali fotografię i policji udało się bardzo dokładnie zlokalizować miejsce przy przystani, gdzie stała Lucie. Pogoda, kąt padania promieni słonecznych, widok miasta w oddali, nawet pozycja boi unoszącej się na wodzie po prawej stronie dziewczyny – wszystko zgodnie wskazywało na to, że zdjęcie zostało zrobione 1 lipca 2000 roku.

Odnaleziono również telefony na kartę, z których połączenia tak wytrwale sprawdzano. Poza tym trafiono na popularną wśród japońskich biznesmenów męską torebkę zawierającą dwa interesujące przedmioty. Pierwszym z nich był rachunek za gaz, na którym zanotowano numer jednego z telefonów na kartę – tego, z którego Lucie dzwoniła do Louise i do Scotta. Drugim przedmiotem była saszetka z proszkiem. Analizy wykazały, że znajdował się w niej flunitrazepam, środek nasenny o bardzo silnym działaniu. Nazwa tej substancji niewiele mówiła, w Japonii stosowano ją rzadko, tylko w leczeniu poważnych przypadków bezsenności. Jednak stworzony na bazie tego związku preparat pod nazwą Rophynol wywoływał o wiele więcej skojarzeń – był to okryty złą sławą środek często stosowany jako tak zwana pigułka gwałtu. Policja znalazła również próbki innej substancji powszechnie stosowanej do tych samych celów – kwasu 4-hydroksybutanowego, w skrócie zwanego GHB – oraz trzynaście butelek chloroformu, w tym dwie nieotwarte.

Ilość dokumentów wyniesionych z mieszkań – od grubych zeszytów i dzienników począwszy, na pożółkłych dziesięcioletnich paragonach

skończywszy – wydawała się nieprzebrana. Policjanci i prokuratorzy musieli przejrzeć wszystkie te papiery w poszukiwaniu obciążających informacji. Niemniej bardzo szybko, twierdziła jedna z japońskich gazet, trafiono na listę z nazwiskami około sześćdziesięciu kobiet⁹⁶, Japonek i cudzoziemek. Obok nazwisk znajdowały się pseudonimy, prawie za każdym razem inny, które Obara przybierał na przestrzeni lat: Yūji, Kōji, Kazu, Kowa, Honda, Saito, Iwata, Iwasaki, Akira. Lista obejmowała wiele lat wstecz; niektóre kobiety były wymienione tylko z imienia i nazwiska, przy innych zaś umieszczono numery telefonów oraz adresy.

Funkcjonariusze znaleźli także paragony pochodzące z kilku wypraw do sklepów, na które Obara udał się na początku lipca. W niedzielę, 2 lipca, dzień po zaginięciu Lucie, od handlarza niedaleko Blue Sea Aburatsubo kupił dziewięć kilogramów suchego lodu oraz skrzynię. Następnego dnia wrócił i dokupił kolejne dziewięć kilogramów lodu.

– To dla dużego psa, który zdechł?⁹⁷ – spytał handlarz, a Obara potwierdził.

We wtorek, 4 lipca, pojechał do tokijskiego oddziału L.L. Bean, sklepu ze sprzętem turystycznym, gdzie nabył między innymi trzy dwuosobowe namioty, trzy karimaty, składany stolik, trzydziestolitrową lodówkę, latarki oraz śpiwór. W ten sam dzień w sklepie z artykułami żelaznymi zaopatrzył się w ręcznik, trzy worki cementu, pięć puszek domieszki przyspieszającej twardnienie cementu, mieszadło, plastikową skrzynię, pędzel, wiadro i miotłę. W trzecim sklepie kupił dłuta, młotek, drut, nóż, nożyczki, rękawiczki, plastikowe torby, siekierę, piłę ręczną oraz piłę łańcuchową. Sprzedawcy z niektórych z tych sklepów pamiętali, że Obara zadzwonił dzień wcześniej, informując, czego dokładnie potrzebuje, i upewniając się, czy wszystkie wymienione towary są w sprzedaży.

Wśród dokumentów znalazły się także notatniki i dzienniki zapisane

pismem Obary, pochodzące jeszcze z czasów szkoły średniej, a także kasety magnetofonowe z nagraniami rozmów telefonicznych oraz monologów, w których mówił o swoich zamiarach i postanowieniach. Szczególnie cennym źródłem materiałów dowodowych okazał się segregator zawierający luźne kartki papieru szczegółowo opisane w dokumencie przygotowanym przez prokuraturę:

Oskarżony wymienia nazwiska kobiet⁹⁸, z którymi utrzymywał kontakty seksualne od 1970 roku, oraz relacjonuje przebieg stosunków płciowych. W notatniku zaczynającym się od wpisu: „Podałem środki nasenne”, opatrzonego datą kwiecień 1970 roku, opisuje akty płciowe z różnymi kobietami odurzonymi środkami nasennymi i chloroformem [...]

Na początku dziennika znajduje się zestawienie liczby osób, z którymi odbywał stosunki seksualne w poszczególnych latach, na przykład: „1990 rok – dziewięć osób, 1991 rok – dziewięć osób”, oraz zestawienie narodowości osób, z którymi odbywał stosunki seksualne [...] znajduje się tam również zapis przebiegu stosunków płciowych z dwustu dziewięcioma kobietami, do których doszło między 1970 rokiem, kiedy podejrzany miał siedemnaście lat, a 1995 rokiem, kiedy miał trzydzieści trzy lata.

[...] W jednej z notatek (1970 rok, czwarta kobieta) można przeczytać, co następuje: „Upiłem kobietę i podałem jej środek nasenny, ale nie mogłem odbyć z nią stosunku, ponieważ była dziewicą”, co odnosi się do pewnego doświadczenia w 1969 roku. Można również znaleźć wzmianki o stosowaniu różnych substancji: „metakwalon” [środek uspokajający sprzedawany pod nazwami handlowymi hyminal lub quāālude] (1970 rok, trzecia kobieta), „chloroform, środek nasenny” (1973 rok, kobieta numer 26), „SMYK (środek nasenny)” (1981 rok, kobieta numer 63), „specjalny SMY (środek nasenny)” (1983 rok, kobieta numer 95), „CRO... HOL (chloroform)”, „SMY” (1983 rok, kobiety numer 97, 98) oraz „lody sMY”. Można wnioskować, że od początku swojej aktywności wielokrotnie dopuszczał się gwałtów po uprzednim odurzeniu ofiary środkami nasennymi i chloroformem.

Ponadto oskarżony pisze, że uprawianie seksu z kobietami odurzonymi środkami nasennymi to jego sposób działania. Na przykład:

„Robię to w mieszkaniu w taki sam sposób jak zwykle. SY (środek nasenny) zadziałał dobrze, ale CRORO (chloroform) został podany niepotrzebnie i (kobieta)

mocno wymiotowała”. (Kobieta numer 150).

„Uśpiłem ją w mieszkaniu, podając lody SMY z czekoladą, potem było PV (film pornograficzny)”.

Pisze, że od około 1983 roku robił zdjęcia i filmował kamerą wideo sceny gwałtu, na przykład: „całościowe VTR (nagranie wideo) nr 1” (kobieta numer 139), „PV (film pornograficzny)”, „PP (zdjęcie pornograficzne)” (kobieta nr 160), „przejażdżka do Zushi, jak zwykle, FC (fuck – pieprzenie), PV” (kobieta numer 162).

Policja oczywiście natychmiast rzuciła się na filmy wideo. W mieszkaniach było ich pełno, niektóre nieopisane, inne z nabazgranymi na nalepce imieniem kobiety i datą. Najwcześniejsze pochodziły z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, część została zarejestrowana w przestarzałym formacie betamax. Śledczy dokopali się do magnetowidów zdolnych odtworzyć stare taśmy, odkurzyli je, a następnie pracując na zmiany, oglądali jeden po drugim drgające obrazy, przewijali nagrania i skrzętnie zapisywali ich treść oraz długość. Szybko stało się jasne, że filmy powielały ten sam schemat.

Nagrania były kolorowe i dobrej jakości. Niektóre zaczynały się od krótkiego wstępu, na którym ukazana była ta lub inna roześmiana młoda kobieta unosząca szklankę i pijąca. Potem następowało gwałtowne cięcie i natychmiastowe przejście do kluczowej sceny: ta sama młoda kobieta leżała naga na łóżku. Miała zamknięte oczy, nie ruszała się, ale było widać, że powoli oddycha. Czasami leżała na brzuchu, czasami na plecach, często jej nogi były przywiązane do haków, aby pozostawały rozłożone. Po obu stronach łóżka stały silne lampy oświetlające miejsce akcji, która miała się rozegrać.

Kamera nie poruszała się ani nie chwiała, jak gdyby stała na trójnogu. Po chwili w kadrze pojawiał się mężczyzna. On również był nagi.

– Miał zwyczajne ciało – powiedziała mi osoba, która oglądała filmy. – Nie wyglądało na to, żeby uprawiał jakiś sport albo ćwiczył, było to zwykłe ciało mężczyzny w średnim wieku. – Tylko jedna rzecz wywoływała zdumienie i przyprawiała o gęsią skórkę: na wielu nagraniach mężczyzna nosił maskę.

Rozmawiałem z trzema osobami, które widziały nagrania lub szczegółowe akta zawierające fotosy z filmów, i każda z nich inaczej zapamiętała tę maskę. Jeden z rozmówców twierdził, że była szara i zakrywała całą twarz niczym u przestępcy napadającego na bank, drugiemu kojarzyła się z maską Zorro – czarną, zasłaniającą jedynie oczy, trzeciemu przywodziła na myśl futro tygrysa, gdyż ponoć była żółta w czarne pasy.

Penis mężczyzny w masce był w stanie erekcji. Bohater filmu pod nieruchomym spojrzeniem kamery rozpoczynał długi i drobiazgowy proceder wykorzystania nieprzytomnej kobiety.

– Robi różne rzeczy⁹⁹ – powiedział pewien człowiek, który przeglądał akta. – Czasami w normalnej pozycji. Czasami jest to seks analny. Czasami używa [...] przyrządów i przedmiotów. Instrumentów, których używają lekarze. Zagląda do środka, jeśli rozumie pan, o czym mówię. I ogórek... wkłada go. Jego penis [...] jest w normalnym stanie. Po obu stronach łóżka stały lampy i czasami kiedy [...] uprawiał seks, robił się nieuważny i lampy dotykały nagiego ciała kobiety.

Kamera nie obejmowała dwóch ekranów telewizyjnych¹⁰⁰. Obara później wyjaśniał, że jeden z nich wyświetlał film pornograficzny, drugi zaś ukazywał relację na żywo z tego, co działo się na łóżku, z „zabawy”, którą urządzał. Obara spoglądał na ekrany, aby dodatkowo się pobudzić.

– Miał bardzo silny popęd płciowy – opowiadała osoba, która widziała nagrania. – Był cały czas aktywny, w ogóle nie odpoczywał. – Po zakończeniu jednego aktu płciowego, zaczynał kolejny. Zdarzały się dwie,

czasami nawet trzy taśmy wideo z nagraniami z tą samą kobietą podczas jednej sesji, która potrafiła się ciągnąć godzinami. – Traktuje kobiety jak rzeczy, nie jak ludzi – usłyszałem. – One nie dają żadnych oznak życia, nie wydają właściwie żadnych odgłosów. – Jeżeli jedna z ofiar zdawała się wychodzić ze stanu otępienia, Obara za każdym razem robił to samo: brał ścierkę albo gazę i przytrzymywał ją pod nosem ofiary, bardzo blisko twarzy, ale nigdy jej nie dotykając. Po tym zabiegu kobieta znów przestawała się ruszać.

Istniały ogromnie rozbieżne dane na temat liczby taśm wideo. W jednej relacji stwierdzono, że policja znalazła ich tysiąc¹⁰¹, w innej pojawiała się liczba 4800. Komisarz Udo mówił o 170 nagraniach z ponad 150 różnymi kobietami. Jednak sąd odnotował istnienie 40 kaset, a sam Obara twierdził, że było ich zaledwie 9. Według komisarza Udo ponad połowę partnerek Obary stanowiły cudzoziemki, ale ofiarami padały również Japonki. Obie grupy kobiet oprócz rasy dzieliła jeszcze jedna rzecz.

Większość dziewcząt z zagranicy wyglądała na typowe hostessy: były wysokie, szczupłe, zadbane, umalowane i często, choć nie zawsze, jasnowłose. Japonki z kolei wyglądały zupełnie inaczej. Wiele z nich było mocno zbudowanych i pulchnych, szczerze mówiąc zwyczajnie grubych, i brakowało im urody cechującej cudzoziemki.

– Jeśli chodzi o Japonki, wolę¹⁰², żeby były brzydkie i nie miały kobiecych kształtów – powiedział później Obara. – Często z nimi rozmawiałem [przez telefon] i nauczyłem się rozpoznawać, jakie mają ciało. Te o oschłym głosie były chude, te o wilgotnym głosie były grube. – Stwierdził również: – Lubię brzydkie dziewczyny. Wybranie brzydkiej dziewczyny to część zabawy. Lubię brzydkie zabawy z brzydkimi dziewczynami.

Swoje zagraniczne partnerki wybierał według tych samych kryteriów, tak

przynajmniej utrzymywał.

– Wszystkie zagraniczne hostessy są brzydkie¹⁰³ – oznajmił. – Nie chodzi o ich wygląd, ale o ich umysły. – Wiele lat później opublikowano po angielsku relację z „zabawy w podbój” przedstawioną z punktu widzenia Obary. Pełno w niej celowych przeinaczeń i pokrętności, oddaje jednak charakter jego działań.

Przed rozpoczęciem „zabawy” oskarżony nalewa do szklanki¹⁰⁴ trochę wstrętnego, pachnącego spalenizną płynu nazwanego „filipińską wódką”. On i jego „partnerka” piją [sic!] na zmianę z tej samej szklanki. Oskarżony wypija dwie szklanki płynu.

Podczas rozprawy sądowej wyraźnie zaznaczono, że Obara po wypiciu traci resztki zahamowań. Następnie oskarżony zażywa dużą dawkę środka pobudzającego. Jego „partnerka”, która nadal pije „filipińską wódkę”, traci przytomność. Wtedy oskarżony zakłada maskę i zaczyna „zabawę”. Maską sprawia, że zmienia się on w kogoś innego, nadzwyczajnego. Może przystąpić do wstrętnej „zabawy”.

Oskarżony najbardziej lubił się „bawić” z zagranicznymi hostessami z barów, ćpunkami i smarkulami (o podłym charakterze), tak zwanymi sukami [...] „Partnerki do zabawy” wybierał również spośród tych [Japonek], które szukały męskiego towarzystwa przez telefon. W takich wypadkach oskarżony wołał pulchne, niemające talii kobiety, które często porównywano do świń albo hipopotamów. Zamaskowany Obara urządzał brzydką „zabawę” z brzydkimi kobietami.

Po aresztowaniu Obary ponownie zaproszono Clarę Mendez do siedziby śledczych prowadzących dochodzenie. Policja pokazała jej fotosy z filmów nagranych tej nocy 1996 roku, kiedy pojechała do mieszkania Jojiego Obary w Zushi i straciła przytomność po wypiciu drinka.

– Oszczędzili mi najgorszych fragmentów – opowiadała. – Pokazali tylko zdjęcia, ujęcia z filmu, żebym mogła się zidentyfikować. Przedstawiały mnie samą, nieprzytomną, leżałam na łóżku w ubraniu. [...] Dostałam gęsiej skórki.

Wyglądałam jak lalka, lalka w kształcie dziewczyny.



Na liście z wykazem nazwisk i nagrań policjanci odnaleźli inne znane im kobiety: Katie Vickers i Christę Mackenzie. Oprócz tego dzwonili pod zamieszczone na niej numery telefonów, udawali się pod wskazane adresy i tym sposobem zidentyfikowali kilkanaście innych dziewczyn. Wiele informacji było zbyt mało precyzyjnych, aby pozwalały na dotarcie do ofiar, oprócz tego sporo cudzoziemek dawno już wyjechało z Japonii w nieznanym kierunku. Kilka odnalezionych osób powodowanych wstydem, skromnością lub pragnieniem puszczenia całego zdarzenia w niepamięć nie zgodziło się na współpracę. Część spraw trudno byłoby oddać do sądu z różnych innych przyczyn – na przykład sprawę Isobel Parker, która sama poczyniła kroki przeciwko Obarze i skutecznie go szantażowała. Śledczy znaleźli jednak kilka kobiet, których sprawy podparte dowodami w postaci filmów wideo oraz wiarygodnych zeznań miały duże szanse w sądzie.

17 listopada prokuratura oficjalnie oskarżyła Obarę o odurzenie i zgwałcenie Katie Vickers. Natychmiast aresztowano go ponownie na podstawie podejrzenia o te same czyny, tyle że tym razem jako ofiarę wskazano trzydziestojednoletnią Japonkę Fusako Yoshimoto¹⁰⁵. 8 grudnia postawiono mu oficjalne zarzuty w tej sprawie, po czym aresztowano go w związku z podejrzeniem o odurzenie i gwałt na dwudziestoletniej Itsuko Oshiharze, a następnie, już w 2001 roku, w związku z podejrzeniem o dopuszczenie się czynów karalnych na dwudziestopięcioletniej Megumi Mori. Tym razem do standardowych zarzutów o odurzenie i gwałt doszło spowodowanie oparzenia nogi – powstałe w wyniku oparcia rozgrzanej lampy o skórę nieprzytomnej kobiety.

Dzień po zaginięciu Lucie, jak ustaliła policja, Obara zadzwonił na straż pożarną w Zushi, prosząc o połączenie z komendą główną. Według jednej z gazet miał oznajmić:

– Stało się coś poważnego¹⁰⁶. Proszę powiedzieć, gdzie się znajduje najbliższa izba przyjęć. – Następnie zadzwonił pod wskazany numer. Na izbie odnotowano rozmowę, w której pytał o godziny otwarcia, ale więcej o nim nie słyszano. Kilka dni później pojawił się szpitalu w Tokio, gdzie udzielono mu pomocy w zakresie wysypki spowodowanej dotknięciem gąsienicy.

Śledczy byli pewni, że wiedzą, co się wydarzyło. Uważali, że Obara odurzył i zabił Lucie, a następnie w jakiś sposób pozbył się jej ciała. Jak jednak mogli to udowodnić? Lucie nie figurowała na liście nazwisk, nie było nagrania, które przedstawiałoby ją. Można było wykazać, że ona i Obara spędzili razem tamto popołudnie oraz że po jej zaginięciu Obara zachowywał się podejrzanie. Ale co dokładnie jej zrobił? I gdzie Lucie była teraz?

Funkcjonariusze przeszukali ogród domu w Den-en Chōfu oraz otwarte tereny w pobliżu innych nieruchomości Obary, wprowadzając w glebę wydrażone kije bambusowe. Sześciu policjantów ze specjalnie wyszkolonymi psami przeczesano plażę i klify nieopodal Blue Sea Aburatsubo. Była to ciężka praca, ponieważ obszar ten porastały bujne trawa i chwasty, zaścielały śmiecie i istniała obawa, że działania ekip poszukiwawczych wypłoszą jadowite węże.

⁹⁴ „Uzasadnienie apelacji”, numer 1294, Prokuratura Tokijska 2007, s. 68, 69.

⁹⁵ Tamże, s. 71.

⁹⁶ *Obara Hid Identity...*, dz. cyt.

⁹⁷ Rozmowa z Wataru Fujisakim.

98 „Uzasadnienie apelacji”, dz. cyt., s. 69–70.

99 Na podstawie rozmów z Toshiakim Udo oraz z dwiema innymi osobami, które widziały fotosy załączone do akt.

100 Zeznania Jojiego Obary w Tokijskim Sądzie Okręgowym, 8 marca 2006.

101 *Obara Indicted over 1992 Death of Australian Woman*, „Kyodo News”, 16 lutego 2001; oraz *Police View 4800 Videos from Obara’s Condominium*, „The Daily Yomiuri”, 10 kwietnia 2001.

102 Zeznania Jojiego Obary w Tokijskim Sądzie Okręgowym, 8 marca 2006.

103 Tamże.

104 Informacja pochodzi z witryny internetowej „Prawda na temat sprawy Lucie”, http://lucies-case.to.cx/case1_e.html, czerwiec 2010.

105 Nazwiska Fusako Yoshimoto, Itsuko Oshihara i Megumi Mori są pseudonimami.

106 *Photograph Links Obara to Blackman*, „The Daily Yomiuri”, 17 lutego 2001.

ROZDZIAŁ 17

CARITA

DLA RODZINY I PRZYJACIÓŁ LUCIE aresztowanie Jojiego Obarę było niewielkim pocieszeniem. Wiadomość o jego zatrzymaniu w żaden sposób nie zmniejszyła bólu i niepewności, które ich dręczyły. Tokijska policja nie podzieliła się z Blackmanami swoim przekonaniem, że Lucie nie żyje – w rzeczywistości od chwili aresztowania Obarę prawie w ogóle nie przekazywali rodzinie zaginionej żadnych informacji. Blackmanowie mieli ogólne rozeznanie w sytuacji dzięki przeciekom trafiającym do japońskich, a czasami również brytyjskich gazet, które publikowały ciekawostki dotyczące śledztwa. Specjalna linia w sprawie Lucie sporadycznie dostarczała bezużytecznych informacji. Louise Phillips, która w końcu po tygodniach przesłuchań poleciała z powrotem do domu, została poinstruowana przez policję, aby nic nie mówić Blackmanom. Tim i Sophie ponownie pojechali do Tokio w połowie listopada, jednak podczas spotkania z nimi komisarz Mitsuzane podtrzymywał oficjalną wersję – na chwilę obecną Obara jest podejrzany o szereg gwałtów i mimo że policja nadal wytrwale prowadzi śledztwo w sprawie zniknięcia Lucie, nie można stwierdzić, aby istniał związek między tymi dwiema sprawami.

Podczas konferencji prasowej zorganizowanej po spotkaniu

z komisarzem Tim zachowywał się nerwowo, a z jego ust padły nieszczęśliwe wypowiedzi zaprawione charakterystycznym dla niego osobliwym, niepasującym do kontekstu sytuacji poczuciem humoru.

– Na ile optymistycznie spogląda pan w przyszłość i wierzy pan, że odnajdzie Lucie? – zapytał jeden z dziennikarzy.

– Nadzieja i optymizm nigdy nie umierają – odpowiedziała Sophie, spoglądając na ojca.

Tim na to odrzekł:

– W rzeczywistości sprawy wyglądają tak, że Lucie zaginęła cztery miesiące temu i zawsze istnieje możliwość, że nie ma jej już wśród nas. Trzeba stawić czoła tej świadomości. Wcześniej było pięćdziesiąt na pięćdziesiąt procent szansy, teraz jednak moim zdaniem prawdopodobieństwo, że nie żyje, wynosi osiemdziesiąt procent.

– Ja powiedziałabym, że szanse obecnie wynoszą sześćdziesiąt do czterdziestu – wtrąciła się Sophie.

Tim uśmiechnął się nienaturalnie.

– Zderzenie realizmu wieku dojrzałego z optymizmem wieku młodzieńczego.

Zbliżało się Boże Narodzenie, trudny czas w każdej rodzinie podzielonej rozwodem. Tamtego roku wszyscy Blackmanowie obawiali się, że świąteczny okres unaoczni pustkę, która powstała w ich życiu. Jane, Sophie i Rupert uciekli na Barbados, gdzie pierwszy dzień świąt spędzili, opalając się na plaży, najdalej jak to możliwe od spraw i miejsc przypominających o Lucie. Tim został w domu na wyspie Wight razem z Josephine i jej dziećmi.

– Próbowałem umieścić Lucie w jednym konkretnym miejscu w mojej głowie – opowiadał. – Nie chciałem, żeby to koszarne przeżycie przesłoniło całą resztę. Dobiegałem pięćdziesiątki. Miałem trójkę własnych dzieci

i opiekowałem się czwórką dzieci Jo. Oczywiście Lucie była ważna, ale musiałem poświęcać czas i uwagę również innym ludziom, których kochałem. Dojeżdżałem do pracy z wyspy Wight do Kent, podróż samochodem trwała półtorej godziny. Miałem płytę z muzyką, którą lubiła Lucie, i słuchając jej w drodze powrotnej do domu, rozmyślałem o córce i pozwalałem sobie na smutek. Dzięki temu mogłem później zajmować się Jo, innymi dziećmi i pracować.

Powoli i stopniowo Tim odchodził od złudnych nadziei. Zaczynał tracić wiarę w to, że Lucie nadal żyje – wiarę, która przez ostatnie pół roku mobilizowała go do działania i sprawiała, iż łapał się na słowa oszustów, szarlatanów i dziennikarzy. Nie potrafił jednak zapanować nad gniewem, który teraz kierował już nie tylko przeciwko porywaczowi Lucie i śledczym, ale również przeciwko policji jako instytucji pogrążonej w samozadowoleniu i zagmatwanej w różne układy, przez co takie rzeczy jak zaginięcie Lucie stały się możliwe. Dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia wysłał pełen wściekłości e-mail do jednego z funkcjonariuszy zajmujących się dochodzeniem:

Mija sześć miesięcy od zaginięcia Lucie i aż trudno mi uwierzyć, że od tygodni nie otrzymuję żadnych wiadomości od Tokijskiej Policji Miejskiej. Jestem bardzo mocno zdenerwowany i wstrząśnięty tym, że policja w najmniejszym stopniu nie zważa na uczucia najbliższych Lucie, którzy również padli ofiarą tej sytuacji. To haniebne i nieludzkie, że nie przekazujecie rodzinie żadnych wiadomości ani informacji, które pomogłyby nam uporać się z tym potwornym, tragicznym zdarzeniem [...]

Oczywiste jest, że w ostatnich pięciu, sześciu latach wiele dziewcząt z Roppongi zostało uprowadzonych i zgwałconych (niektóre zniknęły). Wiele z nich pracowało nielegalnie na podstawie wizy turystycznej. Z tego powodu niektóre nie mogły zgłosić popełnienia przestępstwa z obawy, że zostaną aresztowane i/lub deportowane. To sprawiło, że wszystkie młode kobiety były i nadal są narażone na niebezpieczeństwo.

Niemniej część dziewczyn zgłaszała się na policję. Dlaczego ten człowiek,

Obara, i inni jemu podobni, nie został złapany i kontynuował swój proceder, przez wiele lat uprowadzając i gwałcąc kolejne dziewczęta? Ponieważ policja nie podjęła żadnych działań, nie aresztowała go. Dlatego to policja jest winna zniknięcia Lucie [...] i kiedy następna dziewczyna zostanie uprowadzona i zgwałcona albo zamordowana, policja i departament do spraw imigracji będą winne również tej zbrodni.



Do tamtej pory zniknięcie Lucie przyciągało uwagę przede wszystkim brytyjskiej i japońskiej opinii publicznej. Kiedy jednak po aresztowaniu podejrzanego ujawniły się ofiary innej narodowości, o sprawie zaczęły donosić media na całym świecie. Historia Jojiego Obara została zrelacjonowana w Hiszpanii, we Włoszech, w Turcji, Niemczech, Danii i Holandii. W pewien październikowy piątek trzydziestopięcioletni adwokat Robert Finnigan siedział za biurkiem w swoim gabinecie w Sydney, w Australii i przeglądając prasę, zatrzymał się na artykule zamieszczonym na dziesiątej stronie dziennika „The Sydney Morning Herald”. „Istnieje obawa, że zaginęło więcej kobiet”¹⁰⁷, głosił nagłówek.

Czy Australijki padły ofiarą podejrzanego bywalca nocnych klubów, którego łączy się z zaginięciem Lucie Blackman, Brytyjki pracującej w barze z hostessami? Prasa wyraża obawy, że główny podejrzany w tej sprawie, Joji Obara, tokijski biznesmen, mógł mieć związek z zaginięciem innych cudzoziemek [...] Spora grupa Australijek zasila szeregi zagranicznych hostess, które w lokalach w Roppongi dotrzymują towarzystwa biznesmenom, zarabiając w ten sposób dużo pieniędzy. Uważa się, że co najmniej dwie Australijki i jedna Nowozelandka skontaktowały się z policją, aby donieść o nadużyciach, których dopuścił się wobec nich Obara [...] Wszystkie kobiety twierdziły, że Obara zwabił je do luksusowego apartamentu położonego na wybrzeżu na południe od Tokio i tam je odurzył.

– Przeczytałem o tym w porze lunchu – opowiadał później Robert Finnigan. – I momentalnie coś mnie tknęło. Od razu zrozumiałem, mimo że nie znałem wszystkich faktów. Brzmiało to po prostu identycznie. Nie byłem zaskoczony ani wstrząśnięty, ponieważ minęło wiele lat i miałem dużo czasu, żeby wszystko przemyśleć. Nie poczułem ulgi. Po prostu zrozumiałem. Znalazłem odpowiedź na pytanie, na które do tamtej pory nie miałem odpowiedzi.

To pytanie brzmiało: co naprawdę się stało z Caritą Ridgway, piękną młodą Australijką, w której Robert się zakochał i którą stracił niemal dziewięć lat wcześniej?

Carita Ridgway wychowała się w Perth, jednej z najbardziej odosobnionych metropolii świata, położonej na odległym zachodnim wybrzeżu po drugiej stronie ogromnych australijskich pustyń. Rodzice Carity, Nigel i Annette, byli typowymi przedstawicielami pokolenia lat sześćdziesiątych XX wieku. Poznali się w bardzo młodym wieku, szybko się pobrali i wkrótce się okazało, że są ze sobą bardzo nieszczęśliwi. Annette, która w dniu ślubu miała osiemnaście lat, poszukiwała oświecenia, zgłębiała tajniki snów, medytacji i astrologii. Nigel, który wyemigrował z Wielkiej Brytanii w 1966 roku, był perkusistą w rockandrollowym zespole o nazwie Purple Haze.

– Jeśli mam być szczerzy, nie byłem grzecznym chłopcem – przyznał w rozmowie, którą przeprowadziłem z nim lata później, gdy był już powtórnie żonatym, szacownym panem w średnim wieku, nauczycielem w szkole podstawowej. – Ani przykładnym mężem. Ciągnęło mnie do kobiet i do alkoholu. Może nawet mniej do alkoholu, ale do kobiet z pewnością miałem słabość. – Ich małżeństwo rozpadło się w końcu w 1983 roku, kiedy ich dwie córki, Samantha i Carita, miały czternaście i trzynaście lat. – To kolejna rzecz, której teraz się wstydzę – opowiadał Nigel. – Dziewczynki

wkraczały w okres dojrzałości, stawały się młodymi kobietkami, a ich rodzice się rozstali. To nie była dobra pora. Myślę, że miało to na nie duży wpływ.

Carita zawsze była osobą energiczną i twórczą, utalentowaną tancerką, która uwielbiała literaturę angielską, aktorstwo i spędzanie czasu na dworze. Po rozstaniu rodziców stała się kłótniwa, zamknięta w sobie i przygnębiona. W tym samym czasie wkraczała w wiek nastoletni i robiła się coraz piękniejsza, miała długie, jasne włosy, pełne czerwone usta i delikatne symetryczne rysy. Annette, ciężko pracująca, aby utrzymać dwie córki, nie wiedziała, jak pomóc tej młodszej. Rozpacz Carity pogłębiała się, dziewczyna zaczęła mówić o myślach samobójczych, a Annette zaniepokoiła się na tyle, że powierzyła ją opiece specjalistów w klinice psychiatrycznej. Izolacja od świata zewnętrznego oraz uwaga pielęgniarek i lekarzy podziałały uspokajająco na Caritę i przez chwilę jej stan wydawał się poprawiać. Później jednak pewien pracujący w szpitalu psychiatra, który jak się po czasie okazało, już wcześniej wykorzystywał swoje pacjentki, zaczął ją zapraszać na lunche i uwodzić. Został zwolniony, zanim zdążył wyrządzić Caricie poważną krzywdę, ale jej pewność siebie oraz motywacja do nauki w szkole zostały poważnie nadszarpnięte.

– Jeśli nie ma się silnego wsparcia w rodzinie i poczucia własnej wartości, tak wyjątkowa uroda staje się niemal słabą stroną – stwierdziła Annette. – Trudno się bronić przed wykorzystaniem.

Carita wyszła ze szpitala psychiatrycznego i rzuciła szkołę. Następny rok lub dwa mieszkała w Perth, ale szybko się znudziła rodzinnym miastem, które wydawało jej się małe i znane od podszewki. Dlatego gdy jej najlepsza przyjaciółka Lynda Dark zaproponowała przeprowadzkę do Sydney, skwapliwie skorzystała z nadarzającej się możliwości. Razem z Lyndą pojechały autostopem przez pustynię na wschód. W Sydney poznała Roberta

Finnigana, który nieco wcześniej przyjechał z Wielkiej Brytanii. Zakochali się i wspólnie zamieszkali.

Annette, jak każda matka po raz pierwszy wypuszczająca córkę w świat, martwiła się o Caritę. Jej niepokój przejawiał się w formie nawracających koszmarów, a ponieważ Annette interesowała się snami, przez kilka lat skrupulatnie je zapisywała. Pokazywały się jej sceny, w których córka stawiała się ofiarą napaści i gwałtu; tajemniczy odziani w dziwne szaty mężczyźni ostrzegali przed niebezpieczeństwem i tragedią. W jednym ze snów Carita przyszła pocieszyć matkę i wsunęła jej na palec pierścionek. Annette skrzętnie notowała wszystkie wizje, a przyszłe wydarzenia sprawiły, że stworzony przez nią dziennik snów nabrał jeszcze głębszej, tragicznej wymowy.

Najgorszy koszmar przedstawiał Caritę siedzącą przy stoliku z grupą Azjatów. Wydawało się, że dziewczyna czuła się zadowolona i bezpieczna. Jej towarzysze, jak gdyby w żartach, zachęcali ją, żeby wybrała jednego z nich. Jednak Annette wyczuwała prawdziwe znaczenie tej sceny i rzeczywiste, wrogie nastawienie tych mężczyzn.

– Uważała, że jest zupełnie bezpieczna – opowiadała Annette. – Miała wybrać jednego z nich. Byli zimni i wyrachowani, ale ona tego nie widziała, nie widziała, jacy są naprawdę. To był naprawdę okropny, koszmary sen. Śniło mi się to wszystko, ale nic z tym nie zrobiłam. Sądziłam, że to symboliczne sny, ale okazały się prekognicyjne. Dosłowne. Do tej pory czuję się potwornie, kiedy o tym myślę.

Zainteresowanie, jakie okazywali jej mężczyźni, wprowadzało Caritę w zakłopotanie. Aby trochę odwrócić od siebie ich uwagę, przefarbowała jasne włosy na kolor kasztanowy, co nie zmieniło faktu, że nadal była wyjątkowo atrakcyjna. Robert Finnigan, poważny, spokojny mężczyzna

w okularach, darzył ją gorącym uczuciem. Przyjechał do Sydney po tym, jak przewędrował Azję Południowo-Wschodnią. Poznali się z Caritą w jednym z wielu schronisk dla obywateli i spędzili ze sobą następne pięć lat.

– Budziłem się rano, ona leżała obok mnie – opowiadał Robert. – Po prostu nie mogłem w to uwierzyć. Pamiętam, jak szliśmy plażą Bondi, wszędzie naokoło pełno było pięknych kobiet, takich jakie widuje się na okładkach czasopism. A ja patrzyłem na idącą obok mnie Caritę i była piękniejsza od nich. Byliśmy młodzi, więc nie można powiedzieć nic pewnego, ale sądzę, że oboje chcieliśmy spędzić razem resztę życia.

Wynajmowali w Sydney tanie pokoje w domach, w których mieszkali także inni młodzi przybysze spoza miasta. Pracowali dorywczo, Robert na budowie, Carita w pralni, później w restauracji. Projektowała i sprzedawała T-shirty, trochę dorabiała jako modelka, zagrała w zrealizowanym przez studentów filmie, ale zarówno ona, jak i jej partner żyli przede wszystkim dalekimi podróżami, w które się wybierali za zarobione pieniądze: do Filipin, Nepalu, Meksyku i Ameryki. Po każdej wyprawie, kiedy kończyły im się fundusze, wracali do Sydney. W roku 1987 – pierwszym roku ich związku – Australia przygotowywała się do dwusetnej rocznicy europejskiego osadnictwa na kontynencie, bez przerwy więc urządzano różnego rodzaju grille, przyjęcia i uroczystości na wolnym powietrzu. W następnym roku, latem, Lynda namówiła Caritę, aby pojechała z nią do Japonii do pracy jako hostessa w barze.

Robert się niepokoił, i to nie tylko dlatego, że decyzja jego pięknej przyjaciółki oznaczała dłuższą rozłąkę. Jednak Lynda, która pracowała w Tokio już wcześniej, zapewniała, że sama praca nie jest niebezpieczna.

– Jak większość ludzi dałem sobie wmówić, że Japonia to jedno z najbezpieczniejszych miejsc na świecie, że kobieta może tam chodzić po ulicach o godzinie drugiej w nocy i nic jej nie grozi – wspominał Robert. –

Sama praca hostessy wydawała się trochę dziwna: płacenie komuś za to, żeby porozmawiał z tobą w barze. Ale wyglądało to na kolejną specyfikę japońskiego społeczeństwa, być może w oczach ludzi z Zachodu nieco żalony, jednak w ich rzeczywistości zwykły sposób na to, aby biznesmeni rozładowali stres po pracy.

Robertowi nie było łatwo znieść kilkumiesięczne rozstanie. Trudno mu było wyobrazić sobie życie, jakie Carita wiodła bez niego. Przysyłała widokówki; dzwoniła do niego co tydzień lub dwa, on wysyłał jej rysunki przedstawiające Sinbada, rudego kota przybłądę, którego przygarnęli. Carita i Lynda mieszkały w Utsonomii, bezbarwnym, typowym dla tego regionu mieście, do którego można było dotrzeć z Tokio samochodem, jadąc godzinę w kierunku północnym. Pracowały w dwóch klubach, Madam Adam oraz Tiger's Lair, oprócz nich bywalców lokalu rozmową zabawiały również Amerykanki, Brazylijki, Filipinki oraz Nowozelandki. Carita wydawała się radosna. Szybko zdobyła stałe grono klientów, do którego należał między innymi pewien mężczyzna zabierający ją na dōhan swoim ferrari z szoferem.

„Absolutnie nie ma żadnego błaznowania – pisała dziewczyna do matki. – Ci faceci po prostu uwielbiają pokazywać się z dziewczynami z Zachodu [...] Każdy Japończyk ma ze trzy kobiety. Zostawiają żony w domu, zabierają swoje dziewczyny do klubu, a potem ignorują je i rozmawiają z hostessami”.

– Byłbym bardziej zadowolony, gdyby pracowała jako nauczycielka języka angielskiego albo coś w tym rodzaju – stwierdził Robert. – Ale nie chciałem tłaśnić Carity – czasami trzeba ludziom pozwolić, aby robili to, co chcą. – Po kilku miesiącach Carita rzuciła pracę w Tiger's Lair, Robert przyjechał do Hongkongu i razem wybrali się do Singapuru i Tajlandii.

W 1990 roku Carita i Lynda wróciły do Japonii na trzy miesiące. Tym razem przyjechały do Roppongi, gdzie miały „tańczyć” w pewnym klubie.

Robert nie wspominał nic na ten temat, ale prawdopodobnie oznaczało to taniec topless.

– Lyndzie chyba to odpowiadało, ale Carita czuła się zażenowana – opowiadał. – Kilka razy spróbowała, ale nie pasowało jej to.

We wrześniu wróciła do Sydney, znów pracowała jako kelnerka i modelka, wspierała Roberta, który ubiegał się o przyjęcie na wydział prawa na Uniwersytecie Nowej Południowej Walii.

W następnym roku Carita poleciała do Tokio po raz trzeci w towarzystwie siostry Samantha, której chłopak był Japończykiem. Młode kobiety zamieszkały razem w domu dla gajdzin położonym nieopodal szkoły językowej, w której nauczała Sam. Carita pracowała w dzielnicy Ginza w klubie Ayakoji, w którym hostessy nosiły rozłożyste falbaniaste staroświeckie suknie z halkami. Siostry spędziły grudzień 1991 roku i styczeń roku następnego razem w Japonii. Pierwszy dzień Bożego Narodzenia świętowały w restauracji Lion w Ginzie, gdzie jadły żeberka oraz trufle, które przysłał im z Perth ojciec. W drugi dzień świąt cieszyły się śniegiem, który poproszył w Tokio, a w Nowy Rok pojechały na wieś w odwiedziny do krewnych Hidekiego, chłopaka Samantha.

Robert otrzymał wspaniałą wiadomość: dostał się na studia prawnicze. Carita była zachwycona i powiedziała mu, że jest z niego bardzo dumna. Czasami ludzie, którzy ich znali, zastanawiali się, czy ci dwoje stanowią dobraną parę i czy opanowany i stonowany Robert pasuje do Carity – rozsmakowanej w blichtrze i przygodzie, a do tego wciąż bardzo młodej, ponieważ zaledwie dwudziestojednoletniej. Jeśli jednak Carita miała jakiegokolwiek wątpliwości, nie wyrażała ich głośno. Tworzyła związek z Robertem od pięciu lat i trudno było wyobrazić ich sobie osobno.

Tymczasem w pewien lutowy poniedziałek zdenerwowana i przerażona Samantha zadzwoniła do Roberta. Carita wyjechała na weekend i nie wróciła,

a teraz leżała w tokijskim szpitalu, nieprzytomna i poważnie chora.



Annette, Nigel i Robert polecili razem do Tokio i prosto z lotniska pojechali do szpitala. Nie mogli pojąć, co właściwie się stało. Carita nigdy nie chorowała, nie paliła, nie piła ani nie zażywała narkotyków, a w piątek wieczorem, zanim poszła do pracy do klubu z hostessami, czuła się zupełnie dobrze. Natomiast już w poniedziałek poinformowano Sam telefonicznie, że jej siostra została przyjęta na oddział do pobliskiego szpitala. Dziewczyna szybko udała się do kliniki, była zdumiona, zdenerwowana i zamierzała dać Caricie burę za to, że nie dawała znaku życia przez cały weekend. Okazało się jednak, iż Carita była ledwo przytomna i nie wiadomo było, czy w ogóle poznaje Samanthę. Przywiózł ją rano Japończyk o nazwisku Akira Nishida, który szybko gdzieś zniknął. Później tego samego dnia pacjentka straciła przytomność. Po kilku godzinach lekarze zdiagnozowali ostrą niewydolność wątroby i oznajmili, że Carita ma niecałe pięćdziesiąt procent szansy na przeżycie.

W środę, gdy do szpitala dotarli jej rodzice i Robert, dziewczynę przy życiu utrzymywały kroplówki i rurki intubacyjne, a jej skóra miała żółty odcień wywołany żółtaczką. Następnego dnia Carita zapadła w głęboką śpiączkę. Robert i rodzina Ridgwayów na zmianę przy niej czuwali, podczas gdy lekarze przeprowadzali kosztowny zabieg „oczyszczania krwi”. Nie nastąpiła wyraźna poprawa, pacjentkę przeniesiono więc do większego i lepiej wyposażonego szpitala. Jednak jeszcze przed weekendem nagromadzone w organizmie toksyny, których nie zdołała zneutralizować uszkodzona wątroba, doprowadziły do napadów drgawkowych. Pod koniec tygodnia lekarze potwierdzili oczywistą, choć trudną do zaakceptowania

prawdę: mózg Carity już nie funkcjonował.

Lekarze nakłuwali jej skórę igłami, nie wywoływało to jednak żadnej reakcji. Po uniesieniu powiek gałki oczne były mętne i niewidzące. Samantha i Robert nie chcieli się z tym pogodzić, ale Nigel i Annette zgodzili się ze specjalistami, że sztuczne utrzymywanie córki przy życiu nie ma sensu. W sobotę, 29 lutego – w dzień przestępny – wszyscy czworo udali się do szpitala po raz ostatni.

– Carita leżała otoczona rurkami i maszynami, podłączona do respiratora, i wszystko to zabrano – opowiadał Nigel. – Widać było, jak jej serce bije coraz wolniej i wolniej, aż w końcu na monitorze pokazała się jedna ciągła linia. A kiedy odłączyli wszystkie rurki, znów wyglądała jak Carita, była piękna i bardzo spokojna. Nie zapamiętałem tego jako straszego przeżycia. Ona już nie żyła i to, co się stało, było dla niej wyzwoleniem, pozwoleniem, aby odeszła. Jednak dla Roba i Sam, zwłaszcza dla Roba, było to bardzo, bardzo trudne. Wszyscy płakaliśmy, przytulaliśmy ją, a potem pielęgniarki powiedziały, że możemy wyjść na chwilę. Kiedy wróciliśmy, była ubrana w piękne różowe kimono, ręce miała starannie złożone na piersiach, a wokoło stało pełno kwiatów, mnóstwo kwiatów naokoło łóżka.

Ciało Carity ustawiono przed buddyjskim ołtarzykiem w piwnicy szpitala. Annette i Nigel spędzili tam całą noc, czuwali i zapalali kadzidełka. Dwa dni później pojechali do krematorium, które znajdowało się na odległych przedmieściach Tokio. Pożegnali się z Caritą spoczywającą spokojnie w trumnie usłanej płatkami róż, po czym patrzyli, jak znika za stalowymi drzwiami pieca. Żadne z nich nie było przygotowane na to, co zdarzyło się w następnej chwili.

Zaprowadzono ich do pomieszczenia po drugiej stronie budynku, każdemu wręczono parę białych rękawiczek i pałeczki. W pomieszczeniu na arkuszu blachy leżały szczątki, które pozostały po spaleniu zwłok Carity.

Kremacja nie była całkowita. Ubrania, włosy i ciało uległy spopieleniu, ale największe kości, kości rąk, nóg oraz czaszki, były popękane, ale rozpoznawalne. Najbliżsi zmarłej zamiast zgrabnej urny z prochami ujrzeli szczątki szkieletu Carity. Nie wiedzieli, że w Japonii tradycyjnie po zakończeniu kremacji rodzina ma za zadanie wybrać pałeczkami kości i włożyć je do urny.

– Rob nie był w stanie tego zrobić – wspominał Nigel. – Uznał nas za potwory, że w ogóle przyszło nam do głowy, aby tak postąpić. Ale może dlatego, że byliśmy jej rodzicami, a ona była naszą córką [...] To brzmi makabrycznie, kiedy teraz o tym mówię, ale wtedy wcale mi się takie nie wydawało. Było w tym coś wzruszającego. Niemal uspokajającego. Czułem się, jak gdybym zaopiekował się Caritą.

Nigel, Annette i Sam brali większe kości i wkładali je do urny z prochami. Największe fragmenty czaszki położyli na koniec.



Carita zmarła trzy dni przed ukończeniem dwudziestego drugiego roku życia, ponieważ w ciągu jednego weekendu jej wątroba nagle przestała sprawnie funkcjonować. Jak to możliwe? Lekarze nie potrafili znaleźć wytłumaczenia. Z początku przypuszczali, że zażywała narkotyki, ale Sam i Robert oraz inne osoby, które dobrze ją znały, uparcie twierdziły, iż tak nie było. Wtedy wysunięto tezę, że do zgonu mogło doprowadzić wirusowe zapalenie wątroby, jednak specjaliści nie mogli się porozumieć w sprawie tego, jakiego typu miałyby to być zapalenie i w jaki sposób zmarła miałyby się go nabawić.

Jedyną osobą mogącą rzucić trochę światła na tę sprawę, był pan Nishida, mężczyzna, który w poniedziałek rano przywiózł Caritę do szpitala. Nie

zostawił swoich danych kontaktowych. On jednak miał numer do Samantha i w ciągu tygodnia, gdy rodzina patrzyła, jak Carita powoli umiera, dzwonił kilka razy.

Mówił płynnie po angielsku. Był spokojny i pełen troski, nawet gdy Samantha traciła panowanie nad sobą. Podczas rozmów wytłumaczył, że poznał Caritę w barze z hostessami i zabrał ją do Kamakury, nadmorskiego miasteczka leżącego na południe od Tokio. Tam jego towarzyszką zjadła zepsutą ostrygę i doznała zatrucia pokarmowego. Wydawało się, że z bólem serca przyjął wiadomość o tragicznym stanie dziewczyny. Sam nalegała, aby podał jej swój numer telefonu i adres, on jednak odmawiał, ale zawsze dzwonił ponownie za dzień lub dwa. Najbardziej podejrzliwy wobec pana Nishidy był Robert Finnigan. Niewyjaśniony charakter relacji Carity z tym mężczyzną oraz weekend, który razem z nim spędziła, sprawiały, że Robert przeżywał dodatkowe katusze. Za jego namową chłopak Samantha Hideki skontaktował się z policją i przekonał stróżów prawa, aby przyjrzeni się panu Nishidzie.

Dwóch śledczych przyszło do szpitala, aby przesłuchać Sam i Hidekiego. Było to osobliwe spotkanie. Po kilku zdawkowych pytaniach o Nishidę funkcjonariusze oskarżyli Hidekiego o handel narkotykami, sugerując, że to on jest odpowiedzialny za stan Carity.

– Nie poszliśmy więcej na policję – powiedziała Samantha. – Prawdę mówiąc, czuliśmy się bardziej zastraszeni przez śledczych niż przez człowieka o łagodnym głosie, który przedstawił się jako Nishida i wydawał się przejmować naszym losem.

W dzień śmierci Carity Nishida znowu zadzwonił i długo rozmawiał z Hidekim. Powiedział, że pragnie pokryć część kosztów przelotu rodziny Carity oraz pogrzebu. Wymienił sumę miliona jenów; chciał również rozmawiać z Nigelem i Annette. Na drugi dzień po śmierci Carity cztery

najbliższe jej osoby pojechały spotkać się z panem Nishidą w hotelu położonym nieopodal tokijskiego lotniska obsługującego loty krajowe.

Czekali w holu godzinę, dopóki pan Nishida nie poprosił ich do pokoju wynajętego prawdopodobnie specjalnie na tę okazję. Dał jasno do zrozumienia, że życzy sobie spotkać się tylko z rodzicami Carity. Pełni urazy Sam i Robert czekali na dole. Annette zapamiętała, że pokój przedzielony był czymś na kształt parawanu, i dręczyło ją wtedy niejasne podejrzenie, iż po drugiej stronie ktoś siedzi i słucha. Sam Nishida nie zrobił na niej większego wrażenia: wkraczający w wiek średni mężczyzna ubrany w ciemny garnitur, „nie nazbyt przystojny – wspominała Annette – z dziwnym nosem, dziwnie zaostrzonym nosem”. Najbardziej rzucało się w oczy to, że się pocił i zlaną potem twarz nieustannie ocierał chusteczką albo ręcznikiem.

– Czuliśmy się bardzo nieswojo w tej sytuacji – opowiadała Annette. – Dzień wcześniej widzieliśmy, jak Carita umiera. A teraz siedzieliśmy w jakimś pokoju i mieliśmy wrażenie, że za chwilę ktoś wyskoczy zza parawanu.

Pan Nishida zajął miejsce naprzeciwko Nigela i Annette Ridgwayów po drugiej stronie ławy.

– Kochałem państwa córkę – oznajmił. – I chciałem spędzać z nią więcej czasu.

– My również – odpowiedziała Annette.

Opisał weekend, który spędzili razem, a który zaczął się w piątek w klubie z hostessami.

– Powiedział, że w sobotni wieczór mieli iść gdzieś na kolację – wspominała Annette. – Ale Carita nie czuła się dobrze, więc zostali. Poszli spać (kiedy o tym opowiadał, nie brzmiało to tak, jak gdyby spali w jednym łóżku), ale w środku nocy Carita wstała. Gdy wróciła, nie była sobą. Czuła się bardzo niedobrze, a w niedzielę rano pogorszyło się jej jeszcze bardziej.

On wezwał lekarza, który przyjechał i dał Caricie zastrzyk przeciwbólowy i przeciwwymiotny. Potem jednak jej stan znów się pogorszył i kiedy trafiła do szpitala w poniedziałek, była niemal w śpiączce. Utrzymywał, że próbował się nią zająć, opiekował się nią i nie wiedział, co się dzieje ani dlaczego zachorowała. Wspominał mimochodem słowa, które wypowiadała, i były to uwagi, jakie faktycznie mogły paść z jej ust: przepraszała za swój stan i za to, że nie jest najlepszym towarzyszem. Właśnie takie rzeczy mówiłaby Carita, gdyby się rozchorowała.

Nigel wspominał:

– Powtarzał, że bardzo mu przykro z powodu tego, co się stało, że to naprawdę straszne. Wydawało się, że dobrze zna Caritę, jak gdyby była jego dziewczyną. Był bardzo poruszony. Ja mu mówiłem: „To straszny wypadek”, „Proszę się nie obwiniać”. Osądziłem go po pozorach.

Po około czterdziestu pięciu minutach Nishida wyjął dwa pudełka i podał je Nigelowi i Annette. W jednym leżał złoty naszyjnik, w drugim pierścionek z brylantem. Nie były opakowane, tak jak zwykle są opakowane prezenty, a pierścionek nie był zatknięty w aksamitną wyściółkę i kiedy poruszyło się pudełkiem, przetaczał się między ściankami.

– Powtórzył: „Kochałem państwa córkę i chciałem spędzać z nią więcej czasu” – wspominała Annette. – I dodał: „Pragnąłem dać jej te prezenty z okazji urodzin w przyszłym tygodniu”.

Później Annette będzie dużo rozmyślać nad znaczeniem tych przedmiotów i przypomni sobie koszmary o podstępnych mężczyznach oraz sen, w którym Carita przyniosła jej pierścionek. Jednak w tamtej chwili nie pozostało im nic innego, jak przyjąć podarunki i wyjść.

– Byliśmy strasznie otepalni – opowiadała Annette. – I niektórych informacji po prostu nie można przyjąć inaczej niż za dobrą monetę. Nie mogliśmy go o nic oskarżyć, ponieważ nie wiedzieliśmy, co się tak naprawdę

przydarzyło Caricie. Policji nic to nie obchodziło, australijskiej ambasady nic to nie obchodziło. A jego opowieść brzmiała sensownie, tak samo jak twierdzenie, że zrobił, co mógł.

Po niezręcznym pożegnaniu państwo Ridgway wyszli na korytarz. Kiedy zmierzali w stronę windy, Annette zerknęła za siebie i zobaczyła pana Nishidę, który stał w półotwartych drzwiach i odprowadzał ich wzrokiem, a na jego twarzy malował się nieprzenikniony wyraz.



Wyjechali z Japonii z prochami Carity dzień po pogrzebie. Samantha zatrzymała się na kilka miesięcy w Tokio, państwo Ridgway odlecieli do Perth, Robert zaś wrócił do Sydney do mieszkania, które zajmował z Caritą. Przez siedem miesięcy codziennie wieczorem płakał przed zaśnięciem. Pierwszy rok studiów pamiętał jak przez sen. Znacznie dłużej żył w przekonaniu, że już nigdy nie będzie potrafił doświadczyć szczęścia. Mieszkał sam i opiekował się Sinbadem. Ukończył studia prawnicze, został adwokatem i otrzymał posadę w Phillips Fox, jednej z największych kancelarii adwokackich w Australii, której biuro znajdowało się w Sydney przy Market Street. Właśnie tam, będąc w pracy, pewnego popołudnia przeczytał artykuł zamieszczony na łamach „The Sydney Morning Herald” i od razu zrozumiał, że podejrzany osobnik o nazwisku Akira Nishida i Joji Obara byli jedną i tą samą osobą.

¹⁰⁷ *Fears of More Missing Women*, „The Sydney Morning Herald”, 27 października 2000.

ROZDZIAŁ 18

W GROCIE

NISZCZEJĄCE TAŚMY FILMOWE i pożółkłe papiery znalezione i zarekwirowane przez policję w nieruchomościach Obary wypełniały całe jedno pomieszczenie w siedzibie Tokijskiej Policji Miejskiej. Komisarz Udo spędzał tam dużo czasu, nadzorując pracę młodszych śledczych i samemu przeglądając znaleziska.

– Chciałem być jak najbliżej dowodów – powiedział. – Wiele z nich sprawdzałem osobiście, ponieważ czasami mniej doświadczony funkcjonariusz mógł przeoczyć coś, co ja uznałbym za prawdziwy skarb.

Właśnie tam, wśród kurzu i roztoczy, pod koniec 2000 roku komisarz znalazł taki klejnot: rachunek wystawiony przez szpital w zachodnim Tokio za leczenie Carity Ridgway.

Udo chciał sprawiać wrażenie, że policja tak czy inaczej ostatecznie doprowadziłaby tę sprawę do końca dzięki własnym wysiłkom. Jednak nic nie wskazuje na to, aby wiedzieli o istnieniu wątku Carity Ridgway przed listopadem 2000 roku, kiedy to w wyniku ponagleń ze strony Roberta Finnigana skontaktowała się z nimi australijska ambasada. Niemniej gdy tylko śledczy zostali uświadomieni, fakty szybko zaczęły się zazębiać.

Rachunek doprowadził ich do Szpitala Hideshima, gdzie Carita trafiła na

samym początku, oraz do Tokijskiego Szpitala dla Kobiet, w którym umarła. Otrzymawszy zdjęcie młodej Australijki, policjanci zdołali również zidentyfikować ją wśród szeregu twarzy nieprzytomnych cudzoziemek uwiecznionych na nagraniach Obary. Podczas trwającego kilka godzin gwałtu Obara wylewał płyn z butelki na ścierkę, którą następnie przytrzymał pod nosem ofiary. W Tokijskim Szpitalu dla Kobiet znajdował się kluczowy dowód: małe wycinek wątroby Carity pobrany po jej śmierci i szczęśliwie dzięki przepisom administracyjnym przechowywany przez te wszystkie lata. Badanie wycinka przeprowadzone przez policyjne laboratorium wykazało coś, czego wcześniejsze szpitalne analizy z niewyjaśnionych powodów nie ujawniły: ślady chloroformu, który atakuje i zatrzuwa wątrobę.

Robert przez ostatnie lata kontaktował się z rodziną Ridgwayów dość sporadycznie. Jednak tego dnia, gdy ostatnie wątpliwości zostały rozwiane, zadzwonił do nadal mieszkającej w Perth Annette, aby jej oznajmić, że mężczyzna, który przedstawiał się jako Nishida, w rzeczywistości nazywał się Joji Obara, był podejrzany o serię gwałtów i wcale nie próbował uratować życia Caricie, ale ją zabił. Robert i Annette polecili do Tokio porozmawiać z policją. Za drugim razem Annette poleciała już sama, żeby podpisać dokumenty potrzebne do złożenia zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa.

Obara przyznał, że podawał się za niejakiego Nishidę, ale nie chciał wziąć odpowiedzialności za nic więcej.

„Czuję niewysłowione oburzenie w związku z zarzutem, jakobym miał ją zgwałcić i zabić – stwierdził Obara w oświadczeniu opublikowanym przez jego adwokatów. – Łączył nas związek uczuciowy i zawiozłem ją do szpitala powodowany troską o jej zdrowie”.

Robert Finnigan odpowiedział na to oświadczeniem, które napisał

w imieniu rodziny Ridgwayów: „Obara nie tylko odurzał i gwałcił kobiety, ale teraz obraża swoje ofiary i poniża ich rodziny. To osobnik niezasługujący na miano istoty ludzkiej. Nie okazuje ani śladu skruchy czy wyrzutów sumienia. Pozostaje nadzieja, że jego prawdziwe oblicze zostanie obnażone przez japoński wymiar sprawiedliwości”.

Śledczy i prokuratorzy mogli już udowodnić, że Obara był zabójcą, i co kilka tygodni dzięki nieustannym pracom nad materiałem dowodowym policja była w stanie wysuwać następne zarzuty o dokonanie gwałtu. Jednak nawet prawda na temat losu Carity nie rekompensowała braku postępów w sprawie połączenia Obary z zaginięciem Lucie – na dodatek po trzech miesiącach spędzonych w odosobnieniu podejrzany nadal odmawiał przyznania się do winy.

– Policja nie doceniła Obary – usłyszałem od osoby zbliżonej do kręgów prowadzących śledztwo. – Myśleli, że mają do czynienia z kolejnym nierozgarniętym kryminalistą, który powie: „Przepraszam, zrobiłem to, ciało ukryłem w taki a taki sposób, zakopałem je tam i tam”. On jednak okazał się uparty. Wszystkiemu zaprzeczał.

Dziewczyny, które oskarżały go o gwałt, to prostytutki, powtarzał, jeśli już w ogóle zdecydował się odezwać; Carita zmarła na skutek zatrucia pokarmowego lub z powodu błędnie postawionej diagnozy; nie miał pojęcia, co się stało z Lucie.

– Przesłuchujemy go bez przerwy¹⁰⁸ do jedenastej, dwunastej w nocy – opowiadał jeden ze śledczych. – Zapewniamy mu minimalną ilość snu. Wyczerpujemy go fizycznie i psychicznie. To brutalne, ale nie pozostały nam żadne inne metody.

– Policja ma doświadczenie w nakłanianiu ludzi do tego, żeby się przyznali – powiedział mi wysoki rangą śledczy. – Dokładamy starań, żeby

przestępcy zrozumieli konsekwencje swoich poczynań. Mówimy im na przykład: „Ofiary są pogrążone w głębokim smutku”, albo: „Naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, co zrobiłeś?”. Ale on był inny. W jego wypadku te metody nie skutkowały. – Doświadczony funkcjonariusz z łatwością potrafił wytłumaczyć przyczynę tej skazy na charakterze Obary, chociaż zawahał się, gdy miał o tym powiedzieć cudzoziemcowi. – Być może trudno wam to zrozumieć. Ale to dlatego, że on... nie jest Japończykiem.

Słuchając tego, co mówią ludzie o działaniach policji oraz co policjanci mówią sami o sobie, odniosłem wrażenie, że wszyscy czuli się oszukani. Podstawowa zasada – przestępcy przyznają się do popełnionych czynów – została rozmyślnie złamana. Czy w świetle tego faktu można się zatem dziwić, że śledztwo szło tak opornie? To, iż po kryminaliście należy się spodziewać przebiegłości, uporu i kłamliwości oraz iż policja istnieje właśnie po to, aby umieć postępować z takimi ludźmi, nie mieściło się w głowie większości stróżów prawa. I wcale nie byli oni niekompetentni, pozbawieni wyobraźni, leniwi czy przesadnie zadowoleni z siebie – po prostu padli ofiarą niezwykle pechowego zbiegu okoliczności: trafiła im się absolutna rzadkość w Japonii, nieuczciwy przestępca.



Japońska zima jest słoneczna i przenikliwie chłodna, ale niska temperatura sprawia, że żmije nie wpełzają ze swoich kryjówek. Komisarz Udo utrzymywał, iż właśnie wtedy podjął ostatnią próbę znalezienia Lucie w miejscach, w których często widywano Obarę.

– To rozległy obszar – tłumaczył – i jest wiele miejsc, w których zwłoki mogły zostać pogrzebane. Utworzyłem ekipę poszukiwawczą i zapowiedziałem, że mają nie wracać, dopóki nie znajdą Lucie. W grudniu

i styczniu kopali w wielu lokalizacjach. – W pewien poniedziałek na początku lutego 2001 roku dwudziestu jeden ubranych po cywilnemu policjantów zamieszkało w zajeździe na plaży nieopodal wioski Moroiso, oddalonej o kilkaset metrów od apartamentowca Blue Sea Aburatsubo. Pokoje wynajęto na cały miesiąc. Mężczyźni codziennie rano udawali się z łopatami i kilofami do innego miejsca na wybrzeżu. Okoliczni mieszkańcy sądzili, że byli to robotnicy zatrudnieni przy jakiejś budowie zaplanowanej przez władze samorządowe, chociaż jak to ujęła jedna z kobiet:

– Mieli inny wzrok niż budowlańcy.

W czwartek, 8 lutego, Udo wysłał z Tokio swojego zastępcę, aby ten naradził się z członkami ekipy poszukiwawczej. W wyniku rozmów nasunął się wniosek, że obszar poszukiwań stał się zbyt rozległy i że następnego ranka należy ponownie przeczesać miejsce najbardziej oczywiste – dwustutrzydziestometrowy odcinek plaży rozciągającej się poniżej klifu obok Blue Sea Aburatsubo. Właśnie tam pięć dni po zaginięciu Lucie Obara przyjechał samochodem wyładowanym bryłowatymi przedmiotami, które zakrywało prześcieradło. Tam wezwał ślusarza, aby włamać się do własnego mieszkania, z którego nieco później zaczęły dochodzić odgłosy uderzeń. Tam spocony, rozebrany do pasa Obara odprawił policjantów, którzy do niego zapukali, po czym przeprosił ich i pokazał zamrożone zwłoki zdechłego psa. Pan Hirokawa, przyjaciel dozorczyńni¹⁰⁹, twierdził nawet, że w środku nocy widział w okolicy plaży człowieka przypominającego Obarę, niosącego ubrudzoną błotem łopatę. Psy policyjne i policjanci oczywiście obwąchali już i zbadali ten teren niedługo po aresztowaniu Obarę w październiku. Teraz jednak, doprowadzeni do ostateczności, mieli to zrobić ponownie.

Podłużny blok Blue Sea Aburatsubo był ostatnim budynkiem przy drodze, która prowadziła na skaliste wybrzeże. U stóp urywającego się gwałtownie klifu ciągnęła się plaża usiana dużymi głazami, na których

wylano cementową ścieżkę. Nie był to urokliwy ani ładny zakątek. Niebo o tej porze roku wydawało się wyższe i bardziej niebieskie niż zwykle, a woda oceanu była tak czysta i przejrzysta, że można było dojrzeć kształt spoczywających na dnie kamyków. Jednak piasek na plaży był szary i lepki, a na głazach leżało pełno suchych i pokruszonych liści. Latem – na przykład na początku lipca – mieniły się pancerkami tysiące obrzydliwie brązowych żuków, które żerowały na wodorostach gnijących w szczelinach między kamieniami.

Za zakrętem plaży, w odległości około 180 metrów od apartamentowca i z dala od wszelkich innych siedlisk ludzkich, część klifu zsunęła się, tworząc kamienny nasyp, którego podstawa opierała się o plażę. Tuż za nim znajdowała się grotta, do której wejście przesłaniały kamienie nasypu. Do tego typu naturalnych kryjówek ludzie ukradkiem wyrzucają śmieci, a nastolatki chodzą palić papierosy i migdalić się. W kraju mniej schludnym i zdyscyplinowanym niż Japonia w grocie zapewne walałyby się puste puszki po piwie i zużyte kondomy. Miejsce to trudno nawet było nazwać grota – bardziej przypominało szeroką szczelinę w brudnej skale, szeroką na dwa i pół metra, wysoką w najwyższym punkcie na trzy metry, o ścianach, które się zwężyły, i sklepieniu, które opadało ku tyłowi. Z nierównego sufitu wystawały cztery niszczące plastikowe rurki, z których skapywała woda – dawno temu ktoś usiłował odprowadzić w ten sposób deszczówkę z położonych nad grota klifów.

Na ziemi stała częściowo przysypana piaskiem stara wanna. O godzinie dziewiątej rano czterech policjantów odgrzebało ją, wyniosło z grotty i zaczęło kopać. Po kilku chwilach łopaty natrafiły na coś twardego, szeleszczącego. Funkcjonariusze wyciągnęli z ziemi ów twardego, który okazał się półprzezroczystym plastikowym workiem na śmieci zawierającym trzy bryłowate przedmioty. Natychmiast rozpoznano w nich ludzką rękę¹¹⁰,

odciętą na wysokości ramienia, oraz dwie ludzkie stopy. Nadgarstek oplątywały rośliny i wodorosty. Ciało było białe i rozmiękłe od procesów gnilnych, w dobrym stanie zachowały się jednak paznokcie, które zwróciły uwagę funkcjonariuszy – były wypielęgnowane, kształtne, nosiły ślady lakieru. Oficer nadzorujący ekipę poszukiwawczą niezwłocznie zadzwonił do Udo.

– Płakał, kiedy ze mną rozmawiał – wspominał Udo. – Powiedział: „Szefie, znaleźliśmy Lucie”.

Czterech policjantów przestało kopać i czekało na przyjazd najstarszego rangą i najbardziej wyspecjalizowanego w tego typu sprawach śledczego z Tokio. Zjawił się również Udo razem ze swoim przełożonym, naczelnikiem Pierwszego Wydziału Śledczego Akirą Hiromitsu. Sędzia szybko wydał nakaz pełnego przeszukania i w ciągu dwóch godzin w grocie znalazło się czterdzieści osób: miejscowa policja, specjalna komórka dochodzeniowa komisarza Udo oraz dwudziestu funkcjonariuszy z Wydziału do spraw Identyfikacji uzbrojonych w aparaty fotograficzne, szkicowniki, gumowe rękawice i worki foliowe do przechowywania materiałów dowodowych. Wiadomość równie szybko przeciekła do mediów i wkrótce nad głowami stróżów prawa zaczęły krążyć helikoptery wynajęte przez japońskie stacje telewizyjne, a w łódkach podskakujących na falach kilka metrów od brzegu tłoczyli się fotografowie. Przed wejściem do groty umocowano prowizoryczną zasłonę z niebieskiego brezentu. Przez cały dzień mężczyźni w anorakach, gumowcach, niebieskich czapkach baseballówkach i z białymi bawełnianymi maskami na twarzach pojawiali się i znikali za niebieską płachtą.

Po przybyciu posiłków ponownie zaczęto kopać. Z groty usunięto cały piasek, docierając aż do podłoża skalnego, które znajdowało się dość płytko, na głębokości nie większej niż sześćdziesiąt centymetrów. Kolejną

odnalezioną częścią ciała był tułów, niezawinięty i zakopany w piasku na głębokości 33 centymetrów. Następnie wyjęto dwa worki na śmieci zawierające drugą rękę, dwoje ud, dwie łydki i coś, co przypominało głowę oblepioną grubą warstwą betonu lub cementu.

Późnym popołudniem sześciu członków ekipy poszukiwawczej wyszło z groty, niezgrabnie i z pewnym trudem niosąc ciężki, niebieski, winylowy, rozpinany worek o długości 183 centymetrów. Najpierw zawieszono go na komisariat Azabu, zaś następnego dnia rano przetransportowano do laboratorium wydziału medycznego Uniwersytetu Tokijskiego. Tam odłupano od głowy cement i zbadano uzębienie. Jego stan idealnie pasował do opisu zawartego w dokumentacji stomatologicznej przesłanej z Sevenoaks. Nie było wątpliwości, że dziesięć odnalezionych części ciała spoczywających na stole do badań stanowi szczątki Lucie Blackman.

Podczas tamtego weekendu wyżsi rangą oficerowie śledczy sześciokrotnie¹¹¹ udzielali krótkich związanych ze sprawą informacji dziennikarzom akredytowanym przy komendzie głównej Tokijskiej Policji Miejskiej. Z zapisu tych wypowiedzi wynika, że śledczy z jednej strony byli wyraźnie podekscytowani, ale z drugiej przyjmowali postawę obronną.

– Teraz, gdy mamy dowody, wyznanie winy przez podejrzanego nie będzie konieczne – powiedział dziennikarzom jeden z śledczych wieczorem po dokonaniu znaleziska. – Proszę się nie martwić. Przestój był związany z niemożnością odnalezienia ciała. Kiedy zostanie dokonana identyfikacja [szczątków], będziemy mieli wystarczająco twarde dowody. – Japońscy reporterzy rzadko są dociekliwi czy agresywni w stosunku do przedstawicieli instytucji państwowych, które obsługują, jednak nawet oni nie potrafili powstrzymać się, aby nie zadać pytania, które samo się nasuwało: dlaczego trwało to tak długo?

Policja dość pomysłowo przedstawiała zaistniałą sytuację nie jako przejaw nieudolności oficerów śledczych, ale triumf ich nieustępliwości.

– Mimo że sprawdzaliśmy ten obszar już wcześniej, nie byliśmy w stanie odnaleźć kluczowego miejsca za pierwszym razem – tłumaczył jeden śledczy. – Ekipa dochodzeniowa wracała tam za każdym razem, gdy dysponowała czasem. Z pewnością był to podejrzany teren i nasza wytrwałość się opłacała. – Inny oficer specjalnej komórki dochodzeniowej wyjaśniał: – Mimo że prowadziliśmy poszukiwania wcześniej, nie mogliśmy odnaleźć ciała, mając do dyspozycji zaledwie czterech czy pięciu ludzi. Rosły tam wysokie trawy, słyszeliśmy, że można napotkać żmije, nie mogliśmy więc znaleźć ciała. – Najbardziej pamiętne słowa¹¹² padły z ust śledczego oznaczonego w notatkach jednego z reporterów jako „pan S.”: – Śledczy przypominają konie wyścigowe – klarował pan S. – ponieważ tak samo nie potrafią polegać na swoim instynkcie, gdy pierwszy raz pojawiają się na nowym terenie. Kiedy jednak pokonają daną trasę kilka razy i zdążą ją poznać, powoli zaczynają dochodzić do mistrzostwa. Domyślałem się, że to będzie gdzieś w okolicy Blue Sea Aburatsubo, bez wątpienia.

Ciało zaginionej dziewczyny zostało zakopane w płytkim grobie w odległości niecałych dwustu metrów od mieszkania jedynego podejrzanego w tej sprawie – mieszkania, w którym policja pięć dni po zniknięciu dziewczyny przesłuchiwała podejrzanego w związku z jego dziwnym zachowaniem. Śledczy wiedzieli, że niedługo przed aresztowaniem Obara przycumował łódź w przystani położonej kilkaset metrów dalej, i przypuszczali, że zamierza pozbyć się zwłok. Do tego dochodził szczegół, który powinien przesądzić sprawę – doniesienie, iż późną nocą widziano w okolicach grotu podejrzanego niosącego łopatę.

Teren przeszukano z psami policyjnymi. Mimo to specjalnemu zespołowi utworzonemu z czterdziestu wytrawnych śledczych odnalezienie ciała zajęło

siedem miesięcy. Jak to możliwe, że współczesna policja okazała się tak nieudolna? Funkcjonariusze wydziału dochodzeniowego bardziej niż z rączymi rasowymi końmi kojarzyli się z mozolnie posuwającymi się do przodu osłami. Niektórym dziennikarzom przyglądającym się poczynaniom policji przyszła do głowy pewna myśl: policja musiała od dawna wiedzieć, gdzie pochowano Lucie, a scena wydobywania ciała z groty była zainscenizowaną komedią.

Ich tok rozumowania wyglądał następująco. Śledczy nie byli głupi i już dawno odnaleźli zwłoki w tak oczywistym miejscu. Potrzebne im jednak było wyznanie winy, wiarygodne zeznanie podejrzanego. Najbardziej wiarygodne zeznanie to takie, w którym podejrzany mówi policji coś, o czym wie tylko on sam. Takie zeznanie ma moc, nawet jeśli zostanie później odwołane lub podważone przez zręcznych prawników. Dlatego śledczy cierpliwie czekali, aż Obara zacznie mówić, ponieważ każdy podejrzany prędzej czy później zaczynał mówić. Kiedy w końcu się odezwie, powie o znajdujących się w grocie zwłokach, które śledczy natychmiast „odnajdą” na podstawie ujawnionych informacji i tym samym dowiodą winy podejrzanego ponad wszelką wątpliwość.

– Śledczy byli w Blue Sea Aburatsubo¹¹³ i wiedzieli, musieli wiedzieć. Jestem tego pewny – powiedziała mi osoba zbliżona do śledztwa. – Jednak policja nie może sama odnaleźć ciała. Chcieli, żeby to Obara im powiedział, gdzie ukrył zwłoki, ponieważ wtedy proces przeciwko niemu poszedłby bardzo gładko. Łatwo kogoś aresztować, cała sztuka udowodnić mu winę.

Jednak Obara milczał i powoli stawało się jasne, że nie zamierza przerywać milczenia. Wobec takiego obrotu spraw i wobec faktu, że czas uciekał, policja musiała zadowolić się tym, iż sama wydobydzie ciało.

Problem polegał na tym, że minęło siedem miesięcy. Ponieważ zwłoki zostały pochowane w szczelnie zamkniętych workach, odizolowane od

owadów i bakterii pod warstwą mokrego piasku, większa część szczątków uległa mumifikacji. Niemniej odwołując się do obiektywnego i eufemistycznego języka lekarzy medycyny sądowej: „nastąpiły daleko posunięte zmiany pośmiertne”¹¹⁴, i chociaż identyfikacja zwłok nastąpiła szybko, ustalenie przyczyny zgonu okazało się niemożliwe.

Jak można było się spodziewać, komisarz Udo i wszyscy śledczy związani ze sprawą uparcie twierdzili, że nie mieli pojęcia, gdzie znajdowały się zwłoki, aż do dnia ich odkrycia – gdyby przyznali cokolwiek innego, można by im zarzucić krzywoprzysięstwo. Niezależnie od tego, jak wyglądała prawda, okrywała ich wstydem. Albo policja usiłowała w nieprzemyślany sposób zatuszować fakty, przez co doszło do rozkładu cennego dowodu; albo osiągnęła ten sam efekt dzięki niewiarygodnym niedopatrzonom i niekompetencji ze swojej strony.



W domu Jane Blackman przechowywała pamiątki z życia Lucie: egzemplarz „Daily Express” wydany w dniu urodzin córki, plastikową bransoletkę z imieniem, którą dostają w szpitalu noworodki. Miała dziecięce obrazki narysowane kredkami i flamastrami oraz zeszyt wypełniony starannym pismem małej Lucie. Dziewczynka pisała w nim o tym, jak się bawiła w nadmuchiwanym basenie w ogródku za domem, jak razem z Louise robiła wianuszki ze stokrotek, jak grała na flecie, a tata akompaniował jej na bandžo, i jak pojechała do szpitala razem z młodszym bratem Rupertem, który ugryzł się w język.

Pod koniec stycznia Jane na prośbę policji poleciała do Japonii. Z perspektywy czasu ta z niewyjaśnionych powodów potajemna wizyta spotęguje wrażenie, że śledczy wiedzieli więcej, niż chcieli przyznać na

temat miejsca, w którym zostało ukryte ciało Lucie. W całej intrydze usnutej wokół przyjazdu Jane do Tokio na tydzień przed sceną w grocie było coś niemalże złowieszczonego. Jedynie garstka osób wiedziała, że matka Lucie przebywa w Japonii. Zameldowano ją w hotelu pod fałszywym nazwiskiem, nawet telefonów od jej własnych dzieci nie przekierowywano do jej pokoju. Komisarz Mitsuzane nie powiedział Jane nic konkretnego na temat postępów w dochodzeniu, natomiast wprowadził ją w zdumienie, zadając dziwne i starannie przygotowane pytania. Jednego dnia ponad godzinę spędziła na rysowaniu spinki do włosów, którą Lucie nosiła. Innym razem spytano ją, czy Lucie lubiła jeść węgorki. Pytanie o przyzwyczajenia kulinarne córki przyprawiły Jane o dreszcze i mdłości.

– Czy jadała węgorki? Czy jadała zasmażane w cieście ryby i owoce morza? Czułam się okropnie, kiedy o to pytali – opowiadała Jane. – Nie mogłam tego znieść. Mieszkałam w hotelu Diamond, tym z królikiem grającym na pianinie. Pewnego razu zobaczyłam karalucha biegnącego po podłodze. Pamiętam tylko, że cały czas płakałam. Nie wiedziałam, po co tam przyjechałam.

„Kocham mamę, bo sprząta w domu” – zanotowała Lucie w jednym z zeszytów, w którym jako uczennica szkoły Granville miała napisać opowiadanie zatytułowane: „Dlaczego kocham mamę?”.

Mama jest dobra i opiekuje się mną.

Piecze pyszne ciasta i babeczki. Robi pyszne kanapki do szkoły. Kocham mamę, bo zawsze sprząta u mnie w pokoju. Czasami nie lubię jej, kiedy na mnie krzyczy, i czasami płaczę. Ale zazwyczaj jest miła, robi mi dobre śniadania i pyszną herbatę. Kocham mamę, kiedy się ubiera w ładne sukienki. Kocham mamę bardzo, bardzo mocno.

Jane w dzieciństwie straciła matkę, w wieku dorosłym – siostrę. Kiedy sama została matką, najbardziej obawiała się śmierci któregoś z dzieci. Jej

celem życiowym stała się ochrona syna i córek przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Teraz zaś była w Japonii i rozmawiała przez tłumacza z policjantami, którzy zadawali jej takie pytania, jak gdyby chcieli potwierdzić możliwość znalezienia takiej, a nie innej treści żołądkowej w brzuchu jej zmarłej córki.

Dwa tygodnie po znalezieniu w grocie ciała Lucie jej rodzice przylecieli do Japonii, aby zabrać ją do domu. Po raz pierwszy Tim i Jane byli w Japonii w tym samym czasie, jednak w obydwie strony lecieli osobno, a podczas pobytu w Tokio nie spotkali się ani nie zamienili ze sobą choćby jednego słowa. Sophie i Rupert lecieli w tamtą stronę z ojcem, z powrotem zaś z matką oraz ze zwłokami siostry znajdującymi się w luku bagażowym samolotu pasażerskiego. Val Burman, przyjaciółka towarzysząca Jane w podróży, zapamiętała trumnę jako „coś makabrycznego, jak z horroru, olbrzymia, masywna, czarna, drewniana skrzynia”. Kiedy Tim zjawił się na komisariacie, zaskoczyło go pytanie, zadawane kilkakrotnie, czy życzy sobie obejrzeć szczątki Lucie.

– Byłem zdumiony – opowiadał. – Czy w japońskiej kulturze to normalne? Nie chciałem tego wszystkiego widzieć. Wyobraźnia podsuwała mi wystarczająco wyraziste obrazy, nie musiałem nic oglądać, żeby nie móc myśleć o niczym innym.

Ciężka trumna, szczelnie zamknięta, obramowana metalowymi listwami była nieodzowna z powodu stanu szczątków.

Wszyscy członkowie rodziny uczestniczyli w konferencjach prasowych. Jane podczas spotkania z dziennikarzami zorganizowanego w hotelu Diamond była równie gniewna i zjadliwa jak wcześniej. Kiedy przyszedł czas na pytania ze strony dziennikarzy, trudno było sobie wyobrazić, o co jeszcze można by zapytać. Ktoś jednak nie zawahał się rzucić uwagi, która mimo że

przybrała formę pytania, bardziej obliczona była na wywołanie fotogenicznej reakcji żałobnej: pani Blackman, jak się pani czuje, zabierając córkę do domu?

Jane spojrzała na dociekliwego reportera z miażdżącą pogardą i zdołała zachować spokój.

Tim, który pojawił się razem z Sophie i Rupertem w siedzibie Klubu Korespondentów Zagranicznych w Japonii, w przeciwieństwie do oszczędnej w słowach i niechętniej reporterom żony mówił rozwlekłe i wyczerpująco. Dziękował mediom za pomoc udzieloną w ciągu ostatnich miesięcy i szczegółowo opowiadał o swoich uczuciach w związku ze śmiercią Lucie, aresztowaniem Obary, „systemem” rządzącym w Roppongi oraz o roli policji. Ogłosił również utworzenie Funduszu imienia Lucie Blackman, którego celem będzie „zapewnianie bezpieczeństwa innym młodym ludziom podróżującym za granicę [...] aby tragiczna śmierć Lucie nie poszła na marne”. Rozdano ulotki przedstawiające zdjęcie objętych Tima i Lucie i zachęcające do dokonywania wpłat na wskazane konto japońskiego banku.

W notatkach, które robiłem podczas konferencji prasowej, zapisałem między innymi: „Żałoba przejawia się na różne sposoby”.

Tim potwierdził, że razem z dziećmi uda się do groty na plaży, i poprosił media, aby dały im szansę na przeżycie smutku w samotności. Przekaz był jasny: dajcie nam, proszę, na chwilę spokój. Jednak zwracając się z tą prośbą do dziennikarzy, Tim jednocześnie oznajmił im, gdzie dokładnie i kiedy się wybiera.

Rupert Blackman przyleciał do Japonii po raz pierwszy. Przez cały bolesny, przedłużający się okres nieobecności Lucie ze wszystkich członków rodziny to właśnie on był najmniej zaangażowany w całą sprawę. Chodził jeszcze do szkoły i robił wszystko, co mógł, żeby uniknąć kontaktu z reporterami i fotografami, którzy od czasu do czasu dzwoniли do drzwi jego

rodzinnego domu w Sevenoaks. Miał jednak głębokie poczucie straty oraz wykluczenia z intensywnych działań pochłaniających jego matkę, ojca i siostrę. Dziennikarze kreślący portret rodziny Lucie błędnie zapisywali jego imię albo w ogóle pomijali go w całej opowieści. Wiele z tych osób, które miały styczność ze sprawą tylko poprzez artykuły prasowe, było zdumionych, gdy spotykały Ruperta, ponieważ nie zdawano sobie sprawy z jego istnienia.

– Najbardziej smuci mnie to, że tak naprawdę nie wiem, jaka była Lucie – wyznał w rozmowie ze mną. – Zawsze była po prostu moją starszą siostrą, a ja młodszym bratem. Nie miałem okazji nawiązać z nią dojrzałej relacji, takiej, jaka zaczyna łączyć rodzeństwo, gdy są nastolatkami albo dwudziestolatkami. Nigdy się z nią nie kumplowałem i już nigdy się z nią nie skumpluję.

Dlatego Ruperta nie trzeba było długo przekonywać, aby pojechał do Japonii, gdy nadszedł czas zabrania ciała Lucie do domu.

Na lotnisku Narita powitała ich grupa fotoreporterów pstrykających zdjęcia, cofających się i potykających jeden o drugiego. Był to zaledwie jeden z wielu momentów, w których Rupert musiał stłumić śmiech.

– Duch Lucie dalej w nas żył, więc potrafiliśmy zobaczyć zabawną stronę i absurdalność tych wydarzeń – opowiadał. – To wszystko było niedorzeczne, po prostu śmieszne. Oczywiście byliśmy przygnębieni, ale co, do cholery, mieliśmy z tym zrobić? Jeśli człowiek się nie śmieje, zaczyna płakać. Pamiętam, jak tuż przed rozpoczęciem konferencji prasowej śmialiśmy się z czegoś i tata powiedział: „Nie, słuchajcie – musimy wyglądać poważnie i smutno”.

Rupert był zafascynowany Japonią: nieprzebraną, zdyscyplinowaną masą ludzi na chodnikach i przejściach dla pieszych, widokiem tysięcy parasolek chroniących przed wiosenną mżawką.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – wspominał. – Bardzo mi się podoba szacunek, który mają tam do siebie ludzie. Kiedy na to patrzyłem, wzbudzało to we mnie pokorę. Jednak z drugiej strony było mi przez to jeszcze ciężiej pogodzić się z myślą, że wszystko wydarzyło się właśnie w tym mieście. – Pod koniec tygodnia policja zawiozła Tima, Sophie i Ruperta na plażę w pobliżu Moroiso, po drodze przejeżdżali przez zadziwiający Tęczowy Most, który wyginając się w lśniący łuk, spina brzegi szerokiej Zatoki Tokijskiej.

Wysiedli z samochodu na szczycie urwiska i zeszli na plażę po zardzewiałych schodach. Rupert chciał zobaczyć miejsce, w którym Lucie spoczywała w piasku przez siedem miesięcy, ponieważ chciał poczuć jej bliskość. Tęsknił za zażyłością, która nigdy nie łączyła najstarszej siostry z małym łobuziakiem i która miała już nigdy ich nie połączyć. Rupert miał ze sobą bukiet kwiatów dla Lucie. Wcześniej zatrzymali się na stacji benzynowej, gdzie kupił kartkę i długopis, ponieważ chciał napisać pożegnalny list do siostry.

Na dole schodów czekało na nich trzydziestu lub czterdziestu japońskich fotoreporterów i operatorów. Niektórzy stali lub kucali gotowi pstrykać zdjęcia ciężkimi, czarnymi aparatami. Inni rozstawili przenośne drabinki, na które mogli się wspiąć, aby zdobyć lepsze ujęcia tego, co miało się za chwilę zdarzyć w położonej kilka metrów dalej grocie.

Rupert stwierdził, że było to „jak prawy sierpowy”, cios wymierzony prosto w szczękę – zejść na plażę i zobaczyć tych wszystkich obcych ludzi.

Szli we trójkę, niosąc kwiaty, a migawki aparatów strzelały i bzyczały. Gdy Tim, Sophie i Rupert zatrzymali się przed grocią, fotografowie podeszli jeszcze bliżej. Tim obrócił się, reporterzy zamarli, a wtedy w ojca i w córkę coś wstąpiło. Sophie zaczęła krzyczeć i obrzucać obelgami dziennikarzy, którzy czmychali tyłem niczym kraby, Tim również krzyczał, łapał

pozostawione drabiny i ciskał nimi niezgrabnie w stronę plaży. Operatorzy nie przestawali filmować, Rupert zaś przez chwilę patrzył na tę scenę, po czym się odwrócił.

– Tata podnosił aparaty i drabiny, wrzeszczał, a oni wszyscy się cofali – relacjonował. – Sophie również krzyczała, każąc im wszystkim wynosić się do diabła. – A Rupert klęczał na śliskim piasku i płakał, wpatrując się w wilgotną grootę, która stała się grobowcem jego siostry.

[108](#) „The Mainichi Daily News”, 20 lutego 2001.

[109](#) Podczas pierwszej rozprawy sędzia nie wziął pod uwagę jego zeznania, uznając je za niewiarygodne.

[110](#) Szczegóły dotyczące ekshumacji pochodzą z osobistych obserwacji, z ówczesnych doniesień prasowych oraz z udostępnionych mi notatek z briefingu dla dziennikarzy akredytowanych przy Tokijskiej Policji Miejskiej, 9 lutego 2001.

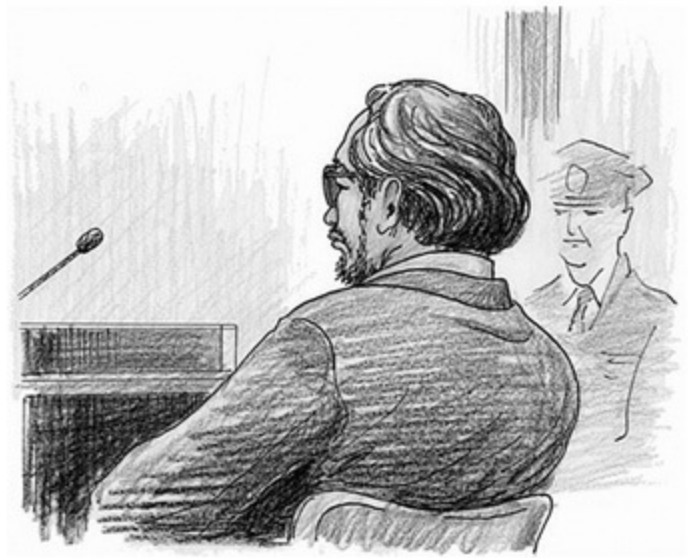
[111](#) Informacje te pochodzą z udostępnionych mi notatek z briefingu dla dziennikarzy akredytowanych przy Tokijskiej Policji Miejskiej zwoływanych 9, 10 i 11 lutego 2001 roku oraz z rozmowy z byłym dziennikarzem akredytowanym przy Tokijskiej Policji Miejskiej.

[112](#) Notatki z briefingu zwołanego dla dziennikarzy akredytowanych przy Tokijskiej Policji Miejskiej sporządzone przez oficera Pierwszego Wydziału Śledczego, 9 kwietnia 2001.

[113](#) Rozmowa z 2007 roku.

[114](#) Opinia wydana przez doktora Masahika Uena, 7 lutego 2006, w sprawie sekcji zwłok przeprowadzonej 10 lutego 2001 roku przez doktora Masahika Kobayashiego.

CZĘŚĆ PIĄTA
SPRAWIEDLIWOŚĆ



ROZDZIAŁ 19

CEREMONIE

POGRZEB LUCIE ODBYŁ SIĘ pod koniec kwietnia 2001 roku¹¹⁵. W każdych okolicznościach byłaby to ponura uroczystość, ale z powodu wyraźnej wrogości, jaką żywili wobec siebie Jane i Tim, ceremonia żałobna stała się dwa razy bardziej przygnębiająca.

Zorganizowana przez Jane uroczystość odbyła się w kościele anglikańskim w mieście Chislehurst położonym dwadzieścia kilometrów od Sevenoaks. Wybór tego miejsca był zastanawiający. W samym Sevenoaks nie brakowało kościołów, a oprócz tego nastoletnia Lucie oraz Jane zmieniły wyznanie z anglikańskiego na rzymskokatolickie. Świątynia w Chislehurst odegrała jednak pewną rolę w życiu Blackmanów, ponieważ właśnie tutaj dwadzieścia pięć lat wcześniej Tim i Jane wzięli ślub. Czyżby więc właśnie o to chodziło Jane? – zastanawiałem się. O to, aby świadomie lub podświadomie zrobić Timowi wyrzut, łącząc ich martwe małżeństwo z losem martwej córki?

W kościele zebrało się dwieście sześćdziesiąt osób, na zewnątrz tłoczyli się fotoreporterzy i dziennikarze, którym wyznaczono miejsca za aluminiowymi barierkami. Kwiaty na pogrzeb przysłali premier Tony Blair i japoński ambasador w Londynie; kadzidło, które się paliło w czasie

nabożeństwa, było podarunkiem od Tokijskiej Policji Miejskiej. Na uroczystości pojawiło się wiele koleżanek Lucie z Walthamstow Hall, byli współpracownicy z SocGen, delegacja z British Airways w tradycyjnych służbowych niebieskich uniformach, zjawiała się nawet Helen Dove, która pracowała z Lucie w Casablance. Gayle Blackman i Caroline Lawrence przyjechały razem; w ostatniej chwili Gayle oznajmiła, że nie da rady wejść do kościoła, i z trudem udało się ją namówić, aby wysiadła z samochodu.

Część osób obecnych na uroczystości żałobnej mówiła o tym, że doznała dziwnego uczucia lekkości i oderwania od rzeczywistości, niemalże transu, jak gdyby obserwowały całą scenę z boku, a nie były w nią osobiście zaangażowane, jak gdyby to wszystko było snem. Wrażenie to potęgował fakt, że w kościele zabrakło Lucie. Odór rozkładu wydobywający się z trumny był zbyt silny, dlatego pozostawiono ją w krematorium, a przed ołtarzem ustawiono duże zdjęcie Lucie ubranej w niebieską sukienkę.

– To, że jej tam nie było, było najgorsze – wspominała Gayle. – Napisałam kartkę, którą chciałam dać Lucie, i przed nabożeństwem zaniósłam ją przedsiębiorcy pogrzebowemu. Teraz nie spytałabym o to, ale wtedy wydawało mi się, że muszę się tego dowiedzieć. Spytałam: „W jakim jest stanie?”. A on odpowiedział: „W złym”.

Nie doszło do bezpośredniej konfrontacji Jane i Tima, którzy przez całą uroczystość nie odezwali się do siebie ani słowem. Jednak wyczuwało się iskrzenie między nimi. Obecni w kościele znajomi czuli, że poddają się sile ich przyciągania niczym żelazne opiłki gromadzące się wokół pola magnetycznego. Po przybyciu na miejsce krewni Tima i bliscy Jane usiedli w ławkach po dwóch stronach przejścia, jak gdyby parodiując ceremonię ślubną sprzed dwudziestu pięciu lat. Siedemdziesięcioletni ojciec Jane John Etheridge był umierający. Chorował na serce, a ostatnio przeszedł operację amputacji drugiej nogi. Do kościoła wwieziono go na wózku

inwalidzkim, mężczyzną niegdyś postawnego, mierzącego 190 centymetrów, a który obecnie ważył niespełna 57 kilogramów.

Nawet teraz pogrążeni w żałobie przyjaciele i rodzina Lucie prowadzili wewnętrzną walkę o swoje prawo do zmarłej. Gayle poczuła przypływ złości na widok grupy absolwentek Walthamstow Hall, dziewczyn, które nigdy dobrze nie znały Lucie, nie lubiły jej, a nawet chwilami prześladowały ją w szkole.

– Jane powiedziała, żeby nie przynosić kwiatów, i przyjaciele Lucie to uszanowali – wspominała Gayle. – Pojawiły się jednak te dziewczyny ze szkoły, całe wystrojone, z ogromnymi bukietami. Przyszły tylko po to, żeby się pokazać. Nawet jeśli się siedziało kilka rzędów dalej, można było usłyszeć ich szepty: „Och, zobacz, jest taki a taki” albo „Patrz, kto przyszedł z taką a taką!”. To było wstrętne. Nie poszłam po tym wszystkim do krematorium. Nie dałam rady.

Najbardziej obojętny spośród zebranych wydawał się Tim Blackman, który był jednocześnie najbaczniej obserwowany. Wiele osób przybyłych na uroczystość nie znało Tima ani nigdy go nie spotkało, znano go jednak z telewizji i gazet – a raczej znano to jego oblicze, które prezentował w mediach – oraz z tego, co mówili o nim przyjaciele i znajomi: ojciec Lucie, który włożył ogromny trud w to, aby odnaleźć córkę, ale którego zachowanie i temperament wydawały się na swój sposób podejrzane.

– Pamiętam, że powiedziałam: „Nie mogę uwierzyć, że jest taki opanowany” – relacjonowała Sarah Guest wchodząca w skład delegacji z British Airways. – W ogóle nie zdradzał się ze swoimi uczuciami, natomiast mama Lucie reagowała naturalniej. Oczywiście nie znałam tego człowieka i myślę, że różni ludzie przechodzą żałobę na różne sposoby. Ale obecni na pogrzebie patrzyli na niego krytycznie.

Nikt nie odważyłby się powiedzieć tego najbliższym Lucie prosto

w twarz, jednak wielu żałobników oczekiwało po nich standardowego zachowania uznanego za stosowne do tego typu okoliczności. Jane udało się sprostac tym oczekiwaniom; Tim, w oczach wielu uczestników uroczystości żałobnej, nie podołał stawianym mu wymaganiom.



Rok i trzy dni po zaginięciu Brytyjki, 4 lipca 2001 roku, Joji Obara został postawiony przed sądem za gwałt i zabójstwo Lucie Blackman. Sala rozpraw, mieszcząca się w strzelistych budynkach sądowych położonych w odległości niecałych dwustu metrów od siedziby Tokijskiej Policji Miejskiej, była wypełniona do ostatniego miejsca. Wcześniej Obara stawiał się na rozprawach już siedmiokrotnie i ciążyły na nim zarzuty pięciu innych gwałtów. W Japonii kolejne posiedzenia w ramach jednego procesu odbywają się nie dzień po dniu, ale mniej więcej raz w miesiącu, i jak do tej pory większość posiedzeń w sprawie Obary była zamknięta, aby ofiary wezwane do złożenia zeznań – Clara Mendez, Katie Vickers oraz trzy Japonki – mogły być przesłuchiwane bez świadków. Jednak tego ranka w kolejce do sześćdziesięciu miejsc dla publiczności ustawiło się dziewięćset osób w nadziei na to, że specjalny program komputerowy wybierze losowo właśnie je. Z wybiciem godziny dziesiątej w sądzie pojawił się Obara w asyście dwóch ubranych w mundury strażników.

Miał na sobie garnitur w kolorze ciemnego grafitu i rozpiętą pod szyją koszulę. Był zakuty w kajdanki, a w pasie przewiązany grubą niebieską liną, której końce trzymali strażnicy. Kiedy usiadł, zdjęto mu kajdanki i odwiązano linę. Taka procedura była standardowa podczas spraw karnych w Japonii, jednak ja wzdrygnąłem się na ten widok, tak nieprzystający do splendoru i nowoczesności Tokio: bezbronny człowiek prowadzony na

postronku.

Obarze polecono stanąć twarzą do trzyosobowego zespołu sędziowskiego, podczas gdy prokurator odczytał akt oskarżenia, w którym zarzucono podsądnemu popełnienie jungokan chishi – „gwałtu skutkującego zgonem”, jest to zarzut równie ciężki jak nieumyślne spowodowanie śmierci, ale nieco lżejszy niż zabójstwo – na Caricie Simone Ridgway i Lucie Jane Blackman. W japońskim sądzie oskarżeni nie odpowiadają jedynie krótkim stwierdzeniem, czy przyznają się do winy, czy też nie. Oczywiście mają prawo zachować milczenie, ale mogą również odnieść się do stawianych im zarzutów. Obara przeczytał swoje oświadczenie z kartki leżącej przed nim na podium; głos miał wyraźny, ale niespodziewanie cichy i sepleniący, niemal rozmiękły. Przyznał, że noce, o których mowa, spędził z Caritą i Lucie, zaprzeczył jednak, jakoby ponosił jakąkolwiek odpowiedzialność za śmierć kobiet. Do współżycia seksualnego z Caritą doszło za obopólną zgodą. Z kolei Lucie dotrzymywała mu towarzystwa w Casablance (bawił tam jako „pan Kowa”, sepleniący klient dobrze mówiący po angielsku, którego Louise pamiętała jak przez mgłę), jednak to ona zaproponowała późniejsze spotkanie, nie on. Nie było mowy o żadnym telefonie.

– Piliśmy alkohol i oglądaliśmy filmy wideo w moim mieszkaniu w Zushi – twierdził. – Nie „bawiliśmy się” (użył japońskiego słowa zapożyczonego z języka angielskiego, „pueri”) ani razu tamtej nocy. Nie przymuszałem jej do picia żadnych drinków zawierających środki nasenne czy inne środki odurzające.

Gdy następnego ranka wyszedł z mieszkania, ciągnął, Lucie czuła się dobrze.

– Wiem, że Lucie umarła – powiedział. – Ale nie podjąłem żadnych działań, które doprowadziłyby do jej śmierci. Mimo że być może w jakiś sposób jestem po części odpowiedzialny za to zdarzenie, nie dopuściłem się

żadnej z czynności wymienionych w akcie oskarżenia.

Dziesiątki reporterów wybiegło z sali rozpraw, aby przekazać słowa oskarżonego stacjom telewizyjnym i agencjom prasowym. Gdy Obara usiadł, z miejsca podniósł się główny oskarżyciel, który zaczął odczytywać szczegółowy akt oskarżenia. Mówił szybko i monotonicznie, przerzucał kolejne kartki i dostarczał nowych informacji w takim tempie, że dziennikarzom trudno było nadążyć.

– Najpóźniej w 1983 roku, używając różnych nazwisk i nie ujawniając [prawdziwej] tożsamości – oświadczył prokurator – oskarżony zaczął zawozić kobiety do przystani Zushi, gdzie podawał im napoje ze środkami oszłamiającymi, doprowadzając je do utraty przytomności, po czym nakładał maskę i gwałcił je, a scenę gwałtu nagrywał na taśmy wideo. Dopuszczał się tego przestępstwa regularnie. Określał je mianem „zabawy w podbój”.

Jeśli przyjrzeć się różnicom w funkcjonowaniu japońskiego wymiaru sprawiedliwości i systemów sądownictwa w Europie Zachodniej czy Stanach Zjednoczonych, na pierwszy plan wysuwa się jeden aspekt¹¹⁶: odsetek wyroków skazujących. Amerykańskie sądy, podobnie jak sądy brytyjskie, zwykle orzekają winę w wypadku 73 procent oskarżonych. W Japonii odsetek ten wynosi 99,85 procent. Innymi słowy proces niemal zawsze jest równoznaczny ze skazaniem: podsądny, który w Japonii wejdzie na salę rozpraw, ma nikłe szanse na to, aby ją opuścić jako wolny człowiek. Ten stan rzeczy znajduje odzwierciedlenie w sposobie, w jaki oskarżonych postrzegają opinia publiczna, media, a nawet prawnicy. W Japonii na dobrą sprawę nie jest się osobą niewinną, dopóki się nie udowodni winy.

– Jesteś winny od chwili aresztowania – powiedział mi jeden z prawników Obary. – Proszę zwrócić uwagę na to, jak media relacjonują

sprawy karne. W gazetach doniesienia o aresztowaniach trafiają na pierwsze strony. Artykuły o postawieniu zarzutów są już znacznie mniej obszerne. O skazaniu i wyroku informują zaledwie krótkie wzmianki.

Sam język japoński wzmacnia to założenie. Od chwili zatrzymania, czasami jeszcze zanim zostaną postawione zarzuty, do nazwiska osoby podejrzanej przestaje się dodawać tradycyjne tytuły: „-san” czy „-shi”; aresztantowi przysługuje miano: „-yogisha”. Obara-yogisha: nie pan Obara, ale podejrzany w sprawie karnej Obara.

Prokuratorzy twierdzą, że odsetek wyroków skazujących jest wysoki, ponieważ posyłają oni do sądu jedynie te sprawy, w których wina podejrzanego jest wyraźna i niepodważalna. Innymi słowy to, czy osoba zatrzymana jest winna, czy niewinna, zostaje ustalone podczas dochodzenia, za zamkniętymi drzwiami, a nie otwarcie podczas rozprawy sądowej.

– Prokuratorzy, podobnie jak prawie wszyscy w Japonii¹¹⁷, uważają, że tylko osobę winną należy oskarżać, i że osoba oskarżona jest niemal z całkowitą pewnością winna – pisze socjolog David Johnson. – Większość procesów w japońskich sądach¹¹⁸ nie ma nic wspólnego z potyczkami, bitwami czy zawodami sportowymi, mimo że postępowanie prywatnodowodowe zdawałoby się zakładać taką charakterystykę. Bardziej przypominają one „wydmuszki”, „ceremonie” pozbawione ducha walki.

Z drugiej strony uniewinnienia, które zdarzają się niezwykle rzadko, stanowią upokorzenie i olbrzymi cios dla stróżów prawa i wymiaru sprawiedliwości. W sądach na Zachodzie obrońcy wygrywają sprawy; w Japonii prokuratorzy przegrywają, a porażka może okazać się druzgocąca. Kiedy związanego i zakutego Jojiego Obarę wprowadzono na salę rozpraw, istniały bardzo małe szanse na to, że uda mu się wyjść na wolność. Jednak jego przeciwnicy również mieli bardzo dużo do stracenia. Dokument, który mamrocząc pod nosem odczytywał w sądzie oskarżyciel, był zwieńczeniem

wspólnego trwającego cały rok wysiłku śledczych i prokuratorów. Od tego, na ile skuteczny się okaże, będą zależały kariery i reputacja wielu osób.

Akt oskarżenia najpierw przedstawiał fakty dotyczące sprawy Carity – nagłe i niedające się zatrzymać pogorszenie stanu zdrowia, przesiąknięta chloroformem wątroba, zamaskowany mężczyzna na nagraniu wideo – następnie zaś przechodził do Lucie i ruchów Obary podczas ostatniego dnia jej życia.

O północy 30 czerwca kupił winogrona, grejpfruta, melona oraz mandarynki w całodobowym sklepie położonym w tokijskiej dzielnicy Akasaka. Czterdzieści minut później zatankował swojego mercedesa-benza na pobliskiej stacji benzynowej. O godzinie wpół do drugiej po południu zadzwonił do Lucie i przełożył termin spotkania z nią. Pojechał do pralni chemicznej w hotelu New Otani, gdzie zostawił rzeczy do prania, następnie ponownie zadzwonił do Lucie, po czym odebrał ją przed dworca Sendagaya o trzeciej trzydzieści. Gdy jechali do Zushi, tuż po godzinie piątej po południu Lucie pożyczyła od niego telefon, żeby zadzwonić z samochodu do Louise Phillips. Sądząc po kącie padania światła i długości cieni, o godzinie piątej dwadzieścia Obara zrobił Lucie parę zdjęć. O godzinie szóstej byli już w mieszkaniu numer 4314 w przystani Zushi. Lucie, która przez cały dzień niewiele jadła, pewnie była już głodna; Obara zadzwonił do miejscowej restauracji i zamówił smażonego kurczaka oraz zasmażane w cieście krewetki i węgorza. W mieszkaniu znalazł zawiadomienie o problemach z instalacją gazową, zadzwonił więc do przedsiębiorstwa gazowego Tokio Gas i o godzinie siódmej czternaście zjawił się fachowiec, który miał się zająć usterką. W chwili gdy Obara z nim rozmawiał, Lucie zadzwoniła do Louise z nowego telefonu, który właśnie dostała od Obary. Następnie zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce telefonu Scotta, po czym

ślad po niej zginął.

„Między tą godziną a 2 lipca 2000 roku w tym samym mieszkaniu – można przeczytać w akcie oskarżenia – oskarżony podał ofierze napój zawierający środki nasenne i zastosował chloroform, aby doprowadzić do utraty przytomności. Następnie dokonał gwałtu i mniej więcej w tym czasie spowodował zgon ofiary, który nastąpił w wyniku działania wyżej wspomnianych środków skutkującego zatrzymaniem akcji serca lub niewydolnością układu oddechowego”.

Relacja prokuratora przeszła do wydarzeń niedzielnego popołudnia, kiedy to Obara, przemieszczając się pociągiem i taksówką, udał się do jednego ze swoich mieszkań w Tokio, a następnie wieczorem tego samego dnia wrócił do przystani Zushi. Wczesnym rankiem dnia następnego znów pojechał do Tokio, gdzie aktywował kolejny z zestawu telefonów komórkowych na kartę. Kilka minut przed godziną wpół do szóstej po południu zadzwonił z niego do Louise Phillips.

– Nazywam się Akira Takagi – oznajmił. – Dzwonię w imieniu Lucie Blackman.

W ciągu następnych dwóch i pół godziny wykonał jeszcze kilka telefonów: do sklepu elektrycznego, sklepu żelaznego oraz ze sprzętem turystycznym. Po południu kolejnego dnia, we wtorek, pojawił się we wszystkich tych miejscach, aby kupić namioty, karimaty, śpiwór, latarki, młotek, nóż, piłę ręczną, piłę łańcuchową, łopatę, pojemniki i narzędzia do mieszania, trzy szesnastokilogramowe worki cementu oraz środek chemiczny przyspieszający twardnienie.

W środę, 5 lipca, pojechał do mieszkania w Blue Sea Aburatsubo mercedesem załadowanym przedmiotami nakrytymi białymi prześcieradłami. Następnego dnia dozorczyńi powzięła pewne podejrzenia i wezwała policję. Stróże prawa porozmawiali ze spoconym Obarą w zabałaganionym

cementem i workami przedpokoju, po czym przyjęli od niego przeprosiny i wysłuchali tłumaczeń na temat zdechłego psa, którego zamrożone zwłoki trzymał na rękach.

Wczesnym rankiem następnego dnia przyjaciel dozorczyńni widział kogoś podobnego do Obary idącego z łopatą nieopodal plaży.

„Między 5 a 6 lipca 2000 roku – monotennie ciągnął prokurator – za pomocą elektrycznej piły łańcuchowej albo na terenie prefektury Kanagawa, albo w jej pobliżu lub też w mieszkaniu numer 401 w Blue Sea Aburatsubo odciął głowę, ręce i nogi Lucie. Włożył głowę Lucie do cementu i doprowadził do jego zastygnięcia, po czym schował głowę oraz pozostałe części ciała do worków na śmieci i zakopał je w grocie pod klifem, a sam opuścił to miejsce”.

W niedzielę, 9 lipca, Obara zadzwonił do Japonki, którą poznał za pośrednictwem telefonicznej usługi randkowej. Kobieta ta nigdy go nie spotkała ani nie знаła jego prawdziwego imienia i nazwiska. Policja dotarła do niej tylko dzięki prześledzeniu połączeń wykonywanych z telefonów Obary. Japonka zapamiętała jednak, co wyznał jej rozmówca:

– Zrobiłem coś strasznego¹¹⁹ i nie mogę nikomu o tym powiedzieć.

Od końca lipca do początku października Obara wysłał na policję cztery listy, dwa z nich napisane po angielsku, sygnowane imieniem Lucie i zawierające listę jej długów, oraz pieniądze przeznaczone na spłatę zobowiązań. Policja odnalazła tę samą listę oraz szkice listów w jednym z mieszkań Obary.

W grocie, w której zostało pogrzebane ciało Lucie, znajdował się pokrowiec od namiotu dokładnie takiego samego jak ten zakupiony przez Obarę w sklepie ze sprzętem turystycznym. Piły łańcuchowej nie odnaleziono, ale ślady na kościach Lucie odpowiadały śladom, jakie pozostawiał model piły, który nabył Obara. W jednej z nieruchomości Obary

znaleziono dziennik Lucie, a także chloroform, rophynol, GHB i inne środki nasenne o silnym działaniu.

Akt oskarżenia opierał się na dowodach zgromadzonych na przestrzeni kilkunastu miesięcy przez ludzi komisarza Udo: billingach telefonicznych, paragonach wydawanych po pobraniu opłaty za przejazd, zapisach kamer monitorujących ruch na autostradach, zeznaniach roznosiciela z baru sushi, dozorczyńi oraz sprzedawcy owoców. Wszystko zostało udokumentowane; dwadzieścia osiem teczek spoczywało na trzech półkach w rogu sali rozpraw. Jednak między sobotą 1 lipca a niedzielą 2 lipca oraz między piątym a siódmym dniem tego samego miesiąca istniała próżnia, pustka, której nie zdołano wypełnić billingami, zeznaniami świadków ani zapisami transakcji. Tę lukę mogły zapełnić jedynie wyznanie winy lub próbka DNA Obary – krew, włos lub nasienie – znalezione na ciele Lucie. Jednak – dlatego że upłynęło zbyt dużo czasu lub ponieważ nigdy owych śladów na ciele Lucie nie było – specjaliści w dziedzinie medycyny sądowej nie odkryli niczego. Lucie umarła, z jakiegoś powodu. Ktoś gdzieś rozczłonkował jej zwłoki piłą łańcuchową i zakopał je w grocie. Poszlaki sprawiały, że uparcie nasuwało się pytanie: któż inny mógł to zrobić, jeśli nie Joji Obara? Jednak skrupulatny, bezwzględny japoński wymiar sprawiedliwości domagał się wyjaśnienia: jak dokładnie do tego doszło?



Rozprawy odbywały się w salach sądowych o różnych rozmiarach, ale niezmiennie pozbawionych okien, wyposażonych w świetlówki i wypełnionych nieruchomym powietrzem o temperaturze regulowanej za pomocą termostatu. Duszne japońskie lata przechodziły w mroźne, suche zimy, jednak w sądzie cały czas panowała jednakowa atmosfera: nie było ani

za chłodno, ani za ciepło, ani zbyt sucho, ani zbyt wilgotno. Pomieszczenia miały kształt prostokąta przedzielonego drewnianą barierką odgradzającą miejsca dla publiczności. Po drugiej stronie balustrady pod przeciwległymi ścianami zasiadali naprzeciwko siebie obrońcy i prokuratorzy; między ich stanowiskami umieszczone było pionowe podium, za którym stawali świadkowie i oskarżeni. Z przodu sali, zwrócenii w stronę publiczności, siedzieli urzędnik sądowy i strojący grymasy stenograf; za nimi na podwyższeniu zasiadało troje sędziów, a wysokie oparcia krzeseł wznosiły się nad ich głowami niczym czarne aureole.

Rozprawy, zwłaszcza po przerwie na lunch, często robiły się odrętwiająco senne. Jeden z sędziów, pulchny, dość młody mężczyzna zajmujący miejsce po prawej stronie głównego sędziego, większość czasu przesiadzał z przymkniętymi oczami: trudno powiedzieć, czy tak mocno koncentrował się na sprawie, czy też po prostu drzemał. Nawet obrońcy Obary musieli pewnego popołudnia szturchnąć jednego kolegę, gdy ten zaczął głośno chrapać. W brytyjskim sądzie takie zachowanie okryłoby nieszczęsnego prawnika wstydem i spotkałoby się z naganą. Jednak tutaj urzędnicy zachichotali, sędziowie uśmiechnęli się pobłaźliwie i natychmiast zapomniano o całym incydencie.

Japonia zrezygnowała z rozpraw z udziałem ławy przysięgłych już podczas drugiej wojny światowej. Od tamtej pory o winie lub jej braku oraz o wymiarze kary decydował wyłącznie trzyosobowy zespół sędziowski¹²⁰. W przeciwieństwie do praktyk stosowanych w Wielkiej Brytanii, gdzie sędziów mianuje się spośród uznanych adwokatów, w Japonii sędziowie tworzą osobną grupę zawodową. Młody człowiek (prawie zawsze jest to mężczyzna) może tuż po ukończeniu studiów prawniczych wejść w skład zespołu sędziowskiego i do końca swojej kariery nie robić nic innego. Ludziom z Zachodu młodzi sędziowie o łagodnych, pulchnych, niekiedy

pryszczatych twarzach wydawali się rażąco niedojrzali. Ich autorytet podkreślały długie czarne togi; gdy wchodzili na salę rozpraw, wszyscy zebrani wstawali z miejsc. Świadkowie składali uroczystą przysięgę, zanim zaczęli zeznawać; prawnicy i sędziowie zwracali się do siebie uprzejmie i oficjalnie. Brakowało jednak aury dostojności i teatralności charakterystycznych dla brytyjskich sądów oraz poczucia, że sala rozpraw jest miejscem odcięty od świata zewnętrznego.

Pytania zadawane świadkom przez stronę przeciwną były pozbawione polotu i przypadkowe. Oświadczenia odczytywano bełkotliwie, wnioski prawne wydawały się nieciekawe i beznamiętne. Nikt nie tracił panowania nad sobą, nikt nie podnosił głosu ani nie okazywał osobistego zaangażowania w wynik postępowania. Nie było oratorstwa, gry pod publiczność, konfliktów, dramatyzmu ani emocjonalnych reakcji poza sporadycznie przejawianą umiarkowaną irytacją. Zamiast majestatycznego dochodzenia sądowego rozprawa w swej atmosferze przypominała radę pedagogiczną zwołaną w zaskorupiałej placówce oświatowej.

Miesiąc w miesiąc na sali rozbrzmiewały monotonne głosy prawników, a rozedrgane palce stenografów biegały po klawiaturze. Od czasu do czasu ja również przysypiałem. Jednak za szarą zasłoną biurokratyzacji wyczuwało się niejasne napięcie. Było to wrażenie podobne temu, gdy gdzieś na granicy słyszalności dobiega nas bzyczenie natrętnego komara; gdy tuż przed napadem gorączki intensyfikuje się nasz odbiór rzeczywistości albo gdy stojąc nieopodal słupa elektrycznego, wyczuwamy bliżej nieokreślone wibracje, ni to dźwięk, ni dotyk. Wydawało się, że źródłem tych odczuć jest sam Joji Obara.

Obarę co miesiąc dowożono na rozprawy z Tokijskiej Izby Zatrzymań, dwunastopiętrowej fortecy położonej w podmiejskiej dzielnicy Kosuge. Jego

obrońcy najprawdopodobniej zgłosili sprzeciw, ponieważ po pierwszych posiedzeniach nigdy więcej nie zjawił się w sądzie w kajdankach ani przewiązany grubą niebieską liną. Zajmował miejsce po prawej stronie sali, za jego plecami siedzieli adwokaci, a po obu jego bokach – strażnicy.

Zachowywał się dostojnie, na jego twarzy malował się udręczony wyraz, typowy dla człowieka, który pechowym zrządzeniem losu znalazł się w okolicznościach nieodpowiadających jego statusowi, ale który mimo wszystko stara się zachować godność. Na sali rozpraw zawsze był ubrany w rozpiętą pod szyją koszulę i granatowy lub ciemnografitowy garnitur, elegancki i drogi, jednak wymięty, jak gdyby zbyt późno wyjęto go z magazynu i nie odprasowano starannie. Włosy miał miękkie, średniej długości, ale również zaniedbane, jak gdyby rozczesane i przygładzone w pośpiechu: na przestrzeni ośmiu lat obserwowałem, jak siwizna cofa się z jego skroni, a łysina, poczynając od czubka głowy, sięga coraz bardziej w dół. Nosił okulary w ciemnych oprawkach i zawsze miał przy sobie niebieski ręczniczek, którym ocierał pot z twarzy, dłoni i karku. Sąd uznawano za miejsce publiczne, w którym nie było konieczności zdejmowania obuwia, i wszyscy obecni mieli na nogach buty. Tylko Obara nosił plastikowe klapki – kolejny środek zapobiegawczy, jak przypuszczałem, mający na celu utrudnić ewentualną próbę ucieczki.

Kilka najpóźniejszych dostępnych fotografii Obary pochodziło sprzed trzydziestu lat, dlatego japońskie media w trybie pilnym chciały zdobyć aktualny wizerunek podejrzanego podczas rozprawy. Robienie zdjęć w sądzie było zakazane, ale zawodowi rysownicy, skupieni i nachmurzeni, przepychali się do przodu ze szkicownikami i pastelami, aby zająć miejsca w pierwszych rzędach.

Jednak Obara udaremnił ich zamiary, tak samo jak wcześniej krzyżował plany innym ludziom za każdym razem, gdy próbowali uwiecznić jego

podobiznę. Gdy tylko przestąpił próg sali sądowej, obracał twarz na ukos od publiczności i zwracał się w stronę sędziego. Rysunki zamieszczone następnego dnia w porannej prasie przedstawiały najmniej interesującą część jego głowy: włosy, kark, kołnierzyk marynarki oraz fragment lewego policzka i szczęki. Nawet pod baczным nadzorem sądu niemożliwe okazało się spojrzeć Obarze prosto w twarz.

Na każdej kolejnej rozprawie prokuratorzy posuwali sprawę do przodu, przedstawiając dowody, którymi dysponowali, na potwierdzenie wersji wydarzeń nakreślonej w akcie oskarżenia.

W styczniu 2003 roku zeznawał lekarz potwierdzający toksyczne działanie chloroformu¹²¹. W kwietniu specjalista anestezjologii¹²² odniósł się do gwałtów nagranych na taśmach wideo i wyjaśnił, że ukazane na nich ofiary oddychały w sposób charakterystyczny dla osób znajdujących się w stanie odurzenia środkami oszalamiającymi. Dozorczyńni Blue Sea Aburatsubo¹²³ oraz inspektor policji, który odebrał telefon od niej¹²⁴, opisali nagły przyjazd Obary i jego dziwne zachowanie w dniach następujących tuż po zaginięciu Lucie. Policyjny chemik zeznał¹²⁵, że cement pokrywający głowę Lucie jest dokładnie takiego samego rodzaju jak ten, który Obara kupił po zniknięciu dziewczyny. Yuka Takino¹²⁶, kobieta, której rodzina posiadała łódź w pobliskiej przystani, opisała swoją wyprawę na plażę w pobliżu Blue Sea Aburatsubo. Doszło do niej dwa tygodnie po zaginięciu Lucie. Kiedy siedziała na plaży, pilnując dwójki swoich dzieci bawiących się w piasku, zauważyła, że jej potomstwu przygląda się również jakiś mężczyzna.

– Patrzył na mojego syna przenikliwie, ze złością – opowiadała pani Takino. – Nie odniosłam wrażenia, że obserwował go dlatego, że jest osobą, która z natury lubi dzieci.

Jej młodszy syn bawił się na kamieniach i w pewnym momencie zawołał mamę, aby zapytać, czy może wejść do groty.

– Zaczął biec [w stronę groty] – relacjonowała pani Takino przed sądem. – Mężczyzna wyglądał na przestraszonego, spojrzał na mojego syna, potem spojrzał na mnie. Nie przestawał na nas patrzeć i wydało mi się to bardzo dziwne. Zawołałam więc do syna: „Wracaj tu!”. A kiedy przyszedł, powiedziałam: „Nie wchodź do tej groty”.

Spakowali się i zeszli z plaży mocno zaniepokojeni. Siedem miesięcy później, po odnalezieniu zwłok Lucie, kobieta przypomniała sobie to dziwne zdarzenie i dotarło do niej, co jej syn mógł odkopać w grocie swoją zabawkową łopatką. Kiedy padło pytanie, czy ów mężczyzna z plaży znajduje się na sali sądowej, pani Takino popatrzyła w prawo, na Obarę siedzącego w odległości półtora do dwóch metrów od niej i przechylającego głowę w jej stronę.

– Wygląda jak tamten mężczyzna, którego widziałam, ale wtedy był rozgniewany – powiedziała kobieta. – Teraz uśmiecha się łagodnie.

Prokuratorzy w pełni zdawali sobie sprawę ze słabych punktów śledztwa i odważnie stawili im czoła. W ciągu wielotygodniowych poszukiwań policja wywiozła z nieruchomości Obary dywany, maty tatami oraz armaturę, nie udało im się jednak odnaleźć najmniejszej plamki krwi Lucie. Koniecznie należało zatem udowodnić przed sądem, że można rozczłonkować ciało na dziesięć kawałków i pozbyć się ich, nie zostawiając na miejscu zdarzenia ani śladu DNA ofiary. W maju 2004 roku policja postanowiła dowieść tego poprzez eksperyment polegający na pocięciu piłą świńskiej tuszy w rozłożonym namiocie.

Zabieg ten, dziwaczny, drastyczny¹²⁷ i ocierający się o podszytą czarnym humorem farsę, został zrelacjonowany przez oficera nadzorującego,

głównego inspektora Nobuyoshiego Akaminego. Zaczął on od zgromadzenia tego samego sprzętu – namiotów, karimat i piły łańcuchowej – który Obara nabył podczas zakupów przeprowadzonych trzy dni po zaginięciu Lucie, po czym przetransportował cały ekwipunek na dziedziniec wydziału medycyny sądowej Uniwersytetu Tokijskiego. Następnie zamówił w rzeźni sześćdziesięcioośmiokilogramową tuszę świńską przepołowioną wzdłuż kręgosłupa. Po zabiciu ze świni oczywiście spuszczone krew, dlatego inspektor i jego ludzie rozpuścili w wiadrze czerwony barwnik spożywczy, a jeden z profesorów medycyny sądowej długo i mozolnie wstrzykiwał w tuszę czerwony płyn imitujący krew.

Główny inspektor wyjaśnił, że ze wszystkich zwierząt właśnie świnia posiada ciało i kośćce najbardziej zbliżone do ciała i kośćca ludzkiego. Prawą połowę tuszy przechowywano w zamrażarce, natomiast lewą rozmrożono. Na polecenie głównego inspektora Akaminego jeden z policjantów wniósł do ciasnego namiotu najpierw jedną, potem drugą połowę świni, aby pociąć je na kawałki piłą łańcuchową. Po zakończeniu tej procedury ochlapano czerwonym barwnikiem spożywczym ściany namiotu, aby sprawdzić ich nieprzepuszczalność.

Podczas rozprawy prawnicy i sędziowie otrzymali do wglądu niewielki album zawierający dokumenty i zdjęcia uwieczniające opisywane przez inspektora czynności. Siedziałem w którymś z pierwszych rzędów i kiedy się wychyliłem, zdołałem dojrzeć fotografie lśniących, wilgotnych kawałków wieprzowiny. Prokuratorzy nie mieli pewności co do tego, czy Obara dokonał rozcłonkowania w mieszkaniu, czy też gdzieś na wsi, nie wiedzieli również, czy przed pocięciem zamroził ciało Lucie. Jednak główny inspektor Akamine oświadczył, że po zakończeniu eksperymentu z tuszą świni okazało się, iż ani jedna drobina czerwonego barwnika nie wydostała się poza namiot.

Po odczytaniu aktu oskarżenia i oświadczeniu podsądnego, że nie przyznaje się do winy, niewielu dziennikarzy interesowało się dalszymi losami procesu, niemniej podczas rozpraw galeria dla publiczności zawsze była wypełniona przynajmniej do połowy ekscentryczną i osobliwie wyglądającą widownią, ludźmi tak odmiennymi, jak gdyby należeli do zupełnie innego plemienia niż ubrani w garnitury urzędnicy przemierzający ulice miasta. Pewien starszy pan nosił brązowy kapelusz trilby z opaską, za którą miał wetknięty biały kwiatek. Za nim siedziały dwie pulchne wagarowiczki w szkolnych mundurkach przypominających marynarskie ubranka. Raz czy dwa razy dostrzegłem kogoś o bezbarwnym, nijakim wyglądzie charakterystycznym dla japońskich bezdomnych, najelegantszych i najporządniejszych kloszardów na świecie. Najbardziej rzucał się w oczy czterdziestokilkuletni mężczyzna o przyprószonej siwizną brodzie, zafarbowanych na zielono włosach i w długiej do łydek spódnicy, który nieustannie coś notował w zeszycie. Zwykle dwie lub trzy osoby z publiczności drzemały.

Do grona najczęstszych bywalców sali sądowej należała drobna, przypominająca elfa młoda kobieta, która również wytrwale robiła notatki. Nazywała się Yuki Takahashi i była założycielką oraz członkinią Kasumikko Club, grupy zapaleńców, którzy w wolnym czasie przychodzili na rozprawy odbywające się w ramach procesów przeciwko ludziom oskarżonym o potworne zbrodnie i zamieszczali swoje spostrzeżenia na blogu internetowym. Fanów blogowania było więcej – jednym z nich okazał się ubrany w spódnicę zielonowłosa mężczyzna, który sam siebie nazywał Mighty Aso. Yuki, wraz z koleżankami Miki-san i Poison Carrot, prowadziła wyjątkowo skrupulatną obserwację Jojiego Obary.

– Bardzo lubię rozprawy Obary¹²⁸ – napisała. – Ich terminy mam wryte w pamięć podobnie jak urodziny krewnych.

Być może jestem osobą, która na temat sprawy Obary wie więcej [niż ktokolwiek

inny]. Gdyby urządzano kwiz z wiedzy o Obarze, wygrałabym główną nagrodę (choć wolałabym układać do tego kwizu pytania). Przysłuchując się rozprawom, nauczyłam się na pamięć nawet numerów telefonów komórkowych, których używał Obara. Czasami zastanawiam się, czy nie zachowuję się jak maniaczka! Bardzo lubię Obarę, ale – po raz pierwszy przyznam to otwarcie – bardzo lubię również prokuratorów, zwłaszcza tego młodszego. Jest w moim typie: fajny. Oczywiście lubię też głównego sędziego. Ma lekki wiejski akcent – brzmi jak osoba godna zaufania. Podczas posiedzenia sądu wszyscy moi ulubieńcy gromadzą się na jednej sali i nie mogę się tego doczekać. Dzień wcześniej napięcie sięga zenitu i utrzymuje się nawet dzień po rozprawie.

Jednym ze skutków zdumiewająco wysokiego w Japonii odsetka wyroków skazujących jest to, że bardzo niewiele osób pragnie zostać adwokatami. Dlaczego ktoś miałby tego chcieć? Zawód ten jest stosunkowo źle płatny, a do tego nie przynosi prestiżu ani uznania społecznego. Do obrońców występujących w sprawach karnych Japończycy odnoszą się podejrzliwie, jak do osób starających się usprawiedliwić postępowanie przestępców – i nie brakuje temu rozumowaniu logiki, skoro prawie wszyscy oskarżeni stający przed sądem zostają skazani. Statystyki wskazują, że przeciętny adwokat może doprowadzić do uniewinnienia swojego klienta raz na trzydzieści jeden lat.

Prawnicy są w Japonii grupą społeczną, której członkom przysługuje tytuł sensei, co dosłownie oznacza „nauczyciel”, ale określenie to funkcjonuje również jako forma grzecznościowa stosowana wobec lekarzy, naukowców i polityków. Podobnie jak pacjent czy student oskarżony nie powinien kwestionować wiedzy senseia, który go broni. Jednak od samego początku Obara odrzucił to założenie. Traktował swoją obronę jak wojnę¹²⁹, podczas której on pełni funkcję generała; domagał się, aby prawnicy pogodzili się z myślą, że to on jest zwierzchnikiem, a oni podwładnymi w czasie tego starcia. Pierwszy zespół adwokacki zrezygnował¹³⁰ ze

współpracy z Obarą w październiku 2001 roku, ponieważ „niemożliwe stało się utrzymanie dobrych relacji z oskarżonym”, jak miał powiedzieć jeden z obrońców. Proces wstrzymano na rok, gdyż sąd poszukiwał prawników gotowych reprezentować Obarę. Któryś z adwokatów zapamiętał, jak Obara mu oznajmił:

– Nie interesuje mnie skrócenie wyroku, chcę uniewinnienia. Jako oskarżony zaprzeczam wszystkim zarzutom. Jesteście moimi obrońcami, musicie stawić czoła prokuratorom.

Na Zachodzie byłoby to uznane za zwykły przejaw zdrowego rozsądku, jednak wielu japońskim prawnikom taka postawa wydawała się niesłychana i równie trudna do zaakceptowania jak nalegania pacjenta, aby nadzorować własną operację. Po raz kolejny ujawnił się indywidualistyczny rys Obary i żaden z jego adwokatów nigdy wcześniej nie miał do czynienia z podobnym klientem.

Prawnicy odwiedzali go w Tokijskiej Izbie Zatrzymań. Jako człowiek teoretycznie niewinny do czasu, aż zostanie udowodniona mu wina, cieszył się tam większą swobodą niż osadzeni w więzieniach. Mógł wysyłać i otrzymywać listy oraz codziennie przyjmować gości. Początkowo raz w miesiącu, później jednak coraz częściej przyjeżdżała do niego pociągiem ekspresowym z Osaki jego stara matka Kimiko. Poza nią wizyty składali mu jedynie adwokaci i każdego dnia widział się co najmniej z jednym z nich. Zachowywał dystans wobec strażników, a rzadko który aresztant przebywał w izbie dłużej niż kilka miesięcy. Obara spędził dziewięć lat w małym, zamkniętym na klucz pokoju z łóżkiem i umywalką. Jedyne znaczące rozmowy prowadził z prawnikami, jedyne jego zajęcie polegało na przygotowywaniu strategii obrony.

Cela Obary była niczym siedziba sztabu. Dokumenty spoczywały wprost na podłodze ułożone w stosy wznoszące się na wysokość człowieka: listy,

faksy, podręczniki z zakresu prawa, pliki z zapisami zeznań. Oprócz zarzutów o osiem gwałtów i dwa gwałty ze skutkiem śmiertelnym Obara, podobnie jak wielu innych byłych beneficjentów banki spekulacyjnej, musiał uporać się z pozwami wniesionymi przez wierzycieli. W ostatnich osiemnastu miesiącach przed aresztowaniem sądy skonfiskowały kilka jego nieruchomości. W 2004 roku Obara zbankrutował, a jego zobowiązania wynosiły 23 800 000 000 jenów. Przy różnych sprawach pracowało kilka osobnych zespołów adwokackich; nikt poza Obarą nie znał nazwisk ani nawet rzeczywistej liczby zatrudnionych przez niego prawników. Przez cały czas utrzymywał co najmniej dziesięciu naraz; w ciągu całego procesu prawdopodobnie przewinęło się ich kilkudziesięciu.

Dla adwokatów przyzwyczajonych do uległych i wdzięcznych klientów reprezentowanie Obary mogło być udręką. Nie dlatego, że był nieuprzejmy czy agresywny, ponieważ nie zachowywał się w ten sposób – szokiem okazywało się to, że chciał dowodzić.

– Przypomina reżysera kręcącego film na podstawie scenariusza napisanego zgodnie z własną wizją rzeczywistości – opowiadał jeden z obrońców. – Jest bystry i bardzo podejrzliwy. Nikomu nie ufa, nawet prawnikom. Trudno z nim współpracować. – Gdy podczas rozprawy nadchodził czas na pytania strony przeciwnej, adwokaci Obary dosłownie trzymali się scenariusza i zadawali przygotowane przez niego pytania, choć wyraźnie byli przy tym zakłopotani.

„To musi być straszne dla obrońców – napisała Yuki Takahashi, blogerka. – Widzę, jak w sądzie wytrzeszczają oczy niczym zdechłe ryby, patrząc na te wszystkie rozkazy, które im powydawał, na te wszystkie pytania zupełnie niemające związku ze sprawą. Ja mogę się z tego śmiać, ale dla nich to na pewno coś okropnego”.

Miał znakomitą pamięć do dat i szczegółów, nie tolerował prawników,

którzy się gubili albo którym różne rzeczy się plątały. Miał również głowę pełną pomysłów, często jednak były one nielogiczne i niespójne.

– Jest na tyle inteligentny, że z łatwością opracowuje różne strategie, ale nie potrafi zdecydować, która z nich będzie najlepsza – podsumował jeden z adwokatów. – Próbuje więc niejako połączyć je razem i podejrzewam, że nic z tego nie wyjdzie.

Pytanie brzmiało prosto: w jaki sposób odnieść się do całego katalogu skrupulatnie zebranych dowodów świadczących przeciwko niemu? W wypadku zarzutów o gwałt argumenty nasuwały się same: akty płciowe, do których doszło i które zostały nagrane na taśmach wideo, być może są nietypowe, ale zostały dokonane za obopólną zgodą. Yasuo Shionoya, prawdopodobnie najskuteczniejszy obrońca Obary, w rozmowie ze mną ujął to następująco:

– Co do pań, które pracują jako hostessy i im podobne, uważam, że udając się z mężczyzną do jego mieszkania, wyrażają zgodę na seks. Tak samo uważał Obara. Przyjmuje on do wiadomości, że spowodował obrażenia, stosując środki oszłamiające, godzi się z zarzutem o spowodowanie obrażeń ciała. Nie rozumie jednak [oskarżenia dotyczącego] gwałtu. To cały czas podkreśla. Logicznie rzecz biorąc, sądzę, że może mieć rację.

Linia obrony w sprawie zarzutów o odurzenie, zgwałcenie i doprowadzenie do śmierci Carity Ridgway była bardziej skomplikowana, a opierała się na wątpliwościach dotyczących przyczyny zgonu. Ponownie Obara utrzymywał, że do współżycia seksualnego doszło za obopólną zgodą, a do tego twierdził, iż nagranie przedstawiające go z nieprzytomną Caritą zostało zrobione podczas ich wcześniejszego spotkania, kilka tygodni przed nagłą chorobą kobiety. Wtedy żaden z lekarzy nie uznał, że niewydolność wątroby została spowodowana zażyciem jakichkolwiek preparatów. Carita mogła umrzeć na skutek nieodpowiedniego leczenia, które pociągnęła za

sobą błędnie postawiona diagnoza, lub też w wyniku działania zastrzyku przeciwbólowego, który podała lekarz wezwany przez Obarę przed odwiezieniem Carity do szpitala.

Co zatem ze sprawą Lucie? Niektórzy członkowie zespołu adwokackiego uznawali ją za najprostszą z powodu braku dowodu bezpośredniego.

– Ważne było to, że Obara i Lucie byli sami, że nikt inny nie wiedział, co się stało – powiedział jeden z obrońców. – Nie musimy udowadniać, że Obara nie popełnił zbrodni. Musimy tylko wykazać, że prokuratura nie może udowodnić, iż Obara dopuścił się przestępstwa, i podkreślić, jak słabym materiałem dowodowym dysponują. Nie ma nagrania. Przyczyna zgonu jest nieznana. W jaki sposób mógłby wynieść duże zwłoki z mieszkania w Zushi, sam, w środku lata, tak żeby nikt go nie widział? Jak mógłby zanieść je do samochodu, rozczłonkować w innym mieszkaniu, a potem zakopać, i to wszystko zupełnie sam? Zostało nam jedynie uwypuklić te wszystkie słabe punkty.

Innymi słowy konwencjonalna strategia polegałaby nie na obronie oskarżonego, ale podważeniu wersji przedstawianej przez prokuraturę. To jednak nie wystarczyło Obarze. On chciał przedstawić własną wersję – chciał wypełnić dziurę w kształcie człowieka.

¹¹⁵ Relacje z pogrzebu Lucie pochodzą z rozmów przeprowadzonych z jej rodziną i przyjaciółmi oraz z ówczesnych doniesień prasowych, między innymi z artykułu W. Hollingworth, *Family, Friends Say Goodbye to Murdered British Hostess Lucie*, „Kyodo News”, 29 marca 2001.

¹¹⁶ Dane dotyczące odsetka wyroków wskazujących w Japonii pochodzą z publikacji D.T. Johnson, *Japanese Way of Justice*, dz. cyt., s. 62, 216. Johnson pisze: „Nawet w wyjątkowo »udanym« dla oskarżonych roku zaledwie jedna na 265 spraw kończy się uniewinnieniem. Zwykle stosunek ten wynosi jeden do ośmiuset [...] Amerykańskie sądy

wydają rocznie tyle orzeczeń uniewinniających, ile japońskie w wydałyby w ciągu 175 lat”.

[117](#) Tamże, s. 165.

[118](#) Tamże, s. 47.

[119](#) *Photograph Links Obara to Blackman*, dz. cyt.; *50th Hearing of Joji OBARA*, podsumowanie postępowania sądowego przygotowane w języku angielskim przez Tokijską Policję Miejską, 24 grudnia 2006.

[120](#) W 2009 roku w ramach zakrojonych na szeroką skalę reform mających na celu usprawnienie i przyspieszenie działań sądów orzekających w sprawach karnych wprowadzono funkcję ławnika – zwykłego obywatela zasiadającego w składzie razem z zawodowymi sędziami.

[121](#) Proces Jojiego Obary, 13. posiedzenie, Tokijski Sąd Okręgowy, 22 stycznia 2003.

[122](#) Proces Jojiego Obary, 17. posiedzenie, Tokijski Sąd Okręgowy, 16 kwietnia 2003.

[123](#) Proces Jojiego Obary, 25. posiedzenie, Tokijski Sąd Okręgowy, 27 listopada 2003.

[124](#) Proces Jojiego Obary, 26. posiedzenie, Tokijski Sąd Okręgowy, 25 grudnia 2003.

[125](#) Proces Jojiego Obary, 28. i 29. posiedzenie, Tokijski Sąd Okręgowy, 30 stycznia i 17 lutego 2004.

[126](#) Proces Jojiego Obary, 31. posiedzenie, Tokijski Sąd Okręgowy, 26 marca 2004.

[127](#) Proces Jojiego Obary, 32. posiedzenie, Tokijski Sąd Okręgowy, 25 maja 2004.

[128](#) Y. Takahashi, M. Takigawa, R. Hasegawa, H. Kagami, *Kasumikko Kurabu. Musume-tachi no Saiban Bōchōki* (Młodzieżowy Klub Kasumi. Zapiski dziewczyn z rozpraw sądowych), Tokyo 2006.

[129](#) Informacje na temat pobytu Jojiego Obary w Tokijskiej Izbie Zatrzymań, jego relacji z prawnikami oraz działań prawnych pochodzą z rozmów z członkami jego zespołu adwokackiego i z ludźmi zbliżonymi do sprawy. Zob. także: R.L. Parry, *How the Bubble Burst for Lucie’s Alleged Killer*, „The Times”, 17 sierpnia 2005.

[130](#) *All Defense Lawyers for Obara in Blackman Case Resign*, „Kyodo News”, 12 października 2001.

CZŁOWIEK OD WSZYSTKIEGO

OBFITUJĄCE W WYDARZENIA pierwsze lata XXI wieku były okresem wytężonej pracy dla korespondenta zagranicznego. Potrafiłem przez kilka tygodni z rzędu przebywać z dala od tokijskiego domu, podróżowałem do Pakistanu, Afganistanu i Iraku. Japonia przez chwilę stała się cichym, spokojnym krajem, w którym dochodziłem do siebie w przerwach między wojnami. Nigdy jednak nie udało mi się zupełnie zapomnieć o Lucie Blackman i Jojim Obarze. Proces mozolnie posuwał się do przodu w tempie około jednego posiedzenia na miesiąc i jeśli tylko miałem taką możliwość, osobiście udawałem się do gmachu Tokijskiego Sądu Okręgowego lub też posyłałem japońskiego asystenta, który wracał z plikiem szczegółowych i zaskakujących notatek. Trudno wytłumaczyć to niesłabnące zainteresowanie z mojej strony – dwa lata po tym jak Obara stanął przed sądem, jego sprawa straciła swoją wartość jako temat dziennikarski. Jednak gdzieś w głębi duszy nadal mnie uwierała, gryzła i nie dawała spokoju, wciąż dobiegało mnie natrętne, choć ledwo słyszalne bzyczenie komara.

Nawet biorąc poprawkę na niespieszne tempo japońskiego wymiaru sprawiedliwości, sprawy karne zwykle trwały nie dłużej niż około roku. W 2005 roku, gdy prokuratura dalej wzywała kolejnych patologów

i specjalistów w dziedzinie medycyny sądowej, można było uznać, że proces Obary wyjątkowo się przeciąga. Po części było to spowodowane dużą liczbą oddzielnych zarzutów, dużą liczbą świadków oraz postępowaniem obrońców Obary, których częste sprzeciwy spowalniały postępowanie. Niemniej wskazywało to również na brak pewności prokuratorów, świadomych poszlakowej natury niektórych przedłożonych dowodów. W końcu jednak, pięć lat po śmierci Lucie i pięćdziesiąt sześć miesięcy po pierwszym posiedzeniu w sprawie zarzutów przeciwko Obarze, wezwano ostatniego świadka oskarżenia, po czym oskarżony zaczął przedstawiać swoją linię obrony.

Podczas tej rozprawy galeria dla publiczności była wypełniona po brzegi. W pierwszym rzędzie siedzieli Tim i Sophie Blackmanowie, którzy przylecieli specjalnie na tę okazję; przydzielony im policyjny tłumacz gryzmolił na kartce padające na sali słowa. Obara siedział między strażnikami jak zwykle odwrócony mocno bokiem od publiczności i skierowany w stronę sędziego. Miał na sobie jasnoszary garnitur, był bardzo blady, w sposób charakterystyczny dla człowieka, który długi czas nie wychodził na słońce. Gdy zbliżał się do miejsca dla świadka, pilnował się, aby jego spojrzenie nie powędrowało w kierunku Tima i Sophie.

W ciągu tygodni poprzedzających to posiedzenie w zespole adwokackim Obary panowała wyraźnie wyczuwalna atmosfera oczekiwania i napięcia. Sam fakt, że zdołali tolerować tak trudnego klienta, świadczył o tym, iż obrońcy Obary są osobami niekonwencjonalnymi i oryginalnymi, niemniej wydawali się zaskakująco szczerzy i chętni do rozmowy na temat klienta oraz tego, co może go czekać.

– Jego nastrój podczas przesłuchań zmieniał się – powiedział mi jeden z nich. – Myślę, że Obara na swój sposób jest zdesperowany. Ma mieszane uczucia: jest drażliwy, ponieważ wie, że nie może być pewny wygranej.

Istnieje ryzyko, że zostanie uznany za winnego, a on rozpaczliwie pragnie uniewinnienia. Przeżywa wahania, raz jest pewny siebie, innym razem boi się.

Właśnie w tamtym okresie nawiązałem pierwsze, wstępne kontakty z Obarą. Jeden z jego prawników, który sam nie chciał ze mną rozmawiać, zgodził się przekazać swojemu klientowi list ode mnie. Prosiłem w nim o zgodę na udzielenie wywiadu, który miałyby się odbyć w izbie zatrzymań, oraz przekazałem listę pytań. Odpowiedź, sygnowana przez innego prawnika, ale najwyraźniej podyktowana przez samego Obarę, nadeszła faksem.

„Istnieje wiele istotnych aspektów oraz podstawowych faktów¹³¹ dotyczących sprawy, których strona prowadząca dochodzenie nie zdołała ustalić – można przeczytać w faksie. – Uważamy, że na przykład fakty związane z pytaniem numer pięć, które było najważniejszym pytaniem uprzednio już przez pana zadawanym, panie Parry, również zostaną wydobyte na światło dzienne [...] Możemy również w późniejszym terminie dostarczyć panu sensacyjny materiał, ponieważ, jak mówi pan Obara, agencja, dla której pan pracuje, pochodzi z państwa będącego ojczyzną Lucie”.

Moje piąte pytanie¹³² brzmiało: „Stwierdził pan, że nie jest pan odpowiedzialny za śmierć pani Blackman. Kto zatem, pana zdaniem, ponosi za to odpowiedzialność?”.

Policja i prokuratorzy poświęcili ponad rok na prowadzenie śledztwa i wypracowanie stanowiska prokuratury w sprawie śmierci Lucie. Obara jednak miał na podobne zadanie pięć lat. W tym czasie zatrudniał dziesiątki prawników i prywatnych detektywów, których działania koordynował z zamkniętej na klucz celi. Wersja zdarzeń przedstawiona przez prokuraturę miażdżyła drobiazgowością i logiką kluczowego pytania: któż, jeśli nie Obara, zabił i rozczłonkował Lucie? Teraz Obara miał skonfrontować

stanowisko oskarżycieli z własną wizją rzeczywistości. Musiała być ona majstersztykiem.

Stanął na podium i zaczął odczytywać oświadczenie wstępne z pliku gęsto zapisanych ręcznym pismem kartek.

– Ujawnienie prawdy na temat charakteru Lucie¹³³ przyniesie wstyd jej najbliższym i pogrąży ich w smutku – sepleniał po cichu. – Rodzice zawsze chcą widzieć w swojej córce istotę czystą, a siostra zawsze chce szanować swoją siostrę. Nie pragnę niszczyć obrazu Lucie w oczach jej krewnych, nie zmieniałem zdania i nadal nie zamierzam obnażać jej charakteru. Ale to właśnie z jego powodu zostałem uwikłany w to straszne wydarzenie.

Linia obrony Obary zasadzała się na dwóch elementach. Pierwszym było kwestionowanie i podważanie każdego założenia poczynionego przez prokuraturę, wytykanie słabości i ujawnianie luk w rozumowaniu oskarżycieli oraz przesłonięcie drobiazgowości ich wyводу własną narracją obfitującą w zaskakujące szczegóły. Drugim było nakreślenie alternatywnego portretu samej Lucie. To właśnie Obara miał na myśli, pisząc w drugim fakcie, który raczył mi wysłać niedługo przed rozprawą, o „sensacyjnym materiale”: że wbrew temu, co twierdzili jej rodzina i przyjaciele, Lucie wcale nie była beztruską młodą kobietą. W rzeczywistości zdręczała się wieloma sprawami, miała skłonności autodestrukcyjne i zmarła na skutek przedawkowania narkotyków.

W trakcie przesłuchiwania prowadzonego przez obrońców Obara zaczął cytować fragmenty dziennika Lucie, tłumacząc je na bieżąco z angielskiego na japoński. Ustępy, które wybrał, opisywały momenty, w których czuła się najbardziej nieszczęśliwa – dotyczyły huśtawek nastroju, samotności, tęsknoty za domem, niepowodzeń w zawodzie hostessy oraz zazdrości o sukcesy Louise.

– „W ciągu ostatnich dwudziestu dni wypiliśmy więcej alkoholu niż

przez całe swoje życie” – czytał Obara. – „Tkwią po uszy w zasranych długach [...] Czuję się bardzo zdezorientowana i zagubiona [...] Bez przerwy płacząc [...] Czuję się brzydka, gruba i niewidzialna”.

Nienawidzę swojego wyglądu, nienawidzę swoich włosów, nienawidzę swojej twarzy, nienawidzę swojego nosa, nienawidzę swoich skośnych oczu, nienawidzę pieprzyka na twarzy, nienawidzę zębów, nienawidzę brody, nienawidzę swojego profilu, nienawidzę swojej szyi, nienawidzę swoich cycków, nienawidzę tłustych ud, nienawidzę tłustego brzucha, nienawidzę obwisłego tyłka, NIENAWIDZĘ swojego znamienia, nienawidzę posiniaczonych nóg, czuję się tak bardzo odrażająca, brzydka i przeciętna.

4 maja Lucie napisała:

„Byłyśmy na niekończących się poszukiwaniach [...] muzyki (wszystko prócz Craiga Davida), pocztówek i prochów!”. – Policyjny tłumacz dość pomysłowo odczytał najbardziej obciążające słowo w tym zdaniu jako: „promów” i oświadczył, że nie ma ono sensu. – Skonsultowałem się jednak z pięcioma zawodowymi tłumaczami – oświadczył Obara przed sądem – i wszyscy zgodzili się, że wyraz ten powinien być odczytany: „prochów”.

– Jakie znaczenie ma to, że kupowały pocztówki i prochy?¹³⁴ – zainteresował się adwokat, który znów sprawiał wrażenie, jak gdyby zadawał kolejne pytanie z wcześniej przygotowanego zestawu.

– Kiedy młodzi ludzie podróżują za granicę, często kupują pocztówki – wyjaśnił Obara, przybierając ton osoby obytej w świecie. – A osoby zażywające narkotyki często kupują pocztówki i prochy.

Po chwili doszło do kolejnej dziwnej dyskusji na temat fragmentu dziennika, który brzmiał następująco:

„Jak zwykle, niezależnie od tego, gdzie jestem, czuję się samotna. To nie Sevenoaks, to ja”. Nazwa miejscowości została jednak zapisana w dzienniku skrótowo: „7oaks”, a Obara zamiast skonsultować się z rodzimym

użytkownikiem języka angielskiego, na własną rękę odczytał to słowo jako: „toaks”, po czym wytłumaczył, że jest to alternatywny zapis słówka „tokes”, które w młodzieżowym slangu oznacza skręta z marihuany. Wzmianka na temat rzekomego zażywania przez Lucie narkotyków wywołała zakłopotanie wśród prokuratorów, którzy w żaden sposób nie odnieśli się do tej sugestii ani nie próbowali jej podważyć.

Główny sędzia Tsutomu Tochigi miał bardzo białe i bardzo równe zęby, które odsłaniał w uśmiechu nawet w chwilach irytacji i napięcia. Prawdę mówiąc, uniesione kąciaki warg sędziego Tochigiego często wydawały się sygnalizować uczucie przeciwne zadowoleniu. Jego usta rozciągały się w coraz szerszym uśmiechu, podczas gdy Obara brnął przez najbardziej łzawe fragmenty dziennika, w których Lucie użalała się nad sobą.

– Słuchanie tłumaczenia tych zapisków staje się nie do zniesienia – orzekł w końcu sędzia. – Co one mają wspólnego z rozprawą?

Jednak w tym momencie Obara gotowy był już przenieść się do wydarzeń z czerwca i lipca 2000 roku, a jego zeznania stały się jeszcze bardziej osobliwe.

Lato tamtego roku było ewidentnie trudnym czasem dla Obary. Prowadził z wierzycielami wyczerpujące negocjacje dotyczące zmiany harmonogramu spłaty długów. W czerwcu leżał w szpitalu na skutek wypadku, w którym furgonetka uderzyła w tył jego samochodu, przez co Obara doznał bolesnego urazu szyi oraz uszkodzenia błony bębenkowej. Próbował sprzedać kilka swoich nieruchomości, między innymi mieszkanie w Blue Sea Aburatsubo. Najbardziej ciążyła mu sprawa ukochanej Irene, owczarka szetlandzkiego, którego zwłoki przechowywał w zamrażarce w domu położonym na terenie dzielnicy Den-en Chōfu. Porzuciwszy nadzieję na przywrócenie czworonoga do życia poprzez sklonowanie, postanowił pochować zwierzę na zalesionej

działce mieszczącej się na półwyspie Izu. Nie było to proste zadanie, ponieważ najpierw należało wyciąć rosnące tam duże drzewa. Jednak Obara, jak wyznał przed sądem, znał kogoś, kto idealnie nadawał się do tego zadania. Mówił o nim: A-san – „pan A.” – i określał go jako „nandemo-ya”, w dosłownym tłumaczeniu „doręczyciel wszystkiego”, „załatwiacz”: człowiek od rzeczy możliwych i niemożliwych do zrobienia, magik.

Niewyjaśniony kryptonim pana A. okazał się najmniej nieprawdopodobną cechą tej postaci. Linia obrony obfitowała w tak wiele osobliwych detali, że spamiętanie ich wszystkich było niemożliwe. Obara wysuwał ekscentryczne tezy jedna za drugą, nie dając słuchaczom wytchnienia. W 1997 roku, opowiadał, jego samochód wybuchł w podziemnym garażu. (Nie nastąpiło później żadne wyjaśnienie tego niepokojącego incydentu; najwyraźniej było to po prostu jakieś pechowe zdarzenie, które spotkało Obarę). Aby zbadać tę sprawę, wynajął pana A., którego przypadkiem poznał w pobliżu tokijskiej stacji Shinjuku, gdzie nandemo-ya chciał mu sprzedać narkotyki. Pan A. w zamian za honorarium w wysokości 500 000 jenów zgodził się wyciąć drzewa i oczyścić teren, na którym miała zostać pochowana ukochana Irene. Zleconą pracę miał wykonać 5 i 6 lipca – w ten drugi dzień przypadała szósta rocznica śmierci zwierzęcia. To wszystko tłumaczyło zachowanie Obary będące najbardziej przekonującym dowodem poszlakowym przeciwko niemu: zakup namiotu, pił i łopaty po zaginięciu Lucie. Sprzęt ten, wyjaśniał teraz Obara, był potrzebny nie do pocięcia na kawałki i pozbycia się zwłok kobiety, ale do spędzenia nocy w terenie, wykarczowania zalesionej działki i pochowania psa.

Zaplanowane działania zostały odwołane z powodu nieprzewidzianych zdarzeń, które nastąpiły w weekend poprzedzający uzgodniony termin.

Obara poznał Lucie w Casablance w drugiej połowie czerwca i zgodził

się, na jej prośbę, zabrać ją nad morze. Jeśli chodzi o fakty, jego relacja z tamtego dnia potwierdzała wersję przedstawioną przez prokuraturę – podróż samochodem do przystani Zushi, robienie zdjęć nad morzem, wizyta fachowca od gazu oraz telefony wykonane przez Lucie do Louise i Scotta. Jednak Obara był w stanie opisać coś, czego nie mógł zrobić nikt inny: zachowanie Lucie w kilku ostatnich godzinach jej życia.

– Lucie była bardzo podekscytowana – stwierdził Obara. – Nie z powodu alkoholu, ale ponieważ była pod wpływem „środków”, które ze sobą przywiozła. – Tymi „środkami” miały być tabletki metamfetaminy i ecstazy oraz skręty z marihuaną. – Lucie miała mocną głowę do alkoholu i w czasie rozmowy cały czas piła wino, szampana, a potem alkohole wysokoprocentowe takie jak dżin i tequila – ciągnął Obara. – Powiedziała mi, że ma osobowość maniakalno-depresyjną. Prawdę mówiąc, na początku zachowywała się maniakalnie, ale z biegiem czasu wydawała się coraz bardziej popadać w depresję [...] Oczywiście był to również wpływ narkotyków.

Lucie i Obara rozmawiali „o wielu sprawach”. Ona skarżyła mu się, że ma długi, i zwierzyła, iż rozważa podjęcie pracy w „specjalnym klubie” w Roppongi, aby szybciej je spłacić (kryła się za tym sugestia, że chodziło o lokale z prostytutkami). On opowiadał o wypadku samochodowym, który przeszedł, i o bolącym karku. Lucie zaproponowała mu masaż.

„Masaż był przyjemny, ale ból nie przeszedł – można przeczytać w książce napisanej na zlecenie jednego z prawników Obary – Lucie podsunęła więc pomysł, aby zażył narkotyki, które miała przy sobie. Zapewniała, że ból przejdzie, Obara zatem zdecydował się połknąć podane przez nią środki. Tamtej nocy Obara zażył trzy różne rodzaje tabletek [...] Lucie pokazała mu kolczyk w pępku i powiedziała, że zamierza przekłuć również lewy sutek [...] Obara był otumaniony po tabletkach, które dała mu

Lucie i których mocne działanie utrzymywało się ponad godzinę”.

Tim i Sophie Blackmanowie siedzieli w milczeniu w pierwszym rzędzie, podczas gdy policyjny tłumacz bazgrał w notatniku streszczenie tego, co mówił Obara. Oczywiście ujawnienie smutnych zapisków z dziennika Lucie było dla nich przygnębiające, trochę upokarzające, a także niepokojące, ponieważ świadczyło o bezwzględności i przebiegłości Obary.

– Musiałbym być naiwnym rodzicem, gdybym zdecydowanie stwierdził, że Lucie nigdy nie zażywała narkotyków – oświadczył Tim później. – Być może sięgała po nie rekreacyjnie, podobnie jak wiele innych osób. Ale nie wierzę, że narażała swoje życie, i z pewnością nie zażywała rohypnolu.

Każdemu, kto znał Lucie, przedstawiony przez Obarę obraz zapijaczonej, zaćpanej, nie zrównoważonej psychicznie zdziry wydawał się tak absurdalny, że wręcz śmieszny. Czy jednak będzie to równie oczywistym absurdem dla sędziów?

Obrona Obary stanowiła zlepek oportunistycznych manipulacji, przeinaczeń, a w niektórych wypadkach zwyczajnych kłamstw. Kłamstwa nie dziwiły: najbardziej odrażające było to, że przez ich gęstą sieć prześwitywała prawda. Obara wiedział aż nazbyt wiele na temat Lucie, znał takie intymne szczegóły jej życia, jakie mógł usłyszeć tylko od niej. Niezależnie od tego, co naprawdę się wydarzyło w ciągu kilku godzin, które spędzili sam na sam, widać było wyraźnie, że dużo rozmawiali i Lucie wyjawiała mu sekrety, z których nie zwierzała się prawie nikomu.

Relacja Obary rozciągała się na następny dzień, niedzielę, 2 lipca. Wtedy, utrzymywali prokuratorzy, Lucie albo już nie żyła, albo była na progu śmierci. Jednak według Obary Lucie trzymała się świetnie i pozostawała w narkotycznym ciągu. Obara pojechał pociągiem do Tokio, ale Lucie zdecydowała się zostać w mieszkaniu w przystani Zushi, aby spokojnie łykać kolejne pigułki. Wieczorem zadzwonił do niej ze swojego mieszkania

w Tokio, a wtedy ona:

– Zaczęła opowiadać różne dziwne rzeczy i pomyślałem, że przedawkowała. – Zadzwoił na izby przyjęć do kilku szpitali na wypadek, gdyby pomoc medyczna dla Lucie okazała się konieczna, po czym niedługo przed północą wrócił do mieszkania w Zushi. – Powiedziałem Lucie, że zażyła zbyt wiele narkotyków i że powinna pójść do szpitala w Tokio – relacjonował. – Ale ona nie chciała, ponieważ bała się, że jeśli lekarze wykryją w jej organizmie narkotyki, czeka ją deportacja.

Następnie Obara powiedział coś, co zmroziło krew w żyłach, i to nie dlatego, że było kolejnym kłamstwem, ale ponieważ odsłaniało czystą prawdę.

– Od wypadku samochodowego bolał mnie kark i nie czułem się dobrze, dlatego zirytowało mnie, że Lucie lekceważy moją radę – stwierdził. – A ona wciąż powtarzała jakieś kiepskie dowcipy. Mówiła: „Rodzina od strony Jane jest przeklęta. Mają wadę mózgu. Matka Jane umarła w wieku czterdziestu jeden lat. Siostra Jane umarła w wieku trzydziestu jeden lat.

Historia rodziny była prawdziwa. Czy Obara ustalił te fakty, zdalnie sterując działaniami brytyjskich prywatnych detektywów w Sevenoaks? A może znajomość owych tajemnic świadczyła o tym, w jakim stopniu zjednął sobie Lucie i ile udało mu się z niej wyciągnąć tamtego wieczoru?

– Powtarzała: „To jakaś klątwa” – ciągnął Obara. – Mówiła: „Matka Jane umarła w wieku czterdziestu jeden lat. Siostra Jane umarła w wieku trzydziestu jeden lat. Córka Jane umrze w wieku dwudziestu jeden lat. A wnuczka Jane umrze w wieku jedenastu lat”. Powtarzała te kiepskie dowcipy, a ja byłem coraz bardziej zirytowany. Skontaktowałem się więc z pewnym człowiekiem, powiedziałem mu, że jest u mnie zagraniczna hostessa, która przedawkowała narkotyki, i poprosiłem, żeby odwiózł ją do domu. Tym człowiekiem był pan A.

Obara twierdził, że wrócił do Tokio w poniedziałek rano. Zanim wyjechał z przystani Zushi, zostawił naćpanej Lucie trochę jedzenia i oznajmił jej, że przyjedzie ktoś, kto zabierze ją do domu. Pieniądze dla pana A. ukrył w kapciu z jagnięcej skóry stojącym przy drzwiach wejściowych do mieszkania.

Jak gdyby sam pan A. był niewystarczająco zagadkową postacią, w tym momencie opowieści pojawił się kolejny bohater: rdzenny Chińczyk o imieniu Sato, figura jeszcze bardziej tajemnicza, której tożsamość nigdy nie została do końca wyjaśniona. Późnym rankiem tego samego dnia pan Sato zadzwonił do Obara, aby przekazać, że to on, a nie pan A., odwozi Lucie do szpitala. Przekazał telefon cudzoziemce, której głos brzmiał jak głos Lucie, i Obara przez chwilę z nią rozmawiał. Jakiś czas potem Obara spytał Sato o Lucie i usłyszał w odpowiedzi:

– Zapytaj pana A.

– Gdy Obara zapytał A. – wyjaśniano później¹³⁵ – tamten powiedział, że Lucie nie miała nic przeciwko temu, aby jechać do szpitala. I powiedział, że przedstawił ją znajomemu, pewnemu bogatemu mężczyźnie, ponieważ chciała więcej narkotyków. Ona i ów znajomy zaczęli się dobrze dogadywać i robili, co im się podobało.

Innymi słowy Obara nie wiedział, co się stało z Lucie. Po raz ostatni widział ją w mieszkaniu w Zushi – nafaszerowaną środkami odurzającymi niemalże do nieprzytomności, ale żywą. Powierzył ją opiece człowieka, którego ledwie znał, ten zaś powiedział, że przekazał ją w ręce osób jeszcze bardziej podejrzanych. Następnie Obara przystąpił do głównego zadania, które wyznaczył sobie na tamten tydzień – przeprowadzenia pochówku zamrożonego psa.

Resztę poniedziałku oraz cały wtorek przeznaczył na zaopatrzenie się w narzędzia, sprzęt turystyczny oraz cement, musiał również udać się do

domu w Den-en Chōfu, aby wyjąć zwłoki Irene z zamrażarki i obłożyć je suchym lodem. W środę rano, 5 lipca, jechał w stronę miejsca pochówku, gdy nagle zadzwonił do niego pan A. i oznajmił, że przekłada spotkanie z powodu „pilnych spraw”. Rozczarowany Obara skręcił do Blue Sea Aburatsubo i zatrzymał się w pobliskim pensjonacie. Ponieważ nie miał klucza do swojego mieszkania, był zmuszony wezwać ślusarza, aby wpuścił go do środka, a kiedy to się udało, rozpoczął pracę nad nagrobkiem dla Irene: własnoręcznie wykonaną „rzeźbą”. Następnego wieczoru, w czwartek, ktoś zadzwonił do drzwi. Byli to policjanci pod dowództwem inspektora Harady, który później zrelacjonuje dziwne zachowanie Obary przed sądem. Jednak policjanci źle to wszystko odebrali. Cement, który dostrzegli, potrzebny był do wykonania „rzeźby”, a nie do zatopienia odciętej głowy Lucie. Owszem, Obara zareagował na funkcjonariuszy gniewnie i nie chciał z nimi współpracować, ale to również mógł wytłumaczyć – inspektor po wejściu do mieszkania przez nieuwagę kopnął owinięte w koc zwłoki¹³⁶ Irene. Który miłośnik zwierząt potrafiłby zachować spokój, gdyby zobaczył, że o zamrożone ciało jego zdechłego czworonoga potyka się jakiś funkcjonariusz?

Obara nie przedstawił alibi na tamten czwartkowy wieczór, 6 lipca. Powiedział, że poszedł na spacer i przechadzał się do rana. Pokąsały go jadowite gąsienice, a kiedy miejsce po ukąszeniach spuchło i dostał gorączki, zadzwonił do pana A., żeby przełożyć niefortunny pochówek ukochanej Irene w lesie na półwyspie Izu. Wrócił do Tokio, gdzie poszedł do szpitala wyleczyć wysypkę. W kolejnych dniach odbywał spotkania z pracownikami banków i księgowymi.

W następnym tygodniu o zniknięciu Lucie donosiły wszystkie japońskie media. Na stacjach kolejowych i billboardach pojawiły się plakaty ze zdjęciem zaginionej. Ekipy telewizyjne nadawały relacje na żywo

z Roppongi i przeprowadzały długie wywiady z najbliższymi Lucie błagającymi osoby, które widziały młodą cudzoziemkę, o kontakt.

Jak w tej sytuacji zareagował Obara? Był „zaskoczony”, można przeczytać w książce¹³⁷ napisanej na zlecenie jego prawnika. Obara skontaktował się z panem A., który zapewnił go, że Lucie „podróżuje z pewnym mężczyzną”.

A. i Obara mieli się spotkać ponownie 15 lipca, aby pochować Irene. Jednak A. znów zadzwonił, żeby odwołać zaplanowaną pracę. Kiedy Obara po raz kolejny zapytał go o Lucie, usłyszał:

– Bierze narkotyki i dobrze się bawi¹³⁸ w domu mojego znajomego. – Obara wspomniał o zamieszaniu, jakie powstało wokół jej zniknięcia, na co A. odpowiedział: – Jedna wielka bzdura, dziewczyna po prostu robi to, na co ma ochotę.

Cała opowieść wydawała się zdumiewająca. Trudno było uwierzyć choćby w to, że Lucie była uzależniona od narkotyków; jeszcze trudniej było zrozumieć, dlaczego Obara nie poszedł prosto na policję. Kim był Sato, chłopiec na posyłki człowieka od wszystkiego? I kim był ów „bogaty mężczyzna”, z którym Lucie rzekomo przez wszystkie te dni imprezowała? Tylko jeden człowiek mógł odpowiedzieć na mnożące się pytania. Kim zatem był pan A. i gdzie przebywał?

Nazywał się Satoru Katsuta¹³⁹, znajomi, zwracając się do niego, używali zdrobnienia „Kacchan”. W 2001 roku mieszkał w dzielnicy Mitaka na przedmieściach Tokio. Miał około 168 centymetrów wzrostu, długie włosy i wąsy. Urodził się w 1953 roku, rok po przyjściu na świat Jojiego Obary, na wyspie Kiusiu położonej na południu archipelagu Wysp Japońskich. W wieku dwudziestu kilku lat z nieustalonych przyczyn usiłował wypruć

sobie wnętrzości, dopuszczając się aktu rytualnego samobójstwa znanego jako seppuku lub też harakiri. Przeżył, ale podczas transfuzji krwi wykonanych, aby uratować mu życie, zaraził się wirusowym zapaleniem wątroby typu C.

Tokijski Sąd Okręgowy dowiedział się tego wszystkiego w grudniu 2005 roku od starszego człowieka o nazwisku Issei Mizuta, który został wezwany jako świadek obrony. Mizuta znał Katsutę, zatrudniał go regularnie jako kierowcę i zlecał mu różne prace dorywcze. Potwierdził, że jednym z zajęć, jakimi parzył się Katsuta, był handel metamfetaminą, znaną jako shabu, którą sprzedawał w okolicy stacji Shinjuku. Pewnego dnia, z początkiem grudnia 2001 roku, obydwaj mężczyźni siedzieli razem w samochodzie, gdy Kacchan nagle oznajmił:

– Bardzo się niepokoję. Potrzebuję twojej rady. – Powiedział, że jego niepokój jest związany z Lucie Blackman oraz z mężczyzną sądzonym za jej zabójstwo, Jojim Obarą.

Kacchan wyznał, że ubiegłego lata pewnego dnia Obara zadzwonił do niego i poprosił go, żeby zabrał z jego mieszkania zagraniczną hostesę i odwiózł ją do Tokio. Tą kobietą była Lucie. Była już mocno odurzona narkotykami, ale kiedy Kacchan po nią przyjechał, zaczęła błagać go, aby dał jej więcej. Podał jej shabu, nie jeden raz, ale parokrotnie. Mizuta zeznał pod przysięgą:

– Katsuta powiedział mi: „Lucie zażyła za dużo narkotyków i umarła”. Mówił, że zmarła na jego oczach [...] Opowiadał, że zabrał dokądś jej ciało, ale nie powiedział, dokąd [...] Nie przekazał Obarze wiadomości o śmierci Lucie.

Mizuta ciągnął:

– Tylko mnie powiedział o śmierci Lucie i o tym, że ukrył jej zwłoki – nikt inny o tym nie wiedział. – Słyszac wyznanie Katsuty, Mizuta coś sobie

przypomniał: poprzedniego lata, w czasie gdy prasa i telewizja bardzo dużo uwagi poświęcały zniknięciu Lucie, Katsuta wydawał się „niespokojny i podenerwowany”, a do tego wypadły mu wszystkie włosy. – Poprosiłem go, żeby opowiedział mi trochę więcej na ten temat – zeznawał Mizuta. – Zamierzałem zapytać go o tę sprawę podczas przyjęcia z okazji Nowego Roku. Zastanawiałem się, czy potem, kiedy już opowie mi całą historię, nie powinienem zgłosić się z nim na policję. – Nie było mu to jednak dane.

Kilka dni później Katsuta poszedł do szpitala, gdzie okazało się, że cierpi na raka wątroby. Dwa tygodnie później zadzwonił do Mizuty, płacząc i mając:

– Podpaliłem Lucie! Lucie płonie!

Historia zrelacjonowana przez Mizutę dokładnie potwierdzała to, co Obara wcześniej powiedział w sądzie. Istniały jednak dwie trudności. Po pierwsze, Katsuta, dręczony wyrzutami sumienia za spowodowanie śmierci Lucie, nie mógł zaświadczyć o prawdziwości tej wersji zdarzeń. Zmarł dwa dni po ostatniej, wypełnionej cierpieniem rozmowie z Mizutą.

Drugim problemem był sam Mizuta. Kiedy się przedstawiał po złożeniu przysięgi, pospieszył z wyjaśnieniem, że jest oyabun, szefem grupy przestępczej wchodzącej w skład cieszącego się złą sławą gangu jakuzi Sumiyoshi-kai. Innymi słowy główny świadek Obary, człowiek, w którym oskarżony pokładał całe swoje nadzieje na uniewinnienie, był według własnych słów przywódcą japońskiej mafii.



– Nie przeraża nas to – powiedział Tim Blackman, kiedy zapytałem, co czują, wracając do Japonii. – Nie wiem dlaczego, ale tak po prostu jest. Na takiej samej zasadzie ludzie wracają na grób bliskiej osoby, chociaż wiedzą, że

będą się smucić. To naturalny odruch, chęć zachowania kontaktu. Czy nie chcielibyśmy trzymać się od tego wszystkiego z daleka? Odpowiedź brzmi: nie. Wracamy, ponieważ musimy i chcemy to robić.

Tim zarządzał swoją firmą z dwupiętrowego drewnianego biura wzniesionego w ogrodzie jego domu na wyspie Wight, gdzie odwiedzałem go wielokrotnie na przestrzeni lat. Od 2000 roku działalność, którą prowadził w branży deweloperskiej, zeszła na dalszy plan.

– Poświęciłem wiele miesięcy tematom związanym ze śmiercią Lucie – opowiadał. – Niemal codziennie wyskakuje coś nowego. Spora część mojego biura jest przeznaczona na materiały dotyczące sprawy: szafy na dokumenty, segregatory, Fundusz imienia Lucie Blackman. Jest prawie tak, jak gdybym prowadził jeszcze jedną firmę. Pochłania to pięćdziesiąt procent mojego czasu.

Tim miał nadzieję, że po rozpoczęciu procesu będzie prościej i łatwiej uzyskiwać aktualne informacje na temat tego, co dzieje się w Tokio. Okazało się jednak inaczej. Postępowanie ciągnęło się tak powoli i obfitowało w tyle szczegółów, że trudno było za nim nadążyć, nawet jeśli było się obecnym na rozprawie w Tokio. Z perspektywy Tima rezydującego w drewnianym domku ogrodowym proces wydawał się procedurą beznadziejnie odległą i niejasną.

Kilka dni po każdym posiedzeniu Tokijska Policja Miejska przesyłała krótkie, zaskakujące podsumowanie rozprawy, którym Tim skrupulatnie uzupełniał swoje obszerne archiwum.

– Dostajemy zaledwie małeńki wycinek informacji – opowiadał. – Czytamy uważnie każdą kilkudzaniową notatkę, która do nas trafia. To, że Obara składa zeznanie, jest dla nas ogromnie ważne. Niezależnie od tego, w jaki sposób działa jego umysł, uważamy, że nasza obecność na sali sądowej: obecność Sophie, moja obecność, utrudnia mu całą sprawę. Co

innego siedzieć w celi, a co innego zeznawać na oczach siostry i ojca. Jeśli nie będzie mówił prawdy, będzie odczuwał dużą presję.

Nie sposób stwierdzić, czy tak rzeczywiście było i czy Joji Obara faktycznie odbierał obecność Tima i Sophie na sali sądowej jako dodatkowe utrudnienie i obciążenie. Niemniej gdy podczas kolejnej rozprawy wstał, aby podejść do miejsca dla świadka, wykonał gest, którego nie zrobił nigdy wcześniej. Odwrócił się w stronę miejsc dla publiczności, w stronę Tima i Sophie, po czym zachowując kamienny wyraz twarzy, pochylił głowę – było to coś więcej niż zwykłe skinięcie, ale mniej niż ukłon, bardziej wyraz uznania niż powitanie. W trakcie ciągnącego się wiele godzin przesłuchania Sophie nakreśliła piórem szkic, na którym uwieczniła Obarę wykonującego ów trudny do odczytania gest.

W późniejszym czasie, w trakcie jednej z długich rozmów, które przeprowadzałem z Timem, zapytałem go o Obarę i o to, jak się czuł, stając z nim twarzą w twarz. Tim namyślał się przez chwilę, co rzadko mu się zdarzało podczas udzielania wywiadów. W końcu powiedział:

– Było to dla mnie coś na kształt objawienia, chociaż może przez to, co mówię, wydam się komuś dziwny. Cóż, może i jestem dziwny, gotów jestem to przyznać. – Znów urwał, a następnie westchnął. – Pamiętam tamto uczucie [...] Widzę kogoś, kto jest w tym samym wieku co ja i kto przez swoje postępowanie sprowadził na siebie ogromne, ogromne kłopoty, a innym ludziom wyrządził potworną krzywdę. Jest w tym wszystkim jakiś [...] tragizm, który osłabia znacznie bardziej naturalną reakcję, jaką jest gniew.

Gdy zadałem kolejne pytanie, w moim głosie pobrzmiwało większe zdumienie, niż się spodziewałem:

– Współczujesz mu?

Na co Tim odpowiedział:

– Tak, współczuję mu. Tak. Naprawdę mu współczuję.

Różnica wieku, która dzieliła Tima i Obarę, wynosiła zaledwie jedenaście miesięcy. Obydwaj byli właścicielami jachtów, obydwaj dorobili się w branży nieruchomości. Żadna inna uwaga ani czyn nie oddawały lepiej złożoności charakteru Tima, jego konsekwentnie nieszablonowego zachowania, które ja osobiście lubiłem i podziwiałem, ale które sprawiało, że wielu ludzi zrażało się do niego. Niemal dla zasady odrzucał oczywisty punkt widzenia i pokusę poddania się konwencjonalnym normom moralnym. Mógł wspiąć się na wyżyny moralizatorstwa i spoglądać na wszystkich z góry, on jednak wolał zostać na dole i iść własną, często krętą i nieudeptaną ścieżką, a po drodze dostrzegać różne odcienie tragizmu i wieloznaczności tam, gdzie inni widzieli jedynie czern i biel. Ludzie patrzący na niego z boku byli nie tylko zdziwieni jego postępowaniem, ale wręcz zbulwersowani.

Czym więc było zabójstwo Lucie Blackman, jeśli nie oczywistym przykładem ilustrującym walkę dobra ze złem? W momencie gdy nie kto inny, ale sam ojciec ofiary wskazywał na złożoność całej tej sytuacji i usiłował oddać sprawiedliwość, a nawet okazać współczucie zabójcy własnej córki, wiara ludzi w słuszność własnych przekonań na temat natury dobra i zła została mocno zachwiana. Brak uznania ze strony Tima dla ogólnie przyjętych norm i standardów odbierano jako zniewagę wobec ogółu. Postrzegano go jako osobę występującą przeciwko społecznie akceptowanemu kodeksowi postępowania, niemalże jako bluźniercę.

[131](#) List do autora od Tomonoriego Sugi, prawnika reprezentującego Jojiego Obarę, otrzymany 8 lipca 2005.

[132](#) List od autora do Jojiego Obary, 23 czerwca 2005.

[133](#) Proces Jojiego Obary, 42. posiedzenie, Tokijski Sąd Okręgowy, 27 lipca 2005.

[134](#) Tamże.

[135](#) Cyt. za: *The Truth About the Lucie Case*, dz. cyt., s. 293.

[136](#) Tamże, s. 300.

[137](#) Tamże, s. 301.

[138](#) Tamże, s. 303.

[139](#) Informacje na temat Katsuty pochodzą z procesu Jojiego Obary, 47. posiedzenie, Tokijski Sąd Okręgowy, 22 grudnia 2005.

ROZDZIAŁ 21

SMYK

PRZEBIEGŁA, POKRĘTNA, PEŁNA UNIKÓW i akrobatycznych wręcz sztuczek linia obrony Obary wydałaby się zadziwiająca każdemu sądowi. W Japonii, gdzie obrońcy rzadko kiedy podważali twierdzenia prokuratury, była czymś niesłychanym. Chwilami robiła się zaskakująco mglista i nieprecyzyjna; innym razem imponowała swoim barokowym przywiązaniem do detali i ornamentacji. Wyraźnie była również stekiem przeinaczeń, pominięć i oszczerstw na temat zmarłej. Wielu prawników samego Obary nie wierzyło, aby te wszystkie zabiegi przyniosły mu korzyść.

– Opowiedziana przez Mizutę historia o Kacchanie nie ma żadnej wartości jako materiał dowodowy – powiedział mi jeden z nich. – To pogłoska, jedynym faktem jest to, że obaj mężczyźni są kryminalistami. Sędzia cały czas dopytywał: „Dlaczego nie wspomniał pan o tym wcześniej?”, a to wskazuje, że nie wierzył w to, co słyszał. Dlaczego Obara od początku nie mówił, że Lucie była pod wpływem narkotyków? Przez cztery pierwsze lata obrony w ogóle o tym nie wspomniał. Kiedy zaczął przedstawiać ją w tym świetle, wydało mi się to trochę ordynarne. Po co hańbić pamięć zmarłej?

Niczym robotnicy uwijający się przy zatykaniu dziur w przeciekającej

tamie, adwokaci Obary usiłowali podtrzymać rozsypującą się linię obrony¹⁴⁰, zadając mu pytania, które same się nasuwały po wysłuchaniu tej niecodziennej historii.

Dlaczego Obara nie poszedł na policję natychmiast, gdy usłyszał o zaginięciu Lucie?

Ponieważ połknął trzy tabletki ecstasy, które dała mu Lucie, i obawiał się, że zostanie oskarżony o zażywanie narkotyków.

Co z zeznaniami kobiety, której Obara zwierzył się przez telefon, że „zrobił coś strasznego, ale nie może o tym nikomu powiedzieć”?

Obara miał na myśli wypadek drogowy, w którym uczestniczył.

Co Obara robił z widocznymi na nagraniach wideo butelkami z chloroformem?

W rzeczywistości nie zawierały one chloroformu. Obara wylewał z nich oryginalną zawartość, napełniał je wódką i to ją właśnie podsuwał pod nos kobietom uwiecznionym na filmach.

Niektóre tego typu wymiany zdań momentami wydawały się tak sztuczne i wyrachowane, że aż komiczne.

ADWOKAT: Sporo pieniędzy przeznaczał pan na cele dobroczynne. Opowie nam pan o tym?

OBARA: Angażuję się w działalność charytatywną od czasów licealnych. Nie robię tego jednak pod prawdziwym nazwiskiem. W sumie wydałem kilkadziesiąt milionów jenów na różnego rodzaju cele dobroczynne. Szczególnym współczuciem obdarzam dzieci. Przekazywałem pieniądze na rzecz między innymi UNICEF-u.

ADWOKAT: 16 kwietnia 1991 roku poznał pan cesarza i cesarzową w hotelu Okura. Czy to prawda?

OBARA: Tak, rzeczywiście. Poznaliśmy się podczas imprezy dobroczynnej. Zaprosili mnie, ponieważ uczestniczyłem w wielu działaniach charytatywnych.

ADWOKAT: Opowie nam pan o swoim dzieciństwie? Czy to prawda, że pański

iloraz inteligencji wynosił 200?

OBARA: Tak [...]

I tak dalej, i tak dalej.

W marcu 2006 roku¹⁴¹ nadeszła kolej prokuratury na przesłuchanie Obary. Gdy oskarżony stanął twarzą w twarz z oskarżycielem, opuściła go pewność siebie.

Prokurator, mężczyzna o nazwisku Mizoguchi, zaczął od pytań na temat różnych listów, które dostawała policja. Spytał między innymi o dwa listy podpisane imieniem Lucie, których szkice znaleziono w nieruchomościach Obary.

– Część listów napisałem ja sam, po otrzymaniu wiadomości od Katsuty – przyznał Obara.

– Jak wyglądały te wiadomości? – dociekał prokurator Mizoguchi.

– Wiadomości to wiadomości – odpowiedział Obara. – Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Czy Katsuta wyjaśnił, dlaczego pan ma napisać list i wysłać go na komisariat Azabu? – spytał oskarżyciel.

Obara odrzekł:

– Przekazał mi to w wiadomości.

– Jaki był cel tego listu?

– Czy mogę powstrzymać się od komentarza?

– Czy mam rozumieć, że nie chce pan odpowiedzieć na to pytanie?

– Zrobiłem to, ponieważ była pewna wiadomość.

– Mógłby pan wyjaśnić to bardziej szczegółowo?

– W tym momencie nie mogę.

Jak zwykle Obara trzymał w dłoniach mały niebieski ręcznik, którym

ocierał pot występujący mu na twarzy i karku. Nawet gdy patrzyło się na niego z tyłu, widać było, że ogarnia go niepokój. Zdradzała go postawa ciała – skulił ramiona, pochylił głowę. Prokurator Mizoguchi ciągnął:

– Co pan robił 3 lipca rano, po opuszczeniu przystani Zushi, skąd wyjechał pan o północy, i po powrocie do Moto-Akasaka Towers?

Obara nie odpowiedział.

– Czy pamięta pan, że szukał pan czegoś w internecie za pośrednictwem komputera stacjonarnego?

– Nie – zaprzeczył Obara. – Nie pamiętam.

– Posiada pan komputer stacjonarny, prawda?

– Tak, posiadam, w Moto-Akasaka Towers.

– W raporcie na temat aktywności zarejestrowanej na tym komputerze w dniu 3 lipca istnieje wzmianka o połączeniu z internetem i prowadzonych wyszukiwaniach mniej więcej od godziny ósmej pięćdziesiąt rano. Przypomina pan sobie ten fakt?

Mizoguchi podniósł trzymany w ręce plik gęsto zadrukowanych kartek. Nie można było dostrzec reakcji Obary, ale wyraźnie wyczuwało się jego zaskoczenie.

– Udostępnię to do wglądu obronie – stwierdził prokurator – ponieważ wydaje się, że nie widziała wcześniej tych dokumentów.

Obara sięgnął po papiery.

– Jest tu wykaz fraz wyszukiwanych od połowy czerwca za pośrednictwem tego komputera osobistego – wytłumaczył Mizoguchi. – 3 lipca 2000 roku między godziną ósmą czterdzieści cztery a ósmą pięćdziesiąt siedem, wyszukiwano sześć fraz. Czy teraz, patrząc na ten wykaz, przypomina pan coś sobie?

Obara zamyslił się. Zdania, które po chwili z siebie wykrztusił, były urywane i trudno było je zrozumieć, mimo że wysławiał się w swoim

ojczystym języku, po japońsku.

– Od północy pierwszego było branie narkotyków – zaczął niepewnym głosem (nie wyjaśnił, kto brał narkotyki ani o jakie narkotyki chodzi). – 2 lipca rozmawialiśmy z Lucie o Japonce, która zaginęła w Wielkiej Brytanii. Została porwana i nadal nie było wiadomo, gdzie przebywa. Lucie powiedziała, że to głośna sprawa, i zasugerowała, że być może kobieta już nie żyje, ponieważ ktoś ją zabił, ja jednak nie słyszałem wcześniej o tych wydarzeniach. Tę sprawę miałem na myśli. To znaczy to porwanie w Wielkiej Brytanii.

Prokurator wymienił frazy wyszukiwane tamtego ranka w internecie przez Obarę. Pierwszą z nich była „datura metel”, łacińska nazwa bielunia, rośliny, której spożycie wywołuje halucynacje, a przy przedawkowaniu może nawet doprowadzić do śmierci. Druga fraza brzmiała: „Nachi Harbor”, i było to miejsce, z którego starzy buddyjscy mnisi zbliżający się do kresu swoich dni wypływali w ostatnią, zakończoną śmiercią podróż. Trzecia fraza brzmiała: „skąd wziąć chloroform”. Czwarta: „synteza GHB”, środka wykorzystywanego do produkcji pigułki gwałtu.

– Dlaczego przeglądał pan te strony? – spytał Mizoguchi.

– Pyta pan „dlaczego”, to tak, jakby spytać, dlaczego ktoś ogląda filmy kryminalne – odpowiedział Obara. – Nie ogląda się filmów kryminalnych, żeby zostać kryminalistą. Ogląda się je, żeby obniżyć poziom stresu. Prawdę mówiąc, zobaczy pan, że przeglądałem różne tego typu strony.

Mizoguchi nawiązał do ostatnich dwóch wyszukiwań, które tamtego ranka przeprowadził Obara.

– Wchodził pan na strony zawierające informacje na temat wytwarzania kwasu siarkowego oraz miejsc, w których można kupić kwas siarkowy. Szukał pan tych informacji, ponieważ zamierzał pan dokonać tego zakupu, prawda?

Obara nie odpowiedział.

Prokurator przekartkował dokument i wskazał kolejną stronę.

– Na jednej z tych stron można przeczytać: „jedną z metod jest spalenie w piecu wysokotemperaturowym, w którym spopieleniu ulegają nawet kości, ale to zbyt trudne”. A także: „jednym ze sposobów rozpuszczenia kości jest zanurzenie ich w skoncentrowanym kwasie siarkowym”. To wszystko dotyczy pozbycia się zwłok, prawda?

– Przeglądałem [również] podobne strony w czerwcu – oznajmił Obara. – Nie robiłem tego z powodu, który sugeruje prokurator Mizoguchi.

– Dlaczego zatem przeglądał pan te strony ponownie tamtego dnia?

– Tylko dlatego, że jak już mówiłem, rozmawiałem z Lucie na temat sprawy porwania w Londynie¹⁴².

– Pamięta pan, że obydwie metody [kremacja i rozpuszczenie w kwasie] zostały opisane jako „zbyt trudne”?

– Nie pamiętam.

Była to rzadkość w japońskim sądzie: walka psychologiczna, starcie intelektualne między oskarżycielem a oskarżonym. Obara otarł pot. Serce z pewnością zabiło mu mocniej, gdy Mizoguchi przedstawił kolejny dowód: gruby zeszyt o żółknących kartkach.

W nim Obara przechowywał zapis swoich przygód seksualnych, był to rejestr jego „zabaw”. Po tym jak cytował ustępy z pamiętnika Lucie, musiał stawić czoła cytatom z własnego dziennika.

– Oto zbiór notatek, które prowadził pan od około 1970 roku – oświadczył prokurator.

Obara nie miał trudności z przypomnieniem sobie tego dokumentu. Wyjaśniał:

– Opisywałem swoje relacje z dziewczynami pięć lat po tym, jak do nich

doszło. Po pięciu latach opowieści stawały się bardziej interesujące. Pisałem więc po upływie tego czasu i nadawałem historiom bardziej pornograficzny charakter.

– Zatem opisane tu historie to czysta fikcja?

– Nie wszystko jest fikcją. Wspomniane dziewczyny istniały, ale historie są wymyślone.

Rejestr kontaktów seksualnych był ponumerowany od 1 do 209 i w niektórych miejscach opatrzony datami, od 1970 do 1995 roku.

– Proszę spojrzeć na numer 63, trzecia linijka – Mizoguchi zwrócił się do Obary. – Co miał pan na myśli, pisząc „SMYK”?

– To jest szczegół, który dodałem pięć lat później, żeby historia była bardziej interesująca.

– Co ten zapis oznacza?

Chwila namysłu, po czym słychać:

– Nie odpowiem na to pytanie.

– Numer 4: „podałem jej środki nasenne”. Numer 21: „dzisiaj podałem jej środki nasenne”.

Środki nasenne po japońsku to „suiminyaku”.

– Tak właśnie pan napisał – podkreślił prokurator. – Czy SMYK oznacza sui min ya ku?

– Nie chcę odpowiadać na to pytanie.

– Numer sto czterdzieści – „Podałem za dużo SMY i CHM. Byłem bardzo poruszony”. Co oznacza CHM?

– Zapomniałem.

– W notatce numer sto pięćdziesiąt pisze pan o „CRORO”. Co to oznacza?

– Nie chcę odpowiadać na to pytanie.

– To znaczy chloroform [po japońsku: „kurorohorumu”, wymawiane „kroro-hormu”], prawda?

– Nie wiem.

Mizoguchi przewrócił kilka kartek w zeszycie.

– Numer sto dziewięćdziesiąt. Napisał pan: „Zorientowała się w trakcie i wymyśliłem usprawiedliwienie, ale ona wie”. Co to oznacza?

– To również część „zabawy”, więc nie odpowiem.

– Z zapisków w zeszycie można wnioskować, że był pan bardzo poruszony, kiedy [dziewczyny] zorientowały się, iż przeprowadzał pan z nimi „zabawę w podbój” bez ich zgody.

– Nie. To nieprawda. To była „zabawa”.

– Cóż to zatem była za „zabawa”?

– Nie odpowiem.

– Numer sto siedemdziesiąt dziewięć, luty 1992 roku. „Poznałem Nanae, potem Caritę”. Czy wspomniana Carita to ta sama Carita, w sprawie której toczy się proces?

Obara milczał. Doprowadzał do szaleństwa fakt, że nie można było zobaczyć jego twarzy.

– Utrzymał pan, że nie stosował pan chloroformu na Caricie – przypomniał Mizoguchi.

– Bo nie [stosowałem].

– Numer sto dziewięćdziesiąt osiem. „Użyłem SMY i CROCRO. Za dużo CROCRO. [Chociaż] użyłem CROCRO z CARITĄ, sądzę, że przyczyną był środek ze szpitala”. Tak właśnie pan napisał. Użył pan chloroformu, prawda?

Obara odrzekł:

– To wszystko fikcja.

Podczas jednej z kolejnych rozpraw próbował naprawić szkody

wyrządzone przez przesłuchanie prokuratorskie, nakłaniając obrońców, aby tym razem oni zapytali go o frazy wyszukiwane w internecie i zapiski na temat seksu. Na przestrzeni miesięcy przeglądał wiele stron internetowych, podkreślił. Rozpatrywanie wyszukiwań, których dokonał tamtego ranka, w oderwaniu od szerszego kontekstu jest nierozsądne. Odnośnie do dziennika – „CRORO”, „CROCRO” oraz „CRO” i inne zakodowane nazwy odnosiły się nie do chloroformu, ale do różnych alkoholi wysokoprocentowych, które Obara i jego towarzyszki wączali oraz wciągali nosem z torebek foliowych. Ponieważ jednak na własną prośbę ponownie składał zeznania, musiał również oddać się do dyspozycji prokuratora Mizoguchiego, który znów zaczął go maglować. Pierwsze pytanie brzmiało prosto:

– Czy „SMY” oznacza *sui min yaku*?

– „SM” oznacza „Super Magic” – odpowiedział Obara. – A za granicą literą „Y” określa się ogólnie halucynacje. Litera „Y” oznacza coś nieznanego. *Yellow sunshine...* hm, *yesca...* y... – zaczął mamrotać coś niezrozumiałe.

Sędzia Tochigi odsłonił w uśmiechu piękne zęby.

– O czym pan mówi? – zapytał.



W trakcie gdy rozgrywały się te wszystkie wydarzenia, w kwietniu 2006 roku Jane Blackman, Tim Blackman i matka Carity Ridgway Annette polecili do Tokio¹⁴³, aby złożyć zeznania. Biorąc pod uwagę stosunki panujące między rodzicami Lucie, prokuratura zaplanowała najpierw przesłuchania obu kobiet, Tim miał się pojawić pięć dni później.

Szansa na to, że nastąpi bezpośrednia konfrontacja oskarżonego

o zabójstwa Obary i pogrążonych w smutku rodziców ofiar, sprawiła, iż galeria dla publiczności była wypełniona do ostatniego miejsca. Jednak woźni sądowi wpuścili dziennikarzy i widzów na salę z opóźnieniem. Kiedy otwarto drzwi, Jane i Annette siedziały w pierwszym rzędzie galerii dla publiczności, natomiast miejsce Obary pozostawało puste.

Główny sędzia Tochigi uśmiechał się promiennie.

– Sąd otrzymał informację – oznajmił – że oskarżony odmówił stawienia się na dzisiejszej rozprawie.

Zgodnie z przepisami, wyjaśniał sędzia, sprawa karna nie może się odbywać pod nieobecność oskarżonego. Jednak od zasady tej można odstąpić, jeśli oskarżony otrzymał wezwanie i nie przedstawił ważkiego powodu usprawiedliwiającego jego nieobecność. Obarę jak zwykle poinformowano wcześniej o terminie posiedzenia i funkcjonariusze Tokijskiej Izby Zatrzymań weszli tamtego ranka do jego celi, aby towarzyszyć mu w drodze do sądu.

– On jednak nie był ubrany, trzymał się umywalki i odmówił stawiennictwa – tłumaczył sędzia Tochigi. – Oskarżony nie podał żadnej uzasadnionej przyczyny swojej nieobecności. Biorąc pod uwagę fakt, że krewni zmarłych przybyli z zagranicy, sąd postanawia, iż nie będziemy czekać na oskarżonego.

Jane jako pierwsza zajęła miejsce dla świadka. Wspominała okres niemowlęctwa, dzieciństwa i młodości Lucie, opowiadała o łączącej ją z córką bliskości przypominającej bliskość dwóch sióstr.

– Kiedyś myślałam, że nie ma ogromniejszego smutku niż smutek rodzica, który utracił dziecko – stwierdziła. – Myliłam się. Utrata dziecka oraz świadomość, że jego ciało zostało zbezczeszczone w tak niehumaniczny sposób, to źródło nieustającego, niesłabnącego cierpienia, największego, jakiego doświadczyłam. – Potem dodała: – To, że Obara nie stawiał się dzisiaj

w sądzie, jest haniebnie i wyraźnie świadczy o jego winie. Jest tchórzem.

Następnie zeznawała Annette. Mówiła o tym, jaki wpływ miała śmierć Carity na życie jej starszej córki Samantha oraz na chłopaka Carity Roberta Finnigana.

– Mimo że minęło czternaście lat, wciąż myślę o niej codziennie i odczuwam ból związany z jej stratą – opowiadała Annette. – Była cudowną córką i nic nie może jej zastąpić. Gdybym miała orzekać wyrok dla Obary, orzekłabym wyrok śmierci. Wiem jednak, że w tych okolicznościach jest to niemożliwe. Dlatego powinien pozostać w więzieniu do końca życia¹⁴⁴.

Pięć dni później w sądzie pojawił się Tim. Obara znów był nieobecny. Tym razem, oświadczył sędzia, oskarżony wcisnął się w wąską wnękę w ścianie celi i odmówił wyjścia.

Tim mówił prawie przez pół godziny.

– Śmierć mojej córki Lucie Blackman jest najstraszliwszym wydarzeniem w moim życiu – tymi słowami zaczynało się oświadczenie Tima. – Wstrząs i uraz psychiczny [...] sprawiły, że jestem innym człowiekiem.

Lucie żyła osiem tysięcy dni, przechowuję w pamięci wiele jej obrazów i każdego dnia widzę rzeczy, które sprawiają, że płaczę w miejscach publicznych, płaczę podczas spotkań biznesowych, płaczę podczas spotkań z przyjaciółmi i w domu nocą.

Czasami gdy zobaczę dziecko w spacerówce, staje mi przed oczami obraz Lucie i łzy napływają mi do oczu. Czasami widzę dzieci bawiące się ze swoim tatą w parku i ich radość sprawia, że rozpaczliwie tęsknię za Lucie. Gdy widzę młodą kobietę z małymi dziećmi, przychodzi mi na myśl, że nigdy takiej Lucie nie zobaczę. [...]

Nigdy nie poczuję jej czułego uścisku i nie poczuję ciepła jej oddechu, który owiewał mnie zawsze, gdy przytulała się do mnie i mówiła, że mnie kocha. Nie potrafię przestać myśleć o chwili, w której skończyło się jej życie – chwili, gdy jej mózg przestał funkcjonować; gdy po raz ostatni nabrała powietrza. Czy cierpiała, czy była przerażona, czy mnie wołała?

Teraz noszę w sobie obraz jej pociętych zwłok, śladów piły łańcuchowej na jej

kościach, obraz jej gnijącego, rozkładającego się ciała, [...] zakopanych w piasku plastikowych worków z częściami jej ciała oraz rozpacz małej dziewczynki na twarzach Sophie i Ruperta. Te obrazy zostaną we mnie do końca życia i kiedy przypominam sobie Lucie, kiedy widzę małe dzieci, widzę również te wszystkie potworności.

We śnie słyszę jej głos i przez chwilę zapominam, że nie żyje. Przez chwilę czuję radość, ale już po sekundzie przeszywa mnie ból, ponieważ wiem, że jej nie ma i że mogę się z nią spotkać tylko w snach.

Wszystko to bardzo mnie zmieniło [...] Wypełnia mnie rozpacz i nieopisany, bezbrzeżny smutek. Nie śpiam. Często wybucham niekontrolowanym płaczem. Obawiam się spotkań z przyjaciółmi i rodziną, ponieważ wiem, jak bardzo wytrąci mnie z równowagi żal, który zobaczę w ich oczach [...] Czasami nie potrafię skupić się na pracy, jestem zbyt rozstrojony, aby podejmować ważne decyzje, ponieważ wszystko wydaje się takie bezsensowne i nieważne.

Nieustannie obwiniam się za to, że bywały chwile, kiedy mogłem się spotkać z Lucie, ale nie znajdowałem na to czasu; obwiniam się za to, że gniewałem się na nią, kiedy była dzieckiem; obwiniam się, że nie dałem jej pieniędzy, których chciała, i że nie byłem z nią wtedy, kiedy potrzebowała mnie najbardziej. To poczucie winy być może nie jest racjonalne, ale już zawsze będzie mnie dręczyć i pogłębiać straszliwą ranę spowodowaną śmiercią Lucie.

Jednak najgorsze jest poczucie winy, które pojawia się, gdy nie myślę o niej, gdy przez chwilę z jakiegoś powodu jestem szczęśliwy. Właśnie ono sprawia, że już zawsze, do końca swoich dni będę odczuwał skutki miażdżącego ciosu, jakim była [jej śmierć] – i w głębi duszy wiem, że uwolnię się od tej tragedii dopiero, gdy znów spotkam się z córką w przyszłym życiu. Dopiero śmierć uwolni mnie od tego cierpienia. Tylko myśl o tym, że po śmierci znów poczuję, jak mnie obejmuje, pomaga mi dalej żyć.

Było to najbardziej przejmujące oświadczenie, jakie Tim kiedykolwiek wystosował. Tokijski Sąd Okręgowy był miejscem bezbarwnym i beznamietnym, jednak słowa ojca Lucie niezaprzeczalnie wywarły na wszystkich wrażenie. Wersja wydarzeń przedstawiona przez prokuraturę była zwarta i spójna. Linia obrony Obary była płataniną sprzeczności, teraz zaś

ojciec zmarłej Lucie w dojmujących słowach opisał cierpienie, które spowodowała śmierć ofiar, i apelował o najsroższy wymiar kary. Dlatego tym większym szokiem okazała się wiadomość, że jeszcze tego samego roku Tim Blackman przyjął pół miliona funtów od Obary i podpisał dokument podważający dowody przeciwko oskarżonemu.

[140](#) Przykłady przytoczone poniżej pochodzą z 49., 50. i 51. posiedzenia, które odbyły się w dniach 8 i 24 lutego oraz 8 marca 2006 roku. Rozmowa na temat działalności charytatywnej Obary miała miejsce podczas 51. posiedzenia.

[141](#) Proces Jojiego Obary, 52. posiedzenie, Tokijski Sąd Okręgowy, marzec 2006.

[142](#) Nie udało mi się dotrzeć do żadnych informacji na temat wspomnianej przez Obarę sprawy zaginięcia Japonki w Wielkiej Brytanii.

[143](#) Stawili się na 53. i 54. posiedzeniu, które odbyły się 20 i 25 kwietnia 2006.

[144](#) W Japonii zachowano karę śmierci za zabójstwo i co roku na kilku skazańcach wykonywano wyrok przez powieszenie. Jednak najwyższy wymiar kary przewiduje się jedynie w najbardziej ekstremalnych wypadkach – w sprawach dotyczących zabójstw dokonanych na dzieciach, zabójstw wielokrotnych oraz zabójstw z premedytacją dokonanych z cynicznych motywów, takich jak uzyskanie pieniędzy z polisy ubezpieczeniowej na życie. Nikt nigdy nie oskarżył Jojiego Obary o celowe usiłowanie zabójstwa – mimo że prokuratura mogła pójść tą drogą, ponieważ po nieumyślnym spowodowaniu śmierci Carity Ridgway poprzez przedawkowanie nielegalnie podawanych środków lekkomyślność, z jaką powtórzył ten sam błąd w wypadku Lucie Blackman, była równoznaczna z zabójstwem. Jednak z powodu charakteru materiału dowodowego, w dużej mierze poszlakowego, prokuratura uznała, że istnieje większe prawdopodobieństwo, iż dojdzie do skazania Obary, jeśli zostanie mu postawiony lżejszy zarzut „gwałtu skutkującego zgonem”.

Końcowy komentarz Annette odnosił się do spraw, które przez zachodnie wymiary sprawiedliwości są traktowane jako dwa osobne obowiązki sądu: wydanie wyroku skazującego lub uniewinniającego oraz orzeczenie wymiaru kary. Gdyby Obara przyznał się do winy lub został uznany za winnego, wtedy zdanie krewnych ofiar byłoby słusznie brane pod uwagę podczas orzekania wysokości kary. Jednak na tym etapie procesu Obara

nadal był podsądnym, który kategorycznie zaprzeczał dopuszczenia się czynów, o jakie go oskarżano.

Zachęcanie najbliższych ofiar do dzielenia się swoimi odczuciami co do wymiaru kary w momencie, gdy oskarżonego nadal obejmowała zasada o domniemaniu niewinności, wzmacniało wrażenie stwarzane przez wiele innych aspektów japońskiego wymiaru sprawiedliwości, że wina podsądnego została nieoficjalnie ustalona, jeszcze zanim przekroczył on próg sali rozpraw, i że proces jest pustym rytuałem.

– Nigdy nie godziłem się z oskarżeniami wysuwanymi pod moim adresem podczas tego procesu – napisał Obara w oświadczeniu przygotowanym przed tymi rozprawami. – Z drugiej strony zeznania składane przez krewnych Carity Ridgway i Lucie Blackman będą skierowane przeciwko sprawcy przestępstwa. Gdybym zatem pojawił się w sądzie, obawiam się, że zostałem uznany za sprawcę przestępstwa i oczekiwano by ode mnie, iż pogodzę się z takim stanem rzeczy [...] Obawiam się, że przemieniłoby to salę rozpraw w miejsce odwetu i krytyki prowadzącej do nienawiści i żalu. – Sędzia Tochigi nie wydał zgody na odczytanie tego dokumentu podczas posiedzenia sądu.

ROZDZIAŁ 22

POCIESZENIE

– CEREMONIA POGRZEBOWA OZNACZAŁA, że Lucie nie była już osobą zaginioną – powiedziała Sophie Blackman. – Skończył się stan zawieszenia; nie musieliśmy już dłużej jej szukać. Jednak dopiero wtedy gdy chowaliśmy jej prochy, dotarło do mnie, że skończyło się także życie mojej siostry. Poczułam to bardziej niż podczas uroczystości żałobnej. Pochówek oznaczał dla mnie jej śmierć. – Niewiele brakowało, a oznaczałby także śmierć Sophie.

Cztery lata upłynęły między kremacją a pochówkiem. Były one naznaczone destrukcyjnym, zawziętym konfliktem między członkami rodziny Blackmanów o to, co zrobić z prochami Lucie. Z początku Tim sugerował, aby rozsypać je z pokładu jego jachtu nad wodami cieśniny Solent, gdzie rodzina jeździła żeglować, gdy Lucie była dzieckiem. Rupert wolał, by grób siostry znajdował się blisko Sevenoaks, w miejscu, do którego z łatwością będą mogli dojechać wszyscy bliscy Lucie. Jednak najbardziej zażarty spór toczył się między matką a córką. Sophie rozpaczliwie, gorąco pragnęła, aby prochy zostały podzielone między czterech członków najbliższej rodziny. Chciała móc ponownie przeżyć to, czego doświadczyła podczas wizyty w grocie w Moroiso, kiedy po raz pierwszy od śmierci Lucie

poczuła duchową bliskość z siostrą.

„Chciałabym, aby część prochów Lucie została umieszczona w pięknej, delikatnej srebrnej szkatułce na ozdoby, którą mogłabym zachować do końca życia – napisała w płomiennym liście zaadresowanym wspólnie do matki, ojca i brata. – Nie jestem gotowa oddać Lucie ziemi. Pragnę, żeby pobyla ze mną jeszcze trochę. Tak, abym mogła rozmawiać z nią codziennie. A może w przyszłości, gdy będę miała własną rodzinę albo własny dom, pochowam ją w idealnym miejscu, w którym zostanę z nią na zawsze”.

Jednak Jane była niewzruszona. W 2002 roku sąd wyznaczył ją na zarządcę majątku Lucie, co sprawiało, że miała ostatnie słowo we wszystkich tego typu kwestiach i nie zamierzała się przyznanego jej prawa wyrzekąć. Na pewien czas umieściła prochy w mieszkaniu specjalnie kupionym do tego celu. Wyglądało na to, że obawiała się – choć nie wyrażała swojej obawy głośno – iż Tim lub Sophie mogą ukraść szczątki Lucie. Jej lęk wiązał się z tym aspektem śmierci córki, który nieustannie dręczył Jane i napawał ją największym przerażeniem – rozczłonkowaniem i zniszczeniem ciała.

– Lucie została pocięta – tłumaczyła. – W żadnym razie nie mogłam się zgodzić, żeby jej prochy również zostały podzielone. Było to dla mnie bardzo ważne. Nie chciałam mieć połowy córki. – Pochówek prochów został zaplanowany na 23 marca 2005 roku w kościele Świętych Piotra i Pawła w wiosce Seal położonej w odległości półtora kilometra od domu Jane.

Sophie od chwili, gdy wkroczyła w wiek dojrzewania, zawzięcie kłóciła się z matką. Lucie występowała jako mediatorka w tych sporach i dla obu stron była w tej roli nieoceniona. W wieku czternastu lat Sophie wyprowadziła się z domu i przez kilka miesięcy mieszkała z rodziną koleżanki; w połowie roku szkolnego przerwała naukę w ostatniej klasie szkoły średniej. W czasie gdy Lucie zaginęła, Sophie przygotowywała się do wykonywania zawodu technika medycznego w zakresie kardiologii – osoby

zajmującej się kontrolowaniem funkcjonowania rozrusznika serca oraz badaniem pracy serca. Poleciała do Tokio, spodziewając się pozostać tam co najwyżej kilka dni. Skończyło się na tym, że mieszkała w hotelu Diamond przez wiele tygodni. Między kolejnymi pobytami w Japonii wracała do Londynu i do nauki zawodu. Jednak wraz z nagłym, zatrważającym zniknięciem Lucie części składowe jej życia poprzesuwały się i ułożyły w schemat, który uniemożliwiał jej dostęp do naturalnego źródła pocieszenia, jaki stanowi kontakt z bliskimi ludźmi. Niektórzy znajomi, okazało się, unikali jej, ponieważ nie mieli pojęcia, co mogliby powiedzieć albo zrobić – tymi pogardzała. Inni okazywali przesadną, duszącą chęć zapewniania pociechy i wsparcia – od tych uciekała. Duma i postawa obronna Sophie bardzo często przybierała formę agresji i pogardy, przez co młoda kobieta zniechęcała do siebie tych, którzy w naturalny sposób mogliby jej pomóc.

Znacznie lepiej rozumiała się z Timem, on jednak od dawna nie istniał w jej życiu na porządku dziennym, ponieważ mieszkał na oddalonej o kilka godzin jazdy wyspie Wight z nową, liczną rodziną.

– Odciełam się od świata, właściwie dobrowolnie – opowiadała Sophie. – Tak naprawdę jedyną osobą w moim życiu, która zawsze przy mnie była i na której mogłam polegać, była Lucie. Doprowadziłam do tego, że im większe przygnębienie mnie ogarniało, tym mniej miałam wokół siebie osób, do których mogłam się zwrócić. Skończyło się na tym, że w dzień pogrzebu Lucie zostałam sama.

Od początku wspólnie ustalono, iż będzie to prywatna uroczystość tylko dla czterech członków najbliższej rodziny. Jednak dziennikarze w jakiś sposób wszystko zwietrzyli i aby uniknąć tłumu reporterów i fotografów, którzy zjawiliby się niechybnie, pochówek w ostatniej chwili przyspieszono, przekładając go z godziny czwartej na pierwszą po południu. Nieugięte przekonanie Jane, że to Tim powiadomił prasę, sprawiło, iż sytuacja stała się

jeszcze bardziej niezręczna.

Ceremonia była krótka i bardzo prosta. Niemal pięć lat po śmierci Lucie urna z jej prochami została pochowana na cmentarzu kościoła w Seal, z którego roztaczał się widok na pola i łagodne wzgórza zachodniej części hrabstwa Kent. Rupert umieścił w grobie płytę z piosenkami, które skomponował i nagrał dla Lucie. Sophie zleciła wykonanie dwóch srebrnych plakietek, na których wygrawerowano początkowy fragment ulubionego wiersza Lucie *Lotnik z Irlandii przeczuwa swą śmierć* pióra Williama Butlera Yeatsa. W grobie Lucie spoczęła plakietka z pierwszym wersem:

Wiem, że do kresu zbliżę się przeznaczeń,

Plakietkę z kolejnym wersem Sophie zostawiła sobie z postanowieniem, że do końca życia będzie ją miała przy sobie:

W chmurach przeszytych na nieboskłonie¹⁴⁵.

Po ceremonii wszyscy czworo udali się na późny lunch. Pojechali do Rendezvous, restauracji, w której świętowali urodziny Lucie w czasach, gdy tworzyli młodszą, szczęśliwszą rodzinę. Po raz pierwszy od okresu okołorozwodowego Tim i Jane znaleźli się tak blisko obok siebie. Tim zamówił szampana i był zaskoczony, że spotkanie to przebiegło „w miarę dobrze – było naprawdę całkiem przyjemnie. Dzieci nie mogły się powstrzymać od żartów i śmiechu”. Towarzystwo byłego męża wydało się Jane mniej nieznośne niż zwykle.

– Wszyscy byli dla siebie uprzejmi – opowiadała. – Tim powiedział mi, że ładnie wyglądam. Sama inaczej spędziłabym ten dzień, zrobiliśmy to jednak ze względu na Ruperta i Sophie. – Niemniej dla Sophie był to moment okropny, przepełniony hipokryzją. Zachowywała pozory, siliła się na pogodę, jednak w środku zwijała się z emocjonalnego bólu.

– To było zupełnie popieprzone. Dziwaczne – skwitowała Sophie cztery lata później, a gdy to mówiła, głos jej się załamał. – Wszyscy starali się być dla siebie mili, udawali, że jesteśmy szczęśliwą rodziną siedzącą sobie w restauracji, chociaż przed chwilą pochowaliśmy Lucie. Takie to dziwne: stwarzanie pozorów, że jesteśmy zjednoczeni, podczas gdy tak naprawdę nic nas już nie łączyło, nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. Nawet teraz myśl o tym mnie przygnębia. To było bez sensu. Stało się zupełnie oczywiste, że śmierć Lucie zmieniła relacje między nami wszystkimi i że choć byliśmy bratem i siostrą, mamą i tatą, przy stole siedziała czwórka zupełnie obcych sobie ludzi.

Powodowana dumą Sophie skrywała prawdziwe uczucia, a swoje nieszczęście uczyniła czymś na kształt wyzwania dla przyjaciół i rodziny.

– Jedyńm niewielkim przejawem tego, że tak naprawdę nie jest ze mną dobrze – opowiadała – było zaproszenie wszystkich do mojego mieszkania. Najpierw chciałam uciec z tego okropnego lunchu, potem jednak pragnęłam wydłużyć wspólne popołudnie. Chciałam im przez to powiedzieć: „Nie zostawiajcie mnie jeszcze. Nie jestem gotowa”.

Blackmanowie wypili u Sophie parę drinków i herbatę, po czym pożegnali się. Współlokatorka Sophie Emma, która pracowała jako stewardesa, wychodziła, zatem wieczór po pogrzebie Lucie Sophie miała spędzić w samotności.

– Nie powiedziałam: „Zostańcie, proszę, potrzebuję, żebyście przy mnie byli” – wspominała Sophie. – To prawda, że powinnam była prosić o pomoc, kiedy jej potrzebowałam. To był jednak taki sprawdzian dla ludzi, chciałam się przekonać, czy oni sami będą potrafili coś dostrzec. Gdyby mnie znali, nie musieliby nawet o nic pytać, po prostu zostaliby ze mną. Zostałam jednak zupełnie sama. Pochowanie prochów Lucie miało dla mnie ogromne znaczenie. Równało się z końcem życia Lucie, nigdy więcej miałam jej nie

zobaczyć i czułam, że sobie z tym nie poradzę.

Przez ostatni rok Sophie zażywała przepisywane jej przez lekarzy środki przeciwdepresyjne. Kilka razy zmieniała leki, żadne z nich nie pomagały jej zbyt. Teraz jednak, opróżniając kolejne kieliszki czystej wódki, wyjęła listki i fiolki z różnymi tabletkami, ułożyła pigułki na stole, puste zaś opakowania wyrzuciła.

– Siedziałam sama, zalewałam się. Nie pamiętam dokładnie, o czym myślałam. Nie pamiętam, w jaki sposób podjęłam decyzję, że to zrobię. Jednak w pewnym momencie zaczęłam połykać wszystkie tabletki, które udało mi się znaleźć. Pamiętam, że łykałam je garściami. Wyjmowałam je z opakowań i zjadałam garściami. Ludzie pytają: „Czy nie było to zwykłe wołanie o pomoc?”. Nie, nie było. Ja po prostu chciałam umrzeć. Nie chciałam dłużej żyć. Nie miało to dla mnie sensu.

Po powrocie do domu Emma i jej chłopak zobaczyli, że Sophie śpi na kanapie, uznali jednak, iż jest to zamroczenie spowodowane alkoholem, i jedyne, co zrobili, to przenieśli ją z sofy na łóżko. Następnego dnia Emma wyszła o świcie do pracy na dwudniowy rejs. Relacje co do dalszego przebiegu wydarzeń zaczynają się w tym momencie różnić. Timowi wydawało się, że alarm podniosła matka Emmy, ale Sophie zapamiętała, iż obudziła się półprzytomna i sama wezwała pogotowie. Tak czy inaczej wczesnym rankiem w piątek, ponad dwadzieścia cztery godziny po przedawkowaniu, Sophie pojechała karetką do szpitala, gdzie uratowano jej życie.

Pierwszy o wszystkim dowiedział się Rupert. Natychmiast udał się do szpitala psychiatrycznego, do którego przewieziono Sophie, i doznał wstrząsu na widok siostry powłóczącej nogami, bełkoczącej i nerwowo pocierającej dłonią o dłoń. Bardziej przypominała żywego trupa niż

zgrzyliwą, energiczną osobę, z którą zaledwie dwa dni wcześniej jadł obiad suto zakrapiany alkoholem. Tim przyjechał z wyspy Wight i przeniósł Sophie do prywatnej kliniki, gdzie zatrzymano ją na krótki czas na podstawie Ustawy o zdrowiu psychicznym. Najbardziej utkwilo mu w pamieci to, że córka była niezwykle blada i nawet po wypłukaniu leków z organizmu nadal zdawala się miec halucynacje. Najpóźniej zdołano dotrzeć z informacją o stanie córki do Jane. Kiedy ta przyjechała do szpitala, po raz pierwszy zobaczyła blizny na przedramionach w miejscach, gdzie Sophie od kilku miesiecy dokonywała samookaleczeń.

Po kilku dniach wypisano Sophie i oddano ją pod opiekę ojca, który zabral ją ze soba na wyspę Wight, do domu w budynku byłej plebanii, w którym mieszkal z Jo i jej dziećmi. Sophie spędzila tam dziesięć spokojnych i szczęśliwych tygodni, podczas których ukończyła pracę dyplomową wymaganą do uzyskania tytułu licencjata z zakresu fizjologii klinicznej na uczelni City of Westminster College. Gdy latem tego samego roku ogłoszono wyniki, okazało się, że uzyskała najwyższą ocene.

W następnym roku została przyjeta do położonego w miejscowości Richmond-upon-Thames szpitala Cassel, który specjalizował się w leczeniu osób z poważnymi problemami psychiatrycznymi wynikającymi z trudnej sytuacji rodzinnej. Przebywała w tej placówce dziewięć miesiecy. Nie spotkala się więcej z Jane.

– Można by sądzić, że tragedia taka jak śmierć Lucie zbliży nas wszystkich do siebie – opowiadał Tim. – Prawdę mówiąc, nawet w szczęśliwej rodzinie ludzie często oddalają się od siebie po czymś takim. Zaczynają się obwiniać, zamykać w sobie. Jeśli już wcześniej więzi się rozpadały, tak jak w naszym wypadku, cierpienie sprawia, że wiele rzeczy zaczyna nas przerastać. Dlatego o wiele trudniej radzić sobie z napięciami i zgrzytami, które istniały od

dawna.

Pewnego letniego dnia 2006 roku Tim odwiedził Sophie w szpitalu, przynosząc wiadomość, która dodatkowo pogorszy napięte stosunki między Blackmanami: Joji Obara zaproponował mu pół miliona funtów, on zaś postanowił przyjąć pieniądze.

Pierwszy raz ofertę tego rodzaju złożono w marcu 2006 roku, w formie e-maila wysłanego przez jednego z prawników Obary. Proponowano jednorazową wypłatę gotówki w wysokości 200 000 funtów w zamian za obietnicę ze strony Tima, że nie będzie zeznawał przed Tokijskim Sądem Okręgowym. Jane otrzymała podobną propozycję, odrzuciła ją jednak z pogardą. Tymczasem Tim wymienił z adwokatami Obary kilka e-maili w tej sprawie – chociaż, upierał się wtedy w rozmowach ze mną, wcale nie zamierzał przyjąć tych pieniędzy.

– Dzięki temu zyskałem niemal bezpośredni dostęp do Obary – tłumaczył. – Chciałem wykorzystać tę okazję, aby nawiązać z nim kontakt. Odpisałem pod pozorem negocjacji stawki: po pierwsze, żeby sprawdzić, jak wiele są w stanie zapłacić, a po drugie, żeby zrobić im nadzieję, a potem nagle je rozwiać i w ten być może żałosny sposób choć trochę odegrać się na nim [...] To była zwykła gra [...] Nie ma porozumienia, nie ma pieniędzy [które zgodziłby się przyjąć] i nie ma przebaczenia.

Jednak adwokaci Obary zachowali kopie e-maili, a oprócz tego nagrywali i zapisywali przebieg rozmów telefonicznych z Timem. Gdy w następnym roku opublikowano te materiały, wyglądało na to, że Tim był o wiele bardziej, niż twierdził, chętny do przyjęcia oferty.

„Otrzymałem propozycję od oskarżonego¹⁴⁶ – napisał Tim. – Jestem gotów rozważyć ją i zawarty w niej warunek”. – Żądał jednak 500 000 funtów, Obara zaś podniósł pierwotną stawkę do 300 000 i za tę sumę Tim zgodził się wygłosić na sali sądowej szereg oświadczeń.

– Oskarżony okazał skruchę¹⁴⁷ i wyraził żal z powodu śmierci Lucie – obiecał powiedzieć. – Jako ojciec Lucie i chrześcijanin jestem w stanie wybaczyć oskarżonemu i [...] uznać sprawę między nami za załatwioną. Mam nadzieję, że oskarżony podda się resocjalizacji i powróci do życia w społeczeństwie.

Jednak kilka dni później Tim nagle wycofał się z negocjacji.

W rozmowie telefonicznej – która, jak można było przewidzieć, została nagrana, spisana i opublikowana – jednej z osób reprezentujących Obarę wyjaśnił¹⁴⁸:

– Brytyjska policja po konsultacjach z [japońską] prokuraturą poinformowała mnie, że nie będzie to przychylnie odebrane, jeśli najpierw otrzymam pieniądze, a potem pójdę do sądu.

Do matki Carity Annette Ridgway wystosowano podobną ofertę, którą Annette, podobnie jak Jane i Tim, odrzuciła. Wszyscy troje rodzice w następnym miesiącu pojechali do Tokio i opisali, jaki wpływ na ich życie wywarła utrata córek.

– Tych strasznych, okropnych czynów na mojej pięknej córce¹⁴⁹ mógł się dopuścić jedynie odrażający osobnik, ohydne zwierzę polujące na istoty piękne i bezbronne – oświadczył Tim przed sądem. – Są to czyny niemoralne, których dokonał potwór przez kilkadziesiąt lat rosnący w siłę w cieplarnianych warunkach powstałych na skutek braku zasad i kontroli.

Ten potwór nie okazał ani odrobiny skruchy, wstydu ani poczucia winy za swoje perwersje i zbrodnie przeciwko ludzkości. Jedyne, co robił, to kłamał i zaprzeczał; zaprzeczał na początku, twierdząc że w ogóle nie zna Lucie, i kłamał na końcu w sprawie jej śmierci. A prawda wygląda prosto i jasno – moja piękna córka żyłaby dzisiaj, gdyby nie zapolował na nią ten osobnik [...]

Te nikczemne zbrodnie przeciwko nam wszystkim muszą się spotkać z najwyższym wymiarem kary. Ludzie na całym świecie uważają, że powinno się oskarżyć go o zabójstwo i skazać na karę śmierci. Zgadzam się z nimi. Jeżeli

wyrok nie będzie maksymalny, sprawiedliwości nie stanie się zadość, a pamięć o życiu i śmierci Lucie zostanie zhańbiona i znieważona.

Jednak na przestrzeni kolejnych sześciu miesięcy Tim wznowił rozmowę z prawnikami Obarę. Pod koniec września poleciał do Tokio, aby spotkać się z nimi w hotelu New Otani. Termin ten nie był przypadkowy: w październiku adwokaci Obarę mieli wygłaszać mowy końcowe w obronie swojego klienta. Zaledwie pięć dni wcześniej 100 000 000 jenów, w tamtych czasach stanowiących równowartość 850 000 dolarów, zostało przelane na konto bankowe Tima.

Przekazanie pieniędzy ofierze przez sprawcę jest powszechnie uznaną procedurą w japońskich sprawach karnych, do której nierzadko dochodzi za namową prokuratury. Lekkomysłny kierowca, który potrafił pieszego, złodziej sklepowy, nawet gwałciciel – wszyscy oni mogą zmniejszyć wymiar kary, a czasami w ogóle uniknąć procesu, doprowadzając do porozumienia finansowego, któremu często towarzyszy wystosowane przez ofiarę oświadczenie o udzieleniu przebaczenia lub prośba o łagodny wyrok. W kulturze zachodniej tego typu ugody jawią się jako niebezpieczna ingerencja w bezstronne działania wymiaru sprawiedliwości. Jednak wielu Japończykom wydaje się jak najbardziej rozsądne, aby winowajca zrobił, co w jego mocy, w celu zrekompensowania poszkodowanemu doznanej krzywdy. Na przykład w pewnej sprawie dotyczącej gwałtu zbiorowego oskarżeni, którzy zapłacili ofierze półtora miliona jenów, zostali skazani na trzy lata więzienia, podczas gdy tych, którzy nie mogli lub nie chcieli zaoferować finansowej rekompensaty, skazano na cztery lata.

– W sprawach tego typu¹⁵⁰ półtora miliona jenów można „wymienić” na zmniejszenie wyroku o jeden rok – pisze David Johnson. – W sprawach

o zabójstwo, w których wyrok waha się od trzech lat pozbawienia wolności do dożywocia (istnieje również kara śmierci), wola najbliższych ofiary może zaważyć na długości wyroku, a czasami nawet na decyzji o życiu lub śmierci oskarżonego.

Była jednak pewna różnica między tą praktyką a ugodą proponowaną przez Obarę. Zwykle wyglądało to tak, że oskarżony proponował pieniądze w ramach pokuty, jako namacalny dowód chęci naprawienia zła, za które czuje się odpowiedzialny. Obara jednak do niczego się nie przyznał. Setki tysięcy funtów, którymi kusili jego prawnicy, nie były podparte przeprosinami ani wyznaniem winy. W rzeczywistości adwokaci starannie podkreślali, że pieniądze te nie są rekompensatą, ale *mimaikin* – *solatium*, „pieniędzmi na pocieszenie” – co oznaczało, iż ich klient nie poczuwa się do żadnej odpowiedzialności karnej. Obara nie zrobił nic złego, ale ponieważ był przyzwoitym człowiekiem, było mu strasznie przykro z powodu tego, co stało się z Lucie i Caritą, i pragnął po prostu pomóc pogrążonym w żałobie rodzinom.

Gdyby przyznał się do winy, zadośćuczynienie wypłacone ofiarom mogłoby skłonić sędziów do zmniejszenia wymiaru kary. Jednak płacenie komuś, komu nie wyrządziło się żadnej krzywdy, wydawało się bez większego sensu. Kilku prawników nie pochwalało tej taktyki. Niemniej Obara z ogromną determinacją dążył do wręczenia swoich datków.

Adwokaci i prywatni detektywi wysłedzili wszystkie osiem kobiet, o których gwałt był oskarżony, i każdej zaproponowano 2 000 000 jenów. Kilka kobiet odmówiło, ale ofertę ponawiano z wytrwałością zakrawającą na nękanie. Mikiko Asao, adwokat reprezentujący trzy ofiary gwałtu, pouczył swoje klientki, że mają prawo przyjąć odszkodowanie od Obary, jeśli jednak wezmą pieniądze, powinny wystawić jedynie zwykłe pokwitowanie odbioru – nie powinny w zamian podpisywać żadnych oświadczeń, próśb

o łagodny wymiar kary, nic, co mogłoby wpłynąć na postanowienia sądu. Tymczasem większość ofiar podpisała, co im podsunęto. Dokumenty sporządzone przez prawników Obary zawierały potwierdzenie przyjęcia „rekompensaty za niedogodności”, oświadczenie, że niniejszym sprawą została „ostatecznie uregulowana”, oraz apel do sądu o „wycofanie aktu oskarżenia w związku z moją sprawą [...] ponieważ odstępuję od zamiaru dochodzenia sprawiedliwości na drodze postępowania karnego”.

– Ci detektywi kontaktowali się z nimi wielokrotnie – opowiadał Mikiko Asao. – W pracy, w domu, telefonicznie. Nawet gdy zmieniały numery telefonów komórkowych, detektywi docierali do nich. Ustalali adresy prywatnych poczty elektronicznych. Takie były ich metody: kłamstwa, groźby, wyprowadzanie z równowagi. Gdy tylko dowiedziałem się o tym, złożyłem protest na ręce adwokatów oskarżonego. Nic to jednak nie zmieniło, i tak zmusili je do podpisania tych dokumentów.

Timowi Blackmanowi nikt nie groził. Mimo to w tym samym dniu, gdy dokonano na jego konto przelewu o wysokości 100 000 000 jenów, podpisał i złożył odcisk palca na dokumencie, który w następnym tygodniu prawnicy Obary przedstawili sędziom. Treść tego dokumentu była następująca:

Oświadczenie

Nie wiedziałem, że przyczyna zgonu mojej córki¹⁵¹ Lucie Blackman była nieznaną, że na ciele mojej córki nie wykryto próbek DNA i tym podobnych należących do oskarżonego Obary ani że oskarżony Obara tamtego dnia oraz w czasie, w którym ciało mojej córki zostało rozczłonkowane i ukryte, nocował w tradycyjnym japońskim hotelu.

Chciałbym stwierdzić pewne rzeczy i o pewne rzeczy zapytać japoński sąd:

1. Czym w rzeczywistości była czarna substancja wypływająca z ust oraz czym była czarna substancja pokrywająca głowę mojej córki Lucie Blackman¹⁵²?
2. Analiza chemiczna cementu pokrywającego głowę mojej córki Lucie Blackman.
3. Kiedy i w jaki sposób przewieziono moją córkę Lucie Blackman z przystani

Zushi do Aburatsubo?

Niniejszym jako ojciec Lucie Blackman chciałbym wyrazić prośbę o zbadanie tych trzech aspektów, które powinny wyjaśnić przyczynę zgonu oraz całą tę sprawę.

Jeśli policja i prokuratura uznają, że czarna substancja wypełniająca usta i pokrywająca twarz nie wyjaśni przyczyny zgonu, takie działanie będzie niezgodne z prawem i jako kochający ojciec nie przebaczę osobom, które to zlekceważą, nawet jeśli będą to policjanci i prokuratorzy.

Zawiła składnia i nadmierne przywiązywanie uwagi do zaskakujących szczegółów wyraźnie wskazywały, że oświadczenie nie zostało sformułowane przez Tima i że ojciec Lucie podpisał je, nie dbając o to, a być może nie w pełni rozumiejąc, co ono oznacza. Jednak dla wielu osób beztroska, z jaką Tim podważył wersję wydarzeń przedstawioną przez prokuraturę w zamian za zwykłe pół miliona funtów, wydała się tym bardziej szokująca.

– Publicznie popierałam decyzję taty – opowiadała Sophie. – W rzeczywistości nie zgadzałam się z nią wcale. Nie chodziło mi o samo przyjęcie tych pieniędzy. Po prostu wiedziałam, że będzie to samobójstwo, że mama i media rozszarpią go na strzępy. Wszyscy wyrobią sobie na ten temat zdanie i niezależnie od tego, co powie na swoje usprawiedliwienie, ludzie będą go oceniać, a ich sądy wywrą ogromny wpływ na jego życie, pracę, na wszystko. I tak właśnie się stało.

To prawnicy Obary obwieścili, że wpłata została dokonana, dzień po powrocie Tima do Anglii. O sprawie doniosły weekendowe wydania wszystkich gazet; nagłówki cytowały słowa, którymi Jane określiła tę transakcję: „pieniądze splamione krwią”¹⁵³.

– Odrzuciłam wszystkie finansowe oferty¹⁵⁴ ze strony oskarżonego, tak samo zrobili moja córka Sophie i mój syn Rupert – stwierdziła Jane

w oświadczeniu. – Ojciec Lucie przeprowadza te negocjacje wbrew mojej woli i błaganiom dzieci. Wierni Lucie najbliżsi i przyjaciele są oburzeni haniebną zdradą, której dopuścił się Tim Blackman.

Wiele osób w jego sytuacji zaszyłoby się gdzieś po cichu, żeby przeczekać całą wrzawę. Jednak Tim nigdy nie unikał dziennikarzy i teraz również nie zamierzał tego robić. Oddał się do ich dyspozycji, udzielając szeregu wywiadów telewizyjnych i prasowych, w których odpowiadał na to samo pytanie: dlaczego? Mówił o stratach poniesionych podczas miesięcy, w których Lucie była uznana za zaginioną, oraz o Funduszu imienia Lucie Blackman, dla którego pragnął stworzyć solidną finansową podstawę. Podkreślił, że z powodu wydatków związanych ze sprawą sądową w Japonii, z powodu przedłużającego się okresu trwania tej procedury oraz z powodu bankructwa Obary nie było szans na zdobycie rekompensaty na drodze postępowania cywilnego. Część twierdzeń, które wygłaszał, dodatkowo go pogrążyła: utrzymywał na przykład, że wpłaty dokonał nie sam Obara, ale jego „kolega” ze studiów pan Tsuji, co miało sprawiać, iż przekazanie pieniędzy zamiast pomóc Obarze, „będzie świadczyło o jego winie”. Sprawiał wrażenie człowieka mało wiarygodnego i usiłującego wszelkimi sposobami się obronić. Przeprowadzający wywiady dziennikarze, którzy wcześniej traktowali go z pełnym życzliwości współczuciem, stali się napastliwi i przemawiali z pozycji osób przekonanych o swojej racji. Wyglądało to tak, jak gdyby Tim Blackman z pogrążonego w żałobie ojca zabitej dziewczyny zmienił się w przestępcę.

Sytuacja pogorszyła się w następnym tygodniu, gdy dziennik „Daily Mail” opublikował długi na dwa tysiące słów, oczerniający Tima artykuł¹⁵⁵ zatytułowany „Zdrada ojca”.

„Jest to zdumiewający zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, przysparzający ogromnych cierpień matce Lucie Jane – donosiła gazeta. – Co ciekawe, mimo

że zachowanie Tima Blackmana mogło wywołać poważny wstrząs, ci, którzy dobrze go znali, nie wydawali się zbytnio zdziwieni. – Artykuł nie powoływał się bezpośrednio na słowa Jane, przywoływano jedynie wypowiedzi „przyjaciół”, którzy mówili o „cichej godności”, z jaką przyjmowała ona zdradę Tima. – Kreślą oni portret płytkiego i próżnego mężczyzny, który dziesięć lat wcześniej bezdusznie porzucił swoją rodzinę, odszedł do innej kobiety, a najbliższych pozostawił bez jakiegokolwiek finansowego wsparcia [...] aroganckiego i egoistycznego człowieka, dla którego szybko wyczerpały się zapasy dobrej woli wśród miejscowej [tokijskiej] społeczności”.

Tylko jedna osoba została wymieniona w artykule z imienia i nazwiska: Huw Shakeshaft, znany również jako „sir Huw z Roppongi”, doradca finansowy, który ostro wystąpił przeciwko Timowi w Tokio¹⁵⁶.

– Jego postępowanie już dawno wstrząsnęło mną i wywołało rozczarowanie – „wyznał” Huw w rozmowie z dziennikiem. – Do tej pory zachowywałem to dla siebie, ale słysząc, co zrobił, uznałem, że nie mogę dłużej milczeć.

Huw powtórzył swoje zarzuty wobec Tima: potraktowanie użyczonego przez niego biura bez należytego szacunku, podejmowanie dziennikarzy w restauracji na jego koszt, pozostawienie Sophie w Tokio na dwa dni bez opieki. Inna „osoba bliska” Jane „ujawniała”, że Tim płacił na rzecz dzieci bardzo niskie alimenty, opisywała relację Tima z Lucie („stwierdzenie, iż łączyła ich bliska więź, jest śmiechu warte”) oraz podkreślała, że Tim nie skonsultował się z Jane w sprawie utworzenia Funduszu imienia Lucie Blackman. Oprócz tego dziennik „Daily Mail” zdołał „ustalić”, że Jane zamierza wystosować pismo do członków zarządu Funduszu, „aby poinformować, iż ma wątpliwości, czy jej były mąż jest odpowiednią osobą” do prowadzenia Funduszu.

Tim wysłał pełen oburzenia list do sądu w Tokio.

„Wpłatę od przyjaciela [Obary] przyjęliśmy na podobnej zasadzie, na jakiej przyjmujemy wpłaty z całego świata – napisał. – Została ona przyjęta, ponieważ dobitnie świadczy o tym, że oskarżony jest winny zbrodni popełnionej na Lucie. Ponieważ jest bankrutem, a ta wpłata pogrąża go jeszcze bardziej. Oskarżony jest winny, ale nadal udaje niewinność. Jest obłąkanym, nikczemnym kryminalistą polującym na nasze córki”.

Było już jednak za późno, nikt go nie słuchał. Miesiąc po przyjęciu pieniędzy od Obary, okaże się później, Tim wydał 64 500 funtów na kupno żaglówki – drugiej. Przekonywał, że żaglówka była inwestycją poczynioną na rzecz firmy czarterowej, którą prowadził, nikt jednak nie był zainteresowany również tymi tłumaczeniami.

Kilka miesięcy później Jane Blackman przełamała nieśmiałość w sprawie wypowiedzenia się na temat Tima, własnymi słowami udzielając wywiadu dziennikowi „Daily Mail”. Tytuł owego artykułu brzmiał: „ON JEST NIEMORALNY”¹⁵⁷.

– Czuję się, jak gdybym toczyła dwie wojny, jedną przeciwko zabójcy, a drugą przeciwko byłemu mężowi – opowiadała. – Po czyjej stronie? W jaki sposób przyczynia się do tego, żeby sprawiedliwości stało się zadość? [...] Moim zdaniem Tim przyjął 100 000 000 srebrników. Judasz zadowolili się trzydziestoma.



Kiedy po raz pierwszy spotkałem się z Rogerem Steare'em, drugim mężem Jane, udzielił mi on pewnej rady.

– Proszę zrozumieć na samym początku, że istnieją dwie wersje tej historii – oznajmił. – Wersja Tima oraz wersja prawdziwa, którą opowie

Jane.

Jane poznała Rogera dwa i pół roku po śmierci Lucie. Bez wątpienia jego miłość i praktyczne wsparcie umożliwiły Jane wyjście z przedłużającego się stanu skrajnej rozpaczcy i osamotnienia. Była sama od 1995 roku.

– Myślałam, że już nigdy nikogo nie spotkam – opowiadała. – Sądziłam, że ta część mojego życia już się skończyła.

Pewnego wieczoru znajomi zaproponowali Jane, że przedstawią ją pewnemu samotnemu mężczyźnie, a ona, ponieważ była już trochę wstawiona, zgodziła się. Randka zaczęła się bardzo obiecująco. Po śmierci Lucie Jane zaczęła dostrzegać małe znaki i chociaż rzadko były one zauważane przez innych ludzi, dla niej miały ogromne znaczenie. Motyle, białe piórka, gwiazdy, podobizny aniołów na obrazach i wzorach, śpiew ptaków, niezwykle zachowanie przedmiotów i urządzeń – wszystkie te zjawiska świadczyły według Jane o obecności Lucie.

– Była tu niedawno – powiedziała mi Jane podczas drugiej wizyty, którą złożyłem jej w domu. – Nie można znaleźć niektórych rzeczy, alarm przeciwpożarowy włączył się bez powodu.

Czuła się dość skrępowana tym, że mając czterdzieści dziewięć lat, umawia się na randkę w ciemno, przyjechała jednak pod uzgodniony pub i zaparkowała obok samochodu, w którego wnętrzu paliło się światło. Okazało się, że był to samochód mężczyzny, z którym miała się spotkać.

– Spytałam go: „Czy ten srebrny mercedes na parkingu jest twój? Zostawiłeś włączone światło w środku”. On odpowiedział: „To niemożliwe”, ale poszedł sprawdzić. Kiedy wrócił, powiedział: „Miałaś rację. Ale jeśli twój samochód stoi obok mojego, to u ciebie też pali się światło w środku”. Tym razem ja odpowiedziałam: „Nie, niemożliwe”. Jednak gdy wyszłam, zobaczyłam, że się nie mylił.

Imię „Lucie” pochodzi oczywiście od łacińskiego słowa „światło”. Jane

przekonała się, że światło było dla Lucie równie ważne za życia jak po śmierci. Niespodziewane włączenie się lampki w samochodzie niezawodnie świadczyło o obecności córki.

– To była Lucie – stwierdziła Jane. – Wyrażała zgodę, mówiła mi, że robię dobrze. – Roger oświadczył się Jane po pięciu tygodniach znajomości. Osiem miesięcy później, w sierpniu 2003 roku, pobraли się.

Roger był pięć lat młodszy od Jane. Podobnie jak ona miał za sobą jedno małżeństwo i rozwód. Był synem pastora Kościoła metodystycznego, w przeszłości pracował jako urzędnik banku, pracownik opieki społecznej, prowadził rekrutację menedżerów w londyńskim City oraz prowadził działalność jako doradca zawodowy. W czasie gdy ożenił się z Jane, zdobywał pozycję jako „filozof kultury korporacyjnej” i doradzał firmom w zagadnieniach związanych z moralnością i etyką. Opublikował książkę zatytułowaną *ethicability®. how to decide what's right and find the courage to do it.*

– Wartości moralne takie jak pokora, odwaga i samodyscyplina są kluczami do sukcesu, dobrego samopoczucia i równowagi – widnieje tłumaczenie na jego stronie internetowej. – *ethicability®* – można się domyślić, że zapisanie tego wyrazu małą literą było równie ważne jak stawianie przy nim znaku ® – czyli etyczność, to sposób podejmowania decyzji i podstawa kulturowa pomagająca ludziom zatrzymać się, pomyśleć, porozmawiać, zjednoczyć się, a następnie zrobić to, co należy.

Roger w przyszłości zostanie mianowany na stanowisko profesora „etyki w organizacji” w londyńskiej szkole Cass Business. Stanie się również nieoficjalnym sekretarzem wspólnej kampanii na rzecz postawienia przed sąd i skazania Tima Blackmana.

Roger był brodatym, pięćdziesięciokilkuletnim mężczyzną o łagodnej twarzy. Podczas naszego pierwszego spotkania wydawało się, że niepewność

związana z pracą na własny rachunek w charakterze filozofa i wydawcy własnych prac jest dla niego źródłem umiarkowanego, ale nieustannego stresu. Na zdjęciu zamieszczonym na swojej stronie internetowej pochyła się lekko w stronę obiektywu i uśmiecha się pewnie, spoglądając zza okularów w grubych, czarnych oprawkach. Pod prążkowaną marynarką ma włożoną kwiecistą, rozpiętą pod szyją koszulę. Jednak Roger zawsze sprawiał na mnie wrażenie człowieka, który lepiej się czuje w swojskim otoczeniu klasy średniej niż w świecie luksusowych marek i wielkich nazwisk. Jego miłość i szacunek do Jane oraz chęć ochrony jej przed najbardziej bolesnymi aspektami całej sytuacji były wyraźnie widoczne i nieudawane, podobnie jak czymś naturalnym wydawała mu się pomoc, którą zapewniał Jane w praktycznych kwestiach związanych ze sprawą jej córki Lucie Blackman.

Gdy Jane zobaczyła Lucie w motylu przelatującym nad ścieżką, którą spacerowali wśród pól, Roger również to dostrzegął. Gdy przywołanie bolesnego – lub też nieznośnie szczęśliwego – wspomnienia sprawiało, że Jane łamał się głos, a zdarzało się to często podczas naszych rozmów, Roger zawsze był przy niej, chwycił ją za rękę lub podawał filiżankę herbaty. Zaskoczył mnie jednak zapał, z jakim włączył się do działań przeciwko Timowi, oraz to, w jak dużym stopniu identyfikował się z prowadzoną przez Jane walkę o wyższość moralną nad byłym mężem. Chwilami zdawało się, że Roger rywalizuje z Jane o to, które z nich bardziej pogardza Timem, człowiekiem, którego on osobiście nigdy nie spotkał.

Długie, trwające wiele godzin rozmowy z Jane przeprowadzałem w położonym w miejscowości Kemsing, nieopodal Sevenoaks, domu jej i Rogera – który zwykle nam towarzyszył. Czasami trudno było się przekonać, co w danej sprawie ma do powiedzenia Jane, ponieważ Roger niebawem ochoczo spieszył z odpowiedzią na każde pytanie.

– Sądzę, że jestem osobą dość spostrzegawczą, ponieważ pracowałem

w opiece społecznej i znam się na zachowaniach oraz typach osobowości – przyznał Roger. – A Tim wykazuje wszelkie symptomy poważnych zaburzeń osobowości. Jego wybujałe fantazje mają się nijak do rzeczywistości [...] Z troskliwego ojca, świetnie radzącego sobie z dziećmi (ocucił Lucie, kiedy miała napad, i uratował jej życie), zmienił się w szaleńca, który krzywdził nie tylko [Jane], ale i dzieci. Jest idealnym materiałem do analizy psychologicznej.

– Takie osoby nazywa się socjopatami – wtrąciła w tym momencie Jane.

– Tak, sądzę, że to socjopata.

Kampania prawna przeciwko Timowi zaczęła się kilka miesięcy przed tym, jak przyjął on „splamione krwią pieniądze”. Inny był wolontariusz pomagający Blackmanom w Tokio, brytyjski bankier, który podobnie jak Huw zaczął darzyć Tima ogromną niechęcią, zapłacił Jane, aby mogła zatrudnić Marka Stephensa, ekstrawaganckiego prawnika, specjalistę od prawa medialnego. Z pomocą Stephensa państwo Steare nakłonili policję hrabstwa Hampshire, pod której jurysdykcję podlegał Tim, aby przeprowadziła dochodzenie w sprawie podejrzenia o oszustwo.

Było to pomysłowe posunięcie, choć z pozoru zarzut ten trudno było czymkolwiek podeprzeć. Kogo niby oszukał Tim? Nie Obarę, który błagał Tima, żeby przyjął pieniądze. Nie Jane, która wielokrotnie odrzucała podobną ofertę.

– Ofiarą oszustwa padł majątek Lucie – wyjaśnił mi Roger.

Na jednym z oświadczeń przygotowanych przez adwokatów Obary i podpisanych przez Tima widniała wzmianka, że przyjmuje on 100 000 000 jenów „jako przedstawiciel na [sic!] rodzinę Lucie”. Jednak to Jane zarządzała majątkiem Lucie; podając się za przedstawiciela rodziny, argumentowano, Tim oszukał nie osoby pozostałe przy życiu, ale zmarłą Lucie. Argument ten wydał się policjantom z Hampshire na tyle mocny, by

oddelegować do rozpatrzenia tej sprawy sierżanta z wydziału dochodzeniowo-śledczego, który spisał zeznania Jane, natomiast prokuratura poczuła się w obowiązku wystosować do władz japońskich pismo z prośbą o bliższe informacje na ten temat.

Szczególną awersję Jane żywiła do Funduszu imienia Lucie Blackman. Stał się on jednym z głównych pól bitewnych, na których rodzice Lucie toczyli wojnę o prawa do duszy córki. W ciągu pięciu lat Fundusz rozwinął się w niewielką organizację charytatywną zatrudniającą garść pracowników oraz wolontariuszy. Organizacja sprzedawała sprzęt ochronny przeznaczony dla młodych ludzi, na przykład alarmy przeciwgwałtowe oraz zestawy do sprawdzania, czy do drinków nie dodano żadnego środka oszłamiającego. Tima zapraszano do szkół, aby opowiedział historię Lucie i przypominał, jak ważne jest osobiste bezpieczeństwo w domu i za granicą. Jane tymczasem napisała list do komisji nadzorującej działalność organizacji charytatywnych, w którym naciskała, aby odebrano Funduszowi status organizacji dobroczynnej, oraz wystosowała pismo do członków zarządu Funduszu, namawiając ich, żeby odcięli się od Tima. Roger wysłał e-mail do pewnej dziennikarki¹⁵⁸, „zupełnie prywatnie i z prośbą o zachowanie anonimowości”, zachęcając ją do prześwietlenia finansów Funduszu. Kolejną ofensywę przypuszczono w kwietniu 2007 roku, kiedy to Roger otrzymał e-mail od Heidi Black, byłej asystentki Tima i „wicedyrektorki” Funduszu. Pani Black została miesiąc wcześniej zwolniona i zaskarżyła sprawę swojego zwolnienia w sądzie pracy. Złożyła również doniesienie na policji w sprawie przekazanych na konto Funduszu pieniędzy, które według niej zaginęły. W tym samym tygodniu, w którym napisała do Rogera, informacja pojawiła się na łamach „Daily Mail”¹⁵⁹. Nagłówek gazety głosił: „Ojciec Lucie podejrzany o machlojki w Funduszu”. Następnego dnia aresztowano i przesłuchano Mata Searle’a, jedyne zatrudnionego na pełen etat

pracownika Funduszu.

Po pięciu tygodniach śledztwa oczyszczono go z zarzutów. Policja przejrzała konta Funduszu i nie znalazła żadnych dowodów na to, aby zaginęły pieniądze lub aby dopuszczono się jakiegokolwiek innego przestępstwa. Skarga wystosowana do komisji nadzorującej działalność organizacji charytatywnych nie przyniosła żadnego skutku, podobnie jak zarzut o oszustwo, na którym miał ucierpieć majątek Lucie. W połowie 2007 roku zrobiło się jasne, że wszystkie wysiłki Rogera i Jane spełzły na niczym.

– Dlatego nie mam kontaktu z mamą – wyjaśniła Sophie. – Ta jej potrzeba, żeby za wszelką cenę zniszczyć tatę i jego działania, niezależnie od konsekwencji i tego, jak się to odbije się na mnie i Rupercie. Stawia się na pierwszym miejscu, przed nami i naszymi potrzebami emocjonalnymi, przed wszystkimi naszymi potrzebami. Myślę, że takie zachowanie rodzica jest niewybaczalne. Skoro nic ich już nie łączy, poukładała sobie życie i ponownie wyszła za mąż, niech zostawi go w spokoju. Czy naprawdę czuje się szczęśliwa i bezpieczna w nowym życiu i związku, skoro nie przestaje się skupiać na byłym mężu? A Roger? Mógłby się w końcu zachowywać jak prawdziwy mężczyzna. O co mu chodzi? Poświęca tyle czasu na śledzenie działań byłego męża kobiety, która obecnie jest jego żoną! Czy to nie dziwne?

[145](#) W.B. Yeats, *Lotnik z Irlandii przeczuwa swą śmierć*, tłum. A. Międzyrzecki, w: tenże, *Wiersze wybrane*, Wrocław 1997, s. 63 (przyp. tłum.).

[146](#) E-mail przedrukowany w publikacji *The Truth About the Lucie Case*, s. 73.

[147](#) E-mail przedrukowany tamże, s. 75.

[148](#) Zapis rozmowy telefonicznej tamże, s. 78, 79.

[149](#) Proces Jojiego Obary, 54. posiedzenie, Tokijski Sąd Okręgowy, 25 kwietnia 2006.

[150](#) D.T. Johnson, *Japanese Way of Justice*, dz. cyt., s. 202.

[151](#) Cyt. za *The Truth About the Lucie Case*, dz. cyt., s. 97.

[152](#) Obrona wielokrotnie wracała do „czarnej substancji” pokrywającej głowę Lucie. Zdjęcia wykonane podczas autopsji ukazywały smolisty płyn znajdujący się na głowie i w ustach zmarłej. Adwokaci nigdy nie przedstawili swojej wersji jasno, ale zdawali się sugerować, że substancja ta powstała w trakcie próby spalenia głowy, co miałyby stanowić kolejny dowód na niewinność Obary, ponieważ żaden ze świadków, którzy mieli styczność z oskarżonym w trakcie kilku dni po zaginięciu Lucie, nie wspominał nic na temat ognia czy jakichkolwiek śladów świadczących o próbach jego wzniesienia.

[153](#) G. Owen, *Now Father of Murdered Lucie Accepts £450,000 'Blood Money'*, „The Mail on Sunday”, 1 października 2006.

[154](#) N. Clarke, N. Sears, *An Utter Betrayal of My Dear Lucie*, „Daily Mail”, 2 października 2006.

[155](#) *A Father's Betrayal*, „Daily Mail”, 7 października 2006.

[156](#) Obecnie Huw mieszka w Kuala Lumpur. Przez krótki czas był zaręczony z malezyjską księżniczką, otworzył również nową firmę jako partner biznesowy Rona Barda, człowieka o zdolnościach parapsychologicznych.

[157](#) K. Knight, *He Is Immoral*, „Daily Mail”, 23 kwietnia 2007.

[158](#) Roger Steare do Indiry Das-Gupty, 17 maja 2007.

[159](#) D. Boffey, *Lucie's Father in Trust Fraud Probe*, „The Mail on Sunday”, 29 kwietnia 2007.

ROZDZIAŁ 23

WYROK

NA PRZESTRZENI LAT WIELOKROTNIE USIŁOWAŁEM doprowadzić do spotkania z Jojim Obarą. Przekazywałem przez jego adwokatów listy¹⁶⁰, w których ponawiałem prośbę o pozwolenie na przeprowadzenie z nim wywiadu w Tokijskiej Izbie Zatrzymań. Pisałem o nierozwiązanych zagadkach w całej sprawie (było ich kilka) oraz o moim pragnieniu (autentycznym) przedstawienia relacji z punktu widzenia zarówno ofiar i policji, jak i jego. Wysyłałem zestawy pytań, na które wiedziałem, że lubi odpowiadać: pytań o dowody przeciwko niemu, o „pieniądze na pocieszenie” oraz o działania policji. Jednak w rzeczywistości chciałem go zapytać o dzieciństwo w bogatej Osace, w której wychował się jako syn koreańskiego magnata salonów gry w pachinko, o mieszkanie pod jednym dachem z zaburzonym bratem, o to, jak się dowiedział o śmierci ojca w Hongkongu oraz co widział, patrząc w lustro lata temu, zanim zmienił twarz.

Raz odpowiedział na mój list i poprosił, żebym zdobył i przekazał mu dokumentację medyczną Lucie¹⁶¹, tę samą, którą jego prawnicy starali się uzyskać również poprzez brytyjskich prywatnych detektywów. Sugerowano, że współpraca z mojej strony zostanie wynagrodzona współpracą z jego strony. Odmówiłem. W reakcji na jeden z kolejnych listów wezwał mnie do

swojego biura położonego w centrum Tokio adwokat Obary, zamyślony, poważny mężczyzna o nazwisku Kiyohisa Arai.

Zaczął od przeczytania wiadomości skierowanej do mnie osobiście przez Jojiego Obarę.

– Jestem bardzo wdzięczny za pański list – usłyszałem. – Prędzej czy później będę miał okazję spotkać się z panem, ale zanim do tego dojdzie, proszę przejrzeć materiały, które załączyłem.

Siedzący naprzeciwko mnie za biurkiem pan Arai przesunął w moją stronę stertę dokumentów – zapisy przesłuchań prowadzonych na sali sądowej, dzienniki Lucie, zdjęcia Christy Mackenzie w mieszkaniu Obary. Większość z nich pojawiła się później w formie przedruków w dziwnej książce, którą spisano na zlecenie, jednak parę fotografii nie zostało i nie mogło zostać w niej ujętych. Były to zdjęcia policyjne przedstawiające wydobyte z grotu szczątki Lucie – jej głowę, ręce, tułów, uda, łydki, stopy i kostki – skrupulatnie ułożone jedno obok drugich na stole lekarza sądowego. Obrazy te były oczywiście przerażające i podczas gdy w pierwszym odruchu doznałem szoku na widok rozczłonkowanego ciała, po chwili ogarnął mnie wstyd, taki wstyd, jaki wywołuje oglądanie pornografii.

– Naturalnie to straszne i trudne do zniesienia widoki – powiedział pan Arai, podając mi zdjęcia. – Wszystkim nam bardzo przykro. – Wydawało się, że obserwuje moje reakcje podczas oglądania fotografii.

Rzekomo zdjęcia te miały zwrócić uwagę na pokrywającą głowę Lucie i wydobywającą się z jej ust „czarną substancję”, której istnienia, zdaniem Obary, prokuratorzy nie zdołali wyjaśnić w sposób przekonujący. Jednak później zastanawiałem się, czy nie kryło się za tym coś więcej, czy tak naprawdę nie było to coś na kształt ostrzeżenia, a może nawet groźby pod moim adresem – otwarcie na oścież kłapy prowadzącej do ciemnej otchłani, rzut oka na potworność tego, co stało się z Lucie, dający zarazem

wyobrażenie o tym, co może się kryć w umyśle osoby, która owej potworności dokonała¹⁶².

Otrzymałem dwa listy od prawników Obary, w których posądzano mnie o nieścisłości w opublikowanych przeze mnie artykułach – miały one dotyczyć dat, narodowości jednej z ofiar Obary, kolejności zdarzeń.

„Co więcej – pisał z oburzeniem Shinya Sakane¹⁶³, adwokat Obary – psa przechowywanego w [...] zamrażarce określono mianem owczarka niemieckiego, podczas gdy był to owczarek szetlandzki. Zatem jest to kolejne stwierdzenie sprzeczne z prawdą”.

Podziękowałem za dokonanie sprostowania i ponowiłem prośbę o przeprowadzenie wywiadu. Znów nie dostałem odpowiedzi. Niemniej w maju 2006 roku, po wielokrotnych odtrąceniach, z którymi się spotykałem ze strony Obary, postanowił on na swój własny sposób nawiązać ze mną kontakt, wyciągając do mnie nie rękę, ale ramię – sprawiedliwości.

Reprezentowany przez poważnego pana Araia pozwał mnie o zniesławienie. O wiele częściej w tego typu sprawach pozywano gazety, które publikowały rzekome zniesławienia, Obara jednak postanowił zaskarżyć nie wydawcę, ale mnie osobiście. Domagał się odszkodowania w wysokości 30 000 000 jenów i trzy tygodnie później przyszło mi stawić się na sali rozpraw Tokijskiego Sądu Okręgowego. Język prawny wniesionej przeciwko mnie skargi był zawiły i budzący postrach, ale po dokładnej analizie zarzuty, które zostały w niej ujęte, okazały się jak zwykle komicznie osobliwe. Najbardziej zaskakujący dotyczył rozprawy, podczas której Jane składała zeznania, Obara zaś nie pojawił się w sądzie. Sędzia oznajmił wtedy, co zrelacjonowałem ja i wszyscy inni obecni na sali dziennikarze, że Obara zdjął ubrania i chwycił się umywalki w celi. Jednak według pana Araia było to absurdalne i krzywdzące oszczerstwo.

„Nie ma żadnych faktów, które wskazywałyby na to, że Powód [...]”

rozebrał się do naga, aby uniknąć stawiennictwa na posiedzeniu sądu odbywającym się we wskazanym terminie – można przeczytać w skardze. – Na skutek tego pomówienia reputacja Powoda doznała poważnego uszczerbku”.

Dziennik „The Times” zaangażował firmę adwokacką z Tokio, aby działała w moim imieniu. Zwoływano spotkania, odbywano telekonferencje, zbierano notatki i dokumenty, przekazywano z ręki do ręki rozwlekłe szkice mojej odpowiedzi mającej na celu obalenie zarzutów. Zamieszanie wywołane moim nowym statusem jako oskarżonego wprowadziło mnie w stan rozemocjonowania i wzbudziło ciekawość. Czy stanę w sądzie twarzą w twarz z Obarą? Jak będę się czuł, siedząc po drugiej stronie sali rozpraw, którą tak dobrze znam? Dlatego dużym rozczarowaniem okazała się informacja, że Obara nie musiał się pojawić na żadnym posiedzeniu – ja zresztą również. Sprawa cywilna w jeszcze większym stopniu niż karna była zwykłą biurokratyczną, przeprowadzaną przez prawników procedurą, podczas której nikomu nie sprawiało żadnej różnicy, czy powód i oskarżony są obecni na sali, czy też nie. Niemniej udałem się na jedną z rozpraw i usiadłem na ławie oskarżonych. Posiedzenie trwało niecałe dziesięć minut. Mój prawnik przedstawił dowody, oświadczenia innych dziennikarzy stwierdzające, że oni również słyszeli, jak sędzia Tochigi mówił, iż Obara był w dezabilu¹⁶⁴. Pan Arai i sędzia przeanalizowali oświadczenia, a następnie razem z moim adwokatem ustalili datę następnego posiedzenia. Ta sprawa nie zainteresowała absolutnie nikogo: w galerii dla publiczności siedziały trzy osoby, jednak byli to nie widzowie, lecz prawnicy czekający na rozpoczęcie kolejnej rozprawy. Pomimo banalności całej procedury poczułem dreszcz emocji i przerażenie towarzyszące oskarżonemu, który znalazł się pod czujnym okiem sprawiedliwości. Przeżycie to zupełnie się różniło od moich wcześniejszych doświadczeń zebranych w okresie, gdy

siedziałem po drugiej stronie drewnianej barierki i robiłem notatki – teraz czułem się tak, jak gdybym występował na scenie i był nie tylko aktorem, ale i reżyserem.



Dwie ostatnie rozprawy w procesie Jojiego Obarę – sześćdziesiątą i sześćdziesiątą pierwszą – przeznaczono na mowy końcowe prokuratury i obrony. Chociaż w zasadzie wszystko zostało już powiedziane, obydwie strony rozwodziły się dość obszernie. Obara przed dwie godziny przemawiał na stojąco, drążąc kwestie stanowiące słabe punkty w wersji prokuratury. W jaki sposób on – mężczyzna drobnej postury – mógł niezauważalnie wynieść do samochodu ciało tak dużej kobiety? Jak można z pełnym przekonaniem uznać za prawdziwe zarzuty, w których pozostawało tak wiele niewiadomych?

– Brakuje rozstrzygającego dowodu¹⁶⁵, brakuje również jasno określonej przyczyny zgonu – stwierdzała obrona. – Nie znaleziono żadnego śladu, który wskazywałby na to, że oskarżony ma [związek] ze zgonem, między innymi nie wykryto jego DNA. W zwłokach nie wykryto również obecności chloroformu, mimo że prokuratura twierdzi, iż śmierć ofiary nastąpiła na skutek działania tego właśnie środka.

Oskarżenie ze swojej strony także przypomniało dobrze już znane dowody – długą, udokumentowaną przez samego Obarę historię jego „zabawy w podbój”, relacje kobiet, które przeżyły, nagrania i środki odurzające, cały szereg podejrzanych rozmów telefonicznych, zakupów oraz wyszukiwań w internecie dokonywanych w ciągu kilku dni po zniknięciu Lucie. Usiłowano obrócić przeciwko Obarze jego własną linię obrony, a przynajmniej najbardziej naciąganą jej część, niewiarygodną opowieść

o mężczyźnie zwanym Katsuta, „człowieku od wszystkiego”, którego udział w całej historii został ujawniony dość późno.

– Irracjonalność tych tłumaczeń – przekonywała prokuratura – sama w sobie świadczy o jego winie.

Japońskie sale sądowe charakteryzuje pozbawiona emocji atmosfera biurokratycznej powściągliwości. Orędzie wygłaszane jednostajnym głosem przez młodego prokuratora brzmiało zatem tradycyjnie monotonie, jednak użyte w przemowie sformułowania wyrażały oburzenie rzadko słyszane w miejscach publicznych.

– Jest to niespotykane dziwaczna i nikczemna sprawa – stwierdzano. – Istnieje niezwykle wysokie prawdopodobieństwo, że Obara będzie nadal popełniał te same zbrodnie. Jest przebiegłym potworem, który nie okazał ani odrobiny skruchy, nie zwracał również uwagi na głosy pogrążonych w żałobie rodzin. Nie przejawiał ani jednego ludzkiego odruchu, nie zna żalu ani poczucia winy. Ta sprawa jest bezprecedensowa w historii przestępczości na tle seksualnym. Dlatego domagamy się dla oskarżonego kary dożywotniego więzienia.

Przed odczytaniem powyższego oświadczenia prawnicy Obary kilkakrotnie prosili o to, aby wezwać Tima Blackmana do złożenia zeznań.

– W jakiej sprawie chcecie go przesłuchać? – spytał sędzia Tochigi, jak zwykle wyrażając swoją irytację promiennym uśmiechem.

– W sprawie przyjęcia kwoty 100 000 000 jenów. Mimo że wcześniej odrzucał tę ofertę, teraz na nią przystał. Chcemy zrozumieć jego proces myślowy [...] Jest ważnym świadkiem w kwestii złagodzenia wymiaru kary. Dlatego chcę go przesłuchać.

– Dotychczasowe przesłuchania były wyczerpujące – oznajmił Tochigi.

Prawnik wymamrotał coś niedosłyszalnym głosem, na co Tochigi odpowiedział z mocą:

– Nie pozwolę na nic takiego. Wniosek oddalony.

– Sprzeciw – powiedział adwokat.

– Sprzeciw oddalony!

Sędzia Tochigi poprosił prokuratorów o przystąpienie do wygłoszenia mowy końcowej.

– Sprzeciw – powtórzył obrońca Obary. – Sprzeciwiam się decyzji sądu. Obowiązkiem sądu jest w pełni rozpatrzyć sprawę.

– Sprzeciw oddalony – oświadczył sędzia Tochigi. – Wnoszenie bezsensownego sprzeciwu może zostać uznane za obrazę sądu. Proszę się pilnować.

W ostatnich godzinach procesu prowokowanie człowieka, który miał zadecydować o winie lub niewinności Obary, wydawało się beznadziejną pomyłką, oczywistym taktycznym błędem. 11 grudnia 2006 roku sprawa została zamknięta. Sąd miał ogłosić werdykt pięć miesięcy później. Niewiele osób miało wątpliwości co do tego, jak będzie on brzmiał.



Proces, podzielony na sześćdziesiąt jeden posiedzeń, ciągnął się przez sześć lat. Nawet gdyby prowadzono go w Wielkiej Brytanii, gdzie rozprawy odbywają się pięć dni w tygodniu rano i po południu, potrwałyby ponad półtora miesiąca. Obara zaangażował się w niego na wszystkich dostępnych mu płaszczyznach – prawnej, finansowej, śledczej i technicznej. Pewna brytyjska gazeta doniosła, że w 2004 roku jeden z prawników Obary wynajął w Wielkiej Brytanii detektywów¹⁶⁶, którzy mieli za zadanie przeświecić życie prywatne Tima, Jane i Lucie, a także Louise Phillips oraz jej siostry Emmy. Dwa lata później w internecie pojawiła się strona¹⁶⁷, na której w dwóch wersjach językowych – japońskiej i angielskiej – opublikowano

obszerną wersję wydarzeń przedstawioną z punktu widzenia Obary. Na witrynie zamieszczono również fragmenty dziennika Lucie, dokumenty podpisane przez Tima oraz wybrane urywki zapisów przesłuchań na sali sądowej¹⁶⁸. Natomiast w 2007 roku, na kilka dni przed ogłoszeniem wyroku, na półki kilku sklepów w centrum Tokio trafiła książka z okładką przedstawiającą zwłoki psa.

Publikacja ta nosiła tytuł *The Truth About the Lucie Case* (Prawda na temat sprawy Lucie)¹⁶⁹ i była kwintesencją nużąco drobiazgowej, ekwilibrystycznej i groteskowej linii obrony Obary – swoistą biblią dla obarologów. Na okładce widniał również przydługi podtytuł: „Elita prokuratury kontra oskarżony Joji Obara o IQ 180 – w żadnym innym procesie w ostatnich latach relacje na temat sprawy nie były tak bardzo rozbieżne z rzeczywistością”.

„Dlaczego prokuratorzy prowadzący tę sprawę dostali amoku? – można przeczytać w notce wydawniczej na obwolucie. – Ujawniamy: zniszczenie dowodów i fałszowanie oficjalnych dokumentów przez prokuraturę”. Książka miała 798 stron, była gruba na pięć centymetrów i ważyła niemal kilogram.

Została „napisana i zredagowana” przez „zespół szukający prawdy na temat sprawy Lucie”, który stał również za wyżej wspomnianą witryną internetową. Kim byli ci niezależni bojownicy o prawdę i dlaczego tak bardzo dbali o swoją anonimowość? W rzeczywistości pozycja ta została opublikowana na koszt autora, a jej napisanie zlecił prawnik Obary; wydawcy uważali, że ów człowiek zrobił to za namową i pod kierunkiem samego Obary¹⁷⁰. W książce znajdowały się wielostronicowe zapisy z posiedzeń sądu, opisy dowodów oraz długie ustępy relacjonujące w trzeciej osobie wydarzenia z dzieciństwa Obary i jego pełnej alkoholowych ekscesów młodości, a także zdarzenia, które miały miejsce przed pamiętnym

wieczorem z Lucie i po nim. Publikacja zawierała także zdjęcia mieszkania w Blue Sea Aburatsubo oraz wnętrza sportowego samochodu Mercedes-Benz. Pojawiły się w niej fotografie Christy Mackenzie najwyraźniej palącej heroinę na kanapie Obary. E-maile od Tima, w których negocjował wypłatę rekompensaty, zamieszczono w całości, opublikowano również zapisy rozmów telefonicznych Tima z przedstawicielem Obary oraz pokwitowanie odbioru kwoty 3 200 000 jenów wystawione przez Tanię Niebogaczow¹⁷¹, Ukrainkę zgwałconą przez Obarę. W dalszej części znów pojawiał się dziennik Lucie, którego reprodukcję opatrzone przypisami po angielsku i japońsku. Następnie umieszczono rysunki przedstawiające grotę ze wskazaniem miejsc, w których odnaleziono części ciała Lucie, oraz zdjęcie plaży smaganej morskimi falami podczas tajfunu.

Większość z tych materiałów mogła sprawić, że pojawiały się takie czy inne znaki zapytania oraz wątpliwości pracujące na korzyść Obary. Można było na przykład zacząć się zastanawiać: „Czy w tym samochodzie nie było zbyt mało miejsca, aby pomieścić zwłoki?”. Albo: „Jak to możliwe, że ciało przetrwało w grocie całą zimę, nienaruszone falami otwartego morza?”. Obara zdawał się argumentować: „zagraniczne hostessy to naćpane zdziiry” oraz „ale przecież zwłoki psa naprawdę były zamrożone”.

Jednak materiał dowodowy był tak obszerny, tak przemieszany i rozproszony w różnych miejscach publikacji, że jego ewentualna wartość ginęła w bagnie osobliwości i męczącej drobiazgowości. Czy Obara naprawdę sądził, że ktokolwiek przetrawi tę całą porcję nieprzetworzonych dokumentów? Na kogo zamierzał wpłynąć, wydając tę książkę? Sędziowie słyszeli już to wszystko w sądzie. Nawet jeśli uznano by ich za podatnych na presję opinii publicznej i nawet jeśli komuś chciałoby się przebrnąć przez ten wolumin, nie znalazłoby się w nim nic, co mogłoby zyskać Obarze sympatię ogółu. Obara opublikował tę książkę, ponieważ mógł to zrobić, ponieważ

musiał coś zrobić i ponieważ na tamtym etapie nie pozostało mu już nic innego do zrobienia.

Chociaż istniał pewien wybieg, do którego nigdy się nie posunął. Japońskie sądy przywiązują dużą wagę do dowodów wskazujących na wcześniejsze chwalebne postępowanie oskarżonego oraz do zeznań świadczących o przymiotach jego charakteru. Szlachetny oszust, podpalacz filantrop czy też powszechnie lubiany ekshibicjonista, którzy są w stanie udowodnić swoje zalety, mogą się spodziewać łagodniejszego traktowania ze strony wymiaru sprawiedliwości. Obara wiedział o tym, dlatego chełpił się swoją nieustanną działalnością charytatywną – w samym tylko maju 2006 roku ofiarował po 5 000 000 na rzecz organizacji Save the Children, Amnesty International oraz Japoński Czerwony Krzyż.

O wiele cenniejsze byłyby osobiste zeznania osób, które znały i lubiły Obarę: koledzy z dzieciństwa, były nauczyciel, przyjaciel ze studiów, partner biznesowy – ktokolwiek, kto mógłby powiedzieć o nim coś dobrego¹⁷². Obara miał się wszelkimi sposobami, więc z pewnością wezwałby na pomoc takich ludzi, gdyby istnieli. Był to jednak, przynajmniej na pierwszy rzut oka, jeden z najbardziej zdumiewających ze wszystkich zadziwiających rysów Obary – to, że przeszedł przez całe dzieciństwo, młodość oraz dorosłe życie aż po wiek średni, nie zyskując choćby jednego przyjaciela.



Wyrok miał zostać ogłoszony o godzinie dziesiątej we wtorek 24 kwietnia 2007 roku. W Wielkiej Brytanii wypadało to o pierwszej w nocy; jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, udałoby mi się dostarczyć wiadomość o werdykcie tuż przed zamknięciem numeru ukazującego się rano w kraju. Jednak czasu miałem mało, zwłaszcza jeśli nastąpiłoby jakieś opóźnienie.

Tamtego ranka obudziłem się wcześniej i napisałem szkic artykułu, który mógłbym uzupełnić brakującymi szczegółami przez telefon już po wydaniu wyroku.

Artykuł zaczynał się następująco:

Dziś rano po bezprecedensowym procesie trwającym sześć i pół roku Joji Obara, japoński biznesmen działający w branży nieruchomości, został uznany za winnego zabójstwa hostessy Lucie Blackman, Brytyjki, oraz skazany na dożywotnie więzienie [potwierdzić].

[Uzupełnić o reakcję rodziny, słowa sędziego].

Wyrok ten potwierdza słuszność działań rodziny pani Blackman, zwłaszcza jej ojca Tima, który spędził w Japonii wiele miesięcy, naciskając na policję, aby nie ustawała w poszukiwaniach jego zaginionej w lipcu 2000 roku córki [...]

Przesłałem szkic e-mailem do Londynu, wypilem filiżankę kawy, po czym zapakowałem laptop i notatniki. Tego ranka w sądzie będą tłumy; musiałem wyjść wcześniej, żeby zająć miejsce siedzące. Żołądek drżał mi z podekscytowania graniczącego z niepokojem.

W następnym tygodniu mijało siedem lat od dnia, w którym Lucie przyjechała do Japonii. Piętnaście lat, odkąd odłączono Caritę Ridgway od respiratora, i dwadzieścia siedem lat, odkąd Tim uratował małą Lucie, kiedy dostała drgawek gorączkowych. Trzydzieści osiem lat wcześniej umarł lub został zamordowany w Hongkongu ojciec Jojiego Obary i mniej więcej w tym samym czasie jego drugi syn, w którym pokładał największe nadzieje, doznał zawodu miłosnego za przyczyną pół-Amerykanki o imieniu Betty. Minęło siedemdziesiąt lat, odkąd rodzice Obary przybyli do Osaki jako ubodzy imigranci z kolonii, oraz osiemdziesiąt cztery lata od pogromu po wielkim trzęsieniu ziemi w Kanto, kiedy to Japończycy zabijali Koreańczyków jak zwierzęta. Coś łączyło wszystkie te momenty, tak przynajmniej ja to widziałem. Wyobrażałem sobie drzewo, w którym krążyły

soki od korzeni sięgających daleko w głąb ziemi – po konary rozpościerające się szeroko i wyciągające wysoko ku niebu, najeżone mnóstwem gałęzi i gałązek, a każdą z nich odżywia czerpana spod ziemi substancja. Wypaczone życie Obary było jedną z tych gałęzi; jej owocami były śmierć Lucie, rozpacz najbliższych dziewczyny oraz niemalże śmierć Sophie. Nikt z nas nie był w stanie objąć spojrzeniem całego obrazu, mogliśmy uchwycić jedynie niewielki jego wycinek, fragment tego poskręcane go czarnego drzewa, jednakże opisanie go słowami nadal pozostawało niemożliwe. Mimo wszystko tego ranka sędzia Tochigi miał wydać oficjalny werdykt dotyczący owej części. Terminy, którymi mógł operować – winny, niewinny, surowy, łagodny – wydawały się prymitywne i wąskie, ale być może lepszymi nie dysponujemy. Z całego tego ludzkiego bagna, na które składały się śmierć Lucie, Carity i dziwne życie Obary, należało wydobyć jakieś znaczenie.

Chwila stanowiąca zwieńczenie wszystkich tych lat była doniosła. W notatniku napisałem:

„Czy jest jakaś szansa, że zostanie uniewinniony? Z pewnością nie ma żadnej. Mnóstwo dowodów poszlakowych. Absurdalność obrony. Waga sprawiedliwości przeskalowana w ten sposób, aby szala zwycięstwa od początku przechylała się na stronę prokuratury. A jednak...”

Tuż przed wyjściem z domu, z niepokojem zdając sobie sprawę z tego, jak późno się zrobiło, znów włączyłem laptop i pospiesznie wystukałem drugi szkic artykułu, który zaczynał się następująco:

Dziś rano po bezprecedensowym procesie trwającym sześć i pół roku Joji Obara, japoński biznesmen działający w branży nieruchomości, został uniewinniony od zarzutu zabójstwa hostessy Lucie Blackman, Brytyjki.

[Uzupełnić o reakcję rodziny, słowa sędziego].

Wyrok ten jest druzgocącym ciosem dla rodziny pani Blackman, zwłaszcza jej ojca Tima Blackmana, który spędził w Japonii wiele miesięcy, naciskając na policję, aby nie ustawała w poszukiwaniach jego zaginionej w lipcu 2000 roku córki [...]

Ostatecznie okazało się, że w kolejce do miejsc w galerii dla publiczności ustawiły się 232 osoby, zaledwie jedna czwarta tej liczby, jaka była zainteresowana pierwszym posiedzeniem. Fakt ten potwierdzał tezę, że procesy w Japonii są pustymi rytuałami: ludzie nie interesowali się wyrokami, ponieważ były one wysoce przewidywalne. Niemniej wszystkie miejsca siedzące na sali rozpraw były zajęte. W pierwszym rzędzie widziałem jasnowłose głowy Tima i Sophie, obok nich siedzieli Annette, Nigel i Samantha Ridgway. Obara również zajął już swoje miejsce, odwracając się od wszystkich i wszystkiego. Usiadłem. Nie spodziewałem się, że owładnie mną nerwowa niecierpliwość. Zbliżał się jednak ostateczny termin oddania artykułu. Zorientowałem się, iż co piętnaście sekund spoglądam na zegarek, potem znów na ludzi wypełniających salę sądową. Niektóre twarze dobrze znałem. Była Yuki, blogerka. Byli zachmurzeni rysownicy, był pewien znany mi śledczy, za nim zaś starszy mężczyzna z kwiatkiem wetkniętym za przepaskę kapelusza. W ostatnim rzędzie siedział ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy młody wychudły, jasnowłosy mężczyzna, który nieustannie notował.

Nagle otworzyły się drzwi z tyłu sali i do pomieszczenia wmaszerowali sędziowie, a wszyscy obecni zerwali się na nogi.

Osiem minut później byłem już na dworze i stukałem palcem w klawisze telefonu komórkowego, wokół mnie kłębili się inni dziennikarze.

– Druga wersja – rzuciłem, gdy ktoś w Londynie odebrał. – Puszczajcie drugą wersję. Został uniewinniony. Ale skazali go na dożywocie. No tak, przykro mi, ale tak powiedział sędzia. Wiem, wiem. Sam nic z tego nie rozumiem.

Od: Lloyd Parry, Richard

Wysłane: Wtorek 24/4/2007 14.36

Do: Times Online; dział zagraniczny

Temat: Wyrok w sprawie Lucie Blackman, wersja uzupełniona

[Przesyłam ponownie po rozmowie z prawnikami. Teraz chyba już wszystko jasne.]

Richard Lloyd Parry

Tokio

Dziś rano Joji Obara, japoński biznesmen działający w branży nieruchomości, został uniewinniony od zarzutu dokonania gwałtu i zabójstwa hostessy Lucie Blackman, Brytyjki, co jest druzgocącym ciosem dla jej rodziny oraz niezwykle kłopotliwą sytuacją dla tokijskiej policji i prokuratury.

Obara został jednak skazany na karę dożywotniego więzienia, ponieważ uznano go za winnego ośmiu innych zarzutów o popełnienie gwałtu oraz zarzutu o popełnienie gwałtu i zabójstwa pochodzącej z Australii hostessy Carity Ridgway. Adwokaci oskarżonego natychmiast oświadczyli, że Obara złoży odwołanie od wyroku.

Główny sędzia Tokijskiego Sądu Okręgowego Tsutomu Tochigi uznał Obarę za niewinnego uprowadzenia, gwałtu, zabójstwa i rozcłonkowania Lucie Blackman, której zwłoki odnaleziono w grocie nad morzem nieopodal mieszkania Obary siedem miesięcy po zaginięciu kobiety poprzedzonym całonocnym spotkaniem z oskarżonym.

Sędzia Tochigi oświadczył, że chociaż istniały dowody poszlakowe, nie przedstawiono dowodu – na przykład próbek DNA – który wskazywałby na bezpośredni związek pana Obary ze śmiercią pani Blackman.

Treść wyroku świadczy jednak o odrazie, jaką sąd żywi do pana Obary i do zbrodni, za które został skazany.

– Traktował pan te kobiety jak zabawki erotyczne mające na celu zaspokoić pana pożądanie – powiedział sędzia, zwracając się do Obary siedzącego w ławie oskarżonych. – Pana postępowania nie można uznać za zdrowe zachowanie seksualne, jest to odrażająca zbrodnia. Co więcej, używał pan bardzo niebezpiecznych środków, takich jak chloroform, które mogły spowodować śmierć poprzez zakłócenie pracy wątroby. Ktoś mógłby uznać, że kobiety te wykazały się beztroską, ale moim zdaniem nie mogły przewidzieć dewiacyjnego zachowania z pana strony [...] Tych czynów dopuszczał się pan systematycznie, nie okazując najmniejszego szacunku dla ciała i życia kobiet. Zachowanie to jest oparte na perwersyjnych upodobaniach seksualnych, zakorzenione w pana egoistycznej postawie i zasługuje na ostre potępienie.

Rodzina pani Blackman wyraziła oburzenie uniewinnieniem Obarę z zarzutów związanych ze śmiercią Lucie oraz zniesmaczenie działaniami tokijskiej prokuratury, która nie zdołała przedstawić niepodważalnych argumentów świadczących o winie oskarżonego.

– Z przykrością stwierdzam, że brak sprawiedliwości, z którym się dzisiaj spotkaliśmy, to porażka prokuratury niezdolnej odpowiednio przedstawić całą sprawę – oznajmił ojciec Lucie Tim, który przybył na ogłoszenie wyroku razem z młodszą córką Sophie. – Sprawiedliwości wobec Lucie nie stało się zadość.

Matka Lucie Jane Steare ze swojego domu w Sevenoaks w hrabstwie Kent wydała oświadczenie:

– Spełniły się moje najgorsze obawy. Moja najdroższa Lucie, tak bardzo mi Ciebie brakuje. Cierpienie wywołane przeraźliwą pustką w sercu chyba już nigdy nie minie, ale głęboko wierzę, że pewnego dnia znów Cię przytulę. Twoja mama nigdy nie straci nadziei, że sprawiedliwość w końcu zostanie wymierzona, a prawda ujrzy światło dzienne.

Pani Steare, która rozwiodła się z panem Blackmanem przed zaginięciem córki, potępiła byłego męża za przyjęcie 100 000 000 jenów od „przyjaciela” Obarę w zamian za podpisanie dokumentu podważającego wiarygodność niektórych dowodów przeciwko oskarżonemu. Jednak wczorajszy wyrok wyraźnie wskazuje na to, że sędzia postanowił uniewinnić Obarę nie z powodu owej wpłaty, ale ponieważ nie znaleziono dowodu, który jednoznacznie świadczyłby o tym, że mężczyzna ten brał bezpośredni udział w śmierci pani Blackman.

– Sąd jest przekonany o tym, że oskarżony był w jakiś sposób zaangażowany w rozczłonkowanie i ukrycie zwłok Lucie – powiedział sędzia Tochigi. – Istnieje podejrzenie, że w ten lub inny sposób był również związany ze śmiercią Lucie. Przekonanie sądu wynika z faktu, że oskarżony [...] usiłował ukryć prawdę o śmierci Lucie oraz podawał fałszywe informacje stwarzające pozory, iż Lucie pozostaje przy życiu. Kwestią nierozwiązaną pozostaje jednak to, w jaki sposób oskarżony był związany ze śmiercią Lucie.

W Japonii zarówno prokuratura, jak i obrona są uprawnione do składania apelacji od wyroku uniewinniającego, istnieje więc prawdopodobieństwo, że sprawa będzie trwać następnych kilka lat.

koniec

160 Autor do Jojiego Obary, 25 stycznia i 23 czerwca 2005, 23 lutego 2006 i 27 października 2008; do Tomonoriego Sugi, adwokata Jojiego Obary, 8 i 20 lipca 2005; do Shinyi Sakanego, adwokata Jojiego Obary, 17 listopada 2005; oraz do Akiry Tsujishimy, adwokata Jojiego Obary, 5 grudnia 2008.

161 List do autora od Tomonoriego Sugi, adwokata Jojiego Obary, 19 lipca 2005.

162 Pan Arai zachęcał mnie, abym wziął zdjęcia ze sobą; zgodnie z umową odesłałem je w następnym tygodniu. Cztery miesiące później w pełnym oburzenia liście oskarżył mnie o „dostarczenie odbitek Scotland Yardowi, który następnie przekazał je rodzinie zmarłej Lucie Blackman” (list od Kiyohisy Araia z 17 maja 2006 roku). Napisał między innymi: „Dopuszczając się tego czynu, nie tylko złamał pan obietnicę złożoną swojemu rozmówcy i osłabił pan łączące nas wzajemne zaufanie, ale również zranił pan rodzinę i pogłębił ich żal. Taki postępek jest niewybaczalny ze strony dziennikarza i istoty ludzkiej w ogóle”. Żadne z powyższych stwierdzeń nie było w najmniejszym stopniu prawdziwe.

163 Shinya Sakane do autora, 14 listopada 2006.

164 Oczywiście głównym dowodem był sporządzony przez stenografa zapis rozprawy. Jednak mimo że posiedzenia sądu były otwarte dla publiczności, dokument ów nie był publiczny i aby uzyskać do niego dostęp, moi adwokaci musieli otrzymać zgodę sędziego.

165 Proces Jojiego Obary, 61. posiedzenie, Tokijski Sąd Okręgowy, 11 grudnia 2006.

166 J. Lewis, *Lucie Murder Suspect and a Sinister Plot to Smear Her*, „The Mail on Sunday”, 13 maja 2007.

167 <http://lucies-case.to.cx>. Angielska wersja językowa tej witryny internetowej jest dostępna pod adresem http://lucies-case.to.cx/index_e.html (dostęp: 9 czerwca 2014).

168 Opublikowanie oficjalnych dokumentów tego typu bez zgody sądu było zabronione; policja odgrażała się, że zostanie wniesione oskarżenie dotyczące bezprawnego publikowania dowodów w toczącej się sprawie karnej. Ktoś jednak zapobiegawczo umieścił stronę – o końcówce „.cx” – na serwerze mało znanej Wyspy Bożego Narodzenia będącej terytorium zależnym Australii. Dochodzenia w tej sprawie nigdy nie wszczęto.

169 W lutym 2010 roku wydawca publikacji *The Truth About the Lucie Case* Asuka Shinsha pozwał Jojiego Obarę i jego prawnika Akirę Tsujishimę, domagając się wypłaty

zaległego honorarium w wysokości 13 milionów 146 tysięcy 481 jenów (w tamtych czasach równowartość około 148 tysięcy dolarów). We wniesionej do sądu skardze znalazło się stwierdzenie, że książka ta została wydana na koszt autora i stanowiła „część kampanii mającej na celu ukazanie Obary w korzystnym świetle”. Napisanie książki zlecono w grudniu 2006 roku, wkrótce po tym gdy sędziowie Tokijskiego Sądu Okręgowego rozpoczęli obrady w sprawie wydania wyroku. Wydaniu japońskiemu miało towarzyszyć wydanie w Wielkiej Brytanii angielskiego tłumaczenia publikacji. Umowę z wydawcą podpisał „Zespół szukający prawdy na temat sprawy Lucie” reprezentowany przez adwokata Obary Kiyohisę Araia.

Na pierwszy rzut oka książka była więc pracą niezależnych osób dobrowolnie wspierających Obarę. „W skład zespołu szukającego prawdy – można w niej przeczytać – wchodzi dziennikarze, wykładowcy prawa oraz ludzie związani ze środowiskiem prawniczym, między innymi byli prokuratorzy” (s. 31). Wydaje się jednak, że w przedsięwzięcie to zaangażowały się jedynie te osoby, którym za to zapłacono. Asuka Shinsha i Yorishige Fujita, niezależni wydawcy odpowiedzialni za publikację książki, otrzymywali polecenia od adwokatów zatrudnionych przez Jojiego Obarę.

„W celu stworzenia pozorów, że kampania ta jest działalnością prowadzoną bezstronnie, oskarżeni udawali, iż za przedsięwzięciem tym stoi konkretna grupa obiektywnych specjalistów – stwierdzano we wniesionej przed sąd skardze. – Okazało się jednak, że zespół szukający prawdy nie jest ani osobą prawną z osobowością prawną, ani [...] niezarejestrowanym stowarzyszeniem. W rzeczywistości jest to zbiór pojedynczych osób, takich jak na przykład oskarżeni”.

Hidetoshi Okuhara, redaktor pracujący dla Asuki Shinshy, opowiadał o zamieszaniu, które następowało, gdy różne, czasami sprzeczne instrukcje wydawali pan Arai, Akira Tsujishima, Yasuo Shionoya i jeszcze jeden adwokat Obary Katsura Maki.

„Każdy prawnik przekazywał inne polecenia i powód [Asuka Shinsha] często był zbity z tropu – napisano w skardze. – Przypuszczalnie taki stan rzeczy wynikał z tego, że prawnicy ci konsultowali się z Obarą w sprawie treści książki, oczekując zatwierdzenia każdego kolejnego etapu pracy, i podczas tych rozmów wersja Obary często ulegała zmianie”.

W efekcie, stwierdzano w skardze złożonej przez Asukę Shinshę, doszło do opóźnienia oraz pomyłek. Gdy oddano do druku tekst uznany za wersję końcową, Katsura Maki poskarżył się, że materiał zawiera błędy. Wydawca zaproponował dodanie erraty, na co pan Arai się zgodził – potem jednak pan Shionoya nakazał wstrzymanie druku. Dlatego publikacja trafiła na półki sklepów dopiero tuż przed samym werdyktem Tokijskiego Sądu

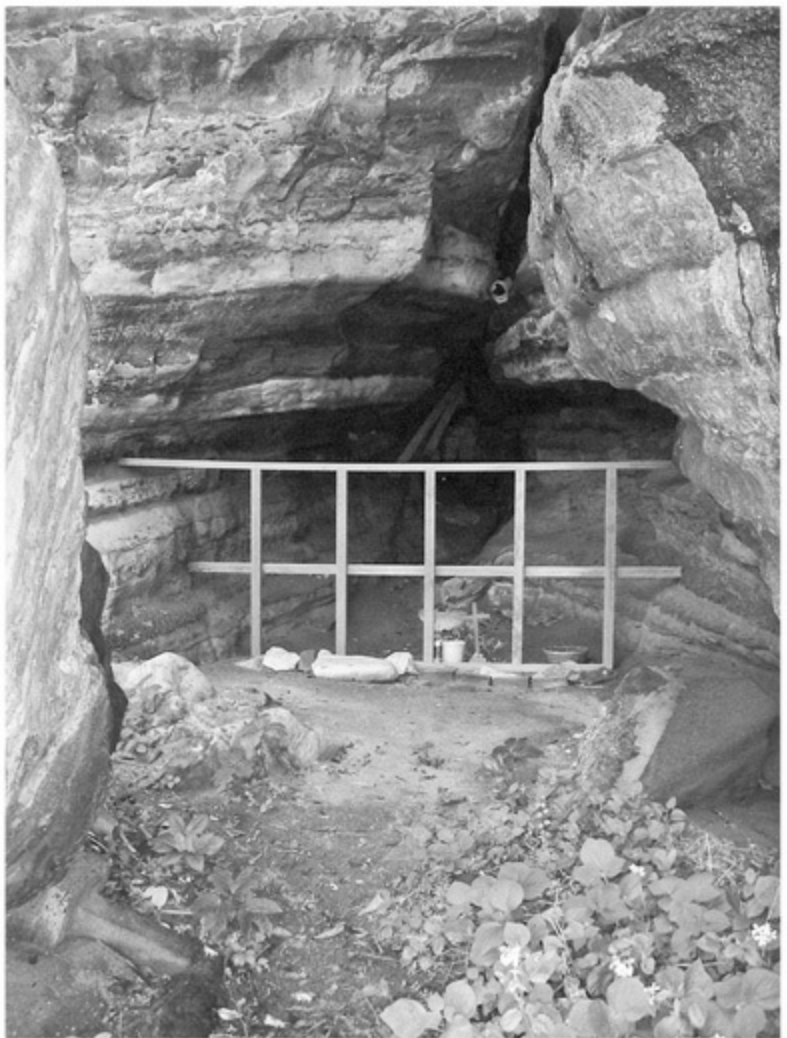
Okręgowego w kwietniu 2007 roku. Odwołano wydanie wersji anglojęzycznej, a zespół poszukiwaczy prawdy nigdy nie pokrył kosztów przekładu, który był na ukończeniu.

[170](#) Pełniejszy opis publikacji zatytułowanej *The Truth About the Lucie Case* znajduje się na s. 451–452.

[171](#) Tania Niebogaczow to pseudonim.

[172](#) W publikacji *The Truth About the Lucie Case* (s. 751, 752) znajdują się wzmianki o różnych dawnych nauczycielach, którzy „hołubili” Obarę, jednak żadnego nie powołano na świadka obrony. W szczególności jeden z nich, „*profesor emeritus Sekiguchi*”, był ponoć „wstrząśnięty” wiadomością o aresztowaniu Obary. Niestety profesor zmarł na krótko przed postawieniem zarzutów jego byłemu studentowi.

CZEŚĆ SZÓSTA
ŻYCIE PO ŚMIERCI



ROZDZIAŁ 24

JAK TO W JAPONII

– KIEDY POLICJA SKOŃCZYŁA, poleciałam z powrotem do Anglii i czułam się jak w transie – opowiadała Louise Phillips. – Nie mogłam spać. Cały czas płakałam. Miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi, poluje na mnie. Żeby sobie z tym poradzić, piłam. Zażywałam dużo narkotyków. Nienawidziłam się, nic mnie nie obchodziło. Nie wychodziłam z domu, mieszkałam u mamy w Kent i byłam straszna, nie do wytrzymania. Byłam okropna dla wszystkich w rodzinie. Wydaje mi się, że nie chciałam dalej żyć. Miałam też koszmary, śniło mi się, że ktoś mnie goni albo że próbuję uratować Lucie z płonącego domu. Albo że przychodzi do mnie Lucie i mówi: „Jestem, wszędzie cię szukałam”. Śnił mi się też tamten telefon – ktoś dzwonił i słyszałam głos: „Już nigdy jej nie zobaczysz”.

Żałobę często porównuje się do utraty kończyny, ale rzadko kiedy przypomina to sprawnie przeprowadzony zabieg chirurgiczny. Gdy nagle i w brutalnych okolicznościach ginie młoda osoba, doświadczenie straty można przyrównać do wyrwania ramienia ze stawu, gwałtownego rozdarcia tętnic i mięśni. Doznany wstrząs oraz nagła utrata dużej ilości krwi mogą wywołać niewydolność organów położonych w zupełnie innej części ciała niż rana. Po śmierci Lucie świąty, których była częścią, już na zawsze

zmieniły kurs. Cierpienie związane z tym wydarzeniem wzbierało i rozlewało się na boki, dotykając nie tylko najbliższą rodzinę i przyjaciół, ale również ludzi, których nigdy nie znała.

Sophie niemal się zabiła, po czym przez dziewięć miesięcy była otoczona opieką psychiatryczną. Podczas pierwszego semestru studiów Rupert Blackman popadł w ostrą depresję. Wrócił do domu, zamieszkał z Jane i większość czasu spędzał w pokoju, płacząc. Przyjaciółka Lucie Gayle Blackman przez rok korzystała z pomocy psychologa, a Jamie Gascoigne, były chłopak Lucie, który pojechał do Tokio szukać jej razem z Sophie, przeszedł wielomiesięczną terapię nakierowaną na radzenie sobie z gniewem.

– Kiedy się dowiedziałem, co się stało, najzwyczajniej w świecie chciałem kogoś zabić – opowiadał. – Byłem naprawdę straszny. Po kilku miesiącach zacząłem się spotykać z dziewczyną, z którą pracowałem. Zachowywałem się jak dupek. Wychowano mnie, żeby odnosić się do kobiet z szacunkiem, ale potraktowałem ją w podły sposób.

Jednak największe spustoszenie dokonało się w Louise, która przez kilka lat borykała się z myślami samobójczymi. Alkohol i kokaina zagłuszały je coraz mniej skutecznie. Udrękę potęgowało przyrzeczenie, które wymogła na niej policja, a które zobowiązywało ją do tego, żeby nie rozmawiać z rodziną Blackmanów na temat sprawy. W efekcie najbliżsi przyjaciele Lucie, a nawet Jane Blackman, unikali Louise przekonani, iż ukrywa ona jakieś niezwykle istotne dla dochodzenia fakty. Zasyłała się w domu; jeśli nie liczyć dorywczych prac w charakterze kelnerki, których czasami się podejmowała, nie rozwijała się zawodowo. W końcu zakochała się i wyszła za mąż za mężczyznę, którego jako nastolatka poznała w Bromley, jednak cień w postaci śmierci Lucie zawsze nad nią wisiał, gotowy w każdym momencie przysłonić całe niebo i ponownie zatopić jej życie w ciemności.

– Nikt ze mną nie rozmawiał – opowiadała Louise. – Wszyscy mnie

obwiniali. Poczucie winy było przytłaczające. Czułam się winna w Boże Narodzenie, w dzień swoich urodzin. Czułam się winna w dniu ślubu, winna, że wychodzę za mąż, a ona nie. Czułam się winna, że jestem szczęśliwa, że mam coraz więcej lat. Wydawało mi się, że to moja wina, że ja wciąż jestem na tym świecie, a jej już nie ma.

Lucie wyjechała i było to zrozumiałe, że przez pewien czas nie będzie można się z nią zobaczyć. Jednak właśnie w tym czasie, kiedy nie można się było z nią zobaczyć, zginęła; przez siedem miesięcy, podczas których jej szczątki leżały w grocie, nie było jej nigdzie. Łatwiej byłoby znieść to wszystko, gdyby straciła życie jawnie, niemalże na oczach rodziny i przyjaciół. Nikogo z najbliższych nie zaskoczyło, gdy znaleziono ją martwą. W skrytości ducha, mimo że głośno nikt nie odważył się do tego przyznać, wszyscy zakładali, iż Lucie już nie wróci.

Kiedy jednak ją znaleziono, okazało się, że jej ciało było w takim stanie, i w ludziach, którzy ją znali, wywoływało taki wstrząs, iż można było się zastanawiać, czy cały ten zabieg nie został obliczony na osiągnięcie makabrycznego efektu.

– Pamiętam, że w czasie gdy szukaliśmy Lucie – wspominała Sophie – myślałam: Prawdopodobnie nie wróci już do nas, odeszła i powoli zacznę się z tym godzić, ale proszę, niech nie będzie pokawałkowana.

Zdjęcia, które położono przede mną na biurku, potwierdzały, że nie było mowy o tym, aby pożegnać się z ciałem Lucie. Nawet jej włosy – połyskujące złościście, symbol jej uroku i największy powód do dumy – zostały odcięte lub spalone. Potem zaś rozpoczął się zaskakujący, przewlekły proces: ponury i komiczny zarazem, drastyczny i nużący, z tuszami wieprzowymi w namiotach, zamrożonymi psami, uczynnymi gangsterami oraz mrocznym, niemożliwym do uchwycenia czarnym charakterem w centrum tych wszystkich wydarzeń.

Ostrzyżony na jeża bandzior, smukły psychopata albo nerwowy outsider – każdy z nich byłby bardziej zadowolający niż Joji Obara ze swoim seplenieniem, samotnością i dziwną, skrupulatną determinacją. Na koniec zaś był wyrok, który stwierdzał, że Obara jest winny wszystkiemu prócz wyrządzenia krzywdy Lucie, i to nie dlatego, iż zdaniem sędziego oskarżony nie dopuścił się wobec ofiary czynów karalnych, ale ponieważ brakowało na to dostatecznych dowodów. A teraz nadeszła pora na apelacje, zarówno ze strony prokuratury, jak i obrony, i oczekiwanie na kolejny werdykt, od którego również można było się odwołać, przy czym istniała możliwość, że wszystkie dziesięć wyroków, zarówno skazujących, jak i uniewinniających, zostanie uchylonych. W tej sprawie nic nie było pewne – nie wpasowywała się w żadne stereotypowe ramy dające poczucie bezpieczeństwa, cierpliwość nie była tu wynagradzana i nikt nie mógł być pewien, że dostanie to, na co zasłużył. Wszystko wydawało się układać w taki sposób, aby pozbawić ofiary pocieszenia, jakiego można się spodziewać po dobrze znanym scenariuszu.

Stres i napięcie wywoływane przez tę sprawę działały na zasadzie siły odśrodkowej: zamiast zbliżać ludzi do siebie, oddalały ich. Działo się tak nie tylko z członkami rodziny Blackman; wiele osób, które znały Lucie, zaczęło się izolować od przyjaciół, rodziny, siebie nawzajem. Tych, dla których była ważna, nie zadowalała prawie żadna reakcja na jej śmierć. Ludzie albo pozostawali lodowato obojętni, albo robili się nachalnie ciekawscy. Każdy miał coś w tej sprawie do powiedzenia, przy czym wiedzę czerpano z pobieżnych relacji prasowych i telewizyjnych i często, choć nie wprost, dawano do zrozumienia, że praca Lucie jako hostessy miała podejrzany charakter oraz że wsiadanie do samochodu nieznanego mężczyzny to przejaw braku rozsądku. Równie mocno doprowadzało do wściekłości zachowanie ludzi, którzy wyolbrzymiali więź łączącą ich z Lucie w nadziei,

że związki z tak słynną ofiarą sprawią, iż oni sami staną się sławni i będą mogli rościć sobie prawo do zainteresowania i współczucia przysługującego pogrążonym w żałobie.

Nawet prawdziwi przyjaciele mieli trudności z rozmową na ten temat. Jane wspominała, że krąg jej znajomych gwałtownie się skurczył, gdy osoby, z którymi wcześniej dobrze się znała, musiały sprostać niecodziennemu, niezapisanemu jasno w zasadach etykiety wyzwaniu: co należy powiedzieć kobiecie, której córkę niedawno porąbano na kawałki i zakopano w grocie?

Koleżanka Lucie Caroline Lawrence po zaginięciu Lucie przyjechała do Sevenoaks na święta Bożego Narodzenia i unikała wszystkich dawnych znajomych.

– Nie chciałam tego widzieć, nie chciałam o tym słyszeć ani o tym myśleć – opowiadała. – Wieczorami w ogóle nie wychodziłam z domu. Kiedyś zobaczyłam Sophie na ulicy i schowałam się. To było egoistyczne z mojej strony, ale nie potrafiłam zmusić się do tego, żeby z nią porozmawiać. – Problem tkwił nie tylko w tym, że ludziom brakowało słów w rozmowie z Sophie. Poruszające podobieństwo młodszej siostry do Lucie, które wraz z upływem lat dodatkowo się uwidaczniało, sprawiało, że wiele osób w obecności Sophie odnosiło wrażenie, iż stoją twarzą w twarz ze zmarłą.

Sophie to wyczuła, a jej gniew na niesprawiedliwość takiego stanu rzeczy (czy to jej wina, że jest podobna do siostry?) powodował, iż stawała się jeszcze bardziej samotna. Sama również miała wrażenie, że jest duchem, i nie musiała dodatkowo wyczytywać tej informacji z oczu wszystkich naokoło. Dwa lata po śmierci Lucie Sophie zorientowała się, że przekroczyła przerażający próg. Wraz z upływem czasu dotarło do niej, że stała się starsza od własnej starszej siostry. Nie potrafiła nikomu wytłumaczyć, jak dziwne i przygnębiające było to uczucie.

Zarzut o zniesławienie wytoczony przeciwko mnie przez Obarę został oddalony wyrokiem Tokijskiego Sądu Okręgowego we wrześniu 2007 roku. Obara odwołał się do Sądu Najwyższego, ale tu również sprawa po ośmiu miesiącach została umorzona. Być może nigdy nie spodziewał się wygranej, może nie chodziło mu o to, żeby udowodnić swoją rację, ale nękając mnie, narażając na przerzucanie stert papierów, stratę czasu i pieniędzy, chciał po prostu zmusić mnie do milczenia. Japońskie sądy w sprawach dotyczących szkalowania nie zasądzą przegranej stronie poniesienia kosztów procesowych i rachunek wystawiony na koniec przez reprezentujący mnie zespół adwokacki wynosił 60 000 funtów, w przeliczeniu około 90 000 dolarów. Sumę tę bez cienia wahania i słowa wyrzutu zapłacił „The Times”. To wszystko sprawiło, że została przekroczona pewnego rodzaju granica, chociaż zrozumiałem to dopiero później. Przez wiele lat przyglądałem się całej sprawie z uprzywilejowanej pozycji bezstronnego obserwatora; teraz opisywana przeze mnie historia weszła w moje życie, stanęła za moimi plecami i postukała mnie w ramię. Przyjaciele, zwłaszcza ci pochodzący z Japonii, zastanawiali się głośno, czy nie powinienem odpuścić sobie tego tematu. Teraz jednak wycofanie się nie wchodziło w rachubę.

Obara wnosił skargi nie tylko przeciwko mnie jednemu. Pozywał i uzyskiwał odszkodowania¹⁷³ od kilku japońskich tygodników oraz od czasopisma „Time”, które w 2002 roku omyłkowo zamieściło informację, jakoby Obara był związany z jakuzą. Jak to możliwe, że człowieka, który zbankrutował, stać było na tak kosztowne działania prawne, nie mówiąc już o wydatkach związanych z utrzymaniem całej świty prawników, prywatnych detektywów, webmasterów i wydawców, oraz wypłacanie sowitych „pieniędzy na pocieszenie”? Kluczem do tej zagadki była jego rodzina¹⁷⁴.

Kontrola nad majątkiem Obary została przekazana jego krewnym, między innymi matce Kimiko, obecnie osiemdziesięciokilkuletniej staruszce; to oni, lub też osoby działające w ich imieniu, regulowali słone rachunki za usługi prawne. Dowiedziałem się, że Kimiko żyła i nadal mieszkała w domu, w którym wychował się Obara. Najmłodszy z jej synów Kōshō Hoshiyama również mieszkał w Osace, gdzie pracował jako dentysta i unikał kontaktów z dziennikarzami. Był również trzeci brat, początkujący pisarz, który nazywał siebie Eishō Kin. Nikt z rodziny nigdy nie pojawił się na żadnej rozprawie Obary ani nie udzielił żadnego wywiadu. Z prawnikami Obary komunikowali się przy okazji przekazywania pieniędzy, poza tym ich kontakty były rzadkie i krótkie. Pewnego dnia wsiadłem więc w pociąg ekspresowy z Tokio do Osaki i wyruszyłem na poszukiwanie rodziny Kim-Kin-Hoshiyama.

Taksówka, którą złapałem po wyjściu z dworca, należała do przedsiębiorstwa Kokusai Takushii – International Taxi, firmy wciąż będącej w posiadaniu Kimiko i stanowiącej podstawę rodzinnej fortuny. Udałem się na miejsce, gdzie znajdowała się działka, na której Obara planował wybudować swój bajeczny wieżowiec, i okazało się, że mieści się na niej pusty wielopoziomowy parking. Znalazłem dom, w którym na początku mieszkała rodzina Obary, nędzny budynek w bocznej alejce odchodzącej od większej ulicy z tanimi sklepami. Dom również był opustoszały; położony za rogiem salon z automatami do gry pachinko był zamknięty i nieoświetlony. Stamtąd wyruszyłem do bogatej dzielnicy mieszkaniowej Kitabatake, gdzie domy nadal budowano w tradycyjnym stylu, otoczone wysokimi ceglanymi murami i z okazałymi bramami, nad którymi górowały daszki kryte dachówką. Na jednej z takich bram wisiała tabliczka z nazwiskiem matki Obary. Nacisnąłem guzik interkomu i po długim oczekiwaniu z głośniczka dobiegł głos starszej kobiety.

– Czy rozmawiam z panią Kim?

– Nie ma jej – odpowiedział głos słabo.

– Nie rozmawiam z panią Kim?

– Jestem pokojówką.

– Kiedy wróci pani Kim?

– Nie wiem.

Byłem prawie pewny, że rozmawiałem z panią Kim.

Kiedy odchodziłem, przez furtkę obok bramy wyszedł mężczyzna. Miał około pięćdziesięciu lat, był ubrany w pogniecioną białą koszulę opadającą luźno na czarne spodnie. Mężczyzna niósł dwie foliowe torby wypchane śmieciami albo rzeczami do prania. Poruszał się szybko, gorączkowo, głowę miał pochyloną do przodu. Wiedziałem, że to musi być Eishō Kin.

– Panie Kin! – zawołałem, podbiegając, żeby go dogonić. – Panie Kin, czy mogę z panem porozmawiać?

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił, podczas gdy ja przedstawiałem się. Kiedy usłyszał, kim jestem, z miejsca ogarnęła go wściekłość. Przyzwyczajony byłem do sytuacji, w których moja jako reportera obecność nie była mile widziana, ale Eishō Kin był jedną z najbardziej rozjuszonych osób, jakie kiedykolwiek spotkałem. Nic nie poprzedziło napadu złości, jego irytacja nie narastała stopniowo. Gdy tylko wręczyłem mu wizytówkę i przedstawiłem się, wybuchnął gniewem.

– Jestem wydawcą! – warknął ni stąd, ni zowąd. – Powinien pan czytać moje książki!

– Cóż, panie Kin, czytałem pana opowiadanie o Koreańczyku i głuchych mężczyznach – odpowiedziałem. – Zainteresowało mnie. Czy mógłbym kiedyś z panem porozmawiać?

– Nie widziałem brata od trzydziestu lat – odrzekł. – Jeśli kiedykolwiek pan tu wróci, podejmę odpowiednie kroki. Nie chcę, żeby pan się do mnie zbliżał. – Pan Kin się zatrzymał i ja również się zatrzymałem. Nie przestawał

jednak mówić, postawił torby na chodniku, wycelował we mnie palcem i przewrócił oczami. – Jeśli te dziewczyny przyjeżdżają do obcego kraju i idą z facetem, z facetem, który nie jest przystojny, do jego mieszkania, co pan o tym myśli? Dlaczego niby to robią?

– Cóż, nie wiem, panie Kin. Jeśli chodzi panu o Lucie Blackman, to sądziła ona, że pan Obara da jej jakiś prezent.

– Ależ pan głupi! – zawołał, po czym ruszył przed siebie z torbami, odwracając głowę i spoglądając na mnie przez ramię, podczas gdy ja usiłowałem dotrzymać mu kroku. – To idiotyczne. Na pewno są ważniejsze sprawy, którymi można się zająć, niż ta drobnostka. Na przykład globalne ocieplenie!

– Cóż, piszę na różne tematy...

– Ile razy widział pan w Tajlandii piękną dziewczynę z brzydkim facetem?

– Dość często, o ile się nie myl...

– Traci pan czas!

– Przepraszam, jeśli...

– Robi pan to dla pieniędzy?

– To moja praca, jeśli o to panu chodzi. Ja...

– Mój ojciec spędził w więzieniu dwa i pół roku – powiedział po angielsku. Znow się zatrzymał i postawił torby. – Był w ruchu oporu, walczył z Japończykami. Ale jedyną rzeczą, za którą mogę go winić, jest to, że nie miał czasu zajmować się rodziną. Zawsze jednak mówił, jak bardzo ważne jest wykształcenie.

Przytaknąłem skinieniem głowy w nadziei, że w ten sposób okażę empatię i zrozumienie.

– Nie jeżdżę za granicę, ale mówię po japońsku, koreańsku, chińsku i angielsku.

Nie przestawałem potakiwać.

– Nie jestem bogaty – ciągnął. – Japońskie media mówią, że mój brat to potentat w branży nieruchomości we wschodniej Japonii. Co za głupota... – Machnął ręką z oburzeniem. – Proszę tu więcej nie przychodzić – powiedział. – Proszę nigdy nie wracać. Nigdy się do mnie nie zbliżać. Jeśli pan wróci, podejmę odpowiednie kroki.

– Panie Kin, nie chcę panu przeszkadzać, mam tylko kilka...

Maszerował przed siebie w dół ulicy ze śmieciami albo rzeczami do prania, nie przestając mamrotać i kręcić głową.



W marcu 2007 roku, miesiąc przed ogłoszeniem wyroku przez Tokijski Sąd Okręgowy, dwudziestojednoletnia Brytyjka Lindsay Hawker¹⁷⁵ została zamordowana na wschodnich przedmieściach Tokio. Pracowała jako nauczycielka języka angielskiego. Pewnej niedzieli po zakończeniu lekcji konwersacji poszła do mieszkania swojego ucznia, dwudziestoośmioletniego mężczyzny o nazwisku Tatsuya Ichihashi, i już nie wróciła do domu. Gdy następnego dnia policja zapukała do drzwi mężczyzny, ten uciekł z mieszkania bez butów. Funkcjonariusze znaleźli ciało Lindsay zakopane w wypełnionej ziemią wannie. Została pobita, zgwałcona i uduszona.

Jej ojciec, Bill Hawker, instruktor nauki jazdy z Anglii środkowej, poleciał do Japonii, żeby zidentyfikować zwłoki córki i zabrać je do domu. Podobnie jak wcześniej Tim Blackman zwołał konferencję prasową, w hotelu nieopodal lotniska Narita. Oczywiście okoliczności były inne: w przeciwieństwie do Lucie los Lindsay od razu był znany i jedyną niewiadomą pozostawało miejsce pobytu zabójcy. Jednak Bill Hawker wpasował się w rolę rodzica pogrążonego w żałobie, tę samą, w której swego

czasu życie osadziło Tima Blackmana, ale w którą Tim nigdy nie chciał się wcielić.

Bill Hawker był człowiekiem udręczonym cierpieniem, niezdolnym do wyrachowania ani do panowania nad sobą. Rozpacz po stracie córki przysłoniła wściekłość na zabójcę. Trudno było na niego patrzeć. Żenujące wydawało się to, że on miał mówić zdławionym głosem i płakać w obecności nieznamym, a my bezlitośnie zadawać pytania. Mimo to pytania padały, błyski aparatów oświetlały zaś skrzywioną bólem twarz. Bill Hawker ukazał takie swoje oblicze, jakiego Tim nigdy nie ujawnił, ale jakie cały świat spodziewał się zobaczyć u człowieka postawionego w tej sytuacji: oblicze mężczyzny załamanego, bezradnego, kompletnie rozbitego przez doznaną stratę.

Tymczasem Tatsuya Ichihashi uciekł w samych skarpetkach i zniknął bez śladu: policja złapała go dopiero trzydzieści dwa miesiące później. Okazało się, że w przeszłości zaczepiał już cudzoziemki i pewnego wieczoru, przypadkowo spotkawszy Lindsay na peronie dworca, śledził ją, gdy wracała do domu. Narodowość ofiary i sposób ukrycia ciała sprawiały, iż zbrodnia ta wydawała się niesłychana i wynaturzona, a jednak wielu ludzi widziało coś niepokojąco stosownego w tym, że doszło do niej właśnie w Tokio.

Ileż razy obcokrajowcy – mieszkający w Japonii lub ci z Wielkiej Brytanii – kwitowali śmierć Lindsay Hawker stwierdzeniem: „jak to w Japonii”, chociaż nie potrafili wytłumaczyć, co właściwie chcieli przez to powiedzieć. Sprawa przywodziła na myśl głęboko zakorzenione, choć niewyrażone głośno stereotypy. Wyobraźnia podsuwała płataninę obrazów i przekonań: mężczyźni śledzący obiekty fascynacji seksualnej, tłumiony i wypaczony popęd płciowy, pornograficzne komiksy oraz wizerunek kobiet z Zachodu w oczach Japończyków. Wyglądało to tak, jak gdyby śmierć Lindsay Hawker była nie przerażającym odchyleniem od normy, ale

nieuchronną koleją rzeczy. Japończycy również zaczęli zdawać sobie z tego sprawę, zwłaszcza gdy podczas konferencji prasowej Bill Hawker oznajmił, iż zabójstwo jego córki „okryło hańbą wasze państwo”. Zaniepokojona japońska telewizja w najbliższy weekend spieszenie wysłała na ulice Londynu ekipę reporterów, którzy pytali przechodniów, czy śmierć Lindsay skalala ich wyobrazenie o Japonii.

Sprawa ta wydawała się oczywiście dziwnie znajoma z powodu sprawy Lucie i wraz z upływem czasu ludzie zaczęli mylić obydwie incydenty, a Brytyjka zakopana w grocie i Brytyjka pochowana w wannie z ziemią powoli zlewały się w jedną osobę. Jednak oprócz kraju, w którym doszło do tych wypadków, narodowości oraz młodego wieku ofiar przestępstwa te nie miały ze sobą nic wspólnego. Obydwie kobiety zostały zabite, między jednym a drugim zabójstwem minęło siedem lat – to wszystko. Niemniej pomimo tego wiele osób odczuwało wewnętrzny przymus wyciągania na podstawie tych śmierci wniosków na temat Japonii i Japończyków w ogóle.

W mediach większość generalizacji dotyczyła seksualności Japończyków, a zwłaszcza rzekomych upodobań seksualnych męskiej części populacji. Przywoływano zjawisko chikan – mężczyzn obmacujących kobiety w zatłoczonych pociągach – oraz „niesławne” pornograficzne komiksy manga, w których zachmurzeni Japończycy ochoczo gwałcili wielkookie piękności o rysach cudzoziemek. Przytaczano wypowiedzi kobiet pracujących w przeszłości w Japonii jako nauczycielki języka angielskiego lub hostessy, które dzieliły się „zatrważającymi” opowieściami o tamtejszych maniakalnych adoratorach.

– Z jakiego powodu kobiety z Zachodu wydają się zafascynowane Japończykami? – zastanawiał się dziennikarz pewnego tabloidu, a odpowiedź na swoje pytanie znalazł, chodząc od pubu do pubu w Roppongi.

– Pogardzają nami, a jednocześnie podziwiają nas, o ile to, co mówię, ma sens –

powiedziała mi pochodząca z Liverpoolu dwudziestoczteroletnia nauczycielka języka angielskiego, która na początku weekendu wybrała się ze znajomymi do baru. – Przez to bardzo trudno tak naprawdę ich zrozumieć. Próbowałam pojąć ich zachowanie przez cały rok, odkąd tu jestem, i dalej nie potrafię ich rozszyfrować.

Niektóre Brytyjki mówią, że mężczyźni, których tu poznają, traktują je w sposób dziwny, nieprzewidywalny i czują się w ich towarzystwie nieswojo, inne zaś utrzymują, iż Japończycy odnoszą się do kobiet z Zachodu z podziwem, szacunkiem, a nawet zachwytem.

Są one wyższe, bardziej niezależne i wyzwolone niż Japonki, dlatego często stosunek do nich cechuje mieszanka fascynacji, strachu i dezaprobaty [...]

– Najładniejsze cudzoziemki, zwłaszcza te wysokie, są postrzegane jako boginie – mówi pracująca w tokijskim biurze maklerskim Brytyjka, którą spotkałem wczoraj w barze Hub w Roppongi [...] – Japończycy tak bardzo różnią się od nas, że czasami się zastanawiam, czy kiedykolwiek zrozumiemy ich tak naprawdę.

Sugestie zawarte w tych wszystkich wypowiedziach przedstawiono czarno na białym w tytule artykułu: „Japończycy, zadymione bary i obsesja na punkcie pięknych kobiet z Zachodu, przez którą Lindsay straciła życie”¹⁷⁶.

Liczba ludności w Japonii jest ponaddwukrotnie większa niż w Wielkiej Brytanii, a tymczasem w 2005 roku odnotowano tam 2 560 000 przestępstw, czyli ponad połowę mniej niż w Anglii i Walii, gdzie doszło do 5 600 000 czynów karalnych. Warto zwrócić uwagę, że w Japonii 3,5 procent owych przestępstw było aktami przemocy, w Wielkiej Brytanii zaś akty przemocy stanowiły 21 procent całości. Ile młodych Brytyjek na przestrzeni lat dzielących śmierć Lucie Blackman i Lindsay Hawker zostało zamordowanych w Nowym Jorku, Johannesburgu albo Moskwie? Nikogo to nie interesowało. Każde zachodnie społeczeństwo znajdujące się na porównywalnym z Japonią etapie rozwoju uznałoby Tokio za wyjątkowo przyjazne miejsce: rzadko dochodzi tu do włamań, kradzieże samochodów

praktycznie nie istnieją, a kobiety bez żadnych obaw mogą chodzić po ulicach same o każdej porze dnia i nocy. Jedną z przyczyn tego, że japońscy policjanci często wydawali się tak nieudolni, jest fakt, iż mieli oni niewielkie doświadczenie w zwalczaniu poważnych przestępstw.

Przekonanie, że Japończycy „mają obsesję” na punkcie kobiet z Zachodu, to stereotyp o rasistowskim podłożu: pewnych siebie, uganiających się za spódniczkami cudzoziemców lubieżnie spoglądających na Japonki spotyka się znacznie częściej niż słynnych obmacywaczy. Japońska pornografia i mangi mają niepowtarzalny styl, jednak pogląd, jakoby japońscy onaniści sięgali po pornografię częściej niż zachodni¹⁷⁷, ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. A każdy, kto uważa, że w tym kraju seksualność jest tłumiona, powinien spędzić piątkowy wieczór w towarzystwie dziewczyn z Roppongi, które lgną do cudzoziemców z jednakowym entuzjazmem i ochotą.

Co zatem sprawia, że Japonia „tak bardzo różni się od nas”? Nie tylko umieszczone na szyldach i tablicach znaki zamiast liter ani twarze ludzi naokoło. Jest to coś o wiele głębszego, ulotnego, trudnego do oddania słowami, źródło ogromnej przyjemności, jak i wielu frustracji doświadczanych przez „gajdzin”: radykalna odmienność atmosfery panującej na ulicach, gestów poszczególnych ludzi i nastroju panującego wśród ludzkiego mrowia. W Tokio pulsuje intensywna i porywająca energia, jest ona jednak ściśle ukierunkowana, ujęta w koryta wyznaczone przez konwenanse i dostosowanie społeczne. Z braku lepszych terminów ludzie często określają to zjawisko mianem japońskiej „powściągliwości” i „uprzejmości”, które dość poważnie komplikują sprawę rozumienia ludzi i sytuacji.

Japończycy rzadko w otwarty sposób manifestują agresywny aspekt swojej męskości, podczas gdy mężczyźni z Zachodu często wykorzystują tę

charakterystykę, aby zaimponować otoczeniu lub onieśmielić je. Japończycy rzadko się pyszną czy puszą; prawie nigdy nie są groźni czy ponurzy. Nowo przybyłym dziewczynom, takim jak Lindsay czy Lucie, które nie znają języka japońskiego, wydają się „uroczy”, „nieśmiali”, często „nudni”. W ciągu piętnastu lat byłem świadkiem zaledwie dwóch bójek w Japonii. Każda z nich wybuchła ni stąd, ni zowąd, nie poprzedzały jej krzyki, prowokacje czy ostre wymiany zdań i każda z nich skończyła się równie niespodziewanie, jak się zaczęła.

W efekcie wiele cudzoziemek wyłącza instynktowną czujność i podejrzliwość, którymi się kierują i które chronią je w domu. To zachowanie łączyło Lindsay Hawker i Lucie Blackman, zwykłe, „przyzwoite” Angielki, którym nigdy nie przyszłoby do głowy pójść z nieznanym Brytyjczykiem do mieszkania ani pracować jako hostessa w londyńskim klubie nocnym. Japonia wydawała się bezpieczna. Japonia była bezpieczna i pozostając pod jej urokiem, młode kobiety podjęły decyzje, jakich nigdzie indziej nawet nie brałyby pod uwagę.

Dlaczego Lucie weszła do mieszkania w Zushi z Jojim Obarą? Nawet jej najbliżsi zastanawiali się, czy nie było to nierozsądne z jej strony.

– Iść tak po prostu z mężczyzną to czysta głupota – oznajmił jej brat Rupert. – Zawsze myślałem, że mogła z łatwością uniknąć tej całej sytuacji. Kiedy próbuję się postawić na jej miejscu, wydaje mi się, że w pewnym momencie tej wyprawy powiedziałbym: „Dość tego. Nie wchodzę do środka”.

Jednak dla samej Lucie wydarzenia tamtego dnia toczyły się zupełnie naturalnie. Być może należy przypisać to przebiegłości napastnika, który zadbał, aby nie musiała podejmować decyzji mogących wzbudzić wątpliwości czy ostrożność.

Spotkanie się z mężczyznami w czasie wolnym należało do

zawodowych obowiązków hostessy, a Lucie usiłująca uzbierać odpowiednią liczbę dōhan i świadoma, że wisi nad nią widmo utraty pracy, potrzebowała stałych klientów bardziej niż inne dziewczyny. Poza tym miała obiecany telefon komórkowy, dzięki któremu łatwiej i wygodniej pracowałoby się jej oraz utrzymywało kontakt ze znajomymi, a zwłaszcza z jej nową miłością. W samym Obarze nie było zresztą nic, co na pierwszy rzut oka mogłoby odstraszać. Dobrze mówił po angielsku, był zamożny, a to czyniło z niego klienta o wiele bardziej atrakcyjnego i odpowiedniego niż większość bywalców Casablanki. Oprócz tego w pierwotnym zamyśle mieli się spotkać tylko na lunch. To Obara najpierw się spóźnił, następnie zaś nagle zaproponował wycieczkę do miejsca określonego niegroźną, swojsko brzmiącą i dobrze kojarzącą się każdemu Brytyjczykowi nazwą: „the seaside” – nad morze.

Lucie nie miała pojęcia, jak daleko ani w którym kierunku muszą jechać, żeby dotrzeć nad morze. Zanim po spokojnej podróży przybyli na miejsce, zrobiło się zbyt późno, aby się tym przejmować. Obara nie ponaglał Lucie i nie zapraszał spiesznie do mieszkania – najpierw zrobił zdjęcia nad morzem, a dopiero potem, być może, padła rozsądna propozycja, że skoro pora jest już tak późna, zamiast jechać do restauracji, lepiej będzie zamówić jedzenie do domu. Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, Obara szybko wręczył Lucie obiecany telefon i aktywował numer. Nikt nie wie, co działo się później. Sąd nie wydał szczegółowego orzeczenia, a Joji Obara został oczyszczony z zarzutu o spowodowanie zgonu Lucie. Jednak po tak mile spędzonym dniu z tak miłym mężczyzną czy wydawałoby się czymś nieostrożnym lub niezwykłym, gdyby Lucie zgodziła się ująć lampkę szampana, wznieść toast i go spełnić?

Wiele młodych kobiet zachowałoby się tak samo w podobnych okolicznościach. Wiele młodych kobiet zachowa się tak samo w przyszłości

i zaledwie drobna część z nich dozna z tego powodu krzywdy. Przyszło mi do głowy, że właśnie to było najsmutniejszą i najbardziej prozaiczną prawdą na temat śmierci Lucie Blackman: nie była ona lekkomyślna ani głupia, po prostu – znalazłszy się w bezpiecznej, choć skomplikowanej społeczności – miała ogromnego pecha.

Pewnego razu podzieliłem się tym spostrzeżeniem z Timem Blackmanem, a wtedy on stanowczo zaprotestował.

– Nie sądzę, żeby Lucie miała pecha – stwierdził. – Padła ofiarą kogoś, kto nie powinien znajdować się na wolności. To nie żaden pech. To nieudolność społeczeństwa, które nie umiało sprawować kontroli nad kimś, kto powinien być zamknięty. Padła ofiarą nieudolności władzy i służb porządkowych.

Komisarz Udo i garść innych funkcjonariuszy Tokijskiej Policji Miejskiej, którzy zgodzili się ze mną rozmawiać, byli ludźmi szczerze oddanymi pracy, poświęcającymi dnie i noce na poszukiwania zabójcy Lucie. Niestety działali w ramach instytucji, którą cechowały – i nadal cechują – arogancja, samozadowolenie i częsta niekompetencja. Niedoskonałość policji jest jednym z tematów tabu w japońskim społeczeństwie i zarówno media, jak i politycy ze wszystkich sił unikają konfrontacji z tym problemem, a nawet nazwania go po imieniu¹⁷⁸.

Na poziomie lokalnym, gdy trzeba pokierować ruchem drogowym, pomóc zagubionej starszej pani lub przywołać do porządku pijaków albo awanturników, japońscy funkcjonariusze są znakomici. Kiedy dochodzi do poważnych przestępstw, potrafią sprawnie wydobyć wyznanie winy z przeciętnego japońskiego kryminalisty. Jednak w starciu z prawie każdą niezwykłą zbrodnią wychodzi ich żenujący brak przygotowania – są sklerotyczni, bez wyobraźni, uprzedzeni i nadmiernie przywiązani do

procedur, co we współczesnym świecie stanowi dużą słabość. Ich działania w sprawie Lucie Blackman i podczas wielu innych dochodzeń wskazują na to, że prawdziwym powodem, dla którego w Japonii istnieje tak niska przestępczość, jest nie skuteczność stróżów prawa, lecz charakterystyczne cechy japońskiego społeczeństwa, ludzi przestrzegających prawa, odnoszących się do siebie z szacunkiem i niestosujących przemocy. Japonia jest bezpiecznym państwem nie dzięki działaniom policji, ale pomimo nich.

Należy oczywiście pamiętać o tym, że sprawę komplikowało pochodzenie ofiary, która była cudzoziemką. Japońscy krewni młodej kobiety zaginionej w Wielkiej Brytanii zapewne musieliby stawić czoła podobnym frustrującym sytuacjom, przez jakie przechodzili Blackmanowie. Niemniej prawdziwym skandalem było nie samo dochodzenie prowadzone z właściwą policji niedbałością: opóźnione rozpoczęcie, wyrywkowe śledzenie Obaru, nieumiejętność zlokalizowania zwłok w grocie. Największym niepowodzeniem policji było to, że nie ustalono tożsamości Obaru i nie postawiono go przed sądem wiele lat wcześniej. Na przykład Katie Vickers doniosła na niego już w 1997 roku; zlekceważono ją. Ile kobiet, które nie opowiedziały swoich historii publicznie, potraktowano podobnie? Do największej kompromitacji doszło jednak pięć lat wcześniej, gdy zignorowano podejrzenia rodziny Carity Ridgway wobec „Nishidy”, mężczyzny, który przywiózł ich umierającą córkę do szpitala. Policjantom przede wszystkim zabrakło wyobraźni, wykazali się zbiorową niezdolnością do wyjścia poza stereotypy. Opierali się na schematach, kategoryzowali ludzi, po czym uznawali, że na pewnych kategoriach można polegać, na innych zaś nie. Młoda hostessa, która poszła z klientem do jego mieszkania, a potem twierdziła, że ją zgwałcił, na pewno blefowała; przyzwoity facet, który opowiadał o zepsutej ostrydze i zatruciu pokarmowym, był godny zaufania. Japońscy stróże prawa nie zapewniali absolutnie żadnej ochrony

przed Obarą, który zwinnie lawirował między grubymi oczkami policyjnych sieci. Lucie Blackman miała trzynaście lat, gdy zmarła Carita: to wszystko mogło się skończyć już wtedy.

„Gdyby policja namierzyła Obarę w tamtym czasie, wystarczyłoby przeszukać jego dom, żeby znaleźć dowody na trwający od lat przestępczy proceder – napisali Ridgwayowie w oświadczeniu wydanym w przeddzień werdyktu. – Obara przez trzydzieści lat dokonywał kolejnych gwałtów, oszłamiając ofiary środkami odurzającymi. Gdyby policja podjęła kroki w 1992 roku, o co prosiliśmy, Lucie Blackman nadal żyłaby, a wiele innych dziewcząt, zarówno Japoniek, jak i cudzoziemek, nie zostałyby pozbawionych przytomności i zgwałconych”.



Na początku 2009 roku, po roku daremnych wysiłków mających na celu skazanie mnie za zniesławienie, nastąpił szereg wydarzeń dotyczących bezpośrednio mojego życia. Zanim je zrelacjonuję, czuję się w obowiązku podkreślić: nie posiadam żadnych dowodów na to, że wydarzenia te mają jakikolwiek związek z Jojim Obarą.

Pewnego ranka do mojego mieszkania w Tokio przyszła pocztą duża, sztywna koperta. Minęło kilka dni, zanim do mnie dotarła; stemple wskazywały, że wcześniej krążyła między różnymi urzędami pocztowymi. Na kopercie widniało nazwisko Kengo Namai oraz nazwa organizacji Save The Nation Bulletin Co., jednak adres wskazujący położoną w odległej dzielnicy Tokio ulicę i numer mieszkania został uznany przez pocztę za nieistniejący. Nadawca określił się mianem: „Towarzysza”, ale nie podał żadnych szczegółowych danych kontaktowych. Z powodu braku adresu nadawcy kopertę otwarto, w środku zaś znaleziono moje nazwisko, przesyłkę

przekierowano więc do mnie.

Mój adres domowy znajdował się na włożonej do koperty kartce, poniżej kserokopii mojej wizytówki. Przesyłka zawierała również zszyty plik wydrukowanych dokumentów, kilka fotografii oraz wydaną po japońsku książkę w twardej okładce przedstawiającą kobietę z diademem.

Najpierw obejrzałem fotografie. Było ich dziesięć, skserowanych przy użyciu kolorowej kserokopiarki na dwóch kartkach papieru. Widniałem na nich ja: albo sam, albo w towarzystwie przyjaciół. Oczywiście było, że zostały zrobione z ukrycia przez kogoś, kto celowo mnie śledził.

Pięć zdjęć pochodziło sprzed trzech miesięcy. Dobrze pamiętałem wydarzenia z tamtego dnia: słoneczne jesienne sobotnie popołudnie, późny lunch z gośćmi z Londynu. Na zdjęciach rozmawiałem i uśmiechałem się do znajomych, z którymi spacerowaliśmy po ruchliwej ulicy ze sklepami. Wydarzenia uwiecznione na pozostałych fotografiach trudniej było mi umiejscowić. Jedno zdjęcie mogło zostać zrobione w windzie przez kamerę monitorującą; dwa kolejne przedstawiały mnie w trakcie publicznych wystąpień, podczas jakiegoś wykładu albo zjazdu. Usiłowałem przypomnieć sobie tamte zdarzenia, a także sylwetkę podejrzanego osoby z aparatem, nic jednak nie przychodziło mi do głowy. Mimo to ten ktoś i tak musiał tam być, śledzić mnie, gdy zajmowałem się swoimi zwykłymi sprawami i chodziłem ulicami blisko swojego domu.

Następnie zacząłem się przyglądać innym przedmiotom znalezionym w kopercie. Książkę poznałem¹⁷⁹. Było to japońskie tłumaczenie publikacji *Księżna Masako. Zakładniczka Chryzantemowego Tronu* autorstwa australijskiego dziennikarza Bena Hillsa, wokół której trzy lata wcześniej, tuż po wydaniu, zrobił się krótkotrwały szum. Opowiadała nieszczęśliwą historię żony japońskiego następcy tronu, inteligentnej, wykształconej i obytej w świecie byłej dyplomatką, która z powodu sztywnych wymogów

cesarskiego dworu wpadła w chroniczną depresję, a prawdę o jej stanie przez wiele miesięcy ukrywali dworscy urzędnicy. Treść książki otwarcie i ostro potępił japoński rząd; pod siedzibą tokijskiego wydawcy rozwścieczeni skrajni nacjonaści urządzali pikiety. Spotkałem się raz z Benem Hillsem, gdy gromadząc materiał do książki, przeprowadził ze mną wywiad, a w swojej publikacji zacytował jeden czy dwa moje artykuły na temat księżnej Masako. W egzemplarzu, który trzymałem w dłoni, każde odniesienie do mojej osoby zostało zakreślone żółtym markerem, a strony, na których owe zmiany się znajdowały, były starannie zaznaczone samoprzylepnymi karteczkami.

Ostatnią rzeczą w kopercie było sześć zszytych kartek wydrukowanych na laserowej drukarce. Dokument zaczynał się raptownie i opryskliwie, z pominięciem zwrotów grzecznościowych czy słowa wstępu.

– Celem Richarda Lloyda Parry’ego jest doprowadzenie do upadku japońskiej rodziny cesarskiej, a następnie do przejęcia przez Wielką Brytanię kontroli nad Japonią.

Księżna Masako, oszczercza książka na temat rodziny cesarskiej, wykorzystuje materiały dostarczone przez Richarda Parry’ego, który poprzez manipulację nakłonił australijskiego dziennikarza Bena Hillsa do ich publikacji. Mimo że Richard Parry tytułuje się Kierownikiem Działu Tokijskiego, zatrudnia tylko jednego pracownika i może sobie pozwolić na wszystko [...] Nieustannie znieważa rodzinę cesarską za granicą i jeśli mu się na to pozwoli, wyrządzi szkody nie do naprawienia. Mamy nadzieję, że pojawi się bohater, który rozprawi się z Richardem Parrym.

W obecnej chwili artykułów szkalujących rodzinę cesarską nie można znaleźć w internecie (są zablokowane). Zostały jedynie odnośniki do artykułów, zdjęć oraz innych materiałów niegdyś zamieszczonych.

Nie powinno się dłużej tolerować Richarda Parry’ego, człowieka, który spiskuje przeciwko Japonii. Klan Parrych podczas drugiej wojny światowej zabił 186 japońskich żołnierzy. Richard Parry znieważał rodzinę cesarską i siał zamęt w Japonii [...] Dostarczył materiałów podajacemu się za australijskiego

dziennikarza Benowi Hillsowi w celu spiskowania przeciwko japońskiej rodzinie cesarskiej poprzez napisanie i wydanie książki [...] Nie powinniśmy dłużej pozwalać Richardowi Parry'emu na znieważanie rodziny cesarskiej i sianie zamętu w Japonii.

Było to aż nadto osobliwości jak na jedną zwykłą kopertę.

Nie po raz pierwszy nazwano mnie wrogiem rodziny cesarskiej i inni dziennikarze, którzy donosili o depresji małżonki następcy tronu, spotykali się z takimi samymi zarzutami. Nowością było uznanie mnie za osobę pociągającą za sznurki w sprawie książki australijskiego reportera oraz za agenta Wielkiej Brytanii mającej imperialistyczne zakusy. Jednak najbardziej zdumiewającą rewelacją było odniesienie do (zupełnie mi nieznannej) historii z czasów wojny i wyobrażenie „członków klanu” Lloyd Parry stojących na zwalach ciał japońskich żołnierzy. Była to informacja do tego stopnia nieprawdopodobna, że prawie niemożliwa do zmyślenia. Uśmiechnąłem się, kiedy ją przeczytałem. Z kimś mi się skojarzyła...

Było jednak jasne, co się stało. Ktoś, najprawdopodobniej prywatny detektyw, starannie opracował te akta. Ich bezosobowy ton wskazywał na to, że najprawdopodobniej powielono dokument wielokrotnie i rozesłano jego egzemplarze do różnych adresatów, między innymi do organizacji Save the Nation Bulletin Co. Jednak ugrupowanie albo zmieniło siedzibę, albo przestało istnieć, dlatego przesyłka przypadkiem trafiła w moje – adresata najmniej pożądanego – ręce.

Nazwa widniejąca na kopercie sugerowała, że organizacja Save the Nation Bulletin Co. była pravicowym, skrajnie nacjonalistycznym ruchem – jednym z wielu mniejszych i większych ugrupowań rozsianych na terenie całej Japonii i urządzających głośne demonstracje przeciwko ludziom i organizacjom uznawanym za niedostatecznie patriotyczne. Naukowcy i urzędnicy publiczni przedstawiający w złym świetle działania Japonii

podczas wojny, ambasady Rosji, Korei Południowej i Chin, dziennikarze wprawiający rodzinę cesarską w zakłopotanie swoimi relacjami – wszyscy oni od czasu do czasu wywołują w kręgach uyoku, czyli prawicowców, niezadowolenie, które niezmiennie wyraża się w tej samej formie: przyjeżdża jedna lub więcej czarnych furgonetek z zamontowanymi na dachu Sztandarami Wschodzącego Słońca – japońskimi sztandarami wojennymi – a z głośników o dużej mocy rozlegają się słowa potępienia wobec adresata protestu. Ugrupowania te czasami mają powiązania z jakuzą; bardzo rzadko dopuszczają się aktów przemocy. Osoba, która nadała ową przesyłkę, miała nadzieję wywołać gniewną reakcję ze strony ludzi o skrajnie prawicowych poglądach, licząc na to, że ktoś z nich zdecyduje się złożyć wizytę pod moim domem lub biurem i „rozprawić się” ze mną.

Japońskie słowo, którego użyto, aby określić to działanie, brzmiało „seibai”. Mój przyjaciel Japończyk, któremu pokazałem dokument, głowił się, w jaki sposób przetłumaczyć owo wyrażenie.

– „Rozprawić się” będzie chyba dobrze – oznajmił w końcu. – Można by również przetłumaczyć to jako: „osądzić” albo „ukarać”. A nawet: „ujarzmić”, „rozgromić”. To nie jest przyjazne słowo. W najmniejszym stopniu nie jest przyjazne. Myślę, że powinieneś pójść z tym na policję.

Nie sądziłem, że policja potraktuje tę sprawę poważnie, ale się myliłem. Kilka minut po tym gdy pojawiłem się na komisariacie, czterech funkcjonariuszy wydziału dochodzeniowego siedziało razem ze mną w niewielkim pokoju przesłuchań i oglądało kopertę oraz jej zawartość, dotykając ich przez rękawiczki. Spytano mnie, czy kiedykolwiek zdawałem sobie sprawę z tego, że jestem śledzony, czy odbierałem ostatnio dziwne telefony albo czy zauważyłem podejrzanych ludzi lub pojazdy w pobliżu swojego domu lub biura. Odpowiedź na wszystkie te pytania brzmiała: „nie”.

– Ma pan jakichś wrogów? – spytał główny śledczy, drobny, ogorzały mężczyzna o mocno pomarszczonej twarzy nałogowego palacza.

Oczywiście od czasu do czasu publikowane przeze mnie artykuły wyprowadzały ludzi z równowagi. Jak każdy reporter piszący na temat rodziny cesarskiej, a zwłaszcza na temat smutnej historii księżnej Masako, dostałem pełen złości list, odebrałem jeden czy dwa nieprzyjemne telefony oraz zostałem potępiony przez anonimowego internautę na jakimś mało znanym forum. Jednak tylko jedna osoba podjęła w stosunku do mnie poważne kroki.

– Dobrze pan zrobił, przychodząc z tym do nas – powiedział główny śledczy. – To słowo „seibai” jest nietypowe, brzmi dziwnie w tym kontekście. Ale sugeruje przemoc. Ogląda pan seriale telewizyjne o samurajach? Tego wyrażenia używają samurajowie, którzy zamierzają zaatakować swoich wrogów. A kiedy samuraj ma się z kimś rozprawić, robi to za pomocą samurajskiego miecza.

Funkcjonariusze zachowali przesyłkę, aby zdjąć z niej odciski palców. Spytałem, czy mam przedsięwziąć jakieś środki ostrożności. Główny śledczy zmarszczył brwi i przytaknął skinieniem głowy.

– Kiedy wsiada pan do metra, niech nie staje pan na skraju peronu – pouczył mnie. – Proszę trzymać się z tyłu. W ten sposób trudno będzie popchnąć pana pod nadjeżdżający pociąg. To samo, kiedy przechodzi pan przez jezdnię: proszę się trzymać z dala od krawężnika. Poza tym proszę mieć oczy szeroko otwarte i zawiadomić nas, jeśli tylko zauważy pan coś podejrzanego. Poinformujemy miejscowy komisariat, żeby funkcjonariusze patrolujący okolicę wiedzieli o wszystkim i mieli oko na pana dom.

Jeden z policjantów specjalizował się w obserwacji poczynań skrajnie prawicowych ugrupowań. Znał organizację Save the Nation Bulletin Co. oraz mężczyznę o nazwisku Kengo Namai i z miejsca do niego zadzwonił.

Ugrupowanie rzeczywiście zmieniło siedzibę, potwierdził pan Namai, a on sam nigdy nie otrzymał innego egzemplarza wspomnianego dokumentu ani żadnej innej podobnej przesyłki. Śledczy opisał zawartość koperty i spytał, co pan Namai o tym sądzi. Na mężczyznę nie zrobiło to większego wrażenia. Środowiska skrajnie nacjonalistyczne dostają mnóstwo listów z różnego rodzaju pogrózkami, stwierdził. Żaden rozsądny prawnik nie podejmuje działań za namową niepodpisanego, nieuwiarygodnionego elaboratu tego typu.



Nic tak bardzo nie wyostrza zmysłów na to, co dzieje się dookoła, jak podejrzenie, iż jest się śledzonym. W ciągu następnych kilku tygodni Tokio nabrało odrealnionego charakteru, jak gdyby stanowiło wizjonerską kreację artystyczną operatora filmowego używającego specjalistycznych filtrów. Szczegóły, na które wcześniej nie zwracałem uwagi, nagle płonęły niczym sygnały ostrzegawcze i nabierały niebywałego znaczenia – aparaty, okulary przeciwsłoneczne, kolor i marka zaparkowanych samochodów, ubrania i rysy mijanych na ulicy przechodniów. Zorientowałem się, że chłonę każdy moment tak intensywnie, jak gdybym za chwilę miał pod przysięgą zdać z niego szczegółową relację. Najbardziej prozaiczna część dnia, piętnastominutowa podróż metrem do biura, urosła do rangi heroicznych zmagania o uniknięcie ewentualnego zamachu na życie. Zdawało się to z jednej strony śmieszne i nedorzeczne, z drugiej zaś niepokojące do tego stopnia, że przyprawiało o skurcze żołądka.

Mijał miesiąc za miesiącem. Nikt nie próbował rzucić mnie wprost pod koła pociągu wtaczającego się na stację, nikt nie zadał ciosu lśniącem samurajskim mieczem, nie było dziwnych listów, dziwnych telefonów ani

innych dziwnych zdarzeń. Pewnego dnia zadzwonił śledczy z nowiną, że żaden z odcisków palców pozostawionych na kopercie nie znajdował się w policyjnej bazie danych. Powoli zacząłem traktować przechodzenie przez ulicę niemalże z nonszalancją, gdy w czerwcu 2009 roku odebrałem w biurze telefon od policji. Grupa skrajnie prawicowych działaczy skupionych pod nazwą School of the Refined Heart planowała urządzić przeciwko mnie pikietę i w związku z tym – jak na zdyscyplinowanych i przestrzegających prawa japońskich ekstremistów przystało – złożyła oficjalne zawiadomienie na temat zamierzonych działań. Policja nie mogła powstrzymać ich od skorzystania z przysługującego im prawa wolności wypowiedzi, ale mogła dać mi stosowne ostrzeżenie.

Prawicowe ugrupowanie zgodnie z zapowiedzią pojawiło się kilka dni później – było to czterech mężczyzn w średnim wieku w starej, czarnej, ozdobionej sztandarami furgonetce. Urządzili klasyczny protest uyoku: parę razy objechali biurowiec naokoło, a z głośników płynęło hałaśliwe żądanie – Richard Parry z dziennika „The Times” powinien przeprosić za znieważenie rodziny cesarskiej. Mężczyźni usiłowali wejść do budynku, ale ochrona w uprzejmy sposób zabroniła im wstępu. Próbowali przekazać list zaadresowany do mnie – ochrona odmówiła przyjęcia przesyłki. Działacze wrzucili zatem kopertę do skrzynki pocztowej znajdującej się przed biurowcem – ponieważ jednak nie nakleili znaczka, list nigdy do mnie nie dotarł.

Po pół godzinie wsiedli do swojego czarnego samochodu i odjechali. Wrócili półtora miesiąca później, odstawili ten sam pokaz z furgonetką, sloganami i listem. Od tamtej pory nie niepokoiли mnie ani oni, ani nikt im podobny.

Cała sprawa pozostała zagadką. Nadal nie potrafię powiedzieć, kto zadał sobie tyle trudu, żeby zachęcać faszystów do „rozprawienia się” ze mną, ani

też co tym kimś powodowało. Jednak incydentu tego nie sposób zapomnieć, zwłaszcza że miał intrygujący epilog. Wiele miesięcy później spotkałem Yasua Shionoyę, jednego z prawników Obary, z którym kontaktowałem się, podejmując ostatnią i nieudaną próbę uzyskania audiencji u jego klienta. Opowiedziałem mu historię dziwnej przesyłki, zdjęć oraz mężczyzn w czarnej furgonetce, a wtedy na twarzy pana Shionoi odmalował się trudny do określenia wyraz – po części rozbawienie, po części zdziwienie. Oświadczył:

– Rozmawiałem kiedyś z panem Obarą i w rozmowie padło pana nazwisko. Mówił o artykułach, które pan napisał na temat japońskiej rodziny cesarskiej. Powiedział: „Artykuły Parry’ego wywołują gniew pravicowców. Myślę, że za jakiś czas mogą czekać go kłopoty z ich strony”. Spytałem: „Jakie kłopoty?”, a on odpowiedział: „Och, nie wiem”.

[173](#) Informacja pochodzi z japońskich czasopism i z czasopisma „Time” od dwóch różnych źródeł zbliżonych do sprawy.

[174](#) Rozmowy z prawnikami reprezentującymi Jojiego Obarę oraz ze źródłem zbliżonym do rodziny Obary.

[175](#) Ogólny zarys sprawy Lindsay Hawker można znaleźć w publikacji: R.L. Parry, *Police Catch Fugitive Suspected of Killing British Woman*, „The Times”, 11 listopada 2009. W lipcu 2011 roku Tatsuya Ichihashi został skazany na dożywotnią karę więzienia za gwałt i zabójstwo Lindsay Hawker.

[176](#) R. Shears, *Japanese Men, Smoky Bars and the Obsession with Beautiful Western Girls*, „Daily Mail”, 31 marca 2007.

[177](#) Najwięcej konsumentów oraz producentów pornografii znajduje się w Stanach Zjednoczonych. D. Campbell, *With Pot and Porn Outstripping Corn, America’s Black Economy Is Flying High*, „The Guardian”, 2 maja 2003.

[178](#) Innymi tematami tabu są między innymi potęga zorganizowanej przestępczości, skrajnie nacjonalistyczna prawica oraz rodzina cesarska i jej obecna rola.

179 B. Hills, *Księżna Masako. Zakładniczka Chryzantemowego Tronu*, tłum. T. Illg, Katowice 2008. W Japonii ukazała się pod tytułem *Purinsesu Masako* (Tokio 2007).

ROZDZIAŁ 25

KIM NAPRAWDĘ JESTEM

KIM BYŁ JOJI OBARA I CO SPRAWIŁO, że był właśnie tym kimś? Przez wiele lat rozmyślałem o nim, rozmawiałem o nim, obserwowałem go w sądzie – ale ile tak naprawdę wiedziałem na jego temat? W jego życiu pełno było nieuzupełnionych luk: okres podróży po ukończeniu szkoły, większa część lat, które upłynęły między powrotem do Japonii a aresztowaniem. Wyczerpałem oczywiste źródła informacji. Jego rodzina była wrogo nastawiona i niechętna do współpracy; od samego Obary dostałem jedynie pokrętne odpowiedzi i pisma sądowe. Policji, która przeprowadziła najobszerniejsze dochodzenie w sprawie jego życia, nie interesowało nic, co nie mogło zostać wykorzystane w sądzie. Nawet Carlos Santana¹⁸⁰, najsłynniejszy i niespodziewany „przyjaciel” Obary, nie chciał się wypowiadać na jego temat. Poza tym na długo przed popełnieniem jakiegokolwiek przestępstwa Obara przystąpił do wymazywania śladów swojej obecności na świecie, krzyżowania planów każdemu, kto kiedykolwiek próbowałby doszukać się jakichś schematów w jego życiu, powiązać jego przeszłość z teraźniejszością. Zmienił kształt powiek, zmienił imię i nazwisko, zmienił narodowość. Nosił ciemne okulary przeciwsłoneczne i buty na koturnie. Unikał obiektywów z uporem

mieszkańców wiosek z końca świata, którzy wierzą, że zdjęcie może ukraść człowiekowi duszę. Nawet napaści na tle seksualnym, jakich się dopuszczał, były ukradkowe, nie przypominały gwałtów stanowiących potwierdzenie męskiej dominacji i siły: większość jego ofiar, dopóki nie obejrzała taśm odnalezionych przez policję, nie miała pewności, co właściwie je spotkało.

Czy dlatego nawiązał tak niewiele bliskich relacji? Ponieważ przyjaźń między innymi zakładała pozostawienie w świecie zewnętrznym trwałego śladu, tak osobistego i unikatowego jak odcisk palca i tak samo pozwalającego ustalić tożsamość? W dzisiejszych czasach wszyscy jesteśmy psychiatrami amatorami i chętnie, a czasami nazbyt swobodnie łączymy doświadczenia z dzieciństwa z wzorcami zachowań przejawianymi w dorosłości. Obara już jako chłopiec musiał stawić czoła wyraźnie widocznym presjom i trudnościom – oczekiwaniom matki, obecności zaburzonego starszego brata, utracie ojca, zawoalowanym, instynktownym uprzedzeniom Japończyków wobec mieszkających w ich kraju Koreańczyków oraz oszałamiającemu i destrukcyjnemu doświadczeniu, jakim było nagłe uwolnienie od obowiązków i dyscypliny związane z otrzymaniem spadku. W Japonii żyła wszakże niezliczona liczba chłopców z różnymi problemami, istniały miliony zaburzonych rodzin, zepsutych bogatych dzieciaków i ofiar rasizmu, ale zaledwie drobny ich ułamek został seryjnymi gwałcicielami i zabójcami.

Podczas procesu nigdy nie poruszono kwestii związanej z poczytalnością Obary lub jej brakiem; nie przeprowadzono badań psychiatrycznych. Na pierwszy rzut oka cechy przypisywane Obarze w werdykcie wydanym przez sędziego Tochiego odpowiadały niektórym zachowaniom psychopatycznym – psychopata to „egocentryczna, bezwzględna i pozbawiona skrupułów osoba¹⁸¹ niezdolna do empatii [...] osoba, której zachowań nie kierunkuje wyznacznik sumienia”, można przeczytać w jednej

z definicji. Ja jednak mam wątpliwości co do tego typu diagnoz¹⁸², stanowiących wygodne z punktu widzenia moralności, a także nauki, wytłumaczenie, które zapewnia fałszywy i niezасłużony komfort psychiczny ogółowi społeczeństwa. Przypinając etykietkę skrajnym zachowaniom – potwornym, psychopatycznym, „złym” – i umieszczając sprawców owych zachowań w kategorii zupełnie innej, a przez to bezpieczniejszej, niż ta, do której należą „dobrzy” ludzie, możemy trochę mniej przejmować się złożonością ludzkiej natury i nie zastanawiać się, na ile każdy z nas w tym czy innym momencie postępuje bezwzględnie i bez skrupułów. Na podobnej zasadzie skonstruowana była część japońskich komentarzy – często pojawiających się w internecie, choć rzadko przenikających do głównego nurtu mediów – które podkreślały koreańskie korzenie Obary, jak gdyby to, że wywodził się z innej narodowości, uwalniało japońskie społeczeństwo od odpowiedzialności za jego czyny.

Kimkolwiek był Joji Obara, pochodził z Japonii – niemniej bardzo trudno było określić, dokąd właściwie doszedł. Wydaje mi się, że z początku liczyłem, iż dokonam konwencjonalnego zabiegu „wejścia w skórę” Obary. Gdybym zdołał sobie wyobrazić myśli, które przychodziły mu do głowy, kiedy siedział samotnie w celi albo klęczał przed nieprzytomnym ciałem miarowo oddychającej ofiary, mógłbym sobie pogratulować tego, że „zrozumiałem” opisywanego przeze mnie człowieka. Jednak możliwość zdobycia tej wiedzy była iluzją. Inaczej niż w wypadku słów i czynów, które jesteśmy w stanie zarejestrować, do myśli i emocji innych ludzi nie mamy dostępu. Nawet ci, których znamy najlepiej, są nam obcy i jeśli w ogóle ich rozumiemy, to jedynie sporadycznie. Być może Obara prowadził bogate życie wewnętrzne, którego nie chciał ukazywać światu zewnętrznemu. Być może udałoby mi się je odkryć, ale i tak nigdy nie wiedziałbym na pewno, czy rzeczywiście tego dokonałem, czy może padłem jedynie ofiarą własnej

próżności albo sztuczek Obarę.

A może w rzeczywistości nie było co rozumieć. Może nie istniało żadne wnętrze, a jedynie to, co widać było na zewnątrz? Być może prawda okazałaby się nudna, być może tak naprawdę niewiele było do powiedzenia i być może to właśnie stanowiło największą tajemnicę, którą Obara ze wszystkich sił starał się ukryć. Z tego, co zaobserwowałem, główną cechą charakterystyczną jego życia był brak bliskich relacji z ludźmi ocierający się o niemal całkowitą izolację. Musiały istnieć powody, bolesne i fascynujące, dla których odciął się od świata, były one jednak ukryte niezmiernie głęboko, gdzieś na samym dnie. Bardziej trafne wydawało się postrzeganie go również jako swego rodzaju nieobecności, na podobnej zasadzie, na jakiej nagłe i dojmujące zimno jest po prostu brakiem ciepła, a mrok jest brakiem światła. Obara wtargnął w życie różnych osób niczym burza ciemności i pozostawił po sobie spustoszenie. W ten sposób można było go opisać – nie jako człowieka posiadającego własną tożsamość, którą jesteśmy w stanie poddać analizie i ocenie, ale jako zjawisko, które poznajemy tylko po tym, jaki efekt wywarło na innych.

W sądzie przedstawiał pokwitowania świadczące o jego działalności charytatywnej i prosił, aby go sądzono na podstawie dobra, które uczynił. Dlaczego zatem nie mielibyśmy w podobny sposób osądzać krzywdy, którą wyrządził, i uznać ją za miarę jego charakteru? Zmieniał kształt, ale pozostawał cierpieniem, które sprowadzał na swoje ofiary. Niezależnie od tego, jakie krył w sobie tajemnice, był krzywdą, którą wyrządzał.

Był wściekłością Jane pomstującej na „pieniądze splamione krwią” oraz uporem i upokorzeniem Tima, który je przyjął. Był tabletkami i wódką we krwi Sophie oraz straconym rokiem Ruperta przechodzącego załamanie nerwowe. Był gniewem płonącym w Jamiem Gascoigne. Był bólem, który wywołał niebezpośrednio – cierpieniem i dezorientacją dziewczyny Jamiego,

pamięcią nienarodzonych jeszcze dzieci o martwej ciotce i ciotecznej babce.

Ludzie mają naturalną potrzebę ustalenia prawdy, która jest jedna i jasno określona, doskonale wszystkim widoczna niczym księżyc w pełni zawieszony na bezchmurnym niebie. Od książek opisujących zbrodnie oczekuje się, że przedstawią one właśnie taki fotograficzny obraz, że zaserwują łatwo przyswajalną kwintesencję danej sprawy niczym obrany z łupiny i posolony orzeszek. Jednak Joji Obara jako bohater tej historii zasysał całą jasność – pozostawały jedynie dym, opary oraz migoczące ponad nimi światło wiekuiste. Innymi słowy z orzecha zostawała jedynie łupina. Jednak jej powierzchnia okazała się sama w sobie wystarczająco fascynująca.



Każdy, kto zetknął się z członkami rodziny Blackmanów, oraz wiele osób, które znały ich tylko z gazet, wyrobił sobie jasną i głęboko zakorzenioną opinię na temat ich sprawy. Wszyscy upierali się przy słuszności swoich poglądów. Nie tylko tych dotyczących winy Jojiego Obary, ale również samej Lucie, jej rodziny oraz Japończyków jako narodu. Ten pęd do wydawania sądów był jednym z zadziwiających skutków całej sprawy.

W największym stopniu skupiano się na Timie i jego decyzji o przyjęciu 100 000 000 jenów. W kolejnych tygodniach często można było odnieść wrażenie, że Tim Blackamn został uznany za winnego popełnienia przestępstwa równie potwornego jak zbrodnia Obary.

„Będzie cierpiał podwójnie¹⁸³ – wieszczęła felietonistka »Daily Mail«. – Będzie zdręczał się myślami o tym, co mógł zrobić inaczej, żeby ocalić piękną córkę przed wstąpieniem na ścieżkę mało chlubnej kariery w zawodzie hostessy i tym samym od śmierci; i będzie również nękany poczuciem winy z powodu roli, jaką odegrał w odebraniu córce

sprawiedliwości, na którą zasługiwała”.

Jane w rozmowie ze mną ujęła to następująco:

– Czuję, że zmagam się z dwoma mężczyznami. Walczę o to, żeby sprawiedliwość została wymierzona im obydwu: Obarze i ojcu Lucie.

Na czym dokładnie polegało przewinienie Tima? Aby się temu przyjrzeć, należało odpowiedzieć na jedno, niewątpliwie bardzo ważne pytanie dotyczące pieniędzy na pocieszenie: czy w jakikolwiek sposób wpłynęły one na zakończenie sprawy? W wydanym na piśmie werdykcie sędziowie stwierdzili jasno, że pieniądze, które otrzymały ofiary gwałtu, nie miały wpływu na wysokość wymierzonej kary – oskarżony usłyszał wyrok dożywotniego więzienia, najwyższy przewidywany prawem. Japońskim sądom można wytykać różne wady, ale z pewnością nie należy do nich uniewinnianie zabójców tylko dlatego, że dysponują pieniędzmi. Obara został uniewinniony od zarzutu skrzywdzenia Lucie, ponieważ sąd, słusznie czy też nie, uznał dowody za niewystarczające.

Oczywiście wyrok wydany przez opinię publiczną w sprawie Tima opierał się nie na przesłankach prawnych, ale moralnych.

„Jak ojciec może przyjąć pieniądze [od domniemanego] zabójcy własnej córki? – pytał czytelnik gazety »The Sun«¹⁸⁴ w liście do redakcji zamieszczonym obok kilkunastu wypowiedzi utrzymanych w podobnym tonie. – Tim Blackman powinien spalić się ze wstydu”.

Było to jedno ze stwierdzeń świadczących o poczuciu moralnej wyższości. Spomiędzy słów każdego z tych listów wyzierała przechwałka: „Ja nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego”. Czytając to, od razu miałem ochotę zapytać: „Skąd wiesz?”, oraz: „Dlaczego w ogóle cię to obchodzi?”.

Wyobrażanie sobie, jak postąpilibyśmy, znalazłszy się w ekstremalnych okolicznościach wystawiających na próbę naszą kondycję fizyczną i moralną, to pasjonująca rozrywka; we własnych głowach zawsze zdajemy ten test.

Każdy, kto ma dzieci, fantazjował w pewnym momencie na temat ich śmierci i poczuł, że byłaby to najcięższa ze wszystkich strat. Jednak nie mamy nic więcej poza fantazjami. Możemy żywić nadzieję, że zachowalibyśmy się z godnością, powściągliwością i wykazalibyśmy się determinacją. Jednak nikt z nas nie może być tego pewien, tak samo jak nie możemy przewidzieć przebiegu rzadkiej, grożącej śmiercią choroby.

Staje się to tym bardziej prawdziwe, gdy w grę zaczynają wchodzić pieniądze. Działy listów do redakcji pełne były szyderczych uwag o „kwocie”, na jaką Tim „wycenił” śmierć Lucie. Jednak dla bardzo niewielu ludzi kwestie finansowe, tak czy inaczej ujęte, nie stanowią istotnego czynnika kierującego podejmowanymi przez nich wyborami. 100 000 000 jenów wypłaconych Timowi Blackmanowi nie miało żadnego wpływu na wymierzenie sprawiedliwości; jego decyzja nikogo nie krzywdziła. Umożliwiła natomiast wprowadzenie elementu solidnego oparcia i swobody ruchu w wypaczone lękiem i cierpieniem życie. Część pieniędzy Tim przeznaczył na rozwój Funduszu imienia Lucie Blackman, część obiecał odłożyć dla Sophie i Ruperta, część zaś wydał na zakup klasycznego jachtu, sześćdziesięcioletniej Infanty, na której pokładzie szczęśliwie spędzi cały 2008 rok, żeglując dookoła świata.

Wiele osób cmokało z niezadowoleniem, uznając to za rozrzutność i dogadanie sobie. Gdyby jednak pieniądze te pochodziły z wygranej sprawy sądowej lub też z oficjalnego funduszu odszkodowawczego, uznano by, że nic nikomu do tego, w jaki sposób owa kwota zostanie rozdysponowana. Większość ludzi, znalazłszy się na miejscu Tima, również odkryłaby, że ma swoją „cenę”. Gdyby proponowane pieniądze umożliwiły spłacenie uciążliwego długu, pomoc finansową choremu krewnemu, dały szansę na dobre wykształcenie żyjącemu dziecku lub zapewniły bezpieczną starość, ilu z nas, po usłyszeniu odpowiednio wysokiej sumy, nie powiedziałoby

w końcu: „Cierpiałem – należy mi się rekompensata”?

Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał stawić czoła takiej stracie, jaka spotkała Blackmanów, i że nigdy nie zdobędę wiedzy na temat pewnych aspektów własnego charakteru i własnej moralności. Być może rozpaczałbym jak Jane albo nieszczęsny Bill Hawker. Być może wzorem Tima przemieniłbym się w energicznego człowieka czynu. Może odrzuciłbym wszelkie oferty rekompensaty finansowej, a może uznałbym, że przynajmniej tyle słusznie mi się należy. Nie wiem, podobnie jak nie wie nikt inny – i nikt z nas nie ma prawa oceniać tych, którzy fatalnym zrządzeniem losu musieli przejść tę udrękę.

Oceniać to mogła Jane Steare, a także Annette, Nigel i Samantha Ridgway. Członkowie rodziny Ridgway przeżyli dokładnie taką samą stratę jak Tim i pomimo kolejnych ofert ponawianych przez prawników Obary konsekwentnie odrzucali propozycję przyjęcia rekompensaty. Solidarność z rodziną Australijczyków była dla Jane źródłem ulgi i pocieszenia. Rozmawiała z Annette przez telefon i na swój sposób obie kobiety połączone doświadczeniem utraty córek zaprzyjaźniły się ze sobą. Przyjaźń trwała do lipca 2008 roku, kiedy to Nigel Ridgway, za zgodą byłej żony oraz córki, podpisał dokument, w którym stwierdzał, że jego zdaniem Obara jest w stanie przejść proces „resocjalizacji”, oraz podważał niektóre dowody świadczące przeciwko Obarze w sprawie Carity. W zamian rodzina Ridgwayów otrzymała 100 000 000 jenów. Dużo wycierpieli, nie mogli liczyć na żadną inną rekompensatę, czuli, że ona im się należy. Jane przyjęła tę wiadomość z ogromnym bólem. W rozmowie ze mną powiedziała, że ojciec, matka i siostra Carity „zapredali się złu”.



Ludzie obawiają się historii takich jak historia Lucie, historii o pozbawionej sensu, gwałtownej, przedwczesnej śmierci, jednak większość z nich nie potrafi przyznać się do tego strachu. Dlatego ratują się ucieczką w ferowanie wyroków moralnych, którymi wymachują niczym płonąca gałęzią w nadziei, że uda im się odgonić czające się w mroku wilki.

Jane również pragnęła mieć rację w sprawie Lucie i pragnęła, aby wszyscy, którzy byli odmiennego zdania, między innymi jej własna córka, a przede wszystkim były mąż, mylili się. Nie wystarczało jej samo przeświadczenie o słuszności własnych przekonań; chciała, żeby sądownie uznano poglądy Tima za niesłuszne. Jednak racja czy też jej brak nie mają znaczenia, gdy w grę wchodzi strata, żałoba. Istnieje tylko ból; bezkresny i niepozostawiający miejsca na nic innego. Każdy członek rodziny Blackmanów stanął przed ogromnym wyzwaniem, jakim było zebranie wszystkich swoich sił, aby utrzymać się na powierzchni życia.

Część walki o przetrwanie stanowiła próba znalezienia w śmierci Lucie czegoś dobrego, dostrzeżenie pierwszych oznak świtu przebijającego się przez mrok nocy. Tim usiłował odnaleźć to coś w Funduszu imienia Lucie Blackman. Zaczęło się od numeru konta bankowego, który Tim podał podczas jednej z konferencji prasowych w Tokio. Ostatecznie, pomimo wysiłków Jane i Rogera Steare'ów, Fundusz został oficjalnie zarejestrowany jako organizacja charytatywna. Oprócz alarmów przeciwgwałtowych oraz zestawów do sprawdzania, czy do napoju nie został dolany środek oszałamiający, na stronie Funduszu można było znaleźć zdroworozsądkowe informacje na temat zasad bezpieczeństwa, których powinni przestrzegać młodzi ludzie podróżujący i bawiący się w nocnych klubach. Organizowano imprezy połączone ze zbiórką pieniędzy, nad którymi patronat objęli pewien aktor komediowy oraz słynna modelka; w 2007 roku nastoletnia mieszkanka Liverpoolu Nathalie została wybrana miss Funduszu imienia Lucie

Blackman. Nie wszystkie przedsięwzięcia się powiodły – producent promowanego przez Fundusz przyrządu o nazwie BuddySafe zbankrutował po kilku miesiącach; niektóre linki zamieszczone na stronie internetowej były nieaktualne lub nie działały.

Tim jednak był dumny z uruchomionego w ramach Funduszu programu Missing Abroad¹⁸⁵, który oferował pomoc brytyjskim rodzinom znajdującym się w takim samym położeniu, w jakim znalazł się on sam po zaginięciu Lucie. Kiedyś uważał, że jest osamotniony w swoich wyjątkowo wstrząsających, a jednocześnie oryginalnych przeżyciach, tymczasem co kilka miesięcy gdzieś na świecie dochodziło do podobnej sytuacji.

Był przypadek Wendy Singh, trzydziestodwuletniej kobiety, matki i żony, zamordowanej przez męża na Fidżi. Był przypadek Amy Fitzpatrick, nieśmiałej piętnastoletniej Irlandki, która zniknęła w Nowy Rok, przebywając w pobliżu domu swojej matki w Hiszpanii. Był Michael Dixon, trzydziestotrzyletni dziennikarz, który zniknął podczas urlopu na Kostaryce. Był też Alex Humphrey, dwudziestodwuletni pracownik opieki medycznej, który wyszedł z hotelu w Panamie, aby zobaczyć słynny wodospad, i nigdy nie wrócił.

Żadna z tych osób nie wzbudziła takiej uwagi mediów, jaką poświęcano sprawie Lucie: ponieważ ofiary były starsze lub mniej fotogeniczne, ponieważ na Fidżi ani na Kostaryce nie odbywało się żadne międzynarodowe spotkanie na szczycie i żaden Tony Blair nie zainteresował się sprawą, która mogłaby przynieść mu polityczną korzyść. Fundusz Tima zapewniał rodzinom zaginionych lub zmarłych osób taką opiekę, jakiej nie mogło im zapewnić Ministerstwo Spraw Zagranicznych – działająca całą dobę gorąca linia, na którą można było zgłaszać wszelkie informacje o osobie zaginionej, zamieszczanie plakatów i opisu zdarzenia na stronie internetowej, pokrycie kosztów wyjazdu rodzin za granicę i kosztów sprowadzenia ciał do Wielkiej

Brytanii. Ministerstwo Spraw Zagranicznych wspierało te działania jako partner programu; oprócz tego w wyniku sprawy Lucie policja londyńska powołała specjalną komórkę do kontaktów z bliskimi osób, które zaginęły za granicą.

Wszystko to przynosiło swego rodzaju satysfakcję, ale Tim uśmiechał się cierpko i kręcił głową, gdy ludzie w dobrej wierze delikatnie napominali, że być może jest to „zamknięcie” całej sprawy. Żaden największy na świecie sukces – w sferze działalności charytatywnej, w sferze zawodowej czy też osobistej – nigdy nie zrównoważy, nie przyćmi ani nie wymaże straty Lucie. Jedyne, na co Tim miał nadzieję, to że uda mu się opanować poczucie straty i nie pozwolić, aby przysłoniło całą resztę życia. Wyobrażał sobie czarny pękaty worek na śmieci¹⁸⁶ wypchany rozpaczą, żalem i bólem związanymi z Lucie i jej losem. Na samą myśl, że miałby ów worek otworzyć i przejrzeć jego oślizgłą zawartość, czuł, iż zaczyna się rozpadać. Nigdy nie targnął się na swoje życie, chociaż często nachodziły go myśli samobójcze. Ich źródłem było nie tylko pragnienie ucieczki przed ciężarem życia, ale i nadzieja, że po śmierci spotka się z Lucie.

– Lucie nie żyła – opowiadał Tim. – Sophie była w sanatorium. Rupert wyleciał ze studiów i przeszedł załamanie nerwowe. To wszystko było ogromnym obciążeniem, trwało tak strasznie długo i zamiast się polepszać, jeszcze się pogarszało. Czułem się bardzo zagrożony. Trudno było mi uwierzyć, że to się kiedykolwiek skończy. – Niektóre dni były szczególnie ciężkie: rocznice związane z życiem i śmiercią Lucie, rozłożone w ciągu roku w taki sposób, że co parę miesięcy jakaś data przypominała o tym, co się stało. – Zaginęła 1 lipca – wyliczał Tim – urodziny miała 1 września, znaleziono ją w lutym, a Boże Narodzenie to trudny okres w każdym domu, ale najgorszy wtedy, gdy kogoś brakuje przy stole. Najcięższy jest dzień, w którym umarła, i zwykle spędzam go, żeglując po cieśninie Solent.

Uwielbiała to miejsce i kiedy tam jestem, całym sobą odczuwam jej brak.



Tim był na morzu 16 grudnia 2008 roku, gdy zadzwonił telefon satelitarny zamontowany na pokładzie Infanty. Był środek nocy. Tim odebrał, a w słuchawce rozległ się mój głos.

Po upływie dwóch lat znów stałem przed budynkami tokijskiego sądu otoczony dziennikarzami dukającymi wyjaśnienia do telefonów komórkowych. Sędziowie Sądu Najwyższego przed chwilą wydali orzeczenie dotyczące apelacji złożonych przez Obarę oraz prokuraturę. Utrzymali w mocy wyrok skazujący Obarę w sprawach ośmiu gwałtów oraz gwałtu skutkującego śmiercią Carity Ridgway. Oprócz tego częściowo unieważnili uniewinnienia dotyczące zarzutów związanych z Lucie Blackman. Obara został uznany za winnego w zakresie zarzutu o uprowadzenie, podanie środków oszałamiających, usiłowanie popełnienia gwałtu oraz rozczłonkowanie zwłok Lucie i nielegalne ukrycie jej ciała. Utrzymano w mocy wyrok dożywotniej kary więzienia.

– Naruszenie godności tyłu ofiar¹⁸⁷, wykorzystanie środków oszałamiających w celu zaspokojenia swojej żądz jest procederem bezprecedensowym i na wskroś nikczemnym – oświadczył przewodniczący składu sędziowskiego sądu apelacyjnego Hiroshi Kadono. – Nie istnieją żadne okoliczności łagodzące dla czynów popełnionych z premedytacją z wynaturzonych pobudek.

Werdykt był skomplikowany, ponieważ od jednego zarzutu – o spowodowanie zgonu Lucie – Obara został ponownie uniewinniony. Prawdą było, że sekcja zwłok nie wykazała, co doprowadziło do śmierci Lucie, i że nie sposób było stwierdzić z pewnością, co się wydarzyło

w godzinach następujących po ostatniej rozmowie telefonicznej Lucie. Jednak japońskie sądy mogły wydawać wyroki skazujące na podstawie dowodów poszlakowych i w przeszłości tak robiły¹⁸⁸. Trudno było pojąć, jak to możliwe, aby mając świadomość, że istnieje tylko jeden podejrzany w całej sprawie, mężczyznę tego uznać za winnego podania środków oszałamiających, gwałtu oraz rozcłunkowania zwłok kobiety, która spędziła w jego towarzystwie swój ostatni wieczór – ale nie jej zabójstwa. Mimo to nowo wydane wyroki skazujące stanowiły zaskoczenie równie duże jak poprzednie uniewinnienia; wszyscy, których znałem, spodziewali się, że sędziowie mechanicznie zatwierdzą wcześniejsze orzeczenia. Jane Steare, która była obecna na sali sądowej razem z Rogerem, rozplakała się z ulgą.

– Była to droga przez mękę, która zaczęła się nie dziś, ale ponad osiem lat temu – powiedziała później. – W końcu jednak mamy dwa wyroki skazujące i wyrok dożywotniego więzienia [...] Teraz prawda i honor zwyciężyły, przez co sprawiedliwość została oddana nie tylko Lucie, ale wszystkim ofiarom brutalnych przestępstw na tle seksualnym.

Przekazałem to wszystko Timowi przez połączenie satelitarne, a wtedy na drugim końcu linii zapadło milczenie zakłócanie jedynie szumem atmosferycznym. Nigdy wcześniej Timowi nie zabrakło słów, dlatego z początku myślałem, że połączenie zostało przerwane. Musiałem nakłonić go, aby powiedział coś, co mógłbym zamieścić w artykule.

– To wspaniała wiadomość, zupełnie niespodziewana, ale właśnie taka należała się Lucie – oznajmił w końcu. – Trwało to potwornie długo, było niemiłosierną męką. Ale to wielkie osiągnięcie policji i prokuratury, że go dopadli.

Tim podziękował mi za telefon i rozłączył się. Infanta znajdowała się gdzieś między Maroko a Karaibami, w połowie transatlantyckich regat żeglarskich. Wiatru prawie nie było¹⁸⁹; powietrze i morze stały

przygniezione dusznym tropikalnym upałem. Na pokładzie swojego jachtu Tim, 13 500 kilometrów od Tokio, został unieruchomiony przez ciszę.



Obara złożył ponowną apelację¹⁹⁰ do Sądu Najwyższego. Tym razem jego prawnicy zwrócili uwagę na wersję wydarzeń przedstawioną w akcie oskarżenia. Chcieli wykazać, że fizycznie niemożliwe było przemieszczanie zwłok z mieszkania w przystani Zushi z powrotem do Tokio, potem do Blue Sea Aburatsubo, a na koniec do groty. Argument ten podnoszono w sądach niższej instancji, które konsekwentnie go odrzucały; teraz Obara usiłował przekonać do swojej racji, urządzając dziwaczny eksperyment. Poleciał prawnikom zakupić taki sam model zamrażarki jak ten, który stał w domu w Den-en Chōfu i w którym według prokuratury miał przechowywać zwłoki, a następnie wydał milion jenów na precyzyjnie wykonany manekin Lucie.

– Manekin jest bardzo delikatny, a jego skóra to dokładna imitacja ludzkiej skóry – powiedział mi prawnik Obary Yasuo Shionoya. – Waży tyle samo [ile Lucie] i ma takie same rozmiary. Jeden z adwokatów, zbliżony posturą do Obary, usiłował przenieść manekin i włożyć go do zamrażarki – okazało się to absolutnie niemożliwe. – Taśma z nagraniem wysiłków owego mężczyzny stanowiła centralny punkt dokumentów uzasadniających apelację.

Ze swojej celi w Tokijskiej Izbie Zatrzymań Obara w dalszym ciągu prowadził prawnicze batalie, pozywając dziennik „The Yomiuri Shimbun” o zniesławienie oraz domagając się wypłaty zaległego honorarium od wydawcy dziwnej książki ze zdechłym psem na okładce. Shionoya wypowiadał się w sprawie apelacji z umiarkowaną pewnością siebie; werdykt zostanie ogłoszony, przewidywał, nie wcześniej niż w połowie 2011 roku. Tymczasem na początku grudnia 2010 roku Tim, Jane i rodzina Ridgway

w Australii odebrali telefon od tokijskiej policji, która przekazała nieoczekiwaną wiadomość. Sąd Najwyższy odrzucił apelację. Wyroki skazujące oraz kara dożywotniego więzienia zostały nieodwołalnie utrzymane; Jojiemu Obarze nie pozostała żadna droga ucieczki¹⁹¹. Dożywocie w japońskim systemie prawnym rzadko równało się z przetrzymywaniem skazanego w odosobnieniu do końca jego dni, zwykle jednak musiał on odsiedzieć ponad trzydzieści lat, zanim doszłoby do warunkowego zwolnienia¹⁹². Nawet jeżeli odliczono by dziesięć lat, które Obara spędził w izbie zatrzymań, jest mało prawdopodobne, żeby wyszedł na wolność przed 2030 rokiem, kiedy to będzie miał siedemdziesiąt osiem lat. Jako przestępcę skazanego prawomocnym wyrokiem przeniesiono go do więzienia o rygorze radykalnie ostrzejszym niż ten panujący w izbie zatrzymań, w której Obara przebywał od 2001 roku. Zamieszkał w celi razem z innymi skazańcami; nie ma prawa do posiadania książek czy dokumentów, które stanowiły nieodłączny element jego życia przez ostatnią dekadę. Odwiedziny są dozwolone raz w miesiącu, wizyty mogą składać jedynie członkowie najbliższej rodziny. Więźniom nie zabrania się kontaktów z prawnikami, należy jednak zwracać się z prośbą o pozwolenie na każde takie spotkanie i zwykle uzyskuje się zgodę raz na kilka tygodni.

– Do tej pory sam Obara był swoim głównym adwokatem, ale w więzieniu taka sytuacja nie będzie możliwa – powiedział mi Shionoya. Zespół obrońców ostatnie dni przed przetransportowaniem Obarę do więzienia spędził na gorączkowych konsultacjach z klientem, podczas których pośpiesznie ustalano plan działań, aby prawnicy mogli nadal prowadzić jego sprawy pomimo braku codziennych kontaktów, do których się przyzwyczaili.

Prokuratura nie odwołała się od werdyktu Sądu Najwyższego, tak więc to jedno uniewinnienie, uniewinnienie od zarzutu o zabójstwo Lucie Blackman,

zostało podtrzymane. Jane obstawała przy swoim zdaniu, że nawet częściowe skazanie Obary należy uznać za zwycięstwo, jeśli nie w sprawie Lucie, to ogólnie w sprawie ofiar Obary. Oczywiście była to prawda, jednak pod względem emocjonalnym nie miało to większego znaczenia. Na długo przed zakończeniem procesu Obary nawet osoby najbliższej związane z tą sprawą nie były w stanie nadążyć za nią i zapamiętać wszystkich związanych z nią szczegółów.

Nie chodziło o to, że sprawiedliwość była nieważna. Po prostu niczego nie zmieniała albo nie zmieniała niczego, co rzeczywiście miałoby jakiegokolwiek znaczenie. Wyglądało to tak, jak gdyby po zażartym boju, wytężonej próbie sił pomiędzy dwoma równie zdeterminowanymi i nieustępliwymi przeciwnikami, jeden po prostu rozluźnił uchwyt i poszedł w swoją stronę. Lucie nadal nie było – czy cokolwiek mogło zmienić ten fakt? Takiej straty nie można przeboleć, przypomina ona niedające się ugasić pragnienie. To, co mogłoby stanowić pocieszenie – aresztowanie podejrzanego, proces, wyrok skazujący, 100 000 000 jenów – wsiąkało i znikało bez śladu niczym woda wylewana łyżkami nad pustynnym piachem. A gdyby Obara przyznał się do winy, błagał o przebaczenie, wyplakiwał oczy? Gdyby postawiono mu zarzut nie o nieumyślne spowodowanie śmierci, ale o zabójstwo i skazano na śmierć przez powieszenie? Najsrozsza kara ani najszczęśliwsza skrucha – nic nie mogło ani uleczyć, ani zasklepić tej rany. Nie istniała żadna wystarczająca satysfakcja, zadośćuczynienie czy odszkodowanie, istniały jedynie mniej lub bardziej dotkliwe ból i upokorzenie. Lucie była wyjątkową, najdroższą, najukochańszą istotą ludzką. Nie żyła i nic nie mogło przywrócić jej życia.

Wszystko o mnie
Marzy mi się magiczny pierścień,
który zamieni mnie i siostrę we wróżki.
Miałybyśmy zamek i

latające kucyki i magiczną moc.

KIM NAPRAWDĘ JESTEM. Mama i tata mówią, że jestem życzliwa i dość rozsądna. Czasami bardzo złość się na siostrę i brata. Myślę o innych ludziach i pomagam im. Nie lubię spieszyć się z pracą, nawet jak ktoś mnie pogania. Nie lubię bawić się na podwórku. Nienawidzę omletów, brukwi i groszku. Są najgorsze. Napiszę o jeszcze jednej rzeczy, której nie lubię, ale która nie jest najgorsza.

To rozgnieciony groszek.

– Kiedyś bez przerwy myślałam o tym, co jej zrobił – opowiadała Jane. – To było najgorsze: wyobrażałam sobie, jak Obara kroi Lucie. Myślałam, że pęknie mi od tego głowa; myślałam, że nigdy nie wyrzucę tych obrazów z głowy. Słyszałam gdzieś na dworze piłę łańcuchową, którą ktoś ciął drewno, i cała się trzęsłam.

Jane brała udział w psychoterapii, kontaktowała się z matkami innych zamordowanych dzieci, zarówno w Japonii, jak i w Wielkiej Brytanii. Wszyscy byli życzliwi i pełni współczucia, ona jednak nie czuła się lepiej. Po pewnym czasie usłyszała o terapii zwanej terapią odwrażliwiania za pomocą ruchu gałek ocznych, w skrócie EMDR, szeroko stosowaną w leczeniu nerwic pourazowych u żołnierzy wracających z misji w Iraku i Afganistanie. Była to dość tajemnicza terapia, która często przynosiła zdumiewające efekty z przyczyn nie do końca jasnych nawet dla samych praktyków tej metody.

– Co mogłoby sprawić, że poczułabyś się lepiej? – spytał terapeuta podczas pierwszego spotkania z Jane.

– Pewność, że Lucie jest bezpieczna – odpowiedziała Jane. – Wtedy powiedział mi, żebym myślała o strasznych rzeczach, które Obara robił Lucie – wspominała. – Potem miałam patrzeć na jego palec, a on przesuwiał go raz w prawo, raz w lewo. Ja myślałam o tym wszystkim, a on powtarzał: „Lucie jest bezpieczna, Lucie jest bezpieczna...”. – Jane uczestniczyła

w czterech sesjach i była to jedyna terapia, która podziałała. – Teraz, kiedy siedzę w sądzie, a tłumacz opisuje te wszystkie straszne rzeczy, które zrobił Obara, ja powtarzam w myślach: „Lucie jest bezpieczna, Lucie jest bezpieczna...”, i to mi pomaga. Sądzę, że to był punkt przełomowy, dzięki któremu nie zwariowałam.

Jane ciągnęła:

– Nie wierzę w coś, co ludzie nazywają „zamknięciem”, „pójściem dalej”. Co mam zamknąć, dokąd mam pójść? Trzeba się nauczyć z tym żyć. Ale nigdy już nie będę taka sama. Mogę iść na zakupy i czuć się zupełnie dobrze. A potem nagle w supermarkecie widzę dziewczynkę, która przypomina mi Lucie, kiedy była mała, łzy napływają mi do oczu i nie panuję już nad sobą. – Mijały lata i przyjaciółki Lucie zaczynały rodzić dzieci. Córeczkę Louise Phillips ochrzczono imieniem Lucie, córeczka Samantha Burman ma na imię Grace Lucie. Jane cieszyła się z tego i wzruszała ją miłość przyjaciółek Lucie, a jednocześnie czuła dotkliwy ból, widząc, jak mogłoby wyglądać życie jej córki, gdyby nie odeszła.



Jane nie znosiła żadnej rzeczy związanej z Funduszem imienia Lucie Blackman; organizacja ta symbolizowała jej druzgocącą klęskę w batalii o prawo do Lucie. Nienawidziła hipokryzji całego tego przedsięwzięcia – jej zdaniem był to pokaz dobrej woli ojca, który w rzeczywistości zostawił na lodzie żonę i dzieci. Pomimo ustaleń brytyjskiej policji i prokuratury Jane nadal podejrzewała Fundusz o sprzeniewierzenia i oszustwa. Nie chciała mieć nic wspólnego z jego działaniami i w dalszym ciągu nie podobało jej się to, że istnieje oraz że jest firmowany imieniem Lucie, na co ona, Jane, nie wyraziła zgody.

Pocieszenia po stracie Lucie upatrywała w mrocznym fatalizmie, w przekonaniu, że jej córka stała się narzędziem w rękach bezdusznego losu – że śmierć Lucie, podobnie jak jej życie, były z góry przesądzone.

– Wspominałam o tym już wcześniej – mówiła – i wcale tego nie zmyśliłam: naprawdę wiedziałam, że nigdy więcej jej nie zobaczę. Zanim wyjechała do Japonii, umówiłam ją na spotkanie z medium, ale nie poszła. Kiedy była mała, zawsze wydawała się bardzo dojrzała, jak gdyby ona była moją mamą. I czuję, że takie było jej przeznaczenie, takie było przeznaczenie Lucie. Po to się urodziła. Przyszła na świat, żeby powstrzymać Obarę. Nie urodziła się, żeby dożyć późnej starości.

Innymi słowy Lucie musiała umrzeć, jej śmierć była nieunikniona i Jane ją przewidziała. Po raz kolejny miała rację, tak samo jak miała rację, gdy mówiła Lucie, żeby nie jechała do Japonii. W całej smutnej historii swojego życia, poczynając od śmierci matki, na kłótniach z Sophie kończąc, Jane nigdy się nie myliła. Nawet wybierając Tima na męża, nie popełniła błędu, ponieważ mężczyzna, z którym wzięła ślub, nie był tym samym mężczyzną, który ją porzucił.

– Był innym człowiekiem – tłumaczyła Jane. – Mężczyzna, z którym żyłam przez dziewiętnaście lat, nie istniał. – Był to jedyny sposób na połączenie tych faktów w jakąś znośną, sensowną całość.

Przez cały czas ulgę przynosiła jej niezachwiana wiara w ciągłą obecność Lucie. Jane brała udział w seansach z medium, kobietą o imieniu Tracy, która mieszkała w londyńskiej podmiejskiej dzielnicy Penge.

– Pojechałam tam i przyszła do mnie Lucie – relacjonowała Jane. – To tak, jakbym przez godzinę rozmawiała z córką. Tracy mówiła mi o rzeczach, które Lucie robiła, na przykład: „Lucie robi to i tamto z włosami, a ty lubiłaś głaskać ją po włosach”. I tak było, naprawdę lubiłam ją głaskać po włosach. Sceptycy pomyślą, że to tylko takie gadanie, ale ona wymieniała wiele

rzeczy, imiona, których nikt nie mógł znać [...] Nie chcę o tym wszystkim mówić, ale wiem, że to była Lucie.

Jane ciągnęła:

– Rozmawiam z nią w myślach. Kilka miesięcy temu poszliśmy na spacer i zobaczyliśmy cudowny dom na sprzedaż, więc umówiliśmy się, żeby go obejrzyć. Powiedziałam Lucie: „Jeśli uważasz, że to dobre miejsce dla nas, daj mi jakiś znak”. Znakami są zawsze motyle i gwiazdy. Na drzwiach wejściowych wisiała kartka z wydrukowanym napisem: „Jestem na plaży”. To dość niezwykle, prawda? Taka informacja w domu położonym wśród pól, tyle kilometrów od morza? Ale właśnie na plaży znaleziono jej ciało. Potem weszliśmy do środka i na ścianie było pełno naklejek w kształcie motyli. Na piętrze była lampa z kloszem w kształcie gwiazdy, nad ogrodem tańczyły motyle, a jeden krzew był ukształtowany jak motyl. Wtedy powiedziałam: „Dobrze, Lucie, dziękuję. Zrozumiałam”.

Pewnego razu Jane spotkała się z uzdrowicielką, która zapowiedziała, że w ogrodzie Jane pojawi się rudzik. Zgodnie z przewidywaniem kilka tygodni później po trawniku przed domem zaczął skakać mały, charakterystyczny ptaszek. Jane i Roger zaczęli go dokarmiać; rudzik szybko się oswoił i stał się niemal zwierzątkiem domowym.

– To Lucie – powiedziała uzdrowicielka, a Jane wiedziała, że kobieta mówi prawdę.

Coś podobnego zdarzyło się w dzień pogrzebu, gdy Jane wyszła z mrocznego wnętrza kościoła w światło dnia. Na drzewie naprzeciwko bramy siedział kos i gdy nabożeństwo się skończyło, zaczął wygwizdywać melodię, która niosła się wysoko ponad grobami. Przyjaciele i rodzina Lucie przemieszczali się bezładnie, skupiając w małych grupkach, po czym stopniowo się rozchodzili i opuszczali cmentarz, nad nimi zaś siedzący w gałęziach drzewa kos wyśpiewywał trele.

– Zaczął, gdy wszyscy wychodziliśmy – wspominała Jane – i od razu pomyślałam: To Lucie. Był tak głośny, że każdy zwracał na niego uwagę. Nawet Tim spojrzał w górę i powiedział: „Słyszycie tego ptaka? Ależ on hałaśliwy!”. A ja tylko uśmiechnęłam się do siebie.

Jakże słodka byłaby śmierć, gdyby wszystko mogło się skończyć właśnie tam, obrazem siedzącego na drzewie szczebioczącego ptaka.





180 Zapytałem agentkę muzyka Susan Stewart, co można sądzić o twierdzeniach Obary dotyczących przyjaźni łączącej go z Carlosem Santaną. Otrzymałem odpowiedź: „Carlos Santana nie będzie w stanie udzielić panu pomocy w tej sprawie”. E-mail do autora, 18 sierpnia 2007.

181 R.D. Hare, *Without Conscience. The Disturbing World of the Psychopaths Among Us*, New York 1999, s. 2.

182 Kwestię tę porusza J. Malcolm, *The Journalist and the Murderer*, New York 1990, s. 75. „Wprowadzenie pojęcia psychopatii to w rzeczywistości przyznanie się do niemożności rozwiązania tajemnicy zła – to zaledwie przeformułowanie owej tajemnicy – i stanowi jedynie zawór bezpieczeństwa dla frustracji, z którą zmagają się psychiatrzy,

pracownicy socjalni i policjanci na co dzień spotykający się z tym zjawiskiem”.

183 A. Platell, *A Betrayal That Will Haunt Lucie's Dad for Ever*, „Daily Mail”, 28 kwietnia 2007.

184 *Lucie's Dad Has Sold Out*, „The Sun”, 27 kwietnia 2007.

185 www.missingabroad.org.

186 D. O'Connell, *What Happened Next?*, „The Observer”, 12 stycznia 2003.

187 7. posiedzenie procesu apelacyjnego, Tokijski Sąd Najwyższy, 12 grudnia 2008.

188 Najgłośniejszą tego typu sprawą były „otrucia w Wakayamie”. W 1998 roku dwie osoby dorosłe i dwoje dzieci zmarło po zjedzeniu curry podawanego na wiejskim festynie w prefekturze Wakayama. Czterdziestosiemioletnią kobietę Masumi Hayashi skazano na śmierć za zabójstwo na podstawie dowodu, jakim były między innymi ślady arszeniku znalezione w jej domu. Hayashi twierdziła, że trucizna była pozostałością po środkach do zwalczania szkodników, którymi niegdyś handlował jej mąż. Nikt nie widział, aby kobieta dodawała trucizny do potrawy, a prokuraturze nie udało się przedstawić przekonującego motywu świadczącego o tym, że zamiarem Hayashi było popełnienie masowego morderstwa.

189 Wpis na blogu zamieszczonym na stronie internetowej Infanty, <http://infanta.square-space.com/log/2008/12/15/winch-handle-sniffer-outed.html>.

190 Informacje na temat apelacji w Sądzie Najwyższym można znaleźć w publikacji: R.L. Parry, *Lawyers Will Use Lucie Mannequin in Attempt to Win Killer's Freedom*, „The Times”, 15 grudnia 2009.

191 W rzeczywistości pozostała jedna możliwość prawna: ponowny proces. Adwokaci Obary utrzymywali, że pojawiły się nowe dowody, których nie rozpatrywały sądy niższych instancji. Twierdzenia te zostały jednak przedstawione Sądowi Najwyższemu i przez niego uchylone. W wypadku Obary ponowny proces wydawał się zatem jedynie teoretyczną możliwością.

192 *Mukikei, kari shakuhou made 30-nen [...] gembatsuka de nagabiku* (Trzydzieści lat przed zwolnieniem warunkowym z kary dożywocia [...] podniesiony przez tendencję do surowszego karania), „Yomiuri Shimbun”, 22 listopada 2010.

PRZYPISY

Niniejsza książka jest oparta na faktach, a wydarzenia w niej przedstawione stanowią zapis moich własnych obserwacji, relacji innych świadków oraz informacji pochodzących z rzetelnych źródeł, zarówno dokumentów piśmienniczych, jak i audialnych. Spisując tego rodzaju opowieść, nie sposób uniknąć typowego zjawiska, jakim jest napotykanie odmiennych wersji niektórych zdarzeń. Starłem się rozróżnić wersje wiarygodne od niewiarygodnych, a gdy wydawało mi się to zbyt trudne, trudność tę wskazywałem. Przytaczane fakty i cytaty, o ile w przypisach nie podano inaczej, pochodzą z prywatnej korespondencji, przeprowadzonych przeze mnie bezpośrednich rozmów, konferencji prasowych, w których uczestniczyłem, oraz dokumentów zgromadzonych w prywatnych zbiorach Tima Blackmana, Annette Ridgway, Nigela Ridgwaya i Jane Steare.

W większości przesłuchań podczas procesu i postępowania apelacyjnego Jojiego Obary brały udział zatrudnione przeze mnie osoby narodowości japońskiej zajmujące się gromadzeniem materiałów, które skrupulatnie notowały zdarzenia na sali sądowej. W Japonii oficjalny zapis przebiegu procesu nie jest udostępniany dziennikarzom, często jednak udawało mi się uzyskać dostęp do kserokopii owych zapisów innymi kanałami. Posiadałem również wgląd w raporty z postępowania sądowego przygotowane w języku angielskim przez Tokijską Policję Miejską dla ofiar i ich rodzin.

W kilku wypadkach, wskazanych w poniższych przypisach, zmieniałem nazwiska oraz szczegóły życiorysów poszczególnych osób. Robiłem tak z trzech powodów: ponieważ osoby, z którymi rozmawiałem, prosiły mnie o zachowanie anonimowości; ponieważ z różnych przyczyn nie mogłem się skontaktować z osobami, o których pisałem; oraz ze względu na zasady dotyczące relacjonowania słów żyjących ofiar przestępstw seksualnych. W wypadku osób należących do tej ostatniej kategorii zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby uniemożliwić zidentyfikowanie ich tożsamości nawet przez rodzinę

i najbliższych. Wymagało to niekiedy modyfikacji życiorysów oraz imion i nazwisk, niemniej zachowałem chronologię zdarzeń. Żadna z wprowadzonych przeze mnie zmian nie ma jakiegokolwiek wpływu na główny temat opisywanej historii.

Uporządkowanie zapisu nazwisk jest skomplikowaną procedurą w tekście, w którym występują nazwiska japońskie, koreańskie i koreańsko-japońskie, czasami odnoszące się do tej samej osoby. Obrąłem metodę powszechnie stosowaną przez angielską prasę. Wszystkie japońskie i koreańsko-japońskie nazwiska zostały zapisane w szyku używanym na Zachodzie: najpierw imię, następnie nazwisko. Koreańskie nazwiska zostały zapisane w szyku tradycyjnym dla tego kraju: najpierw nazwisko, następnie imię (lub imiona). Tym sposobem w wypadku osoby: Joji Obara, Seishō Kin oraz Kim Sung Jong, jej nazwiska brzmią odpowiednio: Obara, Kin oraz Kim.

Wyrażenie „ludzie, którzy jedzą ciemność” zostało zainspirowane tytułem powieści Toru Matsugakiego *Yami o Kuu Hitobito*, Tokio 2006. Jestem niezmiernie wdzięczny panu Matsugakiemu za pełne życzliwości wsparcie.

PODZIĘKOWANIA

WIELE OSÓB POMOGŁO MI w zbieraniu materiałów na temat tej historii, ale nikt nie okazał więcej przychylności niż rodziny Blackman/Steare oraz Ridgway. Podczas wielokrotnych spotkań, rozmów telefonicznych i wymiany e-maili bez słowa skargi znosili pytania, które czasami musiały być nieznośnie bolesne. Książka ta równie dobrze mogłaby nosić podtytuł *Los Carity Ridgway* i przykro mi, że nie udało mi się poświęcić więcej miejsca Caricie oraz nieustępliwym działaniom jej dzielnej rodziny. Dziękuję Rupertowi Blackmanowi, Sophie Blackman, Timowi Blackmanowi i Josephine Burr, Annette Ridgway, Nigelowi i Aileen Ridgway, Jane i Rogerowi Steare'om oraz Samancie Termini (z domu Ridgway). Dziękuję również Louise Phillips i Robertowi Finniganowi, którzy tak wiele zrobili dla Lucie i Carity, zarówno za ich życia, jak i po śmierci; dziękuję także przyjaciołom Lucie: Valerie Burman, Gayle Cotton (z domu Blackman), Jamiemu Gascoigne, Samancie Goddard (z domu Burman), Caroline Lawrence i Caroline Ryan.

Niektóre z osób, którym zawdzięczam ogromnie wiele, wolały zachować anonimowość, niemniej jestem im wszystkim wdzięczny, zwłaszcza pozostałym przy życiu ofiarom Jojiego Obary. Tym, których nazwiska mogę podać, dziękuję za wspomnienia, dokumenty, kontakty, wsparcie, pomysły,

gromadzenie materiałów, korektę, tłumaczenia pisemne i ustne oraz gościnność, a są to: Kozo Abe, Jake Adelstein, Peter Alford, Kiyohisa Arai, Nahoko Araki, Mikiko Asako, Ian Ash, Charles Boundy, Alex Bowler, Everett Brown, Josephine Burr, Chris Cleave, Jamie Coleman, Rob Cox, David Seaborn „Dai” Davies, Tomomi Deguchi, Michael Denby, Toby Eady i cały zespół Toby Eady Associates, Dan Franklin i cały zespół Jonathan Cape, Wataru Fujisaki, Benjamin Fulford, Ben Goodyear, Ben i Sarah Guest, Samar Hammam, Thomas Hardy, Atsushi Hosoya, Hideo Igarashi, Noriyuki Imanishi, Stuart Isett, Shoshin Iwamoto, Lea Jacobson, Jenn Joel, Eric Johnston, Colin Joyce, Kentaro Katayama, Velisarios Kattoulas, Hideo Kawaguchi, Taeko Kawamura, Klub Korespondentów Zagranicznych w Japonii, Lee Hyon Suk, Leo Lewis, rodzina Lloyd Parry, Hamish Macaskill i English Agency, Justin McCurry, Sean McDonald i cały zespół Farrar, Straus and Giroux, Toshio Maeda, świętej pamięci William Miller, Vanessa Milton, Manabu Miyawaki, Giles Murray, Chika Nakayama, Shingō Nishimura, Katsura Nitto, Hidetoshi Okuhara, Akihiro Otani, Tsuyoshi Otani, David Parrish, David Peace, Prasa Zagraniczna w Japonii, Dave Russel, Julian Ryall, Issei Sagawa, Hiro Saso, Masato Sato, Junzo Sawa, Matt Searle, Huw Shakeshaft, Alex Spillius, Mark Stephens, Jeremy Sutton-Hibbert, Hiroko Tabuchi, Yuki Takahashi, Gillian Tett, Chika Tonooka, Michiko Toyama, Adam Whittington, Fiona Wilson, Shigeru Yamamoto i Yūji Yoshitomi.

Mój były pracodawca, dziennik „The Independent”, w dużej mierze finansował pierwsze etapy pracy nad niniejszą książką; obecny pracodawca, dziennik „The Times”, wspaniałomyślnie udzielał mi urlopu, abym mógł gromadzić materiały i pisać, a także bez wahania bronił mnie przed zarzutami o zniesławienie. Szczególne podziękowania należą się Leonardowi Doyle’owi z redakcji „The Independent” oraz Richardowi Beestonowi, Pat

Burge, Martinowi Fletcherowi, Anne Spackman oraz Rolandowi Watsonowi z zespołu „The Times”, a także Keijiemu Isajemu i Matthew Whittle’owi z firmy prawniczej Clifford Chance w Tokio. Źródłem wiarygodnych informacji oraz wsparcia byli również przyjaciele i koledzy z „Yomiuri Shimbun”.

Mimo że niniejsza książka krytycznie ocenia japońską policję, funkcjonariusze, których poznałem w trakcie pisania, byli ludźmi – poza kilkoma rzadkimi wyjątkami – życzliwymi, honorowymi i pracowitymi, dumnymi ze swojej służby, do czego mieli słuszne powody. Moja krytyka dotyczy działań nie ich jako jednostek, ale całego systemu, który zdaniem wielu osób wymaga reformy. Dziękuję Fusanoriemu Matsumoto, Toshihikowi Miiemu, świętej pamięci Toshiakiemu Udo i wszystkim pozostałym, którzy pragnęli zachować anonimowość.

Strona internetowa Funduszu imienia Lucie Blackman znajduje się pod adresem www.lucieblackmantrust.org.

Jane Steare wspiera działalność hospicjum Hospice in the Weald: www.hospiceintheweald.org.uk.